

NOVAE RES

LESZEK BIAŁY

CZARNY
HUZAR

Leszek Biały

CZARNY HUZAR



NOVAE RES

SIC VOS NON VOBIS
(Napis na frontonie Biblioteki Załuskich w Warszawie)

Spis treści

Rozdział 1. Do Polski

Rozdział 2. Z powrotem do Polski, nawet parę razy

Rozdział 3. Dziki kraj

Rozdział 4. Za kratkami

Rozdział 5. Z czegoś trzeba żyć

Rozdział 6. Warszawa

Rozdział 7. Jasna Góra i ciemne moce

Rozdział 8. Takie czasy

Rozdział 9. Czasy takie, a nawet taksze

Rozdział 10. Symfonia Replinowska: Allegro vivace

Rozdział 11. Symfonia Replinowska: Molto cantabile

Rozdział 12. Symfonia Replinowska: Rondo alla Polacca (con fuoco)

Rozdział 13. Humanitas

Rozdział 14. Smacznyś, słaby i w lesie

Rozdział 1

DO POLSKI

O tym, że nieuchronnie zbliża się koniec świata, doktor Johann Heinrich Callenberg, wielce uczony i powszechnie szanowany dyrektor Institutum Judaicum et Muhammedicum w Halle, był przekonany od dawna, a jeśli miał jeszcze co do tego jakieś wątpliwości, to pozbył się ich definitywnie, kiedy przeczytał u La Mettriego, że człowiek jest jedynie maszyną i że w całym wszechświecie istnieje tylko jedna substancja, występująca co prawda w różnych postaciach.

To jednak, że ów koniec może być naprawdę bliski, przyszło mu na myśl dopiero latem roku Pańskiego 1759, kiedy otrzymał nowy list od swego korespondenta z Gdańska.

Gdański informator doktora Callenberga donosił mu z entuzjazmem, że na przeciwległym krańcu Rzeczypospolitej Polskiej, w okolicach Kamieńca Podolskiego, wypełniały się właśnie słowa św. Pawła skierowane do Rzymian: *Nie chcę jednak, bracia, pozostawiać was w nieświadomości co do tej tajemnicy – byście o sobie nie mieli zbyt wysokiego mniemania – że zatwardziałość dotknęła tylko część Izraela aż do czasu, gdy wejdzie [do Kościoła] pełnia pogan. I tak cały Izrael będzie zbawiony, jak to jest napisane: Przyjdzie z Syjonu wybawiciel, odwróci nieprawość od Jakuba*¹.

Otóż dokładnie tak, jak miało to nastąpić u kresu czasów, wielu Żydów z tamtejszych dzikich, graniczących z Turcją okolic, przyznawało się ostatnio mniej lub bardziej jawnie do wiary w Trójcę Przenajświętszą, głosiło, że zapowiedziany przez św. Pawła wybawiciel już się był pojawił, i wyczekiwało z niecierpliwością, aż trafi w ich zapadłe strony, by uznać go za Mesjasza. Co więcej, nie brakowało wśród nich również takich, którzy zastanawiali się

głęboko, czy owym wybawicielem nie był jednak Jezus Chrystus, jako że w świetle przepowiedni proroków zapowiadany termin przyjścia Mesjasza dawno już minął.

A jeśli mimo tego żaden z podolskich Żydów jeszcze się nie ochrzcił, działo się tak zapewne wyłącznie dlatego, że nie umieli oni rozeznaczyć, który z chrześcijańskich kościołów przechowuje w sobie czystą i nieskażoną prawdę Ewangelii, jak też ze zrozumiałej skądinąd obawy, że po publicznym przyjęciu Pana Jezusa mogliby sobie nie poradzić ani między chrześcijanami, ani tym bardziej wśród swoich dawnych współbraci, trwających nadal przy prawie mojżeszowym.

Więści o tym wszystkim – zastrzegł na końcu listu gdański korespondent doktora Callenberga – były nader skąpe i niezbyt dokładne, niemniej rzecz wyglądała obiecująco i warto się nią było bliżej zainteresować.

Toteż w trzy dni po otrzymaniu wspomnianego listu doktor Johann Heinrich Callenberg zwołał zebranie swoich najbliższych współpracowników, na które po pewnym namyśle zaprosił również rotmistrza Horsta Gottlieba von Zypke, oficera w stanie spoczynku sławnego regimentu czarnych huzarów, weterana bitew pod Smatschną, Moldauthain i Katolisch-Hennersdorf, jak też kawalera orderu *Pour le Mérite*², uzyskanego pod Zorndorf za straceńczą szarżę pod ogniem kartaczy na prawe skrzydło rosyjskiej piechoty, który to rotmistrz, zwolniony z czynnej służby z powodu kilkunastu niedających się do końca wyleczyć ran, poczuł w sobie niedawno powołanie do spraw wyższych i zgłosił się do Instytutu, oferując mu swoje usługi w charakterze wędrownego misjonarza.

Jeśli bowiem rotmistrz von Zypke pragnął służyć Chrystusowi równie szczerze i gorliwie, jak służył do tej pory najjaśniejszemu panu Fryderykowi II – doszedł do wniosku doktor Callenberg – była to niewątpliwie dobra okazja, by mógł się on dowiedzieć, na czym ta służba polegała i ile łączyło się z nią trudów, niewygód, wyrzeczeń i niebezpieczeństw.

Uczestników spotkania witał w drzwiach mały Klaus, a właściwie Rajiv – dziewięcioletni sierota, przywieziony parę lat wcześniej z Indii przez zaprzyjaźnionych z Instytutem duńskich misjonarzy, którzy w trosce o jego przyszłość oddali go na wychowanie do sławnego sierocińca doktora Callenberga, gdzie w surowej dyscyplinie od świtu do nocy kształciły swoje

umysły i sumienia, ucząc się przy okazji różnych praktycznych zawodów, setki sierot i podrzutków z całych Niemiec i wielu innych krajów Europy.

Rajiv, a właściwie Klaus, okazał się dzieckiem na tyle byстрыm, miłym i pracowitym, że bardzo szybko stał się ulubieńcem doktora Callenberga, który z czasem pozwolił mu zamieszkać w Instytucie, traktował go jak własnego wnuka i coraz częściej powierzał mu rozmaite, niezbyt skomplikowane obowiązki.

Także tego dnia, zanim włożył na siebie białą koszulę z koronkowym żabotem, jasnoniebieskie atlasowe spodnie do kolan, jedwabne pończochy w kolorze słomkowym, granatowy wzorzysty surducik i pudrowaną peruczkę z plecionym harcapikiem ozdobionym na końcu aksamitną wstążką, mały Hindus zdążył jeszcze wyszorować do czysta podłogę i wytrzeć z kurzu wszystkie meble w sali konferencyjnej.

Po przywitaniu Klaus odprowadzał każdego gościa do stołu, stukając przy tym głośno obcasami trochę za dużych na niego trzewików z żółtymi kokardami, po czym sadowił go na właściwym miejscu, ściśle według precedencji, której doktor Callenberg, zawsze czuły na punkcie form i zasad, kazał mu się wcześniej nauczyć na pamięć.

Przybyłemu jako ostatni rotmistrzowi von Zypke Rajiv wskazał honorowe miejsce naprzeciwko doktora Callenberga, a potem zastygł w bezruchu, wpatrując się jak urzeczony w imponujący uniform zwalistego oficera, składający się z krótkiego czarnego dolmanu z bogatymi haftami, wyposażonego dodatkowo w rzędy guzików i szamerowanego białymi galonami, ze zwisającego zawadiacko z lewego ramienia krótkiego półkożuszka na barankowym podbiciu, również pełnego sznurów, haftów i guzików, z wąskich, podkreślających figurę kawaleryjskich spodni i z sięgających powyżej kolan butów do końskiej jazdy z czarnej skóry, wyglansowanych na tę okazję tak perfekcyjnie, że można się w nich było przejrzeć jak w lustrze.

Na widok zachwyconej miny malca rotmistrz von Zypke podkręcił węża i kiedy inni spośród obecnych zajmowali się rozmową bądź napełniali sobie szklanki wodą – jedynym trunkiem dopuszczanym przez doktora Callenberga podczas spotkań służbowych – zapytał go z szerokim uśmiechem:

– Podoba ci się mój mundur, mały?

Kiedy w odpowiedzi dziewięciolatek aż trzykrotnie skinął głową, czarny huzar obrócił swoją stojącą na stole czarną filcową czapkę w kształcie ściętego

stożka i pokazał chłopcu naszytą na niej trupa czaszkę z alpaki ze skrzyżowanymi pod nią pieszczelami, obramowaną ozdobnym obszyciem i okoloną czarno-białą kokardą.

– A moje nakrycie głowy?

Rajiv wzdrygnął się, ale niezbyt mocno, bynajmniej nie dlatego, że przestraszył się małej ludzkiej czaszki wyciętej z kawałka tkaniny, lecz z tego powodu, że nagle zdał sobie sprawę, iż kiedy ledwie tydzień wcześniej zapewniał gorąco doktora Callenberga, że w przyszłości zamierza pójść w jego ślady i też zostać pastorem, prawdopodobnie dopuścił się śmiertelnego grzechu kłamstwa.

Z zakłopotania, w jakie popadł z tej przyczyny, wybawił go na szczęście jego opiekun i dobrodziej, który zajmując swoje miejsce w fotelu, zadzwonił srebrną łyżeczką o szklanekę i zwrócił się uroczyście do zebranych:

– Bracia, mam dla was dobrą nowinę. Jak wiecie, od trzydziestu lat prowadzimy misję wśród Żydów, wierząc niezłomnie w to, że powrót narodu wybranego do Boga i Jego Syna, naszego Pana Jezusa Chrystusa, zapoczątkuje nową epokę w dziejach Kościoła i świata i że powstanie jednej wspólnoty wiernych chrześcijan i Żydów, czy też, jak mówią oni: *gojim* i *jehudim*, przybliży nadejście upragnionego przez nas Królestwa Bożego na ziemi. Głosiliśmy Żydom Dobrą Nowinę w wielu krajach, w tym także w Polsce, gdzie jest ich najwięcej, przez co kraj ów zyskał sobie już dawno nazwę *Paradisum Judeorum*³. Przez lata nasi wędrujący współpracownicy przemierzali ją wzdłuż i wszerz, rozdając Biblie i nasze publikacje – zwłaszcza *Światło wieczorne* wilebnego doktora Johanna Müllera, mojego nieodżałowanego mistrza i powiernika – i próbując na wszelkie sposoby zachęcić tamtejszy biedny lud żydowski do poznania i przyjęcia prawdy chrześcijańskiej.

Nie było to wcale łatwe, być może dlatego, że polscy Żydzi, mieszkający od wieków między papistami, nabrali z czasem tych samych cech i zwyczajów co oni: są nieufni, chwiejni, kłótniwi, niesolidni, lekkomyślni i nieodpowiedzialni, kierują się bardziej porywami serca i nastrojem niż rozumem i logiką, nie umieją doprowadzić niczego porządnie do końca, co skądinąd wcale nie przeszkadza, że potrafią być także przebiegli, pyszni, pazerni i kuci na cztery nogi. Czasem można nawet odnieść wrażenie, że są większymi papistami od samych papistów i że łatwiej wetknąć do ręki polskiemu katolikowi książkę traktującą o usprawiedliwieniu przez wiarę albo *Rozmowy przy stole* doktora Marcina Lutra

niż polskiemu Żydowi *Światło wieczorne* po hebrajsku czy wydaną w Halle Ewangelię św. Łukasza w jidysz.

Chociaż niektórzy, owszem, brali nasze książki bardzo chętnie – o ile tylko były za darmo – po czym zamiast je upowszechniać pośród swoich pobratymców, po prostu sprzedawali je za byle jaką cenę i oczywiście bez zwracania sobie głowy ich lekturą. Inni z kolei obiecywali naszym współpracownikom złote góry – że się ochrzczą, a następnie nawrócą całą swoją gminę, albo że przeniosą się gromadnie do Prus, gdzie mogliby bezpiecznie wyznawać prawdziwe chrześcijaństwo – a potem, jakby nigdy nic, nagle wypierali się wszystkiego i potrafili jeszcze donieść na naszych ludzi polskim władzom! Dość przypomnieć w tym miejscu nieszczęsnego rabina ziemskiego Wielkopolski Jakuba Mordocheja ha-Kohena, z którym wiązaliśmy tyle nadziei, a który najpierw naopowiadał w mieście Płocku naszym świętej pamięci braciom Johannowi Georgowi Widmannowi i Johannowi Andreasowi Manitiusowi niestworzonych rzeczy, wśród których przyciągnięcie do wiary ewangelickiej paru tysięcy tamtejszych starozakonnych nie należało bynajmniej do najbardziej nieprawdopodobnych, żeby niedługo potem boleśnie ich upokorzyć, a przywiezione przez nich książki obłożyć klątwą i publicznie spalić.

W sumie, jak dotąd, nie odnieśliśmy w Polsce większych sukcesów, ale też nigdy się nie poddaliśmy. I może właśnie dlatego zostaniemy teraz nagrodzeni. Bo trzy dni temu, drodzy bracia, dostałem list z Gdańska. Naprawdę piękny i ciekawy list, z gatunku tych, na które warto czekać całe życie. Mój korespondent, człowiek ze wszech miar godny wiary i szacunku, pisze mi, że na południu Polski zapanowało wśród Żydów wielkie poruszenie i że tamtejsi Izraelici z dnia na dzień wyglądają przyjscia Mesjasza, skłaniając się w duchu do przyjęcia chrześcijaństwa. A jeśli dotąd nie wyznali publicznie Chrystusa, to wyłącznie dlatego, że nie wiedzą, który z kościołów chrześcijańskich jest najprawdziwszy, a także ze zrozumiałej skądinąd obawy, że po zmianie religii mogliby sobie nie poradzić ani wśród chrześcijan, ani pośród swych dawnych współwyznawców. Według mojego korespondenta wiadomości o tym wszystkim są wprawdzie skąpe i niezbyt precyzyjne, ale rzecz wygląda obiecująco i warto się nią bliżej zainteresować. Co do mnie, to w pełni podzielam ten pogląd. Dodałbym tylko, że trzeba się śpieszyć. Bo jeśli polscy Żydzi rzeczywiście skłaniają się ku chrześcijaństwu, byłoby bardzo dobrze, żeby przyjmowali je w prawdziwej i czystej postaci, nieskażonej rzymskim bałwochwalstwem

i zabobonami, czyli, mówiąc inaczej, by poprzez swój chrzest raczej osłabiali niż wzmacniali Antychrysta.

– Otóż to – przytaknął któryś z podróżujących współpracowników.

– Trzeba się śpieszyć tym bardziej – kontynuował doktor Callenberg – że nie tylko dostrzegalna u Żydów chęć nawrócenia się, ale także inne znaki na niebie i ziemi wskazują wyraźnie, że tym razem może naprawdę chodzić o czasy ostateczne. Weźmy choćby tę toczącą się od trzech lat wojnę wszystkich przeciw wszystkim, a właściwie wszystkich przeciw Prusom. Od zachodu cisną nas Francuzi, od północy Szwedzi, od południa Austriacy, a od wschodu Rosjanie. Moskale zdobyli już Prusy Wschodnie i kto wie, czy jak tak dalej pójdzie, nie grozi nam wkrótce zajęcie Berlina i rozbiór naszego kraju. Obawiam się, bracia, że to początek Apokalipsy.

– Panie dyrektorze, proszę łaskawie nie mieszać do tego Apokalipsy – skrzywił się na te słowa czarny huzar. – Nasz miłościwy pan Fryderyk II jest największym dowódcą od czasów Juliusza Cezara, a nasza armia może przegrywać bitwy, lecz z pewnością nie przegra żadnej wojny. Prusy i tym razem dadzą sobie radę.

– Mam nadzieję – westchnął doktor Callenberg. – Wolałbym nie oglądać rosyjskich kozaków w Berlinie ani tym bardziej w Halle.

– Berlin był już raz zdobyty, dwa lata temu przez Austriaków generała Hadicka. I nic strasznego się nie stało, poza tym, że wycisnęli z niego trochę złota – wzruszył ramionami rotmistrz von Zypke.

– Mówiłem o Rosjanach, nie o Austriakach.

– Dobrze, ale wracając do meritum, gdzie konkretnie dzieją się wspomniane cuda? – wtrącił Stephan Schulz, jeden z najbardziej doświadczonych wędrujących współpracowników. – Polska to duży kraj.

– Niedaleko Kamieńca Podolskiego – wyjaśnił doktor Callenberg. – Choć, szczerze mówiąc, nie wiem, gdzie to dokładnie jest.

– Ale ja wiem – odezwał się ponownie rotmistrz von Zypke. – Jeździłem tam po konie.

– Po konie?

– Tak, po konie dla pułku. Połowa naszej kawalerii jeździ na polskich koniach, z których najlepsze kupuje się właśnie koło Kamieńca, na Podolu. A i Żydów jest tam, faktycznie, od cholery.

– No proszę! – zdziwił się dyrektor Institutum Judaicum et Muhammedicum. – Słusznie powiadają, że człowiek uczy się przez całe życie. A zatem, bracia, kto z was chciałby się wybrać na misję do Polski?

– Ja – jako pierwszy zgłosił się mały Rajiv, na co wszyscy obecni parsknęli śmiechem. Nawet doktor Callenberg, zazwyczaj bardzo poważny, uśmiechnął się i rzekł:

– Dziękujemy ci, Klaus. Dałeś wszystkim piękny przykład chrześcijańskiej miłości, ale ty się jeszcze w życiu najeździsz. Teraz najważniejsza jest nauka.

– Ja – jako drugi zgłosił się Stephan Schulz.

– Dzięki, bracie Stephanie, jednak tak samo jak Klaus, przydasz się bardziej tu, na miejscu.

– I ja – zapewnił doktora Callenberga Johann Friedrich Hermannsdorfer, niezmordowanie służący Instytutowi od piętnastu lat.

– Ja także – zadeklarował Olaf Caspar Röper, który pracował dla Instytutu od niedawna i nie był jeszcze na żadnej misji.

– Na to właśnie liczyłem – pokiwał z uznaniem głową doktor Callenberg.

– No to i ja, do diabła! – oświadczył rotmistrz von Zypke. – Może przy okazji kupię sobie jakiegoś konia. Poza tym znam trochę polski.

– Zna pan trochę polski? A gdzie się go pan nauczył, rotmistrzu?

– Liznałem go nieco u żółtych huzarów, gdzie służyłem przez pół roku, zanim się dostałem do czarnych. Ich dowódcą był – i chyba jest nadal – Polak, generał Paweł Józef Małachowski, który przed każdą bitwą zagrzewał nas do boju, wołając w swoim ojczystym języku: „Napschut, pruskie Pierdoly, nie bać sie! Nie htzetzie hiba schyč wieetschnie, Saßrantzy?!”.

– To znaczy?

– „Naprzód, dzielni Prusacy! Za Króla i Ojczyznę! Zwycięstwo znów będzie wasze!”.

– No proszę, prawdziwy patriota, choć Polak i papista – zdumiał się dyrektor Institutum Judaicum et Muhammedicum.

– Właśnie, w dodatku świetny żołnierz. Dlatego znów chętnie wybiorę się do Polski. Szkoda tylko, że nie pojedzie z nami ten Murzynek. Przydałby się do posługi.

– To nie Murzynek, tylko Hindus, panie rotmistrzu. I kształci się u nas na pastora. Do posługi to może pan sobie wziąć ordynansa – skwitował sucho te słowa doktor Callenberg, po czym dodał bardziej uprzejmie: – Ale bardzo się

cieszę z pańskiej deklaracji. W tych ciężkich czasach pana doświadczenie wojskowe może się okazać bezcenne, podobnie jak pańska znajomość polskiego. To kiedy będziecie gotowi, bracia?

– Ja choćby jutro – oświadczył Olaf Caspar Röper.

– Ja również – zawtórował mu Johann Friedrich Hermannsdorfer.

– A ja za parę dni, kiedy sprawdzę w pułku, czy przypadkiem im też nie potrzeba paru dobrych wierzchowców – stwierdził z lekka poczerwieniały z powodu krytyki czarny huzar.

– Proszę bardzo, niech będzie za tydzień, przynajmniej zdążę napisać listy do Gdańska i do Warszawy, gdzie od innego mojego korespondenta, pracującego w sławnej bibliotece Załuskich, być może dowiedzie się czegoś więcej. W ogóle, drodzy bracia, musicie się dobrze przygotować, bo to na pewno nie będzie łatwa wyprawa. Przy okazji, panie rotmistrzu, niech pan sobie sprawi jakieś cywilne ubranie. Bo choć sama Polska nie bierze udziału w tej przeklętej wojnie, to Rosjanie robią na jej ziemiach, co im się żywnie podoba, więc obawiam się, że w tym pięknym mundurze daleko pan nie zajedzie.

– Słuszna uwaga, panie dyrektorze – odparł jeszcze bardziej skonfundowany rotmistrz von Zypke. – Udam się do Polski *incognito*, choć szczerze mówiąc, cywilnych łachów nie znoszę tak samo jak tchórzostwa na polu walki, mętnego wina, narowistych koni i niesubordynowanych podwładnych.

– To świetnie – doktor Callenberg uśmiechnął się po raz drugi tego wieczoru. – W takim razie widzimy się za tydzień i wtedy także, zgodnie z zasadami naszego zakładu, każdy z was otrzyma diety na jedzenie i picie, tudzież na pokrycie innych wydatków. Dwa i pół talara na tydzień, co pomnożone, powiedzmy, przez pięć miesięcy daje w przybliżeniu po pięćdziesiąt pięć talarów na głowę. Oczywiście za pokwitowaniem, jak też z obowiązkiem zwrotu niewykorzystanych funduszy oraz, rzecz jasna, z możliwością refundacji przez Instytut dodatkowych kosztów, gdyby z jakiegoś powodu misja się przedłużyła.

– Dwa i pół talara tygodniowo? – mruknął pod nosem rotmistrz von Zypke.

– Mam nadzieję, że to wystarczy, bo inaczej przyjdzie mi chyba kraść siano koniowi.

– Dajemy, co możemy, ale to pieniądze naszych dobroczyńców – doktor Callenberg uśmiechnął się po raz trzeci i ostatni. – Zresztą, służba Boża wymaga ofiar i wyrzeczeń.

I na tym zebranie się zakończyło. A w nocy zmęczonemu Rajiwowi śniło się, że wjeżdża tryumfalnie do swojej rodzinnej wioski w Indiach na pięknym siwym koniu zakupionym niedaleko Kamieńca Podolskiego i w budzącym powszechny podziw mundurze pruskiego czarnego huzara, który leżał na nim jak ulał.

▪

Trzy lata wcześniej, w chłodny dzień na początku stycznia, po tureckiej stronie Dniestru, w kępie krzaków zapewniających jaką taką osłonę przed przenikliwym wiatrem, grzało się przy ogniu ośmiu mężczyzn. Siedmiu z nich, mających długie brody i kręcone pejsy, nosiło tureckie stroje i wysokie baranie czapy; ósmy – brzuchaty, łysy i gładko ogolony – ubrany był w chłopski kozuch z byle jak wyprawionej skóry, spod którego wyglądał stary i znoszony polski żupan. Właściciel najokazalszego tureckiego stroju – krwistoczerwonego dolmanu z czarnymi wyłogami – trzydziestoletni mniej więcej, postawny mężczyzna o ostrych rysach pociągłej twarzy pokrytej śladami po ospie, orlim nosie i kruczoczarnych, długich do ramion włosach, drzemał pod drzewem zawinięty w baranicę. Pozostali grali w kości i rozmawiali półgłosem po polsku, po hebrajsku albo po turecku, popijając przy tym herbatę grzejącą się w dzbanku przy ognisku, do której, dla lepszej ochrony przed ziąbem, dolewali niekiedy po łyku gorzałki.

Co jakiś czas jeden z obecnych, zwany przez pozostałych Nachmanem, wstawał od ogniska, wychodził z zarośli na otwartą przestrzeń nad rzeką, rozglądał się z uwagą dokoła, wpatrywał się przez chwilę w przeciwległy brzeg Dniestru, po czym albo dla rozgrzewki maszerował jeszcze dalej, do pobliskiego zagajnika, skąd dobiegało chwilami stłumione rżenie koni, albo, wzruszywszy ramionami, wracał od razu do swoich kompanów, którzy przyjmowali jego powrót obojętnie i nie zadawali mu żadnych pytań, ponieważ równie dobrze jak on wiedzieli, że są na tym pustkowiu zupełnie sami i nadmierna czujność, choć godna pochwały, była w zasadzie zbyteczna. Odkąd w okolicy rozszalała się zaraza, żołnierze tureccy z pobliskiego Chocimia mieli na głowie ważniejsze sprawy niż pilnowanie granicy, zaś polskie patrole po drugiej stronie rzeki pojawiały się tak rzadko, że aby się na któryś natknąć, szczególnie zimą lub przy złej pogodzie, trzeba było mieć naprawdę wielkiego pecha.

Mimo to ośmiu mężczyzn tkwiło w nadrzecznych krzakach, póki nie zaczęło się zmierzchać. Dopiero wtedy ten bez brody i w starym żupanie trącił delikatnie leżącego pod drzewem towarzysza o dziobatej twarzy i rzekł do niego po polsku:

– Już czas, Święty Panie. Idziemy do Polski.

Mężczyzna w czerwonym dolmanie otworzył powoli oczy, rozejrzał się na boki, jakby próbował sobie przypomnieć, gdzie się znajduje, po czym mruknął po turecku:

– Tak, Moliwda, już czas. Idziemy do Polski.

Potem podniósł się energicznie z ziemi, co spowodowało, że wszyscy pozostali także zerwali się na równe nogi i pokłonili mu się z szacunkiem.

Jednak człowiek, którego tytułowano „Świętym Panem” albo „Mistrzem” i któremu kłaniano się w pas, minął ich obojętnie, nie zaszczyciwszy żadnego z obecnych nawet spojrzeniem, po czym zatrzymał się nad rzeką i odwrócony do swoich kompanów plecami, zaczął opróżniać pęcherz. Struga moczu, jaką rozpiął w powietrzu, wygięła się w imponujący łuk kończący się w wodzie daleko od brzegu.

– Leje jak wół do karety – stwierdził pod nosem Moliwda, nie wiadomo: z podziwem czy z przekąsem.

– Szybciej jak sam Mojżesz albo król Dawid – sprostował z dumą któryś z mężczyzn w tureckich strojach.

Tymczasem człowiek w czerwonym dolmanie wypróżnił pęcherz do końca, strząsnął ostatnie krople, następnie podciągnął szerokie portki, zapiął się aż po szyję i odwróciwszy się w stronę swoich kompanów, zakomenderował:

– Zbierajcie się, idziemy do Polski. Mordochaj, Elisza, łódź.

Po tych słowach dwaj wskazani z imienia mężczyźni zaczęli natychmiast zdejmować gałęzie maskujące przycumowaną w pobliżu łódkę, natomiast pozostali rzucili się gasić ognisko i zacierać nogami ślady obozowiska.

Wkrótce potem Nachman, Mordochaj i Elisza zajęli miejsca w łodzi, zaś Święty Pan, zanim do nich dołączył, pożegnał się kolejno ze wszystkimi, którzy zostawali w Turcji.

Szczególnie serdecznie uściskał najstarszego z nich, niewidomego starca, którego przygarnął do piersi, mówiąc mu:

– Nussen, jakby coś poszło nie tak, dam wam znać. Ale szukajcie mnie także wtedy, gdybym długo nie wracał i nie dawał znaku życia. Jestem pewny, że znajdziecie mnie bez trudu.

– *Evet, Effendi* ⁴. Wiesz, że każde twoje życzenie jest jak przykazanie Tory – odpowiedział starzec i podjął go pokornie za kolana.

W chwilę później łódź, do której wsiadł również Moliwda, odbiła od brzegu i roztopiła się w gęstniejącej coraz bardziej szarości.

▪

Polska przywitała ich nieprzeniknionym mrokiem i głuchą ciszą. Ledwie jednak Święty Pan postawił stopę na lądzie, w pobliskich krzakach rozbłysło nagle światło pochodni, a po nim kilkanaście innych. W chwilę później z zarośli wypadło ze trzydzieści postaci w grubych szubach i kozuchach ponarzucanych na długie chałaty oraz w baranich bądź lisich czapach na głowach. Krzycząc na wypródki: „Przybyłeś, Panie!”, „Nareszcie!”, „Witaj!”, „Niech Święty Jedyń będzie błogosławiony!”, „Hosanna!”, „Bądźże pochwalony, Mistrzu!” i „Już się baliśmy, że nie przybędziesz!”, rzuciły się ku przybyszowi, by zaledwie po paru krokach paść przed nim na kolana z szeroko otwartymi ramionami bądź z błagalnie wyciągniętymi ku niemu rękami.

– Ano, przybyłem, moi kochani – oznajmił Święty Pan po polsku, a potem skinął na Moliwdę, żeby go tłumaczył, i przeszedł na turecki, w którym czuł się najswobodniej: – Przybyłem, chociaż długo nie mogłem się zdecydować.

– A to dlaczego, Mistrzu? – zapytał ktoś z tłumu.

– Dlatego, że nie wiedziałem, czy temu podołam, ani nawet czy powinienem iść do Polski, czy raczej do Rosji. Aż zostałem przekonany.

– Przekonany? Jak? Przez kogo?

– Zwyczajnie. Miałem ci ja w domu w Smyrnie sekretny alkierzyk, do którego trzy razy na dzień zakradałem się tak, że i żona moja o tym nie wiedziała. I tam, kładąc na siebie znak krzyża z tymi słowy: „Bóg Abrahama, Bóg Izaaka, Bóg Jakuba”, padałem na kolana i prosiłem Pana Boga z płaczem, żeby mnie oświecił. No i Pan Bóg raczył mnie wysłuchać.

Jednego razu przyśniło mi się, jakbym słyszał głos z nieba: „Pójdiesz ty do Polski i tam wielu ludzi pociągniesz do wiary świętej”. Alem ja na ten sen nic nie zważał. Drugiej nocy toż samo mi się śniło, alem ja się z tego śmiał, zwłaszcza że nie miałem po co do Polski jechać, bom się w Smyrnie dobrze miał.

W tydzień po tych snach zachorowałem ciężko i w tej chorobie pokazał mi się człowiek jakiś z brodą siwą i rzekł mi: „Jeśli pójdiesz ty do Polski, będziesz

zdrów, a jeżeli nie pójdziesz, to umrzesz”. Ja, bojąc się śmierci, odpowiedziałem mu, że pójdę, ale w sercu moim dalej myślałem, że nie pójdę, bo mi się nie chciało opuszczać żony i fortuny mojej.

Przyszedłem zatem do zdrowia i o tym widzeniu więcej nie myślałem.

W trzy niedziele potem zachorowałem znowu bardzo ciężko, straciłem mowę i mieli mnie już za konającego. Krewni i koligaci moi z domu powychodzili, nie chcąc patrzeć na moją śmierć. Przykładano mi pierze do nosa, chcąc wiedzieć, czy jeszcze dycham, ale i to ani drgnęło, jakom potem od innych usłyszał. Oczy mi zamknięto, nogi powyciągano, jak to umierającemu. Ci zaś, którym cokolwiek powiedziałem wcześniej o Trójcy Świętej, cieszyli się serdecznie, że umieram. Wtem pokazał mi się inny Człowiek piękny, dużo młodszy od poprzedniego, choć też z brodą jak się patrzy, a kiedym oczy otworzył, to mi się nagle w nich rozświeciło.

I rzekł do mnie ów Człowiek młodszy: „Pójdziesz ty do Polski, zobaczysz!”. Jam nic nie odpowiedział, tylko się odwrócił twarzą na drugą stronę, ku ścianie, ale i tam znowu, przy ścianie, zobaczyłem tegoż samego Człowieka i bardzo się zalałem. On zaś, wzięwszy mnie za rękę, tam gdzie doktory puls macają, rzekł mi dwa razy te same słowa: „Wstań, mądry Jakubie!”.

Jam się na to porwał i na drugą stronę ku izbie przewróciłem się, i tam zobaczyłem tegoż samego Człowieka młodszego stojącego nagiego, z rękoma na krzyżu rozciągniętymi w wielkim świetle, z ranami w boku, rękach i nogach, i w koronie cierniowej na głowie.

Zobaczywszy go, porwałem się z łóżka i padłem przed nim na kolana, a on mi tak mówił: „Posłałem dwa razy do ciebie Eliasza, ale tyś nie chciał go słuchać; otóż teraz sam do ciebie przyszedłem. Nie bój się, Jakubie. Czy chcesz, czy nie chcesz, pójdziesz ty do Polski”.

A jam odpowiedział: „Ale jakże ja pójdę do Polski, kiedy język ledwie rozumiem, kraju nie znam, bom dzieckiem z niego wyjechałem, a w Turcji mam i fortunę, i żonkę młodą, która ze mną nie będzie chciała iść?!”.

A on odparł na to: „Idź ty wprzód, a ona potem pójdzie. Dam Ja tobie znak, przez który będziesz poznawał, kto do wiary świętej pójdzie i kto się do niej nadaje; a choć będziesz różnie próbowany i prześladowany, nie bój się nic a nic, i miej ufność we Mnie. Kiedy ci będzie ciężko, będziesz widział przed sobą Eliasza”.

To powiedziawszy, Pan Jezus, bo to On był, zniknął i jużem go natenczas więcej nie widział. Było wtedy ludzi niemało w tej izbie, gdzie się to działo, ale nie widzieli ani nie słyszeli tego, com ja widział i słyszał, ale jakem ja się z łóżka porwał i na kolana upadł, rozumiejąc, że ja wariuję, z izby pouciekali, i przy oknach stojąc, słyszeli, że ja gadał, ale zrozumieć nie mogli – co. Jam zaraz potem zdrowym wstał i – jakby nigdy nic – jadłem, piłem, chędożyłem, jak w doskonałym zdrowiu.

– Niech będzie, Panie, przyszedłeś do Polski, i dobrze. Tylko po co? – zawołał niezbyt uprzejmie ktoś, komu panująca ciemność najwyraźniej dodawała odwagi. – Z tym Jezusem, krzyżem i Trójcą to chyba jakaś hucpa?

– Gdybyście wiedzieli, po co ja przyszedłem do Polski, tobyście łzami oblewali tę ziemię, która was nosi i znosi. Zaprawdę, powiadam wam, iż niebawem przyjdą do mnie panowie i książęta, a nawet cesarze, i po kilka niedziel stać będą przed moimi drzwiami, byleby tylko mówić ze mną. A kto pójdzie za mną, to i przed jego drzwiami postoją, aż niejednemu z nich od tego stania nogi w dupę wejdą albo dostanie na nich odcisków. Teraz jednak, tak im, jak i wam, mogę tylko powiedzieć, że przyszedłem do Polski, bo grunt podniesienia jest właśnie w Polsce. Od zawsze i na wieki wieków! Bo to tutaj będzie zbudowany piękny budynek, jakiego człowiek żaden nie widział jak świat światem, to tutaj otworzy się Drzewo Życia i to tutaj ukryte jest dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć części dobra całego świata, a tylko jedna część tysiąca mieści się gdzie indziej...

– Akurat, srali muchy, będzie wiosna! – przerwał mu ten sam głos co przedtem, ale Mistrz nie dał się wytrącić z równowagi.

– A ty razem z nimi, w portki i na rzadko – odpowiedział ukrytemu w mroku oponentowi i kontynuował: – Co więcej będzie, tego nie mogę wam powiedzieć. W każdym razie nie teraz. Bo każda rzecz ma swój czas i swoją kolej, i nic nigdy nie dzieje się na odwrót. Także kiedy się kopie studnię, to najpierw musi wyjść woda gliniasta i błotnista, zanim się dojdzie do wody słodkiej i czystej. Ale my do niej dojdziemy, zapewniam was, choć jeszcze nie dzisiaj. Dzisiaj, kto wierzy w Boga i kto uwierzył w Pierwszego i w Drugiego, niech też uwierzy we mnie i pójdzie za mną.

– Za mną, to znaczy dokąd? – odezwał się po raz trzeci niewidoczny polemista.

– Najpierw do Korolówki, a potem się zobaczy.

– Do Korolówki! Do Korolówki! – podchwycił natychmiast tłum.

– A pies wam wszystkim mordy lizał! Idźcie sobie w pizdu, nie do Korolówki! – zachnął się w mroku nocy ten sam uparty adwersarz co zawsze i nie czekając na reakcję, jaką mogły wywołać jego nieprzystojne słowa, czmychnął czym prędzej w najbliższe chaszczce.

▪

Przez cały styczeń na pożyczonych koniach i furmankach, a często po prostu pieszo, przemierzał Święty Pan z gromadką uczniów kręte drogi między żyznymi polami, łagodnymi wzgórzami, wapiennymi skałami i głębokimi jarami Podola, nawiedzając miejscowości, gdzie mieszkało najwięcej Żydów. Był w Korolówce i w Iwaniu, był w Jezierzanach i w Busku, zaszedł do Rohatyna i do Nadwórnej, odwiedził Kopyczyńce i Dawidów, nie pominął również tak świetnych grodów, jak Buczacz, Brzeżany, Gliniany, Zbaraż czy Podhajce.

Oczywiście w tak krótkim czasie nie mógł zawitać wszędzie, ale żeby go posłuchać, ludzie schodzili się i zjeżdżali także z Satanowa, Jazłowca, Husiatyna, Przemyślan, Smotrycza, a nawet z Kamieńca Podolskiego i z samego Lwowa.

Wszędzie, gdzie zdarzyło się Mistrzowi przemawiać – czy to do tłumów stronników, czy to do przypadkowych słuchaczy na targu albo przed bożnicą – przede wszystkim słał Świętego Jedynego, tłumacząc przy tej okazji, że choć Święty Jedyny, jako Jedyny, może być tylko jeden, to jednak występuje On w trzech postaciach, a jeśli przyjdzie Mu taka ochota, może też przyjąć naturę ludzką. Wysławiwszy Go jak należy, przechodził następnie do chwalenia Jego dwóch najlepszych wyznawców (w zależności od miejsca i okoliczności wymieniając lub nie wymieniając ich nazwiska), to znaczy Pierwszego, czyli przesławnego Sabbataja Cwi, który otworzył dla prawowiernych religię Izmaela, by mogli uwolnić tkwiące w jej skorupie iskry świętości, a także Drugiego, to znaczy nie mniej sławnego od Sabbataja Baruchję Ruso, który odkrył dla nich chrzest i krzyż, aby mogli przyswoić sobie całą zawartą w nich prawdę. Na koniec zapowiadał, że już wkrótce trzy wielkie religie zostaną przez Mesjasza sprzęgnięte niczym rydwan w jedno, prawdziwe i pełne objawienie, czyli Torę Łaski, która w zbawionym świecie zastąpi Torę Prawdy, objawioną przed wiekami Mojżeszowi.

Tym spośród słuchaczy, którzy protestowali przeciwko wzmiankom o chrzcie i o krzyżu, wyjaśniał cierpliwie, że chrzest ma przecież wiele wspólnego z żydowską mykwą, zaś tajemnica krzyża zawarta jest od zawsze w hebrajskiej literze *alef*, symbolizującej Pierwszą Przyczynę oraz wszelkie inne pierwociny, i będącej zarazem boskim inicjałem, od którego zaczyna się imię Boga *Elohim*, objawione już w pierwszym wersie Tory. Wskazywał im również, że zgodnie z tym, co można przeczytać u Izajasza: *Ja jestem pierwszy i Ja ostatni; i nie ma poza mną Boga*⁵, *alef* razem z literą *tau*, ostatnią w żydowskim alfabecie, dowodzą wyraźnie, iż Bóg jest Początkiem i Końcem wszystkiego, i że właśnie dlatego od litery *alef* zaczynają się wszystkie najważniejsze hebrajskie słowa odnoszące się zarówno do Stwórcy – Ojciec (*Av*), Jeden (*Echad*), Miłość (*Ahavah*), Wiara (*Emunah*), Światło (*Aur*), Prawda (*Emet*) czy Błogosławiony (*Ashrei*) – jak i do pierwszego na świecie człowieka (*Adam*). A jeśli audytorium nadal wyrażało swoje niezadowolenie, Święty Pan dodawał pojednawczo, że prawdziwa wiara przekracza wszystkie religie, co wielu krzykaczom odbierało mowę znacznie skuteczniej niż najbardziej uczone wywody.

Prawie wszędzie ludzie pytali Mistrza, dlaczego stara i pocziwa Tora Mojżeszowa, sprawdzona przez tyle wieków, miałyby zostać zastąpiona przez jakąś Torę Łaski, na co on odpowiadał, że będzie to konsekwencją bałwochwalstwa Izraela pod Górą Synaj, bo kiedy Mojżesz ujrzał, że Żydzi zdradzili przymierze z Bogiem i składają ofiary złotemu cielcowi, rozbił otrzymane właśnie od Stwórcy kamienne tablice, zawierające prawo wolności dla zbawionego świata, i zastąpił je innymi, fałszywymi, podsuniętymi mu usłudźnie przez anioła śmierci Samaela. Mistrz dowodził następnie, że te szatańskie fałszywe tablice trzymają do dzisiaj lud Boży w okrutnej niewoli. Na szczęście już niedługo, bo Mesjasz przywróci niebawem obowiązywanie tych pierwszych, prawdziwych tablic i ustanowi na ziemi królestwo wolności, gdzie wszystko, czego zabrania Tora Mojżeszowa, będzie dozwolone, a wszystko, na co zezwala, surowo zakazane.

Wtedy pytano oczywiście, kiedy ów Mesjasz przyjdzie, kim będzie, jak będzie wyglądał i jakie będą mu towarzyszyć znaki i cuda, na co Święty Pan odpowiadał: „Nie tylko wy uważacie, że przyście Mesjasza będą poprzedzać różne znaki i cuda, a on sam objawi się w całej potędze niczym jakiś ziemski mocarz. Ale to gównie prawda. Mesjasz pojawi się na tym świecie jako ktoś niepozorny i całkiem nieznan, będzie żył i cierpiał jak każdy człowiek, a nawet

upadnie i zostanie potraktowany jak zwykły złoczyńca. I dopiero kiedy się z tego upadku podniesie, wszyscy dostrzegą w nim tego, którego zapowiadali prorocy. Bo powstanie z upadku jest najważniejsze. Gdyby nie upadł i nie powstał, nie byłby to żaden Mesjasz, tylko zwyczajny oszust. I pamiętajcie, że będzie on miał nad wami absolutną władzę: kogo usprawiedliwi, ten będzie usprawiedliwiony, a kogo obwini, ten będzie winnym na wieki. Jeśli zaś chodzi o jego wygląd, to może wyglądać jak każdy z nas”⁶.

Zazwyczaj po tych słowach pytano go również, czy to on sam nie jest przypadkiem owym Mesjaszem, którego tak śmiało zapowiada (w wersji złośliwej „stręczy”). Tak było na przykład na targu w Glinianach, gdzie Mistrz opowiadał o przyjściu Mesjasza oraz rzucał gromy na Talmud i zachwalał pod niebiosa Kabałę, a zwłaszcza księgę *Zohar*, i gdzie miejscowy rabin, nudzący się w swoim kramie, zapytał go o to publicznie.

– Ja jestem tylko sługą Bożym cierpiącym u bram Rzymu, wśród obcych i żebraków, z powodu grzechów Izraela – odpowiedział mu skromnie Święty Pan.

Na co gliniański rabin odparł rozbawiony:

– Na jedno wychodzi, Turku. Ale tak czy owak, nawet jeśli jesteś tym, za kogo się podajesz, możesz sobie tę gadkę w dupę włożyć. Bez cudów nikt ci nie uwierzy, nawet gdyby z tego powodu miał nie zasłużyć na życie wieczne. Jak chcesz kogoś przekonać, nie ma rady, musisz pokazać, co umiesz. Zamień na przykład moją wagę w złoto, bo z handlu naprawdę nie idzie wyżyć.

– A jak masz na imię i czym handlujesz? – zainteresował się Mistrz.

– Jakub. A handluję wszystkim, od sznurka po śledzie. Mam nawet trutkę na szczury.

– To zważ mi funt śledzi, Jakubie.

Rabin odważył śledzie, zawinął je w liść chrzanu i podał je Świętemu Panu, który zapłacił sumiennie za zakup i rzekł:

– Bardzo chętnie zamienię tę wagę w złoto, ale najpierw ty, Jakubie, odmień swoją duszę i przestań na tej wadze oszukiwać.

– Co?! Ja oszukuję?! – zaperzył się rabin.

– A nie? Ludzie, zważcie te śledzie ponownie i sprawdźcie jego odważniki – poprosił Mistrz.

Otoczającym ich ludziom nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Rzucili się ważyć śledzie na innej wadze i sprawdzać odważniki rabina, a potem zaczęli

okładać go pięściami, krzycząc wniebogłosy: „Juści, że oszukuje, psubrat jeden!”.

– Zostawcie go, wystarczy – polecił Święty Pan po dłuższej chwili, kiedy uznał, że nieszczęsny kramarz dostał już za swoje. – Jak widzicie, wszystko jest możliwe, ale po kolei, w swoim czasie i nigdy na odwrót. A ty – zwrócił się do rabina, któremu z nosa kapąła krew – jeśli chcesz się uwolnić od sznurka i śledzi i mieć wszystko, co tylko jest na tym świecie, radzę ci, pójdź za mną. Bo ja przyszedłem tutaj ukryty jak złodziej, żeby cały mój lud wyciągnąć z tego kraju kłopotu i boleści i wszystkich tych, co za mną pójdą, poprowadzić do Ziemi Obiecanej szybciej i bezpieczniej, niż zrobił to Mojżesz, który wywiódł naszych ojców z Egiptu, z domu niewoli. A jeśli nie chcesz iść za mną, to przynajmniej bądź uczciwy.

Toteż, chociaż Święty Pan unikał publicznie nazywania siebie Mesjaszem, takie zdarzenia jak w Glinianach, czy choćby w Podhajcach – gdzie młodemu wikaremu miejscowego kościoła św. Trójcy, który zwrócił się do niego zapytaniem, jak się ma to, co głosi, do misji mesjańskiej Jezusa, odparł hardo: „W każdym miejscu łupina poprzedza owoc”⁷ – sprawiały, że coraz więcej ludzi tym bardziej w nim Mesjasza widziało.

Podobnie było z cudami i znakami, od których zawsze się odżegnywał, ponieważ coraz liczniejsi z tych, co kroczyli jego śladami bądź przysłuchiwali się jego wystąpieniom, nabierali przekonania, że jednak je czyni, chociaż bez rozgłosu i bez przywiązywania do nich większej wagi. Ich zdaniem świadczyła o tym na przykład historia z Brzeżan, gdzie pewnej handlarce ganiącej go na targu za to, że pokazał się tam w towarzystwie dwóch podejrzanych dzierlatek, które wybrał spośród swoich najładniejszych zwolenniczek i które przedstawił obecnym jako swoje „strażniczki i obrończynie”, odpowiedział, że ma ona w kieszeni fałszywego tynfa. A kiedy handlarka się tego wypierała, rzekł do niej: „Zobacz sama, że go masz, wszak dzisiaj rano dostałaś go od szlachcica, który z tobą grzeszył”. Na co ta, znalazłszy u siebie fałszywy pieniądz, zakrzyknęła wniebogłosy: „Błogosławieni ojcowie, co takich synów płodzą! Twoje słowa są prawdziwe, Panie!”⁸. Jego zdolności cudotwórczych miała także dowodzić przygoda ze złodziejem, który zapuścił rękę do jego sakwy na jarmarku w Rohatynie i nie mógł jej już stamtąd wyciągnąć. Mistrz, ku uciesze tłumu gapiów, przeprowadził go wtedy za sobą przez całe miasto, a kiedy go wreszcie

uwolnił, zawstydzony złodziej padł przed nim na kolana i zawołał: „Bodajby mi ręka uschła, jeśli znowu wyciągnę ją po cudze!”.

A jednak słowa i czyny Pańskie nie wszystkim się podobały. W Dawidowie miejscowy rabin nazwał go kłamcą i heretykiem i przypomniał wszem wobec, że Sabbataj Cwi i jego wyznawcy byli już wielokrotnie obkładani klątwą, w tym także przez polski Sejm Czterech Ziem, po czym wyklął ich jeszcze raz osobiście. W Podhajcach i w Busku obrzucono Mistrza kamieniami, w Nowosiółce poszczuto psami, a w Zbarażu wyprowadzono go siłą za bramę miejską, nie szczędząc mu przy tym obelg i poszturchiwań.

Mimo to prawie wszędzie przyłączali się do niego nowi uczniowie – tu jeden, tam dwóch, gdzie indziej trzech albo czterech – z których wielu już na zawsze z nim pozostało.

I tak, w Nadwórnej przystali do niego Lejb i Eliasz Krysowie oraz Moszko Izraelowicz z synem Dawidkiem, w Kopyczyńcach Chaim Kopyczyński, w Iwaniu Lejb Szajewicz Rabinowicz, w Busku Lejzor Herszkowicz, Icko Motywicz i Moszek Dawidowicz ze Smotrycza, w Rohatynie Lisa i Szloma Rohatyński z małoletnimi synami Lejbką i Herszkiem, w Jezierzanach Jeruchim Lipmanowicz i Chaim Warszawski, w Brzeżanach Moszek i Lejbko Abramowicze, Nusen Aaronowicz ze Lwowa i Herszko Szmulewicz z Kamieńca Podolskiego, w Zbarażu Zelig i Lejbko Szlomowicze, a w Glinianach Notko Fałek Majorowicz, Szymon i Jankiel Lanckoroński z Lanckorunia oraz Lejb i Herszko Jankielewicz z Satanowa.

Niestety nie wszyscy idący za Mądrym Jakubem i wołający do niego „Panie! Panie!” albo „Mistrzu! Mistrzu!” byli naprawdę jego zwolennikami. Wśród tłumów pragnących pogłębiać swoją wiarę i razem z nim zbawiać świat nie brakowało także jego przeciwników oraz szpiegów nasyłanych przez podolskich rabinów, uważających go za groźnego wichrzyciela i czyhających tylko na jego potknięcie.

Mistrz przekonał się o tym boleśnie w Lanckoruniu, gdzie trafiwszy akurat na jarmark, nakupił kiełbasy, konfitur i gorzałki i częstował nimi na ulicy wszystkich napotkanych Żydów, głosząc im przy okazji naukę, że to nie człowiek jest dla Prawa, ale Prawo dla człowieka. Bo kiedy zmęczony postanowił wreszcie udać się na spoczynek w towarzystwie Nachmana, Mordochaja, Eliszy i Moliwdy oraz kilku swoich ponętnych „strażniczek i obrończyń”, nie zauważył, że w ślad

za jego gromadką podążają chyłkiem dwie przygięte do ziemi postacie, kryjące się umiejętnie pośród drzew nad Zbruczem.

Gdy cała kompania dotarła na miejsce, do położonego na uboczu domu niejakiego Lejbusza ben Sabbataja, a Święty Pan i jego towarzysze zamknęli się w nim na skobel, obie wspomniane postacie przyskoczyły natychmiast do zawartych na głucho okiennic i chciwie przystawiły do nich uszy.

Z początku z wnętrza domu dochodził tylko niewyraźny gwar stłumionych głosów, ale z czasem, w miarę rozwoju wieczerzy, można już było zrozumieć pojedyncze słowa, a nawet całe zdania. Wkrótce było jeszcze lepiej, bo w chacie robiło się coraz głośniejsze. Ktoś zaintonował jakąś wesołą piosenkę, później następną, podchwyconą zaraz przez kilka gardeł, wreszcie na chóralne śpiewy zaczęło nakładać się rytmiczne klaskanie i przytupywanie oraz piski i chichoty kobiet. Tekst kolejnej przyśpiewki, „Nikogo mi nie żal, tylko Mordochaja: gotował pierogi, oparzył se... nogi”, spowodował, że jeden z podsłuchujących parsknął śmiechem, lecz wesołość szybko mu przeszła, kiedy dostał mocnego kuksańca w żebra od swojego towarzysza, który przypadkiem też miał na imię Mordochaj.

Zaraz potem okiennice, pchnięte mocno od środka, otworzyły się gwałtownie i obie skulone pod oknem postacie ledwie zdążyły przykucnąć. Śpiew, krzyki, klaskanie, śmiechy i kobiece piski buchnęły z domu Lejbusza z taką siłą, że słychać je było z pewnością także po drugiej stronie Zbrucza.

W otwartym oknie pojawił się Mistrz z nagim torsem i błyszczącym od potu obliczem, podtrzymywany przez Nachmana, paradującego również bez koszuli. Mądry Jakub najpierw zaczerpnął głęboko rześkiego powietrza, a potem, jękając się nieco z powodu wypitej gorzałki, wykrzyknął w czerń nocy:

– A właśnie niech się gapią! Niech się gapią, kozojebcy jedni, aż im oczy zbieleją! Zawsze mówiłem, żeby chodzić jawnie!

Po czym beknął i wrócił chwiejnym krokiem do izby.

Obie postacie pod oknem odczekały chwilę, a następnie zajrzały ostrożnie do wnętrza chaty. To, co tam zobaczyły, wywołało na ich twarzach tryumfalny uśmiech.

Na środku izby, na drewnianej ławie, leżała jakaś cycata baba, goła jak ją Pan Bóg stworzył, a wokół niej wirowali w tańcu, drąc się przy tym na całe gardło i wymachując do rytmu butelkami wódki, równie goli jak ona mężczyźni, z których ten i ów opuszczał co jakiś czas taneczny krąg, by pocałować ową

niewiastę w którąś z jej obfitych piersi albo w inną, dowolnie wybraną część ciała. W sąsiedniej izbie, sądząc z dolatujących stamtąd jęków i spazmów, musiało się odbywać tęgie chędożenie.

Napatrzywszy się do syta, jedna z podglądających przez okno postaci skinęła głową na drugą, a potem, wobec braku reakcji tamtej, szarpnęła ją za rękaw i po chwili obie zniknęły w ciemnościach, gnając co sił w kierunku miasteczka.

Trzy kwadranse później, gdy zabawa w Lejbuszowej chacie trwała w najlepsze, dom został otoczony przez kilkunastu mężczyzn w chałatach i jarmułkach, z których każdy ścisnął w garści a to orczyk, a to widły, a to jakiś drąg lub siekiere. Dowodzący nimi niski grubas w butach z cholewami odczekał cierpliwie do chwili, gdy nagła wrzawa nad Zbruczem upewniła go, że trzydziestu innych zbrojnych zaatakowało właśnie zwolenników Świętego Pana obozujących nad rzeką, po czym jednym kopnięciem wyłamał skobel u drzwi i na czele połowy swoich ludzi runął do wnętrza chaty.

Pomimo chwilowego zamieszania, krzyków przerażonych kobiet i próby – jednak dość kiepskiej – oporu ze strony mężczyzn, dom został zdobyty błyskawicznie. Wszystkim nagusom przystawiono do piersi widły albo przymierzono do głów siekiery, tych z golców, którzy próbowali się awanturować, powiązano – i dopiero wtedy dowodzący akcją niski grubas w butach z cholewami kazał przyprowadzić do siebie Mistrza.

– Jesteście aresztowani – oświadczył, zataczając ręką krąg obejmujący całą chałupę.

– Aresztowani? – powtórzył Święty Pan. – A za co?

– Za łamanie Prawa i publiczną sromotę.

– Kimże ty jesteś, żeby nas aresztować? – zdziwił się Mądry Jakub.

– Nazywam się Gerszon Nachmanowicz i jestem tu arendarzem. Pójdziecie wszyscy do aresztu, a za parę dni pod sąd rabinacki.

– Wszyscy na pewno nie! – odezwał się z kąta Moliwda mocujący się z rękawem swojego żupana. – Jestem szlachcicem i mam w dupie wasze sądy.

Co powiedziawszy, przerzucił przez ramię hajdawery i tak jak stał, bosy i nagi od pasa w dół, ruszył z butami w rękę w kierunku wyjścia. Nie doszedł jednak nawet do środka izby, gdy któryś z napastników chwycił go za ramiona i osadził krzepko na miejscu.

– Łapy przy sobie, parchu, bo pożałujesz! – ostrzegł go wściekle Moliwda.

– Mówi prawdę – rzekł Mistrz. – Ślepi jesteście? Chyba widać, że nie jest obrzezany. To krewniak jaśnie wielmożnej pani Katarzyny z Kossakowskich Potockiej, kasztelanowej kamienieckiej, więc jeśli nie chcecie mieć kłopotów, radzę wam go puścić, i to szybko.

Arendarz Gerszon rzucił okiem na przyrodzenie Moliwdy, zmełł w ustach jakieś przekleństwo, a potem polecił:

– Puść go, Naftuła. Jeden mniej czy więcej, nie ma znaczenia. Grunt, że reszta się nie wywinie.

– Czyżby? – uśmiechnął się Święty Pan. – Śmiem wątpić.

– Śmiesz wątpić?! – zasyczał złowrogo Gerszon i podsunął mu pod nos trzymany w ręku orczyk. – Powąchaj to, Mesjaszu. Jak nie pójdiesz po dobroci, to cię powlecziemy.

– W takim razie pójdę po dobroci – zgodził się Mistrz i pokazując na swoje wciąż sterczące prącie, dodał: – Ale dajcie mi chociaż okryć ptaka.

– Raczej ptaszka – zauważył z pogardą właściciel butów z cholewami, po czym ryknął na całe gardło: – Dalej, jazda, wszyscy ubierać się i w drogę! A ty, Naftuła, przetrząśnij ich rzeczy i cały dom.

▪

Ledwie zatrzymani w domu Lejbusza oraz kilkunastu stronników Świętego Pana schwytych nad rzeką (reszta zdołała uciec) zostali osadzeni pod strażą ludzi Gerszona w nieużywanym od dawna i pozbawionym nawet sprawnych rygli areszcie, zjawił się tam starosta Romanowski, najwyższy rangą – bo też i jedyny – przedstawiciel Najjaśniejszej Rzeczypospolitej w Lanckoruniu.

– Co się tu dzieje, Gerszon?! – zapytał przerażony na widok tłoku, jaki nagle zapanował w obu na w pół zrujnowanych celach miejskiego więzienia. – Dlaczego trzymasz pod kluczem tych ludzi?

– Nie ludzi, tylko heretyków – wyjaśnił flegmatycznie Gerszon. – W dodatku żydowskich.

– Że żydowskich, to sam widzę, nie jestem ślepy, zresztą skąd miałbyś tu wziąć innych? Ale ja się pytam, jakim prawem ich więzisz. Wypuść ich natychmiast, nie chcę tu żadnych awantur.

– Nic z tego, panie starosto. Trzymam ich na mocy praw i przywilejów, jakimi w Polsce cieszą się Żydzi od czasów świętej pamięci króla Kazimierza

Wielkiego. Żydów, także w sprawach o herezję, mogą sądzić tylko Żydzi, więc cała ta hałastrą pójdzie pod sąd rabinacki.

– A cóż oni takiego zrobili?

– Podważali publicznie zasady religii mojżeszowej, a w domu Lejbusza oddawali się zbiorowej rozpuście, co, jeśli się nie mylę, jest również sprzeczne z religią chrześcijańską.

– Czy to prawda? – zmarszczył groźnie brwi pan Romanowski.

– Ależ skąd! – zaprzeczył zza krat Eliza. – My tylko studiowaliśmy Torę.

– Uważaj, żebym ci mordy nie rozkwasił! – Gerszon rzucił się w stronę celi.

– Dość tego! – złapał go za ramię starosta. – Powiedziałem, że nie chcę tu żadnych awantur. Macie prawo ich sądzić, to ich sądźcie, ale pamiętajcie, że musicie ich także karmić i poić. I żadnego bicia! A poza tym módlcie się wszyscy, żebym nie miał przez was kłopotów!

Pan Romanowski nie przypuszczał nawet, że jego słowa okażą się prorocze.

Kilka dni później, gdy rąbał drewno na podwórku, w jego obejściu zjawiono się trzech konnych Turków prowadzących na rzemieniach cztery luźne wierzchowce. Prezentujący się najokazalej bisurmanin, muskularny wielkolud o wełnistym zaroście, miał na sobie wysokie nakrycie głowy zakończone z tyłu zawojem zakrywającym mu byczy kark, janczarski uniform, pistolety w olstrach, szablę u boku, a zza pleców wystawała mu jeszcze strzelba z długą lufą obszytą aksamitem ozdobionym frędzlami. Dwaj pozostali – jeden brzuchaty z czarną rozłożystą brodą w kształcie łopaty, a drugi stary i siwy z brodą do pasa – nosili zwykłe baniaste turbany i nie mieli przy sobie żadnej broni, co w przypadku tego drugiego o tyle nie mogło dziwić, że sprawiał wrażenie kompletnie ślepego.

Na widok umundurowanego i uzbrojonego janczara, nieoglądanego na Podolu od prawie sześćdziesięciu lat, kiedy to po pokoju karłowickim Turcja zwróciła Rzeczypospolitej te zagarnięte ćwierć wieku wcześniej terytoria, pan Romanowski odruchowo ścisnął w rękę siekiere i na wszelki wypadek uniósł ją na wysokość głowy, na co brzuchaty Turek roześmiał się głośno i zwrócił się do niego w najczystszej polszczyźnie:

– Pan starosta Romanowski? Jestem dragomanem⁹ tego oto szlachetnego tureckiego oficera Osmana-agi, posła do waszmości od jaśnie wielmożnego baszy chocimskiego. Podobno przetrzymuje pan tu bezprawnie poddanych Wysokiej Porty?

– Ja? Poddanych Wysokiej Porty? – pod panem starostą ugięły się nogi.

– I owszem. Aresztowanych trzy dni temu w domu niejakiego Lejbusza ben Sabbataja, wyznania mojżeszowego.

– To nie ja ich przetrzymuję, tylko Żydzi.

– Żydzi? A kto tu rządzi?

– Ja... – pan Romanowski poczuł, że zasycha mu w gardle.

– Czyli dobrze trafiliśmy. W takim razie, za pańskim pozwoleniem, panie Romanowski, oddam teraz głos tureckiemu posłowi, szlachetnemu Osmanowi-adze – brzuchaty Turek skłonił się przed janczarem, a potem zaczął tłumaczyć jego słowa.

– Panie starosto – przemówił wyniośle turecki olbrzym – chciałbym waszmości przekazać, że mój potężny pan, jaśnie wielmożny basza chocimski, jest dogłębnie oburzony aktem bezprawia i przemocy, którego ofiarą padli w Lanckoruniu przed trzema dniami niewinni poddani Porty Otomańskiej. Choć Turcja nie zwykła puszczać płazem podobnych zniewag, to jednak w tym przypadku, mając na względzie wyjątkowo dobre i przyjazne stosunki, jakie łączą ją od dawna z Najjaśniejszą Rzeczpospolitą, mój potężny pan jaśnie wielmożny basza chocimski gotów jest zapomnieć o tym nieprzyjemnym incydencie, o ile, powodowany tymi samymi względami, wykaże pan dobrą wolę i wyda rozkaz natychmiastowego uwolnienia tureckich poddanych bezprawnie przetrzymywanych w tutejszym więzieniu. W przeciwnym razie musi być pan świadomy, że mój potężny pan, jaśnie wielmożny basza chocimski, nie będzie miał innego wyjścia, jak powiadomić o tym przypadku agresji sułtański Dywan, który, o ile nawet nie uzna go za wystarczający *casus belli*¹⁰ między naszymi krajami, to z całą pewnością podejmie decyzję o złożeniu odpowiedniego najuroczystszeo protestu w Warszawie na ręce Jego Królewskiej Mości Augusta III, oby Allah obdarzył go swoim błogosławieństwem i długim panowaniem! Cóż waćpan na to, panie Romanowski?

– Oczywiście zaraz ich uwolnię – zapewnił gorąco starosta. – Jak się nazywają?

– Jakub Frank, Mordochaj ben Elias, Eliza Szor i Nachman z Buska.

– Z Buska? Poddany turecki? – zdziwił się pan Romanowski.

– Różnie się ludziom w życiu układa – potwierdził poseł.

– W takim razie chodźmy po nich od razu.

Przybycie do więzienia starosty w towarzystwie trzech Turków wywołało wielkie zdumienie zarówno pośród aresztantów, jak i ludzi Gerszona, którzy ich

pilnowali. Ale pan Romanowski nie zamierzał się nikomu z niczego tłumaczyć, tylko kazał otworzyć cele i obwieścił donośnie:

– Jakub Frank, Elisza Szor, Mordochaj ben Elias i Nachman z Buska! Dzięki interwencji jaśnie wielmożnego baszy z Chocimia jesteście wolni jako poddani tureccy.

– Co?! – zawołał Gerson Nachmanowicz, jakby go uciął giez. – Nigdy!

– Zamknij się, Gerszon – poradził mu po cichu pan starosta. – Chcesz wywołać wojnę? Proszę bardzo! Ale pamiętaj, że w razie czego ty pierwszy pójdziesz w jasyr, bo sam cię w niego oddam.

Wzburzony Gerszon coś odpowiedział, ale nie było tego słyhać, ponieważ w tym samym momencie inni aresztanci zaczęli krzyczeć: „A my?”, „Co z nami?”, „Kiedy my wyjdziemy?”, „My też chcemy do Turcji!”.

– Wyjdziecie i to zaraz. Zobaczycie! – wzbął się nad ogólną wrzawę mocny głos Świętego Pana, opuszczającego właśnie celę w towarzystwie uszczęśliwionych Eliszy Szora, Mordochaja i Nachmana z Buska.

A potem, ze słowami „*Teşekkür ederim! Tebrikler!*” ¹¹, Mistrz skłonił się trzem Turkom i podziękował po polsku panu staroście.

– Mam nadzieję, że to wszystko i jeszcze raz przepraszam – odpowiedział mu z ulgą pan Romanowski.

– Niezupełnie. Wszystko to będzie wtedy, jak Gerszon odda mi moje osiemset czerwonych złotych, zegarek i złoty pierścień, które zabrano mi podczas rewizji – rzekł na to Mądry Jakub.

– Co?! Jakie osiemset złotych?! Jaki zegarek?! Jaki pierścień?! – zatrzęsł się z oburzenia Gerszon Nachmanowicz. – Kłamie! Bezczelnie kłamie! Był goły jak święty turecki! Naftuła, gdzie ty się, cholero, chowasz?! Powiedzże, na Boga, czy ten człowiek miał przy sobie cokolwiek innego prócz heretyckich książek?

– Nie, miał tylko książki – potwierdził wystraszony Naftuła.

– Dosyć tego! – wtrącił Osman-aga. – Jeśli mam wybierać, komu bardziej wierzyć: człowiekowi, po którego wysłał mnie specjalnie mój potężny pan, jaśnie wielmożny basza chocimski, i z powodu którego może dojść do nowej wojny polsko-tureckiej, czy jakiemuś tam Gerszonowi albo Naftule, to ja wybieram tego pierwszego. Pieniądze, pierścień, zegarek i książki muszą się natychmiast znaleźć! Jako poseł Wysokiej Porty nie pozwolę krzywdzić tureckich poddanych.

– Książki możemy oddać od razu, a reszta się znajdzie – zapewnił go pospiesznie pan Romanowski.

– Znajdzie?! Ciekawe gdzie?! – jęknął Gerszon, chwytając się za głowę.

– To twoje zmartwienie, Gerszon. W razie czego sprzedasz karczmę – uciął sucho pan starosta i zarządził: – Oddajcie zaraz temu człowiekowi jego książki.

– Ale przecież będą jeszcze potrzebne jako dowód w sądzie! – próbował protestować Naftuła, lecz pan Romanowski z miejsca go utemperował:

– Sąd się bez nich obejdzie, a jeśli nie, to mu napiszesz lepsze.

I wtedy odezwał się Święty Pan:

– Chwileczkę, chwileczkę. Chciałbym zaproponować pewien interes, bardzo korzystny dla wszystkich. Otóż pozwolę Gerszonowi zatrzymać moje osiemset czerwonych złotych, mój zegarek i mój złoty pierścień, jeśli on zwolni natychmiast resztę więźniów.

– Zgadzam się! – Gerszon aż podskoczył z radości na tę łaskawą ofertę, która spadła mu z nieba niczym manna, kiedy już zaczynał się pograżać w najczarniejszej rozpacz.

– Ale ja się nie zgadzam. Veto, veto i jeszcze raz veto! – odarł go ze złudzeń pan Romanowski. – Ci ludzie są winni albo niewinni, i o tym rozstrzygnie sąd. Jako starosta Lanckorunia nigdy nie pozwolę na przekupywanie świadków – tu pogroził palcem Świętemu Panu – ani tym bardziej na działania, które w oczach postronnych mogłyby wyglądać na branie zakładników dla okupu! – pogroził jeszcze energiczniej Gerszonowi, który z wrażenia osunął się na ławę z rozdziawioną gębą.

– Trudno, ludzie, sami widzieliście, że próbowałem – usprawiedliwił się Mistrz przed swoimi zwolennikami stłoczonymi za kratą. – Ale nie martwcie się, jeszcze was uwolnię.

W chwilę później czwórka byłych aresztantów, każdy z książką pod pachą, opuszczała lanckoruńskie więzienie. Na progu Święty Pan odwrócił się jeszcze i powiedział:

– No i sam widzisz, Gerszon. Gdybyś miał takiego ptaka jak ja, mógłbyś teraz bujać sobie w przestworzach niczym orzeł i popuszczać spod ogona na cały Lanckoruń. A że masz tylko wróbla, musisz znaleźć moje rzeczy i pieniądze.

Kiedy Lanckoruń pozostał za ich plecami, siedmiu jeźdźców zmierzających w stronę tureckiej granicy zatrzymało się i wtedy brzuchaty Turek jednym szarpnięciem pozbył się czarnej brody w kształcie łopaty.

– Gdyby nie twój głos, nigdy bym cię nie poznał, Moliwda – zaśmiał się Mistrz i uściskał go serdecznie. A potem, wzięwszy w ramiona ślepego starca,

zapytał: – Skąd, Nussenie, wystraszyliście tego Turka? Przecież to zwykły janczar, najwyżej *czausz*¹², nie żaden aga.

– Jak to skąd? Z Chocimia – uśmiechnął się starzec. – Mogliśmy także wynająć agę, ale prawdziwy chciał pięćdziesiąt dukatów. Temu wystarczyło dziesięć.

W związku z powyższym Święty Pan uściskał również trzeciego Turka, w jego ojczystym języku dziękując mu raz jeszcze za pomoc.

Kiedy ruszyli dalej, odezwał się Nachman:

– Powiedz mi, Panie, czy ci durnie naprawdę ukradli ci osiemset czerwonych złotych, zegarek i złoty pierścień? Nie wiedziałem, że masz aż taki majątek.

– Nie, tylko dwadzieścia, ale i to chyba wystarczy? – odparł spochmurniały nagle Mistrz. – I mam nadzieję, że im to jeszcze wyjdzie bokiem.

¹ Rz 11,25-26 – wszystkie dokładne cytaty z Pisma Świętego według *Biblii Tysiąclecia*, wyd. IV (HTML), Poznań 1998.

² Za zasługę (fr.) – najwyższe pruskie i niemieckie odznaczenie wojskowe (do 1918 r.), ustanowione przez Fryderyka Wielkiego w 1740 r. Dziś cywilne.

³ Raj Żydów (łac.).

⁴ Tak, Panie (tur.).

⁵ Iz 44, 6.

⁶ Za: Jan Doktor, *Śladami Mesjasza-Apostaty. Żydowskie ruchy mesjańskie w XVII i XVIII wieku a problem konwersji*, Wrocław 1998, s. 49.

⁷ *Księga Słów Pańskich, ezoteryczne wykłady Jakuba Franka*, opr. Jan Doktor, Warszawa 1997, t. II, s. 36.

⁸ Za: Aleksander Kraushar, *Frank i frankiści polscy 1726-1816*, Kraków 1895, t. I, s. 70.

⁹ Tłumacz (tur.).

¹⁰ Powód do wojny (łac.).

¹¹ Dziękuję! Dobra robota! (tur.).

¹² Sierżant (tur.).

Rozdział 2

Z POWROTEM DO POLSKI, NAWET PARĘ RAZY

W Turcji Święty Pan długo nie usiedział. Wkrótce znowu przekroczył granicę i na czele grupki najwierniejszych uczniów zaczął wędrować od miasteczka do miasteczka, gdzie zagrzewał swoich stronników do oporu i wzywał ich, by domagali się od władz, tak żydowskich, jak polskich, natychmiastowego zwolnienia swoich współwyznawców z lanckorunskiego więzienia. Nic to jednak nie dało, bo gdzie tylko zebrała się gromadka Pańskich zwolenników, tam zaraz prawowierni Żydzi, często dowodzeni przez miejscowych rabinów, atakowali ich, bili, lżyli i szarpali, a niekiedy nawet zakuwali w kajdany i odstawiali siłą do lokalnego aresztu. Wielu z frankistów podczas uwięzienia doszczętnie ograbiono. Toteż nie mogąc wiele wskórać przeciw tak licznym przeciwnikom, Mistrz zaszył się wkrótce w pogranicznych Kopyczyńcach, skąd mógł w miarę bezpiecznie śledzić dalszy bieg wypadków.

Tymczasem w Lanckoroniu odbył się sąd nad aresztowanymi frankistami. Kiedy trybunał, składający się z czcigodnych rabinów Lanckorunia, Smotrycza i Satanowa i urzędujący na miejskim targowisku w kramie Naftuły, kazał przyprowadzić do siebie podsądnych, założono im na szyje postronki i pośród kuksańców, kopniaków i szyderczych okrzyków: „Krzyż! Krzyż!”, „Trójca! Trójca!”, „No i gdzie jest teraz wasz Mesjasz?”, a w szczególności „Sodoma i Gomora!”, przepędzono bezwstydników główną ulicą miasteczka.

Sam proces trwał bardzo krótko. W charakterze świadków przesłuchano obu mężczyzn podsłuchujących pod oknem Lejbuszowej chaty oraz Gerszona Nachmanowicza. Ich obciążające zeznania potwierdził następnie niejaki Abramek, jeden z uczestników gorszących wydarzeń w domu Lejbusza, skłoniony do wylewności dwudziestoma razami bykowca. W świetle tych zeznań

sąd rabinacki uznał zwolenników Świętego Pana za obmierźłych heretyków i obłożył ich publiczną klątwą, zabronił utrzymywania z nimi wszelkich kontaktów, potępił ich małżeństwa, uznając je za zwykły konkubinat – i na wszelki wypadek zakazał także prawowiernym Żydom, którzy nie ukończyli trzydziestego roku życia czytania księgi *Zohar*. Na koniec zebrany w kramie Naftuły trybunał zaapelował do wszystkich podolskich gmin żydowskich, by gorliwie wyłapywały i bez ceregieli wtrącały za kratki wszystkich kontrtalmudystów, przynajmniej do czasu, aż w ich sprawie wypowie się najwyższy żydowski autorytet w Polsce, czyli Sejm Czterech Ziem, mający niebawem zebrać się w Konstantynowie.

Kiedy wiadomość o sentencji lanckoruńskiego sądu dotarła do Kopyczyniec, Mistrz postanowił przenieść się czym prędzej do Turcji, lecz zanim zdążył wcielić ten zamiar w życie, został zatrzymany i wraz z towarzyszącymi mu uczniami umieszczony w miejscowym areszcie.

Pierwszego dnia uwięzienia głównie pomstował na Żydów, zarzucając im między innymi, że są niczym węże i krokodyle, pomiędzy którymi nie ma żadnej miłości, a tylko wzajemna zazdrość, nienawiść, obmowa i złośliwość, i że ciągle powstają jedni przeciw drugim, by przegryzać sobie z lubością gardła. Już jednak nazajutrz miał widzenie Ducha Świętego, po którym oświadczył zdumionym współwięźniom: „Jak tak, to pójdę do religii chrześcijańskiej i dwunastu ze mną!”¹, a następnie poprosił o spotkanie z miejscowym proboszczem, księdzem Szczepankiewiczem.

Ortodoksyjni Żydzi pilnujący aresztu nie śmieli zlekceważyć podobnej prośby, toteż już godzinę później Jakub Frank mógł oznajmić oderwanemu nagle od obiadu kopyczyńskiemu proboszczowi:

– Ja i moi ludzie siedzimy w tym więzieniu tylko dlatego, że śmiało głosiliśmy Żydom, iż Bóg jest jeden w trzech Osobach i przebywał na świecie w ciele ludzkim, jak również za to, iż uważamy, że Jeruzalem i Świątynia nie będą już odbudowane, Żydzi daremnie oczekują na Mesjasza, a ich Talmud roi się od błędów. Toteż widząc się w tym uciemnieniu, chcemy uciec się pod twoją obronę, mości panie proboszczu, i za twoim pośrednictwem prosić o pomoc cały Kościół Rzymski w Polsce.

– Hmmm... A jakże wam można pomóc? – w głosie ks. Szczepankiewicza dało się wyczuć sceptycyzm.

– Na początek postarajcie się zebrać kilkuset rabinów i dwudziestu czterech biskupów, byle mądrych i uczonych. A także sześciuset panów i kawalerów najoświecieńszych. I niechaj owi rabini dysputują ze mną przed całym ludem oraz przed tymi panami i biskupami, a ja tylko poproszę jedno siedmioletnie dziecko, żeby ich spytało o wykład jednego wiersza, który każę mu przeczytać. Stawiam głowę, że żaden z nich nie da go rady objaśnić! Mogę ich też zapytać, dlaczego porządek egipski różni się od reszty świata i dlaczego nie ma tam ani dżdżu, ani wiatru, ani gradu, tylko sam Nil wylewa i napawa pola. Albo dlaczego w dzień jest jasno, a w nocy ciemno lub dlaczego większość zwierząt ma po cztery nogi, kiedy człowiekowi w zupełności wystarczą dwie. Jestem pewny, że żaden z nich nie ma o tym najmniejszego pojęcia, bo tylko mnie te rzeczy zostały objawione². Ale najchętniej podyskutuję z nimi o Mesjaszu i o troistości Boga, tudzież o krzyżu i błędach Talmudu.

– Dobrze, zobaczymy, co da się zrobić – zapewnił go po namyśle proboszcz Szczepankiewicz.

I jeszcze tego samego dnia kazał zaprzęgać konie i ruszył do Kamieńca Podolskiego, by poprosić o pilne posłuchanie jego ekscelencję Mikołaja z Dębowej Góry Dembowski, pierwszego pasterza swojej diecezji.

▪

Biskup Mikołaj z Dębowej Góry Dembowski był człowiekiem inteligentnym, dobrze wykształconym i obytym w świecie, wszak przez siedemdziesiąt sześć lat swojego żywota zdążył już być sekretarzem królewskim i pisarzem wielkim koronnym, nie miał zatem najmniejszych wątpliwości, że bez względu na surowość, z jaką sąd rabinacki w Lanckoruniu potraktował żydowskich sekciarzy, o których z takim przejęciem opowiadał mu proboszcz Szczepankiewicz, wszystko odbyło się *lege artis*³, zgodnie z całkowitą autonomią sadowniczą, jaką Najjaśniejsza Rzeczpospolita od wieków gwarantowała swoim poddanym wyznania mojżeszowego.

Dlatego poprzestałby zapewne na skwitowaniu słów swojego podwładnego zdawkowym wyrażeniem żalu, gdyby nie jeden niedający mu spokoju fakt. Otóż zarówno z tego, co mówił proboszcz Szczepankiewicz, jak i z tego, co sam słyszał o ostatnim żydowskim poruszeniu w kierowanej przez siebie diecezji, wynikało jasno, że sąd rabinacki w Lanckoruniu nie ukarał bynajmniej jakichś

pierwszych lepszych pospolitych heretyków, jacy, jak świat światem, byli, są i będą i do których przez ponad pół wieku swojej kapłańskiej posługi zdążył się już przyzwyczaić, lecz ludzi próbujących – może trochę na oślep i po omacku, może bez należytej wiedzy i stosownego przygotowania – dobijać się jednak prawdy i chcących dołączyć do owczarni Chrystusa, za którą on, Mikołaj z Dębowej Góry Dembowski, był w tym zapadłym zakątku Polski odpowiedzialny. A im dłużej o tym myślał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że pozostawienie tych ludzi samym sobie w istocie nie różniłoby się niczym od umycia rąk, czyli gestu, jakim przed wiekami rzymski prokurator Poncjusz Piłat okazał swoją obojętność Temu, który uczynił jego, Mikołaja z Dębowej Góry Dembowskiego, biskupem i który powierzył mu pieczę nad podolskimi owieczkami.

Toteż z tą samą determinacją, z której zasłynął już w młodości, kiedy pobierał nauki w kolegium jezuitów w Płocku, zwołał swój konsystorz i podyktował mu treść dekretu ogłoszonego dzień później przez sąd biskupi.

Powołując się na to, że kompetencje do prowadzenia stosownych dochodzeń w sprawach o herezję należą z mocy prawa do biskupa, nakazywał w tym dekrete wszystkim gminom żydowskim w diecezji kamienieckiej natychmiastowe uwolnienie przetrzymywanych kontrtalmudystów, którym przyznawał jednocześnie dla bezpieczeństwa tymczasowe listy żelazne. Wzywał zarazem rabinów Lanckorunia, Satanowa, Smotrycza, Międzyboża, Jezierzan, Kopyczyniec oraz kilku innych mniejszych miejscowości do stawienia się najpóźniej w dniu 30 lipca roku Pańskiego 1756 przed sądem biskupim w Kamieńcu Podolskim w celu przedstawienia niezbitych dowodów winy stronników Jakuba Franka tudzież zdeponowania wszelkich ksiąg i druków zasekwestrowanych domniemanym heretykom, aby mogli je zbadać ponownie miarodajni, wiarygodni i niezależni od żydowskich nacisków eksperci jego własnego trybunału biskupiego.

Zwolennicy Świętego Pana, siedzący po różnych podolskich aresztach, zostali po tym dekrete natychmiast uwolnieni, sam Jakub Frank wyjechał bez przeszkód do Turcji, by odwiedzić mieszkającą w wołoskim Giurgiewie żonę Chanę i małą córeczkę Awacę, lecz w terminie wyznaczonym przez biskupa Dembowskiego nie stawił się w Kamieńcu ani jeden z wezwanych rabinów (być może dlatego, że Sejm Czterech Ziem, który zebrał się tymczasem

w Konstantynowie, zatwierdził w całej rozciągłości wyrok sądu rabinackiego z Lanckorunia).

Z początkiem sierpnia przybyła za to do Kamieńca delegacja frankistów w osobach Lejby i Eliasza Krysów, Chaima Kopyczyńskiego, Lejby Szajewicza Rabinowicza, Lejzora Herszkowicza, Icka Motywewicza, Jeruchima Lipmanowicza, Moszka i Lejbki Abramowiczów, Nussena Aaronowicza oraz Szymona i Jankiela Lanckorońskich, którzy podyktowali konsystorskiemu pisarzowi krótki manifest, streszczający w dziewięciu punktach ich wyznanie wiary:

1. My wierzymy w to, cokolwiek Bóg w Starym Testamencie kazał wierzyć i nauczał.
2. Pisma św. rozum ludzki bez łaski Bożej skutecznie pojąć nie może.
3. Talmud, niesłychanym przeciw Bogu bluźnierstwem napełniony, powinien i ma być odrzucon.
4. Jeden jest Bóg i Ten wszech rzeczy stworzyciel.
5. Tenże Bóg w Trzech Osobach, naturą nierozdzielny.
6. Można Bogu wziąć na się ciało ludzkie i wszelkim namiętnościami, prócz grzechu, być podległym.
7. Jeruzalem miasto, podług proroctwa, już nie będzie zbudowane.
8. Mesjasz, w Piśmie obiecany, już nie przyjdzie.
9. Sam Bóg przekleństwo pierwszych rodziców i całego w nim narodu zniesie i Ten to jest Prawdziwy Mesjasz, Bóg wcielony⁴.

Ów skromny manifest kończył się deklaracją kontrtalmudystów, że gotowi są bronić swoich racji w publicznej dyspucie z ortodoksyjnymi rabinami.

W tej sytuacji biskup Dembowski przedłużył łaskawie podolskim rabinom termin stawienia się w Kamieńcu do dnia 17 listopada, aby mogli przygotować się do zaproponowanej przez frankistów dysputy. Jednocześnie polecił sędziom sądu biskupiego udać się do Lanckorunia i zacząć przesłuchiwać tamtejszych świadków niedawnych wydarzeń w celu przeprowadzenia w tej sprawie niezależnego procesu.

Tymczasem podolscy rabini nie stawili się w Kamieńcu ani w listopadzie, ani w grudniu, ani w kolejnym, wyznaczonym na luty terminie, ograniczając się jedynie do powiadomienia jego ekscelencji, iż nie uważają za swój obowiązek uczestniczyć w dyskusji na temat dogmatów religii mojżeszowej, pozostającej

w Polsce pod opieką praw publicznych od czasów świętej pamięci króla Kazimierza Wielkiego.

Zgodzili się na to dopiero w czerwcu, żeby nie przeciągać struny, jako że 27 kwietnia 1757 roku jego ekscelencja Mikołaj z Dębowej Góry Dembowski został mianowany przez króla Augusta III na wakujące stanowisko arcybiskupa Lwowa.

Do dysputy z frankistami ortodoksi wydelegowali największych znawców Talmudu, jakich mogli znaleźć w tej części Polski: powszechnie szanowanych rabinów Lejbę Michłowicza z Międzyboża, Mendla Moszkowicza i Lejbę Herszkowicza z Satanowa, Abrama Pejsachowicza z Sołobkowa, Judkę Nusamowicza z Grodka, Moszka Szawelowicza z Husiatyna oraz Berka Szlomowicza z Szarawki. Ze swej strony kontrtalmudyści wystawili przeciw nim sygnatariuszy manifestu złożonego dziesięć miesięcy wcześniej w urzędzie konsystorskim. Sam Mistrz nie wziął udziału w dyspucie, chociaż na czas jej trwania powrócił do Polski i śledził jej przebieg z Rohatyna.

Rozpoczęta 20 czerwca 1757 roku dysputa trwała osiem dni i wzbudziła wielkie zainteresowanie publiczności wszelkiego stanu – tak chrześcijańskiej, jak żydowskiej. Przysłuchiwał się jej w charakterze arbitra biskup Mikołaj Dembowski, a także członkowie kapituły katedry kamienieckiej oraz kanonicy archikatedry lwowskiej, przybyli właśnie do Kamieńca z hołdem od swej kapituły dla nowo mianowanego przełożonego.

Dysputa przebiegała w ten sposób, że kontrtalmudyści po kolei przedstawiali punkty swojej wiary wyłuszczone wcześniej w manifeście, na tę okazję sformułowane jednak nieco szerzej i bardziej ozdobnie, rabini zaś wyrażali na ich temat własną opinię.

Punkt pierwszy dysputy: „My wierzymy, cokolwiek Bóg w Starym Testamencie wierzyć kazał i nauczał”, został zaakceptowany przez podolskich rabinów jednogłośnie.

Punkt drugi: „Mojżeszowe, Prorockie i inne Starego Testamentu księgi są podobne bogato ubranej Pannie, której twarz zakryta, której nie odkryje, piękności jej widzieć nie można, są pełne skrytej mądrości Boskiej i rzeczy tajemnych i przyszłych, dlatego, bez łaski Boskiej osobliwej, rozum ludzki skutecznie ich pojąć nie może”, również zyskał pełną aprobatę uczonych mężów z Międzyboża, Satanowa, Sołobkowa, Husiatyna, Grodka i Szarawki.

Punkt trzeci: „Stary Testament różnymi czasy tłumaczyli rabinowie. Ich tłumaczenia zowią się Talmudem, po hebrajsku Schiszech Dorem, które mają

w sobie siła bajek, łągarstw, rzeczy do uwierzenia niepodobnych i Samemu Bogu i nauce Jego przeciwnych”, został przyjęty przez rabinów tylko do słów „Schiszech Dorem”, jeśli zaś chodzi o całą resztę, którą stanowczo odrzucili, ortodoksi zażądali od frankistów udowodnienia słuszności swych zarzutów.

Zwolennicy Świętego Pana zrobili to bardzo chętnie, przytaczając cytaty z tej książki w rodzaju pytania „Czemu wołu ogon długi?”, na które pada odpowiedź „Żeby się od much oganiał”, przypominając ustępy o gorszych od zwierząt bałwochwalcach Akum, którzy według Talmudu są godni śmierci, gdy uderzą Izraela, i których nie należy leczyć nawet za pieniądze, a wreszcie przypominając publiczności, że w inkryminowanym dziele są niepochlebne wzmianki o jakichś złych Nochrim, czcicielach gwiazd i planet, będących zarazem wyznawcami jakiegoś tajemniczego „Wisielca”.

W odpowiedzi starsi synagog podolskich stwierdzili, że jeśli chodzi o ogon wołu, to wyjaśnienie Talmudu jest całkiem logiczne i zgodne z boskim porządkiem rzeczy. Co się zaś tyczy Akuma i Nochrim, należy przyjąć, że dawno, dawno temu, kiedy Talmud był spisywany, rzeczywiście musieli istnieć jacyś bałwochwalczy (po hebrajsku „Akum”), lecz w żadnym przypadku nie mogli to być chrześcijanie, jako że wówczas nawet Ruś, Wołyń i Podole zamieszkiwali wyłącznie Turcy i inni poganie, i że słowo „Nochrim” znaczy po prostu „obcy”, a obcy, jak to obcy, nie inaczej zresztą jak swoi, bywają zarówno źli, jak i dobrzy, więc nie należy zakładać z góry ich niegodziwości; a wreszcie, odnośnie do tajemniczego „Wisielca”, że do dziś nie wiadomo, kto się pod tym mianem kryje.

Punkt czwarty dysputy: „My wierzymy na fundamencie Pisma św., Starego Testamentu, że jest Bóg Jeden, bez początku i końca; Stworzyciel Nieba i ziemi i wszystkich rzeczy widocznych i niewidocznych”, nie wzbudził żadnych kontrowersji.

Natomiast co do pięciu pozostałych punktów, odnoszących się do Trójcy Świętej i Mesjasza, uczeni mężowie z Międzyboża, Satanowa, Sołobkowa, Husiatyna, Grodka i Szarawki odmówili odpowiedzi, powołując się na starodawne prawa i przywileje udzielone wyznawcom religii mojżeszowej przez kolejnych władców Polski, gwarantujące im nie tylko wolność wyznania i kultu, ale także prawo do wyrażania lub niewyrażania własnej opinii w tak delikatnych i trudnych materiach.

Po zakończeniu dysputy arcybiskup nominat lwowski nie przyznał zwycięstwa żadnej ze stron, ograniczając się jedynie do wyrażenia nadziei, że

biorący w niej udział rabini stawiają się ponownie w Kamieńcu 14 października, kiedy to sąd biskupi, któremu miał zaszczyt przewodniczyć, ogłosi swoje własne dekrety zarówno w sprawie zejść w Lanckoruniu, jak i samego Talmudu.

A kiedy już po swoim wyjeździe z Kamieńca uczeni rabini powiadomili jego ekscelencję, że ani myślą powrócić tam jesienią, oburzony arcybiskup nominat Mikołaj z Dębowej Góry Dembowski rozesłał do proboszczów oraz panów swojej diecezji list pasterski, w którym wzywał ich między innymi, aby „[...] starszych synagog, pospolicie rabinami zwanych, pod Sąd Nasz w Kamieńcu być mający, na dzień 14 października w roku niniejszym 1757 przypadający, do słuchania dekretu publikować się mającego, z ich Talmudami, na zupełniejsze w zachodzących sprzeczkach objaśnienie stawili, lub aby z owymi Talmudami koniecznie stanęli, władzą swoją przymusili”⁵.

Apel ten odniósł niewielki skutek, gdyż 14 października stawiło się w Kamieńcu tylko dwóch rabinów, z których żaden nie miał Talmudu. Rozwścieczony biskup Dembowski przesunął termin ogłoszenia swoich werdyktów jeszcze o trzy dni, nakazując wszystkim przywódcom gmin żydowskich na Podolu, pod groźbą surowych kar z cielesnymi włącznie, przybyć do Kamieńca z Talmudami w garści. Być może właśnie to sprawiło, że w nowym wyznaczonym terminie zjawili się w Kamieńcu ponad dwudziestu podolskich rabinów jak jeden mąż zaopatrzonych w Talmudy. Jednocześnie zjechało do miasta dwudziestu bojowo nastawionych kontrtalmudystów z braćmi Lejbą i Eliaszem Krysami na czele, aczkolwiek i tym razem bez Jakuba Franka, który z początkiem września udał się znowu do Turcji, gdzie jego żona Chana powiła mu właśnie pierworodnego syna Lejbę.

Jeszcze zanim przewodniczący składu sędziowskiego otworzył usta, frankiści, powołując się głośno na krzywdy doznane w Lanckoruniu, zażądali surowych kar dla winnych tamtejszych zamieszek, jak też uznania Talmudu za księgę szkodliwą i zasługującą na zniszczenie. W odpowiedzi prawowierni rabini przywołali raz jeszcze wszystkie prawa i przywileje uzyskane od polskich władców, gwarantujące ich gminom samorząd wewnętrzny i wolność religijną, co powinno było absolutnie wystarczyć do uznania ich reakcji na działania heretyków w Lanckoruniu za usprawiedliwioną, a samego Talmudu za nietykalny.

Wysoki Sąd bez wdawania się w zbędne polemiki uzasadnił swoją jurysdykcję i *modus procedendi*⁶ odpowiednimi artykułami prawa kanonicznego,

następnie przedstawił przebieg i rezultaty własnego śledztwa przeprowadzonego w Lanckoruniu, po czym przeszedł do odczytywania treści swoich dekretów.

Zgodnie z nimi zarzucanie kontrtalmudystom lubieżnych płaśów, nocnego całowania oraz innych rozpustnych czynów, których mieli się rzekomo dopuścić w nocy z 27 na 28 stycznia 1756 roku w Lanckoruniu, w domu należącym do niejakiego Lejbusza ben Sabbataja, było całkowicie pozbawione wiarygodnych podstaw. Zamknięcie drzwi na skobel tudzież szczelne zasłonięcie okien w rzeczonym domu w czasie, gdy przebywali w nim kontrtalmudyści, dawało się bowiem łatwo wytłumaczyć faktem, że przedmiotem ich poufnej narady były pewne religijne dogmaty, których jawne głoszenie przed żydowskimi fanatykami nigdy nie było i nadal nie jest możliwe ani bezpieczne. Zdaniem sądu, głównym instygatorem i sprawcą godnych potępienia zająć lanckoruńskich był arendarz Gerszon Nachmanowicz, skazany za to na karę stu batów, do publicznego wymierzenia w czterech różnych punktach miasta Lanckorunia. Niewiele mniejszą winę od niego ponosił kupiec i łaźniennik lanckoruński Melech Naftuła, któremu zaordynowano osiemdziesiąt batów. Trybunał biskupi zobowiązał również synagogi w Lanckoruniu i Satanowie do zadośćuczynienia w ciągu miesiąca wszystkim pokrzywdzonym poniesionych przez nich szkód cielesnych i materialnych, wyliczonych przez biegłych trybunalskich na sumę 8835 złotych polskich i 2 groszy, a zredukowanych łaskawie przez skład sędziowski do kwoty 5000 złotych, pod tym wszakże warunkiem, iż główni świadkowie oskarżenia – Lejzor z Buska, Lejb Krysa, Chaim Kopyczyński i Lisa z Rohatyna – potwierdzą rzeczony szkody uroczystą przysięgą złożoną w bożnicy miasta Zbrzyzia.

Ponadto, zważywszy na fakt, iż uczeni rabini oraz inni talmudyści podważali nieustannie jurysdykcję kościelną w badanej sprawie, śmieli stawiać opór listom żelaznym wystawionym przez jego ekscelencję biskupa kamienieckiego, jak też swoją zatwardziałością naruszali wielokrotnie powagę sądu, trybunał biskupi skazał ich na karę 152 dukatów grzywny, z przeznaczeniem wspomnianej kwoty na odnowę wieży kościoła katedralnego pod wezwaniem Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Kamieńcu Podolskim.

Co się tyczy Talmudu, to opierając się na autorytecie Kościoła oraz na rezultatach dysputy odbytej niedawno w mieście Kamieńcu, Wysoki Sąd uznał go za księgę wielce szkodliwą i sprzeczną z zasadami chrześcijańskimi, którym

przynosi widoczną ujmę, a przez to zasługującą na publiczne spalenie przez kata, co też i nakazał uczynić.

Wreszcie, wyciągając stosowne wnioski ze wszystkiego, co zostało powiedziane wcześniej, trybunał biskupi zwrócił się z prośbą do dziedziców dóbr, w których przebywaliby jacyś kontrtalmudyści, by otoczyli tychże czułą i czujną opieką, zaś samym frankistom zalecił unikanie w przyszłości wszelkich nocnych i podejrzanym schadzek. Listy bezpieczeństwa przyznane im wcześniej przez biskupa kamienieckiego zachowywały nadal swoją moc.

Po odczytaniu wyroku głos zabrał wzruszony Lejba Krysa, który pośród wiwatów kontrtalmudystów i gniewnych pomruków rozżalonych ortodoksów, zwrócił się przez tłumacza do Wysokiego Sądu i zasiadającego na honorowym miejscu biskupa Mikołaja z Dębowej Góry Dembowskiego:

– Błogosławione rządy Najwyższej Głowy Kościoła Bożego Benedykta XIV! Błogosławione panowanie Najjaśniejszego Króla Jegomości Augusta III, Pana Naszego Miłościwego! Błogosławione Stany Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, to Województwo prześwietne i to Miasto, obrona Chrześcijaństwa! Błogosławionyś i Ty, Jaśnie Wielmożny Arcypasterzu! Zaiste, masz się czym chlubić, Najjaśniejsze Polskie Królestwo, i za co być wdzięczne Bogu Najwyższemu, bo Ten tylu dobrodziejstw żadnemu nie uczynił narodowi, tylko Tobie! Oto bowiem w Polsce właśnie, w prześwietnym Województwie Podolskim, w mieście Kamieńcu, Izrael wyznał Ojca, Syna i Ducha Świętego, Jedynego w Trzech Osobach Boga! W Niego, powiada, wierzy, Talmud dobrowolnie rzuca w ogień i wyrzeka się jego nauki, a Ty mu, Jaśnie Wielmożny Arcypasterzu, wód żywych spragnionemu, otwierasz źródła prawdziwej nauki i pokazujesz drogę do zgubionego dziedzictwa, niczym prawdziwy Mojżesz Nowego Izraela!⁷.

▪

Przez trzy następne tygodnie władze, kontrtalmudyści i pomagający im chrześcijańscy ochotnicy przetrząsali domy żydowskie na całym Podolu w poszukiwaniu egzemplarzy Talmudu. Choć wielu właścicieli owej księgi skryło się wraz z nią w trudno dostępnych lasach, jarach i pieczarach, a rabini najważniejszych synagog ogłosili post i przebłągalne modły, niewiele to pomogło i wkrótce na rynku w Kamieńcu Podolskim spłonęło ponad tysiąc sztuk

potępionego dzieła. Podobnie działo się w innych miastach i miasteczkach diecezji kamienieckiej. Przełom nastąpił dopiero 9 listopada, kiedy to zupełnie niespodziewanie, niemal w przeddzień objęcia przez siebie arcybiskupstwa lwowskiego, jego ekscelencja Mikołaj z Dębowej Góry Dembowski zmarł w swoim pałacu w Czarnokozińcach.

Co było przyczyną tej nagłej śmierci, nie wiadomo. Według wersji głoszonej w bożnicach, była nią kara Boża za podniesienie ręki na Talmud; według tego, co można było usłyszeć w kościołach – zaczadzenie piekielnym dymem wydzielającym się podczas palenia z owej szatańskiej księgi, której dwa egzemplarze jego ekscelencja nieboszczyk Mikołaj z Dębowej Góry Dembowski raczył spopielić osobiście.

Niezależnie od powodu tego zgonu, jego skutkiem była całkowita zmiana sytuacji. Pozbawieni swojego głównego protektora kontrtalmudyści stali się z dnia na dzień zwierzyną łowną dla znacznie liczniejszych, lepiej zorganizowanych i dysponujących większymi środkami ortodoksyjnych Żydów. Za przyzwoleniem, a często i za zachętą miejscowych rabinów oraz przy całkowitej bierności nielicznych i zdezorientowanych polskich urzędników – zwolenników Świętego Pana wykluczano z podolskich kahałów, bito, aresztowano, lżono i szykanowano, wypędzano z miast i miasteczek, napadano na ich domy, które często doszczętnie grabiono bądź puszczano z dymem, w najlepszym zaś razie golono im połowę brody na znak hańby lub odbierano im gwałtem ich ukochaną księgę *Zohar*, by w odwecie również ją spalić na stosie. Chrześcijanie, pomagający wcześniej w tropieniu i niszczeniu Talmudów, woleli teraz nie mieszać się w spory dwóch żydowskich stronnictw, których poglądy i praktyki były im w gruncie rzeczy jednakowo obce, zwłaszcza że choć frankiści głosili tezy dość bliskie chrześcijaństwu, żaden z nich, jak dotąd, nie raczył się ochrzcić.

Kiedy całe Podole obiegła uporczywie powtarzana plotka o zmasakrowanych zwłokach kontrtalmudystów znajdujących na polach i w lasach, setki zwolenników Mistrza, obawiających się tego, że również mogą paść ofiarą pogromów zarządzanych przez rabinów, ruszyły w panice ku Turcji, w niej szukając schronienia i ratunku. Ale tylko nielicznym z nich udało się przedrzeć w głąb imperium otomańskiego, ponieważ Turcy, zupełnie nierozumiejący, skąd wzięła się ta nagła żydowska inwazja, ani niewiedzący, jakie jest w tej sprawie stanowisko Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, pozwalali

uciekinierom jedynie koczować o głodzie i chłodzie nad granicznym Dniestrem lub Prutem, tych zaś z nich, którzy przeciwko temu protestowali, bili, obdzierali z dobytku, zamykali w lochach Chocimia, albo – co było jeszcze gorsze – odsyłali ciupasem z powrotem do Polski, prosto w ręce ścigających ich ortodoksów.

Według naocznych świadków, kiedy wieść o tym, co dzieje się z jego zwolennikami, dotarła do przebywającego ciągle w Giurgiewie Jakuba Franka, zakrzyknął on wielkim głosem „Żydzi wzięli górę nad naszymi!”⁸, po czym popadł w głęboką depresję. Rozpacz jednak, choćby była najgłębsza, nie mogła trwać długo. Święty Pan musiał wszak zadbać o koczujących nad polską granicą stronników i wyjednać zwolnienie dla tych, których zdążono już zamknąć w Chocimiu. Musiał się także zatroszczyć o siebie, bo jak go ostrzegał zaprzyjaźniony turecki zarządca Giurgiewa, podolscy rabini, wykorzystując swe religijne i kupieckie koneksje w Stambule, podjęli również próbę dotarcia do kilku ważnych person na sułtańskim dworze, by doprowadzić do jego deportacji do Polski. Toteż Mistrz wziął się rychło w garść i zaczął energicznie działać.

Po pierwsze, poprosił o pieniądze swoich zwolenników w Turcji i na Wołoszczyźnie, co pozwoliło mu zgromadzić fundusze na doraźną pomoc dla kontrtalmudystów obozujących nad Dniestrem i Prutem, jak też opłacić zwolnienie tych, których przetrzymywano w Chocimiu. Po drugie, choć nie bardzo wierzył w powodzenie tej misji, wysłał do Warszawy Moliwdę z beczułką złota w poszukiwaniu jakiejś protekcji na dworze królewskim. Po trzecie wreszcie, z inną beczułką złota zakopaną kiedyś na czarną godzinę w giurgiewskiej winnicy, udał się osobiście do Stambułu, by uruchomić tam wszystkie swoje znajomości i pokrzyżować plany podolskim rabinom.

Wyprawa ta niezbyt się udała. Nikt z wyższych stambulskich urzędników nie chciał go przyjąć, niżsi też zamykali mu drzwi przed nosem lub odsyłali go do jakichś nic nieznaczących sekretarzy bądź pisarczyków. Złota w beczułce ubywało, aż wreszcie znajomy Turek, dostawca klejnotów dla sułtańskiego haremu, z którym to Turkiem Święty Pan znał się jeszcze z czasów, kiedy sam handlował diamentami w Smyrnie i w Izmirze, poradził mu w zaufaniu, by wracał do Giurgiewa, zanim go całkiem oskubią, ponieważ i tak nic nie wskóra, jako że podolscy rabini zapłacili komu trzeba dużo więcej.

Mistrz podziękował mu za tę przyjacielską radę i wrócił z resztką złota do Giurgiewa, gdzie tymczasem, różnymi drogami, dotarli także jego najbliżsi

uczniowie.

Następnego dnia po powrocie zebrał ich wszystkich i powiedział:

– Jak już wiecie, niczego w Stambule nie udało mi się załatwić i bez większej ilości złota nie ma na to żadnych widoków. Ale to nic, jakoś sobie poradzimy. Czy pamiętacie, co wydarzyło się 16 dnia miesiąca *Elul* 5426 roku?⁹.

– Oczywiście – pospieszył z odpowiedzią Nachman z Buska. – W tym sławnym dniu nasz Pan i Mesjasz Sabbataj Cwi przywdział turban.

– Dobrze, Nachman. A jak do tego doszło?

– Doszło do tego tak – zabrał głos ślepy Nussen – że półtora roku wcześniej nasz Pan i Mesjasz Sabbataj Cwi zapowiedział, że za rok i parę miesięcy odbierze sułtanowi tron bez walki, samą tylko mocą hymnów i modlitw, które ciągle odmawiał. I że wtedy poddadzą mu się wszystkie narody i wszyscy królowie będą mu płacić daniny, choć tylko jeden sułtan będzie mu sługą i podnóżkiem. I że wyznaczonego dnia zbierze się w Ziemi Świętej dziesięć plemion Izraela zaginionych podczas wygnania babilońskiego, żeby złożyć mu hołd, i zostanie spuszczone z nieba gotowa Świątynia, której nie trzeba już będzie odbudowywać. I że tego samego dnia powstaną z martwych wszyscy Żydzi, jacy zmarli w Palestynie, ci zaś, którzy zmarli na obczyźnie, zmartwychwstaną czterdzieści lat później.

– Zgadza się, Nussen. I cóż na to sułtan?

– Kiedy sułtan się o tym dowiedział, kazał go natychmiast aresztować i przyprowadzić do pałacu – uzupełnił Elisza Szor. – A na całej drodze do Stambułu czekały na Mesjasza tłumy Żydów wiwatujących na jego cześć i złożących sułtanowi.

– W porządku, Elisza. I co się stało, kiedy postawili go przed sułtanem?

– Kiedy postawili go przed sułtanem, Kasim Pasza zapytał go, czy to on jest Mesjaszem, a kiedy Sabbataj Cwi potwierdził, kazał mu to udowodnić. Powiedział wówczas do Mesjasza: „Albo przejdziesz zaraz na islam i przestaniesz wzniecać zamieszki, albo rozebrany do naga posłużysz łucznikom za tarczę strzelecką. Jeśli dokonasz cudu i przeżyjesz, sułtan osobiście ogłosi cię Mesjaszem” – wtrącił Lejba Krysa.

– Świetnie, Lejba. I co zrobił wtedy nasz Pan i Mesjasz?

– Nasz Pan i Mesjasz przywdział wtedy turban – burknął Nachman z wyraźną niechęcią.

– Otóż to, moi drodzy, otóż to! – pokiwał głową Jakub Frank. – Nasz Pan i Mesjasz przywdział wtedy turban. Ale dlaczego to zrobił? Czyżby ze strachu, jak twierdzą różni złośliwcy? Albo z fałszywej skromności, żeby nie popisywać się przed niewiernymi, że potrafi czynić cuda, jak uważają inni, których rozpieszcza pycha? A może zrobił to z braku wiary we własne posłannictwo, jak głoszą z kolei ci, co nie chcą w niego uwierzyć? Otóż nie, bracia, po stokroć nie! Każdy, kto tak twierdzi, nie zasługuje na to, by być jego uczniem. Zrobił to, bo miał widzenie. Zrobił to, bo – jak sam napisał w liście do swego brata – zrozumiał w nagłym zachwyceniu, że Bóg Prawdy, którego znał od pokoleń i dla którego wszystko zawsze czynił, zapragnął, aby on, Sabbataj Cwi, nasz Pan i Mesjasz, wszedł do nauki islamu, do religii Izmaela, i żeby zezwalał odtąd na to, na co ona zezwala, i zabraniał tego, czego ona zabrania, i żeby złamał Torę Mojżeszową raz na zawsze, zgodnie z zapowiedzią psalmu: *Dla Pana czas już działać, pogwałcili Twoje Prawo*¹⁰. I właśnie dlatego powiedział do niego Święty Błogosławiony: „Dobrze zrobiłeś, Sabbataju, łamiąc tablice, które dałem Mojżeszowi na Górze Synaj, bo Tora Mojżeszowa nie jest nic warta bez Boga Prawdy. Odkąd Izraelici przedłożyli nade Mnie złotego cielca, Ja nie miałem już własnego ludu, a oni nie mieli już Tory Prawdy. I dlatego wziąłem sobie inny lud, lud Izmaelitów, który wędrował dotąd bez Boga, i dałem mu nowe Pismo, i zawarłem z nim nowe, doskonałe przymierze”¹¹.

A ponieważ, bracia, dobrze wiecie, że kiedy człowiek idzie z jednego miejsca na drugie, powinien porzucić dawne obrządki, szaty i język i trzymać się mowy, szat i obrządków nowego miejsca, i nigdy nie powinien odwracać się za siebie, musicie także wiedzieć, że na nowe miejsce w ogóle nie da się pójść, jeśli nie zacznie się wszystkiego od początku. Skoro więc naszym początkiem był ów Pierwszy, nasz Pan i Mesjasz Sabbataj Cwi, który otworzył wiarę mahometańską, czyż nie powinniśmy zacząć właśnie od niego i naśladować go we wszystkim? Zebrałem was tutaj, żeby wam powiedzieć, że ja też miałem widzenie i ja też zrozumiałem w nagłym zachwyceniu, że należy przyjąć islam. Że tego właśnie chce ode mnie Święty Błogosławiony. I dlatego pytam, kto z was jest gotów przywdziać turban razem ze mną?

– Ja – odparł bez wahania ślepy Nussen.

– Ja też – odpowiedział równie pewnie Elisza Szor.

– I ja – zgłosił się jako następny Lejba Krysa, po czym ukrył twarz w dłoniach.

Po Lejbie zgłosiło się jeszcze paru innych, w tym Mordochaj ben Elias, Chaim Kopyczyński i Jeruchim Lipmanowicz, i dopiero wtedy, jako ostatni, drżącym głosem odezwał się Nachman z Buska:

– Dobrze, gdzie wy, tam i ja. Niech będzie przeklęty dzień moich narodzin!

I jeszcze tego samego dnia Święty Pan zabrał ich wszystkich do znajomego muftiego w Horoszczukach, gdzie złożyli muzułmańskie wyznanie wiary: „Nie ma Boga prócz Allaha, a Mahomet jest jego Prorokiem”, przywdziali turbany i otrzymali nowe tureckie imiona. Podczas zaś skromnego poczęstunku, jaki nastąpił po tej ceremonii, znajomy mufti ostrzegł ich: „Bardzo się cieszę, że przyjęliście prawdziwą wiarę, ale pamiętajcie, że gdybyście chcieli od niej odstąpić, wszyscy straciecie głowy”.

Po przejściu na islam Mistrz poczuł się znacznie bezpieczniej i zaczął pokazywać się z całą kompanią w meczetach, kawiarniach i łaźniach Giurgiewa. Jako muzułmanin załatwił też sobie bez trudu, to znaczy za dość umiarkowaną łapówkę, dwa sułtańskie fermany¹², które mogły mu się bardzo przydać. Pierwszy z nich zapewniał mu wsparcie państwa tureckiego w windykacji pieniędzy i mienia utraconego w Lanckoruniu, drugi zobowiązywał baszę chocimskiego do przydzielenia jemu oraz jego ludziom jakiegoś spokojnego lokum na Wołoszczyźnie. Z obu tych fermanów Święty Pan spróbował od razu zrobić użytek, choć nie przyniosło to pożądaných skutków.

Powołując się na pierwszy ferman, napisał do jego ekscelencji Adama Orańskiego, sufragana diecezji kamienieckiej, który przejął obowiązki po zmarłym biskupie Mikołaju z Dębowej Góry Dembowskiem, lecz list ten pozostał bez odpowiedzi. Jeśli chodzi o drugi ferman, to basza chocimski odpisał mu uprzejmie, że bardzo chętnie przydzielili frankistom na Wołoszczyźnie jakieś dobre miejsce, pod tym wszakże warunkiem, że wszyscy oni, bez wyjątku, nie tylko przyjmą islam, lecz wstąpią także na służbę do janczarów, na co Święty Pan nie wyraził zgody.

Dlatego przez następne miesiące Mistrz siedział beczynnie w Giurgiewie, popadając w coraz większą melancholię. Wszystko układało się nie tak, jak sobie wymarzył. W Polsce jego ludzi nadal prześladowano; ci, którym udało się stamtąd uciec, wegetowali w nędzy i beznadziei nad brzegami Dniestru i Prutu; pieniądze od stronników w Turcji i na Wołoszczyźnie płynęły coraz cieńszym strumykiem, zaś on sam, jakkolwiek po przyjęciu islamu w pełni bezpieczny, nie miał w Turcji nic do roboty, a tym bardziej do gadania.

Przygnębiony, coraz częściej kłócił się z żoną, bywał opryskliwy dla swoich uczniów, zamykał się na całe dni w swojej izbie, a nawet zaglądał do kieliszka, choć stało to w jaskrawej sprzeczności z zasadami świeżo przyjętej przez niego wiary. Niekiedy, gdy był szczególnie rozgoryczony, wskazywał na swoją ukochaną trzyletnią córeczkę Ewę bawiącą się w kącie lalkami i mówił do swoich kompanów:

– Patrzcie na moją Awaczunię. Miała być królową, ale jeśli tak dalej pójdzie, to kto wie, czy już niedługo nie zostanie sierotą po janczarze?

Jego depresja skończyła się dopiero wtedy, gdy któregoś letniego dnia zapukał do jego izby dawno niewidziany Moliwda. Zmęczony po podróży, okryty kurzem od stóp do głów, uśmiechał się radośnie i wymachiwał trzymanym w ręku pergaminem pełnym ozdobnych sznurków i czerwonych pieczęci z laki.

– Witaj, Święty Panie! – zawołał już od progu. – Mam dla ciebie gościniec z Warszawy!

– Gościniec? Dla mnie? – zdziwił się Mistrz. – Od kogo?

– Od króla Jegomości.

– Od króla?! No to czytaj, czytaj, na co czekasz, Moliwda?!

Więc Moliwda tak jak stał, odrzuciwszy tylko na bok podrózną sakwę, zaczął czytać najważniejsze fragmenty bardzo długiego listu, tłumacząc je od razu na turecki:

– „Doszły Nas słuchy, że kontrtalmudyści i inni zwolennicy tej sekty wskutek przemocy swych przeciwników Żydów i z poduszczenia innych osób wszędzie ponoszą prześladowania różnymi wymyślnymi sposobami i środkami, tak, iż we własnych domach spokojnie mieszkać, jak też handlów i innych godziwych zysków prowadzić nie mogą. Suplikowały Nam więc Rady Nasze, w imieniu wyżej wymienionych kontrtalmudystów, abyśmy onych pod protekcję Naszą królewską wzięwszy, tymże list żelazny przeciwko zawziętości i usiłowaniu niewiernych talmudystów tudzież jakichkolwiek osób dać i pozwolić raczyli, żeby ciż kontrtalmudyści, nie tylko w województwie podolskim, ale na każdym miejscu w Królestwie i Państwach Naszych, swobodnie przebywać, prawować się, krzywd swoich w sądach, choćby najwyższych Królestwa, tak duchownych, jak i świeckich, dochodzić, słowem – przywilejów, praw, wolności i swobód Żydom prawami koronnymi nadanych – zażywać bezpiecznie i spokojnie mogli.

Którym to prośbom, słusznie i sprawiedliwie do Nas zanesionym, przychylając się i rzeczonych kontrtalmudystów w protekcję Naszą wzięwszy, tymże, wszystkim i każdemu z osobna, list żelazny bezpieczeństwa wydać i pozwolić raczyliśmy.

Listem tym zaszczytzeni i wsparci, wspomniani kontrtalmudyści mogą tedy bezpiecznie i bez żadnej przeszkody ze strony tych, od których uciemnienia obawiają się, w Królestwie i Państwach Naszych przebywać, handle podług przywilejów sobie przyznanych, na każdym miejscu, po wsiach, miasteczkach i miastach prowadzić, wszelkie sprawunki godziwe i poczciwe, jak też i interesa czynić przed Sądami, zarówno duchownymi, jak i świeckimi koronnymi, sprawy wnosić lub na nie odpowiadać, tudzież transakcje nie tylko prawne, ale i wszelkie inne zawierać. Tąż protekcją Naszą królewską zaszczycamy także ich żony, dzieci i domową czeladź, jak również ich dobra i ruchomości, tak jednak, aby spokojnie i wstrzemięźliwie rządząc się oraz kłótni i sprzeczek przyczyny nie dając, tej Naszej łaski na złe nie zażywali, ale raczej wszystkim, od których uciemnienia albo jakiegoś niebezpieczeństwa obawiają się, ten list protekcyjny do wiadomości powszechnej podawali, co i My, wszelkim Królestwa Naszego Sądom i Trybunałom, tudzież dóbr, do których to będzie należeć, dziedzicom lub ich administratorom, przykazujemy, aby niniejszy list żelazny w akta swoje wpisawszy, przez woźnego ogłosić go i publikować starali się i tegoż sami przestrzegając, innych do jego przestrzegania nakłaniali, a to pod łaską Naszą oraz ich urzędów powinnością. Na co, dla lepszej wiary, list niniejszy pieczęcią koronną stwierdzić rozkazaliśmy. Dan w Warszawie, 11 miesiąca lipca, roku Pańskiego 1758, panowania Naszego roku XXV. August, król”¹³.

Gdy Moliwda skończył czytać, osłupiały Święty Pan wykrzyknął:

– Niech cię kule biją, Moliwda! Jak żeś tego dokonał?

– Nie tyle ja, ile beczułka złota i koneksje mojej krewniaczki, kasztelanowej kamienieckiej. Choć i ja mam w tym skromny udział – roześmiał się zażywny szlachcic.

Po tych słowach Mistrz porwał go w ramiona, serdecznie wyściskał, a potem zdarł z głowy zielony turban i cisnął nim z rozmachem o podłogę.

– No to idziemy do Polski, Moliwda!

Następnie wyskoczył z izby jak burza, wpadł do ogrodu, gdzie zaczął raz po raz wykrzykiwać po niemiecku „*Lustig! Unsere Brüder haben Platz erhalten!*”

¹⁴, po czym wrócił biegiem do domu, zaciągnął zdumionego Moliwdę do izby dziecięcej i wskazując na śpiącą Awaczunię, zawołał:

– Patrz, Moliwda, patrz na moją Awaczę! Patrzcie na nią wszyscy! Jeszcze będzie królową, zobaczycie, a jak nie królową, to przynajmniej hrabiną albo baronessą!

▪

Wiadomość o opiece królewskiej roztoczonej nad kontrtalmudystami obiegła lotem błyskawicy całe Podole i kraje ościenne. Najbardziej poza samym Świętym Panem ucieszyły się z niej gromady uchodźców wegetujących od miesięcy o chlebie i wodzie nad Dniestrem i Prutem. W ostatniej dekadzie sierpnia ruszyły one z powrotem do Polski i za wyjednaną przez Jakuba Franka zgodą biskupa kujawskiego, jego ekscelencji Antoniego Sebastiana Dembowskiego, rodzonego brata ś.p. Mikołaja z Dębowej Góry Dembowskiego, usadowiły się w trzech wsiach należących do zmarłego biskupa kamienieckiego: Uściczku, Harmackiem i Iwaniu.

Sam Mistrz przybył do Polski, na razie bez żony i dzieci, dopiero z początkiem grudnia. Od pierwszych dni pobytu w Iwaniu, gdzie się osiedlił, zabrał się z zapalem za sprawy swojej kompanii. Ustanowił szafarza trzymającego pieczę nad wspólnym funduszem, do którego pieniądze musieli oddawać wszyscy chcący się do niej zaliczać (a chętnych, odkąd kontrtalmudystów objęła królewska protekcja, wciąż przybywało) i w którym deponowano także datki płynące teraz obficie z Polski, Turcji i Węgier. Wybrał sobie także Święty Pan dwanaście „Sióstr”, którym nadał biblijne imiona, towarzyszących mu odtąd gromadnie w dzień i indywidualnie w nocy. Do „Sióstr” dodał wkrótce siedem „Nares” („Dziewic”), w skład których weszły między innymi żony jego najbliższych uczniów. Ósmą została jego własna małżonka, zwana powszechnie Jejmością, gdy zjechała do Iwania z dziećmi, zaś dziewiątą i ostatnią pulchna Rachel, żona gliniańskiego rabina Jakuba, który zjawił się w Iwaniu pod koniec czerwca, żeby oznajmić zdumionemu Świętemu Panu, iż przejrzał na oczy i też chce się przyłączyć do kompanii.

W Iwaniu Mistrz sformował także swoją gwardię przyboczną złożoną z czternastu mężczyzn, którym również kazał przybrać nowe, biblijne imiona. Znalazło się w niej dwóch Piotrów, dwóch Janów i dwóch Jakubów (Większy

i Mniejszy), po jednym Mateuszu, Łukaszu, Pawle, Andrzeju, Bartłomieju i Tadeuszu, a także zgoła niebiblijny i nieewangeliczny Franciszek, któremu akurat to imię spodobało się najbardziej, oraz niejaki Lejba Reb Szajes, niechcący z kolei za nic rozstać się ze swoim prawdziwym żydowskim imieniem. Gwardia przyboczna nie opuszczała Świętego Pana nawet na krok, a kiedy udawał się nowo zakupioną poszóstną kareta do Uściczka albo do Harmackiego, biegła przed nią i za nią z wykonanymi domowym sposobem drewnianymi halabardami. Ponieważ do Iwania zjeżdżali też coraz częściej różni ważni goście z Kamieńca lub z samego Lwowa, Mistrz, który zwykł jadać niewiele i skromnie, zatrudnił również dobrego kucharza.

Najwięcej czasu w Iwaniu zabierało Świętemu Panu nauczanie. Niemal codziennie wzywał swoich uczniów i z ganku domu albo ze stopni świeżo nabytej karety opowiadał im o królewnach i królewiczach, o ukrytych skarbach i plujących ogniem smokach, o kryształowych zamkach, metalowych drzewach, złotolitych sukniach, latających dywanach, rumakach szybkich jak piorun, o cudownych ziołach i czarodziejskich różdżkach, a przy okazji także i o tym, że kto chce być przywiązany do Boga żywego, powinien wyróżniać się cnotą, być sprawiedliwym, czynić każdemu dobro, odznaczać się stałością ducha i nie zbaczać z ukazanej drogi ni w prawo, ni w lewo. Mówił im również dużo o lojalności i posłuszeństwie, powtarzając aż do znudzenia: „Przyjdzie taki czas, że zechcą was ode mnie odepchnąć i powiedzą wam: idźcie precz! Kto mnie wówczas opuści, ten będzie wiecznie odepchnięty, a kto wytrwa, ten się utrzyma przy mnie na wieki”¹⁵.

Chyba najwięcej jednak miejsca poświęcał w swoich naukach Pannie będącej bramą do Boga, jedyną, przez którą można do Niego dojść. „W każdym miejscu – głosił – łupina poprzedza owoc. Widzieliście sami, że wszyscy wołają: Wieczna Panno! I mówią, że Ona jest Królową Niebieską i wspomóżycielką, i że klęczą przed Nią i kłaniają się Jej. Z początku Ona z Nim cierpiała, bo nie miała miejsca spoczynku. I poszła z Nim błąkać się i uciekła do Egiptu. Ona to jest, co poprzedza owoc, który ma wyjść na świat i przed którym klęczeć będą wszystkie narody i wszyscy królowie ziemi. Także my godni będziemy Ją widzieć i pod Jej skrzydłami się chować, i przyjdziemy z Nią do żywota wiecznego, a Ona codziennie w większych ukazywać się nam będzie wdziękach i każdy według swego stopnia oglądać Ją będzie. Im więcej będzie godzien, tym Ją piękniejszą zobaczy”¹⁶.

Nie uchodziło przy tym uwadze słuchaczy, że kiedy Mistrz wspominał ową tajemniczą Pannę, „najpiękniejszą między niewiastami”¹⁷, zazwyczaj brał na ręce swoją córkę Awaczunię, ubraną na tę okazję w najładniejsze szaty, unosił ją wysoko i okazywał tryumfalnie tłumom, podczas gdy ona, traktując to jak jeszcze jedną zabawę, obejmowała go wówczas za szyję bądź ciągnęła go z dziecięcym szczebiotem za brodę lub pejsy.

Pośród rozlicznych zajęć w Iwaniu Święty Pan nie zapomniał również o planach na przyszłość, w których zemsta na talmudystach odgrywała niepoślednią rolę.

Już 20 lutego 1759 roku zjawiła się z jego polecenia we Lwowie delegacja frankistów i złożyła na ręce nowego arcybiskupa lwowskiego Władysława Aleksandra Łubieńskiego suplikę, w której między innymi można było przeczytać:

„Z polskich, węgierskiego, tureckiego, multańskich, wołoskich i innych państw Izraelitowie, przez swojego Posłanego, wiernego w Izraelu, w Piśmie Bożym i świętych proroków wyćwiczonego, podniósłszy ręce ku niebiosom, skąd zwykła pomoc przychodzić, ze łzami, przedwiecznych szczęśliwości, zdrowia, długiego pokoju i darów najprzyzwoitszych Bożego Ducha życzym stanowi i Jaśnie Wielmożnej Twojej osobie!

Wiadomo J.W. Dobrodziejowi, jak przed kilkoma laty, w diecezji kamienieckiej, podówczas pod rządem wybranego od Boga biskupa JMci księdza Mikołaja Dembowskiego, niektórzy z naszych, dla strachu prześladowców swoich, potajemnie nauczać poczęli naukę mającą początek z prawdy najwyższej.

O czym dowiedziawszy się, walczący zawsze z duchem mądrości przeciwnicy nasi podnieśli na nas, a raczej na samego Boga, rękę i oskarżyli nas o zbrodnie niesłychane przed sądem pomienionego, już ze świętymi na Abrahamowym łonie odpoczywającego J.W. JMci księdza biskupa kamienieckiego.

Wezwana urzędownie część nasza podała punkta, jak naucza wierzyć całego Izraela i po długim wybadywaniu się niewinność nasza i czystość nauki wyjawione i godnie osądzone zostały.

Toteż nie głód, nie wygnanie z domostw, ale osobliwie łaska Boska woła nas z ciemności na światłość. Nie możemy bowiem być nieposłuszni, tak jak Ojcowie nasi, Bogu. Wychodzimy z ochotą pod chorągiew Krzyża Świętego i prosimy Pana Dobrodzieja o pole, na którym drugi raz zwieść bitwę z nieprzyjaciółmi prawdy

chęć mamy i pokazać z ksiąg świętych, jawnie, zjawienie się na świat Boga w ludzkim ciele, mękę Jego za naród ludzki, potrzebę jedności powszechnej w Bogu oraz dowieść bezbożności onych, grube niedowiarstwo, niewinnej krwi chrześcijańskiej, gorszym niż pogańskim zwyczajem pragnienie, rozlewanie i tejże używanie.

Czekamy dnia tego jak upragnionej wody, kiedy jednym sercem i ustami zaśpiewamy Chwałę Ojcu i Synowi, i Duchowi Świętemu, i kiedy Alef święte, krzywe dotychczas, wyprostuje się i wszystkie cztery świata strony zjednoczy i pobłogosławi błogosławieństwem wiecznym”¹⁸.

Jego eksceleńcja arcybiskup Władysław Aleksander Łubieński pojął w lot, że ewentualne dobrowolne nawrócenie się tysięcy podolskich Żydów na chrześcijaństwo rozślawiłoby na całym świecie nie tylko Najjaśniejszą Rzeczpospolitą, niemającą ostatnio zbyt wielu powodów do chwały, ale także archidiecezję, którą właśnie objął, oraz jego własną arcypasterską osobę. Z drugiej strony kolejną dysputę talmudystów z kontrtalmudystami uważał za jałową wewnątrz żydowską awanturę, burzącą jaki taki spokój na administrowanym przez siebie terenie. Jako wytrawny polityk podejrzewał nawet, że frankiści, o których słyszał jeszcze przed swoim przyjazdem do Lwowa, mogą prowadzić jakąś nieczystą grę, której sensu nie potrafił jednak przeniknąć.

Dlatego najpierw zwlekał z odpowiedzią na ich suplikę, potem zaś nie miał już do niej głowy, jako że trzy tygodnie po otrzymaniu tego pisma, a zaledwie pięć miesięcy po tym, jak objął tron arcybiskupi we Lwowie, został mianowany następcą zmarłego właśnie Prymasa Polski i Litwy Adama Ignacego Komorowskiego.

Do sprawy powrócił dopiero w Warszawie, gdzie dotarło do niego kolejne pismo kontrtalmudystów wysłane ze Lwowa.

W piśmie tym, po złożeniu nowemu prymasowi stosownych gratulacji, frankiści przypominali mu o swojej chęci odbycia drugiej publicznej dysputy z rabinami, jak też prosili go o kolejną łaskę, a mianowicie o wyznaczenie im, w porozumieniu z królem, jakichś miejsc w Rzeczypospolitej, najchętniej na Podolu, gdzie mogliby żyć w spokoju, zabezpieczeni przed agresją i szykanami ze strony ortodoksyjnych Żydów, pisząc między innymi:

„[...] od początku procesu w diecezji Kamienieckiej, kiedy na nas powstała nawałność od nieprzyjaciół naszych, kiedy nas zozydździł Zwierzchności, pod

której skrzydłami mieszkania nasze były, postradaliśmy domostwa i całą substancję naszą. Teraz do końca niedostatków przyszło, że kilkaset obojej płci dusz, po wsiach należących do stołu biskupstwa kamienieckiego, żadnego sposobu nie mając do wyżywienia, najmujem sobie pomieszkania i karmim się powszechną jałmużną, którąśmy mieli przysłać od braci naszych z Królestwa Węgierskiego, z Wołoszczyzny i innych miast. Przy granicach zaś tureckich osiadać, sprawiedliwym napełniamy się strachem i niebezpieczeństwem, dla niepohamowanej złości i nienawiści Talmudystów, tam w mnóstwie znajdujących się. J.O.W. Ks. Mość tą powagą, którą z miłosierdzia Najwyższego zajaśniałeś u JJ.WW. Panów Królestwa tego, nieodwłocznie wyjednasz, że nam w miastach czterech Króla JMci P. N. Miłościwego osiąść dopuszczą i łaskawie przyjmą, bo i głowy nie mamy gdzie skłonić. Do takiej zaś życia odmiany, jaka jest w wierze, potrzeba nam żony, dziatki, krewne nasze i staruszków posadzić, wprzód samym nieprzyjaciołom prawdy pokazawszy prawdę, razem z naszymi, poddać się pod moc nauki Mesjaszowej. Żądamy najpierw osiąść w Busku i w Glinianach, jako w miejscach, we środku prawowiernych zostających, w których, przystojnych sposobów do przeciągnięcia i szukania pożywienia szukać będziemy, czy handlem, czy z pracy rąk, byle bez obrazy Boskiej. Nie spodziewamy się bowiem, aby odtąd który z naszych miał osiadać w karczmach; przez szynki, posługę pijaństwu i wycieńczenie krwi chrześcijańskiej szukać sobie chleba, do czego Talmudystowie przywykli, u których oszukać – odpust. Zebrzemy tedy miłosierdzia i na miłość Boską prosim J.O.W. Ks. Mość napisać za nami do J.O. Ks. JMci Starosty Buskiego, u którego wielu naszych znajduje się, i do J.W. JMci Pana Starosty Gliniańskiego. Upewniamy J.O.W. Ks. Mość przed Bogiem wszystko widzącym, że stateczne są żądze nasze do wody żywej, obmywającej dusze, które pragną wierzyć w prawdę. Tylko o jak najskuteczniejsze zmiłowanie się nad duszami naszymi prosim J.O.W. Ks. Mość. Najposłuszniejsi w Chrystusie Panu synowie”¹⁹.

W zakończeniu listu jego nadawcy prosili jeszcze księdza prymasa Łubieńskiego o przekazanie załączonego, bardzo podobnego w treści pisma Jego Królewskiej Mości Augustowi III. Prymas spełnił ich prośbę, lecz jednocześnie zwrócił się do biskupa pomocniczego lwowskiego Samuela Głowińskiego oraz do administratora archidiecezji lwowskiej ks. kanonika Stanisława Mikulskiego o bliższe informacje na temat kontrtalmudystów, jak też o ocenę szczerości ich zamiaru przyjęcia chrztu.

Jako pierwszy odpowiedział ksiądz kanonik Mikulski, pisząc, że choć tak zwani kontr- albo antytalmudyści, z braku odpowiedniej formacji duchowej i wykształcenia, dopasowują, jak potrafią, dogmaty chrześcijańskie do swoich wyobrażeń i ksiąg religijnych, zwłaszcza do *Zoharu*, głównym zaś motywem ich sporów z ortodoksami wydaje się być wzajemna nienawiść, to jednak z pewnością nie nadzieja przyszłych zysków skłania ich do przyjęcia chrztu, lecz głębokie przeświadczenie o błędach Talmudu i nie mniej głęboka wiara w zbawienność chrześcijaństwa, czego chcieliby dowieść podczas kolejnej dysputy z rabinami.

W podobnym duchu przedstawił sprawę także biskup sufragan lwowski, który poinformował prymasa, że w samym tylko Lwowie mieszka przeszło czterdzieści rodzin owych – jak się wyraził – „żydowskich purytanów”, przy czym w całej Polsce i krajach ościennych liczbę wywodzących się z nich kandydatów na chrześcijan można śmiało szacować na piętnaście tysięcy.

Uzyskawszy jeszcze dodatkowo pozytywną opinię nuncjusza, prymas Łubieński odpisał w końcu kontrtalmudystom:

„Już od pięciu lat o tych dobrych pragnieniach słyszymy, a skutku ich nie widzimy. Upragnionymi zbawiennej wody w suplikach waszych głosicie się jelonkami, ale do tej wody, przez godne dyspozycje, nie zbliżacie się. Nie będąc sami w wierze świętej ufundowani, chcecie wprzód wieść dysputy z bracią waszą w niedowiarstwie pozostającą, do czego czegoś więcej potrzeba jak biegłości w samej Biblii. Z ramienia Najjaśniejszego Króla, do W.W. Starostów Buskiego i Gliniańskiego listy mieć będziecie i na protekcji, tak królewskiej, jako i najpierwszych w tym Królestwie duchownych i świeckich panów, zbywać wam nie będzie, ale jeśli zbawienie wasze dłużej odkładać zechcecie, trwożyć się o siebie i o dusze wasze zacznę, żeby, gdy tylko umyślnymi wynalazkami przyjęcie chrztu świętego zwłóczyć umyślicie, moje szczere o was staranie próżne nie zostało, a wy żebyście się igrzyskiem czartowskim nie stali”²⁰.

W sprawie terminu i organizacji dysputy z rabinami ksiądz prymas dał wolną rękę administratorowi archidiecezji lwowskiej ks. kanonikowi Mikulskiemu, który w porozumieniu z delegacją kontrtalmudystów wyznaczył początek sporu na dzień 17 lipca 1759 roku, ostrzegając przy okazji frankistów, że zaraz po zakończeniu dysputy wszyscy oni będą musieli się ochrzcić.

W celu zapewnienia obecności drugiej strony, wszystkim ruskim i podolskim rabinom, którzy nie stawiliby się tego dnia w archikatedrze

Iwowskiej, ksiądz kanonik Mikulski zagroził grzywną tysiąca talarów na głowę.

W ramach przygotowań do dysputy Święty Pan wybrał się na początku lipca do Kamieńca Podolskiego, gdzie, witany już przed bramą miejską przez urzędników magistratu i podejmowany po królewsku przez panią kasztelanową z Kossakowskich Potocką, zabawił kilka dni. Przywiózł stamtąd piękny krucyfiks na ozdobnej wstędze, który odegrał pewną rolę w ceremonii urządzonej przez niego następnie w Iwaniu.

Otóż, oznajmiwszy po powrocie do Iwania swoim uczniom, że nie ma lepszej wiary niż chrześcijańska i że muszą koniecznie przyjąć chrzest, wziął za wstęgę, na której wisiał ów krucyfiks, i huśtając nim w lewo i prawo, przemaszerował na czele swojej gwardii przybocznej między szpalerem utworzonym przez „Siostry” i „Nares”, śpiewając przy tym po sefardyjsku: „*Forsa damus para verti, seihut grandi asser verti*”²¹. Następnie zamknął się ze wszystkimi uczestnikami ceremonii w domu, wokół którego rozstawił wcześniej warty, rozebrał się do naga, kazał uczynić to samo innym obecnym, po czym ustawił na ławce dwie zapalone świece, wbił między nimi gwóźdź, na którym zawiesił krucyfiks, i ucałowałszy uroczyście krzyż, kłaniał się długo na cztery strony świata. A kiedy po nim zrobiła to samo Jejmość i wszyscy pozostali, chwycił rabinową gliniańską za jej tłuste pośladki i pociągnął ją bez słowa w stronę łoża. Inni poszli w jego ślady według jego wyznaczenia, a gdy któraś z kobiet roześmiała się przy tym głośno, Święty Pan skarcił ją natychmiast:

– Z uczynkiem tym idziemy do nagiej rzeczy, dlatego tak właśnie trzeba iść.
– I pomny tego, co zdarzyło się w Lanckoruniu, na wszelki wypadek kazał zgasić świece.

¹ Kraushar, *Frank i frankiści*, t. I, s. 73.

² Za: Kraushar, *Frank i frankiści*, t. I, s. 73-74.

³ Zgodnie z zasadami sztuki, zgodnie z prawem (łac.).

⁴ W oryginale „Messyasz” – dla większej przejrzystości cytowanych oryginalnych tekstów z XVIII wieku ich pisownia i interpunkcja zostały nieco uwspółcześnione.

⁵ Kraushar, *Frank i frankiści*, t. I, s. 87-88.

⁶ Tryb postępowania (łac.).

⁷ Za: Kraushar, *Frank i frankiści*, t. I, s. 91-92.

⁸ Tamże, s. 96.

⁹ 16 września 1666 r.

¹⁰ Ps 119, 126.

¹¹ Za: Doktor, *Śladami Mesjasza-Apostaty*, s. 59.

- ¹² Rozkazy, postanowienia, rozporządzenia, dekrety (tur.).
- ¹³ Za: Kraushar, *Frank i frankiści*, t. I, s. 108-110.
- ¹⁴ Cudnie! Nasi bracia dostali miejsce! (niem.).
- ¹⁵ Kraushar, *Frank i frankiści*, t. I, s. 124.
- ¹⁶ Tamże, s. 127.
- ¹⁷ Pnp 6, 1.
- ¹⁸ Za: Kraushar, *Frank i frankiści*, t. I, s. 135-138.
- ¹⁹ Tamże, s. 140-142.
- ²⁰ Tamże, s. 145-146.
- ²¹ Daj nam moc widzenia Go i wielkie szczęście służenia Mu.

Rozdział 3

DZIKI KRAJ

Tydzień po naradzie u doktora Callenberga rotmistrz Horst Gottlieb von Zypke stawiał się o dziewiątej rano w Institutum Judaicum et Muhammedicum w cywilnym ubraniu, z sakwą podróżną i ze sporym skórzanym kuferkiem w rękę. Kuferek był tak ciężki, że po postawieniu go na ziemi kawaler orderu *Pour le Mérite* z trudem się wyprostował.

– Cóż tam pan taszczy, panie rotmistrzu? – zdziwił się Johann Friedrich Hermannsdorfer, czekający przy służbowej bryczce na pozostałych misjonarzy już od dobrej godziny.

– Zasadniczo to tajemnica wojskowa – odparł zasapany czarny huzar – ale tobie, bracie, skoro przez najbliższe miesiące mamy trząść się razem na tej furmance, mogę ją zdradzić. To polskie pieniądze, które dostałem z pułku na zakup koni koło Kamieńca Podolskiego.

– Będzie się pan zajmował handlem zamiast nawracać Żydów?

– Dlaczego zamiast? Spróbuję połączyć przyjemne z pożytecznym. Gdzie mogę je schować?

– Najlepiej z tyłu, obok książek. I sakwę też, o ile się zmieści. Tylko proszę zostawić trochę miejsca bratu Olafowi.

– Tak jest. I mów mi po imieniu, bracie – poprosił rotmistrz von Zypke, otwierając wieko dużej drewnianej skrzyni bagażowej zamontowanej z tyłu pojazdu, wypełnionej już w połowie *Światłem wieczornym* Johanna Müllera i Ewangelią św. Łukasza w jidysz.

– Dobrze, bracie Horście.

– Ma pan polskie pieniądze? – z wnętrza bryczki rozległ się niespodziewanie dziecięcy głos. – Chciałbym je zobaczyć.

– Klaus? Jak się masz, chłopcze? Chodź tutaj, to ci je pokażę – ucieszył się czarny huzar.

Rajiv zeskoczył na ziemię i zajął z ciekawością do kuferka.

– Ładne – stwierdził. – Tylko ten ich król strasznie gruby.

– Co fakt, to fakt – zaśmiał się rotmistrz von Zypke. – Chociaż ten ich król to akurat Niemiec.

– Jak to?

– To proste, Klaus. Królem Polski jest Niemiec, elektor saski, tak samo jak ty jesteś Niemcem, choć jesteś Hindusem – wyjaśnił czarny huzar.

– Rozumiem. A jakie konie chce pan kupić?

– Jak najlepsze.

– Najlepsze są siwe – poradził mu malec.

– Siwe? Dobrze, już to sobie zakarbowałem – zsalutował mu pruski oficer.

– A tobie co przywieźć z Polski? Tylko mi nie mów, że siwego konia.

– Siwek byłby najlepszy, ale sam go sobie kupię, jak tam kiedyś pojedę. Bo teraz najważniejsza jest nauka.

– To prawda, mądry z ciebie chłopak – czarny huzar pogładził go po czuprynie, a potem, widząc, że bramę Instytutu przekracza właśnie objuczny bagażami Olaf Caspar Röper, westchnął: – Pora się zbierać, jesteśmy w komplecie.

Kwadrans później cała trójka wędrujących współpracowników zainkasowała za pokwitowaniem po pięćdziesiąt pięć talarów i trzy pruskie grosze diety, zabrała listy do Gdańska i Warszawy, pożegnała się z doktorem Callenbergiem i z wycierającym dyskretnie oczy Rajivem, po czym wskoczyła żwawo do bryczki.

Rotmistrzowi von Zypke wciąż jeszcze pobrzmiwały w uszach słowa, jakie wyrzekł przy pożegnaniu dyrektor Instytutu: „Pamiętajcie, że gdyby nawet pogłoski o podolskim Mesjaszu okazały się nieprawdziwe, w Polsce jest tylu Żydów, że na pewno nie będziecie narzekać na brak pracy”, kiedy siedzący na koźle brat Olaf przeżegnał się solennie, strzelił głośno z bata i skierował bryczkę na wschód.

▪

Z uwagi na trwającą wojnę, współpracownicy Institutum Judaicum et Muhammedicum w Halle musieli nadłożyć nieco drogi, starając się jechać przez miejscowości znajdujące się jeszcze pod kontrolą armii pruskiej. Granicę polską, przez nikogo zresztą nie strzeżoną, przekroczyli dopiero koło Bytomia, skąd ruszyli traktem na Częstochowę.

W Polsce cała trójka odetchnęła z ulgą. Kraj był nieco biedniejszy od Prus (oczywiście tych przedwojennych), miał gorsze drogi, przy których tylko z rzadka widziało się karczmy i zajazdy, lecz najważniejsze było to, że panował w nim błogi spokój.

Co do innych rzeczy, które zobaczyli w Polsce, między trzema misjonarzami szybko doszło do różnicy zdań. I tak, Olafowi Casparowi Röperowi nie podobało się na przykład, że większość budynków w Polsce jest zbudowana z drewna i kryta słomą zamiast dachówką, podczas gdy Johann Friedrich Hermannsdorfer uważał to za całkiem naturalne w kraju niekończących się lasów i pól uprawnych. Z kolei, gdy po zatrzymaniu się w karczmie w Siewierzu, brat Johann zaczął sarkać na panujący w niej brud i nieprzyjemne zapachy, bracia Horst i Olaf kpili sobie z jego malkontentstwa, ciesząc się głośno z tego, że jedzenie było w niej smaczne i obfite, a przede wszystkim tanie. Role odwróciły się, kiedy rotmistrz von Zypke i Olaf Caspar Röper spróbowali polskiego piwa, które uznali za nader cienkie i słabo schłodzone, wówczas bowiem Johann Friedrich Hermannsdorfer, niebiorący w ogóle alkoholu do ust, od razu zaczął wychwalać je pod niebiosa, jako mogące skutecznie odstręczyć ludzi od zgubnego nałogu pijaństwa. Podobnie było z szeleszczącą i obfitującą w nosowe dźwięki wymową miejscowej ludności, określoną przez czarnego huzara jako wyjątkowo bełkotliwa, gdyż nie rozumiał jej ni w ząb, która to wymowa pozostałym braciom zupełnie nie przeszkadzała, jako że na tych pogranicznych terenach i tak niemal z każdym można się było dogadać po niemiecku.

Sami Polacy wydawali się na ogół braciom Olafowi i Johannowi przyjaźni i dobrze ułożeni, z wyjątkiem sytuacji na pierwszym noclegu w Poczesnej, kiedy to okazało się, że w polskich zajazdach wszyscy podróżni, bez różnicy płci i wieku, śpią pokotem na słomie w jednej izbie, przy czym wiele kobiet, z powodu panującego w niej gorąca, zrzuca z siebie całe ubranie. Bracia Olaf i Johann uznali to za nieprzyzwoitość, w związku z czym postanowili spędzić noc pod gołym niebem, natomiast rotmistrz von Zypke oświadczył nagle, że za

granicą należy przestrzegać miejscowych zwyczajów i bez najmniejszych obiekcji skorzystał ze wspólnej sypialni.

Nazajutrz wyrażał się o Polakach, a zwłaszcza o Polkach, bardzo ciepło, do czego być może przyczynił się także fakt, że przy podanym na świeżym powietrzu śniadaniu trzech wędrujący współpracownicy Institutum Judaicum et Muhammedicum w Halle ujrzeni po raz pierwszy Rosjan, o których doktor Callenberg powiedział na naradzie, że robią w Polsce, co im się żywnie podoba.

Moskali było około setki i najwyraźniej wracali z frontu, o czym świadczyło kilkunastu rannych spoczywających na wozach. Podczas gdy dwóch ubranych w zielone uniformy oficerów, obsługiwanych przez nadskakującego im karczmarza, popijało piwo i zajadało jajecznicę na boczku, wojskowy kucharz z zarekwirowanej w gospodzie beczki wydzielał zwykłym żołnierzom solone śledzie, które ci rozrywali następnie palcami na strzępy, zalewali w menażkach wódką, doprawiali kawałkami chleba i rozłożeni wygodnie na trawie jedli powoli łyżkami jak zupę.

Wywołało to ironiczne uśmiešky i złośliwe komentarze braci Johanna i Olafa, tylko rotmistrz von Zypke pozostał niewzruszony, jako że w przeciwieństwie do swoich towarzyszy znał dobrze tych moskiewskich żołdatów – ciężkich, niezgrabnych, o wielkich dłoniach i twarzach bez wyrazu, jakby je ulepiono z ciasta – i to bynajmniej nie ze sposobu, w jaki zaspokajali swój głód i pragnienie, ale z pola walki pod Zorndorf, gdzie z absolutną pogardą śmierci stawiali czoła pruskiej konnicy i ginąc z wolna pod jej szablami, zadawali jej do końca ciężkie straty.

Dlatego syknął na swoich towarzyszy, choć trochę za późno, gdyż ich uwagi usłyszał również jeden z rosyjskich oficerów, który odsunął od siebie piwo, podszedł do ich stołu i uchyliwszy minimalnie czapki, zapytał po niemiecku:

– Prusacy?

– Nie – odparł poblady nagle Olaf Caspar Röper. – Kupcy z Monachium.

– Zatem Bawarczycy... A gdzie wasz towar? – dociekał dalej rosyjski oficer.

– Tam – Johann Friedrich Hermannsdorfer wskazał na bryczkę.

– To go przynieście – zażądał Rosjanin. – Bo jeśli uznam, że jesteście pruskimi szpiegami, każę was rozstrzelać.

Na te słowa bracia Olaf i Johann zerwali się z ławy i rzucili się biegiem do bryczki, skąd przynieśli po chwili kilka egzemplarzy *Światła wieczornego*

wielebnego Johanna Müllera i Ewangelii św. Łukasza w jidysz.

– A cóż to takiego? – zdziwił się rosyjski oficer.

– Handlujemy żydowskimi książkami – odezwał się po raz pierwszy rotmistrz von Zypke.

– Tak? Nie wiedziałem, że parchy potrafią czytać – mruknął Rosjanin i momentalnie stracił zainteresowanie dla całej sprawy. – W takim razie handlujcie nimi dalej, na zdrowie. Ale jak jeszcze raz usłyszę kpiny z moich żołnierzy, to pożałujecie. Zrozumiano?

– Zrozumiano – zapewnili go jednogłośnie trzej współpracownicy Institutum Judaicum et Muhammedicum w Halle, po czym, gdy moskiewski oficer ruszył bez pożegnania w stronę swojej stygnącej jajecznicy, położyli na stole parę monet i nie czekając na wydanie reszty, opuścili czym prędzej gospodę.

Po tym incydencie rotmistrz von Zypke był tak zły na swoich towarzyszy, że kiedy tuż za Poczesną jakiś stojący przy drodze człowiek zaczął do niego machać, aby się zatrzymał, ściągnął gwałtownie lejce bez pytania ich nawet o zdanie. Zrobił to zresztą także pod wpływem nagłego impulsu, jako że mężczyzna, który go zatrzymywał, powiewał czarną flagą z drogim mu wizerunkiem trupiej czaszki i dwóch skrzyżowanych piszczeli.

Właścicielem czarnej flagi okazał się polski szlachcic w wieku około czterdziestu pięciu lat, z sumiastym wąsem i jak nakazywała miejscowa moda, z podgoloną z tyłu jasną czupryną. Polak ubrany był w aksamitny czarny żupan z wyhaftowanym po lewej stronie piersi wielkim czerwonym krzyżem zakonu Santiago, obok którego, na srebrnej agrafie, wisiała niewielka ikonka Matki Boskiej; w długi, również czarny płaszcz podszyty srebrną lamą oraz w karmazynowe buty z wyszytymi na nich srebrnymi konchami św. Jakuba. Z szyi, zapewne dla ochrony przed wszelkim złem i chorobami, zwisał mu spory *agnus Dei* ¹, przedstawiający z jednej strony św. Jana Chrzciciela, z drugiej zaś Baranka, a u czerwonego jedwabnego pasa, związanego na brzuchu w fantazyjny węzeł, pobrzękiwało mu mnóstwo różnej wielkości medalików, różańców i relikwiarzy. Nieznajomy miał jeszcze szablę w skromnej i mocno podniszczonej pochwie, a w rękach, oprócz wspomnianej pirackiej flagi, długą laskę pielgrzyma, zakręconą u góry niczym biskupi pastorał. Dodatkowym malowniczym elementem jego stroju był piękny złoty haft z tyłu płaszcza, wyobrażający gorejące serce Jezusa, który ukazał się zdumionym oczom trzech

współpracowników Institutum Judaicum et Muhammedicum w Halle, kiedy jego właściciel odwrócił się na chwilę, by podnieść z ziemi swój bagaż.

Pruscy misjonarze nie zdołali jeszcze całkiem ochłonąć z wrażenia, kiedy polski szlachcic ze słowami „Bóg zapłać!” wgramolił się z całym swoim dobytkiem do bryczki i rozparłszy się wygodnie na ławeczce, zaczął przecierać spocone czoło rąbkiem pirackiej flagi.

Dopiero gdy nieco odsapnął, przyjrzał się z uwagą swoim dobroczyńcom i zapytał tonem, który sugerował przekonanie graniczące z pewnością:

– Lutry?

To akurat rotmistrz von Zypke, mający za sobą naukę polskiego u generała Pawła Józefa Małachowskiego, a świeżo w pamięci niedawny incydent z rosyjskim oficerem, zrozumiał bardzo dobrze, odburknął więc na wszelki wypadek:

– *Nein, die Spanier*².

Po tych słowach oczy polskiego szlachcica niespodziewanie rozbłysły, a on sam zerwał się z ławki i wykrzyknął otwierając szeroko ramiona:

– *¿Los españoles? ¡Válgame Dios! ¿Y qué hacen en Polonia, queridos amigos?*³.

W odpowiedzi trzej pruscy misjonarze spojrzeli po sobie bezradnie i w milczeniu spuścili głowy.

– A jednak lutry! – uśmiechnął się Polak. – Od razu poznałem pludraków.

Po czym przeszedł gładko na niemiecki:

– Czego się boicie? To wolny kraj. Każdy może wierzyć, w co chce, póki komuś innemu nie dmucha w kaszę. Szczególnie cudzoziemiec. Dokąd jedziecie?

– Najpierw do Warszawy, potem do Kamieńca Podolskiego – wyjaśnił zawstydzony brat Johann.

– To świetnie się składa, bo ja też do Warszawy. Ale najpierw do Częstochowy, pokłonić się Najświętszej Pani. A co będziecie robić w Kamieńcu?

– Kupować konie – odparł rotmistrz von Zypke. – Podobno tam są najlepsze, zwłaszcza siwe.

– Siwe? – zdziwił się polski szlachcic. – Pierwsze słyszę, ale to możliwe. Tak czy owak, jechać tam po konie to dobry pomysł.

– Nie tylko po konie – wtrącił Olaf Caspar Röper. – Mówiono nam w Niemczech, że podobno pojawił się tam jakiś żydowski prorok, może nawet

sam Mesjasz, i że miejscowi Żydzi skłaniają się ku chrześcijaństwu, więc przy okazji chcemy się przekonać, czy to prawda. Słyszał pan coś o tym?

– Mesjasz? Nie słyszałem... Chociaż nie, chwileczkę. Za granicą, skąd właśnie wracam, słyszałem o jakimś proroku z Podola. Tyle że nie żydowskim, ale polskim, rzymskokatolickim, niejakim panu Komornickim, co miał podobno taką fantazję, że się miłował na zabój w kozach i wyuczył całe ich stadko do ciągnięcia wózka, którym podróżował, one zaś, odpłacając mu równie gorącym afektem, nie odstępowały go nigdy nawet na krok. Otóż ten pan Komornicki jeździł ponoć swoim zaprzęgiem po całym kraju, podawał się za proroka i bałamucił różnymi przepowiedniami i prorocत्वami nie tylko pospólstwo, ale i obywatele, póki nie wdał się w to nowy biskup kamieniecki Adam Krasiński, który mu tego surowo zabronił, wózek skonfiskował, a wszystkie jego kozy kazał aresztować. Ale moim zdaniem od proroka do Mesjasza droga jeszcze daleka, dużo dalsza niż, nie przymierzając, od zaprzęgania kozy czy jeżdżenia na niej wierzchem do poślubienia jej przed ołtarzem i płodzenia z nią legalnego potomstwa. Wątpię przy tym, żeby ów pan Komornicki, jako szlachcic, miał coś wspólnego z Żydami.

– No tak – przyznał mu rację Johann Friedrich Hermannsdorfer i zmarkotniały spuścił nos na kwintę.

– A co pan robił za granicą? – zapytał brat Olaf.

– Walczyłem za wiarę – odpowiedział z dumą polski szlachcic. – Pod tym sztandarem – wskazał na swoją czarną flagę z białą czaszką i skrzyżowanymi puszczelami. – I pod tym.

Po tych słowach wyciągnął z sakwy, a następnie ucałował i rozwinął na wietrze białą flagę z wyszytą na niej owalną tarczą herbową, obwiedzioną złoto-czerwonym łańcuchem i podzieloną na pięć części, z których dwie, ułożone po jednej przekątnej, przedstawiały złoty trzywieżowy zamek na czerwonym tle, dwie inne usytuowane na osi drugiej przekątnej, stojącego na tylnych łapach czerwonego lwa w białym polu, natomiast piąta, dużo mniejsza od pozostałych i znajdująca się poniżej nich, czerwono-złoty owoc granatu. Środek herbu zajmował niewielki owal z trzema złotymi liliami na niebieskim tle. Tarczę herbową wieńczyła złoto-czerwona korona królewska i ozdabiały z boków kręcone błękitne wstęgi, zaś u dołu zwisał z niej wygięty w kabłąk złoty baranek na czerwonej wstążce.

– Cóż to za sztandar? – zainteresował się rotmistrz von Zypke.

– To bandera hiszpańskiej marynarki wojennej – wyjaśnił Polak. – Sami panowie widzą: korona i lilie Burbonów, herby Kastylii, Leonu i Granady, a tu order Złotego Runa. Błękitne wstęgi symbolizują Ducha Świętego.

– Służył pan w hiszpańskiej marynarce wojennej? – zdumiał się Johann Friedrich Hermannsdorfer.

– Nie. Zbudowałem sobie w Gdańsku brygantynę, uzbroiłem ją, zatrudniłem niemieckich majtków i popłynąłem na Morze Śródziemne bić Turków i algierskich piratów.

– I dużo ich pan nabił?

– Dopóki oprócz Turków i Algierczyków nie zaczęli mnie ścigać również Hiszpanie, zatopiłem jedną korwetę i siedem galer. Potem jeszcze jedną, ósmą, ale ta niestety była hiszpańska, więc nie liczy się w rejestr.

– A dlaczego ścigali pana także Hiszpanie? – zdziwił się czarny huzar.

– Dlatego że czasami atakowałem bisurmanów pod ich flagą, czym o mało nie wywołałem wojny Madrytu z Turcją.

– Ale jakoś im się pan wymknął, jak się domyślam?

– Tak, do Civitavecchia, lecz tam, na skutek interwencji posła hiszpańskiego, urzędnicy papiescy zarekwirowali mi okręt, a mnie samego aresztowali. Na szczęście na krótko, bo w sprawę wdał się dwór polski i raz dwa musieli mnie wypuścić.

– I co teraz? Z powrotem na morze?

– Zobaczymy. Może na morze, może do Turcji, żeby wykupywać jeńców chrześcijańskich, a może jeszcze coś innego. Coś pożytecznego na pewno się znajdzie, bo strasznie nie lubię trawić czasu w domowej sedenterii. Tymczasem chciałbym odwiedzić parę miejsc i zobaczyć rodzinę pod Nowogródkiem. Byliście po drodze w Lubecku?

– Nie.

– To szkoda, bo to niedaleko. Macie na pamiątkę – sięgnął do swojej sakwy i wyjął z niej trzy malutkie drzeworyty przedstawiające dość nieudolnie Madonnę z Dzieciątkiem. – Kupiłem je kiedyś na odpuszcie. To Matka Boska Lubecka cudami słynąca.

A kiedy bracia Horst, Olaf i Johann wahali się, czy ów dar przyjąć, dodał:

– Bierzcie, nie pogryzie was. Jeśli wam nie pomoże, to i nie zaszkodzi.

Protestanczy misjonarze przyjęli zatem ofiarowane im z dobrego serca obrazki, ale nie zdążyli nawet za nie podziękować, kiedy nagle zza drzew

i zarośli ciągnących się wzdłuż drogi wypadło około dwudziestu zbrojnych jeźdźców i błyskawicznie otoczyło bryczkę.

– Ręce do góry! *Hände hoch!* ⁴ – zakomenderował dowodzący nimi dwudziestolatek o urodzie greckiego efeba, celując z pistoletu prosto w pierś siedzącego na koźle rotmistrza von Zypke.

– *O mein Gott!* ⁵ – zawołał ze zgrozą czarny huzar, bynajmniej nie z tego powodu, że grożono mu bronią, do czego zdążył być już w swym życiu przywyknąć, lecz dlatego, że wszyscy napastnicy używali pruskich siodeł i szabel, a kilku z nich nosiło uniformy najślawniejszego, oprócz jego własnego, pułku pruskiej kawalerii, czyli regimentu czerwonych huzarów.

– Kim jesteście, dokąd jedziecie i co macie w sakwach? – zapytał tymczasem urodziwy dwudziestolatek.

– Jerzy Wandalin Korytkowski herbu Jelita, sędzic stokliski, kapitan królewskiej marynarki hiszpańskiej z własnej nominacji – przedstawił się polski szlachcic z uniesionymi do góry rękami. – Wracam do domu z Morza Śródziemnego, gdzie gromiłem niewiernych. A w sakwie nie mam nic oprócz garści tureckich piastrów.

Po tych słowach paru napastników parsknęło śmiechem, lecz ich młody dowódca pozostał niewzruszony.

– Sprawdź go, Mołodecki – polecił jednemu z podkomendnych, po czym zwrócił się do pozostałych pasażerów bryczki: – A wy?

– To lutry, nie rozumieją po polsku – wyjaśnił pan Jerzy Wandalin Korytkowski herbu Jelita.

W tej sytuacji dowódca oddziału powtórzył swoje pytanie po niemiecku:

– *Wer seid ihr, wo fahrt ihr hin, was habt ihr in den Säcken?*

– Jesteśmy ubogimi pruskimi misjonarzami i jedziemy na Podole nawracać Żydów. A pieniędzy mamy tyle, co kot napłakał – odpowiedział z przestraczem brat Johann.

– Zobaczmy. Przeszukaj powóz, Norman – szef rabusiów skinął na innego ze swoich ludzi, wyróżniającego się spośród reszty wyjątkowo niechlujnym wyglądem.

Żołnierz o nazwisku Mołodecki skończył rewidować pana Korytkowskiego, po czym przetrząsnął jego sakwę, skąd wyjął kilka srebrnych monet i pokazał je dowódcy:

– Powiedział prawdę. To chyba tureckie piastry.

– Więc mu je zostaw. Tu nic z nimi nie wskórasz – zawyrokował młody człowiek. – Teraz sprawdź Prusaków.

Mołodecki przeszukał bardzo sprawnie trzech Niemców, odbierając każdemu z nich jego służbowe diety.

– W sumie ze sto pięćdziesiąt pruskich talarów – oświadczył po zajrzeniu do wszystkich sakiewek, które przekazał następnie dowódcy.

– Panie, nie będziemy mieli z czego żyć! – poskarżył się na ten gwałt Olaf Caspar Röper.

– Oddaj im po jednym talarze, niech znają polską gościnność – polecił młody herszt bandy.

– To rozbój w biały dzień! – oburzył się Johann Friedrich Hermannsdorfer.

– I owszem – odparł kpiąco piękny zbój. – A ty co myślałeś? Że wieczorek tańczący?

Tymczasem przetrząsający bryczkę Norman otworzył skrzynię bagażową, zaś rotmistrz von Zypke pokraśniał na twarzy, choć nie wyrzekł ani słowa, świdrując oczami dowodzącego napastnikami młodzieńca i usiłując przypomnieć sobie za wszelką cenę, skąd go zna, bo tego, że gdzieś już go widział, był absolutnie pewny.

– Niech wasza książęca mość spojrzy, co tutaj mają nasi ubodzy misjonarze! – wykrzyknął nagle po niemiecku obszarpany Norman.

„Wasza książęca mość?!” – zdumiał się rotmistrz von Zypke i w tym samym momencie doznał olśnienia: „Zorndorf! Tak jest, Zorndorf! Z całą pewnością!”.

– Chcecie nawracać Żydów czy ich przekupywać? – zdziwił się z kolei dowódca bandytów po zajrzeniu do kuferka wypełnionego po brzegi nowiutkimi polskimi tynfami.

– To nie są pieniądze dla Żydów, tylko na konie dla armii pruskiej, *herr General* – wypalił w odpowiedzi rotmistrz von Zypke.

– *Herr General?! O mein Gott!* – chwycił się za głowę brat Olaf.

– Czy my się znamy, misjonarzu? – zapytał wyniośle piękny młodzian.

– *Jawohl, herr General*⁶. Znamy się spod Zorndorf. Rotmistrz Horst Gottlieb von Zypke do usług, z regimentu czarnych huzarów. Atakowałem tam rosyjską piechotę, kiedy pan zabezpieczał odwrót z czerwonymi.

– *¡Menudos misioneros! ¡La madre que los parió!*⁷ – pan Korytkowski przeżegnał się ze zgrozą.

– No proszę, czarny huzar! – stwierdził ironicznie dowódca rabusiów, po czym zwrócił się do swoich ludzi: – Oddajcie cześć towarzyszowi broni, a potem bierzcie pieniądze i w nogi.

Ale tylko kilku z jego podkomendnych zasalutowało niedbale rotmistrzowi von Zypke, reszta puściła ten rozkaz mimo uszu, dwóch czy trzech zaś pokazało czarnemu huzarowi nieprzyzwoity gest środkowym palcem dłoni.

– Co pan wyprawia, panie generale?! – zawołał roztrzęsiony rotmistrz von Zypke. – To są pieniądze króla Prus i jego armii!

– Mam w dupie króla Prus i jego armię – odparł na to spokojnie młody generał.

– Złożę na pana raport w sztabie generalnym! – zagroził czarny huzar.

– Składaj sobie waćpan choćby i sto – zaśmiał się piękny młodzian. – Ale teraz baczność i milczenie! Niech pan nie zapomina, że jestem starszy stopniem.

Rotmistrz von Zypke skrzywił się. Przez moment nie wiedział, co począć, w końcu jednak wyprężył się jak struna i zastygł w postawie zasadniczej.

– *O mein Gott!* – jęknął na ten widok brat Johann.

Ale nie był to jeszcze koniec upokorzeń czarnego huzara, wtedy bowiem odezwał się niechłujny Norman:

– Mości książę, bardzo potrzebuję nowego ubrania. A ten rotmistrz jest akurat mojego wzrostu.

– No to na co czekasz? – wzruszył ramionami piękny efeb.

– Jazda, wyskakuj z surduta, portek, koszuli i butów! – polecił czarnemu huzarowi obszarpany Norman. – Tylko szybko, bo ja też jestem Prusakiem i nie znam się na żartach.

– Panie generale! Nie pozwoli pan chyba... – odezwał się mimo wszystko rotmistrz von Zypke.

Lecz młody generał przerwał mu w pół zdania:

– *Maul halten!*⁸. Wykonać.

W chwilę później rotmistrz von Zypke został na wozie w samych gaciach i co gorsza bez możliwości okrycia się czymkolwiek, gdyż pazerny Norman zabrał mu także sakwę z odzieżą na zmianę. Na ten widok piękny jak cherubin książę zaczął śmiać się do rozpuku, potem jednak sięgnął do przytroczonej u swego siodła torby, wyjął z niej czerwoną wojskową kurtkę ozdobioną wyjątkowo bogato szamerunkami, galonami i rzędami błyszczących guzików, i rzucił ją pod nogi nieszczęsnemu Prusakowi.

– Masz – powiedział. – Jestem lepszy od waszego króla. Mianuję cię generałem. Za Zorndorf.

A potem obrócił konia i zniknął ze swoimi ludźmi w lesie.

Rotmistrz Horst Gottlieb von Zypke jeszcze długo wyrzucał z siebie najszpetniejsze przekleństwa i darł się na całe gardło „Dziki kraj! Dziki kraj!”, nie mogąc w żaden sposób trafić dłonią w rękaw generalskiej kurtki. Kiedy mu się to wreszcie udało i nieco ochłonął, zaspokoił w końcu ciekawość swoich towarzyszy, już od dłuższego czasu dopytujących się o tożsamość herszta bandytów.

– To książę Marcin Lubomirski, dowódca czerwonych huzarów i, jak widać, przeklęty złodziej i zdrajca! – wykrztusił z nienawiścią.

– Książę Lubomirski?! – powtórzył głucho pan Korytkowski. – *O mein Gott!* To naprawdę koniec świata!

▪

Kiedy emocje wywołane napaścią nieco opadły, trzej protestanccy misjonarze zaczęli się naradzać, co robić dalej. Czarny huzar chciał natychmiast wracać do Prus, lecz pozostali bracia byli zdania, że lepiej spróbować dotrzeć do Warszawy, gdzie może uda się pożyczyć jakieś pieniądze w pruskiej ambasadzie. Największym problemem było to, za co żyć po drodze i czym okryć nagość rotmistrza von Zypke, niemieszczącego się w żadnym z ocalałych ubrań. Ale tu nieoczekiwaną pomoc zaoferował pan Korytkowski, który, jak się okazało, posiadał nie tylko wzgardzone przez rabusiów tureckie piastry, ale także trochę austriackich talarów, dobrze ukrytych w obcasach karmazynowych butów.

Polski szlachcic zaproponował, że będzie żywił trzech Niemców aż do Warszawy, jeśli ci go do niej zawiozą, zatrzymawszy się przedtem na jeden dzień w Częstochowie, gdzie chciał podziękować Najświętszej Paniencie za wielokrotne ocalenie z rąk muzułmańskich piratów i hiszpańskiej marynarki wojennej, jak też, że sprawi rotmistrzowi von Zypke jakieś ubranie, by nie siał w Polsce publicznego zgorszenia.

Współpracownicy Institutum Judaicum et Muhammedicum w Halle przyjęli tę propozycję z wielką wdzięcznością. W Częstochowie, w czasie gdy pan Korytkowski modlił się pod obrazem Najświętszej Marii Panny, czarny huzar zaopatrzył się w najtańszą koszulę, spodnie i buty, jakie udało mu się znaleźć

w całym mieście, brat Johann zwiedzał Jasną Górę, a brat Olaf wyjął podróży szkicownik i wykonał piórką, z wielką dbałością o detale, kilka widoków jasnogórskiej twierdzy, na jakich, jak zauważył potem ze zdumieniem rotmistrz von Zypke, który po zakupach zaskoczył go przy tej rozrywce, zaznaczył precyzyjnie nie tylko grubość jej potężnych murów, ale nawet kaliber stojących na jej wałach armat.

Przedmieścia Warszawy, do których dotarli po kilku dniach nudnej jazdy, bardzo Prusaków rozczarowały. Ciągąca się milami rzadka drewniana zabudowa, przetykana łąkami i polami uprawnymi, krzywe i wyszczerbione płoty z pasącymi się za nimi krowami i taplającymi się w błocie świniami, kaczkami i gęsiami, wałęsające się po gościńcu kozy i owce, krążące w powietrzu chmary gołębi, dochodzące zewsząd gdakanie kur, pianie kogutów i jazgot podwórkowych kundli, sady, przed którymi uwijały się bosonogie dzieci oferujące natarczywie przejezdnym świeżo zerwane maliny, czereśnie, kwas chlebowy, domowy podpiwek albo zimną wodę, wysiadujący na ławeczkach bez ruchu i bez celu wiekowi starcy, a wreszcie unoszący się nad wszystkim ostry odór gnojówki – bardziej przywodziły na myśl gigantyczną wieś, niż zapowiadały bliskość stolicy rozległego państwa.

Dalej jednak zrobiło się ciekawiej. Przestrzeń między domami zaczęła się kurczyć, pola i pastwiska stopniowo znikać, budynkom coraz częściej przybywało dodatkowe piętro albo poddasze, drewno ustępowało miejsca cegle i kamieniowi, gont wypierał słomę, płoty stawały się gęstsze i równiejsze, wszechobecne dotąd zwierzęta i ptaki wróciły do swoich chlewów, obór i kurników, smród gnojówki znacznie zelżał, i nawet psy i koguty – na co zwrócił uwagę muzyczny brat Johann – nie odzywały się teraz, jak dotychczas, na zasadzie *tutti*⁹, *crescendo*¹⁰ i *molto vivace*¹¹, lecz wołały raczej popisywać się pojedynczo bądź co najwyżej *a due, tre* czy *quattro voci*¹², z każdą zresztą przebytą milą coraz bardziej *diminuendo*¹³ i coraz wyraźniej *piano*¹⁴ i *pianissimo*¹⁵.

W sielskim dotąd krajobrazie pojawiały się coraz liczniej różne składy opału, magazyny, cegielnie, młyny, browary, tartaki, gorzelnie, zajazdy i manufaktury, droga zaś wygładziła się niepostrzeżenie. Jeszcze dalej – przed mijanymi ogrodami i sadami zaczęły wyrastać okazałe bramy wjazdowe z drewna bądź z fantazyjnie kutego żelaza, zdobne często w ondulowane kartusze herbowe pełne jaskrawych wież obronnych, podków, toporów, skrzyżowanych

mieczy, rozmaitych gryfów, ryb, półksiężyców i orłów. Za nimi widać było kolumnowe ganki, trójkątne frontony, kwietne klomby, żwirowe podjazdy, antyczne amfory i wazy, chińskie altany i tureckie pawilony, jak też niemal obowiązkowe kępy bzu lub jaśminu, z których często zerkały ciekawie ku drodze pulchne gipsowe putta, biodrzaste nimfy i jurne brodate satyry.

Bliżej śródmieścia nad przeważającą do tej pory niską zabudową, która znów się ścieśniła i podniosła, poczęły strzelać ku górze fasady, wieże i dzwonnice kolejnych kościołów i klasztorów, natomiast na drodze, a właściwie już na ulicy, zabudowanej po raz pierwszy w sposób ciągły z obu stron, z każdą chwilą przybywało ciężkich fur i wozów, przeróżnych bryczek, kolas, karoc i kariolek oraz jeźdźców i pieszych.

Proste koszule i portki z lnianego płótna woźniców, tragarzy czy węglarzy mieszały się z liberiami służby, z eleganckimi mundurami gwardii pieszej i konnej, ze skrojonymi podług niemieckiej mody mieszczańskimi surdutami, z szarymi bądź brązowymi habitami mnichów, z czarnymi sutannami księży i takimiz chałatami Żydów, z pastelowymi barwami sprowadzonych prosto z Paryża albo Londynu sukien wytwornych dam, z wzorzystymi frakami eleganckich panów i z narodowymi strojami miejscowej szlachty – szafirowymi, cytrynowymi, szmaragdowymi, pąsowymi, kremowymi, białymi, granatowymi, lawendowymi, karmazynowymi i Bóg wie jakiej jeszcze barwy – do których noszono z reguły żółte lub karmazynowe buty z safianu.

To właśnie polskie kontusze i żupany wzbudziły największe zainteresowanie protestanckich misjonarzy. Na kąśliwą uwagę brata Olafa, że Polacy wyglądają w nich jak pawie lub papugi albo snopki zboża przetykane chabrem i makami, ostro zareplikował brat Johann, mówiąc, że pod względem strojów narodowych nikt nie sprawia głupszego wrażenia od Bawarczyków i Szwajcarów, podobnych w swoich krótkich spodniach do przerośniętych gnomów, nie mówiąc już o Szkotach, których gremialnie można podejrzewać o sodomie.

Jeszcze bardziej interesujących widoków dostarczyła trzem Prusakom zatłoczona pojazdami i ludźmi ulica Nowy Świat, gdzie z solidnymi kamienicami i drewnianymi dworkami sąsiadowało kilka pięknych pałaców. Lecz prawdziwy odgrywany przed ich oczami spektakl form oszołomił ich dopiero, kiedy wjechali na Krakowskie Przedmieście, pełne jońskich i korynckich kolumn i półkolumn, pulsujących światłocieniem arkad, głęboko żłobionych pilastrów, granitowych kul i ostrosłupów, załamujących się schodkowo albo powyginanych fantazyjnie

na boki gzymsów i architrawów, pofalowanych balustrad i zakręconych wielokrotnie niczym skorupy ślimaków wolut, wraz z zamieszkującymi ten kamienny gąszcz rzeźbami o rozwianych włosach i szatach, zapatrzonymi nabożnie w niebo lub rozgestykulowanymi jak przekupnie na włoskim targu i niezwracającymi najmniejszej uwagi na dźwigane przez siebie krzyże bądź narzędzia męki.

Za Krakowskim Przedmieściem trzej współpracownicy Institutum Judaicum et Muhammedicum w Halle obejrzeni z ciekawością siedzibę władców Polski, przypominającą zdaniem brata Olafa, który widział kiedyś stosowną rycinę, hiszpański Eskurial, tyle że zbudowaną z cegły, znacznie mniejszą i nie aż tak surową jak jej hiszpański pierwowzór, a także piękny spiżowy posąg króla Zygmunta z krzyżem w jednej ręce i z szablą w drugiej, ustawiony na marmurowej kolumnie o wykwintnych proporcjach i wskazujący wspomnianą szablą na Moskwę, którą ów król zdobył w 1612 roku, jak im wyjaśnił pan Korytkowski.

Zasięgnąwszy pod tą kolumną jeszcze raz języka, czterej podróżni udali się następnie na ulicę Senatorską, na tyłach której znajdował się cel ich podróży – biblioteka braci Załuskich.

Mieściła się ona w okazałym, lekko klasycyzującym pałacu, składającym się z parteru, dwóch pięter i poddasza i zwieńczonym kopułą stanowiącą zarazem obserwatorium astronomiczne. Do tego podstawowego korpusu budynku dobudowywano właśnie z obu stron jednopiętrowe boczne skrzydła, toteż na dziedzińcu, gdzie luterańscy misjonarze zaparkowali swój pojazd, panował spory rozgardiasz.

Do biblioteki wchodziło się po schodach, których balustrady zdobiły posągi Wiary, Wiedzy, Cnoty i Mądrości. Wiele innych posągów w antycznym stylu wieńczyło także poręcz okalającą spadzisty dach budynku, z dołu jednak trudno było odgadnąć, co czy też kogo one przedstawiają, z wyjątkiem sporych rozmiarów Pallas Ateny umieszczonej tuż nad głównym wejściem, na którego obramieniu widniał skromny, lecz budzący szacunek napis „SIC VOS NON VOBIS”¹⁶, wryty majuskułą w miękkim piaskowcu.

Jak wynikało z mosiężnej polsko-łacińskiej tabliczki przybitej obok drzwi, z biblioteki można było korzystać bezpłatnie od godziny ósmej rano do dwunastej w południe i od piętnastej do dziewiętnastej w lecie, a do siedemnastej w zimie, więc trzej współpracownicy Institutum Judaicum et Muhammedicum

oraz pan Korytkowski dostali się do niej bez trudu, zgłaszając odźwiernemu chęć zobaczenia się z jej prefektem panem Janem Danielem Janotzkim, dla którego przywieźli list z Halle.

Kiedy przywołany przez odźwiernego lokaj poszedł powiadomić o tym pana Janotzkiego, czterej podróżni dla zabicia czasu zajęli się studiowaniem fresku wymalowanego na ścianie westybulu.

Przedstawiał on drzewo wiadomości dobrego i złego, które Bóg zasadził w ogrodzie Eden, a z którego nie wolno było spożywać naszym prarodzicom. Drzewo poznania, o pięknych złocisto-różowych owocach będących czymś pośrednim między figą a granatem, miało łuskowaty niczym palma pień rozdzielający się następnie na siedem grubych konarów ozdobionych napisami „THEOLOGIA”, „LEX”¹⁷, „HISTORIA”, „PHILOSOPHIA”, „MEDICINA”, „MATHEMATICA” oraz „SCIENTIAE NATURALIS”¹⁸, od których odchodziły cieńsze gałęzie z nazwami różnych języków: łaciny, greki, polskiego, francuskiego, włoskiego, niemieckiego i angielskiego, a także gałąź określona zbiorczym mianem „LINGVAE MINORES”¹⁹.

Od pana Goetzego, niemieckojęzycznego pomocnika pana Janotzkiego, który właśnie się zjawiał, by powiedzieć gościom, że prefekt przyjmie ich za pół godziny, trzej protestanccy misjonarze i pan Korytkowski dowiedzieli się także, iż podobnie jak drzewo poznania w raju symbolizowało Boży porządek wszechświata, drzewo w westybulu biblioteki Załuskich stanowiło klucz do zgromadzonego w niej olbrzymiego księgozbioru, pozwalając odnaleźć w jej czeluściach każdą potrzebną książkę lub rękopis, jego zaś piękne owoce wskazywały na to, że zgromadzona w tym miejscu wiedza jest zdrowa i pożyteczna, o ile sięga się po nią w dobrym celu i korzysta z niej w godziwy sposób.

Pan Goetze powiedział dalej, że biblioteka Załuskich była największym otwartym dla publiczności księgozbiorem w Europie, liczącym około dwustu tysięcy książek, dziesięciu tysięcy rękopisów oraz wiele tysięcy map, atlasów, sztychów, gazet i druków ulotnych, które zajmowały aż dwadzieścia dziewięć sal pałacu. Biblioteka posiadała ponadto gabinet numizmatyczny z bogatą kolekcją monet i medali, pracownię fizyczną, obserwatorium astronomiczne oraz interesujący gabinet osobliwości. Znakomita większość zgromadzonych w niej zbiorów pochodziła z prywatnej, budowanej przez lata kolekcji hrabiego Józefa Andrzeja Załuskiego, biskupa kijowskiego, finansowanej w dużej mierze przez

jego starszego, nieżyjącego już brata Andrzeja Stanisława, biskupa krakowskiego.

Zbiory te wciąż rozbudowywano. Książki kupowano w całej Europie, zwłaszcza, nie licząc Polski, w Paryżu, Londynie, Rzymie, Wenecji, Hamburgu, Amsterdamie, Lipsku, Frankfurcie i Dreźnie, i to zarówno w księgarniach, jak i na aukcjach czy wyprzedażach bądź bezpośrednio od spadkobierców znanych erudyków i bibliofilów. Inne woluminy otrzymywano za darmo od zaprzyjaźnionych autorów, wydawców i księgarzy, zdobywano w drodze wymiany dubletów z innymi kolekcjonerami lub uzyskiwano dzięki sporządzaniu wiernych kopii. Niektóre zaś po prostu zabierano z pokrytych pajęczyną lektoriów, piwnic albo strychów licznych polskich klasztorów: cystersów w Tyńcu, benedyktynów na Łysej Górze, kamedułów na Bielanach, jezuitów w Wilnie czy misjonarzy w Warszawie, wykorzystując w tym celu biskupi tytuł i autorytet fundatora. Nieskrywaną ambicją hrabiego Józefa Andrzeja Załuskiego było bowiem posiadać wszystko, co kiedykolwiek napisano odręcznie bądź wydano drukiem, jeśli już nie na całym świecie, to przynajmniej w Polsce.

Jak podkreślił z dumą pan Goetze, w Bibliotece Załuskich można było zamówić każdą, nawet najrzadszą książkę i każdy rękopis, lecz nie wolno było samemu zdejmować niczego z półek. Większość książek można było także wypożyczyć do domu za kaucją dziesięciu dukatów, za każdą jednak wyrządzoną szkodę przewidziano dotkliwe kary. Kradzież książki uważano za niesłychaną zbrodnię: winowajca nie tylko musiał zapłacić jej równowartość w złocie, ale otrzymywał również dożywotni zakaz wstępu do biblioteki. Niestety, nie wszystkich to odstraszało, bo złodzieje działali niekiedy na zlecenie bogatych kolekcjonerów, w tym również zagranicznych, toteż na specjalną prośbę biskupa Józefa Andrzeja Załuskiego wszyscy dopuszczający się w jego bibliotece kradzieży zostali dodatkowo obłożeni ekskomuniką przez papieża Benedykta XIV.

Po tych wyjaśnieniach pan Goetze zaprowadził gości do położonej na pierwszym piętrze czytelnicy, prosząc ich po drodze, by niczego w niej samodzielnie nie dotykali.

Wykwintnie urządzona czytelnicy była największym i najważniejszym pomieszczeniem biblioteki (pozostałych dwadzieścia osiem sal służyło przede wszystkim za magazyny książek), odpowiednio oświetlonym przez osiem dużych weneckich okien. Wpadające przez nie światło odbijało się i wzmacniało

w wielkim, złożonym z kilku tafli lustrze, umieszczonym na przeciwległej do okien ścianie, którą zdobił posąg i herb fundatora. Środek czytelnicy zajmował ogromny ośmioboczny stół z wieloma szufladami, przy którym czuwał zawsze któryś z pomocników prefekta – nawet teraz, gdy z powodu wczesnej pory w bibliotece nie było jeszcze żadnych czytelników. Na stole leżały książki zamówione w poprzednich dniach, niedoczytane do końca lub czekające już na odniesienie na swoje miejsce, a także najnowsza prasa w kilku językach, darmowe przybory do pisania i stos luźnych kartek. Można było robić na nim notatki, rozkładać nawet największe mapy i pod okiem bibliotekarza studiować najcenniejsze rękopisy.

Amatorzy lektury mieli do swej dyspozycji jeszcze kilkanaście mniejszych stolików z wygodnymi fotelami, rozstawionych to tu, to tam po całej sali. Na jednym z owych stolików drzemał wyciągnięty na boku spory kocur o oryginalnym jasnobieżowym futrze w rude prążki. Pan Korytkowski już się zamachnął, żeby go przepędzić, kiedy został powstrzymany przez pana Goetzego:

– Proszę tego nie robić. To nasz pracownik, Blankiet. Pilnuje, żeby między książki nie wdarły się myszy. Mamy tu na etacie więcej kotów, ale czytelnia, gdzie eksponujemy największe rarytasy, należy *ex officio*²⁰ do najszybszego i najłowniejszego z nich.

– A więc to wojak, w dodatku dowódca! – roześmiał się rotmistrz von Zypke. – Tymczasem śpi w pracy jak zwykły urzędnik.

Obchodząc ostrożnie śpiącego kota, pan Goetze podprowadził gości do szaf z kratką, gdzie wystawiano wspomniane rzadkości. Można tam było znaleźć średniowieczne manuskrypty ze wspaniałymi inicjałami i miniaturami, często ozdobione jeszcze marginalnymi floraturami bądź okalającymi cały tekst wzorzystymi bordiurami, pradawne roczniki i kroniki królestwa polskiego napisane łaciną, którą tylko z najwyższym trudem rozumieli współcześni uczeni, choć nie rozumiałby jej z pewnością Cyceron ani Tacyt; omszałe burgundzkie mszały, kapiące od złota iluminowane kodeksy z Bizancjum, wczesne włoskie i niemieckie inkunabuły, szesnastowieczne druki polskie z prząsnymi, grubo ciosanymi drzeworytami, orientalne rękopisy podobne do barwnych kobierców, wielkoformatowe albumy francuskie z rycinami odtwarzającymi najsławniejsze obrazy różnych szkół malarskich, niemieckie atlasy, z którymi nie sposób było zabłądzić w żadnej części świata, mapy nieba i układu planetarnego *in folio*²¹, jak

również kilka oprawionych w srebrne ramki odręcznych listów królów Polski i wystawionych przez nich dokumentów urzędowych obwieszonych pieczęciami z czerwonej laki.

Dodatkową ozdobę czytelnicy stanowiło kilkanaście popiersi sławnych filozofów, uczonych i pisarzy, siedem lub osiem obrazów przedstawiających sceny biblijne, mitologiczne lub zaczerpnięte z dziejów Polski, a także mnóstwo łacińskich i polskich inskrypcji, zbiór sztychowanych emblematów moralnych oraz obiegający całą salę fryz złożony ze stiukowych medalionów z podobiznami dawnych władców kraju.

O ile braci Johanna i Olafa, podobnie jak pana Korytkowskiego, zainteresowały przede wszystkim obrazy i inskrypcje łacińskie, o tyle uwagę rotmistrza von Zypke przykuły najbardziej emblematy, głównie dlatego, że było na nich sporo damskiej golizny, na którą zawsze był bardzo czuły. Oprócz mniej lub bardziej rozebranych dziewic, dojrzałych kobiet i szacownych matron, a także nagich lub półnagich młodzieńców, mężczyzn i starców – nierzadko w koronach bądź w wieńcach laurowych na głowach i z wielkimi skrzydłami u ramion – na rycinach trafiały się również rozmaite zwierzęta i ptaki: konie, lwy, krokodyle, węże, orły, sowy, słowiki i bociany; różne rodzaje broni zaczepnej i odpornej, planety i gwiazdy, girlandy kwiatów i owoców, rogi obfitości, fontanny, kolumny, piramidy, księgi i zwoje, instrumenty muzyczne, przyrządy naukowe, a nawet tak trudne do przedstawienia, a przecież rozpoznawalne na pierwszy rzut oka postacie, jak Charaktery, Temperamenty, Okresy Ludzkiego Życia, Pory Roku, Miesiące, Kontynenty czy Główne Strony Świata.

Rotmistrz von Zypke zauważył z satysfakcją, że większość emblematów w Bibliotece Załuskich nie była wcale przeznaczona dla wytrawnych moli książkowych, gdyż ich treść i przesłanie nie mogły takowych niczym zaskoczyć ani niczego nowego nauczyć, lecz raczej dla przytłaczającej większości ludzkości, do której sam się z pokorą zaliczał, czyli dla czytelników co najwyżej potencjalnych (od dawna obiecywał sobie, że jeśli dożyje późnej starości i nie będzie miał wtedy nic lepszego do roboty, to przeczyta od deski do deski dziesięć albo i dwadzieścia najlepszych książek świata), toteż z tym większą ochotą zaczął przyglądać się co ciekawszym sztychom.

Na pierwszej ścianie spodobały mu się najbardziej: „Natura” – stojąca na kuli ziemskiej goła niewiasta, z której ogromnych, nabrzmiąłych do niemożliwości piersi tryskało na wszystkie strony życiodajne mleko; „Świat” –

wyobrażony pod postacią rogatego Pana z zaznaczonym dyskretnie przyrodzeniem, dwa razy dłuższym od ogona; „Mądrość” – półnaga piękność brnąca przez mroki nocy z zapaloną pochodnią w jednej ręce i z otwartą książką w drugiej; oraz „Teologia” – tajemnicza kobieta o dwóch twarzach, starej i młodej, wpatrzona tą starą i pobrużdżoną w ziemię, zaś młodą i gładką w niebo.

Na drugiej ścianie uwagę czarnego huzara przykuły: „Herezja” – obrzydliwa, bezzębna starucha o obwisłych, wyschłych na wiór piersiach i pomarszczonej skórze, rozrzucająca wokół siebie żmije i jadowite węże; „Rozum” – ukazany jako rzymski wojownik prowadzący na smyczy ujarzmionego i potulnego lwa, mającego zapewne symbolizować złe skłonności i namiętność duszy, a także „Cztery Kontynenty”.

Spośród tych ostatnich najładniejszą wydała się rotmistrzowi von Zypke jego rodzinna „Europa”, niezwykle atrakcyjna kobieta w kwiecie wieku, dzierżąca w dłoniach model greckiej świątyni i ogromny róg obfitości wyładowany po brzegi wszelakim dobrem oraz otoczona gęsto panopliami, sztandarami, instrumentami muzycznymi, książkami, aparatami naukowymi, paletami i pędzlami malarskimi, jakby chciała przy ich pomocy dowieść, że w każdej dziedzinie i pod każdym względem pozostaje nadal pierwszą i najważniejszą częścią świata.

Przez moment czarny huzar poczuł się z niej dumny, choć prawdę rzekłszy, niemal w równym stopniu pociągała go również „Azja”, ciemnowłosa dziewczyna o wielkich migdałowych oczach i wiotkiej kibici, ubrana jedynie w skąpą przepaskę na biodrach, ale za to obwieszona od stóp do głów złotem i szlachetnymi kamieniami, która z omdlewającym uśmiechem napawała się zapachem jakichś przypraw, może goździków, a może imbiru lub cynamonu. Kiedy na nią patrzył, przypomniał sobie od razu małego Rajiva, dziwiąc się przy tym bardzo, że małemu Hindusowi chciało się wyjeżdżać z podobnego rajy do Niemiec, gdzie musiał na co dzień szorować podłogi, a od święta wdziewać pludry, pudrowaną perukę i krochmaloną koszulę z koronkowym żabotem.

Wspomnienie o Rajivie, rekomendującym mu przed wyjazdem do Polski zakup siwych koni, wzbudziło w rotmistrzu nową falę gniewu na generała Lubomirskiego, który pozbawił go zarówno pułkowych, jak i prywatnych pieniędzy. I może właśnie dlatego dwa pozostałe Kontynenty – „Afryka” i „Ameryka” – nie zrobiły już na nim takiego wrażenia. Oba zresztą reprezentowali jacyś dzikusy odziani tylko w spódniczki z trawy, z tym że dzikus

afrykański, uzbrojony w dzidę i o nieco ciemniejszej karnacji, miał za towarzyszy węża i skorpiona, podczas gdy jego jaśniejszy kolega z Nowego Świata, z łukiem i w pióropuszu na głowie, zadowalał się tylko małą i wyglądającą całkiem niegroźnie jaszczurką.

Chociaż – zreflektował się czarny huzar – gdyby sprawy w Europie miały ułożyć się jeszcze gorzej i Rosja, Francja, Austria oraz Szwecja rzeczywiście dokonałyby rozbioru Prus, to kto wie, czy to właśnie nie Afryka, Ameryka lub Azja byłyby dla niego najlepszym miejscem pobytu? W końcu miał wprawne oko i z pewnością mógłby się utrzymywać z polowania na węże i krokodyle czy – jeszcze lepiej – na jakieś zwierzęta futerkowe, dożywając spokojnie żywota gdzieś na antypodach i mając w głębokiej pogardzie, jak skończy podziwiana przed chwilą, a jednak schodząca coraz bardziej na psy Europa. W każdym razie, doszedł do wniosku, należało taką ewentualność brać poważnie pod uwagę.

Na trzeciej ścianie czytelnik rotmistrz von Zypke zainteresował się przede wszystkim – nieco *pro domo sua*²² – „Sławą” wyobrażaną przez Merkurego trzymającego na wodzy stojącego dęba i rwącego się ze wszystkich sił do lotu Pegaza, a także „Stałością” pod postacią pięknej kobiety jedną ręką podpierającej upadającą kolumnę i trzymającej drugą rękę, z mieczem, nad otwartym ogniem, jakby na dowód tego, że kogoś, kto wie, że ma rację i dość odwagi, by jej bronić, nic nie jest w stanie przerazić. Potem – głównie ze względu na cel wyprawy do Polski – zatrzymał się jeszcze na chwilę przy „Nawróceniu”, ilustrowanym przez nagą młódkę powiewającą szarfą z napisem „IN TE, DOMINE, SPERAVI”²³ i depczącą wijącego się pod jej stopami smoka, oraz przy „Rozróżnieniu Dobra od Zła”, upostaciowanym przez kobietę z sitem, jakże przydatnym do oddzielania plew od ziarna.

Aż wreszcie, uznawszy, że emblematów mu już stanowczo dosyć, obejrzał sobie na koniec właśnie „Koniec” – czyli zasuszonego starca z jedną nogą w grobie i tabliczką z literą omega, będącą, jak wiadomo, przeciwieństwem litery alfa, stanowiącej znak początku i wszelkich pierwocin – po czym przeszedł do medalionów przedstawiających dawnych władców Polski.

Spośród owych monarchów zainteresowali go zwłaszcza ci najwcześniejsi, o których nigdy nie słyszał. Od pana Goetzego, poproszonego o komentarz, dowiedział się, że najdawniejszym królem Polski, a zarazem protoplastą wszystkich Polaków, był niejaki Lech, przedstawiony w stosownym medalionie jako uśmiechnięty od ucha do ucha pyzaty poczciwiec z długimi prostymi

włosami, z przodu przyciętymi równo nad niewielkimi, chytrymi oczkami, a z tyłu na wysokości ramion, który to Lech, wędrując to tu, to tam po całym świecie ze swoimi braćmi Rusem i Czechem, zdecydował się w końcu osiedlić nad Wisłą, w krainie rozległych lasów i żyznej ziemi miodem i mlekiem płynącej, pełnej ryb i dzikiego zwierza – i w ogóle bogatej i pięknej nad podziw. To właśnie Lech w miejscu, gdzie ujrzał na wielkim dębie siedzącego na gnieździe białego orła, założył pierwszą stolicę Polski i nazwał ją Gniezdem, a kiedy jeszcze ów królewski ptak rozpostarł skrzydła na tle zaczerwienionego od zachodzącego słońca nieba, tak mu się ogromnie ten widok spodobał, że od razu ustanowił herbem swego państwa białego orła na czerwonym tle.

Kolejnym wybitniejszym władcą Polski, choć niespokrewnionym z Lechem, był Krakus Smokobójca, krótko ostrzyżony i gładko ogolony mężczyzna w typie południowca, uważany przez historyków za brata sławnych rzymskich trybunów Gajusza i Tyberiusza Grakchów, wnuków jeszcze sławniejszego od nich Scypiona Afrykańskiego, pogromcy Hannibala, o którym to Scypionie Afrykańskim rotmistrz von Zypke słyszał wielokrotnie na zajęciach z taktyki podczas omawiania wojen punickich i odtwarzania przebiegu bitwy pod Zumą. Temuż to właśnie Grakchusowi *vulgo* Krakusowi, gdy zabawiał się w Panonii gromieniem barbarzyńskich Galów, wysłańcy z Polski ofiarowali królewską koronę. Krakus przyjął ją bardzo chętnie i po ostatecznym uporaniu się z Galami przybył do Polski, gdzie nie tylko zabił okrutnego smoka, napastującego od jakiegoś czasu mieszkańców tego kraju, lecz założył także nową stolicę, nazwaną na jego cześć Grakchowem *alias* Krakowem.

Następnym godnym uwagi polskim monarchą był Popiel I, który stoczył trzy zwycięskie wojny z Juliuszem Cezarem i pokonał na bezdrożach Partii jednego z triumwirów Marka Licyniusza Krassusa. Państwo tego niewielkiego wzrostem, lecz wielkiego duchem króla o lekko skośnych oczach i wyraźnie odstających uszach, rozciągało się od ziem Partów i Getów na wschodzie, po Turyngię i Westfalię na zachodzie. Pobity przez niego Juliusz Cezar oddał mu za żonę swoją siostrę Julię, dokładając jeszcze Bawarię tytułem posagu. Siostra Cezara ufundowała w Polsce dwa miasta, których nazwy przypominają do dzisiaj jej imię: Juliusz (Lubusz) i Julin (Lublin). Popiel miał z nią aż dwudziestu synów, z których największą sławę zyskał sobie Popiel II, ponury brodac z wydatnych ustach i złowrogim spojrzeniem. Był to władca gnuśny, tchórzliwy, lubieżny, krwiożerczy, podstępny i wiarołomny, o czym najlepiej świadczy fakt, że podczas

uczty otruł winem kilkunastu swoich stryjów i podobnie jak ongiś okrutny Kreon, król Teb, zakazał ich pochówku. Wkrótce z rozkładających się i niepogrzebanych ciał wylęgło się mrowie myszy, które zaczęły prześladować Popiela i jego rodzinę. Żeby przed nimi uciec, Popiel schronił się w drewnianej wieży nad jeziorem Gopło (niedaleko miejscowości Kruschvitz), lecz i tam go bestie dopadły, przepływając jezioro wpław lub uczepiwszy się patyków albo żeglując z wiatrem na kępach suchego sitowia. A gdy już go dopadły, to rozszarpały go na sztuki i obgryzły do najmniejszej kosteczki.

– Całkiem jak naszego biskupa Hattona z Bingen – zauważył w tym miejscu czarny huzar.

– Tak jest, panie generale. Ale polskie myszy są bardziej żarte, więc uwinęły się z Popielem w niecały kwadrans – potwierdził pomocnik pana Janotzkiego, pełen respektu dla generalskiej kurtki czerwonych huzarów, w której paradował jego rozmówca.

Według pana Goetzego, najważniejszym jednak z pierwszych władców Polski był niewątpliwie Piast, z zawodu bartnik lub kołodziej. Z wyglądu bardzo podobny do swojego protoplasty Lecha – ta sama strzecha konopnych włosów równo obciętych na wysokości ramion i takie same małe, świdrujące oczka, z przydatkiem sterczących jak u kota wąsów – dał jako pierwszy początek prawdziwej dynastii, w której przez cztery następne wieki aż się roilo od kolejnych Mieszków, Bolesławów, Leszków, Henryków, Władysławów i Kazimierzów.

Niektórych z tych monarchów o trudnych do wymówienia imionach dawało się rozpoznać i zapamiętać dzięki skojarzeniu ich fizjonomii z przysługującymi im charakterystycznymi, łatwo wpadającymi w ucho przydomkami, jak Chrobry, Śmiały, Pobożny, Wielki, Sprawiedliwy, Wstydlivy, a zwłaszcza Krzywousty czy Łokietek (wyjątek stanowili oczywiście Stary i Brodaty, jako że niemal wszyscy wyobrażeni na medalionach władcy byli mocno posunięci w leciech i na palcach jednej ręki dało się policzyć takich, którzy nie mieliby brody).

Gorzej było z resztą Piastowiczów, potraktowanych przez nieznanego rzeźbiarza jeszcze bardziej schematycznie. Po pierwsze, był ich cały legion, a po drugie, ich podobizny były tak mało zindywidualizowane, że z tym fundamentalnym brakiem cech charakterystycznych nie radziły sobie nawet najbardziej oryginalne przydomki (konia z rzędem temu, kto odróżniłby w bibliotece Laskonogiego od Płatonogiego, skoro wyglądali na bliźniaków, albo

Leszka Białego od Leszka Czarnego, wyrzeźbionych w tym samym jasnoszarym stiuku). Toteż rotmistrz von Zypke tylko prześlizgnął się po nich wzrokiem, przechodząc od razu do Zygmunów, o których wiedział, że za ich panowania Polska była jedną z największych potęg Europy, a następnie do Jana III Sobieskiego, jako że bitwę pod Wiedniem również przerabiał na lekcjach taktyki.

Zapoznawszy się z poczem królów Polski, czarny huzar udał się wraz z innymi do położonego na drugim piętrze gabinetu osobliwości.

Była tam między innymi maszyna podnosząca ciężary przy użyciu prochu, krajowe ryby i węże w spirytusie, kolekcja motyli i pajaków, zestaw muszel z dalekich mórz, mieniących się różnymi barwami masy perłowej i odtwarzających – każda na swój sposób, niczym piszczalki organów o różnej długości i menzuracji – szum fal i prądów morskich poszczególnych akwenów, rozmaite kamienie i minerały, dwie greckie wazy z czerwonymi figurami na czarnym tle oraz dwie inne z czarnymi na tle czerwonym, mechanizm ukazujący w ruchu system Kopernika, oryginalna arabska fajka wodna, szkielet niedużej małpy z Ameryki Południowej, posążek uśmiechniętego Buddy, jakieś zatopione w bursztynie owady i spękana skorupa ogromnego jaja.

Niestety, kiedy rotmistrz von Zypke poprosił pana Goetzego o praktyczną demonstrację działania owej podnoszącej ciężary maszyny na proch, do gabinetu zajrzał służący pana Janotzkiego, zapraszając gości do prywatnego apartamentu swego chlebobdawcy, i zwiedzanie biblioteki dobiegło tym samym końca.

Jak się okazało, pan Jan Daniel Janotzki, energiczny, choć wątlej budowy czterdziestolatek w rogowych okularach z niezwykle grubymi soczewkami, był na tyle miły, że kazał przygotować skromne śniadanie, do zjedzenia którego bracia Olaf, Horst i Johann oraz pan Korytkowski nie dali się długo namawiać. W czasie gdy czterej podróżni zaspokajali łapczywie swój głód, prefekt biblioteki zabrał się za lekturę listu z Halle, a kiedy ją skończył, rzekł z uśmiechem:

– Oho, widzę, że mój przyjaciel doktor Callenberg wciąż zbawia świat. A jak tam u niego ze zdrowiem?

– Dzięki Bogu, nie najgorzej, choć wiek robi swoje – odparł z pełnymi ustami brat Johann. – Na szczęście, jeśli chodzi o zbawianie świata, zawsze może liczyć na pomoc swoich współpracowników.

– To dobrze, tak właśnie powinno być. Bardzo mi tu panów rekomenduje. Przeczytałem, że wybieracie się do Kamieńca Podolskiego. Myślę jednak, że nie będzie to potrzebne. Wystarczy, jak pojedziecie do Lwowa, to znacznie bliżej.

– Do Lwowa? – zdziwił się Olaf Caspar Röper. – A po co?

– Po to, że od 17 lipca trwa tam publiczna dysputa między tymi, których szukacie, czyli tak zwanymi kontrtalmudystami, a ortodoksyjnymi rabinami z całej Rusi. Zresztą już druga z rzędu, bo pierwsza miała miejsce dwa lata temu właśnie w Kamieńcu.

– Skąd pan o tym wie, panie prefekcie?

– Z odpisów korespondencji prowadzonej w tej sprawie przez kancelarię archidiecezji lwowskiej. Mamy tam swojego człowieka, jak w wielu innych miejscach. Najciekawsze w tej korespondencji są zobowiązania, jakie przeciwnicy Talmudu przyjmują na siebie, jeśli owa druga dysputa dojdzie do skutku.

– Na czym one polegają? – zapytał rotmistrz von Zypke.

– Zaraz się dowiedzie – pan Janotzki ujął w palce mały srebrny dzwoneczek, potrząsnął nim parę razy, a kiedy w progu zjawił się lokaj, wydał mu polecenie: – Poproś pana Goetzego, żeby mi tu przyniósł odpis deklaracji złożonej przez kontrtalmudystów podolskich w kancelarii administratora archidiecezji lwowskiej pod koniec maja tego roku. Jeśli dobrze pamiętam, znajdzie go w sali numer 19, w czwartej szafie na prawo od wejścia, na drugiej lub trzeciej półce.

– Ho, ho, widzę, że macie tu wszystko! – rzekł z podziwem brat Johann.

– Wszystko to może nie – uśmiechnął się pan Janotzki. – Ale się staramy.

– To imponujące – westchnął czarny huzar. – Choć ja się wciąż dziwię, po co komu tyle książek? Przecież nikt tego nie przeczyta, choćby żył tysiąc lat. Za pieniądze, które to wszystko musiało kosztować, lepiej byłoby wybudować w Polsce jedną porządną drogę albo parę mostów.

– A mój pryncypał uważa inaczej – stwierdził pan Janotzki. – Jako człowiek dalekowzroczny sądzi, że na Polskę mogą przyjść jeszcze takie terminy, że ta biblioteka i zgromadzone w niej dzieła najtęższych umysłów okażą się dla niej znacznie ważniejsze od wszystkich dróg i mostów razem wziętych, a nawet od wojska.

– Proszę mi wybaczyć, ale nie rozumiem.

– To proste, panie rotmistrzu. Dzisiejsza Polska słabnie, grzęźnie w anarchii i rozpada się z braku sprawnego rządu, dostatecznej liczby wojska i z powodu słabej kondycji finansów, a co ważniejsze z braku możliwości stanowienia dobrego prawa i jego egzekucji. W dodatku każdy ciągnie tu w swoją stronę, bo ludzie nie czują już więzi między sobą i coraz mniej w nich miłości ojczyzny, nie

mówiąc już o staropolskiej cnocie czy heroicznym sercu. Tymczasem nasi sąsiedzi wciąż rosną w siłę i już układają się między sobą, jeśli nie na zgubę Polski, to przynajmniej po to, by nie dopuścić do jej wzmocnienia i ozdrowienia, w czym pomaga im zresztą niejedyn rodziły poseł lub senator, już to będąc na żołdzie obcych mocarstw, już to z pychy lub z głupoty, żeby chępić się przed innymi, jakie to on ma koneksje i wzięcie za granicą.

W tym stanie rzeczy jedni obywatele tylko używają, jakby uważali, że zła nie da się już powstrzymać, inni zobojętnieli na wszystko, co nie dotyczy ich bezpośrednio, a jeszcze inni, których jest najwięcej, nawet nie zdają sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie im zagraża, i żyją tak, jakby ich ojczyzna, coraz słabsza, biedniejsza i bardziej nierządna, była całkowicie bezpieczna i miała trwać wiecznie. Niestety, natura nie lubi próżni i jeśli nic się nie zmieni, to kto wie, czy już nasze wnuki nie przestaną cieszyć się wolną Polską i nie znajdą się w tym samym położeniu co Żydzi, błakający się od siedemnastu wieków po całym świecie i mieszkający kątem u obcych, którzy często ich upokarzają i wyzyskują, a nawet srogo prześladują tylko za to, że ci pragną pozostać sobą. Lecz jeśli Żydom udało się przetrwać tak długo dzięki własnej religii, językowi i księgom, to uda się także nam, o ile my również to wszystko zachowamy. Toteż w zamyśle hrabiego Załuskiego ta biblioteka ma stać się dla Polaków skarbnicą całej istniejącej wiedzy, księgą ksiąg, kwintesencją samej Polski i światem w pigułce, słowem, prawdziwą *corona urbi et orbi* ²⁴, gdzie będą mogli się schronić w najgorszych chwilach i skąd zawsze wyjdą mądrzejsi, lepsi i wzmocnieni.

– To jakieś czarnowidztwo, panie prefekcie. Póki co to Prusy są bliższe upadku i zniknięcia z mapy. Lecz jeśli pan hrabia Załuski ma rację, to dlaczego nie przeprowadzicie w sejmie kilku najpilniejszych reform dotyczących wojska i skarbu, nie tylko po to, żeby nikt nie napadł na was, ale także po to, żeby i tutaj nikt nie napadał na Boga ducha winnych podróżnych? – rezonował dalej rotmistrz von Zypke.

– Ostatni sejm, który nie został zerwany za obce pieniądze, odbył się dwadzieścia trzy lata temu i na razie nie zanoszą się na następny – wyjaśnił ze smutkiem pan Janotzki. – Ale może faktycznie to czarnowidztwo, więc zostawmy ten temat na boku. Czyżby ktoś na was napadł, drodzy przyjaciele?

– I owszem, księżę Marcin Lubomirski. Zabrał nam wszystkie pieniądze, w tym także państwowe fundusze, jakie dostałem z pułku na zakup

kawaleryjskich koni.

– No to macie prawdziwe szczęście w nieszczęściu, bo książę Marcin został właśnie aresztowany. Może jeszcze nie zdążył wydać waszych pieniędzy?

– Skąd pan to wie? – czarny huzar aż zerwał się z krzesła.

– Pisali o tym w „Kurierze Polskim” parę dni temu. Książę Lubomirski, jako oficer, ma być sądzony przez sąd wojskowy, więc pewnie byłoby najlepiej, gdybyście w sprawie skradzionych wam pieniędzy udali się do Białegostoku, do hetmana Branickiego, głównodowodzącego wojsk polskich i przewodniczącego Kryxrehtu²⁵. Ponieważ to jednak kawał drogi, spróbujcie najpierw dowiedzieć się czegoś w Warszawie, na przykład w koszarach regimentu gwardii pieszej koronnej, którego żołnierze, jak czytałem, brali udział w pojmaniu księcia.

– A jak ja się z nimi dogadam?

– Nie sądzę, żeby to było trudne, ale w razie czego pan Goetze chętnie panu pomoże.

– Ja również – zaoferował się pan Korytkowski.

– Wielkie dzięki, panowie! – zawołał uradowany rotmistrz von Zypke. – W takim razie pójdziemy tam jeszcze dzisiaj.

Tymczasem rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł pan Goetze, trzymając w ręku dwie kartki, które przekazał panu Janotzkemu.

– Tak, to to – stwierdził z zadowoleniem prefekt biblioteki, rzuciwszy na nie okiem. – Posłuchajcie zatem, panowie, jakie będą punkty dysputy lwowskiej: „1. Proroctwa wszystkich proroków o przyjściu Mesjasza już się spełniły. 2. Mesjasz był Bóg prawdziwy, któremu imię Adonay. Ten wziął ciało nasze i wedle niego ucierpiał dla odkupu zbawienia naszego. 3. Od przyjścia Mesjasza Prawdziwego ofiary i ceremonie ustały. 4. Każdy człowiek powinien Zakonowi Mesjasza być posłusznym, bo w nim jednym zbawienie. 5. Krzyż święty jest wyobrażeniem Trójcy Przenajświętszej i znak Mesjasza. 6. Do wiary Mesjasza Króla nikt przyjść nie może, tylko przez chrzest święty. 7. Talmud uczy krwi chrześcijańskiej potrzebować i kto wierzy w Talmud, powinien jej żądać”.

– Ciekawe, zwłaszcza ten ostatni – mruknął pan Korytkowski.

– A teraz wspomniane zobowiązania – kontynuował pan Janotzki: – „O których to punktach, aby rozmowę mieli z nami starsi rabinowie, w obecności tych, do których należy, w imię Trójcy Najświętszej i przez miłość Zbawienia dusz naszych pokornie upraszamy. Jako z tej rozmowy, za niewymowną pomocą Jehowy, wielkie Kościołowi Mesjasza przymnożenie przynieść i braci naszych,

o to jedno proszących z serca, potwierdzić, nawrócić i między trzodę wiernych sług Mesjasza Króla policzyć mający, po której skończeniu wszyscy, ze wszystkimi duszami naszymi, Kościołowi świętemu, wierzącemu w Mesjasza Króla i Jego widomej na ziemi Głowie, Ojcu Świętemu, Namiestnikowi Mesjasza, aby nas nauczył i chcących ochrzcił, a synów gniewu uczynił synami łaski, posłusznymi i wiernymi, nas polecamy, etc., etc.”²⁶.

– Oż do licha! A zatem chcą zostać papistami? – wykrzyknął brat Olaf.

– I bardzo dobrze! – stwierdził na to pan Korytkowski. – Zawsze mówiłem, że Żydzi to łebski naród. Zwłaszcza nasi.

– Nie można do tego dopuścić! – jęknął brat Johann.

– Ciekawe jak? – uśmiechnął się pan Janotzki.

– Nie wiem, ale trzeba tam jechać jak najszybciej, zanim będzie za późno. Inaczej cała nasza wyprawa na nic! – rozłożył ręce brat Johann.

– Jak tak, to i ja tam pojedę – oświadczył pan Korytkowski. – Nie pozwolę, żeby ktoś przeszkodził tym dzielnym ludziom w podjęciu słusznej decyzji.

– A skąd pan wie, że go zabierzemy? – zjeżył się brat Olaf.

– Nie zabierzecie mnie? To kto was będzie żywił po drodze? – odpowiedział ironicznie polski szlachcic.

Po tych słowach pan Janotzki zaczął się głośno śmiać.

– Nie wiem, co pana tak śmieszy, panie prefekcie – zachnął się brat Olaf. – Jest pan Polakiem czy Niemcem? Bo nam mówiono, że Niemcem i w dodatku protestantem.

– Jestem Niemcem i protestantem z urodzenia, a Polakiem i katolikiem z wyboru, tak samo jak nasz Najjaśniejszy Pan – odparł pan Janotzki. – I dlatego śmieszą mnie te spory między chrześcijanami. A ponieważ sam jestem chrześcijaninem, i to właściwie podwójnym, oferuję wam wszystkim kolację i nocleg w moim domu, żebyście nabrali sił przed dalszą podróżą. Co więcej, pożyczę wam nawet parę groszy, bo jeśli się pokłócicie z panem Korytkowskim, to rzeczywiście gotów jest was jeszcze zamorzyć głodem.

– Bardzo dziękujemy, panie prefekcie – rzekł w imieniu swoich współbraci Johann Friedrich Hermannsdorfer. – Mieliśmy wprawdzie zamiar udać się po pożyczkę do pruskiej ambasady, ale tak będzie chyba lepiej, bo już jutro będziemy mogli wyruszyć do Lwowa.

– Nie chyba, tylko na pewno. Prusy się walą, więc szczerze wątpię, żeby w ich ambasadzie były jeszcze jakieś pieniądze. A mnie oddacie przy okazji.

– Wszystko pięknie – odezwał się rotmistrz von Zypke – tylko najpierw trzeba odzyskać pułkową kasę, bo bez tego czeka mnie sąd wojskowy i degradacja. Żydzi nie zajęc, nie uciekną.

– Więc chodźmy od razu do koszar – zaproponował pan Korytkowski.

▪

Czarny żupan pana Korytkowskiego z wielkim czerwonym krzyżem zakonu Santiago oraz jego karmazynowe buty z wyszytymi na nich srebrnymi konchami św. Jakuba, a jeszcze bardziej generalska kurtka pruskich czerwonych huzarów noszona przez rotmistrza von Zypke zrobiły piorunujące wrażenie na wartownikach strzegących wejścia do koszar regimentu gwardii pieszej koronnej przy ulicy Bitnej, którzy nie dali sobie dwa razy powtarzać prośby dziwnych gości o widzenie z oficerem dyżurnym.

Oficerem tym okazał się młodziutki porucznik, który po wyłuszczeniu sprawy przez pana Korytkowskiego (informacja, że towarzyszący polskiemu szlachcicowi Niemiec Horst Gottlieb von Zypke nie jest bynajmniej pruskim generałem, wyraźnie go odprężyła), rozłożył bezradnie ręce i rzekł:

– Niestety, osobiście niewiele mogę waszmościom pomóc. Sprawa generała Lubomirskiego jest wprawdzie głośna, ale śledztwo toczy się poza Warszawą i nie znam jego szczegółów. Jeśli panowie chcą złożyć zeznania i wystąpić do sądu o zwrot zrabowanych im pieniędzy, proszę wrócić tutaj za trzy godziny. Będzie tu wtedy na dyżurze major Rymwid, który w ramach ćwiczeń polowych brał udział w akcji aresztowania księcia i uczestniczył w jego pierwszym przesłuchaniu. Może on panom pomoże.

W tej sytuacji pan Korytkowski i rotmistrz von Zypke podziękowali uprzejmie młodziukiemu porucznikowi i odeszli, by wrócić do koszar po trzech godzinach.

Major Rymwid, przystojny czterdziestolatek o nienaganych manierach, władający niemieckim tak biegle, że pomoc pana Korytkowskiego nie była w ogóle potrzebna, znał już powód ich wizyty, więc po wstępnych uprzejmościach przystąpił do zadawania pytań, które wraz z odpowiedziami rotmistrza von Zypke i pana Korytkowskiego, występującego w charakterze świadka, były protokołowane przez siedzącego w kącie podoficera.

Majora Rymwida interesowało dosłownie wszystko: godzina i miejsce napadu, liczba agresorów, ich nazwiska lub pseudonimy (jeśli takich używali), ich ubiór, uzbrojenie i język, w jakim rozmawiali, ewentualne groźby i akty przemocy fizycznej, których się dopuścili, rola i zachowanie księcia Lubomirskiego podczas napaści, wydawane przez niego rozkazy i polecenia, a także, rzecz jasna, liczba, nazwiska i zawód wszystkich poszkodowanych i ewentualnych świadków, doznane przez nich obrażenia i uszczerbki na ciele, a wreszcie rodzaj i wysokość poniesionych przez nich strat materialnych, ze szczególnym uwzględnieniem pieniędzy, miejsca i daty ich emisji, nominału, stopnia ich zużycia i sposobu przechowywania, jak również prawnych właścicieli dających się wyodrębnić kwot oraz celu, na jaki miały one zostać przeznaczone w Polsce.

Ta iście pruska skrupulatność majora Rymwida tak bardzo zachwyciła rotmistrza von Zypke, że na każde z owych pytań udzielał wyczerpujących odpowiedzi, nie zatajając nawet tego, że największe straty wskutek napadu poniosła armia pruska, która zamierzała kupić w Polsce kilkanaście dobrych koni, ponieważ uznał, że ten akurat szczegół może podziałać na polskich śledczych równie mobilizująco, jak jego czerwona generalska kurtka na wartowników strzegących koszar.

Kiedy przesłuchanie dobiegło końca, major Rymwid podsunął obu gościom do przeczytania i podpisania protokołów ich zeznań, co zarówno rotmistrz von Zypke, jak i pan Korytkowski zrobili bardzo chętnie, po czym czarny huzar zapytał z nadzieją:

– To kiedy, panie majorze, mogę spodziewać się odzyskania skradzionych mi pieniędzy?

Na co major Rymwid popatrzył na niego przeciągle i westchnął:

– Obawiam się, panie rotmistrzu, że to będzie trudne. Lepiej niech się pan modli, żeby szybko odzyskać wolność.

– Odzyskać wolność?! Jak to?! – zawołał osłupiały rotmistrz von Zypke.

– Przykro mi, ale muszę pana aresztować pod zarzutem wprowadzenia na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej fałszywych pieniędzy z zamiarem puszczenia ich w obieg – wyjaśnił uprzejmie polski major.

– Nie rozumiem... – przed oczami rotmistrza zaczęły wirować płatki czarnego śniegu.

– Więc powtarzam: wszystkie polskie monety, jakie pan ze sobą przywiózł, a my zajęliśmy u księcia Lubomirskiego, są fałszywe. Wszystkie co do jednej. Co więcej, wiemy, że z rozkazu pańskiego króla biją je w Prusach dwie firmy: Ephraim und Söhne oraz Moses Isaac und Daniel Itzig.

– Koniec świata! – wstrząśnięty pan Korytkowski przeżegnał się.

– *O mein Gott!* Co za dziki kraj! – zdążył jeszcze wykrzyknąć rotmistrz von Zypke, zanim zemdlał i zwałił się bezwładnie na podłogę.

Tyle że tym razem miał na myśli Prusy.

¹ Baranek Boży (łac.) – tu: poświęcony przez papieża medalik mający chronić przed złem i chorobami.

² Nie, Hiszpanie (niem.).

³ Hiszpanie? A niech to! Co robicie w Polsce, drodzy przyjaciele? (hiszp.).

⁴ Ręce do góry! (niem.).

⁵ O mój Boże! (niem.).

⁶ Tak jest, panie generale (niem.).

⁷ Nieźli misjonarze! Niech ich wszyscy diabli! (hiszp.).

⁸ Stul gębę! (niem.).

⁹ Wszyscy (wł.), w muzyce oznacza, że wszystkie instrumenty lub głosy grają bądź śpiewają wspólnie.

¹⁰ Narastając (wł.), tu – coraz głośniej.

¹¹ Bardzo szybko (wł.).

¹² Na dwa, trzy, cztery głosy (wł.).

¹³ Słabnąc (wł.).

¹⁴ Cicho (wł.).

¹⁵ Bardzo cicho, cichutko (wł.).

¹⁶ Jako i wy, nie dla siebie (łac.).

¹⁷ Prawo (łac.).

¹⁸ Nauki przyrodnicze (łac.).

¹⁹ Mniej ważne języki (łac.).

²⁰ Z urzędu (łac.).

²¹ W typografii arkusz papieru jednokrotnie złożony, tworzący dwie karty.

²² We własnej sprawie (łac.).

²³ W Tobie, Panie, pokładałam nadzieję (łac.).

²⁴ Tu – zwieńczenie wszystkiego (łac.).

²⁵ Sąd wojskowy (z niem.).

²⁶ Kraushar, *Frank i frankiści*, t. I, s. 144-145.

Rozdział 4

ZA KRATKAMI

Książę Marcin Lubomirski, potomek jednego z najznakomitszych i najbogatszych rodów Rzeczypospolitej, dziedzic bajecznej fortuny składającej się z kilkunastu zamków i pałaców, dziesiątków dworów i dworków, setek miast i miasteczek oraz tysięcy wsi i folwarków, był najmłodszym generałem w całej Europie. Absolwent elitarnej École des cadets gentilhommes w Lunéville, gdzie kształcił się kwiat korpusu oficerskiego armii francuskiej i polskiej, uzyskał szlify generalskie w wieku lat osiemnastu, wkrótce po tym, jak jego ojciec, miecznik koronny Antoni Lubomirski, nabył dla niego komendę regimentu pieszego buławy koronnej stacjonującego w Kamieńcu Podolskim.

Poza pochodzeniem, fortuną i świetnymi koneksjami w szybkim awansie na generała pomogło młodemu księciu także i to, że podczas wakacji w rodzinnym majątku w Połonnem wykazał się niezwykłą wojskową sprawnością i odwagą, zabijając jednym strzałem pustoszącego okolicę sławnego hajdamakę Iwana Czuprynę, „który piętnasty już rok wpadał do Polski i powracał bezkarnie, spotykając się zawsze szczęśliwie z wysyłanymi przeciwko niemu oddziałami wojska i uprowadzając bogatą zdobycz”¹. Dużo jednak ważniejszy powód, dla którego stary miecznik koronny zdecydował się kupić synowi dowództwo pułku i rangę generała, miał charakter ściśle pedagogiczny.

Książę Antoni Lubomirski bardzo liczył na to, że służba wojskowa w najodleglejszym garnizonie Rzeczypospolitej, na zabitej deskami prowincji, gdzie diabeł mówi dobranoc, odciągnie jego jedyne go syna od dwóch wielkich namiętności, jakie rozbudził w nim trzyletni pobyt we Francji: pasji do hazardu i niepohamowanego pociągu do uciech cielesnych. Karty i kości, którymi młody kadet zabawiał się najpierw z kolegami w Lunéville, później zaś w salonach,

domach gry i szulerniach stolicy Francji, a jeszcze bardziej wyrafinowana rozpusta, której oddawał się z zapalem zarówno w buduarach francuskich arystokratek, w sławnym w całej Europie z wyszukanych orgii pałacu La Pouplinière w Passy czy w klubie „Afrodit” pod Montmorency, gdzie gromadziło się najznakomitsze paryskie towarzystwo i gdzie obowiązywała demokratyczna zasada, że każda dama i każdy kawaler służy wszystkim, żeby już nie wspominać o obskurnych burdelach Lunéville i Paryża, gdzie za parę *sous* można było złapać wszystkie wstydlive choroby świata – przyniosły bowiem nie tylko spory uszczerbek rodowej fortunie i reputacji książąt Lubomirskich, ale zmieniły także mocno na niekorzyść charakter i poglądy księcia Marcina.

To, że młody książę roztrwonił za granicą znaczny majątek, że wrócił z Francji *incognito*, choć wyjechał do niej strojnje i szumnje w osiem koni, karetą zdobną w książęce mitry; to, że zjawił się w rodzinnym zamku w Janowcu w starym, zniszczonym i połatanym płaszczu, nieogolony i zarośnięty niczym jakiś hajduk albo zwykły fornał, bo musiał zastawić w lombardzie swój świetny mundur i nie stać go było nawet na fryzjera; a wreszcie i to, że figurował na sporządzonej przez paryską policję oficjalnej liście szulerów i że do Janowca wciąż przychodziły listy od francuskich lichwiarzy domagających się spłaty zaciągniętych przez niego długów – stary miecznik koronny gotów był jakoś przełknąć, wszak dobrze rozumiał, że młodość ma swoje prawa i musi się wyszumieć.

Dużo bardziej denerwowało go to, że po powrocie do domu książę Marcin, o ile tylko nie zamykał się na cztery spusty w swoim pokoju lub nie okazywał milczącej wzgardy dla wszystkich spraw tego świata, pozwalał sobie na płaskie żarty z religii i duchownych, wyrażał się bez cienia szacunku o kobietach, kpił sobie z uświęconych tradycją wierzeń i zwyczajów przodków, zżymał się na polską kuchnię, fryzury i stroje i przy byle okazji cytował modnych filozofów, różnych Wolterów, Monteskiuszów, Diderotów czy innych d’Alambertów, czyli, zdaniem miecznika, samych wyjątkowych durniów i skończonych dupków. Raz czy drugi jego jedyny syn próbował nawet wychwalać przy stole libertynizm, wyzwalający ponoć ludzi z hipokryzji i fałszywie pojętej cnoty, lub zaczynał opowiadać jakieś pieprzne paryskie anegdoty, ale szybko z tego zrezygnował, widząc lodowaty wzrok ojca i zaciśnięte surowo usta matki, która i bez tych fanaberii skarżyła się nieustannie, że francuskie wybryki marnotrawnego syna przyprawiły ją o ciężką chorobę serca.

Ale tym, co ostatecznie zdecydowało, że książę Antoni Lubomirski postanowił wydać górę pieniędzy, by kupić synowi generalskie szlify, było to, co zdarzyło się, kiedy książę Marcin, śmiertelnie znudzony pobyt w Janowcu, zdecydował się skorzystać z zaproszenia swej mieszkającej na Litwie siostry Magdaleny i udać się do niej w gościnę, podczas której chciała go ona wyswatać z jakąś piękną i posazną panną.

Zasadniczo rodzice młodego księcia nie mieli nic przeciwko takim planom, zwłaszcza gdyby przyszła synowa miała pochodzić z książęcego bądź senatorskiego rodu, nie wiedzieli jednak, że ich córka Magdalena, która opuściła dom rodzinny parę lat wcześniej po wyjściu za mąż za wojewodę połockiego Aleksandra Michała Sapiehę, stała się na Litwie jeszcze większą libertynką niż jej brat Marcin we Francji.

Ceniąc nade wszystko rozkosze zmysłowe i wając sobie lekce przesady świata, księżna Magdalena traktowała swoje małżeństwo jak czczą formalność, niestanowiącą bynajmniej przeszkody dla używania życia w ramionach zmieniających się bez przerwy kochanków. Pałac Sapiehów w Wysokiem, otoczony arkadyjskim parkiem, był miejscem nieustannych balów, uczt, bankietów, pikników, rautów, maskarad i *fêtes champêtres*, podczas których bywające w nim wytworne towarzystwo przebierało się za nimfy i satyry lub za pasterki i pasterzy, prowadziło na jedwabnych sznurach stadko specjalnie wykąpanych i wyperfumowanych na tę okazję owiec, pływało gondolami po rzece Pulwie, uganiało się za sobą po parku jak Dafnis za Chloe bądź, pozbywszy się balastu odzienia, igrało wspólnie w wielkiej fontannie. W posiadłości wojewody połockiego organizowano także koncerty, wystawiano komedie, oglądano balety i pantomimy, zasiadano niemal codziennie do stołu w sto albo więcej osób, tańczono do białego rana i oddawano się szaleńczo hazardowi, nierzadko wygrywając lub tracąc w karty ogromne fortuny.

We wszystkich tych zabawach uczestniczyły również panny z fraucymeru księżnej Magdaleny, składające się zarówno z przedstawicielek najświetniejszych rodów Wielkiego Księstwa Litewskiego, jak i z pięknych córek mniej zamożnej szlachty, tradycyjnie czepiającej się magnackiej klamki. Panny owe starały się jak mogły umilić pobyt na Litwie przystojnemu bratu swojej pani: posyłały mu miłosne bileciki, asystowały przy jego kąpeli, umawiały się z nim na schadzki, roztaczały przed nim w lesie całą krasę swoich wdzięków, aby je

oceniał niczym nowy Parys, a wreszcie, jedna przez drugą, odwiedzały go nocą w jego sypialni, gdzie współzawodniczyły ze sobą w miłosnym kunszcie.

Księżciu Marcinowi, który korzystał z ich łask pełnymi garściami, uroki życia w posiadłości siostry przypadły bardzo do gustu, zwłaszcza że w przeciwieństwie do Francji nie musiał za nie płacić, a wszelkie „swatanie” w wydaniu księżnej Magdaleny sprowadzało się wyłącznie do podsuwania mu wciąż nowych kochanek.

Jeśli cokolwiek kładło się cieniem na jego szczęściu, to jedynie fakt, że najpiękniejsza z dwórek jego siostry, niejaka Anna Wyleżyńska, cześnikówna litewska, nie poddawała się ani trochę jego urokowi i chociaż prawil jej różne komplementy – zarówno całkiem niewinne, jak i najbardziej pikantne – nie pozwalała mu się nawet dotknąć.

Niezlomny opór, jaki cnotliwa panna stawiała jego miłosnym zapędom, był dla księcia Marcina czymś tak nowym i niezrozumiałym, że ani się spostrzegł, jak pomimo przepastnej różnicy stanu dzielącej go od tej średniozamożnej szlachcianki, zakochał się w niej po uszy.

Nie mogąc u surowej panny Wyleżyńskiej niczego wskórać, pocieszał się w ramionach jej koleżanek lub przy stoliku karcianym. Któregoś razu podczas partyjki faraona wdał się w ostrą wymianę zdań z jednym z gości swojej siostry panem Jundziłą, którego w końcu nazwał „szelmą” i wyzwiał na pojedynek. Choć pojedynki były w Polsce zakazane, a sprawcy zabójstwa w rozstrzyganym w ten sposób konflikcie groziła kara śmierci, młody książę Lubomirski, urażony w swej arystokratycznej dumie, nie wycofał swojego wyzwania nawet wtedy, gdy trochę ochłonął. Wręcz przeciwnie, jeszcze przed samym starciem posłał swemu przeciwnikowi pogardliwy list: „Mimo, że Waszmość jest człowiekiem nierównym mi, będę walczył z Panem jak z równym sobie. Wybieraj Pan broń, jaką wolisz, szpadę czy pistolet, muszkiet czy armatę. A jeśli chcesz, to choćby beczkę prochu”².

Pan Jundził też był człowiekiem honoru, więc wyzwanie przyjął, wybierając pistolety, lecz w pojedynku wzięły górę umiejętności strzeleckie księcia Marcina, który położył go trupem już pierwszym strzałem. Choć badający sprawę prokurator, pomny koneksji zabójcy, uznał, że młody Lubomirski działał w obronie własnej, i utracił dalsze dochodzenie, wydarzenie to w całym kraju odbiło się szerokim echem. Z dnia na dzień książę Marcin stał się na Litwie osobą tyleż sławną, ile niepożądaną, toteż rozżalony na cały świat, w tym także

na własną siostrę oraz szwagra, którzy nie mogli mu wybaczyć śmierci zaprzyjaźnionego sąsiada, powrócił do Janowca z zamiarem wyjazdu za granicę i zaciągnięcia się do armii francuskiej.

I to właśnie wtedy, by odciągnąć syna od planów emigracji i dać mu jakieś sensowne zajęcie, stary książę Lubomirski kupił mu dowództwo regimentu i wysłał go do Kamieńca Podolskiego.

Warunki służby w Kamieńcu, najważniejszej polskiej twierdzy, trzymającej w szachu niespokojne pogranicze z Turcją, nie były lekkie. W stale odnawianym i umacnianym zamku, położonym na wysokiej skale w widłach Dniestru i Smotrycza, kwaterowało w ciasnych koszarach prawie dwa tysiące żołnierzy. Z powodu ciągłego niedofinansowania armii brakowało pieniędzy na ich odpowiednie wyżywienie i uzbrojenie, choć garnizon kamieniecki miewał często do czynienia z grasującymi na Wołyniu i Podolu bandami hajdamaków, napadającymi w celach rabunkowych na wsie, miasteczka, dwory i klasztory i mordującymi przy tej okazji polską szlachtę i mieszczan, rzymskokatolickich i unickich duchownych, co bogatszych dzierżawców i chłopów oraz Żydów.

Natychmiast po objęciu dowództwa pułku liczącego zaledwie czterystu pięćdziesięciu żołnierzy, książę Marcin zabrał się energicznie za jego szkolenie i uzupełnianie braków w jego ekwipunku. Uczestniczył w musztrze, przeglądach i manewrach, dbał o właściwy stosunek instruktorów do rekrutów, zabiegał o należyte umundurowanie i wyposażenie podwładnych, starał się o zwiększenie przysługujących im racji żywnościowych, podczas zaś potyczek z hajdamakami prowadził ich osobiście do ataku, dzieląc się z nimi w praktyce wiedzą wyniesioną z *École des cadets gentilhommes* w Lunéville, zwłaszcza tą, która dotyczyła natarcia w szyku rozproszonym i wykorzystania naturalnych osłon terenu.

Był dowódcą surowym i wymagającym, ale szanowanym i lubianym przez podkomendnych. Gorzej wyglądały jego stosunki z innymi oficerami garnizonu, przeważnie mieszczańskiego pochodzenia, od których trzymał się z daleka, ponieważ – jak pisał do rodziny – za bardzo pachnieli mu „gnojstwy”³.

Świeżo upieczony generał, prezentujący się wspaniale w swoim paradnym biało-karmazynowym mundurze pełnym srebrzystych haftów i akselbantów, w wolnych chwilach chętnie czytał, jeszcze chętniej uczestniczył w balach, eskapadach i ucztach organizowanych przez miejscową arystokrację, najchętniej zaś, po staremu, romansował i grał w karty. Choć znów nie brakowało mu

kochanek, a pieniądze przeciekały mu przez palce niczym woda, najważniejszym obiektem, wokół którego wciąż krążyły jego myśli, była pozostawiona na Litwie panna Wyleżyńska.

Teraz, z oddali, zdawała mu się niemal aniołem. Godzinami, zwłaszcza w bezsenne noce, potrafił rozmyślać o jej regularnych jak u greckiej bogini rysach twarzy, o jej zniewalającym uśmiechu, o jej wielkich chabrowych oczach, o jej olśniewająco jasnej cerze i bujnych blond włosach, wydzielających zapach młodości i świeżości, który podniecał go do szaleństwa, o jej powabnych piersiach wychylających się zalotnie spomiędzy koronek, o jej kształtnych biodrach, na widok których jego serce zaczynało bić dwa razy szybciej, a także o tym, jak bardzo różniła się pod względem rozumu, charakteru i wyznawanych zasad od setek kobiet, z którymi miał dotąd do czynienia. Kiedy tęsknota za piękną cześnikówną dawała mu się szczególnie we znaki, książę Marcin gotów był przysiąc, że za jedną spędzoną z nią noc i za zaszczyt pozbawienia jej dziewictwa oddałby chętnie cały swój majątek i świetnie zapowiadającą się karierę. Zdarzało się, że w takich chwilach zrywał się w środku nocy, budził służbę, kazał siodłać konia, po czym gnał na złamanie karku w kierunku dalekiej Litwy, zawracając do Kamieńca dopiero przed świtem, kiedy ochłonawszy nieco pod wpływem rzeńskiego powietrza, przypominał sobie o swoich obowiązkach i o surowych konsekwencjach oddalenia się z twierdzy bez zezwolenia jej komendanta, generała lejtnanta Joachima Potockiego.

Na szczęście kilka razy udało mu się pojechać na Litwę za zgodą swojego szefa. Panna Wyleżyńska była niezmiernie rada z wizyt młodego generała i na wszelkie sposoby okazywała mu swoją przychylność, ale ponieważ w dalszym ciągu nie dopuszczała go do żadnej poufałości, książę Marcin, nie widząc innego wyjścia, zaproponował jej w końcu małżeństwo. Piękna cześnikówna przyjęła tę ofertę z wielkim zadowoleniem, chociaż zaznaczyła, że zanim powie ostateczne „tak”, musi jeszcze uzyskać zgodę rodziców, po czym szczęście dziedzica bajecznej fortuny Lubomirskich sięgnęło zenitu, gdy po raz pierwszy pozwoliła mu popieścić swoje piersi.

Kiedy wniebowzięty książę Marcin podzielił się swoją radością z rodziną, wybuchła straszna awantura. Ojciec i matka, swatający go właśnie z bogatą starościanką z Jasła, nie posiadali się z oburzenia. Wyrzucali mu jego dotychczasowe grzechy, przypominali, że jako ostatni Lubomirski z linii

janowskiej powinien zadbać o godne przedłużenie rodu i kazali mu natychmiast zerwać z tą „małą” Wyleżyńską.

Książę Marcin poczuł się głęboko urażony, a ponieważ jednocześnie coraz bardziej naprzykrzali mu się wierzycciele, u których zdążył już pozaciągać pożyczki na karty, postanowił wydobyć się z kłopotów jednym cięciem. Pomogli mu w tym pruscy werbownicy przemierzający Polskę wzdłuż i wszerz w poszukiwaniu ochotników do służby w armii Fryderyka II. Jesienią 1757 roku książę Marcin Lubomirski wysłał za ich pośrednictwem list do podziwianego przez siebie za geniusz wojskowy władcy Prus, z deklaracją, że chętnie zaciągnie się do jego armii, o ile tylko zachowa w niej stopień generała.

Prusy, które rok wcześniej napadły na Saksonię i toczyły właśnie ze zmiennym szczęściem ciężką wojnę z koalicją Austrii, Rosji, Francji i Szwecji, potrzebowały na gwałt żołnierzy i oficerów, toteż odpowiedź pruskiego monarchy była bardzo szybka i nader łaskawa. Fryderyk II oczekiwał generała Lubomirskiego z otwartymi ramionami i prosił go jedynie o to, by przyprowadził ze sobą z Polski jak najwięcej zdolnych do walki żołnierzy.

Z początkiem grudnia książę Marcin oraz dwóch oficerów i siedemnastu żołnierzy z jego regimentu zdezerterowali z Kamieńca Podolskiego z bronią i zapasem amunicji i ruszyli na Litwę. Towarzyszyło im dwudziestu dragonów i taka sama liczba kozaków zwerbowanych przez księcia Marcina w innych jednostkach garnizonu. Po drodze, w należących do Lubomirskich Kulczynach, przyłączyła się do nich część służby i oficjalistów.

Nocą 10 grudnia książę Marcin porwał Annę Wyleżyńską z fraucymeru swojej siostry. By zmylić pogoń, jego oddział zapadł na parę dni w litewskich lasach, gdzie umówiony zawczasu ksiądz udzielił młodej parze ślubu, po czym nowożeńcy skonsumowali noc poślubną, w czasie której wniebowzięta cześnikówna dała swemu porywaczowi tysięczne dowody uczucia i wrodzonego chyba talentu miłosnego. Następnie zbrojna gromada – w tym Anna w męskim przebraniu, z krótko obciętymi włosami – przemierzyła bocznymi drogami całą Polskę, dokonała zajazdu na posiadłość stryja księcia Marcina – Franciszka Lubomirskiego w Kamieniu pod Częstochową, skąd pod nieobecność gospodarza zabrała całą gotówkę, trochę broni i prowiantu, aż wreszcie, ostatniego dnia roku Pańskiego 1757, nie niepokojona przez nikogo, przekroczyła granicę Rzeczypospolitej i znalazła się na terytorium Prus.

Dzień później oddział księcia Marcina został rozbrojony przez Prusaków i skierowany na miesięczną kwarantannę, po której tworzących go żołnierzy wcielono do różnych pruskich formacji. Ponad trzydziestu z nich trafiło do Wrocławia, do sławnego regimentu czerwonych huzarów, którego dowództwo Fryderyk II powierzył księciu Marcinowi, nadając mu zgodnie z umową stopień generała majora armii pruskiej. Książę Lubomirski był z tego powodu tak dumny, że zrezygnował z przysługującego mu żołdu i podjął służbę jako ochotnik.

Dezercja księcia Marcina z Kamieńca Podolskiego, za którą groził mu sąd wojskowy, porwanie panny Wyleżyńskiej i zaciągnięcie się na służbę nieprzyjaznych Prus, wciąż okupujących i grabiących niemiłosiernie pozostającą w unii z Polską Saksonię, wywołały w Rzeczypospolitej powszechne oburzenie. Stary miecznik koronny wpadł w pasję, nazywał syna „szelmą” i „kanalią”, zapowiedział, że go wydziedziczy, aż wreszcie wysłał do niego list z prośbą o opamiętanie: „Jeżeli nie zerwiesz tego niecnego związku z Wyleżyńską, nieposłuszny synu, jeżeli trwać będziesz nadal w tym uporze, niełatwo zmiękczysz mój gniew. Zatwardziałość twoja jest wielka, ale wiedz także, że moja wola jest niezmienna i nic jej skruszyć nie zdoła. Wiedz, że występki twój i zaciąganie długów na rzecz mego majątku doprowadzą cię do zguby. Odpowiadać będziesz oprócz tego za zabicie posesjonata szlachcica w napadzie gwałtownej furii, za marnotrawstwo i długi na rzecz ojca zaciągane, za porwanie dworki z fraucymeru swej siostry. Opamiętaj się, póki czas, uczyni skrucę i wyznanie grzechów”⁴.

Ze swej strony także ojciec Anny, cześnik Wyleżyński, w skierowanym do księcia Marcina liście groził mu sądem za skalanie dobrego imienia jego rodziny, jak też, paradoksalnie, pomstą Bożą, gdyby pogłoski o jego ślubie z Anną Wyleżyńską okazały się nieprawdziwe. Dodawał przy tym, że w takim przypadku jego córka nie miałaby po co wracać do domu, albowiem nie tylko by ją wydziedziczył, ale i wyrzekł się jej na zawsze.

Tymczasem młodzi byli z sobą bardzo szczęśliwi, a książę Marcin, nawet jeśli brał sobie do serca te nowe zgryzoty, nie miał czasu ich rozpamiętywać. Trwała wojna i żołnierze naciskanej ze wszystkich stron armii pruskiej mieli pełne ręce roboty. W czerwcu 1758 roku młody generał major przeszedł chrzest bojowy pod Ołomuńcem. W bitwie stracił konia i otrzymał dwa ogłuszające ciosy szablą, niemniej zdołał zapobiec panice swoich huzarów, nie opuszczając ich nawet pod ogniem austriackiej artylerii bijącej z odległości pięćdziesięciu

kroków. W tym samym miesiącu wziął udział w ciężkich walkach z Rosjanami koło Kostrzyna, a w sierpniu w niezwykle krwawej bitwie pod Zorndorf, po której rozchorował się na ropną gorączkę.

Podczas rekonwalescencji książę Marcin próbował jakoś stawić czoła swej pogarszającej się stale sytuacji finansowej. Pieniądze zabrane z Polski dawno się skończyły, bez pruskiego żołdu narobił już nowych długów, więc zwrócił się z błaganiem o wsparcie do ojca, siostry i stryja Franciszka. Nikt z bliskich nie raczył mu nawet odpowiedzieć. Co gorsza, gdy próbował odzyskać od Prusaków pieniądze, które wyłożył z własnej kieszeni bądź pobrał z kasy pułkowej na różne potrzeby swoich żołnierzy, pruscy intendenci kwestionowali jego wyliczenia i rachunki, kiedy zaś protestował przeciwko temu na wyższych szczeblach, wszędzie spotykał się jedynie ze złośliwościami bądź murem obojętności.

Tymczasem jego zdziesiątkowany w bitwach pułk został rozwiązany. Z początku obiecano mu w zamian nowy regiment, ale potem Fryderyk II nabrał wody w usta i przestał odpowiadać na jego pytania w tej sprawie. Książę Marcin już dawno doszedł do wniosku, że pruski monarcha całkowicie lekceważy wysiłek, poświęcenie i nierzadko autentyczne bohaterstwo swoich polskich żołnierzy i oficerów. Teraz jednak, gdy młody generał bywał częściej w kwaterze głównej, nieraz ledwie się hamował, zmuszony słuchać tego, co Fryderyk II naprawdę myślał o Polakach, całym tym „durnym tłumie, którego nazwiska kończą się na -ski”⁵ i którego pierwszym przodkiem był, jego zdaniem, „orangutan”⁶.

Bo choć Fryderyk Wielki, pozujący na filozofa, gardził wszystkimi obcymi nacjami, przy czym najbardziej chyba Rosjanami, których jednocześnie bardzo się bał, zwłaszcza po sromotnym laniu, jakie sprawili jego wojsku pod Gross-Jägersdorf, to właśnie Polacy byli najulubieńszym celem jego drwin i agresji. Książę Marcin nie wiedział, że pruski monarcha nie cierpiał ich jeszcze od czasu swego młodzieńczego pobytu na polsko-saskim dworze w Dreźnie, gdzie wspaniałe, rozrzutne, arcybogate, błyskotliwe, wiecznie rozbawione, otoczone najpiękniejszymi kobietami, jakie widział w życiu, a zarazem rozpite, rozpustne i zepsute do szpiku kości otoczenie Augusta II Mocnego spoglądało na niego z góry i z politowaniem, widząc w nim jedynie parweniusza i niezbyt udanego syna prowincjonalnego władcy z Berlina, znanego powszechnie w Europie z horyzontów myślowych dworskiego ekonoma, kompletnej niewrażliwości na uroki życia i wszelkie sprawy ducha oraz z manier tępego żołdaka, jakby

przeniesionego żywcem z czasów wojny trzydziestoletniej. W dodatku to prawdopodobnie wtedy, w Dreźnie, któraś z pięknych polskich pań zaraziła młodego pruskiego księcia, przeżywającego swoją erotyczną inicjację, chorobą weneryczną, która, zbyt długo skrywana przed ojcem i berlińskimi lekarzami, pozbawiła go możliwości normalnego współżycia z kobietami i płodzenia dzieci.

Księżę Marcin nie wiedział również, że kiedy Fryderyk, objąwszy rządy po swoim ojcu, do końca zamienił Prusy w jedno wielkie koszary, gdzie każdy bez wyjątku był przede wszystkim żołnierzem, materiałem na żołnierza lub matką przyszłych żołnierzy („Kiedy władcy grają o prowincje, ludzie są tylko żetonami, którymi się płaci”⁷), odczuwał coraz większą, fizyczną wręcz odrazę do sąsiedniego kraju swobodnej, dumnej i bogatej szlachty, nieuznającej nad sobą niczyjej władzy absolutnej i potrafiącej narzucić swoją wolę także monarchom, których sama sobie obierała i których królewskim rządóm, ograniczonym przez demokratycznie uchwalane prawo, poddawała się bardzo niechętnie i tylko warunkowo.

Mimo to, kiedy młody generał słyszał, że zdaniem jego nowego pana, Polska, jak każdy kraj słaby pod względem militarnym, zasługuje jedynie na pogardę, zaś zamieszkujący ją naród, złożony według pruskiego monarchy w połowie z Żydów (których Fryderyk II nienawidził tak samo jak Cyganów, włóczęgów, żebraków oraz wszelkich innych „brudasów” i „darmozjadów”), jest ciemny, zacofany, przesądny, leniwy, próżny, nietolerancyjny, barbarzyński, rozpijaczony, lekkomyślny, tchórzliwy, niekonsekwentny, i co gorsza, niezdyscyplinowany, jak też, że daje się on wodzić za nos kobietom (władca Prus, jak zauważył księżę Marcin, od kobiet wolał raczej przystojnych adiutantów i kręcących biodrami kamerdynerów) i że choć z tym narodem można wszystko załatwić za pomocą złota, to jednak lepiej używać wobec niego pięści albo kija, bo samą dobrocią nikt jeszcze nie doszedł z nim do ładu – burzyła się w nim krew i okrutnie świerbiła go ręka.

Któregoś razu ręka księcia Marcina sięgnęła nawet do szabli, kiedy Fryderyk II w przypływie szczerości wyznał swoim generałóm, iż po ostatecznym zwycięstwie i ucywilizowaniu wydartego Austrii Śląska, przyjdzie kolej na cywilizowanie Polski, na co czeka z utęsknieniem cała oświecona Europa, jak go zapewniał w listach jego przyjaciel Wolter. Król dodał przy tym z uśmiechem, że w przypadku Polski misja cywilizacyjna Prus będzie dużo łatwiejsza, skuteczniejsza i przede wszystkim nieporównanie tańsza od

podobnych działań prowadzonych przez Anglię i Francję w Nowym Świecie, ponieważ polscy Irokezi byli tuż-tuż, o rzut kamieniem, a w dodatku sami poniosą koszt tej operacji, jeśli się ich tylko dobrze przyciśnie bagnetem.

Na szczęście dla księcia Marcina jego oburzenie i świętokradczy gest nie zostały zauważone. Ale młody generał miał już dosyć Prus. Kiedy wydobrzeł do końca, w najgłębszej tajemnicy przed wszechobecnymi w wojsku pruskim donosicielami zebrał w Koźlu dwunastu żołnierzy, z którymi półtora roku wcześniej opuścił Kamieniec Podolski, i zaopatrzył ich w sporą ilość prowiantu i amunicji. Do formowanego po kryjomu oddziału dołączyli inni Polacy: major Suski, chorążowie Wolski i Mołodecki, a także kilku rodowitych Prusaków z rotmistrzem Heinrichem Normanem na czele. Gdy do Koźła dotarły jeszcze kobiety – Anna Wyleżyńska oraz żona chorążego Wolskiego i dwie służące – wszyscy wyruszyli nocą w stronę Lublińca, po czym bez najmniejszych problemów przekroczyli niepilnowaną przez nikogo granicę Rzeczypospolitej.

W Polsce oddział udał się do posiadłości stryja księcia Marcina w Kamieniu pod Częstochową. Tam, korzystając z nieobecności właściciela, rozłożył się obozem, okopał się i ufortyfikował. Już pierwszego dnia z grupy ubyło kilku żołnierzy oraz major Suski, którzy postanowili wrócić w domowe pielesze, lecz w ich miejsce wciąż przybywali z Prus nowi dezertery, toteż rychno liczebność oddziału zbliżyła się do trzydziestu osób. Aby go wyżywić, książę Marcin wszedł w porozumienie ze stacjonującym w Kaliszu dowódcą rosyjskim i zobowiązał się zabierać dla Moskali przechodzące przez okolice Częstochowy transporty żywności, bydła i koni przeznaczone dla Prusaków, za co miał otrzymywać dwadzieścia procent ich wartości w brzęczącej monecie. Od tego czasu przebywał przy nim stale rosyjski oficer łącznikowy.

Gdy niedługo potem o napadach pod Częstochową, nie tylko zresztą na pruskie transporty wojskowe, ale także na pruskich kupców i podróżnych, zrobiło się głośno w całej Polsce, a podczas jednego z owych napadów zginął żydowski kupiec z Wrocławia Salomon Franke, głównodowodzący wojsk polskich hetman Jan Klemens Branicki rozkazał generałowi Wielopolskiemu udać się na czele trzech regimentów piechoty pod Częstochowę i przeczesać dokładnie teren w poszukiwaniu bandytów szkodzących handlowi międzynarodowemu oraz polskiej racji stanu.

Pod koniec czerwca 1759 roku żołnierze gen. Wielopolskiego otoczyli pałac w Kamieniu. Zaskoczeni we śnie ludzie księcia Marcina stawiali słaby

i nieskuteczny opór, kilku z nich uciekło. Sam ksiązę, odziany jedynie w bieliznę, próbował pertraktować z generałem Wielopolskim, ale został rozbrojony i razem z innymi członkami bandy zamknięty w stodole. Wszystkie obecne w pałacu kobiety załadowano na wóz i wywieziono do Krakowa, Annę Wyleżyńską zostawiając po drodze w klasztorze norbertanek w Imbramowicach.

Z ujętymi członkami oddziału nie patyczkowano się. Przez tydzień trzymano ich o chlebie i wodzie, na okrągło przesłuchując. Ponieważ podejrzany o napady i rabunki byli wojskowi, śledztwo prowadzono w oparciu o pochodzącą jeszcze z czasów Jana Kazimierza ordynację sądów wojskowych. Śledztwo to potwierdziło winę zatrzymanych. Po naradzie w sztabskwaterze generał Wielopolski polecił zwolnić szesnastu aresztantów jako przypadkowych i nieświadomych uczestników zbójckiego procederu. Dla uniknięcia dyplomatycznych skarg i zatargów znalazł się w tej grupie również rosyjski oficer łącznikowy i wszyscy poddani pruscy. Resztę zatrzymanych – z wyjątkiem księcia Marcina, który miał być także sądzony za dezercję i nielegalną służbę w obcej armii (znaleziono przy nim czternaście listów Fryderyka II niepozostawiających w tej kwestii żadnych wątpliwości) – odesłano do Krakowa, gdzie mieli stanąć przed niższym sądem wojskowym. Samego księcia przewieziono pod silną eskortą do Kamieńca Podolskiego, gdyż zgodnie z przepisami obowiązującego *Corpus iuris militaris Polonicum*⁸, jako dowódca, powinien być sądzony w garnizonie, który samowolnie opuścił.

W drodze do Kamieńca, podczas której eskorta obchodziła się z księciem Marcinem bardzo brutalnie i nie szczędziła mu różnych upokorzeń, doręczono mu list od ojca, zawiadamiający go o tym, że jego ostatnie wyskoki tak bardzo wstrząsnęły jego matką, iż zmarła nagle na atak serca i została pochowana u reformatów w Kazimierzu Dolnym. Związane z tą wiadomością wyrzuty sumienia przybiły nieszczęsnego księcia do tego stopnia, że resztę podróży odbył niczym w malignie, nie zauważając nawet dłuższego postoju za Lwowem, kiedy to towarzysząca mu eskorta musiała wyklócać się o pierwszeństwo przejazdu z woźnicą przepysznej poszóstnej karety zaprzężonej w kare rumaki i otoczonej przez dwunastu pieszych gwardzistów z długimi pejsami i brodami, z których każdy ścisnął w rękę drewnianą halabardę.

Cela i warunki odosobnienia czekające na księcia Marcina w Kamieńcu Podolskim różniły się bardzo od tych, jakich ufny w swe parantele i możliwości miecznik koronny zażądał dla swego wyrodnego syna w liście skierowanym do

nowego komendanta twierdzy, generała majora Christiana Dahlke. Wbrew życzeniom kochającego go mimo wszystko ojca, cela Marcina nie składała się bynajmniej z dwóch osobnych pomieszczeń i nie była wyposażona w wygodne meble. Więźniowi nie podawano także pięciu smacznych potraw na obiad ani trzech na kolację. O porządnym obrusach i serwetach do posiłku nie było mowy, podobnie zresztą jak o dobrym piwie czy winie, nie wspominając już o możliwości gry w karty czy muzykowania na skrzypcach. Książę Marcin nie dysponował również własnym golibrodą, „jak najlepszym” lekarzem ani osobistą praczką. Potraktowany równie surowo jak każdy inny dezertor, już następnego dnia po przybyciu do Kamieńca Podolskiego został wezwany na pierwsze przesłuchanie. Podczas tego i kolejnych dochodzeń potwierdził w zasadzie wszystkie stawiane mu zarzuty dotyczące dezercji, porwania panny Wyleżyńskiej, służby w obcej armii i rozbojów pod Częstochową. Starał się jednak umniejszyć swoją winę, tłumacząc, że był jedynie tytularnym dowódcą regimentu, że porwania dokonał w afekcie, że nie składał przysięgi wierności Fryderykowi II i nie służył mu za pieniądze, jak też że napady pod Częstochową, w tym również ten, w którym zginął żydowski kupiec z Wrocławia, nie odbyły się na jego rozkaz, lecz były wynikiem samowoli jego podwładnych.

Po zebraniu materiału śledczego hetman wielki koronny wyznaczył termin rozprawy na 17 września 1759 roku, powołując zarazem na przewodniczącego składu sędziowskiego Kryxrehtu księcia Antoniego Lubomirskiego, generała lejtnanta wojsk koronnych, wojewodę lubelskiego i zarazem krewnego oskarżonego. W formalnym oskarżeniu sąd wojskowy zarzucił księciu Marcinowi dezercję z polskiego wojska, rozboje, tamowanie gościńca publicznego i umyślne zabójstwo kupca pruskiego Salomona Franke z Wrocławia.

Książę Marcin raz jeszcze powtórzył wszystko, co miał na swoją obronę, po czym, zgodnie z procedurą ordynacji sądów wojskowych, dwunastu asystentów przewodniczącego Kryxrehtu, w kolejności od najniższego do najwyższego stopniem, przystąpiło do składania swoich propozycji wyroku.

Kapitanowie II klasy Konstanty Kruszelnicki i Stanisław Jaszowski opowiedzieli się za degradacją księcia Marcina i zamknięciem go dożywotnio w jakiejś fortecy, jak też za przekazaniem jego zaległego uposażenia na rzecz Kryxrehtu. Kapitanowie I klasy Kazimierz Giżycki i Aleksander Mycielski byli tego samego zdania, wnioskując dodatkowo o kasację wszystkich godności

pod sąd. Majorowie C. F. Jung i C. Laurens de Bousquet domagali się wymierzenia oskarżonemu kary banicji, ścięcia i konfiskaty majątku, chociaż z szacunku dla jego książęcego rodu dopuszczali ewentualną zamianę ścięcia na rozstrzelanie. Podpułkownicy Krystian Deybel de Hameron i Dominik de Stückenfeld zadowolili się samym rozstrzelaniem, zaś znacznie od nich pobłażliwsi pułkownicy J. Biernacki i F. H. Szarowet de Szarow proponowali pozbawić oskarżonego stopnia wojskowego i zamknąć go dożywotnio w twierdzy. Na szczęście dla księcia Marcina, opinię pułkowników podzielili łaskawie także generałowie Karol Górecki i Christian Dahlke⁹.

Zgodnie z przepisami, po dziesięciu dniach deliberacji i ostatecznym głosowaniu, sąd wojskowy ogłosił swój wyrok następującej treści:

„Inkwizyt książę Marcin Lubomirski, generał major wojsk koronnych przyznał się do dezercji, tłumacząc się tym, że był tylko generałem majorem i second pułkownikiem tytularnym, jednak dowiedziono mu, że w garnizonowym żurnalu znajdują się jego ordonanse wydane w Kamieńcu Podolskim. Udowodniono: tamowanie publicznego gościńca i rozboje, co składa na swoich oficerów. Kupiec Salomon Franke utracił życie, co obciąża osobę księcia jako dowódcy i jego oficerów.

Popęłił następujące występki: dezercja, rozboje, tamowanie gościńca publicznego, zabójstwo umyślne, przeto według surowości artykułów wojennych i konstytucji koronnych za kryminalne przestępstwa, tak wojskowe, jak i powszechne, karę na honorze i życiu księcia Marcina mocą tego dekretu, większością głosów, taka daje się sentencja [...], aby życia swego dalszego w jakiejś fortecy lub zamknięciu dobrze strzeżony strawił tym sposobem, jak żeby żywo był umarły”¹⁰.

Wyrok ten został przesłany do zatwierdzenia hetmanowi Branickiemu, który pod naciskiem rodu Lubomirskich i korzystając ze swoich prerogatyw, zmniejszył go do piętnastu lat pozbawienia wolności. Wkrótce potem głównodowodzący wojsk polskich, w obawie przed możliwą ucieczką więźnia, kazał go przewieźć do Białegostoku, a następnie – zgodnie z życzeniem Lubomirskich, aby książę Marcin, jako infamis i zakała familii, zniknął na jakiś czas z Polski i „pamięć o jego występkach zaginęła”¹¹ – napisał do króla, że żadna z polskich warowni nie udaremnia ucieczki, toteż byłoby najlepiej, gdyby książę Marcin odbył swoją karę gdzieś za granicą. Reszty dopełniła łapówka wpłacona wszechwładnemu ministrowi Augusta III hrabiemu Brühlowi, który

doprowadził do tego, że August III wystąpił do cesarzowej Marii Teresy z prośbą o zgodę na odbywanie przez generała Marcina Lubomirskiego kary, na koszt jego rodziny, w którejś z twierdz węgierskich.

Cesarzowa zgodziła się łaskawie, wskazując Munkacz, i w maju 1760 roku na granicznej Przełęczy Dukielskiej książe Marcin Lubomirski, generał wojsk polskich i pruskich, a także podwójny dezterter, został za stosownym pokwitowaniem przekazany specjalnemu konwojowi austriackiemu liczącemu, bagatela, dwustu uzbrojonych po zęby żołnierzy.

▪

Kiedy wiadro zimnej wody przywróciło rotmistrzowi von Zypke przytomność, pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, była wyrażająca szczerzy niesmak i święte oburzenie twarz pana Korytkowskiego.

– To nie tak – wybełkotał ze wstydem czarny huzar. – Nie wiedziałem, że te pieniądze są fałszywe. Słowo pruskiego oficera.

– Słowo pruskiego oficera? – pan Korytkowski wydał ze wzgardą wargi. – To mało przekonujące.

– Więc przysięgam na tę Matkę Boską Lubecką, którąś mi pan podarował, że jestem niewinny! – zapewnił go z uniesieniem rotmistrz von Zypke.

– To co innego. W takim razie zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pana stąd wyciągnąć. Słowo polskiego szlachcica.

Wiadomość o aresztowaniu rotmistrza von Zypke wywarła na pozostałych braciach piorunujące wrażenie. Kiedy nieco ochłonęli, brat Olaf oznajmił, że sprawa wydaje mu się śmierzcząca, więc wolałby się w nią nie mieszać, tylko zostawić czarnego huzara jego własnemu losowi i zgodnie z planem ruszać do Lwowa, bo najważniejsza jest misja, z jaką przybyli do Polski. Sprzeciwił się temu brat Johann, który stwierdził, iż nie godzi się opuszczać rotmistrza w niedoli i trzeba odłożyć wyjazd przynajmniej o jeden dzień, szukając przedtem pomocy w pruskiej ambasadzie. Zdanie to w końcu przeważało, jednak zadowolenie z tego powodu brata Johanna i pana Korytkowskiego znacznie się zmniejszyło, kiedy cała trójka poprosiła o opinię pana Janotzkiego.

– Czarno to widzę, panowie – rzekł mocno zmartwiony pan Janotzki. – Musicie wiedzieć, że od 1744 roku, kiedy to na Sejmie, mającym między innymi radzić nad zwiększeniem liczby wojska i reformą systemu podatkowego, poseł

Wilczewski rzucił na podłogę trzysta dukatów, twierdząc, że dostał je za zerwanie obrad od pruskich dyplomatów, posła w Warszawie Hoffmanna i przybyłego specjalnie na tę okazję z Berlina pana Wallenrodta, jak też wymienił nazwiska innych przekupionych przez nich deputowanych, stosunki między Polską i Prusami bardzo się ochłodziły. Nasz miłościwy pan August III nakazał wówczas Wallenrodtowi opuścić Warszawę, zaś Hoffmann wyjechał z niej dobrowolnie na tak zwane konsultacje. Tak zwane, bo jest to zgrabna formułka, którą tuszuje się zazwyczaj podobne skandale.

Od tamtej pory minęło piętnaście lat i ambasador Prus wciąż z tych „konsultacji” nie wrócił, a tymczasem Prusy napadły na Saksonię i zmusiły króla Augusta do ucieczki z Drezna, co tylko pogorszyło sytuację. Tak więc, choć stosunki dyplomatyczne między Warszawą i Berlinem nie zostały nigdy zerwane, kształtują się dzisiaj na niskim poziomie, czego najlepszym przykładem jest fakt, że najwyższej rangi urzędnikiem ambasady pruskiej w Warszawie, znajdującej się *nota bene* o parę kroków stąd, na ulicy Bielańskiej, jest zaledwie pierwszy sekretarz, pan Gédéon Benoît. Nie sądzę, żeby dyplomata z tak skromną rangą mógł wiele w tej sprawie zdziałać, zwłaszcza że od czasu napadu Prus na Saksonię prawie nikt nie chce z nim rozmawiać.

– Gédéon Benoît? Francuz? – zdziwił się pan Korytkowski.

– Owszem, ale w służbie pruskiej.

– A może pójdzie pan do niego z nami? – poprosił brat Johann.

– Nie – odparł stanowczo prefekt biblioteki. – Nie wątpię wprawdzie w niewinność rotmistrza von Zypke, ale to, że Prusy zalewają Polskę fałszywym pieniądzem, jeszcze bardziej nie ulega kwestii. Tak czy inaczej, życzę panom powodzenia.

▪

Pan Gédéon Benoît, rezydent pruski w Warszawie, bardzo chętnie zgodził się przyjąć luterańskich misjonarzy. Oczywiście nie od razu, bo choć nie miał absolutnie nic do roboty, najpierw kazał im *pro forma* antyszambrować przez trzy godziny pod swoim gabinetem, zgodnie ze zwyczajem, którego trzymał się z żelazną konsekwencją ze względu na błogosławiony wpływ pedagogiczny, jaki podobne oczekiwanie wywierało na większość niespodziewanych, a niekiedy

także zaproszonych przez niego samego gości, nawet jeśli byli nimi dyplomaci z innych ambasad czy posłowie na Sejm Rzeczypospolitej.

Sam tymczasem rozpakował z przyjemnością przesyłkę otrzymaną rano z Amsterdamu. Były w niej trzy książki: najnowsza, lecz już ciesząca się ogromnym powodzeniem powiastka filozoficzna pana Woltera – na której okładce, dla uniknięcia kłopotów z cenzurą niezawierającej nazwiska autora, można było przeczytać: *Kandyd, czyli optymizm, dzieło przełożone z niemieckiego rękopisu doktora Ralpa* – oraz dwie niewielkie broszury głośnego filozofa Juliena Offraya de La Mettriego, wsławionego między innymi błyskotliwym twierdzeniem, że człowiek jest tylko przewodem pokarmowym ze zwieraczami na obu końcach, których to broszur pan Gédéon Benoît od dawna poszukiwał i po których intrygujących tytułach *Sztuka orgazmu*¹² i *Mały człowiek z wielkim fiutem*¹³ wiele sobie obiecywał. Więcej w każdym razie niż po przeczytanej niedawno i tak zachwalanej przez krytykę *Sztuce pierdzenia*¹⁴, która mocno go rozczarowała („Ach, ta krytyka! – myślał z pogardą pan Benoît – zawsze gotowa łykać z zachwytem każde gówno, lecz absolutnie ślepa i głucha, kiedy w grę wchodzi prawdziwy talent”).

Nie mogąc się zdecydować, któremu tytułowi dać pierwszeństwo, sekretarz ambasady pruskiej w Warszawie nalał sobie kieliszek ulubionego sherry, po czym ze wszystkimi trzema książkami ulokował się na wygodnej sofie i zaczął czytać po kawałku każdej z nich.

Choć z pozoru mogłoby się wydawać inaczej, pan Gédéon Benoît bardzo ucieszył się z wizyty współpracowników Institutum Judaicum et Muhammedicum w Halle, ponieważ od jakiegoś czasu wszelcy inni goście – zaproszeni czy też nie – trafiali się w poselstwie pruskim niezmiernie rzadko.

Wszystko zaczęło się trzy lata wcześniej od błyskawicznego ataku Prus na Saksonię, kiedy to po zajęciu niemal bez jednego wystrzału Drezna i otoczeniu armii saskiej pod Pirną, skąd Augusta III, elektora saskiego i króla Polski w jednej osobie, wypuszczono dopiero po jej bezwarunkowej kapitulacji, Fryderyk II wcielił siłą do swego wojska wszystkich pojmanych żołnierzy przeciwnika („Ależ to rzecz bezprzykładna w dziejach!” – miał się ponoć skarżyć na tę decyzję negocjator przysłany z saskiego obozu. „Owszem, przykłady są. A nawet gdyby ich nie było, nie wiem, czy pan słyszał, że mam pewną słabostkę do bycia oryginalnym?”¹⁵ – zaśmiał mu się w twarz władca Prus, jak głosiła legenda, którą zdążyło już obrosnąć to wydarzenie).

To naruszenie tradycyjnych zasad prowadzenia wojny wywołało w Europie tak wielkie i powszechne oburzenie, że kiedy pan Gédéon Benoît jako *chargé d'affaires* poselstwa pruskiego w Warszawie, zgodnie z otrzymanymi z Berlina instrukcjami, wydał przyjęcie z okazji podboju Saksonii, przybyło na nie bardzo niewielu spośród oczekiwanych gości. Kiedy zaś, również zgodnie z zaleceniami, wzniósł na nim uroczysty toast za zdrowie i dalsze tryumfy swojego Najjaśniejszego Pana, okazał się – nie licząc aplikanta Schmidta – jedyną na sali osobą, która wychyliła z tej okazji kieliszek szampana („Prawdziwy dyplomata pozostaje dyplomata w każdych okolicznościach” – pocieszał się wówczas po stoicku, przełykając smakujące wyjątkowo gorzko bąbelki).

Niestety, od tamtego przyjęcia zaczął czuć się coraz bardziej samotny. Na dwór królewski niemal go nie zapraszano, do innych ambasad rzadko, zaprzyjaźnieni dotąd polscy arystokraci i senatorzy zapominali o nim, kiedy wydawali jakiś bankiet czy bal maskowy albo urządzali polowanie z chartami, choć jeszcze nie tak dawno, robiąc podobne imprezy, zaklinali się na wszystkie świętości, że organizują je wyłącznie dla niego, więc jeśli nie raczy przyjąć ich zaproszenia, będą je musieli po prostu odwołać. Co gorsza, jakby mało jeszcze było tych nieprzyjemności, w krótkim czasie opuściły go także wszystkie niepłatne kochanki.

Jak było do przewidzenia, pustka wokół niego pogłębiała się w sposób nieregularny, zgodnie ze zmiennym rytmem pruskich zwycięstw i porażek na froncie. Jeszcze bale i przyjęcia zorganizowane w ambasadzie po sukcesach pruskiego oręża pod Lobositz, Pragą i Leuthen cieszyły się względnym powodzeniem, ale już na uroczystym raucie, który wypadł przypadkowo w parę dni po przegranej przez Prusaków bitwie pod Kolinem, zjawiała się tylko garstka drugorzędnej publiczności, która szybko zjadła, co było do zjedzenia, i jeszcze szybciej wypła, co było do wypicia, po czym rozeszła się chyłkiem i bez pożegnania, nie czekając nawet na wety i likiery.

Przybity tym widokiem pan Gédéon Benoît nie próbował nikogo zatrzymać, jako że wszyscy goście, na których mu naprawdę zależało, i tak nie przyszli, wymówiwszy się jakąś nagłą niedyspozycją, ważnymi obowiązkami służbowymi, koniecznością pilnego wyjazdu do położonego na odległej prowincji majątku, wypadającym akurat w tym samym czasie ślubem kuzynki albo świeżą żałobą po zmarłym właśnie stryju, lecz raportował potem rozżalony do Berlina: „Ach, gdybym miał pod ręką 10 000 wojska, wtedy ułożyłbym

pięknymi swoimi warunkami ze wszystkimi tymi panami!”¹⁶ – i dodawał, wiedząc, że to się w centrali bardzo spodoba, jedno z ulubionych powiedzeń swego Najjaśniejszego Pana – „Dyplomacja bez armat to jak muzyka bez instrumentów”.

W gruncie rzeczy raut po Kolinie i tak był wielkim sukcesem w porównaniu z balem, który zbiegł się pechowo z wieścią o straszliwej klęsce armii pruskiej pod Gross-Jägersdorf. Z dwustu zaproszonych wtedy gości zjawili się w ambasadzie tylko trzy osoby: ambasador angielski (z obowiązku, jako reprezentant państwa sojuszniczego) oraz pewien emerytowany polski generał z głuchą jak pień żoną, którą, pomimo tego defektu, pan Benoît przez cały wieczór musiał zabawiać rozmową.

Ciekawe, że niewiele lepiej od balu po Gross-Jägersdorf wypadł także bankiet wydany z okazji pruskiej wiktorii pod Zorndorf, zaszczycony przez co najwyżej czterdziestu spośród trzystu zaproszonych gości. Tak słaba frekwencja potwierdziła podejrzenia sekretarza ambasady, że chyba nie wszystko, co szyfrogramy z Berlina określały jako „nieśmiertelne, nieznanne dotąd w dziejach zwycięstwo”, rzeczywiście zasługiwało na to miano.

Najtrudniejszym jednak wyzwaniem, przed jakim stanął w owym czasie pan Gédéon Benoît, była niewątpliwie uroczysta kolacja, którą musiał wydać z okazji fantastycznego tryumfu armii pruskiej pod Rossbach. Problem polegał na tym, że zarówno większość z pokonanych w tej bitwie czterdziestu tysięcy nieprzyjaciół, jak i sam ich dowódca książę de Soubise byli, tak samo jak on, Francuzami.

Wiedząc z doświadczenia, że we wszystkich ambasadach jest zawsze ktoś, kto z obowiązku donosi centrali o każdym ruchu i słowie swojego szefa (jeśli chodzi o Warszawę, pan Gédéon Benoît podejrzewał o to aplikanta Schmidta, który zjawiał się na placówce przed pięcioma laty dla odbycia trzymiesięcznego stażu i jakimś dziwnym trafem wciąż z niej nie wyjeżdżał), toteż przygotował sobie na tę okazję okolicznościową mowę zawierającą wyjątkowo miażdżącą krytykę Francji.

Wygłosił ją oczywiście po francusku przy długim stole zastawionym miśnieńską porcelaną i oświetlonym srebrnymi kandelabrami, przy którym, oprócz znakomitego grona kilkunastu polskich wielmożów (większość miejsc pozostawała, niestety, niezajęta), zasiadł także aplikant Schmidt, mający za zadanie sporządzić służbową notatkę i z tego powodu dopuszczony do towarzystwa, choć pozbawiony sztućców i nakrycia.

Przypomniawszy na wstępie, że sam ma honor zaliczać się do synów słodkiej ongiś Francji, co, czy tego chce, czy nie chce, przydaje jego słowom szczególnej wagi, sekretarz ambasady pruskiej w Warszawie stwierdził z widocznym żalem, że jego pierwsza ojczyzna nie jest już tą samą dawną Francją, która przez tyle wieków stanowiła największą chlubę Europy i niedościgły wzór do naśladowania dla reszty świata.

Bo tak, jak każdy uczciwy człowiek musiał przyznać, że Francja króla Chlodwiga dała najwcześniejszy przykład wyrzeczenia się barbarzyństwa i wstąpienia na służbę Chrystusa, Francja Karola Młota stanęła w obronie całego chrześcijaństwa, Francja Karola Wielkiego podjęła trud zjednoczenia i podniesienia na wyższy poziom reszty Europy, Francja Ludwika Świętego nauczyła stary kontynent cnoty i pobożności, Francja Joanny d'Arc odsłoniła przed nim niezmierną wielkość prawdziwego bohaterstwa, a Francja Ludwika XIV wyćwiczyła umysły europejskie w szkole precyzji, umiarkowania, racjonalizmu i kartezjańskiej klarowności (przy czym, co trzeba podkreślić, wszystkie te wspaniałe Francje nie przestawały ani na chwilę obdarowywać mniej szczęśliwych od siebie narodów niezrównanymi płodami swojego geniuszu: *chansons de geste*, chorałem gregoriańskim, pieśniami trubadurów, strzelistymi katedrami, zamkami nad Loarą, poezją Ronsarda i Corneille'a, malarstwem Poussina i Rigauda, *Myśłami* Pascala czy ogrodami Le Nôtre'a) – tak też nikt zdrowy na umyśle nie mógł również zaprzeczyć, że Francja Ludwika XV, czyli Francja bezbrzeżnej pychy i arogancji, Francja ohydnej bezbożności i obrzydliwego wolnomyślicielstwa, Francja agresywna, w najwyższym stopniu zepsuta i niemoralna, Francja zamieniona w jeden wielki burdel przez kolejne królewskie metresy, Francja atakująca zdradziecko z za węgła i wtrącająca się bezczelnie w wewnętrzne sprawy innych krajów, mówiąc krótko, ta Francja, która poniosła właśnie z rąk pruskich słuszną i surową karę pod Rossbach, stanowiła aktualnie jedną z największych przeszkód stojących na drodze ku szczęściu i braterskiej jedności całej miłującej pokój Europy.

„Dlatego – pan Gédéon Benoît uniósł z emfazą rękę, w której trzymał kieliszek szampana – choć może to zabrzmieć dziwnie, ja, Francuz z urodzenia i Prusak z wyboru, pozwolę sobie na zakończenie wznieść toast parafrazujący nieco słowa Katona Starszego: «*Ceterum censeo Galliam Ludovici XV esse delendam!*»”¹⁷.

Pomimo tej płomiennej mowy, wszyscy obecni przy stole Polacy, nieuleczalni, jak to oni, frankofile, spuścili dyskretnie oczy i zastygli w głuchym milczeniu, i tylko jeden aplikant Schmidt zaczął bić energicznie brawo, a potem rozglądać się gorączkowo za jakimś kieliszkiem, żeby spełnić toast wzniesiony przez szefa. „Chciałbyś się napić, gnoju?! – zachnął się w duchu na ten widok sekretarz pruskiej ambasady. – Lepiej pisz już kolejny donos, zobaczymy, kto na tym lepiej wyjdzie. Wystawię ci taką ocenę ze stażu, że nie zostaniesz nawet szyfrantem w Maroku!”.

Choć zwycięstwo pod Rossbach – dzięki sposobowi, w jaki z niego wybrnął – stało się poniekąd także osobistym sukcesem pana Benoît, jego pruski patriotyzm podlegał takim samym fluktuacjom, jak frekwencja na wydawanych przez niego przyjęciach i balach. Otóż w miarę, jak Rosjanie parli zwycięsko na zachód, sekretarz ambasady pruskiej w Warszawie odkrywał na nowo swoje francuskie korzenie, a kiedy Moskale stanęli na linii Odry, patrzył już na swego berlińskiego chlebobawcę w mocno zmieniony sposób.

Najszybciej, sam będąc melomanem grywającym na flecie jako *dilettante*¹⁸, pan Gédéon Benoît doszedł do wniosku, że komponowane przez Fryderyka II sonaty i koncerty na ten instrument – którymi Orfeusz Północy zadreślał nie tylko swoich gości w Poczdamie, ale nawet własnych i cudzych żołnierzy, jako że w przeddzień większości bitew, którymi dowodził, nad pruskim obozem unosiły się godzinami trele jego fletu – były, oględnie mówiąc, niewarte funta kłaków. Żeby się o tym przekonać, nie trzeba było od razu porównywać tych nudnych, wtórnych i pozbawionych wszelkiego polotu utworów z dziełami prawdziwych gigantów fletu – Philidora, Boismortiera, de la Barre’a, Dornela czy Monteclaira’a (samych bez wyjątku Francuzów) – czy choćby nawet z koncertami na ten instrument włoskiego księdza Antonia Vivaldiego – zwłaszcza takimi jak *La tempesta di mare*¹⁹, *La notte*²⁰ czy *Il gardellino*²¹, których pan Gédéon Benoît miał kiedyś szczęście słuchać w Wenecji w porywającej interpretacji orkiestry żeńskiej złożonej z samych miejscowych znajd, sierot, bękartów i podrzutków, różniących od ucha jak małe diablice pod dyktando *Il Prete Rosso*²² – gdyż wystarczyło w zupełności zestawzić je z pierwszym lepszym muzycznym fragmentem, jaki wyszedł spod pióra zmarłego przed kilku laty i na poły już zapomnianego nadwornego kompozytora króla Polski, niejakiego Jana czy też Józefa Sebastiana Bacha.

Kunsztowne, skomplikowane, wielogłosowe, a przez to mocno już staroświeckie dzieła Bacha, zawsze niezbyt popularne, grywano teraz bardzo rzadko, ale nawet to, czego pan Gédéon Benoît zdołał posłuchać w Warszawie w świetnym wykonaniu zbiegłych z Saksonii przed Prusakami lipskich i drezdeńskich instrumentalistów i śpiewaków, czy to w czasie kolejnych Wielkich Tygodni, kiedy August III, umywszy własnoręcznie nogi kilku wybranym starcom i podjąwszy ich królewskim obiadem, podczas którego sam im usługiwał, oddawał się bez reszty swojej ulubionej, obok polowań i teatru, rozrywce, czyli słuchaniu muzyki – a więc, przede wszystkim, fragmenty jakiejś majestatycznej mszy w tonacji h-moll – czy to podczas zwykłych dworskich koncertów, gdzie liczyła się bardziej przyjemność dla ucha niż liturgiczne przeznaczenie wykonywanych utworów – jak aria z kantaty *Jauchzet Gott in allen Landen*²³ z jej brawurowym, koloraturowym współzawodnictwem trąbki i sopranu; kantata *Herz und Mund und Tat und Leben*²⁴ z jej niesamowitym, pulsującym wciąż *da capo*, zwłaszcza w partii trąbki, skrzypiec i oboju, końcowym chorałem, przywodzącym na myśl węża kęsającego własny ogon, starożytny symbol wieczności (*Jesus bleibet meine Freude, meines Herzens Trost und Saft, Jesus wehret allem Leide, er ist meines Lebens Kraft*²⁵, o ile dobrze zapamiętał jej naiwne i, co tu ukrywać, dość anachroniczne słowa); sonata Es-dur na flet i klawesyn z jej cudownymi, tchnącymi niebiańskim spokojem i rozświetlonymi słońcem niczym letni dzień w okolicach Nîmes lub Awinionu *Allegro moderato* i *Siciliano*; i wreszcie, napisana kiedyś z okazji monarszych urodzin, rozkołysana i pluskająca niczym fale kantata *Schleicht, spielende Wellen*²⁶, w której cztery rzeki: Wisła (bas), Łaba (tenor), Dunaj (alt) i Pleisse (sopran) składały kolejno hołd królowi Polski – otóż nawet to, ten drobny ułamek twórczości, ponoć bardzo obfitej, owego nieznanego szerszej publiczności i na poły już zapomnianego Jana czy też Józefa Sebastiana Bacha wystarczał przecież w zupełności, aby każdy, kto wiedział choćby tylko z grubsza, na czym polega prawdziwa, ocierająca się o absolut muzyka, nie miał najmniejszych wątpliwości, że cały drogocenny czas, jaki poświęcił i może jeszcze poświęcić na komponowanie koncertów i sonat koronowany amator z Berlina, był, jest i będzie czasem bezwzględnie straconym.

Podobnie było – przyznał się następnie sam przed sobą pan Gédéon Benoît – z poezją, nauką i filozofią, czyli trzema dziedzinami, w których Fryderyk II też bardzo lubił uchodzić za geniusza. Choć sekretarz ambasady pruskiej

w Warszawie nie pochlebiał sobie, że zna się na nich równie dobrze jak na muzyce, o tym, jak wyglądała ta kwestia naprawdę, świadczyły najlepiej burzliwe i głośnie w całej Europie dzieje przyjaźni Salomona Północy z największym poetą, uczonym i filozofem tego wieku, panem Franciszkiem Marią Wolterem.

Przyjaźń tę zapoczątkował pełen uwielbienia list młodego Fryderyka, wtedy jeszcze tylko następcy tronu, do znakomitego pisarza i myśliciela, zaczynający się przymilnie „Szanowny Panie, chociaż nie mam przyjemności znać Pana osobiście, jest mi Pan znany dzięki swoim dziełom. Są to prawdziwe skarby duchowe, jeśli można tak powiedzieć, wycyzelowane z takim smakiem, delikatnością i artyzmem, że zawarte w nich piękno wydaje się nowe, za każdym razem gdy się je czyta ponownie. Myślę, że rozpoznałem w nich charakter ich genialnego autora, który przynosi zaszczyt naszemu stuleciu i duchowi ludzkiemu”, a zakończony propozycją nawiązania korespondencji i jeszcze jednym pochlebstwem: „[...] pragnę Pana zapewnić, że pozostaję z całym szacunkiem i uznaniem, jakie należą się tym, którzy podążając za pochodnią prawdy, poświęcają swoje trudy dobru publicznemu, Pańskim szczerze oddanym przyjacielem”²⁷.

Pan Wolter odpowiedział równie uprzejmie i korespondencja została nawiązana. Od tamtej pory książę Fryderyk i pan Wolter wymienili ze sobą setki listów, w których ten pierwszy nazywał drugiego „Cyceronem”, „Demostenesem”, „Sokratesem”, „Platonem”, „Wergiliuszem” lub „Arystotelesem”, zaś ten drugi pierwszego „Salomonem”, „Apollinem”, „Markiem Aureliuszem”, „Tytusem”, „Juliuszem Cezarem” albo „Trajanem”, czym – jak Europa długa i szeroka – delectowały się wszystkie oświecone umysły, ponieważ tak jeden korespondent, jak drugi, chętnie pozwalali sporządzać kopie otrzymanywanych listów.

Gdy w 1740 roku Trajan Północy został wreszcie królem Prus – państwa, o którym powiadano, że składa się z trzech stanów: piechoty, jazdy i artylerii – zapragnął uczynić z przypominającego dotąd koszary Berlina najwspanialszą stolicę Europy, promieniującą na cały kontynent niezrównanym blaskiem nauki i sztuki roztaczanym przez najtęższe umysły Wieku Rozumu, które zamierzał zgromadzić na swoim dworze.

Dwór ten miał zarazem pokazać światu, że młody władca zerwał całkowicie z niechlubną tradycją znieawidzonego przez siebie ojca Fryderyka Wilhelma,

zwanego Kapralem lub Sierżantem, znieważającego syna na każdym kroku, niepozwalającego trzymać w królewskim pałacu żadnych ksiązek, pasjonującego się hodowlą żołnierzy olbrzymów – których kazał werbować lub porywać po całej Europie i żenił przymusowo z olbrzymkami, dziwując się potem niepomnie, że wbrew jego nadziejom, z tak skojarzonych związków zamiast gigantów rodziły się zwykłe kurduple – a bawiącego się najlepiej na posiedzeniach czysto męskiego Kolegium Tytoniowego, złożonego z najbliższych przyjaciół, gdzie piło się i paliło na umór, roztrząsało rozmaite kwestie – na przykład, jakie są naturalne aromaty kobiet – i gdzie największej uciechy dostarczało strojenie sobie żartów ze specjalnie zaproszonych w tym celu uczonych i artystów.

Ulubionym obiektem figlów Króla-Sierżanta i jego kompanów był profesor Jacob Paul von Gundling, prezes berlińskiej Akademii Nauk, znany poliglota i polihistor, autor cenionych w świecie traktatów o prawie cesarskim, historii Toskanii i topografii Brandenburgii. Któregoś razu kazano mu wygłosić wykład na temat istnienia duchów, podczas którego musiał co chwila raczyć się wódką. Kiedy spitego jak bela i plotącego już od rzeczy profesora odstawiono do sypialni, tam natarła na niego jakaś ubrana w białe prześcieradło postać, co o mało nie przyprawiło go o atak serca. Innym razem zamknięto go w pomieszczeniu, gdzie król trzymał kilka młodych niedźwiedzi, które pobudzano do większej aktywności wrzucanymi do środka fajerwerkami. Uratowany w ostatniej chwili z niedźwiedziej paszczy profesor Gundling długo nie mógł dojść do siebie, co wcale nie przeszkodziło nakarmić go zaraz przy kolacji środkami na przeczyszczenie, a później zmusić do pojedynku na pistolety, przy czym jedyną osobą w towarzystwie, która nie wiedziała, że do broni nie włożono prawdziwych kul, był on sam. Kiedy odmówił strzelania, jego przeciwnik wypalił mu prosto w twarz, a od płonącego prochu, ku wielkiej ucieście członków Kolegium, stanęła w płomieniach profesorska peruka²⁸. Przy innej okazji Król-Sierżant odgrażał się zresztą, że w miejsce Gundlinga mianuje prezesem Akademii małpę, ponieważ to znane ze swej inteligencji zwierzę – twierdził – ma dużo więcej rozumu od wszystkich berlińskich uczonych i akademików razem wziętych.

Dwór Fryderyka II miał być zupełnie inny, zaś jego największą ozdobę miał stanowić właśnie pan Franciszek Maria Wolter. Kiedy światowej sławy autor, kuszony przez dziesięć lat obietnicami wysokiej pensji i różnych zaszczytów,

przybył wreszcie do Poczdamu, Tytus Pólnocy potraktował go zaiste po królewsku, przyznając mu dwadzieścia tysięcy liwrów rocznej pensji, tytuł i symboliczny złoty klucz szambelana dworu, krzyż orderu *Pour le Mérite* oraz własny apartament w monarszym pałacu.

„Sto pięćdziesiąt tysięcy zwycięskich żołnierzy, żadnego prokuratora, opera, teatr, filozofia, poezja, bohater filozof i poeta, wielkość i wdzięk, grenadierzy i muzy, trąbki i skrzypce, platońskie uczyty, Towarzystwo i swoboda!”²⁹. „Wszystko jest wielkie, wszystko jest piękne, wszystko jest na swoim miejscu”³⁰, „Jest to bajeczny kraj”³¹ – zachwycał się francuski Cycero, na którego cześć wydawano nieustannie przyjęcia i festyny, wystawiano sztuki i opery, przeprowadzano przeglądy wojsk, urządzano pokazy sztucznych ogni i organizowano koncerty, na których sam Fryderyk popisywał się grą na flecie. Zachwyty Woltera był tym większy, że nie miał w Poczdamie żadnych obowiązków oprócz zabawiania króla i jego gości lekką konwersacją na modne tematy (religia, tolerancja, postęp, fanatyzm, ale także, przykładowo, platońskie obojnaki) oraz poprawiania wierszy swego chlebobdawcy.

Utwory te – pisane zawsze po francusku, ponieważ Fryderyk II gardził rodzimą literaturą, uważając, podobnie zresztą jak pan Benoît, że w języku niemieckim, tym „szwargocie pozbawionym wszelkiego uroku”³², jak sam go określał, nawet geniusz nie jest w stanie osiągnąć wybitnych efektów, gdyż często dopiero na końcu rozbudowanej frazy dociera się do czasownika, od którego zależy sens całego zdania – charakteryzowały się niestety kulawym stylem, jak też roiły się od błędów gramatycznych i ortograficznych. Mimo to pan Wolter poprawiał je z podziwu godnym samozaparciem, a kiedy jego królewski pupił domagał się ich fachowej oceny, zazwyczaj poprzestawał na dyplomatycznym stwierdzeniu „*Caesar est supra grammaticam*”³³, w najgorszym zaś razie „Cała wielkość Pańskiego geniuszu jest bezradna tam, gdzie chodzi o sylaby”³⁴.

Trwało to do czasu, gdy któregoś razu pan Wolter, otrzymawszy do korekty nową porcję monarszych wierszy, pozwolił sobie na głośną uwagę: „Czy mu się wreszcie nie znudzi przysyłać mi swoją brudną bieliznę do prania?”³⁵ (co natychmiast powtórzono Fryderykowi), która być może miała związek z wyjątkową literacką mizerią tych utworów, lecz mogła również wynikać z faktu, że właśnie wtedy zaczęły docierać do niego plotki, iż prywatnie Pliniusz Pólnocy nazywa go „szelmą”, „małą”, „hultajem”, a nawet „złodziejem” (król

uważał bowiem, że jego gość honorowy podkrada mu w pałacu świece i zużywa za dużo mydła), że pewnego razu powiedział o nim w szerszym gronie: „Będzie mi jeszcze potrzebny najwyżej rok: wyciska się pomarańczę i wyrzuca skórkę”³⁶, zaś przy innej okazji napisał do wspólnego znajomego: „Wielka szkoda, że dusza tak tchórzliwa łączy się z tak wspaniałym umysłem. Jest w nim uprzejmość i małpia złośliwość”³⁷, ale: „Od łotra też można się nauczyć pożytecznych rzeczy. Chcę poznać jego francuski, cóż mnie więc obchodzi jego moralność”³⁸.

Tak czy inaczej, przyjaźń francuskiego Sokratesa z niemieckim Julianem Apostatą bardzo wówczas osłabła, gwoździem do jej trumny okazała się zaś awantura wywołana działalnością pana Pierre’a Louisa Maupertuisa, francuskiego podróżnika, fizyka, matematyka i geometry (zmierzył m.in. długość południka ziemskiego w Laponii), zajmującego się również tak interesującymi z punktu widzenia biologii i polityki zagadnieniami, jak walka o byt i selekcja naturalna, którego to Fryderyk II mianował Prezydentem Pruskiej Akademii Nauk.

Projekty badawcze pana Maupertuisa, mogące uchodzić za nader śmiałe nawet w tym stuleciu, w którym tak wielu ludzi wzniosło się nad poziomy, dzieliły się na czysto naukowe, najczęściej trudne do zrealizowania ze względu na brak odpowiednich funduszy i sprzętu (należało do nich na przykład wysadzenie w powietrze egipskich piramid dla wyjaśnienia ich odwiecznych tajemnic; założenie miasta, w którym mówiono by tylko po łacinie; wykopanie dziury do środka kuli ziemskiej, żeby przekonać się, co tam jest; smarowanie chorych żywicą, aby zapobiec ich odwodnieniu czy zorganizowanie wyprawy do Cieśniny Magellana w celu schwytania kilku okazów żywych Patagończyków, by po otworzeniu ich czaszek sprawdzić empirycznie, czy dzicy też mają dusze), oraz na bardziej praktyczne i mogące przynieść wymierne korzyści ekonomiczne, a przez to łatwiejsze do wcielenia w życie. Do tych drugich zaliczał się między innymi pomysł ograniczenia liczby wróbli, zjadających, zdaniem uczonego akademika, zbyt dużo pruskiego zboża, która to idea bardzo spodobała się oszczędnemu aż do przesady Tytusowi Północy.

Szybko przygotowano stosowne zarządzenie nakazujące wszystkim starostom w Prusach zapędzenie chłopów do łapania wróbli. Ptaki, związane w pęczki po dwanaście sztuk, miały być dostarczane do wyznaczonych urzędów. Te z kolei miały obowiązek macerować je w specjalnie zabezpieczonych dołach aż do uzyskania wysokiej jakości nawozu, który rozlany na piaszczystych

pruskich polach powinien był się przyczynić do zwiększenia plonów. Niestety, choć chłopci dwoili się i troili, a sumienni urzędnicy gotowi byli pracować dzień i noc, sprytne wróble rzadko dawały się złapać. Co gorsza, gdy mimo wszystko któremuś z nich przydarzyło się to nieszczęście, jego pobratymcy mścili go natychmiast, znosząc i wysiadując dwa razy więcej jajek niż zwykle. Nic zatem dziwnego, że po paru tygodniach z dobrze zaplanowanej *Sonderaktion Sperling*³⁹ musiano zrezygnować.

W 1751 roku niezmordowany pan Maupertuis ogłosił z tryumfem odkrycie nowego prawa fizyki, które nazwał od razu swoim nazwiskiem. Kiedy inny członek Akademii Pruskiej, profesor Koenig, zwrócił mu uwagę, że prawo to sformułował jeszcze Leibniz, który, co więcej, dowiódł później także jego fałszywości, Maupertuis doprowadził do wyrzucenia go z Akademii. Sprawa ta ośmieszyła Maupertuisa w całej oświeconej Europie, pan Wolter zaś nie byłby sobą, gdyby ze swej strony nie opublikował natychmiast, oczywiście anonimowo, złośliwego pamfletu wymierzonego w prezesa Pruskiej Akademii Nauk.

I tu okazało się, jakim znawcą nauki był pruski Pliniusz. Zamiast siedzieć cicho i nie wtrącać się w spory uczonych, Fryderyk II postanowił wziąć w obronę mianowanego przez siebie prezesa Akademii i wydał – również anonimowo, ale z herbem króla Prus na okładce – odpowiedź na pamflet Woltera, w którym nazywał swego honorowego gościa „nędznym autorzyną haniebnego paszkwilu, który sączy jad”, „paszkwilantem bez krzty talentu” i „niecnym wrogiem człowieka zasłużonego [...] popełniającym bezużyteczną zbrodnię, która staje się szczytem podłości”⁴⁰. Wolter, zgodnie ze swoją zasadą: „Nie mam berła, ale mam pióro”⁴¹, odpłacił mu wet za wet *Diatrybą doktora Akakii*, w której kpił sobie niemiłosiernie nie tylko z Maupertuisa, ale także z anonimowego nadętego durnia broniącego prezesa Pruskiej Akademii Nauk. Wkrótce potem rozwścieczony Salomon Północy kazał *Diatrybę* publicznie spalić, zaś jej autor mógł już tylko napisać do swej siostrzenicy pani Denis: „Widzę, że wyciśnięto pomarańczę, trzeba myśleć o ratowaniu skórki”⁴².

Zanim jednak panu Wolterowi udało się opuścić na dobre Sanssouci i Prusy, musiał rozstać się ze złotym kluczem szambelana i orderem *Pour le Mérite*, jak też przesiedzieć ponad miesiąc w areszcie domowym, w którym zamknął go pruski rezydent we Frankfurcie, żądający w imieniu swojego pana zwrotu wszystkich królewskich rękopisów, a w szczególności wierszy, w których Trajan

Północy robił sobie nieprzyzwoite żarty z prywatnego życia i miłosnych obyczajów innych koronowanych głów.

Nic zatem dziwnego, że kiedy francuski Cycero znalazł się wreszcie poza zasięgiem pruskiego Juliana Apostaty, sporządził, ku własnej nauce oraz ku przestrodze innych uczonych i artystów lubiących grzać się w promieniach władzy, słowniczek języka możliwych tego świata, gdzie „mój przyjaciel” oznacza „mój niewolnik”, „mój drogi przyjacielu” jest synonimem „jesteś mi bardziej niż obojętny”, „uczynię cię szczęśliwym” należy rozumieć jako „będę cię znosił dopóty, dopóki mi będziesz potrzebny”, zaś „wieczeraj ze mną dziś wieczór” znaczy jedynie „zadrwię z ciebie dziś wieczorem”⁴³.

Sanssouci!⁴⁴ Pan Gédéon Benoît nie byłby Francuzem, gdyby na sam dźwięk tej nazwy nie dodawał od razu złośliwie: „*Et sans femmes!*”⁴⁵, odnosząc się w ten sposób do powszechnie znanej sokratycznej słabości pruskiego Apollina, mającego zwyczaj jadać w tym pałacu śniadania w towarzystwie kilku starannie wybranych młodych kadetów bądź poruczników z regimentu królewskiego, albo paziów czy hajduków, z których ten, któremu rzucił od niechcenia koronkową chusteczkę, przechodził z nim następnie na pół godzinki do sypialni w celach sentymentalno-higienicznych, co wprawiało monarchę w odpowiedni nastrój i pozwalało mu przez resztę dnia sprawnie sterować nawą państwową. Dawniej swoje „*Et sans femmes!*” sekretarz ambasady pruskiej w Warszawie dorzucał jedynie w myślach, a i to półgębkiem, ale odkąd Rosjanie parli coraz dalej na zachód, a on sam coraz bardziej czuł się Francuzem, wypowiadał je raz po raz na głos, z rosnącą ironią i bez zwracania uwagi na możliwych świadków.

Z tego samego powodu pan Benoît nie ukrywał już dłużej ani przed sobą, ani przed innymi, że także w dziedzinie filozofii Marek Aureliusz Północy nie mógł się pochwalić niczym na miarę *Rozmyślań* swego antycznego pierwowzoru. Cóż bowiem z tego, że jeszcze jako następca tronu, w 1740 roku, ogłosił anonimowo napisany z pomocą pana Woltera i opatrzony jego przedmową traktacik *Anty-Machiavel* – przepełniony wzniosłym idealizmem i potępiający w sposób bezkompromisowy *Księcia* Machiavellego, w którym to traktaciku, w imię moralności, sprawiedliwości, pokoju i prawdy, odrzucał z najwyższą odrazą wszelką zdradę, szantaż i przemoc w relacjach między państwami, a zwłaszcza prowadzone przez nie wojny zaborcze, i w którym to dziełku można było przeczytać między innymi tak piękne zdania, jak: „Wojna jest straszliwym

nieszczęściem, jej wynik niepewny, skutki dla kraju druzgocące, że trzeba się dobrze zastanowić, zanim podejmie się decyzję. Gwałty bowiem popełniane przez wojska w kraju nieprzyjacielskim są niczym w porównaniu z nędzą, jaka wynika z samej wojny dla państw ją prowadzących. Jakże książę może wiedzieć, co czuje prześladowany lud? Jakże może odczuwać potworność polegającą na odbieraniu rodzicom synów i wcielaniu ich do rekrutów, co wie o grozie chorób zakaźnych dziesiątkujących wojsko i o potwornościach bitwy? O oblężeniach, rozpaczy rannych, pozbawionych w bitwie rąk, którymi zarabiali na życie? Kto opíše nędzę sierot, pozbawionych przez śmierć ojca jedyne go wsparcia?”⁴⁶ albo: „Szczęśliwy, kto zdoła wyplenić wszelki makiawelizm na świecie!”⁴⁷ – skoro zaledwie w parę tygodni po opublikowaniu tego pięknego dzieła, już jako Fryderyk II, najechał bez wypowiedzenia wojny i bez żadnego uczciwego powodu austriacki Śląsk, a kilkanaście lat później napadł równie zdradziecko na Boga ducha winną Saksonię?

Mniejsza zresztą o rozdźwięk między słowami i czynami, wszak w tych rozkochanych w retoryce czasach drobnych niekonsekwencji na tym polu nie dało się całkiem uniknąć. W końcu nawet sam pan Wolter, nieugięty bojownik o tolerancję, jak też żarliwy głosiciel przyrodzonej godności, wolności, równości i braterstwa wszystkich ludzi, na którego *Alzirze*, będącej jednym wielkim oskarżeniem instytucji niewolnictwa, szlochano rzewnymi łzami z obu stron Atlantyku, nie tylko napisał w swoim *Traktacie o metafizyce*, który pan Benoît czytał w ręcznym odpisie, że „biali górują tak samo nad czarnymi, jak czarni nad małpami, a małpy nad ostrygami i innymi zwierzętami tego rodzaju”⁴⁸, zaś w swym *Eseju o obyczajach i duchu narodów*, odnosząc się do różnych epizodów biblijnych, równie niepocholebnie o Żydach: „Nie uwierzylibyśmy, że tak wstrętny naród mógł istnieć na ziemi, ale skoro ten naród sam nam opowiada o tych wszystkich faktach w swoich świętych księgach, należy mu wierzyć”⁴⁹, lecz także, jak się słyszało, nie zawahał się zainwestować posiadanych przez siebie nadwyżek kapitału w przynoszącą solidne zyski firmę pewnego kupca z Nantes, zajmującą się handlem żywym towarem z Afryki.

Znacznie gorsze było to, że Marek Aureliusz Północy naraził się na śmieszność, kiedy tuż po agresji na Śląsk zaczął udawać, że to nie on jest autorem *Anty-Machiavela*, prosząc jednocześnie pana Woltera, aby spróbował wycofać wspomniane dzieło ze sprzedaży lub wykupił cały jego nakład. Już zaś najgorsze było z pewnością to, że pisząc *Anty-Machiavela*, przyszedł król Prus

wykazał się niestety ignorancją godną prawdziwego antyfilozofa, gdyż każdy, kto kiedykolwiek zajmował się profesjonalnie stosunkami międzynarodowymi – jak choćby pan Benoît – musiał doskonale wiedzieć, że nikt nigdy nie opisał lepiej ich teorii i praktyki niż Niccolò Machiavelli w *Księżciu*.

W sytuacji jednak, gdy Rosjanie mogli w każdej chwili znaleźć się w Berlinie, to, jakim Fryderyk II był muzykiem, wierszokletą, uczonym i filozofem, nie miało w gruncie rzeczy żadnego znaczenia. Tak naprawdę liczyło się wyłącznie to, jakim jest wodzem i politykiem.

Niestety! Także pod tym najważniejszym względem pan Gédéon Benoît musiał ocenić swojego pana nader negatywnie. I to wcale nie dlatego, że Cezar Północy wygrywał jedynie co drugie starcie, a na przykład pod Mollwitz dowiedział się o swoim tryumfie dopiero wtedy, gdy zdążył już uciec z pola bitwy, tylko z tej przyczyny, że Fryderyk II, wbrew ostrzeżeniom ojca, mającego chyba mimo wszystko trochę więcej oleju w głowie, spuścił nieopatrznie z łańcucha rosyjskiego niedźwiedzia, który ganiał go teraz z kąta w kąt z rozwartą paszczą i którego w dającej się przewidzieć przyszłości nikt w Europie nie był w stanie ponownie okiełznać. Dla wszystkich wyznających horacjańską dewizę tego wieku – *Sapere aude!*⁵⁰ – nie ulegało wątpliwości, iż to, kiedy rosyjski niedźwiedź dopadnie i rozszarpie swoją pruską ofiarę, było jedynie kwestią czasu.

Cóż, Prusy wydawały się potęgą, póki unikały awantur na prawdziwie wielką skalę – rozumiał to doskonale Król-Sierżant, który posiadając relatywnie największą armię w Europie, nigdy nie użył jej na polu bitwy – w godzinie próby okazały się jednak państwem sezonowym i należało wyciągnąć z tego racjonalne wnioski („Prawdziwy dyplomata pozostaje dyplomata w każdych okolicznościach”).

Mądrzy ludzie uczynili to już po Gross-Jägersdorf, najpóźniej po Hochkirch, ale najmądrzejsi, do których pan Gédéon Benoît też skromnie się zaliczał, zrobili to jeszcze wcześniej, bo zaraz po przekroczeniu przez Rosjan granicy Prus Wschodnich. To właśnie wtedy sekretarz ambasady pruskiej w Warszawie zaczął zastanawiać się intensywnie nad swoją przyszłością, czego wynikiem było przyjęcie przez niego dwóch planów, niewykluczających się zresztą nawzajem: tajnego planu A i ściśle tajnego planu B.

Tajny plan A polegał na zgromadzeniu na czarną godzinę jak największych oszczędności, ale nie w sposób znany i praktykowany w dyplomacji od wieków,

to znaczy na przykład dzięki wynajmowaniu za państwowe pieniądze luksusowej rezydencji, która w rzeczywistości kosztowała o połowę czy nawet dwie trzecie mniej, niż wynosiła oficjalna cena wynajmu, co przy odpowiednim ułożeniu się z właścicielem budynku pozwalało zachować dla siebie całkiem pokaźne kwoty, czy też dzięki wydawaniu fikcyjnych przyjęć, rozliczanych potem z centralą na podstawie autentycznych kwitów, jakie za niewielką prowizję gotów był wystawić niemal każdy lokalny dostawca. Te sprawdzone, odwieczne metody nie wchodziły w ogóle w grę, odkąd z polecenia Berlina finansami placówki zajął się aplikant Schmidt, oglądający złośliwie trzy razy pod światło każdy służbowy wydatek pana Benoît.

Aplikant Schmidt trudził się zresztą na próżno. Oficjalne rachunki sekretarza ambasady były tak czyste, że nawet mucha na nich nie siadała. I to pomimo tego, że pan Benoît kazał je wystawiać raz w walucie pruskiej, raz w polsko-litewskiej, innym znów razem w polsko-saskiej albo w rosyjskiej, kiedy indziej jeszcze w austriackiej, również akceptowanej w Polsce, a najczęściej we wszystkich naraz z rozbiciem na poszczególne pozycje, tak, aby potem, gdy przekazywał je do zaksięgowania aplikantowi Schmidtowi, mieć absolutną pewność, że samo przeliczenie tych wszystkich polsko-litewskich czerwonych złotych, tymfów, szóstaków, trojaków i szelągów, polsko-saskich augustdorów, rosyjskich rubli i kopiejek oraz austriackich florenów, grajcarów i fenigów na monetę pruską przyprawi nielubianego podwładnego o ciężką zgryzotę, on zaś, jego szef, będzie mógł sobie zaśpiewać w duchu: „*Voilà!* Udław się tymi srebrnikami, Judaszu!”.

Nie, prawdziwe oszczędności pana Benoît brały się z czegoś innego: z tajnego funduszu przeznaczonego na opłacanie pruskiej agentury i pozyskiwanie przychylności różnych polskich osobistości, do którego aplikant Schmidt nie miał żadnego dostępu, a przez to pozostającego poza wszelką kontrolą. Zaraz po wkroczeniu Moskali do Prus Wschodnich rezydent pruski w Warszawie, tłumacząc się trudną sytuacją kraju, który miał honor reprezentować, obniżył radykalnie pensję większości prowadzonych przez siebie agentów, pozostałym zaś w ogóle ją odebrał. Kiedy któryś z nich śmiało protestować i odgrażać się, że w tej sytuacji zerwie współpracę, pan Gédéon Benoît pytał go uprzejmie, czy życzy sobie podania do publicznej wiadomości podpisanego przez siebie cyrografu albo przechowywanych w tajnym archiwum ambasady pokwitowań odbioru pruskich dukatów, co zawsze powodowało ten

sam błogosławiony skutek, a buntujący się agent z miejsca tracił rezon i potulnie współpracował dalej, choć odtąd już zwykle za darmo, natomiast utracone przez niego wynagrodzenie trafiało bezpośrednio do kieszeni sekretarza placówki.

Ale największych dochodów (i najmniej kłopotów) przysparzali panu Benoît agenci najnowszy, „zwerbowani” dopiero po Gross-Jägersdorf, których całkiem liczne grono powołał do życia – niczym Pan Bóg Adama na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej – popijając sherry w swoim gabinecie. Zgodnie z założeniem ich stwórcy, ci fikcyjni agenci okazali się najcenniejsi również dla Berlina, jako że wszyscy oni obracali się w najlepszym polskim towarzystwie i mieli nieskrępowany dostęp do najważniejszych ośrodków władzy nad Wisłą.

Dlatego, choć stawki, jakich zażądał dla nich pan Benoît, z początku wydawały się nad Szprewą mocno wygórowane (zwłaszcza że ze względów bezpieczeństwa szef pruskiej placówki w Warszawie nie chciał zdradzić centrali prawdziwej tożsamości swoich nowych współpracowników), to w końcu jednak zostały przyjęte, ponieważ w Sanssouci („*Et sans femmes!*” – śmiał się do rozpuku sekretarz ambasady, kiedy się o tym dowiedział) ostatecznie przeważało zdanie, że nie można poważnie myśleć o cywilizowaniu Polski bez usług tak świetnie ulokowanych agentów, jak choćby „Kakus” (jeden z szambelanów dworu królewskiego), „Pyrrus” (bliski współpracownik marszałka Franciszka Kazimierza Bielińskiego), „Flamin” (jeden z sekretarzy prymasa Polski Władysława Aleksandra Łubieńskiego), „Katon” (archiwista Trybunału Koronnego, w którym przechowywano wiele kompromitujących, a przez to bardzo przydatnych dokumentów) czy też „Kastor” i „Polluks” (oficerowie sztabu hetmana wielkiego koronnego Jana Klemensa Branickiego).

Pisanie meldunków i raportów wszystkich tych „Kakusów”, „Cerberów”, „Messalin” i „Polluksów” (jako nieodrodny syn swojego wieku pan Gédéon Benoît kochał starożytność) zabierało wprawdzie sporo czasu i wymagało nie lada inwencji, nie mówiąc już o konieczności ciągłych i męczących zmian charakteru pisma, lecz rekompensata, jaką przynosiło, warta była wszelkich trudów i pozwalała śmieiej patrzeć w przyszłość.

Powodzenie tajnego planu A zależało głównie od tego, jak długo Prusy będą stawiać opór rosyjskiemu niedźwiedziowi i sforze jego drobniejszych pomocników. Gdyby wytrzymały jeszcze rok lub dwa, sekretarza ambasady pruskiej w Warszawie byłoby z pewnością stać na zakup jakiejś skromnej posiadłości w rodzinnej Francji, a jeśli do Paryża doniesiono już o jego toaście

z okazji pruskiego zwycięstwa pod Rossbach i miałyby z tego powodu spodziewać się nad Sekwaną jakichś nieprzyjemności, to w słonecznej Hiszpanii albo we Włoszech. Niestety, z każdym kolejnym miesiącem wojny widać było coraz wyraźniej, że Prusy mogą paść przedwcześnie i właśnie tej tragicznej ewentualności dotyczył ściśle tajny plan B.

Wychodził on z założenia, że po upadku i ewentualnym rozbiorze Prus zwycięskie mocarstwa, wzorem postępowania Fryderyka II w Saksonii, mogą wcielić pruskich żołnierzy i oficerów do swoich armii, mogą nawet zaoferować pracę niektórym pruskim urzędnikom, ale pruscy dyplomaci prawie na pewno znajdą się na bruku. Po pierwsze dlatego, że każde z państw koalicji, oprócz może Rosji, posiadało własną, dobrze przygotowaną, doświadczoną i kompletną służbę zagraniczną, więc nie potrzebowało żadnych pruskich dyplomatów (tak samo, niestety, jak sojusznicy Prus w tej wojnie – Anglia i Hanower), po drugie zaś z tej prostej przyczyny, że w ciągu ostatnich lat berlińska dyplomacja zaszła im nieźle za skórę.

Dlatego jeśli pruski dyplomata chciał zachować pracę i piąć się dalej po szczeblach kariery – doszedł do wniosku pan Benoît – to nie mógł czekać, aż Prusy całkiem upadną, tylko, zgodnie z zasadą tego Stulecia Rozumu, musiał działać racjonalnie („Prawdziwy dyplomata pozostaje dyplomata w każdych okolicznościach”) i zmienić front odpowiednio wcześniej. Cennym kapitałem przy takiej zmianie mogły okazać się wszelkie tajne instrukcje, księgi używanych kodów, a także wymieniane z centralą depesze, których niszczenia, wbrew obowiązującym przepisom, sekretarz ambasady pruskiej w Warszawie zaprzestał zaraz po Gross-Jägersdorf.

Słabością ściśle tajnego planu B było jednak to, że każda pomyłka związana z wyborem owego „odpowiednio wcześniej” groziła nieobliczalnymi konsekwencjami.

Kiedy stojący na biurku porcelanowy zegar ze złotą-różową pasterką w balowej sukni pokazał dwunastą, co oznaczało, że czekający pod drzwiami petenci odsiedzieli już swoje przepisowe trzy godziny, pan Gédéon Benoît zamknął *Sztukę orgazmu* i ze słowami „Kawał świni, ale dobrze pisze” wrzucił ją razem z innymi książkami do szuflady, po czym ogarnął się trochę przed lustrem i zadzwonił na lokaja, każąc mu wprowadzić gości.

Powitał ich serdecznie, usadził wygodnie na sofie, a potem, nie przerywając im ani słowem, wysłuchał z uwagą wszystkiego, co mieli do powiedzenia. Kiedy

skończyli, zasepił się i rzekł:

– Panowie, jestem do głębi wstrząśnięty tym, co usłyszałem, i mam nadzieję, że krzywdy i zniewagi wyrządzone nieszczęsnemu rotmistrzowi von Zypke nie pozostaną bez należytej kary. Niestety, z uwagi na trudne położenie naszej ojczyzny i wiążącą się z tym kwestią mojego delikatnego statusu w Warszawie, nie mogę w tej sprawie interweniować, aby mnie tu przypadkiem nie uznano za *persona non grata*⁵¹. Ale wy nie powinniście opuszczać rąk, tylko zgłębiać sprawę dalej, aż do ostatecznego zwycięstwa.

– Zgłębiać sprawę dalej? – powtórzył brat Olaf. – Niby jak?

– Tak, jak radzi to czynić w kontaktach z Polakami nasz Najjaśniejszy Pan – wyjaśnił sekretarz ambasady. – Jeśli oni krzyczą przeciwko wam, wy krzyczcie przeciwko nim. Jeśli oni łapią was za rękę, wy łapcie ich za gardło. Jeśli oskarżają was o kradzież kurczaka, wy żądajcie wielkim głosem, żeby oddali wam skradzioną gęś. Jeśli zarzucają wam kradzież gęsi, wy domagajcie się od nich zwrotu trzech indyków. A jeśli celują do was z muszkietu, wy celujcie do nich z armat. Bo z Polakami inaczej nie można.

– Przepraszam, o jakich kurczakach i gęsiach pan mówi? – zdumiał się brat Johann.

– O malowanych! – uciął krótko pan Benoît. – Jeśli rotmistrz von Zypke jest niewinny, włos mu z głowy nie spadnie, a jeśli jest inaczej, nie zamierzam z jego powodu gwałcić suwerenności kraju, w którym mam zaszczyt być akredytowany. W końcu jeśli wasz towarzysz popadł w kłopoty z własnej winy, to jego prywatna sprawa, a jeśli z powodu państwa, któremu służy, to za to mu właśnie płacą. Tak czy owak, z mojego punktu widzenia nic nie da się zrobić. Wy natomiast, jako osoby prywatne, róbcie sobie, co chcecie, o ile tylko nie wywołacie wojny z Polską. Życzę wam powodzenia, panowie, lecz teraz muszę się już pożegnać. Proszę mi wybaczyć, naprawdę miło się z wami gawędzi, ale mam mnóstwo pilnej pracy.

Kiedy dwaj luterańscy misjonarze z kwaśnymi minami wyszli z ambasady, natychmiast przyskoczył do nich pan Korytkowski, krążący od ponad trzech godzin w tę i z powrotem po ulicy Bielańskiej:

– No i jak? O czym tak długo rozmawialiście?

– Długo? Najwyżej piętnaście minut! – prychnął ze złością Olaf Caspar Röper.

– I głównie o drobiu – dodał z goryczą brat Johann.

– O drobiu?! – zdziwił się polski szlachcic. – Jakim?

– Malowanym – odparł brat Johann. – Tak czy inaczej, nic nie da się zrobić. Jeśli brat Horst jest niewinny, włos mu z głowy nie spadnie. A jeśli coś przeszkrobał, ambasada nie chce się w to mieszać. Trudno, jutro zgodnie z planem jedziemy do Lwowa. Nie wywołamy przecież wojny z Polską.

– Nic nie da się zrobić?! – pan Korytkowski splunął pod nogi. – No to jeszcze zobaczymy.

▪

Po powrocie do Biblioteki Załuskich bracia Johann i Olaf oraz pan Korytkowski serdecznie podziękowali panu Janotzkemu za gościnę, zaprzęgli konia i pojechali swoją bryczką do koszar regimentu gwardii pieszej koronnej. Luterkańscy misjonarze po to, żeby pożegnać się z rotmistrzem von Zypke, polski szlachcic zaś, który postanowił zostać w Warszawie, aby podtrzymać go nieco na duchu.

Było to bardzo potrzebne, bo choć czarny huzar wysłuchał mężnie relacji z wizyty u pana Benoît i jako stary żołnierz podzielał opinię swoich braci, że powinni natychmiast ruszać do Lwowa w celu dokończenia misji, której się podjęli, to jednak widać było, że podobnie jak oni, jest zaistniałą sytuacją mocno przybity.

Widząc podłe nastroje Prusaków, pan Korytkowski rzekł:

– *Sursum corda*⁵², mości panowie! Nie róbcie takich grobowych min, nie jesteśmy na pogrzebie. Najdalej za dwa tygodnie rotmistrz von Zypke wyjdzie na wolność i spotkamy się wszyscy we Lwowie. A przez ten czas nic pan nie straci, panie rotmistrzu, bo znając naszych Żydów, ich dysputa jeszcze się nie skończy i tym bardziej żaden z nich nie da się w tym czasie nawrócić.

– Najdalej za dwa tygodnie wyjdę na wolność?! – ożywił się czarny huzar. – W jaki sposób?

– Jeszcze nie wiem, ale ma pan moje słowo.

A potem, żeby nie przeszkadzać Niemcom przy pożegnaniu, uściskał wszystkim dłonie, zabrał swoją sakwę podróżną i laskę pielgrzyma i poszedł poszukać w okolicy jakiejś niedrogiej kwatery.

Po obejrzeniu kilku miejsc wybrał w końcu maleńki pokoik na poddaszu w obskurnym budynku, na parterze którego mieściła się jakaś tandetna spelunka.

W pokoiku było tylko łóżko z brudnym siennikiem, kulawy stołek i drewniany cebrzyk, w domu śmierdziało kiszoną kapustą i kotami, w szynku na dole aż się roiło od miejscowych mętów i nierządnic, ale panu Korytkowskiemu to nie przeszkadzało, ponieważ począwszy od tej chwili, każdą wolną chwilę spędzał w koszarach, krzepiąc rotmistrza von Zypke rozmową i różnymi przynoszonymi z miasta smakołykami, którymi urozmaicał jego aresztancką dietę.

Przez osiem kolejnych dni były pirat poznał dobrze rozkład koszar, a także oficerów dyżurnych i kolejność, według której zmieniali się w ciągu tygodnia. Zorientował się również, że drogę do wolności rotmistrza von Zypke zagrażały cztery główne przeszkody: wartownik przed budynkiem, oficer dyżurny, dwie kraty, z których każdą zamykano innym kluczem, oraz dozorca pilnujący aresztu. Teoretycznie istniała jeszcze piąta przeszkoda, czyli krata samej celi, w której przetrzymywano czarnego huzara, ale po kilku wizytach wspomniany dozorca, feldfelbel Wisznia, nabrał do pana Korytkowskiego takiego zaufania, że na czas jego odwiedzin zostawiał ją zawsze otwartą.

Dziewiątego dnia z rana pan Korytkowski kupił w spelunce garnek bigosu, który schował u siebie pod łóżkiem, zaś dziesiątego wieczorem, wracając z koszar, zaszedł do szynku ponownie, zamówił dwa piwa i zaczął taksować wzrokiem urzędujące tam ladacznice.

W końcu skinął na jedną z nich, która wydała mu się najładniejsza, najmniej szczerbata i miała największe piersi, podsunął jej pod nos kufel piwa i zapytał o imię.

– Józia, Hela, Maryśka, jak pan woli. Czy to nie wszystko jedno? – wzruszyła ramionami wybrana przez niego córa Koryntu.

– Więc niech będzie Hela. Chcesz zarobić talara?

– Talara? – spojrzała na niego nieufnie, pociągając łyk piwa. – A za co?

– Jak to za co? Myślałem, że jesteś...

– Jestem – potwierdziła. – Ale zwykła stawka to ćwiartka. Talara i więcej płacą tylko tacy, co chcą jakichś świństw. A ja świństw nie lubię.

– Świństw? Co masz na myśli, Hela?

– Co? A choćby przykuwanie do łóżka, bicie różgą, przebieranie się za zakonnice albo za małą dziewczynkę, wsadzanie nie tam, gdzie trzeba, parzenie się z bydlętami i inne takie – wyliczyła beznamiętnie.

– Parzenie się z bydlętami?! – pan Korytkowski osłupiał.

– Tak. Nie wie pan, jacy są dzisiaj ludzie? W zeszłym roku jeden taki dał Heli nawet dwa talary...

– Heli? – powtórzył zbity z tropu pan Korytkowski.

– Heli, Józi, Maryśce, co za różnica? – machnęła ręką. – Żeby to zrobiła z chartem. I ten chart, proszę pana, tak ją wychędożył, że potem przez miesiąc się bała, że urodzi szczeniaki. A na koniec jeszcze ją bydlak pogryzł.

– Rzeczywiście strasznych czasów dożyliśmy! – były pirat przeżegnał się ze zgrozą.

– Otóż to, Sodoma i Gomora, proszę pana. Dlatego, jeśli ma pan ochotę na jakieś świństwa, to nie ze mną. Może Józia się zgodzi albo Maryśka, ale na pewno nie ja. Nawet za trzy talary – stwierdziła kategorycznie i znów pociągnęła trochę piwa.

– Nie, nie, Hela. Żadnych świństw, ja chcę zwyczajnie, po Bożemu.

– Po Bożemu? Za talara?

– A co, za drogo?

– Nie, nie, w porządku. To gdzie idziemy? – zapytała rzeczowo.

– Nigdzie. Nie chodzi o mnie. Wiesz, gdzie są koszary regimentu gwardii pieszej koronnej?

– Pewnie, byłam tam nie raz z Helą i z Maryską. Tam to dopiero świnię mieszkają!

– Nie chodzi o tych, którzy tam mieszkają, tylko o strażnika, co stoi przed bramą. W takiej budce w paski.

– Wiem.

– Więc jutro w południe, dokładnie kiedy dzwony zaczną bić na dwunastą, masz do niego podejść i zacząć go bałamucić. Tak, żeby nie zauważył, kiedy będę wychodził z koszar z jednym przyjacielem.

– Mam go bałamucić w tej budce? – skrzywiła się z niechęcią.

– W budce albo w bramie obok, jak ci wygodniej.

– A co będzie, jak mu się nie spodobam albo okaże się, że woli mężczyzn? Bo wie pan, ci żołnierze...

– Nie mów takich rzeczy, Hela! Jak mogłabyś mu się nie spodobać? Zresztą to nieważne. Najważniejsze jest to, żebyś poczekała, aż wyjdę z koszar, i wtedy kopnęła go w krocze.

– Znaczy się w jaja? – uśmiechnęła się na samą myśl, lecz na wszelki wypadek wołała się upewnić.

– Właśnie. I nie żałuj sobie. Kopnij go tak, żeby raz na zawsze przeszła mu ochota gzić się na służbie. To jak, umowa stoi?

– Stoi.

– Więc masz tu pół talara. Drugie pół dostaniesz pod kościołem bonifratrów po wykonaniu zadania. Będę tam na ciebie czekać.

Następnego dnia przed południem pan Korytkowski wyjął spod łóżka swój bigos, poprosił w szynku, żeby mu go odgrzali i doprawili porządnie przyprawami, gdyż zaczynał już z lekka cuchnąć, po czym, dla większego efektu, dolał do niego cztery łyżki *oleum palmae Christi*⁵³, zakupionego w pobliskiej farmacji, i punktualnie o wpół do dwunastej przekroczył bramę koszar przy ulicy Bitnej.

Zgodnie z jego wyliczeniem, dyżur tego dnia pełnił ledwie mieszczący się w swoim mundurze second porucznik Świtkowski, który przed tygodniem na jego oczach w niecały kwadrans rozprawił się z trzema dostarczonymi mu z miasta golonkami i z wielkim jak młyńskie koło bochnem chleba.

Second porucznik Świtkowski, niczym rasowy ogar, zwietrzył jedzenie natychmiast.

– Czołem, mości Korytkowski! A cóż tam pan niesie aresztantowi? Chyba nie pilnik do piłowania krat, he, he, he? – zaczepił byłego pirata.

– Ależ skąd, panie poruczniku. To tylko bigos. Palce lizać!

– A co on taki czarny, ten bigos? – zapytał oficer dyżurny, przełykając dyskretnie ślinę, kiedy zajrzał służbowo do garnka.

– Bo to samo mięso i podgrzybki. Ma pan ochotę spróbować, panie poruczniku? Proszę się nie krępować, widzi pan, ile tego jest.

– Naprawdę? Dziękuję, ale nie wiem, czy to wypada...

– Oj tam, wypada, wypada. O obrońców ojczyzny należy dbać. Bez ceregieli, panie poruczniku. Proszę o talerz i smacznego.

Kiedy oficer dyżurny rozplýwał się w podziękowaniach, pan Korytkowski nałożył mu na talerz czubatą porcję bigosu, a potem, w towarzystwie przywołanego przez second porucznika feldfebla Wiszni udał się do rotmistrza von Zypke. Gdy znaleźli się na miejscu i dozorca otworzył ostatnią kratę, kapitan hiszpańskiej marynarki z własnego nadania oświadczył:

– Feldfeblu Wisznia, żyję na tym świecie wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że dobry bigos smakuje nie tylko oficerom. Dawajcie menażkę.

– Bóg zapłać, wielmożny panie, ale jakby to zobaczył porucznik Świtkowski...

– Nie bądźcie dzieckiem, feldfeblu. Jeśli się tu zjawi porucznik Świtkowski, to tylko po dokładkę. No, gdzie ta menażka?

Na takie *dictum* feldfebel Wisznia odpiął od swego pasa menażkę, którą pan Korytkowski zaraz napełnił po brzegi, a potem, z wyrazem błogości na twarzy, dozorca pogrążył się w obżarstwie.

Przez następny kwadrans polski szlachcic i pruski czarny huzar rozmawiali o różnych błahostkach, kiedy nagle feldfebel Wisznia zbladł jak ściana, skulił się w sobie, chwycił się za brzuch, głośno czknął, po czym porwał ze stołu pęk kluczy i zatkawszy sobie usta dłonią, rzucił się w głąb korytarza. Błyskawicznie otworzył jedną kratę, potem drugą i bez tracenia czasu na ich zamykanie pognał co sił na dziedziniec, gdzie mieściły się latryny.

– Teraz! – zawołał pan Korytkowski i wraz z depcącym mu po piętach rotmistrzem von Zypke minął biegiem obie otwarte kraty.

Dalej była dyżurka, gdzie jedynym dowodem na niedawną obecność oficera dyżurnego był ściekający jeszcze po ścianie wielki kozuch z mięsa, grzybów i kapusty. W chwilę później kapitan hiszpańskiej marynarki wojennej z własnej nominacji oraz pruski kawalerzysta minęli drzwi wyjściowe z budynku, kilka schodów, bramę ogrodzenia i znaleźli się na ulicy.

Dokładnie w tym samym momencie w stojącej tuż obok bramy budce wartownika rozległ się przeraźliwy krzyk i zaraz potem wyskoczyła z niej kobieta w podkasanej wysoko spódnicy, która popędziła przed siebie niczym sarna. Chwilę później z budki wypadł na bruk potężny wartownik w granatowym surducie i takiejż kamizelce oraz w opuszczonych do kostek białych płudrach, trzymający się za nagie przyrodzenie i zawodzący przy tym, jakby go zarzynali hajdamacy.

Pan Korytkowski i rotmistrz von Zypke minęli obojętnie walający się w błocie karabin i trójgraniasty kapelusz wartownika, przeszli jeszcze kawałek wolnym krokiem, a potem puścili się biegiem w ślad za kobietą w podkasanej spódnicy.

– Hura! Toż to chyba jeszcze większa wiktoria niż pod Wiedniem! – wykrzyknął po drodze czarny huzar. – Czym ich pan potraktował? Arsenikiem?

– Nie, najlepszą potrawą na świecie, pod warunkiem, że jest świeża. Możemy jej skosztować po drodze do Lwowa – odpowiedział polski szlachcic.

– Z przyjemnością, o ile nas wcześniej nie złapią.

– Niech się pan nie martwi, rotmistrzu. Jeśli dotąd nie złapali myszy, które zjadły króla Popiela, to tym bardziej nie złapią nas – uspokoił go zziębnięty pan Korytkowski.

Pod kościołem bonifratrów pan Korytkowski rozliczył się do końca z Helą, a kiedy na widok pieniędzy jeden z przesiadujących tam żebraków zaczął go łapać za nogi i wołać: „Ja też! Dla mnie też!”, rotmistrz von Zypke zerwał z grzbietu swoją czerwoną generalską kurtkę, nałożył ją natrętowi na ramiona i powiedział:

– Masz, to odmieni twoje życie szybciej, niż myślisz.

Następnie, upewniwszy się, że nikt ich nie ściga, Polak i Prusak odetchnęli z ulgą i ruszyli spokojnie przed siebie w stronę ulicy Miodowej.

Na wieść o zniknięciu czarnego huzara odetchnął z ulgą również książę August Aleksander Czartoryski, wojewoda ruski, kawaler maltański, generał wojsk polskich i dowódca gwardii pieszej koronnej w jednej osobie. Kilka dni wcześniej otrzymał on od hetmana Branickiego polecenie, by wzięwszy pod uwagę, jak trudno będzie udowodnić rotmistrzowi von Zypke świadomy udział w przestępstwie oraz niedającą się przewidzieć reakcję jego agresywnego pana na wieść o uwięzieniu w Polsce jednego z jego oficerów, ułatwić pruskiemu aresztantowi ucieczkę, ale w taki sposób, żeby nie ucierpiał przy tym honor polskiej armii. Ponieważ przeciwko takiemu rozwiązaniu buntowało się jego poczucie sprawiedliwości, książę Czartoryski nie podjął dotąd w tej sprawie żadnych działań, teraz jednak, kiedy problem rozwiązał się sam, chętnie zameldował hetmanowi Branickiemu, że jego rozkaz został wykonany.

Choć dowódca gwardii pieszej koronnej był całkowicie pewny, że po tym meldunku odetchnie z ulgą także jego przełożony, kochający się w wystawnych ucztach, pięknych kobietach, wygodnych pałacach, stylowych meblach, równo przyciętych klombach, wystrzałach na wiwat i świetnej asyście adiutantów, lecz nieznoszący wojny i zapachu prochu, jego generalskie poczucie sprawiedliwości wciąż pozostawało nieusatysfakcjonowane. Toteż jeszcze tego samego dnia wlepił second porucznikowi Świtkowskiemu i feldfeblowi Wiszni po dwadzieścia dni aresztu za samowolne opuszczenie posterunku podczas pełnienia obowiązków służbowych i kazał wpisać do ich akt naganę.

- ¹ *Wyprawa na hajdamaków, z pamiętników starosty Zakrzewskiego*, w: *Z dziejów hajdamaczyny*, Warszawa 1905, t. I, s. 20.
- ² Wacław Zarzycki, *Książę Marcin Lubomirski 1738-1811*, Warszawa 1998, s. 44.
- ³ Tamże, s. 48.
- ⁴ Tamże, s. 56.
- ⁵ Giles Mac Donogh, *Fryderyk Wielki, brutalny wódz i subtelny filozof*, tłum. Maciej Nowak-Kreyer, Warszawa 2009, s. 332.
- ⁶ Tamże.
- ⁷ Stanisław Salmonowicz, *Fryderyk II*, Wrocław 1985, s. 83-84.
- ⁸ Polski kodeks wojskowy (łac.).
- ⁹ Za: Zarzycki, *Książę Marcin Lubomirski*, s. 73-74.
- ¹⁰ Tamże, s. 74-75.
- ¹¹ Tamże, s. 76.
- ¹² *L'Art de Jouir* (1751).
- ¹³ *Le Petit Homme à longue queue* (1751).
- ¹⁴ Pierre Thomas Nicolas Hurtaut, *L'Art de péter* (1751).
- ¹⁵ Władysław Konopczyński, *Polska w dobie wojny siedmioletniej*, Kraków i Warszawa 1909, t. I, s. 156.
- ¹⁶ Tenże, *Fryderyk Wielki a Polska*, Poznań 1981, s. 64.
- ¹⁷ A poza tym uważam, że Francję Ludwika XV należy zniszczyć! (łac.).
- ¹⁸ Amator (wł.).
- ¹⁹ Burza morska (wł.).
- ²⁰ Noc (wł.).
- ²¹ Szczygieł (wł.).
- ²² Rudy ksiądz (wł.) – przydomek A. Vivaldiego.
- ²³ Chwała Bogu na całym świecie (niem.), 1730 (BWV 51).
- ²⁴ Serce i usta i czyn i życie (niem.), 1723 (BWV 147).
- ²⁵ Jezus jest moją radością, pociechą i siłą mojego serca, Jezus broni przed wszelką zgryzotą, On jest mocą mojego życia (niem.).
- ²⁶ Płynięcie, rozigrane fale (niem.), 1736 (BWV 206).
- ²⁷ *Oeuvres complètes de Voltaire*, t. XXXV, Paris 1880, s. 101-105.
- ²⁸ Za: Christopher Clark, *Prusy. Powstanie i upadek 1600-1947*, tłum. Jan Szkudliński, Warszawa 2009, s. 98.
- ²⁹ Jean Orieux, *Wolter*, tłum. Krystyna Arustowicz, Warszawa 1986, s. 388.
- ³⁰ Tamże.
- ³¹ Tamże, s. 389.
- ³² Nina Kracherowa, *Partyzant moralności*, Katowice 1989, s. 325.
- ³³ Cezar jest ponad gramatyką (łac.), w: Salmonowicz, *Fryderyk II*, s. 174.
- ³⁴ Tamże, s. 182.
- ³⁵ Za: Orieux, *Wolter*, s. 431.
- ³⁶ Tamże, s. 417.
- ³⁷ Tamże, s. 401.
- ³⁸ Tamże.

- ³⁹ Akcja specjalna „Wróbel” (niem.).
- ⁴⁰ Orioux, *Wolter*, s. 432.
- ⁴¹ Mac Donogh, *Fryderyk Wielki*, s. 209.
- ⁴² Orioux, *Wolter*, s. 436.
- ⁴³ Tamże.
- ⁴⁴ Bez troski (franc.).
- ⁴⁵ I bez kobiet (franc.).
- ⁴⁶ Kracherowa, *Partyzant moralności*, s. 148-149.
- ⁴⁷ *Anti-Machiavel, ou Essai de critique sur le Prince de Machiavel*, Amsterdam 1741, część III, s. 33.
- ⁴⁸ *Traité de Métaphysique* (1743), roz. V, *Oeuvres complètes de Voltaire*, t. XXII, Paris 1879, s. 228.
- ⁴⁹ *Essai sur les mœurs et l'esprit des Nations* (1756), t. I, w: *Oeuvres complètes de Voltaire*, t. XI, Paris 1878, s. 104.
- ⁵⁰ Miej odwagę być mądrym (łac.).
- ⁵¹ Osoba niepożądana (łac.).
- ⁵² W górę serca! (łac.).
- ⁵³ Olej dłoni Chrystusowej – łacińska nazwa oleju rycynowego.

Rozdział 5

Z CZEGOŚ TRZEBA ŻYĆ

W drodze do Lwowa bracia Johann i Olaf przejeżdżali przez wiele małych miasteczek zamieszkałych w dużej mierze przez Żydów, lecz z powodu pośpiechu nawet nie próbowali rozdawać w nich swoich ksiązek, a nawracania, żeby nie wyjść z wprawy, podjęli się tylko raz w stosunku do rozumiejącego po niemiecku kupca bławatnego, który poprosił ich o podwiezienie z Krasnegostawu do Zamościa.

Kiedy brat Johann zaczął rutynowo od uzalania się nad ciężką dolą Izraelitów, mile tym zaskoczony kupiec ochoczo przytaknął:

– Oj tak, szanowny panie. Z roku na rok interesy idą coraz gorzej.

– Nie to miałem na myśli – wyjaśnił pruski misjonarz – ale to, że wy, Żydzi, w waszej paskudnej niewierze nie możecie spodziewać się niczego innego za odrzucenie Odkupiciela, jak tylko wiecznej kary. Chyba że uwierzycie wreszcie w *Masziacha*.

– Ależ my w Niego wierzymy od wieków i wciąż czekamy cierpliwie, aż przyjdzie – odpowiedział przygodny pasażer.

– A pewnie, że przyjdzie, sądzić żywych i umarłych. I to przyjdzie po raz drugi, bo po raz pierwszy przyszedł wtedy, gdy został *aszum*¹ i umarł za nas na krzyżu.

– Wiem, że tak uważacie – odparł na to kupiec bławatny – ale zgodnie z ustępem 14,4 z Zachariasza, prawdziwy *Masziach* powinien stanąć na Górze Oliwnej, a ta musi się wtedy rozstąpić, co jak dotąd nie miało miejsca.

– Przyjacielu, to, że Góra Oliwna się rozpołowi, trzeba rozumieć *elohe* i *ruchiot*², nie zaś dosłownie, jakoby miała się rozpaść na dwa kawałki – zaśmiał się brat Johann. – A jeśli już, to tak jak u Zachariasza 14, że się rozdzieli między

Wschód i Zachód, co jasno wskazuje na rozszerzenie Kościoła Chrystusowego, który ogarnie cały świat.

– A co ze znakami? – zapytał z pewnością siebie żydowski kupiec. – Przyjście *Masziacha* powinny przecież poprzedzać znaki, takie jak zmartwychwstanie Mojżesza, powtórzenie cudu z manną czy choćby zabicie wołu z płetwami.

– Mojżesz zmartwychwstanie, jak przyjdzie na niego pora, czyli na Sądzie Ostatecznym. O mannie pierwszy raz słyszę, a co do wołu z płetwami, to mi go pokaż, może go sam zabiję – stwierdził w odpowiedzi Prusak.

– Gdyby wasz *Masziach* był prawdziwym Bogiem – nie poddawał się kupiec bławatny – nikt nie mógłby Go zobaczyć i dalej żyć. Kto bowiem zobaczy Boga, musi od razu umrzeć.

– Bez przesady. Mojżesz widział Boga, rozmawiał z Nim twarzą w twarz i jakoś przeżył. *Szechina* ukazywała się waszym ojcom na *midbar*³, była w obłoku dzień i noc i wasi ojcowie także przeżyli. Podobnie Bóg był w *Aron Beris*⁴ i ukazywał się między *cherubim*, a przecież arcykapłan pozostawał przy życiu i cieszył się dobrym zdrowiem. Adam był w raju, kiedy Bóg zawołał: „Adamie, gdzie jesteś?” i uczynił mu ubranie ze skór, a mimo to nasz praojciec żył dalej. Jakub walczył z Bogiem i człowiekiem w *Penuel*⁵, i również nie umarł. Więc jeśli Bóg ukazał się w obłoku i tak dalej, a ludzie wciąż sobie żyli jakby nigdy nic, to niby dlaczego mieliby umrzeć, ujrawszy razem *Szechinę* i *Ben Dawida*⁶?

– Cóż, jeśli uważacie, że macie prawdziwego Boga, to Mu służcie – wzruszył ramionami kupiec z Krasnegostawu. – Ale nam dajcie spokój. Czyżby Żydzi zrobili wam kiedyś coś złego?

– Wprost przeciwnie, same dobre rzeczy – zapewnił go brat Johann. – To przecież wasi ojcowie głosili nam, poganom, prawdziwego Boga, nie mówiąc już o tym, że Chrystus i Jego uczniowie też byli Żydami. Więc chcemy jedynie odpłacić dobrem za dobro i głosić wam drogę do zbawienia. Wystarczy, jeśli uwierzycie w Odkupiciela i się ochrzczicie, reszta nie jest taka ważna. Możecie dalej przestrzegać Prawa, zapuszczać brody, unikać *chaziru*⁷ i jeść tylko koszerne mięso, możecie zachować w nabożeństwie język hebrajski, możecie nosić specjalne okrycia i *tefilin*⁸. W końcu nasz *Masziach* też postępował jak Żyd i apostołowie żyli po żydowsku. Wiedźcie, że w naszym *Beris Chadosza*⁹ macie wielkie przywileje, wasze jest synostwo Abrahamowe, wasz jest Boski syn

pierworodny, wasza jest chwała i *Szechina*, wasza Tora, wasza służba Boża i wasza obietnica. Jeśli przyjmiecie to do wiadomości, będziecie głową, a my ogonem, bowiem z łaski Bożej sami doszliśmy już do tego, że uważamy się za obrzezanych na sercu Żydów.

– Panowie, dzięki za łaskawość, ale jak wiadomo, Bóg stworzył na świecie siedemdziesiąt wiar. Są mahometanie, są chrześcijanie podlegający papieżowi, są ortodoksi mający swoich popów, są jeszcze inni, którzy mają *emuna*¹⁰ Luter albo *emuna* Kalwin – i wszyscy uważają, że ich wiara jest prawdziwa. Ciekawe, którą wy wyznajecie?

– *Emuna* Luter – odparł z dumą brat Johann.

– Czy to znaczy, że miałbym przejść właśnie na nią, gdybym, nie daj Boże, zechciał się ochrzcić?

– Tak jest, bracie.

– A niby dlaczego?

– Dlatego, że *emuna* Luter spośród wszystkich wyznań chrześcijańskich najbardziej kieruje się Słowem Bożym, odrzucając wszystkie późniejsze ludzkie zniekształcenia, przeinaczenia, wtręty, uzupełnienia, samowolne interpretacje, ozdoby i zabobony. W dodatku, w odróżnieniu od katolików, my, luteranie, niezmiernie cenimy sobie Stary Testament, co bardzo nas zbliża i upodabnia do was, kochani bracia Żydzi. Więc jeśli powstanie jednej wspólnoty wiernych chrześcijan i Żydów – *gojim* i *jehudim* – może przybliżyć nadejście upragnionego przez nas wszystkich Królestwa Bożego, to nie ma innej wiary, która byłaby lepsza i bliższa waszej – niż nasza¹¹.

– Dziękuję, wezmę to pod uwagę, choć prawdę rzekłszy, na tym świecie są trzy rzeczy całkowicie zbędne: uprane futro, które, kiedy wyschnie, łatwo się wyczesuje i rwie; udomowiony wilk, który pokaże swoją naturę, gdy podrośnie i pójdzie między owce, oraz ochrzczony Żyd, bo kto raz okazał się szelmą, ten pozostanie nim na zawsze¹². Skoro jednak naprawdę chcecie działać razem z nami na rzecz Królestwa Bożego, nie ma żadnej potrzeby, żebyśmy się chrzcili. Wystarczy, jeśli to wy dacie się obrzezać.

Po tych słowach kupiec bławatny poprosił brata Olafa o zatrzymanie bryczki, podziękował uprzejmie za podwiezienie, pożegnał się i wysiadł.

– No i sam widzisz, bracie Olafie – poskarżył się Johann Friedrich Hermannsdorfer, kiedy ich pasażer pozostał daleko z tyłu. – Czasami wolałbym tłuc kamienie.

– To prawda, bracie Johannie, wyjątkowo bezczelny typ! – westchnął Olaf Caspar Röper. – Miejmy nadzieję, że we Lwowie pójdzie nam lepiej.

I rzeczywiście, we Lwowie poszło im lepiej, niestety głównie w tych aspektach, które nie były najważniejsze. Rozłożone na kilku wzgórzach i tonące w zieleni miasto okazało się bardzo ładne, znaleźli bez trudu niedrogą kwaterę, jedzenie było smaczne i tanie, jeśli jednak chodzi o dysputę, to niestety toczyła się ona bez udziału Jakuba Franka, który z większością swoich zwolenników wciąż nie dojechał z Iwania.

Pomimo tej ostatniej okoliczności, następnego ranka obaj bracia wybrali się do otoczonej wojskiem archikatedry, zapłacili z bólem serca po sześć polskich groszy za wstęp (co było ponoć ofiarą na najuboższych kontrtalmudystów) i zasiedli w ławach przeznaczonych dla publiczności, pośród tłumu prałatów, kanoników, zakonników i zakonnicek, szlachty w kontuszach, ubranych z francuska dam, mieszczan płci obojga oraz polskiego, ruskiego i żydowskiego pospółstwa.

Na podwyższeniu z lewej strony wysokiej gotyckiej nawy siedzieli ortodoksi zgromadzeni wokół starszego rabina lwowskiego Chaima Rappoporta, z prawej frankiści pod wodzą Krysy z Nadwórnej i Salomona z Rohatyna, a środek podwyższenia zajmowali katolicy teologowie, na czele z księdzem kanonikiem Mikulskim, mający rozstrzygnąć duchowy spór. W dyskusji używano języka hebrajskiego, który obaj protestanci misjonarze znali całkiem dobrze, oraz polskiego i tureckiego, z którymi również nie mieli kłopotu, ponieważ wszystko, co zostało powiedziane w jednym z tych języków, było natychmiast tłumaczone na dwa pozostałe przez niejakiego Moliwę.

Choć przez długie godziny rabini i frankiści przerzucali się nawzajem cytatami z Biblii i Talmudu i dokonywali ich egzegezy i kontregzegezy, choć dyskutowali zawile o dosłownym, symbolicznym lub liczbowym znaczeniu poszczególnych liter i słów hebrajskich, choć zarzucali sobie nawzajem ignorancję i świadome lub nieświadome wypaczanie sensu cytowanych zdań, a przy okazji także fałsz, głupotę, obłudę, złe zamiary, interesowność, podstępność i niemoralność, jak też bezwstydne i wołające o pomstę do nieba łamanie prawa mojrzeszowego i zasługującą na wieczne potępienie apostazję – zgromadzona w archikatedrze publiczność wyraźnie się nudziła.

Ludzie ziewali, rozmawiali między sobą o innych sprawach, pozdrawiali się głośno, komentowali wygląd i stroje poszczególnych mówców, wychodzili i wracali do świątyni w trakcie przemówień, a nawet opowiadali sobie jakies

dowcipy albo flirtowali i tylko niewielu obecnych sprawiało wrażenie, że naprawdę interesuje się treścią kolejnych wywodów. Brak skupienia i należytej uwagi widać było także u arbitrow, spośród których kilku najzwyczajniej w świecie drzemało, jeden czytał dyskretnie książkę, a jeszcze inny, najwidoczniej tak wysokiej rangi, że nie musiał nawet pozorować uwagi, ostentacyjnie przeglądał gazetę. W porze obiadowej kościół opustoszał i nie zapełnił się już do wieczora. Co gorsza, pomimo jawnego faworyzowania przez chrześcijańskich teologów zwolenników Jakuba Franka, sesja zakończyła się bez żadnych konkluzji i jednoznacznych rozstrzygnięć.

Zniechęceni tym bracia Johann i Olaf postanowili nie tracić pieniędzy na kolejne sesje, tylko rozmówić się z samym Jakubem Frankiem, kiedy ten zjawi się wreszcie we Lwowie. Tymczasem próbowali wdawać się w dyskusje i zainteresować swoimi książkami Żydów przygotowujących się do przyjęcia chrztu na specjalnych kursach zorganizowanych z polecenia księdza Mikulskiego przez lwowskie zgromadzenia jezuitów, dominikanów, franciszkanów, trynitarzy, bernardynów, reformatów i karmelitów bosych.

Trwało to, dopóki któryś ze szczęśliwców obdarowanych przez misjonarzy *Światłem wieczornym* nie pochwalił się tym prezentem prowadzącemu katechezę bernardynowi. Ten bowiem natychmiast kazał przegnać obu luteran sprzed swego kościoła. Kiedy wkrótce potem bracia Johann i Olaf w podobnych okolicznościach musieli zakończyć swoją działalność pod świątyniami innych zakonów, nie pozostało im nic innego jak tylko cierpliwie czekać na przyjazd przywódcy kontrtalmudystów, zwłaszcza że wszystkie kolejne sesje dysputy, włącznie z tą, podczas której rozważano kwestię rytualnego używania przez Żydów chrześcijańskiej krwi, również zakończyły się bez jakichkolwiek konkretnych wniosków.

Na szczęście, gdy zabrakło im już pomysłów, czym jeszcze mogliby zabić nudę, do miasta zjechał długo wyczekiwany Jakub Frank. Towarzyszyła mu biegnąca obok jego poszostnej karety straż przyboczna z drewnianymi halabardami, jeźdźcy w tureckich dolmanach i żydowskich myckach na głowach, długi orszak wozów, bryczek i furmanek wypełnionych po brzegi brodatymi i pejsatymi katechumenami oraz ich żonami i dziećmi, a także mrowie najuboższych zwolenników przybyłych z Podola piechotą i boso.

Na całej trasie przejazdu i przemarszu frankistów przez miasto, od Halickiego Przedmieścia aż po rzekę Pełtwię, gdzie rozłożyli się obozem, zebrały

się tłumy gapiów. Brakowało wśród nich tylko ortodoksyjnych Żydów, którzy woleli kryć się w tym czasie po domach i bramach, wierząc, że wzrok odszczepieńca może ich zaczarować, pozbawić sił i rozumu, przyprawić o impotencję albo nawet o nagłą i bolesną śmierć.

Choć wydawałoby się to nieprawdopodobne, to właśnie w tej ciżbie bracia Johann i Olaf natknęli się na rotmistrza von Zypke i pana Korytkowskiego, którzy przybyli do Lwowa poprzedniego dnia, lecz nie mieli pojęcia, gdzie mieszkają ich towarzysze. Po serdecznych powitaniach, na opowieściach o tym, jak czarny huzar odzyskał wolność i co w tym czasie działo się we Lwowie, zeszło całe czwórcie niemal pół nocy.

Ponieważ Jakub Frank, od swego przyjazdu do Lwowa konferujący niemal bez przerwy z biskupem sufraganiem Samuelem Głowińskim, zgodził się przyjąć luteranckich misjonarzy dopiero za pięć dni, rotmistrz von Zypke, zawsze ciekawy świata, postanowił wykorzystać wolny czas na zwiedzanie miasta.

W towarzystwie obu braci (pan Korytkowski, znający Lwów doskonale, wolał spać do południa) obejrzał wspaniałą renesansową cerkiew wołoską z wysmukłą kampanilą, jakby żywcem przeniesioną z Włoch, katedrę unicką kończoną właśnie w modnym stylu *rocaille*, niezwykłą czarną kamienicę w rynku, Kaplicę Boimów oszalałamiącą natłokiem rzeźb i dekoracji, a wreszcie sławny Wysoki Zamek, w dużej części zrujnowany, choć mogący jeszcze z powodzeniem pełnić funkcje obronne, pod którym to zamkiem doszło też do poważnej scysji między nim i bratem Olafem, uwieczniającym właśnie ów zabytek w swoim szkicowniku.

Czarnemu huzarowi nie spodobało się, że Olaf Caspar Röper przykładał w swoim dziele zbyt dużo wagi do dokładnego zaznaczenia grubości murów tej budowli, rozmieszczenia, kalibru i potencjalnego pola ostrzału broniącej jej artylerii, lokalizacji prochowni i prawdopodobnych stanowisk dowodzenia, a nawet przypuszczalnej przepustowości prowadzących z zamku dróg ewakuacyjnych.

– To dzieło sztuki czy rysunek techniczny? – zapytał.

– Jako Prusak lubię być precyzyjny, nawet w dziełach sztuki – odparł brat Olaf.

– Jak dla mnie aż za bardzo.

– To nie twoja sprawa.

– A właśnie, że moja. Już raz próbowano mnie zrobić w przemyt fałszywych pieniędzy, więc bardzo bym nie chciał wdepnąć w jakieś inne gówno. Proszę, oddaj mi natychmiast ten rysunek, jak też wszystkie podobne do niego wykonane w Częstochowie.

– Ani myślę. Pan ma swoje rozkazy, a ja swoje – brat Olaf niepostrzeżenie przeszedł na „pan”.

– Ja nie mam żadnych rozkazów, bo nie jestem już w służbie czynnej – zaperzył się rotmistrz von Zypke. – Ale nawet jako oficer w stanie spoczynku mogę żądać wydania tych rysunków.

– Czyżby? – roześmiał się brat Olaf. – Żeby mi rozkazywać, musiałby pan być wyższy ode mnie stopniem. A to nie jest takie pewne.

– Dostyc tego! – odezwał się po raz pierwszy brat Johann Hermannsdorfer, ze złości z trudem łapiący oddech. – Bracie Olafie, proszę natychmiast oddać te rysunki albo po powrocie do Halle doprowadzę do tego, że zostaniesz wyrzucony z Institutum Judaicum et Muhammedicum w trybie dyscyplinarnym.

– Obyś sam nie wyleciał z niego prędzej, bracie Johannie – ostrzegł go brat Olaf, po czym ze słowami: „Żałosne dupki!” najspokojniej w świecie schował szkicownik do swojej torby.

Po tej awanturze trzech luterańscy misjonarze przestali ze sobą rozmawiać, trwało to jednak tylko do następnego dnia, kiedy to w ich ręce wpadły wiedeńskie gazety, docierające do Lwowa z pewnym opóźnieniem. Ku swojemu przerażeniu wyczytali w nich, że 12 sierpnia niedaleko położonej nad Odrą miejscowości Kunersdorf pięćdziesięcioletnia armia pruska dowodzona przez samego Fryderyka II została dosłownie zmiażdżona przez liczący sześćdziesiąt tysięcy ludzi korpus rosyjsko-austriacki generała Sałtykowa i feldmarszałka von Laudona. Prusacy stracili w tej bitwie niemal dwadzieścia tysięcy żołnierzy i oficerów, dwie trzecie z dwustu osiemdziesięciu posiadanych dział, dwa sztandary i dwadzieścia sześć znaków pułkowych.

Szczególnie ciężkie straty – co zabolalo rotmistrza von Zypke najbardziej – poniosła pruska kawaleria, rzucana raz po raz przez upartego Cezara Północy do bezsensownych ataków na wzgórze obsadzone przez nieprzyjaciela, wprost pod morderczy ogień rosyjskiej artylerii. A kiedy pod wpływem uderzenia moskiewskiej piechoty i austriackiej jazdy ostatecznie załamały się pruskie linie i zaczęła się okrutna rzeź, osamotniony Król-Filozof, obserwujący bitwę ze wzniesienia, wbił szpadę w ziemię i niezdolny do podjęcia jakiegokolwiek decyzji,

czekał już tylko na najgorsze, powtarzając raz po raz zbielełymi wargami: „Wszystko stracone, trzeba ratować archiwa”¹³. Według pruskich jeńców, przed śmiercią lub niewolą w ostatniej chwili uratował go uciekający z pola bitwy oddział huzarów, których dowódca, niejaki kapitan Prittwitz, tylko z najwyższym trudem zdołał namówić monarchę do odwrotu. Wraz z królem w zwartym szyku odeszło w kierunku Berlina zaledwie trzy tysiące ocalałych z pogromu żołnierzy, którzy nie ulegli powszechnej panice. Stolica Prus zdana była na łaskę i niełaskę zwycięzców i w każdej chwili mogła zostać zajęta.

Wstrząśnięci tymi wieściami, protestanczy misjonarze odbyli naradę, co w tej sytuacji powinni zrobić. Olaf Caspar Röper chciał natychmiast wracać do Prus, Johann Friedrich Hermannsdorfer miał co do tego wątpliwości, natomiast czarny huzar stał na stanowisku, że najważniejsze jest spotkanie z Jakubem Frankiem.

– I mówi to oficer?! – oburzał się na niego brat Olaf. – Nie ma teraz ważniejszej sprawy, jak śpieszyć na ratunek ginącej ojczyźnie! Paru Żydów w tę czy we w tę nie robi żadnej różnicy.

– Mam to w dupie – odpowiedział rotmistrz von Zypke. – Jak znam naszego Najjaśniejszego Pana, to jeśli dwa tygodnie temu dysponował trzema tysiącami żołnierzy, dziś ma ich już pewnie z dziesięć razy więcej, a jeśli uzna za stosowne, to powoła pod broń całą ludność i bez mrugnięcia okiem wyśle ją na rosyjskie armaty, jak tych żołnierzy pod Kunersdorf. W najgorszym razie to, co zaczął jako generał, skończy jako partyzant. Nie mam zamiaru bronić władzy, która mnie nie tylko okłamuje, lecz także hańbi, czyniąc ze mnie przemytnika, współnika złodziei, a może nawet i szpiega. Jak chcecie ją ratować, to ją ratujcie, droga wolna, ale beze mnie.

– To co pan zamierza? – zapytał ze zgrozą brat Johann.

– Najpierw zrobić to, za co wziąłem pieniądze, czyli spotkać się z tym prorokiem. A potem zobaczymy. Albo będę nawracać Żydów, jeśli będą mieli na to ochotę, albo wyjadę do Ameryki lub Azji polować na zwierzęta futerkowe.

– Z dwojga złego lepsza Azja – odezwał się pan Korytkowski, także obecny na tym spotkaniu. – Zwłaszcza że jest tuż-tuż, za Dniestrem i Zbruczem. Ameryka zaś daleko i też ogarnięta tą durną wojną. A jak się panu znudzi w Azji, niech pan wraca do Polski. Tu się da spokojnie żyć, bo w Polsce władzy prawie nie ma, więc trudno jej kogokolwiek hańbić czy okłamywać.

– Jak to władzy nie ma? – zdziwił się czarny huzar.

– Powiedziałem „prawie”, czyli jest, ale jakby jej nie było, bo zajmuje się tylko najważniejszymi sprawami, a i to z rzadka albo wcale. Z całą resztą obywatele dają sobie radę sami, z mniejszą lub większą pomocą krewnych i przyjaciół. A ponieważ mało kto ma w życiu do czynienia ze sprawami największej wagi, siłą rzeczy krewni i przyjaciele znaczą w Polsce dużo więcej niż państwo.

– W takim razie to nie dla mnie, bo skąd ja tu wezmę krewnych i przyjaciół?

– Jednego przyjaciela już pan ma – polski szlachcic skłonił się uprzejmie – a innych musiałby pan kaptować przez całe życie, jak wszyscy. Najlepiej czapką i papką, nie żałując szlachcie chleba i chmielu, częstując i samemu z ochotą jeżdżąc w gości, nie uchylając się od biesiad i kuligów, chodząc na śluby, chrzciny i pogrzeby, bywając na sejmikach i w sądach, sypiąc nieskurczoną ręką pieniądze potrzebującym, rekomendując się wszystkim i każdemu z osobna, oświadczając się chętnie ze swoją adykcją, prawiąc komplementy damom i użyczając kresek kandydatom, a kogo trzeba w brzuch grzecznie całując i podejmując pod nogi. Wszystko to – oczywiście *sine rubore ingenuo*¹⁴ – w zasadzie wystarcza w Polsce do spokojnego i godziwego życia, jak też zapewnia należyłą pomoc i wsparcie, gdy ktoś porwie się przeciw waści do broni czy w razie jakiejś ogólniejszej ruchawki, a także wtedy, kiedy nie masz waćpan innego wyjścia i sam musisz kogoś w pyski nabić lub zdrowo wyczubić. Naturalnie oprócz familiantów i przyjaciół, najlepszą gwarancją praw i wolności są w Polsce, jak zresztą wszędzie, dobra szabla i własna fortunka.

– Tym czarniej to widzę, przyjacielu. Bo o ile dobra szabla pewnie by się znalazła, to skąd miałbym tutaj wytrzasnąć fortunę? – westchnął Prusak. – Poza tym to, że się zawiodłem na własnym królu i państwie, nie oznacza jeszcze, że rzucę się zaraz w podskokach do służenia innym.

– W razie czego znajdzie się i fortunka, jak pana wyżenię gdzieś pod Nowogródkiem – zapewnił go pan Korytkowski. – A służyć nikomu pan nie musi.

– Dziękuję, wezmę to pod uwagę – pruski kawalerzysta skinął mu z wdzięcznością głową.

– No to jak będzie? Wracamy od razu czy nie? – przerwał tę dyskusję brat Olaf, zwracając się już wyłącznie do brata Johanna.

– Zdecyduję o tym po spotkaniu z Jakubem Frankiem – rozstrzygnął po chwili wahania szef misji.

Do spotkania tego doszło trzy dni później w obozie kontrtalmudystów nad Pełtwią, gdzie Święty Pan przyjął pruskich misjonarzy w otoczeniu swoich najbliższych współpracowników: starego Nussena, Nachmana, Mordochaja, Eliszy i występującego w roli tłumacza pana Moliwdy.

Mistrz wysłuchał z zainteresowaniem, kim są przybysze, kogo reprezentują i w jakim celu przybyli do Lwowa, następnie pyknął parę razy ze swojej tureckiej fajki z długim cybuchem i powiedział:

– Panowie, jak wicie, moi ludzie zostaną wkrótce ochrzczeni w Kościele rzymskokatolickim. Oczywiście, jak wszystko na tym świecie, także i ta rzecz nie jest przesądzona do końca i może jeszcze ulec zmianie, ale musiałbym mieć naprawdę mocne powody, żeby teraz, ni z tego, ni z owego, kazać im przyjąć chrzest w *emuna* Luter. Spróbujcie mnie więc przekonać, że macie rację i że tak właśnie powinienem postąpić.

– Panie, zarówno ty, jak i twoi ludzie, powinniście się ochrzcić w *emuna* Luter przede wszystkim dlatego, że tylko *emuna* Luter przechowuje autentyczną, najbliższą Ewangelii i najmniej skażoną późniejszymi naleciałościami naukę naszego Pana Jezusa Chrystusa – odpowiedział mu brat Johann. – Powinniście to zrobić także dlatego, że dla nas, wyznawców *emuna* Luter, inaczej niż dla katolików, w chrześcijaństwie liczą się tylko sprawy najważniejsze: Chrystus, Pismo, wiara i łaska. Najbardziej oczywiście Chrystus, Syn Boga Ojca w Trójcy Jedynego, prawdziwy Bóg i prawdziwy człowiek, który jest jedynym pośrednikiem między nami i Bogiem, jedynym Zbawicielem i jedynym ratunkiem grzesznika. Powinniście to zrobić również z tego powodu, że w odróżnieniu od innych chrześcijan, lecz zgodnie z tym, co zostało powiedziane w Liście do Rzymian: *Sprawiedliwy z wiary żyć będzie*¹⁵, my, luteranie, wierzymy, że dla ludzkiego zbawienia wystarczy sama wiara w Chrystusa, której wyrazem jest ufność wobec Boga, posłuszeństwo Jego woli, szczerza modlitwa, przykładne życie i rzetelne wypełnianie wszelkich obowiązków, a także łaska Boska, którą otrzymujemy od Niego za darmo, bez żadnej zasługi z naszej strony.

– Jak to za darmo? – zdziwił się przywódca kontrtalmudystów. – Bez względu na przestrzeganie Zakonu i złe lub dobre uczynki?

– Dokładnie tak – potwierdził brat Johann. – Skoro nie ma nikogo, kto byłby bez grzechu, to Bóg daje nam nie za nasze zasługi, lecz ze swojej łaski, podobnie jak było Jego łaską, że wydał swego Syna jako okup za nas, Świętego za przestępców, Dobrego za złych, Sprawiedliwego za niesprawiedliwych,

Nieskazitelnego za skazonych, Nieśmiertelnego za śmiertelnych, gdyż tylko tak mogliśmy zostać usprawiedliwieni i tylko w ten sposób można było zmasać nasze grzechy. Najlepszym przykładem na to, że wszystko, czego Bóg udziela, jest łaskawym darem, może być Dobry Łotr na krzyżu, który został usprawiedliwiony przez swoją wiarę, bez żadnych dobrych uczynków, a Pan nie pytał go wcale o to, co wcześniej robił, ani nie czekał, aż zacznie pełnić te uczynki po uwierzeniu, lecz kiedy miał wejść do raju, wziął go po prostu ze sobą jako towarzysza.

– Czyli tylko Chrystus, tylko wiara i tylko łaska? – Święty Pan pyknął znowu ze swojej długiej tureckiej fajki.

– Tak, tylko Chrystus, tylko wiara i tylko łaska – potwierdził brat Johann. – I tylko Pismo, bo my, ewangelicy, odrzucamy wszystkie dogmaty ustanowione przez papieży i sobory, za wyjątkiem czterech pierwszych soborów powszechnych. Odrzucamy również władzę samego papieża i podległy mu Kościół, a także kult Matki Boskiej i wszelkich świętych, chociaż ich szanujemy i staramy się naśladować. Nawet ze znaków i świadectw woli Bożej, jakimi są sakramenty, uznajemy tylko te dwa, o których wyraźnie wspomina Pismo Święte: chrzest i komunię. Jak więc widzicie, zasady naszej wiary są proste i klarowne, oparte na prawdziwych i najświętszych źródłach chrześcijaństwa oraz wolne od późniejszych ludzkich zniekształceń, przeinaczeń, wtrętów, uzupełnień, samowolnych interpretacji, ozdób i zabobonów. Warto jeszcze dodać, że w odróżnieniu od katolików niezmiernie cenimy sobie Stary Testament, co bardzo nas zbliża i upodabnia do was, kochani bracia Żydzi.

– To bardzo pięknie. A co sądzicie o samych Żydach? – zapytał ślepy Nussen.

– Najlepiej wyraził to nasz prawodawca, największy odnowiciel chrześcijaństwa, doktor Marcin Luter – pośpieszył z odpowiedzią brat Olaf – który w *Dass Jesus Christus ein geborener Jude*¹⁶ napisał: „Nasi imbecyle, papiści i biskupi, sofiści i mnisi, używali sobie z Żydami tak, że dobry chrześcijanin powinien był stać się Żydem. Gdybym był Żydem, wolałbym zostać raczej wieprzem niż chrześcijaninem, widząc, jak te gamonie i skończone osły nauczają wiary chrześcijańskiej. Traktowali Żydów, jakby byli psami, a nie ludźmi; umieli ich tylko prześladować. Żydzi są według krwi krewnymi, kuzynami i braćmi Naszego Pana: jeżeli można chlubić się Jego krwią i Jego ciałem, należą oni bardziej niż my do Jezusa Chrystusa. Upraszam przeto mych

drogich papistów, aby mnie traktowali jak Żyda, gdy zmęczą się traktowaniem mnie jak heretyka. Dlatego też radzę traktować ich z uprzejmością: dopóki będziemy stosować gwałt i oskarżać ich o używanie krwi chrześcijańskiej do usunięcia złego zapachu i nie wiem jeszcze o jakie bzdury, będziemy im przeszkadzać żyć i pracować wśród nas w naszej społeczności, będziemy ich zmuszać do uprawiania lichwiarstwa, jak mogą wyjść ku nam? Jeżeli pragniemy im pomóc, koniecznie trzeba stosować wobec nich prawo miłości chrześcijańskiej, a nie prawo papistów. Trzeba nam przyjąć ich jak przyjaciół, dać żyć i pracować z nami, wtedy ich serca będą z nami”¹⁷ – zakończył dłuższy cytat misjonarz.

– No to jeszcze piękniej! – zawołał zaskoczony Jakub Frank, podczas gdy jego towarzysze zaczęli cmokać z satysfakcją i kiwać z aprobatą głowami.

– Jeszcze piękniej, to fakt – odezwał się niezabierający dotąd głosu pan Korytkowski. – Szkoda tylko, że ten sam doktor Luter w nieco późniejszym dziele *Gegen die Juden und ihre Lugen*¹⁸ radził palić synagogi, konfiskować księgi hebrajskie i wygnać z Niemiec wszystkich Żydów. A w innym piśmie, zatytułowanym *Schetu Hamphoras*, twierdził, jeśli mnie pamięć nie myli, że Żydów nie da się nawrócić, bo to dzieci diabła, znajdujące w Biblii niestworzone rzeczy dzięki swojemu bystremu wzrokowi, który tak im się wyostrzył, kiedy najedli się gówna Judasza i popili je jego moczem¹⁹.

– Czy to prawda?! – oburzył się Nussen.

– Niestety tak – przyznał poczerwieniały nagle brat Johann. – To słowa Lutra z czasów, kiedy rozczarował się mizernymi rezultatami nawracania Żydów. Ale niewątpliwie mylił się, dziś nikt już tak nie uważa.

– *Scheiße!* – zaklął pod nosem rotmistrz von Zypke.

– Cóż to za prawodawca religijny, który się myli? – skrzywił się Eliza.

– A to kutas! – skwitował mniej parlamentarnie Mordochaj.

– Spokojnie, spokojnie – rzekł Jakub Frank i wypuścił kolejny obłoczek tytoniowego dymu. – Zostawmy na boku teologię, w której ani ja, ani moi ludzie nie jesteśmy zbyt biegli, a także wzajemne docinki i niepotrzebne obelgi. Porozmawiajmy lepiej o tym, co konkretnie możecie nam zaoferować. Ciekaw jestem na przykład, czy wasz król może nam wyznaczyć jakąś ziemię, gdzie moglibyśmy osiąść całą gromadą i rządzić się po swojemu, jak chcemy. Bo Polacy, owszem, dają nam ją, tyle że w różnych, oddalonych od siebie miejscach,

w królewstwach i w dobrach magnackich, co o tyle nam nie odpowiada, że nie chcielibyśmy się rozpraszać.

– I szlachectwo, *Effendi*, i pruskie szlachectwo – przypomniał mu Nachman z Buska.

– Słusznie, i pruskie szlachectwo – powtórzył za nim Mistrz.

– Obawiam się, że to niemożliwe – odparł jeszcze bardziej skonfundowany brat Johann. – Nasz król jest teraz w takiej sytuacji, że nie wiadomo, czy zachował jeszcze choćby piędź ziemi. Nie wiadomo zresztą, czy w ogóle żyje i czy Prusy nadal istnieją. Ale nawet gdyby żył, a Prusy ciągle istniały, nie sądzę, żeby się zgodził. To samo odnosi się do szlachectwa, które w Prusach nie tak łatwo uzyskać. Dla przykładu, z nas trzech tylko rotmistrz von Zypke jest szlachcicem, ja i brat Olaf nie.

– Potwierdzam zarówno fakt mojego szlachectwa, jak i to, że nasz monarcha raczej woli brać, niż dawać – oświadczył z kwaśną miną czarny huzar.

– Tak? – Nachman z Buska wyduł pogardliwie wargi. – Bo tu po przejściu na katolicyzm od razu będziemy szlachtą.

– A w Polsce szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie – zaznaczył z dumą Eliza.

– No i sami widzicie, *meine Herren* – rozłożył ręce Jakub Frank. – Póki co, wasza oferta przegrywa. Lecz nie trzeba się zrażać. Skoro nie możemy liczyć w Prusach na ziemię i szlachectwo, to może przynajmniej wasz Najjaśniejszy Pan – oczywiście pod warunkiem, że jeszcze żyje – zgodziłby się trzymać mnie do chrztu? Zawsze marzyłem o koronowanym ojcu chrzestnym.

– Nie strój sobie żartów, parchu! – nie zdierzył Olaf Caspar Röper. – Co za dużo, to niezdrowo.

– Hola, hola, mości panowie! – oburzył się pan Moliwda, ograniczający się dotąd tylko do tłumaczenia. – „Parchu”? Twierdzicie, że Pismo Święte jest dla was najważniejsze zaraz po Chrystusie, a zwracacie się w ten sposób do przedstawiciela narodu, o którym Pan Bóg powiada w Księdze Rodzaju: *Będę ci błogosławił i twoje imię rozstawię: staniesz się błogosławieństwem. Będę błogosławił tym, którzy ciebie błogosławić będą, a tym, którzy tobie będą złorzeczyli, i ja będę złorzeczył. Przez ciebie będą otrzymywały błogosławieństwo ludy całej ziemi*²⁰?

– Przepraszam, nieco się uniosłem – zreflektował się brat Olaf. – Lecz wszystko ma swoje granice.

– Czyżby? – uśmiechnął się Święty Pan, niespecjalnie przejęty tym, że przed chwilą nazwano go „parchem”. – No to pokaż im list, Moliwda.

Po tych słowach pan Moliwda przyniósł z karocy podróżny kuferek i wyjął z niego zrolowany list z dwiema pieczęciami z czerwonej laki. Następnie rozłożył go i podsunął zdumionym gościom pod oczy. Przeczytał go oczywiście, i to aż dwukrotnie, tylko pan Korytkowski, który po tej lekturze wykrzyknął:

– Niech mnie kule biją! Jego Królewska Mość August III zgodził się zostać jego ojcem chrzestnym! I to u siebie w pałacu w Warszawie! Gratuluję waszmości z całego serca, panie Frank.

– Dziękuję – skinął niedbale głową przysły królewski chrześniak.

– No to chyba nic tu po nas, bracie Olafie – zauważył ze smutkiem Johann Friedrich Hermannsdorfer.

– I jak tak myślę, bracie Johannie – zgodził się bez cienia żalu jego towarzysz.

– Naprawdę przykro mi, panowie, że fatygowaliście się na próżno – rzekł przywódca kontrtalmudystów. – Przykro mi tym bardziej, że jak wszyscy Żydzi, bardzo lubię Niemców, bo jesteście do nas podobni jak dwie krople wody: czyści, schludni, pracowici, zdyscyplinowani, dobroduszeni, rozsądni, rozmiłowani w księgach i niezwykle muzykalni – w tym miejscu Mistrz odłożył fajkę i zaśpiewał, mocno fałszując „*Eine Schwester ohne Brüder ist als ein Schiff ohne Rudel*”²¹, po czym dodał: – Dalej nie znam, a szkoda, bo to *ganz schön*²² piosenka. Życzę wam, żebyście wszyscy trzej wrócili do domu cali i zdrowi, i znaleźli wasz kraj w dobrym stanie, a waszego króla przy życiu i w jak najlepszym zdrowiu.

– Ja nie wracam, ale Bóg zapłać za dobre słowa – podziękował mu rotmistrz von Zypke.

– Nie wraca pan? – zdziwił się Jakub Frank. – A co tu pan będzie robił?

– Nie tu, tylko w Turcji – pośpieszył z odpowiedzią pan Korytkowski. – Pan rotmistrz von Zypke chce tam zarabiać na życie polowaniem na zwierzęta futerkowe, bo ma już dość Europy.

– Na zwierzęta futerkowe? – Mistrz zdumiał się jeszcze bardziej. – Jakie?

– Wszystko jedno – odparł czarny huzar. – Lwy, tygrysy, bobry, co się nawinie pod lufę. Z czegoś trzeba żyć.

Po tych słowach Święty Pan i jego towarzysze parsknęli śmiechem.

– I co tak waszmościów rozśmieszyło? – zachnął się pan Korytkowski. – Pan rotmistrz jest emerytowanym oficerem pruskich huzarów, bohaterem wojennym spod Zorndorf i kawalerem orderu *Pour le Mérite*, więc z pewnością poradzi sobie również z każdą bestią, jaką weźmie na cel.

– W to nie wątpię – zapewnił go Jakub Frank próbujący z trudem opanować śmiech. – Rzecz w tym, że mieszkaliśmy w Turcji wiele lat i możemy was zapewnić, panowie, że nie ma tam żadnych lwów ani tygrysów i tylko z rzadka trafia się jakiś lampart albo niedźwiedź. Najliczniejszymi bestiami futerkowymi, jakie tam występują, są myszy i szczury, ale tych nikt nie skupuje.

– *Blöde Hacke!* – zaklął pruski oficer. – W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak wyjechać do Afryki.

– Widzę, że Europa musiała panu nieźle dopiec – zaśmiał się ponownie przyszyły królewski chrześniak. – Że z czegoś trzeba żyć, to jasne, ale po kiego diabła szukać chleba aż w Afryce? Tu też można go znaleźć. Polska to najwspanialszy kraj na świecie, bo grunt podniesienia jest właśnie tutaj i to tutaj, nie gdzie indziej, otworzy się Drzewo Życia. A poza tym w Polsce wszystko jest możliwe.

– Też mu to powtarzam – przytaknął pan Korytkowski.

– Zna pan francuski? – przywódca żydowskich katechumenów najwyraźniej nie zamierzał odpuścić czarnemu huzarowi.

– Ani w ząb. Jako Prusak z dziada pradziada znam tylko niemiecki, a i to raczej w wersji *Platt* niż *Hoch*²³.

– To wielka szkoda, bo szukam właśnie nauczyciela dla mojej córki Awaczy. Zostanie hrabiną albo baronessą, więc francuski bardzo by jej się przydał. Ale na początek może też być niemiecki, choć to oczywiście nie to samo.

– Przykro mi, *herr* Frank, lecz nie mam talentów pedagogicznych.

– Rozumiem. Za to jako Prusak z dziada pradziada zna się pan pewnie wybornie na musztrze?

– Jak każdy – wzruszył ramionami rotmistrz von Zypke.

– To dobrze, bo potrzebuję też instruktora dla mojej straży przybocznej. Choć na razie liczy ona tylko czternastu ludzi, nie ma w niej za grosz dyscypliny. Chodzą i biegają, jak chcą, nie trzymają między sobą dystansu, depczą sobie nawzajem po piętach, przyśpieszają lub zwalniają bez sensu, pchają się jeden przez drugiego na zakrętach, jakby tam coś rozdawano za darmo, potykają się, przewracają, nie mówiąc już o tym, że szybko dostają kolki albo zadyszki,

a jeden z nich, niejaki Lejba Reb Szajes, dwa razy już wpadł mi pod koła. Trzeba coś z tym zrobić, bo aż strach pomyśleć, co będzie, jak oddział się rozrośnie. Poza tym bardzo bym nie chciał, żeby wypadli w Warszawie niczym banda podolskich dziadów, zwłaszcza przed Jego Królewską Mością, moim ojcem chrzestnym.

– Czy chodzi o tych pajaców z drewnianymi halabardami, którzy biegli truchtem przy pańskiej karecie?

– Właśnie.

– Faktycznie przydałoby się im trochę musztry. Tak samo zresztą, jak tym jeźdźcom w myckach.

– To jak? Zajmie się pan nimi?

– Hmm... A ile za to dostanę?

– A ile pan sobie życzy?

– Bo ja wiem?... Może dwadzieścia talarów miesięcznie? – czarny huzar zaryzykował kwotę, którą zarabiał w służbie czynnej, póki jeszcze płacono żołd.

– A także konia i szablę, jeśli miałbym również zająć się kawalerią.

– Dam panu dwadzieścia pięć. Mordochaj zaraz je panu wypłaci. Konia i szablę kupimy w najbliższych dniach. Co do moich ludzi, to może ich pan szkolić, począwszy od jutra. Ale tylko popołudniami, bo z rana mają katechezę, choć ochrzczą się dopiero w Warszawie, tak jak ja.

– I my – wtrącił z dumą Nachman. – Stolica to zawsze stolica.

– I jeszcze jedno: niech im pan da porządnie w kość, żeby w Warszawie wypadli lepiej od gwardii koronnej – zamknął ten temat przywódca kontrtalmudystów.

– To akurat mogę panu obiecać – uśmiechnął się rotmistrz von Zypke i strzelił głośno obcasami.

Dźwięk ten był ostatnim akordem audiencji, ponieważ Mistrz, śpieszący się na kolejną naradę z biskupem Głowińskim, w chwilę później wsiadł do karety, nie odpowiadając już ani na prośbę pana Korytkowskiego, żeby kłaniał się Jego Królewskiej Mości w Warszawie, ani na zapewnienia brata Johanna, że pozostaje do jego dyspozycji, gdyby kiedyś, mimo wszystko, chciał zmienić wyznanie i przejść na *emuna* Luter.

Zaraz po Kunersdorf pan Gédéon Benoît uznał, że nie ma co dłużej zwlekać. Toteż, kiedy parę dni później na przyjęciu u nuncjusza spotkał rosyjskiego ambasadora Fiodora Wojejkowa, inaczej niż dotąd, nie udał, że go nie dostrzega i nie zakpił sobie w duchu z jego imponującej tuszy („Ten to swoje jajka widzi chyba tylko w lustrze!”), tylko przypomniawszy sobie jedną z ulubionych maksym swojego władcy: „Jeśli można coś zyskać, będąc uczciwym człowiekiem, będziemy uczciwi, jeśli jednak należy oszukiwać, bądźmy łotrami”, podszedł do niego dyskretnie, ukłonił się i rzekł:

– Ekscelencjo, choć nie miałem dotychczas zaszczytu zostać panu przedstawiony, zapewne wie pan, kim jestem?

– Wiem – odburknął Rosjanin pochłaniający właśnie wielką porcję kawioru.

– Jeśli to możliwe, chciałbym z panem omówić pewną ważną sprawę.

– Proszę bardzo.

– Nie tutaj. Bez świadków.

– Hm... Jeśli to naprawdę ważna sprawa, zapraszam do mnie na kolację. Jutro o ósmej. Postaram się, żebyśmy byli sami.

– *Merci beaucoup, ambassadeur. Vous êtes très gentil* ²⁴.

Następnego dnia pan Benoît zabrał z ambasady trochę starych depez (oczywiście nie tych najważniejszych), parę tajnych notatek, kilka nieużywanych aktualnie kodów szyfrowych oraz trzy podpisane przez siebie pruskie paszporty *in blanco*, w których wystarczyło tylko wstawić nazwisko właściciela, po czym piechotą i w masce udał się do rezydencji przedstawiciela Rosji.

Ambasador Wojejkow dotrzymał słowa. Byli sami i nawet przy skromnej, choć eleganckiej kolacji obywali się bez służby.

– A więc – zagaił przy zimnych przekąskach gospodarz – cóż to za ważna sprawa, o której chciał pan ze mną porozmawiać?

– Widzi pan, ekscelencjo, rzecz w tym, że mam już dosyć awanturnictwa mojego Najjaśniejszego Pana. To człowiek bez czci i zasad, nieodpowiedzialny pyszałek, ogarnięty manią wielkości cynik, łasy na cudze dobra żołdak i okrutnik szafujący bez litości krwią obcych i własnych poddanych.

– To prawda. I co z tego?

– To, że z najwyższą chęcią oddałbym moją wiedzę i doświadczenie na usługi kogoś godniejszego. Może Najjaśniejszej Cesarzowej Austrii, może króla Francji, a może Jej Imperatorskiej Mości Elżbiety Piotrowny, którą zawsze

bardzo podziwiałem za jej niezwykle przymioty i za bezprzykładny rozkwit, jaki pod jej rządami przeżywa Rosja. Co pan na to, ekscelencjo?

– Myślę, że to mądra decyzja, godna szlachetnego i wrażliwego człowieka. Szkoda tylko, że podjął ją pan tak późno, kiedy pański władca może już abdykował albo dostał się do niewoli.

– Mój władca szybciej się zastrzeli, niż abdykuje czy pójdzie do niewoli – zaszarżował pan Benoît, który w rzeczywistości od czasu klęski pod Kunersdorf nie miał żadnych wiadomości z Berlina. – Ale najpierw będzie walczył do ostatniego żołnierza. Więc ta wojna jeszcze trochę potrwa, a ja chciałbym ją nieco skrócić, dla dobra wszystkich.

Ambasador Wojekow, który w przeciwieństwie do Prusaka otrzymywał codziennie meldunki o sytuacji na froncie, wiedział doskonale, że pan Benoît mówi prawdę, bo zaledwie parę godzin wcześniej przeczytał w depeszy z Petersburga, że Fryderyk II otrząsnął się już po klęsce i zebrawszy co najmniej trzydzieści tysięcy żołnierzy, znów wściekle atakuje wojska koalicji. Toteż kiwnął ze zrozumieniem głową i zapytał:

– W jaki sposób?

– A choćby przy pomocy takich oto drobiazgów – *chargé d'affaires* poselstwa pruskiego w Warszawie położył na stole przyniesione z sobą dokumenty.

Rosjanin zaczął je z ciekawością oglądać, przeczytał kilka depesz i przejrzał parę notatek, po czym stwierdził z lekceważącą miną:

– Kody pewnie nieaktualne, depesze stare, notatki płytkie i mało ciekawe, tylko paszporty mają jakąś wartość. Nie ma pan nic lepszego?

– Mam, ale jeszcze nie wiem, komu to przekazać: panu, Francuzowi czy Austriakowi? Podobnie zresztą jak siatkę moich agentów w Polsce, świetnie uplasowanych.

– Świetnie, to znaczy gdzie? – zapytał jakby mimochodem przedstawiciel Rosji, choć nie udało mu się do końca ukryć swojej ciekawości.

– Na dworze królewskim, w najbliższym otoczeniu marszałka Bielińskiego, w sekretariacie prymasa Polski, w sztabie hetmana Branickiego, w Trybunale Koronnym – wyliczył beznamiętnie pan Benoît.

– Gratuluję – Rosjanin skinął z uznaniem głową. – Mam tylko nadzieję, że nie są to osoby, które już pracują dla nas?

– Nie podejrzewam ich o podobną lekkomyślność. Wiedzą, że wymagamy bezwzględnej lojalności i potrafimy ukarać jej brak – odpowiedział z surową miną pan Benoît.

– Słusznie, w tych sprawach lojalność to podstawa – zgodził się z nim rosyjski dyplomata.

– A zatem, co pan na to, ekscelencjo? – powtórzył swoje pytanie przedstawiciel Berlina.

– Moim zdaniem, jeśli naprawdę ma pan zamiar porzucić swego dotychczasowego pana i przejść na służbę kogoś godniejszego, powinien pan od razu mierzyć jak najwyżej. Zaś najwyżej, jako niewątpliwie najgodniejsza pod każdym względem władczyni tego wieku, stoi Jej Imperatorska Mość Elżbieta Piotrowna Romanowa. Każdego, kto by temu zaprzeczał, będę zmuszony uznać nie tylko za skończonego głupca, ale także za wroga Rosji i mojego osobiście – podkreślił z naciskiem ambasador Wojejkow.

– Nigdy bym sobie nie pozwolił na podobny despekt ani wobec tak wspaniałej monarchini i Rosji, ani wobec pana i samego siebie – zapewnił go pruski dyplomata.

– W takim razie nie mogę panu odmówić tego, z czego sam mam zaszczyt korzystać i co kiedyś, mam nadzieję, stanie się przywilejem całej ludzkości – oświadczył uroczyście ambasador Rosji.

– Przywilejem i psim obowiązkiem – dopowiedział pan Benoît.

Rosjanin spojrział na niego uważnie, a potem uzupełnił kieliszki i rzekł:

– Ma pan rację, także psim obowiązkiem. Mimo to nie chce go pan chyba wypełniać za darmo?

– Szczerze mówiąc, ekscelencjo, Jej Imperatorskiej Mości Elżbiecie Piotrownie Romanowej i Rosji służyłbym najchętniej, i to z całej duszy, właśnie za darmo. Niestety, nie składamy się tylko z duszy, ale także z ciała, i z czegoś trzeba żyć.

– Ależ my, Rosjanie, doskonale rozumiemy, że z czegoś trzeba żyć – ucieszył się ambasador Wojejkow. – Żyć i pozwolić żyć innym, czyż nie tak?

– Otóż to, ekscelencjo. Żyć i pozwolić żyć innym.

– W takim razie, co by pan powiedział na sto polskich dukatów miesięcznie oraz dziesięć ekstra za każdy potrzebny paszport? Oczywiście pod warunkiem, że dostarczane przez pana informacje będą miały jakieś znaczenie dla politycznych, ekonomicznych i wojskowych interesów mojego kraju.

– Powiedziałbym, że to raczej niewiele – skrzywił się na tę ofertę *chargé d'affaires* pruskiej ambasady.

– I miałyby pan rację, drogi panie Benoît, bo to faktycznie niewiele. Niech pan jednak nie zapomina, że toczymy wojnę, a wojna kosztuje. Na pana miejscu raczej bym nie wybrzydzał, albowiem, jak to się mówi w Rosji, lepsza sikorka w rękę niż żuraw na niebie. Chyba że chce się pan wycofać? Jak tak, to nie ma problemu. Wypijemy jeszcze parę kieliszków, pogawędzimy sobie o kobietach, a potem się rozstaniemy i zapomnimy o tej rozmowie na zawsze. Ma pan moje słowo.

– Nie, nie, ekscelencjo. Z tą sikorką utrafił pan w sedno. Może trochę niezręcznie, ale wyraziłem po prostu żal, że tak wielkie mocarstwo jak Rosja też ma kłopoty finansowe.

– Tylko chwilowe, przyjacielu, tylko chwilowe. Zobacz pan, że jeszcze przyjdą dla nas tłuste lata. To jak, spisujemy umowę?

– Umowę? Czy to naprawdę konieczne? – zawahał się pan Benoît.

– Nawet niezbędne. Zna pan reguły gry: *verba volant, scripta manent*²⁵.

– Znam – zgodził się z ciężkim westchnieniem szef pruskiej placówki w Warszawie.

Wtedy Rosjanin wyjął z biurka kartkę papieru i przybory do pisania, podsunął je swemu gościowi i zadysponował:

– To niech pan pisze: „Ja niżej podpisany, Gédéon Benoît, *chargé d'affaires* Ambasady Królestwa Prus w Warszawie, zbrzydziwszy sobie do szczeru rządu tudzież osobę mojego dotychczasowego Najjaśniejszego Pana, Jego Królewskiej Mości Fryderyka II...”

– Panie ambasadorze – przerwał mu zdenerwowany Prusak – czy to również konieczne? Po co mieszać do tego mojego Najjaśniejszego Pana? Nie można się bez niego obejść?

– Można – przyznał po chwili zastanowienia rosyjski dyplomata. – W takim razie pies go jebał. Pisz pan tak: „Ja niżej podpisany, Gédéon Benoît, *chargé d'affaires* Ambasady Królestwa Prus w Warszawie, oświadczam z własnej i nieprzymuszonej woli, że pragnę ze wszystkich sił przejść na służbę Jej Imperatorskiej Mości Elżbiety Piotrowny Romanowej, z Bożej łaski Najjaśniejszej Cesarzowej i Samowładczyni Wszystkich Rusi, Moskwy, Kijowa, Nowogrodu i Włodzimierza, Carycy Kazania, Astrachania i Syberii, Pani Pskowa, Wielkiej Księżnej Smoleńska...”

– A nie można by napisać po prostu „*et caetera, et caetera*”? – wtrącił znowu pan Benoît.

– Można, ale dopiero teraz – zgodził się ambasador Wojejkow: – „*et caetera, et caetera*”. I dalej: „Ze swej strony zobowiązuję się przekazywać stronie rosyjskiej, poprzez Ambasadora Jej Imperatorskiej Mości w Warszawie, wszelkie posiadane przeze mnie informacje i materiały mogące mieć istotne znaczenie...” – proszę podkreślić słowo „istotne” – „...dla politycznych, ekonomicznych i militarnych interesów Rosji, jak też oddać do jej dyspozycji kierowaną przeze mnie siatkę pruskich agentów w Polsce. Na potrzeby konspiracji przybieram sobie pseudonim...” No właśnie, jaki pseudonim pan sobie przybiera, panie Benoît?

– Czy ja wiem? Może „Brutus”? – zaproponował Prusak.

– „Brutus”? Wątpię, żeby w Rosji to się spodobało. Niech pan wymyśli coś lepszego.

– To może „Gallus”?

– „Gallus”? Może być. „Na potrzeby konspiracji przybieram sobie pseudonim «Gallus». Jednocześnie zobowiązuję się do utrzymania niniejszego kontraktu w najgłębszej tajemnicy oraz akceptuję wysokość mojego miesięcznego uposażenia, które ustala się na poziomie 100 (słownie: stu) polskich dukatów, płatnych z góry na początku każdego miesiąca. Kwota ta może ulec podwyższeniu za porozumieniem stron, zaś wszelkie dodatkowe usługi, jakie mógłbym wyświadczyć Rosji, będą opłacane osobno według uzgodnionych wspólnie stawek”.

– Bardzo dziękuję, panie ambasadorze.

– No to jeszcze miejsce, data, pseudonim, podpis i gotowe.

Kiedy *chargé d'affaires* ambasady pruskiej skończył pisać, Rosjanin przebiegł szybko tekst oczami, stwierdził, że jest on „*absolument magnifique*”²⁶, po czym znowu napełnił kieliszki winem i wzniósł toast za dalszą owocną współpracę.

– Za dalszą owocną współpracę! – podchwycił pan Benoît i stuknął swoim kieliszkiem o kieliszek ambasadora Wojejkowa.

– A teraz, zgodnie z umową, wypłacę panu pierwszą pensję – rzekł zadowolony reprezentant Jej Imperatorskiej Mości i podał swojemu gościowi nową kartkę papieru. – Proszę pokwitować odbiór stu lub stu trzydziestu polskich czerwonych złotych, w zależności od tego, czy te paszporty są na sprzedaż. Przy

okazji raz jeszcze zaznaczam, że od dzisiaj oczekuję od pana wyłącznie świeżych, poważnych i przede wszystkim wiarygodnych informacji.

Kiedy Prusak pokwitował odbiór stu trzydziestu polskich dukatów, ambasador Wojejkow schował oba podpisane przez niego papiery do szuflady biurka, zamknął ją na klucz, a potem wyjął z sekretarzyka jedwabną sakiewkę i położył ją na stole przed panem Benoît.

– Proszę łaskawie przeliczyć.

Pan Benoît zabrał się za liczenie bardzo chętnie, ale w miarę jak zbliżał się do końca tej operacji, jego twarz zaczęła na przemian czerwienieć i blednąć.

– Ekscelencjo, tu jest tylko sześćdziesiąt pięć dukatów! – wykrztusił w końcu drżącym głosem.

– Zgadza się: pięćdziesiąt dukatów pensji i piętnaście za paszporty – potwierdził Rosjanin.

– Na papierze zapisaliśmy coś innego.

– Panie Benoît, papier jest cierpliwy, wszystko zniesie, ale życie to nie literatura. Sam pan powiedział, że trzeba z czegoś żyć i pozwolić żyć innym. Więc teraz niech pan sobie powie, że ten papier to tylko żuraw na niebie, a jedyną sikorką, jaką ma pan w garści, jest te sześćdziesiąt pięć dukatów.

– Nie wiem, czy nie wycofam się z naszej umowy – zagroził naburmuszony *chargé d'affaires* ambasady pruskiej w Warszawie.

– Jak pan sobie życzy – wzruszył ramionami przedstawiciel Rosji. – Tylko proszę wziąć pod uwagę, że *scripta manent*.

„Poczekaj, ty ruski kutasie! Jeszcze ci pokażę!” – zaklął w duchu pan Benoît, lecz głośno nie wyrzekł ani słowa, bo prawdziwy dyplomata pozostaje dyplomata w każdych okolicznościach.

Przez twarz obserwującego go uważnie Rosjanina przemknął ledwie dostrzegalny uśmiech tryumfu.

– Zostały nam jeszcze do omówienia kwestie bezpieczeństwa. Jak pan tu przybył, panie Benoît?

– Piechotą i *incognito* – bąknął pod nosem świeżo pozyskany agent „Gallus”.

– Proszę głośniej, bo nie dosłyszałem.

– Piechotą i *incognito* – powtórzył głośniej pan Benoît.

– To dobrze, ale więcej niech pan tu nie przychodzi. Jakkolwiek by patrzeć, formalnie jesteśmy wrogami. Wszelkie informacje, materiały i korespondencję

dla mnie proszę zostawiać w sklepie z porcelaną na Krakowskim Przedmieściu, na nazwisko Pietraszewski. Tam też każdego trzeciego dnia miesiąca – albo następnego, jeśli trzeci wypadnie akurat w niedzielę lub święto – będzie pan mógł odebrać swoje pieniądze, na nazwisko, powiedzmy, Berghoff. Oczywiście pod warunkiem, że to, co mi pan przekaże, będzie miało jakąś wartość. A tak w ogóle, to proszę zaglądać do tego sklepu jak najczęściej, bo mogę mieć dla pana jakieś zadanie specjalne. W nagłych przypadkach niech pan mi wyśle bilecik podpisany Berghoff i zaproponuje miejsce i godzinę spotkania. W razie czego, ja zrobię to samo jako Pietraszewski. Miejsce naszych *tête-à-tête*²⁷ musi zapewniać maksymalną dyskrecję i nie wolno się tam pojawiać oficjalnym powozem. Zrozumiano?

– Zrozumiano.

– Więc jeszcze jedno. Czy nie ma pan w ambasadzie jakichś niepewnych elementów?

– Niepewnych elementów? Nie, wszyscy pracują bez zarzutu.

– Tylko pogratulować.

– Chociaż nie! – pan Gédéon Benoît ocknął się nagle z przygnębienia, w jakie popadł parę chwil wcześniej, a jego oczy roz błysły nienawiścią. – Owszem, jest jeden podejrzany.

– Kto taki?

– Niejaki Schmidt, aplikant Martin Schmidt, mizerna figura zajmująca się u nas finansami i administracją.

– Dlaczego pan go podejrzewa?

– Bo zawsze wszędzie go pełno, wtrąca się w nie swoje sprawy, grzebie w moich papierach i rachunkach, podsłuchuje pod drzwiami, zjawia się z nienacka, gdzie nikt go nie prosił, jednym słowem – węszy.

– Węszy?! – krzaczaste brwi ambasadora Jej Imperatorskiej Mości stanęły czujnie na baczność. – A jaki jest jego stosunek do Rosjan?

– Przykro mi to powiedzieć, ekscelencjo, ale jak najgorszy. Nazywa was, za przeproszeniem, „dzikusami”, „bandą pijaków i złodziei”, „źle wytresowanymi niedźwiedziami”, „zakałą Europy” i „otwartym wrzodem na dupie świata”. Tego zaś, co mówi o waszej Najjaśniejszej Pani, nawet nie ośmielę się powtórzyć.

– To niech pan tego nie powtarza, tylko w try miga odeśle gnoja do Berlina! Albo jeszcze lepiej na front! – rozzłościł się ambasador Wojejkow.

– Już próbowałem, ale to niemożliwe, ekscelencjo. Musi mieć w Berlinie nie lada plecy. Proszę mi wierzyć, że gdyby to zależało ode mnie, już dawno wysłałbym drania do Maroka albo jeszcze dalej, bo do Chin, którymi się ponoć pasjonuje. Niestety nie leży to w mojej kompetencji, nie mówiąc już o tym, że nie mamy tam placówek.

– My też nie – Rosjanin potarł w zamyśleniu czoło. – Ale skoro tak go interesują Chiny, możemy mu załatwić pobyt w Kiachcie.

– Gdzie?

– W Kiachcie. To fort i osada handlowa w Buriacji. Chiny widać stamtąd jak na dłoni, bo leżą po drugiej stronie rzeki, więc będzie miał okazję rozwinąć swoją pasję. Co pan na to, „Gallusie”?

– Myślę, że mu się spodoba.

– W takim razie wypijmy jeszcze strzeziennego i bądźmy w ścisłym kontakcie – zakończył spotkanie reprezentant Rosji.

Kilka dni później tuż obok pana Martina Schmidta śpieszącego ulicą Senatorską na intymną schadzke z poznaną niedawno polską dziewczynką, zatrzymała się ze zgrzytem kół czarna karetka z zasłoniętymi oknami. Zanim stażysta pruskiego poselstwa w Warszawie zdążył cokolwiek powiedzieć, z wehikułu wyskoczyło dwóch zamaskowanych osiłków w czarnych pelerynach, po czym jeden z nich przystawił mu do piersi pistolet i zapytał z dziwnie miękkim akcentem:

– *Herr Martin Schmidt aus der Preussischen Botschaft in Warschau?*²⁸.

– *Ja* – potwierdził osłupiały aplikant Schmidt.

To krótkie, zaledwie jednosylabowe „*Ja*” wystarczyło w zupełności, żeby obaj mężczyźni w czarnych pelerynach brutalnie wykręcili mu do tyłu ręce i wrzucili go niczym worek zboża do wnętrza pojazdu, który ruszył natychmiast z kopyta w stronę ulicy Miodowej, gdzie zniknął za rogiem i oddalił się w nieznanym kierunku.

Po trwających ponad tydzień bezowocnych poszukiwaniach *chargé d'affaires* ambasady pruskiej w Warszawie nie miał innego wyjścia, jak zameldować berlińskiej centrali, że aplikant Martin Schmidt zdezerterował z placówki, najprawdopodobniej popełniając przy tym zbrodnię zdrady stanu, którą – jak można było dostrzec teraz – zdawały się już zapowiadać jego wcześniejsze nader dziwne zachowania i różne dwuznaczne wypowiedzi.

■

Nazajutrz po wizycie u Jakuba Franka pan Korytkowski pożegnał się z trzema Prusakami, przy czym najserdeczniej z rotmistrzem von Zypke.

– Jak już pan wyszkoli tych swoich Machabeuszy – rzekł, całując go z dubeltówki przy rozstaniu – zapraszam do siebie, do Korycina pod Nowogródkiem. Pozna pan moją żonę, synów, sąsiadów, odpocznie, podje, napije się w zacnej kompanii węgryzna i gdańskiej wódki, wybierzemy się razem na polowanie lub na ryby, a w razie czego, jakby pan chciał się ustatkować, znajdę panu jakąś chętną do zamęścia pannę albo wdowę. Będzie panu u mnie jak u Pana Boga za piecem.

– Z miłą chęcią, choć nie wiem, czy to będzie możliwe – odparł czarny huzar, ściskając mu mocno dłoń. – Na wszelki wypadek proszę jednak o dokładny adres.

– To niepotrzebne. Niech pan pyta o kapitana Korytkowskiego. W całym Nowogródzkiem i w ogóle na Litwie każdy wskaże panu drogę. A jeśli nie da pan rady do mnie przyjechać, ja wybiorę się do pana, kiedy znudzą mi się domowe pielesze i znowu pociągnie mnie w świat.

– To świetnie, tylko nie wiadomo, gdzie wtedy będziemy.

– Jakoś was znajdę. Bo jeśli Korytkowskiego zna dzisiaj pół Polski, to o pańskich Żydach będzie wkrótce głośno na całym świecie.

Tego samego dnia odjechali także bracia Johann i Olaf, którzy postanowili wracać do Halle przez Kraków i Śląsk. Rotmistrz von Zypke pożegnał się jedynie z tym pierwszym, któremu wręczył przy rozstaniu niewielki pakunek.

– Co to jest? – zapytał szef misji.

– Prezent dla Klause. Koń z piernika, na innego mnie nie stać. Proszę pozdrowić ode mnie małego i życzyć mu, żeby został kiedyś tęgim huzarem. Proszę także przekazać ukłony doktorowi Callenbergowi i powiedzieć mu, że wypełniłem misję, której się podjąłem, ale nie będę jej kontynuować, bo chyba się do tego nie nadaję.

– To akurat mogę mu nawet potwierdzić przysięgą – odpowiedział nieco zgryźliwie brat Johann. – Powodzenia, panie rotmistrzu.

– Powodzenia.

Po wyjeździe obu braci czarny huzar zorganizował natychmiast nad Pełtwią zbiórkę swoich „Machabeuszy”. W pierwszym momencie, gdy przyjrzał się

z bliska ich zabiedzonym twarzom, wypuczonym brzuchom, zapadniętym piersiom, przygarbionym plecóm i zmierzwionym brodom, ich brudnym i wielokrotnie łatanym chałatom, a w przypadku kilku bosonogich członków gwardii także ich czarnym jak sadza stopom, niemytym chyba od czasu wymarszu z Iwania, wydał z siebie parę ciężkich westchnień, lecz absolutnie nie zamierzał się poddawać.

Na początek zapytał, kto zna niemiecki, a kiedy jako jedyny zgłosił się niejaki Jakub Mniejszy, mianował go od razu swoim adiutantem, przedstawił się za jego pośrednictwem reszcie piechurów i zwołanym na tę okazję jeźdźcom, zapowiedział, że zrobi z nich najlepszą formację w Polsce, po czym – gdy przebrzmiały już ostatnie śmiechy wywołane tą szumną deklaracją – wziął się systematycznie za przekuwanie słowa w czyn.

Dwa pierwsze rozkazy nowego komendanta miały charakter czysto porządkowy. Pierwszy, dotyczący obowiązkowej kąpieli w Pełtwi przed każdymi ćwiczeniami i po nich oraz przymusowego prania „mundurów” raz na dwa tygodnie lub po każdym większym zabrudzeniu, został wprowadzie przyjęty bez entuzjazmu, lecz żaden z podwładnych nie odważył się go skrytykować. Natomiast drugi, polecający „kadetom” zgolenie bród i obcięcie pejsów, o mało nie wywołał ich buntu i został szybko uchylony przez Jakuba Franka.

Po tej nauczce rotmistrz von Zypke skupił się wyłącznie na kwestiach ściśle wojskowych. W pierwszej kolejności kazał swoim podkomendnym wciągać brzuch, prężyć pierś, prostować tułów i plecy, trzymać ramiona na równej wysokości i zwracać uwagę na płynność wszystkich wykonywanych czynności. Potem nauczył ich przyjmowania postawy zasadniczej (*Stillgestanden!*) – z prawidłowym utrzymywaniem ciężaru ciała na obu stopach ustawionych pod odpowiednim kątem, obowiązkowym łączeniem pięt, poprawnym ułożeniem dłoni i bezwzględnym zakazem rozmów, śmiechów, gwizdania, spluwania, bekania, smarkania, pierdzenia, dłubania w nosie, drapania się oraz wszelkich innych zbędnych ruchów i odgłosów – jak też postawy swobodnej (*Ruhrt euch!*), z należytym przerzucaniem ciężaru ciała na prawą nogę przy jednoczesnym wysuwaniu lewej dokładnie o pół stopy do przodu.

Kiedy obie postawy zostały jako tako opanowane, czarny huzar przeszedł do ćwiczenia trzech istniejących na tym świecie rodzajów marszu: równego (*Gleichschritt Marsch!*), dowolnego (*Ohneschritt Marsch!*) i paradnego (*Stechschritt Marsch!*), zwracając szczególną uwagę na obowiązek zaczynania

każdego z nich zawsze od lewej nogi, utrzymywania jednej miary oraz stałego rytmu i szybkości kroku, a także na równanie oraz krycie w rzędzie (*Durchdecken!*) i konieczność zachowania ogólnej sprężystości całej sylwetki, co każdemu posiadającemu wprawne oko pozwala natychmiast odróżnić wojaka od cywila.

Następnym etapem szkolenia było właściwe zatrzymywanie się na komendę „*Halt!*”, polegające na szybkim przystawieniu pozostającej w tyle nogi do tej, która wykonała ostatni wykrok, nauka biegania równym krokiem i tempem (*Laufschritt Marsch!*), podczas której kadeci musieli utrzymywać między sobą stałą odległość, większą o jedną piątą od łokcia berlińskiego (obowiązującą także w trzech istniejących rodzajach marszu), a wreszcie pełna gama zwrotów: zwrot w prawo (*Rechts-um!*), koniecznie na obcasie prawego buta i czubku lewego (lub na pięcie prawej stopy i palcach lewej, w przypadku tych, którzy butów nie posiadali); zwrot w lewo (*Links-um!*), na obcasie lewego buta i czubku prawego (odpowiednio: pięta lewej stopy i palce prawej u bosonogich) oraz zwrot do tyłu (*Khert-um!*), który wykonuje się wyłącznie przez lewe ramię.

Po zwrotach przyszła kolej na zbiórkę w szeregu i dwuszeregu z halabardą u nogi (*Antreten!*), odliczanie z przejściem od postawy zasadniczej do swobodnej po podaniu swojej liczby (*Abzahlen!*), regulaminowe rozchodzenie się po zbiórce (*Weggetreten!*) oraz formowanie kolumny dwójkowej z szeregu (*Zu Doppelreihe rechts-um!*) z precyzyjnym wykorzystaniem obcasa prawego buta i czubka lewego lub – w przypadku „kadetów” niemających obuwia – pięty prawej nogi i palców lewej.

Jeśli chodzi o jeźdźców, uzupełnieniem tej podstawowej wiedzy był jeszcze wykład na temat zasad postępowania z koniem i jego obrządzania, wielogodzinne ćwiczenia z prawidłowego dosiada, ruszania i zatrzymywania się na komendę, praktyka poruszania się stępą i kłusem (pojedynczo i dwójkami), jak też powtarzane do znudzenia zmiany szyku kawaleryjskiego tudzież rozmaite wolty podczas jazdy.

Oczywiście rotmistrz von Zypke pamiętał także o ćwiczeniach z bronią, tak białą, jak palną, ale póki jego oddział dysponował tylko drewnianymi halabardami i zwykłymi kijami, odkładał tę rzecz na później, do czasu, gdy uda się go odpowiednio uzbroić i umundurować.

Oprócz rozkazu w sprawie bród i pejsów, Mistrz był bardzo zadowolony z pracy czarnego huzara i postępów swoich ludzi, czemu dawał głośno wyraz,

kiedy parokrotnie zaszczylił swoją obecnością plac manewrowy. Potem jednak przestał przychodzić, ponieważ w obozie wybuchła zaraza i miał odtąd na głowie większe zmartwienia.

W opinii lwowskich lekarzy winne tajemniczej chorobie, na którą w krótkim czasie zmarło kilkunastu frankistów, w tym również ślepy Nussen, opłakany przez Świętego Pana rzewnymi łzami, były panujące w obozie nad Pełtwią brud i ciasnota. Zdaniem ortodoksyjnych Żydów przyczyną zarazy było wyłącznie odstępstwo od religii mojżeszowej, którego dopuścili się kontrtalmudyści. Sam Jakub Frank głośno się w tej sprawie nie wypowiadał, choć po cichu twierdził, że chorobę wywołały z pewnością jakieś diabelskie sztuczki rabinów. W tych ciężkich dniach spędzał z chorymi każdą wolną chwilę, leczył ich jak umiał, kładąc im rękę na głowie i pocierając wielkim palcem czoło, odmawiał za nich modlitwy, a wreszcie pouczał ich, że zły, chociaż żyje, już jest umarły, a sprawiedliwy, chociaż umiera, to będzie żył na wieki.

Kiedy jednak chorzy, pocieszeni tym lub nie, marli dalej jak muchy, postanowił w porozumieniu z biskupem Głowińskim przyspieszyć planowane chrzty, by ocalić jak najwięcej nieśmiertelnych dusz.

Od tej pory, choć zaraza zaczęła powoli ustępować, chrzczono frankistów codziennie mniejszymi lub większymi partiami, zaś o przywilej bycia ich rodzicami chrzestnymi rozgorzała wśród publiczności prawdziwa walka. Zabiegali o ten zaszczyt książęta i księżniczki, hrabiowie i hrabiny, wojewodowie i wojewodziny, kasztelanowie i kasztelanowe, starostowie i starościny, a także biskupi i kanoniczki różnych żeńskich zgromadzeń nie tylko z Rusi i Podola, ale także z innych, najodleglejszych nawet zakątków Polski, lecz biskup Samuel Głowiński i Jakub Frank przyznawali go tylko tym szczęśliwcom, którzy dawali najlepsze gwarancje, że nie zapomną o swoich chrześniakach już nazajutrz po ceremonii chrztu.

W tej sytuacji wielu rodziców chrzestnych oferowało swoim podopiecznym pokaźne zasiłki pieniężne bądź cenne upominki, inni proponowali im pracę lub rozmaite ułatwienia w prowadzeniu handlu w swoich dobrach, jeszcze inni brali na siebie koszt wykształcenia ich samych albo ich potomstwa, niektórzy fundowali posagi niezamożnym pannom, byli wreszcie i tacy, którzy przyjmowali chrześniaków do herbu i pozwalali im używać swojego nazwiska.

Hojność rodziców chrzestnych uzupełniały jeszcze władze miasta Lwowa prowadzące na potrzeby najbiedniejszych katechumenów i świeżo ochrzczonych

neofitów zbiórkę datków pieniężnych i darów rzeczowych.

Dnia 17 września 1759 roku w asystencji rodziców chrzestnych, pisarza polnego koronnego Franciszka Rzewuskiego i margrabiny saskiej Anny Brühlowej, biskup Głowiński ochrzcił także samego Jakuba Franka, który przybrał sobie przy tej okazji imię Józef i nazwisko Dobrucki, rzadko później używane. Był to wprawdzie tylko chrzest z wody, bo pełnego sakramentu udzielić miano Świętemu Panu dopiero w Warszawie, w zamierzeniu biskupa sufragana lwowskiego i przywódcy kontrtalmudystów akt ten miał jednak zachęcić do uczynienia podobnego kroku wielu niezdecydowanych jeszcze katechumenów, jak też rozwiać wątpliwości tych spośród nich, którzy podczas zarazy ulegli w jakimś stopniu złośliwym podszeptom ortodoksyjnych Żydów.

Wkrótce potem, po ustaleniu z biskupem Głowińskim harmonogramu dalszych chrztów we Lwowie, Jakub Józef Frank po raz pierwszy od dłuższego czasu zjawiał się na placu manewrowym nad Pełtwią, gdzie rotmistrz von Zypke objaśniał właśnie swoim „Machabeuszom” zasady salutowania starszym stopniem, sztandarom wojennym i flagom państwowym (*Ehrenbezeugungen*). „Kadeci”, którzy dzięki ostrej zaprawie fizycznej i częstemu myciu przeszli przez okres zarazy bez żadnych strat w ludziach, wykorzystali natychmiast świeżo zdobytą wiedzę i działając precyzyjnie niczym mechanizm zegarka, oddali Mistrzowi najwyższe honory wojskowe.

Wzruszony Święty Pan podziękował im za to z całego serca, po czym kazał zakończyć ćwiczenia i oznajmił gwardzistom, że nazajutrz ruszają wraz z nim do Warszawy, gdzie w kościele św. Krzyża wszyscy zostaną ochrzczeni.

¹ Ofiarowany (hebr.).

² Duchowo (hebr.).

³ Pustynia (hebr.).

⁴ Arka Przymierza (hebr.).

⁵ Rdz 25-33.

⁶ Syn Dawida (hebr.).

⁷ Wieprzowina (hebr.).

⁸ Filakterie (hebr.).

⁹ Nowy Testament (hebr.).

¹⁰ Wiara (hebr.).

¹¹ Większość argumentów użytych w dyskusji z kupcem bławatnym za: *W poszukiwaniu żydowskich kryptochrześcijan. Dzienniki ewangelickich misjonarzy z ich wędrówek po*

Rzeczypospolitej w latach 1730-1747, tłumaczenie, opracowanie i wstęp Jan Doktor, Warszawa 1999, s. 151-153 i 162-163.

¹² Tamże, s. 108.

¹³ Kracherowa, *Partyzant moralności*, s. 216.

¹⁴ Bez hańbienia szlachectwa (łac.).

¹⁵ Rz 1, 17.

¹⁶ *Jezus Chrystus urodził się Żydem* (1523).

¹⁷ Za: François De Fontette, *Historia antysemityzmu*, tłum. Maria i Mieczysław Mendychowscy, Warszawa 1992, s. 63.

¹⁸ *Przeciwko Żydom i ich kłamstwom* (1542).

¹⁹ Za: *Historia antysemityzmu*, s. 65: „Jest równie łatwo nawrócić Żyda, jak nawrócić Diabła. Bowiem Żyd, serce żydowskie są twarde jak kij, jak kamień, jak żelazo, jak sam diabeł. Krótko mówiąc, są to dzieci diabła, skazane na ogień piekielny (...). Przeklęty goj, jakim jestem, nie jest w stanie zrozumieć, jak oni to robią, że są tak zręczni, chyba że pomyślę, że wtedy, gdy Iskariota powiesił się, jego kiszki rozerwały się i opróżniły i Żydzi być może przysłali swoje sługi ze swymi naczyniami i złotymi konwiami, aby nabrać moczu Judasza z innymi skarbami, a potem zjedli i wypili gówno i mają dzięki temu tak przenikliwe oczy, że dostrzegają w Pismach wstawki, których nie znaleźli ani Mateusz, ani sam Izajasz, nie mówiąc o nas, przeklętych gojach”.

²⁰ Rdz 12, 2-3.

²¹ „Siostra bez braci jest jak statek bez steru” (niem.).

²² Bardzo ładna (niem.).

²³ *Hochdeutsch* – niemiecki język literacki; *Plattdeutsch* – odmiana regionalna, którą posługiwano się m.in. w Prusach.

²⁴ Bardzo dziękuję, panie ambasadorze. Jest pan bardzo uprzejmy (franc.).

²⁵ Słowa ulatują, pisma zostają (łac.).

²⁶ Absolutnie wspomniały (franc.).

²⁷ Sam na sam (franc.).

²⁸ Pan Martin Schmidt z ambasady pruskiej w Warszawie? (niem.).

Rozdział 6

WARSZAWA

Podróż ze Lwowa do Warszawy zajęła Świętemu Panu i jego ludziom prawie miesiąc. Goszczeni i fetowani po drodze po królewsku przez polskich arystokratów, szlachtę i księży, jak też obrzucani kamieniami, błotem i przekleństwami przez miejscowych Żydów, dotarli do prawobrzeżnego przedmieścia stolicy pod koniec października i przygotowując się do uroczystego wjazdu do miasta, rozłożyli się tam obozem. W czasie gdy gwardziści prali i cerowali swoje chałaty, naprawiali i czyścili buty, doprowadzali do porządku konie i pucowali do połysku Pańską karete, Jakub Frank w towarzystwie Eliszy udał się *incognito* na drugą stronę rzeki, by dopiąć ostatnie szczegóły pierwszego chrztu, przewidzianego w kościele św. Krzyża na dzień 1 listopada.

Kiedy w dniu Wszystkich Świętych, czyści i odświeżeni, frankiści przeprawili się przez Wisłę, na jej lewym brzegu powitały ich nie tylko delegacje dworu królewskiego oraz władz duchownych i miejskich, ale także tłum ciekawskich, bicie w dzwony i pięć salw armatnich oddanych na wiwat z pobliskiego zamku.

– Ale feta! – stwierdził z podziwem rotmistrz von Zypke, kiedy przebrzmiał ostatni wystrzał i zadowolony, przekrzywił na bakier myckę, którą pożyczył na tę okazję razem z chałatem od jednego ze swoich kawalerzystów, aby podczas przemarszu przez miasto nie rozpoznano w nim zbiega z aresztu polskiej gwardii pieszej koronnej.

Po salwach armatnich nastąpiły oficjalne przemówienia przedstawicieli dworu i Kościoła, rajcy miejscy powitali przybyszów chlebem i solą, kilku księży i zakonników skropiło ich wodą święconą i wreszcie, na znak dany przez

najwyższego rangą reprezentanta duchowieństwa, cały orszak z dostojnymi gospodarzami na czele ruszył w kierunku Krakowskiego Przedmieścia.

Czarny huzar, jadący na kupionym mu przez Mistrza koniu, wyrównał krok swojej kompanii za pomocą trzykrotnie powtórzonej komendy „*Links!*”¹, a potem przyglądał się z satysfakcją, jak jego ludzie, wyprostowani niczym świece, z dumnie wypiętą piersią, wymachując miarowo wolnymi rękami, jakby to były wiosła zgranej od lat załogi galery, kroczą pod górę równym krokiem, bez cienia zmęczenia czy zadyszki, i tupią przy tym tak mocno, że aż wzbijają kłęby kurzu.

Przechodnie na warszawskich ulicach przystawali na ich widok, pokazywali ich sobie palcami, pytali, kim są, pozdrawiali ich po polsku i po żydowsku, machali do nich rękami, błogosławili ich znakiem krzyża, choć zdarzało się również, że śmiali się z nich do rozpuku bądź obrzucali ich stekiem przekleństw i obelg. Niekiedy pozytywne i negatywne reakcje niemal się równoważyły, jak choćby wtedy, gdy grupka szlachciców w białych żupanach i zielonych kontuszach z czarnymi wyłogami zaczęła wykrzykiwać: „*Wiwat Podole!*”, na co z tłumu odpowiedział im jakiś szyderczy głos, śpiewając na melodię popularnych przyśpiewek kawaleryjskich:

*Każdy z kuśką jak topola,
to huzary są z Podola.*

Zdumiony burzą braw i śmiechów, jaka wybuchła na Krakowskim po tym kupiecie, rotmistrz von Zypke wychylił się z siodła w stronę swego adiutanta i zapytał:

– O co chodzi?

A kiedy czerwony z oburzenia Jakub Mniejszy przetłumaczył mu słowa przyśpiewki, czarny huzar odparł z uśmiechem:

– Dobrze!

– Jak to dobre, panie komendancie?! – zdumiał się jego adiutant.

– Nazwano was huzarami, a to największy komplement.

– A te sprośności?

– Są normalne, huzarzy to lubią. Zwłaszcza kiedy idą w bój.

– Naprawdę? – Jakub Mniejszy nieco się rozchmurzył.

– Naprawdę. Na przykład my pod Zorndorf śpiewaliśmy tak:

*Kiedy czarny huzar
zobaczy Moskala,
od razu go szabłą*

ostro na...

...No, powiedzmy, że go ostro napastuje – rotmistrz von Zypke ugryzł się w język, przypomniawszy sobie w samą porę, że jeszcze nie tak dawno chciał się poświęcić sprawom wyższym.

– Czyli, że i my moglibyśmy mieć naszą pieśń bojową? – Jakub Mniejszy zamyślił się.

– Owszem, tylko trzeba by ułożyć jeszcze ze dwie zwrotki.

– A jak brzmiały kolejne pod Zorndorf?

Czarny huzar pokręcił głową:

– Lepiej nie. W każdym razie nie teraz.

Jego adiutant zaśmiał się, a po chwili oznajmił:

– No to jedną już mam:

*Pejsy, mycki i chałaty,
to podolskie dzielne chwaty.*

– Niezłe. Ale te chałaty trzeba będzie zamienić na mundury, jak się ich kiedyś dorobimy – wstępnie zaakceptował jego pomysł rotmistrz von Zypke.

– Jak się ich dorobimy, to zaśpiewamy tak – odpowiedział natychmiast rozochocony Jakub Mniejszy:

*Pejsy, mycki i mundury
wrogów tną, aż lecą wióry.*

– Dobrze, jeszcze to przemyślimy – uciął dalszą rozmowę czarny huzar, ponieważ dojeżdżali już pod kościół św. Krzyża, gdzie w otoczeniu mnóstwa gapiów czekał na nich jego proboszcz Piotr Hiacynt Śliwicki.

Rotmistrz von Zypke kazał oddziałowi zatrzymać się, jeźdźcom zejść z koni i przywiązać je do przeznaczonych do tego celu belek, następnie zarządził zbiórkę wszystkich gwardzistów, a kiedy skończyły się oficjalne powitania, wydał gromko komendę:

– *Leib-Husaren-Regiment, zu Kirche in Gleichschritt Marsch!*².

Potem zaś, widząc w jak idealnym tempie i porządku jego podwładni wykonują ten rozkaz, zawołał rozpromieniony po polsku:

– Napschut, polskie Pierdoly, nie bać się! Nie htzetzie hiba schyć wieetschnie, Saßrantzy?

Odpowiedziała mu salwa śmiechu licznie zgromadzonej publiczności, zaś przy wejściu do świątyni Jakub Frank, który specjalnie na niego zaczekał, złapał go za ramię i wycedził przez zęby:

– Czy pan oszalał, panie rotmistrzu?! Moi ludzie właśnie po to się chrzczą, żeby żyć wiecznie!

Następnie pogroził mu palcem i zaczął przeciskać się do przodu, żeby zająć honorowe miejsce w pierwszej ławce, gdzie czekało już znakomite grono rodziców chrzestnych z najwyższych sfer stolicy i całego kraju.

– Co go ugryzło? Co ja takiego powiedziałem? – zapytał swego adiutanta zbity z tropu czarny huzar, kiedy obaj zasiedli w jednym z dalszych rzędów.

A kiedy Jakub Mniejszy przełożył mu na niemiecki jego własne słowa, ciszę, która zapadła w świątyni po rozpoczęciu mszy, rozdarł potężny okrzyk „*Scheiße!*”.

Dalej wszystko poszło jak z płatka. Po tej i kolejnych mszach w kościele św. Krzyża wszyscy frankiści, którzy przybyli ze Świętym Panem do Warszawy, ochrzcili się, zyskując sobie przy okazji tak możliwych i wpływowych rodziców chrzestnych, jak hrabina Amalia Mniszchowa z Brühlów, marszałek wielki koronny Franciszek Bieliński, biskup krakowski Adam Kajetan Sołtyk, biskup kujawski Antoni z Dębowej Góry Dembowski, księżna Joanna Lubomirska, hrabina Ludwika Maria Zamoyska, starościna płocka Ewa Dębowska czy marszałek nadworny koronny Jerzy August Mniszech.

Ponieważ chrzest samego Świętego Pana wyznaczono na 18 listopada, Mistrz wykorzystał czas, jaki pozostał mu do tego wielkiego dnia, na składanie wizyt rodzicom chrzestnym swoich ludzi, królewskim urzędnikom, a nawet nuncjuszowi papieskiemu w Warszawie. Wszystkich prosił o to samo: żeby poparli przed królem jego petycję w sprawie przyznania neofitom żydowskiego pochodzenia jakiegoś skrawka Rzeczypospolitej – najlepiej na Podolu, gdzie w okolicach Brzeżań, Glinian lub Podhajec – gdzie świeżo nawróceni na chrześcijaństwo Żydzi mogliby żyć razem w spokoju z pracy własnych rąk, wolni zarówno od szykan rabinów i dawnych współwyznawców, jak i od niechęci bądź ewentualnych złośliwości starych chrześcijan. Większość rozmówców obiecała mu swoją pomoc.

Pośród tych wszystkich wizyt i rozjazdów Święty Pan nie zapomniał także o czarnym huzarze, którego wezwał któregoś dnia do siebie i poprosił stanowczo, aby nie używał więcej publicznie języka, którego nie rozumie. Po czym, widząc zawstydzenie Prusaka, dodał mniej oficjalnie:

– A najlepiej niech pan zacznie uczyć niemieckiego moją córkę, kiedy tu przyjedzie. Ona w zamian podciągnie pana w polskim.

– Tak jest! – czarny huzar zgodził się, nie mając innego wyjścia.

Tymczasem, ponieważ Awaczunia wciąż przebywała we Lwowie, rotmistrz von Zypke zajął się jeszcze intensywniej ćwiczeniem swoich gwardzistów. Musztrował ich od rana do wieczora, coraz bardziej zadowolony z ich umiejętności, a nawet z ich wyglądu, jako że wielu członków gwardii przywdziało teraz kontusze i przypięło sobie do boku prawdziwe szable podarowane im przez rodziców chrzestnych, nie mówiąc już o tym, że wszyscy bez wyjątku, tym razem na prośbę Jakuba Franka, ostrzygli się po chrzcie na krótko i zgolili brody, co przydało im z miejsca bardziej marsowej prezencji.

W dniu chrztu Pańskiego cała świetnie prezentująca się gwardia, oklaskiwana po drodze przez wielu przechodniów, odprowadziła Mistrza do Pałacu Saskiego, gdzie wpuszczono jednak tylko Jakuba Franka oraz mających się ochrzcić razem z nim Nachmana i Eliszę.

Z ust witającego go uroczyście marszałka dworu Jerzego Augusta Mniszcha przywódca kontralmudystów dowiedział się, że z powodu ważnych obowiązków państwowych jego ojciec chrzestny król August III nie będzie mógł uczestniczyć osobiście w ceremonii, podczas której zastąpi go – tylko fizycznie, lecz nie urzędowo – jego rękodajny starosta Bratkowski.

Sprawiło to Świętemu Panu sporą przykrość, lecz humor poprawił mu się natychmiast, kiedy po wkroczeniu do kaplicy królewskiej ujrzał przed sobą jedwabie, tiule i koronki dam, zdobiące je perły, brylanty i złoto, barwne kontusze i wykrochmalone gorsy panów, ich ordery, akselbanty, słuckie pasy i peruki, nie mówiąc już o obrazach w złoconych ramach i wzburzonym morzu ogni świec zmienionym w prawdziwy ocean za sprawą kryształowych luster.

Jeszcze większą przyjemność sprawiły mu wyciągnięte w jego kierunku ręce jego matki chrzestnej hrabiny Brühlowej, żony najpotężniejszego człowieka w Polsce, który jednym słowem potrafił obalać największych mocarzy i wynosić na przepastne wyżyny nieznanych wcześniej nikomu maluczkich.

Toteż gdy z galerii dla muzyków huknęło na jego cześć potężne *Te Deum laudamus* w wykonaniu zbiegłych z Saksonii śpiewaków, brzmiące tak cudownie, jakby witano w ten sposób nie jego, Jakuba Franka z Korolówki, tylko samego Mesjasza, Króla królów, którego rychłe przyjście zwiastował na Podolu, Mistrz poczuł się szczęśliwy.

Ogarniające go poczucie euforii minęło jednak ponownie, i to jak ręką odjął, kiedy podczas aktu chrztu sprawującemu ten sakrament biskupowi kijowskiemu

Józefowi Andrzejowi Załuskiemu spadła z głowy biskupia mitra. Święty Pan dojrzał w tym zły omen, a co gorsza, gdy rozejrzał się ukradkiem dokoła, odniósł wrażenie, że zgromadzona w kaplicy dostojna publiczność odebrała ów znak tak samo.

■

Jego Królewska Mość August III nie wziął udziału w chrzcie Jakuba Franka bynajmniej nie dlatego, że miał akurat do spełnienia jakiejś szczególnie ważne obowiązki państwowe, ale z tej przyczyny, że parę dni wcześniej znów przyśnił mu się tur. Był to sen o tyle istotny, że tury śniły mu się ostatnio rzadko, choć towarzyszyły mu wiernie przez całe życie, a ściślej rzecz biorąc od pół wieku, gdy jako dwunastolatek, na pierwszym w swoim życiu polowaniu, położył jednym strzałem szarżującego w jego kierunku odyńca. Ojciec, niezmiernie z niego dumny, pogratulował mu wtedy zimnej krwi i celnego oka i w obecności innych utytułowanych myśliwych wyraził przekonanie, że w przyszłości, kiedy dorośnie, ustrzeli równie śmiało nawet tura. A kiedy mały Fryderyk August zapytał go, co to jest tur, ojciec wyjaśnił mu, że to najdziksze, najsilniejsze, najszlachetniejsze i w ogóle najwspanialsze zwierzę Europy, uchodzące co prawda za wymarłe, ale z całą pewnością żyjące jeszcze w jakimś trudno dostępnym mateczniku którejś z licznych i rozległych puszczy Polski, kraju, gdzie miał honor panować.

W ten oto sposób tury wkroczyły w życie przyszłego Augusta III, by już nigdy go nie opuścić. W dzieciństwie nawiedzały go we śnie przed każdym wyjazdem na łowy, które szybko stały się największą pasją następcy tronu Saksonii, na równi z teatrem, malarstwem, muzyką i włoską operą. W jego snach wyglądały dokładnie tak, jak powinny, zgodnie z zakurzonymi rycinami i opisami zawartymi w starych kronikach, które młody Fryderyk August kazał sobie wyszukać w przepastnej bibliotece pałacu elektorskiego w Dreźnie.

Nieco mniejsze od żubra i podobne z sylwetki do hiszpańskich *toros bravos* używanych za Pirenejami do korridy, sprawiały wrażenie nieokiełznanej dzikości i niedającej się poskromić siły. Czarne jak węgiel byki były o wiele wyższe w kłębie i znacznie cięższe od rdzawobrunatnych samic, które niekiedy ze sobą przyprowadzały, przy czym obie płcie miały nieco jaśniejszą maskę obejmującą przednią płaszczyznę pyska do śluzawicy, podbródek, okolice wokół oczu,

wewnętrzna stronę nóg, podbrzusze i pośladki, jak też charakteryzowały się porośniętą dłuższym włosem rdzawo-rudą plamą między rogami, przechodzącą następnie w jaskrawszą pręgę tej samej maści, przebiegającą dalej wzdłuż szyi, karku i grzbietu i dochodzącą niemal do końca zadu. Zarówno byki, jak i krowy posiadały takie same imponujące rogi, ukształtowane w charakterystyczny i jedyny w swoim rodzaju sposób: rosły one mianowicie na boki i do góry, a następnie wyginały się do przodu, biegnąc na pewnym odcinku równolegle, po czym zakręcały do środka ku sobie, by skierować się później ku górze jak pióra niektórych szabel. Rogi krowy były nieco delikatniejsze od rogów byka, ale nie ustępowały im pod względem długości, wynoszącej w obu przypadkach około jednego łokcia wiedeńskiego. Ich ciemne, prawie czarne groty, kontrastujące z resztą poroża podobnego z barwy i połysku do kości słoniowej, były też jak szabla ostre i nawet we śnie lepiej było trzymać się od nich z daleka.

Kiedy zbliżał się dzień polowania, tury przychodziły do Fryderyka Augusta pojedynczo lub małymi stadami, paradowały przed nim prowokacyjnie w tę i z powrotem, szczypały leniwie trawę, obgryzały pędy młodych drzew i krzewów, pokładały się na boku i przeżuwały bez pośpiechu świeżo spożyty pokarm, a czasami oddawały na jego oczach cuchnący mocz bądź pstrzyły leśną polanę jeszcze bardziej śmierdzącymi plackami ekskrementów, nigdy jednak nie przejmowały się młodym myśliwym ostrożnie skradającym się ku nim pod wiatr, ze sztucerem w ręku. A kiedy saski następca tronu zrywał się na równe nogi i strzelał do nich raz za razem, póki nie skończyła mu się amunicja, po prostu opędzały się od kul ogonami, po czym spokojnie wracały do poprzednich zajęć.

Szczególnie duże stado tych zwierząt nawiedziło piętnastoletniego Fryderyka Augusta tuż przed jego pierwszą podróżą do Polski, dokąd wiosną 1711 roku wybrał się wraz z ojcem na spotkanie z carem Piotrem I. Program pobytu w Polsce był bardzo napięty i nie wystarczyło w nim miejsca na polowanie, mimo to młody książę wykorzystywał każdą okazję, by wypytywać polskich panów o możliwość spotkania w miejscowych lasach żywych turów, na co ci, odpowiednio poinstruowani przez Augusta II, odpowiadali mu zgodnie, że to całkiem prawdopodobne, że jakby dobrze poszukać, to kto wie, że jak nie w Koronie, to może na Litwie, i że w ogóle to ho, ho, ho, nic tylko na koń wsiadać i ruszać na łowy.

Nie wiadomo, na ile te stwarzające nadzieję odpowiedzi przyczyniły się do tego, że półtora roku później saski następca tronu uległ naciskom ojca i porzucił

luteranizm, choć był do niego bardzo przywiązany, przechodząc na katolicyzm, bez którego nie mógł nawet myśleć o wyborze na króla Polski. Tak czy inaczej, nie rozstał się ze swymi krętorogimi ulubieńcami także podczas zaczętej zaraz po wizycie w Polsce i mającej trwać aż osiem lat wielkiej podróży edukacyjnej po Europie, prowadzącej przez Czechy, rozmaite państwa niemieckie, Włochy, Szwajcarię, Francję i Austrię. Choć podróżował *incognito* jako hrabia Łużyc, wszędzie podejmowano go i fetowano po królewsku, a gdzie się tylko dało, organizowano dla niego także polowania, podczas których zamęczał swoich gospodarzy pytaniami o tury. Lecz na zachodzie Europy nie wiedzano nawet, o jakie zwierzęta pyta.

Wielka podróż edukacyjna zakończyła się w Wiedniu, gdzie w sierpniu 1719 roku zawarł planowane od dawna małżeństwo z arcyksiężniczką Marią Józefą Habsburżanką, córką cesarza Austrii Józefa I.

Po powrocie do Drezna i trwających cały miesiąc uroczystościach weselnych, na które zjechało pół Europy i które kosztowały skarb państwa cztery miliony talarów, Fryderyk August został postawiony przez swego ojca na czele „Rządu Tymczasowego” mającego administrować Saksonią podczas pobytów Augusta Mocnego w Polsce. Była to dla młodego księcia świetna szkoła samodzielnych rządów, a wzięwszy pod uwagę, że w tym samym czasie zajmował się jeszcze inwentaryzacją dzieł sztuki zgromadzonych przez wieki na zamku drezdeńskim, przygotowaniem do otwarcia publicznej galerii przy Zwingerze oraz reformą dworskiego teatru i kapeli, na polowania zostawało mu bardzo mało czasu. Mimo to, kiedy tylko mógł, wyrывał się z Drezna do Wermsdorf, gdzie rozbudowywano dla niego pałacyk myśliwski, nazwany na cześć patrona łowów Hubertusburgiem, i tam oddawał się swojej pasji.

W owych czasach, tuż po ślubie, tury śniły się saskiemu następcy tronu inaczej niż przedtem. Zamiast w ten czy inny sposób wystawiać się do strzału, rozglądały się nerwowo za jakąś samicą, prężyły z dumą swoje olbrzymie prącia, po czym wspinały się z rykiem na zad swej wybranki i wywaliwszy z pyska długi wilgotny ozór, zagłębiały brutalnie swoje przyrodzenie między jej pośladkami. Turzyce próbowały się bronić, zapierały się czterema nogami na ziemi, rzucały na boki głowami i bodły rogami powietrze, potem jednak stopniowo łagodniały, zaprzestawały oporu, ich potężne ciała ogarniało drżenie przechodzące niekiedy w dygot, zaczynały coraz głośniej jęczeć i stękać, ich oczy zasnuwała coraz gęstsza mgła, aż wreszcie poddawały się pokornie odwiecznemu prawu natury

i łączyły się w ścisłej harmonii z dyszącymi samcami, zgodnie z rytmem ich nieposkromionej żądz.

Na ten widok Fryderyk August na ogół budził się, narzucał na siebie szlafrok i udawał się do sypialni Marii Józefy, gdzie, zwolniwszy przedtem wartowników trzymających straż pod jej drzwiami, pozostawał z reguły do białego rana.

W sumie, w jakimś stopniu, zawdzięczał turom narodziny swoich siedmiu synów i siedmiu córek. Dlatego kiedy zajął się dalszą rozbudową Hubertusburga, przekształcając go w największy pałac myśliwski w Europie, honorowe miejsce w galerii jego trofeów zajął wielki postument ze złoconego brązu, na którym zamierzał ustawić wypchanego tura, o ile, rzecz jasna, zdoła go kiedyś upolować.

Teoretycznie najłatwiej było o to w Polsce, ale przed śmiercią swojego ojca w 1733 roku był tam ponownie tylko raz przez kilka miesięcy i nie miał wtedy zbyt wiele czasu na polowanie. Potem przysły lata walki o polski tron ze Stanisławem Leszczyńskim i dopiero po jej wygraniu August III mógł znowu pomyśleć o łowach i turach. Z jego rozkazu cały kraj zaczęli przemierzać łowczy królewscy zaopatrzeni w kopie szesnastowiecznego drzeworytu Herbersteina przedstawiającego sławnego krętoroga i jego zwięzły opis: „Urus sum, polonis Tur, germanis Aurox: ignari Bisontis nomen deserant” („Urus jestem, po polsku tur, po niemiecku aurox: nieuki zowią mnie żubrem”), rozpytując miejscową ludność o tajemnicze zwierzę, zwłaszcza w pobliżu wielkich kompleksów leśnych i takich miejscowości, jak Turek, Turów, Turka, Turze, Turzewo czy Turzańsk.

Indagowani autochtoni przeważnie wzruszali ramionami albo pukali się mniej lub bardziej dyskretnie w czoło i tylko raz, w Małopolsce, w miejscowości Turza, sławnej z wyrobu najlepszych w Polsce sierpów, miejscowy wieśniak, przyjrząwszy się dokładnie rycinie Herbersteina, zaprowadził królewskich urzędników na pobliską łąkę, gdzie ku ich zdumieniu pasło się spore stado turów, tyle że nie czarnych i nie rdzawobrunatnych, ale siwych niczym jesienna mgła i jak na tę znaną z dzikości bestię nadzwyczaj łagodnych i nieruchawych.

Niestety, kiedy chcieli odkupić od ich właściciela parę sztuk, okazało się, że nie są to żadne tury, tylko węgierskie bydło stepowe, sprowadzone niedawno z madziarskiej puszczy dla wybornego smaku jego mięsa i niewielkich wymogów hodowlanych.

Pewne nadzieje łączył jeszcze August III z wielkim polowaniem w Białowieży, uwiecznionym później pamiątkowym obeliskiem, na które wybrał się we wrześniu 1752 roku wraz z żoną, dwoma synami i mnóstwem polskich i zagranicznych gości. Nie licząc pomniejszego płazu, zabito na nim czterdzieści dwa żubry, z czego aż dwadzieścia sztuk raczyła położyć trupem sama Maria Józefa, która co jakiś czas odrywała się na chwilę od czytanego właśnie francuskiego romansu, oddawała strzał, po czym znów pogrążała się w lekturze. Ale i w Białowieży nie stwierdzono obecności żadnego тура.

I kiedy już się wydawało, że poszukiwania żywych turów zakończą się ostateczną klęską, do Pałacu Saskiego w Warszawie dotarła sensacyjna wiadomość, że niedaleko miasteczka Turzec w województwie nowogródzkim miejscowi Żydzi schwytali pięknego samca tego gatunku, który po przeskoczeniu niezbyt wysokiego ogrodzenia próbował dobierać się do ich pasącej się na łące krowy. Ogrodzenie to natychmiast podwyższono i wzmocniono belkami, i tak jurny tur znalazł się w pułapce.

August III, przebywający akurat w Warszawie, ucieszył się niezmiernie i wysłał od razu na miejsce specjalną komisję pod przewodnictwem głównego łowczego królewskiego Wolfersdorffa.

Schwytany tur, niewiele mniejszy od żubra i wbrew opinii Herbersteina z sylwetki bardzo do niego podobny, był dokładnie taki, jak należało. Wprawdzie, jako raczej młody osobnik, nie był jeszcze czarny jak sadza, tylko raczej ciemnobrunatny, miał jednak, jak powinien, nieco jaśniejszą maskę, obejmującą przednią płaszczyznę pyska do śluzawicy, podbródek i okolice wokół oczu oraz jaśniejszą wewnętrzną stronę nóg, podbrzusze i pośladki. Nie brakowało mu także porośniętej dłuższym włosem rdzaworudej plamy między rogami, przechodzącej w jaskrawszą pręgę tej samej maści, która biegła dalej wzdłuż szyi, karku i grzbietu, kończąc się, jak trzeba, tuż przy zadzie. Co więcej, posiadał również imponujące, wręcz nieproporcjonalnie wielkie rogi, rosnące stosownie na boki i do góry, wyginające się następnie do przodu, biegnące na pewnym odcinku równolegle, po czym zakręcające ku sobie i uniesione na końcu w górę niczym pióra niektórych szabel. Mówiąc krótko: tur jak marzenie, więc na jego widok wszyscy członkowie królewskiej komisji zastygli w niemym zachwycie.

Niestety, turzeccy Żydzi wiedzieli doskonale, jaki rarytas udało im się schwytać, i żądali za niego dwa tysiące dukatów! Cały dzień negocjacji przyniósł

tylko tyle, że zgodzili się opuścić cenę do tysiąca ośmiuset czerwonych złotych i na tym ostatecznie stanęło. Pan Wolfersdorff zapłacił, wziął pokwitowanie, a potem kazał załadować krętoroga na specjalną kołową platformę ciągniętą przez cztery konie i wyposażoną w żłób, poidło oraz baldachim chroniący cenny nabytek przed słońcem i deszczem, po czym ruszył ostrożnie do Warszawy.

W drodze do stolicy roztoczono nad turem najczulszą opiekę. Dawano mu regularnie świeżą trawę i liście, urozmaicano jego dietę sianem i obrokiem, codziennie napełniano mu poidło świeżą studzienną wodą, za pomocą szczotki na długim trzonku wygarniano spod niego gnój, gdy raczył się wypróżnić, na noc obkładano klatkę pledami, żeby się przypadkiem nie zaziębił i mógł sobie solidnie odpocząć bez ciągłego oganiania się od much i bąków, a wreszcie pilnie baczone, by nikt z tłumu ciekawskich przychodzących go podziwiać na postojach, nie podał mu jakiegoś jedzenia, które mogłoby mu zaszkodzić lub przyprawić go o niestrawność. Tur, choć brakowało mu ruchu i trzęsło go na wertepach, zachowywał się bardzo dobrze. Tylko z początku żałośnie ryczał i próbował napierać na stalowe pręty klatki, potem jednak z tego zrezygnował i przez większość podróży ograniczał się do spania, jedzenia i wypróżniania, dzięki czemu dotarł do Warszawy w świetnej formie, nieco może osłabiony beczynnością, lecz jeszcze tłustszy i bardziej imponujący niż w dniu, kiedy go złapano.

Umieszczono go w zwierzyńcu przy Zamku Ujazdowskim. Miał tam duży wybieg, dobry wikt i własne sztuczne bajoro, w którym mógł się wylegiwać, gdy było mu za gorąco. Król odwiedzał go niemal codziennie – raz zrobił to nawet z całym korpusem dyplomatycznym akredytowanym w Warszawie – i wkrótce tak się w nim rozmiłował, że postanowił nie tylko darować mu życie, ale także znaleźć mu towarzyszkę i doczekać się turzego potomstwa. Królewscy łowczy znowu ruszyli w Polskę, lecz choć przemierzali ją wzdłuż i wszerz, znalezienie żywej turzycy okazało się niezmiernie trudne, czego na swój sposób dowiódł już wcześniej schwytyany w Turcu samiec, gotów z braku godniejszej sobie partnerki zadowolić się zwykłą krową.

W czasie gdy szukano mu oblubienicy, tur jeszcze się trochę rozrósł, lecz kiedy nadeszła słotna jesień, zaczęło dziać się z nim coś niedobrego. Z każdym większym deszczem jego jaśniejsze umaszczenie, obejmujące maskę, wewnętrzną stronę nóg, podbrzusze i pośladki, ciemniało coraz bardziej, aż wreszcie przestało się odróżniać od reszty ciała. Zniknęła także rdzawo-ruda

plama między rogami, zaś jaskrawa pręga tej samej maści, przebiegająca wzdłuż szyi, karku i grzbietu i kończąca się tuż przy zadzie, po prostu się rozplynęła, tworząc na bokach zwierzęcia nieco jaśniejsze pionowe plamy, co upodobniło je w niedorzeczny sposób do ogromnej zebry z krętymi rogami.

Lecz wkrótce zabrakło i rogów. Któregoś dnia, kiedy tur z jakiegoś powodu wpadł we wściekłość i zaczął walić łbem w ogrodzenie, jego wspaniałe poroże zaklinowało się między belkami, a kiedy próbował je stamtąd wyszarpnąć, złamało się nagle z hukiem u samej nasady i to tak idealnie równo, jakby je ktoś odpiłował. Co gorsza, w miejscach złamania, na obu rogowych kikutach dały się zauważyć sporej wielkości śruby z widocznymi jeszcze śladami zaschniętego kleju i żywicy.

W pierwszym momencie, kiedy się o tym dowiedział, August III o mało nie dostał apopleksji. Potem, będąc człowiekiem z natury dobrodusznym, zaczął się śmiać z szelmostwa, którego padł ofiarą, i kazał odszukać jego sprawców. Bynajmniej nie po to, żeby ich ukarać, wszak turze rogi były ponad wszelką wątpliwość autentyczne i już z tego powodu warte dużych pieniędzy (jako miłośnik turów dobrze wiedział, że przechowywany w Sztokholmie, a zrabowany przez Szwedów sto lat wcześniej z Zamku Królewskiego w Warszawie róg tego zwierzęcia, oprawny w pozłacane srebro i opatrzony napisem: „Róg turzy ostatniego turu z Puszczy Sochaczewskiej od wojewody rawskiego Stanisława Radziejowskiego na ten czas starosti sochaczewskiego r. 1620”, był jednym z bardzo nielicznych na świecie), ale wyłącznie po to, żeby się dowiedzieć, skąd je, u licha, wytrzasnęli?

Niestety, turzeccy Żydzi ulotnili się jak kamfora i zagadki turzych rogów nie udało się rozwiązać. Wkrótce potem, straciwszy zainteresowanie dla swojego „tura”, który okazał się zwykłym żubrem, król podarował go ambasadorowi Francji, ten zaś wyekspediował zwierzę do menażerii w Wersalu.

Później przyszedł najazd Prus na Saksonię i klęska pod Pirną. Przeklęta Pirna! Sama nazwa tego miejsca, gdzie osiemnaście tysięcy dobrze uzbrojonych i wyszkolonych Sasów poddało się bez jednego wystrzału dziesięciu tysiącom Prusaków, paliła Augusta III jak rozżarzone żelazo. Wiedział, że od tej złowrogiej nazwy nie uwolni się nigdy, nawet po śmierci, a przecież to nie on podjął decyzję o bezprzykładnej kapitulacji tak licznego i doborowego wojska, tylko saska Rada Wojenna złożona z dwudziestu na pozór bitnych marszałków i generałów. Jeśli chodzi o niego, to choć nienawidził wojny, zrobił wszystko co

w jego mocy, by namówić tych profesjonalistów sztuki militarnej do zmiany decyzji.

Najpierw pisał do nich błagalnie ze swej kwatery na pobliskim zamku Königstein, gdzie czekał na odsiecz austriackiego feldmarszałka Browne:

„Wszyscy mnie znacie. Wiecie, jak nie mogę pogodzić się z tym, by ofiarować życie bodaj jednego człowieka. Ale co powiedziałyby Europa, gdyby armia się poddała lub poszła do niewoli, armia licząca 18 000, stojąca naprzeciw słabszego przeciwnika? Sojusznik by mnie opuścił, najokrutniejszy nieprzyjaciół traktował po barbarzyńsku, położenie moje i mego domu stałoby się godne współczucia. Feldmarszałek Browne jest, nie wątpię w to, w pobliżu. Nie mógł tylko przemycić nikogo przez pruskie posterunki, by was o tym powiadomić. Ja raz jeszcze zawiadomiłem go, że tego ranka bezwzględnie zaatakujecie i on nadejdzie, jeśli tylko potyczka się rozpocznie. Strzały armatnie miały być sygnałem waszego wymarszu. Nieprzyjaciół nie jest niezwyciężony. Bóg i feldmarszałek Browne będą z pewnością z wami. Żałuję, że dałem się namówić na przeniesienie do twierdzy. Chętnie dzieliłbym wasz los. Myślcie o tym, co zawsze odpowiadaliście naszym wrogom. Myślcie o nieznośnej pysze naszego przeciwnika, jeśli cała armia porzuci broń przed paroma pruskimi szanćami. Chciałbym opłacić waszą krew swą własną. Ale, na miłość Boską, miejcie zaufanie do Opatrzności. Wyjdziecie z tej walki w koronie zwycięstwa. Taka kapitulacja pozbawiłaby was honoru i reputacji. Znam odwagę mych generałów, dzielność mego wojska. Posyłam wam wszystkie konie, jakie tylko są, byście użyli ich do transportu artylerii. Bóg będzie walczył za nas i możecie być pewni, że nigdy nie zapomnę, coście dla mnie uczynili”³.

Potem, gdy przyniesiono mu projekt aktu kapitulacji, krzychał wniebogłoso: „Mój Boże, co oni sobie myślą, chcą poświęcić armię bez wystrzału?! Będzie z tego wielki honor dla panów generałów! Czy nie pamiętają, że utracą wszelką reputację? Czy wolno tak postępować? Dlaczego nie chcą słuchać mych rozkazów? Czy brak im odwagi, by się bić?”⁴.

Wreszcie stwierdził: „A jaką korzyść miałbym z tego, gdyby moi generałowie razem z armią oddali się do niewoli? Dla naszego honoru byłoby lepiej, gdyby dwie trzecie armii poległo”⁵.

Wszystko na próżno!

Po kapitulacji i wyjeździe spod Pirny do Polski August III nie szukał już turów. Miał ponad sześćdziesiąt lat, czuł się starym człowiekiem i jeśli od czasu

do czasu śnił mu się jeszcze jakiś tur, to już nie po to, by na jego oczach parzyć się z samicą, ale odwrotnie niż biały jelen z promieniejącym krzyżem między tykami, który ukazał się kiedyś św. Hubertowi, późniejszemu biskupowi Liège, wyłącznie po to, żeby, jak w dzieciństwie, wyciągnąć go na polowanie. Działo się tak szczególnie w okolicach święta tego patrona myśliwych, jeźdźców, strzelców i kuźnierzy, a także matematyków, lunatyków i chorych na padaczkę, przypadającego na dzień 3 listopada, kiedy to po uroczystych mszach przy leśnych kapliczkach, w których, oprócz ludzi, uczestniczyły także konie, psy i sokoły, lasy całej Polski rozbrzmiewały ganiem myśliwskich rogów, a uganiający się w ten dzień za lisią kitą jeźdźcy gromadzili się wokół ognisk przy gorącym żurze, tłustym bigosie i mocniejszych trunkach.

Tak było i tym razem. Tur zjawiał się tuż przed Hubertusem, lecz musiał odejść z królewskiego snu jak niepyszny, gdyż August III oparł się bohatersko pokusie z powodu podolskich Żydów, chrzczonych właśnie we Lwowie i w Warszawie. O tym wielkim sukcesie Polski i Kościoła pisano już w prasie niemieckiej, francuskiej, włoskiej, hiszpańskiej i portugalskiej, ponoć słyszano też o nim aż za oceanem, więc król nie miał innego wyjścia, jak pozostać w stolicy, by przyjmować co ważniejszych rodziców chrzestnych neofitów, odbierać gratulacje od obcych ambasadorów i konferować niemal codziennie z nuncjuszem apostolskim, z prymasem Polski i z innymi biskupami oraz z niektórymi wielkimi panami o sposobach zapewnienia świeżo nawróconym Izraelitom jak najlepszej przyszłości.

Ale po dwóch tygodniach miał tego wszystkiego tak serdecznie dość, że kiedy tur przyśnił mu się ponownie, poprosił starostę Bratkowskiego o zastępstwo przy chrzcie Jakuba Franka i postanowił udać się na łowy.

Nie chodziło oczywiście o polowanie takie jak dawniej. Po pierwsze dlatego, że odkąd Prusacy okupowali Saksonię, rabując w niej wszystko, co się tylko dało, w tym nawet robotników z manufaktury porcelany w Miśni, których wywieźli do Berlina do przymusowej pracy w konkurencyjnej fabryce Fryderyka II, nie miał ze swego dziedzicznego księstwa żadnych dochodów i nie było go już stać na porządne łowy. Po drugie, nawet gdyby miał za co polować, to i tak nie miał gdzie powiesić ewentualnych trofeów, gdyż jego ukochany Hubertusburg został obrócony w perzynę przez Prusaków, którzy nie zadowolili się zabraniami z niego wszystkich dzieł sztuki, mebli i żyrandoli, lecz także zdarli w nim obicia ze ścian, wytłukli wszystkie okna i lustra, spalili księgozbiór, rozwalili kominki

i ogołocili z klepki całą podłogę. Po trzecie wreszcie, August III był teraz tak gruby i ciężki, że męczył się łatwo nawet w karocy, więc żaden wyjazd do puszczy nie wchodził w ogóle w rachubę.

Niestety starzejący się monarcha nie mógł już także liczyć na solidne łowy w samej Warszawie, chociażby takie, jakie ostatniej zimy wyprawił na jego cześć chorąży wielki litewski książę Hieronim Florian Radziwiłł, który spod Łucka i z Białej zwiózł mu do stolicy wielką moc dzikiej zwierzyny w klatkach. Było w nich kilkanaście niedźwiedzi, kilkadziesiąt łosi, blisko setka dzików i kilka watah wilków, zaś saren i lisów nikt nawet nie liczył.

Całe to różnorodne towarzystwo wypuszczono nad Wisłą pod Ujazdowem na zamkniętym parkanem terenie wysadzonym wewnątrz drzewami różnego gatunku, pośrodku którego zbudowano dla króla dwupiętrowy pawilon z galeryjką, obity na zewnątrz zielonym francuskim sukmem, a od środka zielonym aksamitem ze złotymi galonami i frędzlami. Kiedy objeżdżacze zadęli w waltornie, szczerwacze potrząsnęli kołatkami i psiarczykowie spuścili ze smyczy psy gończe, przerażona zwierzyna zaczęła biegać jak szalona w tę i we w tę po całym sztucznym lesie, przy czym wygłodniałe od wielu dni niedźwiedzie rzucały się na sarny, a psy pospołu z wilkami goniły i rozszarpywały łosie.

Zadowolony król strzelał do nich wszystkich z galeryjki przez prawie pięć godzin, póki ostatnie dzikie zwierzę nie padło martwe. Każdy celny strzał kwitowany był oklaskami licznie zgromadzonych widzów, zasiadających na trybunach zbudowanych za parkanem i stojących gęstym tłumem na górze pod zamkiem Ujazdowskim. Polowanie to uwieczniono później w wielu łacińskich i polskich wierszach, z których kilku najpiękniejszych August III nauczył się na pamięć.

Dziś wielcy polscy panowie wyczuwali najwyraźniej, że jego długie panowanie dobiega powoli końca, toteż żaden z nich nie kwapił się już do inwestowania fortuny w jego przyjemności, woląc ją raczej zachować na wkupienie się w łaski jego rychłego następcy.

Rozgoryczony August III musiał więc radzić sobie sam. Polował teraz bardzo skromnie, bez gości i widzów, wprost z okna zamku od strony Wisły. Nie były to oczywiście łowy z nagonką ani tym bardziej na grubego zwierza, tylko zwykła zasiadka na drobnych drapieżców zwabionych do królewskich ogrodów odorem wyłożonej tam wcześniej padliny lub złapanych na mieście przez służbę,

lecz nawet ta namiastka prawdziwego polowania dostarczała monarsze odrobiny dawnych emocji.

Zazwyczaj najwięcej było bezpańskich psów: małych, dużych, gładkowłosych i kudłatych, z długimi bądź krótkimi kufami, ze sterczącymi lub zwisającymi uszami, często parszywych i niemal zawsze chudych jak szkielety, choć trafiały się również szczury i koty.

Jako pierwsze padały zawsze większe psy, niestanowiące dla wprawnego strzelca żadnego problemu, jako że były na ogół wolniejsze i znacznie mniej zwrotne od małych. Toteż z reguły wystarczała na nie jedna kula, podczas gdy te małe, głównie z powodu ich ruchliwości, trzeba było niekiedy poprawiać, i to nierzadko dwukrotnie. Małe psy dawały więcej satysfakcji również dlatego, że kiedy po pierwszym trafieniu udawało im się dobiec bądź doczołgać do jakiejś padliny i zniknąć z pola rażenia, to o ile tam wkrótce nie zdechły, o czym świadczyło, że raptem przestawały wyć lub skowycać, prędzej czy później musiały się zza niej wychylić, a wówczas można było sprawdzić nie tylko swe oko, ale także refleks.

Z kotami bywało różnie. Jeśli ze strachu przed psami siadały gdzieś z boku sztywno niczym sfinksy, jak mają to w zwyczaju, ich żywot kończył się nagle, jakby ktoś zdmuchnął świecę. Jeśli jednak któryś z nich zdołał wskoczyć na drzewo i ukryć się wśród liści, czasem trudno go było wypatrzyć nawet przez lunetę. Na szczęście w drugiej połowie listopada gałęzie były już nagie i żaden koci spryciarz nie miał większych szans. Zwłaszcza w konfrontacji z najnowszym sztucerem z gwintowaną lufą.

Najwięcej uciechy dostarczały jednak szczury jako najmniejsze i najzwinniejsze, choć z racji ich podłej natury król nie podchodził do nich zbyt ambicjonalnie i niewiele się przejmował ewentualnym pudłem.

Kiedy podczas łowów w dniu chrztu Jakuba Franka ostatni zabity kot spadł wreszcie z gałęzi, August III oddał broń lokajowi i sięgnął po kieliszek węgryzyna, asystujący mu zaś z urzędu na polowaniu nadworny łowczy Wolfersdorff zapytał zgodnie z obowiązującym protokołem:

– Czy Najjaśniejszy Pan życzy sobie, żeby wypchano któreś z zabitych przez niego zwierząt?

– Sam się wypchaj, Wolfersdorff – prychnął w odpowiedzi monarcha. – O tym, że zeszliśmy już na psy, wiedzą wszyscy i bez tych trofeów. Każ to wszystko uprzątnąć i wrzucić do Wisły.

■

Po chrzcie zaczął się dla neofitów okres *dolce vita*. Ci z najbliższych towarzyszy Jakuba Franka, którzy dotąd tego nie zrobili, zgolili wreszcie brody i pejsy, porzucili żydowskie stroje, zaczęli nosić się po chrześcijańsku czy wręcz po szlachecku i pod przywództwem Świętego Pana, który jako jedyny nie pozbył się swojej wysokiej czapy ani tureckiego czerwonego dolmanu ozdobionego teraz wspaniałym gronostajowym kołnierzem, bywali w warszawskich pałacach i salonach, pojawiali się w charakterze towarzyskiej atrakcji na ucztach i bankietach, odwiedzali kawiarnie i teatry, a gdy akurat nie byli nigdzie zaproszeni, co zdarzało się bardzo rzadko, rozjeżdżali się po Warszawie wraz z Mistrzem poszóstną karetą albo saniami zaprzężonymi w trzy konie, w damskim towarzystwie i z butelkami szampana w garści, wieczorami zaś zabawiali się przy kartach i winie.

Pośród tych wszystkich zabaw i uciech, tym przyjemniejszych i bardziej swobodnych, że jego żona i dzieci zostały we Lwowie, Święty Pan zabiegał dalej o przyznanie jego ludziom jakiegoś terytorium, na którym mogliby się wspólnie osiedlić. Kolejne rozmowy z najwyższymi dostojnikami Rzeczypospolitej doprowadziły w końcu do tego, że na dworze królewskim zaczęto poważnie rozważać koncepcję przydzielenia żydowskim neofitom którejś z nieprzynoszących większych dochodów królewszczyzn na Litwie, pod tym wszakże warunkiem, że wezmą oni na siebie obowiązek dostarczenia skarbowi państwa takich samych wpływów, jak też utrzymanie sędziów i proboszczów, którzy dbaliby o praworządność i ład moralny w miejscu ich osiedlenia.

Wielce zadowolony z takiego rozwoju wypadków i pewny końcowego sukcesu Mistrz chełpił się w tym czasie przed swoimi uczniami: „Gdyby mnie zapytano: co czynisz, odpowiedziałbym: ja jestem Panem, a bracia moi – apostołami”⁶. Nie wiedział jednak, że nad jego głową gromadzą się od pewnego czasu czarne chmury.

Otóż kiedy on ze swoimi najbliższymi towarzyszami zabawiał się w Warszawie, we Lwowie przygotowywano do chrztu kolejnych żydowskich katechumenów i prowadzono nauki dla już ochrzczonych. W trakcie tych przygotowań i nauk neofici często mówili o nim takie rzeczy, od których zajmującym się nimi księżom i zakonnikom włos stawał na głowie.

Opowiadali na przykład o jego darze jasnowidzenia, o czynionych przezeń cudach, o jego spełniających się prorocत्वach, o tym, że wcześniej przeszedł na islam i poznał w Turcji Antychrysta, o tym, że praktykuje wielożeństwo i obraca wszelkie dochody wspólnoty na potrzeby własne i swoich kompanów, a wreszcie także i o tym, że powszechnie uważa się go za Mesjasza.

Kilku katechumenów chętnie potwierdziło te rewelacje na piśmie, zeznając między innymi:

„Słowa jego nauki były nam tak miłe, zbawienne i przenikające serca nasze, żeśmy ich z płaczem musieli słuchać, gdyż nam częstokroć przepowiadał, że jeżeli zechcecie wierzyć szczerym sercem w Boga, w Trójcy św. Jedyne, wiele wam potrzeba wycierpieć, ale trzymajcie się mocno.

Nadto uważaliśmy i to w nim, że gdy nam jakie przyszłe rzeczy opowiadał, zawsze się spełniały. Od czterech lat, jadąc ze Lwowa do Rohatyna, gdy nocował w Dawidowie, widział w nocy nad tym Frankiem światłość, przedtem Szloma Rohatyński, teraz, po chrzcie św. nazywany Łukasz Franciszek z Rohatyna. Ta światłość z początku była jak gwiazda jasna i czysta, potem się rozszerzyła na pół łokcia, trwając dość długo, której tenże, przedtem Szloma z Rohatyna, przecierając oczy, długo się przypatrywał. Potem, gdy tenże Frank miał pojechać do Lanckorunia, przepowiedział w Brzeziu: wezmą nas w sekwestr etc. Co się i stało. Będąc zaś w sekwestrze, opowiedział, kiedy i którego dnia mieliśmy być wypuszczeni, co się sprawdziło. Też same przyszłe rzeczy i podobne przypadki opowiedział w Kopyczyńcach, i wiele innych rzeczy, które wypisywać byłaby rzecz długa.

Tenże Frank, gdy już ostatni raz przyjechał z zagranicy i gdy nam wyraźnie opowiedział, że nie masz innej, lepszej wiary, nad katolicką i nam wszystkim trzeba ją koniecznie przyjąć, dla zbawienia dusz naszych, dla wielkich dowodów z Pisma naszego, które nam tłumaczył, i my wyrazili na dysputach publicznych we Lwowie, lubo nie wszystkie, opowiedział niektórym z naszych i tę sekretną tajemnicę:

1-mo, że koniec świata jest już bliski i czas ten przyszedł, że będzie jedna owczarnia i jeden Pasterz.

2-do, że już Antychryst się narodził w Turecczyźnie, i którego był sam Frank w mieście Salonikach widział swoimi oczyma, powiadając Jakubowi z Tyśmienicy, że ten jest Antychryst, któregoś widział w mieście Saloniki, przydając, że niebawem będzie cuda czynił i prześladował katolicką wiarę.

3-cio, mówił i to do nas: Wy rozumiecie, iż Chrystus Pan w momencie przyjdzie z Nieba na sąd ostateczny, i to prawda, ale w tłumaczeniu tych słów Ewangelii nie rozumiecie. Kto wie? Może i teraz już jest ukryty w ciele ludzkim, ale przyjdzie ten czas, kiedy się raptem jawnie pokaże, po skończonych prześladowaniach Antychrysta.

My te wszystkie słowa, sprawy i inne okoliczności uważając, przyszliśmy do zrozumienia, że Chrystus, w którego wierzymy, jest utajony w osobie Franka, przywódcy naszego, ponieważ poszlakowaliśmy i znaki ran wyrażonych Chrystusowych na nim, na głowie i sercu, lubo się on z tym tai, najlichszym się czyniąc od wszystkich.

Tę całą rzecz naszych skrytych myśli oddajemy do uwagi Matce naszej, Kościołowi św., ażeby On, za objaśnieniem Ducha Św., dochodził prawdy i nas, najniegodniejsze owieczki, objaśnił i umocnił w wierze św. Na co się, dla lepszej wiary, podpisujemy charakterem hebrajskim: Paweł Rohatyński, Łukasz Franciszek, Jakub Tyśmienicki, Józef z Satanowa, Jakub Szymonowicz, Lejbka Rabinowicz”⁷.

Opiekujący się lwowskimi neofitami ksiądz Gaudenty Pikulski sporządził z tego wyznania dwie kopie przeznaczone dla prymasa Polski Władysława Aleksandra Łubieńskiego i nuncjusza apostolskiego w Warszawie Nicolasa Serry. Wkrótce, niezależnie od przesłuchiwanie kolejnych świadków, poddano przywódcę kontrtalmudystów dyskretnej obserwacji i zaczęto przechwytywać jego korespondencję, a nawet, korzystając z możliwości watykańskiej Kongregacji Krzewienia Wiary, zasięgnięto informacji o jego życiu i prowadzeniu się w Turcji. W tym samym czasie księża opiekujący się świeżo ochrzczonymi frankistami zauważyli ze zgrozą, że w kopiach Nowego Testamentu należących do ich podopiecznych imię Jezusa zostało wszędzie wykreślone i zastąpione imieniem Jakub⁸.

Nic zatem dziwnego, że 7 stycznia 1760 roku, podczas suto zakrapianej kolacji spożywanej w towarzystwie kilku dobrze znanych straży marszałkowskiej piękności z warszawskiego półświatka, Jakub Frank został aresztowany.

Choć kiedy go wyprowadzano, rzucił do swoich towarzyszy lekceważącą uwagę: „Plujcie na to!”, sprawa okazała się poważna. Najpierw trzymano go przez tydzień u bernardynów, potem przez dwanaście dni u kamedułów na Bielanych, wreszcie przeniesiono go do ojców misjonarzy, gdzie pod koniec

stycznia zebrał się sąd duchowny pod przewodnictwem warszawskiego oficjała tego zgromadzenia księdza Feliksa Turskiego.

Podczas rozprawy, oprócz podsądnego, sędziów i protokolanta, na sali obecny był także pan Moliwda, ponieważ Święty Pan wolał zeznawać po turecku.

Po wstępnych formalnościach dotyczących tożsamości, daty i miejsca urodzenia, jak też życiorysu podejrzanego, Wysoki Sąd przeszedł do kwestii zasadniczych, zadając podsądnemu szereg pytań:

– Po jakim znaku poznawał obwiniony tych, którzy do wiary chrześcijańskiej przystać chcieli?

– Znakiem, po którym rozeznaję, według obietnicy Pana Jezusa, tych, którzy szczerze do wiary Jego przystępują, jest światło na kształt świecy, które widzę nad ich głowami. Kiedy zaś tego światła nie widzę, wiem, że się nieszczercze udają do wiary. Dlatego kiedy przyjechał do mnie do Iwania jeden Żyd z Chocimia, chcąc niby przystać do wiary, i przywiózł był czterysta czerwonych złotych i klejnotów niemało, ja, nie widząc nad nim tego światła, nie chciałem go przyjąć. Podobnież gdy jechałem z Iwania do Lwowa i przejeżdżałem przez Podhajce, gdzie przyszło do mnie wielu Żydów chcących przyjąć wiarę chrześcijańską, jam tylko tych przyjął, na których takowe światło widziałem, innych zaś, a było ich ze trzydziestu, nie przyjąłem – odpowiedział przywódca kontrtalmudystów.

– Czy obwiniony wierzy w Boga w Trójcy, w Trzech Osobach Jedynego? Czy wierzy w Jezusa Chrystusa, Prawdziwego Boga i Człowieka, Mesjasza w Piśmie Bożym obiecanego, a to według wyznania wiary świętego Atanazego, które mu podane będzie? Czy gotów to wyznanie wiary poprzysiąc, że tak w sercu swoim myśli i wierzy, i na to się podpisać?

– Wierzę całym sercem w Boga w Trzech Osobach Jedynego i w Jezusa Chrystusa, prawdziwego Boga i Człowieka – Mesjasza w Piśmie Bożym obiecanego, a to według wyznania wiary świętego Atanazego, które jest mi podane, i to wyznanie wiary poprzysięgam i gotów jestem się na nie podpisać – potwierdził podsądny.

– Proszę wskazać najważniejsze miejsca Pisma Świętego, z których obwiniony dociekl Tajemnicy Trójcy Świętej i z których Jej innym dowodził?

– *Uczyńmy człowieka na obraz i podobieństwo Nasze*⁹, ustęp, gdzie Abraham zwraca się do trzech mężów niczym do jednego: *Panie, jeżeli znalazł łaskę*¹⁰, a także słowa Psalmu 110: *Rzekł Pan Panu memu: siedź po prawicy*

mojej. Więcej teraz nie pamiętam, ale jakbym miał z godzinę czasu, to znalazłbym jeszcze parę innych – zadeklarował Mistrz.

– Dobrze, wystarczy. A z których miejsc Pisma Świętego obwiniony wywnioskował i innym dowodził, że Mesjasz już przyszedł na świat i że jest Nim właśnie Jezus Chrystus, narodzony z Maryi Dziewicy i ukrzyżowany 1727 lat temu? – dociekał dalej Wysoki Sąd.

– To będzie trudne, bo kiedy mnie Pan Jezus posłał, żebym Żydów do wiary Jego nawracał, dał mi też tę łaskę, że jak tylko księgę lub Pismo Święte albo *Zohar* otworzyłem, to zaraz natrafiałem na te miejsca, którymi dowodzą się Tajemnice o Trójcy Świętej, wcieleniu Syna Bożego i przyjściu Mesjasza, chociaż przedtem wiele się tego nie uczyłem. Teraz jednak, kiedy przyjąłem chrzest i innych wielu do niego pociągnąłem, nie jest mi to już bardzo potrzebne, bo od nauczania są przecież księża – odpowiedział pewnym tonem podsądny.

– Co obwiniony sądzi o powtórnym przyjściu Chrystusa Mesjasza na świat, gdzie ma sądzić żywych i umarłych? Jak ma przyjść? Czy ma się znów narodzić? Czy ma tu, na tej ziemi, królować i sądzić ludzi żywych i jak długo? Czy, wykładając swoim te słowa: „Przyjdzie sądzić żywych i umarłych”, mówił im także: „Może On już jest na świecie, ale tai się w ciele ludzkim, a potem się raptem pokaże, jak błyskawica, i natenczas wszyscy Go zobaczą i uznają”?

– Nigdy nie nauczyłem ani nie wierzyłem, żeby Mesjasz miał się drugi raz narodzić; to zaś prawda, że niektórym braciom, wykładając te słowa: „Przyjdzie sądzić żywych i umarłych”, tak mówiłem, jako jest w pytaniu. Ale chodziło mi o Chrystusa utajonego pod postacią Chleba, chociaż im tej myśli nie wyjawiałem. Że zaś Chrystus jest utajony pod postacią Chleba, o tym żadnej od nikogo wówczas nie miałem nauki, ale jak byłem pierwszy raz w kościele na mszy świętej, w Podhajcach, przyszła mi samemu ta myśl, że Pan Jezus, Mesjasz, musi być pod postacią Chleba utajony i oddałem Mu pokłon, jak inni.

– Czy obwiniony czytał księgi Nowego Testamentu jako: Ewangelie, Dzieje Apostolskie, listy Apostołów i Objawienie św. Jana? Jak dawno i w jakim języku? – padły kolejne pytania.

– Nigdy przedtem ani Ewangelii, ani Dziejów, ani listów Apostolskich, ani Objawienia św. Jana nie czytałem, aż dopiero we Lwowie i tu w Warszawie trochę Ewangelii św. Łukasza na hebrajski język przetłumaczonej – odparł Święty Pan.

– Jaka jest opinia obwinionego o wierze mahometańskiej? Dlaczego bywał w meczetach i chodził w zawoju zielonym, który jest znakiem przyjęcia wiary muzulmańskiej, i dlaczego wyrobił sobie ferman od Porty na to, żeby mu dano w Turcji jakąś władzę albo urząd, jako nowo przyjmującemu wiarę mahometańską a niemającemu z czego żyć?

– Gdybym uważał, że wiara mahometańska jest dobra, tobym się do chrześcijańskiej nie garnął – zauważył nie bez ironii przywódca kontrtalmudystów.

– Czemu więc obwiniony bywał w meczetach i przyjął wiarę mahometańską?

– Jak pierwszy raz byłem w Polsce i ogłosiłem naukę o Trójcy Świętej, Żydzi talmudyści z Polski pisali przeciwko mnie do Turcji i dawszy w Stambule wielkie pieniądze, pobudzili na mnie wielkie prześladowanie, którego inaczej ująć nie mogłem, jak przyjmując wiarę mahometańską, bywając w meczetach i otrzymując ferman. Jednak ja, w sercu moim, nie miałem tej wiary za prawdziwą i przyjąłem ją tylko powierzchownie.

– Czemu w początkach swego nauczania tym, których za sobą pociągał, obwiniony mówił tylko: „Idźcie za mną!”, nie powiadając jednak, dokąd by mieli iść, choć go o to pytali? – kontynuował ksiądz Turski, zadający większość pytań w imieniu sądu.

– Prawda, że pierwszy raz będąc w Polsce, tym, co się do mnie garnęli, nie mówiłem nic o wierze chrześcijańskiej, ale mówiłem im: pójdźcie za mną, a kiedy oni mówili, że nie pójdą, ja im odpowiadałem, że jeżeli nie pójdą dobrowolnie, to pójdą po niewoli. Dlatego zaś jeszcze im nic nie mówiłem natenczas o prawdzie wiary chrześcijańskiej, że ich jeszcze nie widział sposobnych do jej przyjęcia. A dlatego dodawałem: pójdziecie po niewoli, że miałem wielką ufność w Panu Jezusie, że ich do wiary swojej pociągnie.

– Czy obwiniony wierzył, że ten człowiek, którego pokazywał w Salonikach Jakubowi z Tyśmienicy, jest prawdziwym Antychrystem? I czy nadal w to wierzy?

– Anim wierzył wtedy, ani wierzę teraz. Pokazałem go Jakubowi z Tyśmienicy, tak jak inni pokazywali go mnie, ot i wszystko – stwierdził Święty Pan lekceważąco.

– Czy obwiniony opowiadał swoim ludziom o Sądzie Ostatecznym jako bardzo bliskim? Skąd ma tego wiadomość i jak tego drugim dowodził?

– To prawda, że pobudzając drugich, żeby byli dobrymi i mocnymi w wierze, przywodziłem im tekst Ozeasza proroka, rozdział 3, i wykladałem, że przez tak wiele lat nie mieliśmy ani kapłana, ani ołtarza, ani ofiary. Teraz my, synowie Izraelscy, nawracamy się do Pana Boga naszego i szukamy przez wiarę Mesjasza, syna Dawidowego. Przyjąwszy wiarę chrześcijańską, mamy znów kapłanów, ołtarze i ofiarę, a zatem wychodzi na to, że muszą to być ostatnie dni, według słów tegoż proroka¹¹.

– Dlaczego, mówiąc do Pana Boga albo o Panu Bogu, obwiniony używał zazwyczaj słów „Mój święty Ojczy”, „Mój święty Ojciec”? Czemu pozwalał i nie bronił, żeby jego samego uczniowie nazywali „Ojcem świętym” i „Panem swoim”?

– To prawda, że mówiąc do Pana Boga w modlitwie albo o Panu Bogu do drugich, używałem słów „Mój święty Ojczy”, „Mój święty Ojciec” albo po hiszpańsku „Mi santo Padre”, bo tych słów w tamtych krajach Żydzi używają. Tego zaś nigdy nie wiedziałem ani nie słyszałem, żeby mnie bracia moi nazywali „świętym Ojcem”, i gdybym był o tym wiedział, byłbym tego surowo zakazał i zabronił – oburzył się na taką supozycję Jakub Frank.

– Czy obwiniony wiedział o tym, że jego uczniowie z tych powodów mieli go za Mesjasza? Co im na to mówił? I za kogo się teraz uważa? Dlaczego zwyczajnie sobie na krześle siadał, a często tytoń kurzył albo kawę popijał, kiedy wszyscy inni, stojąc i kłaniając się nisko, śpiewali nabożne pieśni, zwłaszcza pieśń *Juguleh*, wzywając go jako obecnego, tylko jeszcze utajonego Mesjasza „Pokaż honor królestwa Twego, króluj nad królami” etc.?

– Nigdy nie wiedział o tym, żeby mnie jacyś bracia za Mesjasza mieli, aż kiedyś to usłyszałem od JMCi księdza Śliwickiego, proboszcza św. Krzyża, i zaraz ich za to zgromiłem i odjechać od nich chciałem. O sobie samym nigdy najmniejszej myśli o tym nie miałem. Kiedy zaś pieśń *Juguleh* bracia śpiewali, nigdy mi się nie kłaniali; tego zaś nie pamiętam, żeby kiedyś tytoń kurzył albo kawy zażywał, kiedy oni tę pieśń śpiewali.

– Dlaczego obwiniony przyjmował od swoich tak wielkie honory i posługi, nawet w najpodlejszych potrzebach ciała? Dlaczego pozwalał, aby mu do nóg padali i dawał im błogosławieństwo, a przez to utrzymywał ich w opinii, że jest Mesjaszem? – drażył dalej przewodniczący sądu.

– To prawda, że kiedyś miał wstawać albo kłaść się spać, kto się pierwszy trafił, mężczyzna czy kobieta, usługiwali mi w podawaniu czy to kaftanów, czy

innych rzeczy, a ja im tego nie broniłem, bo czynili to z przyjaźni. To zaś się nie pokaże, żeby mi miano usługiwać, kiedym szedł za potrzebą przyrodzoną. Trafiało się to w Iwaniu, że niektórzy prosili mnie o błogosławieństwo i ja im je dawałem, przez włożenie rąk na głowę, ale nie miałem tej myśli, żeby przez to mieli mi przypisywać coś więcej niż człowiekowi.

– Dlaczego, kiedy któryś z jego uczniów jest chory albo słaby, obwiniony kładzie mu na czoło wielki palec i coś nad nim długo szepce, i co takiego szepce?

– Prawda, że kiedy ktoś do mnie przychodził z boleścią głowy i żądał, żeby mu urok odmówić, ja, kładąc na jego głowę rękę, a wielkim palcem pocierając mu czoło, odmawiałem urok, mówiąc nad nim modlitwę.

– Co obwiniony rozumie przez urok?

– Przez urok rozumiem, kiedy ktoś na drugiego złym i zaraźliwym okiem spojrzy, i przez to go bólu głowy lub innej boleści nabawi. Odczyniałem zaś te uroki nie tylko na uczniach moich, ale i nad innymi, co mnie o to prosili.

– Czy obwiniony ma Żydów, którzy się mocno sprzeciwiają jego nauce i prześladują go, za potomków Abrahama, Izaaka i Jakuba? Czy też uważa, że pochodzą oni od obcego pospółstwa, które się do Izraelitów wychodzących z Egiptu przyłączyło, i czy tak innym o nich sądzić każe?

– Ponieważ stoi w Piśmie, że się na ostatku stanie jedna owczarnia i jeden Pasterz i że się synowie Izraelscy zwrócą do Mesjasza, stąd wnoszę, że ci, którzy nie przyjmują wiary, choć się nazywają Żydami, nie są prawdziwymi potomkami Izraela – oświadczył z przekonaniem przywódca kontrtalmudystów.

– Czy obwiniony miewał w Iwaniu kazania albo nauki do swoich? Czego nauczał? Czy im zakazywał, żeby żaden żadnej rzeczy nie miał za swoją własną, ale żeby wszystko oddawali do wspólnego używania?

– Miewałem do braci różne nauki w Iwaniu, osobliwie do kobiet i małych dzieci, i nauczałem braci tego, aby żadnej rzeczy nie mieli za swoją własną, ale jeźeliby który potrzebował sukni czy koszuli, żeby mający dawał niemającemu.

– Czy do rąk obwinionego albo do jego dyspozycji ci, co za jego nauką szli, oddawali jakieś pieniądze i na co się te pieniądze obróciły?

– Prawda, że ci, co do mojej nauki przystawali w Iwaniu, pieniądze, które z sobą przywozili, oddawali do podskarbiego albo szafarza, któregom ja ustanowił, żeby nimi na potrzebę wszystkich braci tam zgromadzonych szafował. Ja też różnymi czasy przykładałem się do tej wspólności. Nawet Żydówki we

Lwowie czerwone złote, które nosiły na szyi, zastawiły i podskarbiemu do kasy wspólnej na potrzeby ogólne oddały.

– A dlaczego obwiniony już nie widuje tego znaku na głowach tych, co się udają do wiary?

– Na cóż świeca we dnie potrzebna? Potrzebna tylko w nocy. Tak, pókiśmy byli w ciemności, trzeba było światła, a teraz, jakeśmy w jasności, już go nie potrzeba.

– Czy obwiniony ma na piersiach ranę zagojoną albo bliznę, i od czego?

– Mam na piersiach bliznę, a to z okazji, że raz w drodze, jak byłem kupcem, napotkali mnie rozbójnicy, chcieli mnie okraść z towarów, których ja broniłem. Jeden z nich, spisząc chcąc mnie przebić, ranił mnie w piersi i w głowę, których to ran zagojonych mam dotychczas znaki.

– Czy obwiniony leżał czasem na łożku, ręce na krzyż rozciągnąwszy, aby przez to wyrazić sobą Chrystusa Ukrzyżowanego?

– Jakem sypiał, nie wiem. Byłbym zaś nierozumnym, żeby się umyślnie na krzyż kłaść i czynić się Chrystusem – skrzywił się na podobną sugestię podsądny.

– Czy obwiniony obiecywał swoim współwyznawcom nieśmiertelność, to jest, że nie będą umierać, i skąd się w nich wzięła ta nadzieja?

– Nauczałem ich, że zły, chociaż żyje, jest umarły, a sprawiedliwy, chociaż umiera, to jednak zawsze żyje. To prawda, że przed chrztem świętym uważałem, że dusza złych umiera i niszczy, teraz jednak tak chcę wierzyć, jak Kościół naucza – oznajmił Mistrz¹².

Zapytany o to, czy byłby łaskaw potwierdzić swoje zeznania własnoręcznym podpisem, Święty Pan podpisał się bardzo chętnie i nadzwyczaj zamasyście.

Choć zasadniczo większość jego odpowiedzi można było uznać za poprawne, nie rozproszyło to wątpliwości Wysokiego Sądu, zwłaszcza że tuż przed rozprawą, z niewiadomych przyczyn, pan Moliwda oskarżył dodatkowo swojego Mistrza o wiarę w wędrówkę dusz. Dlatego, po dalszych deliberacjach i konsultacjach z prymasem Polski i nuncjuszem apostolskim, sąd wprawdzie nie uznał Jakuba Franka za heretyka czy za świętokradcę, który w bluźnierczy sposób wyłudził sakrament chrztu, ale mając na względzie, że byłoby wielce pożądanym pozbawić go szkodliwego wpływu na tych żydowskich konwertytów, którzy dawali rozliczne dowody, że szczerze pragną zostać gorliwymi chrześcijanami, skazał go na przymusowe odosobnienie na Jasnej Górze (bez

określenia długości jego trwania), gdzie mógłby najlepiej zapoznać się, przemyśleć i utwierdzić w zasadach wiary, jaką publicznie przyjął. A ponieważ, jakkolwiek by patrzeć, ojcem chrzestnym podsądnego był sam August III, pozwolono mu odjechać do Częstochowy własną poszóstną karetą i z osobistym kucharzem, choć pod strażą oddziału ułanów.

¹ Lewa! (niem.).

² Pułk gwardii przybocznej, do kościoła krokiem równym marsz! (niem.).

³ Kracherowa, *Partyzant moralności*, s. 183-184.

⁴ Tamże, s. 186.

⁵ Tamże.

⁶ Kraushar, *Frank i frankiści*, t. I, s. 176.

⁷ Tamże, s. 177-180.

⁸ Za: Paweł Maciejko, *Pan Jezus i Pan Jakub Frank*, „Kronos”, 1 (24)/2013, s. 149.

⁹ Por. Rdz, 1, 26.

¹⁰ Por. Rdz, 18, 3.

¹¹ Oz, 3, 4-5: *Wiele dni bowiem synowie Izraela będą bez króla i bez zwierzchnika, bez ofiary i bez steli, bez efodu i posążków. Lecz potem się nawrócą synowie Izraela i będą szukać Pana Boga swego i króla swego, Dawida; z drżeniem pospieszą do Pana, do Jego dóbr u kresu dni.*

¹² Przesłuchanie J. Franka za: Kraushar, *Frank i frankiści*, t. I, s. 183-202.

Rozdział 7

JASNA GÓRA I CIEMNE MOCE

Aresztowanie Świętego Pana wstrząsnęło jego zwolennikami. Większość z nich, bojąc się tego samego i nie chcąc stracić pozycji uzyskanej dzięki przyjęciu chrztu, a niekiedy także dzięki hojności i pomocy rodziców chrzestnych, odcięła się od swojego niedawnego Mistrza i uznała go za religijnego oszusta, po czym wróciła spokojnie do domów, gotowa szczerze wyznawać nowo przyjętą wiarę i wrosnąć jak najszybciej w polskie otoczenie, zwłaszcza że o nowych przywilejach dla żydowskich przechrztów i o podarowaniu im przez króla kawałka Rzeczypospolitej nie było już odtąd mowy. Wśród tych, którzy odstąpili Świętego Pana w godzinie próby, znalazło się także kilku jego najbliższych uczniów z panem Moliwdą na czele, czemu o tyle trudno się było dziwić, że to właśnie oni mieli najwięcej do stracenia.

Mniejszość frankistów pozostała Mistrzowi wierna i od początku, choć mocno załamana nagłym obrotem fortuny, starała się mu pomóc. Przebywający w Warszawie próbowali interweniować na dworze królewskim, kołatali do prymasa Polski i nachodzili nuncjusza apostolskiego; ci, którzy pozostali we Lwowie, szukali pomocy u tamtejszych biskupów, przy czym tak jedni, jak drudzy usiłowali również zmobilizować do działania swoich wpływowych rodziców chrzestnych. Niewiele to jednak dało, ponieważ żadna z osób, do których się zwracali, nie chciała podważać sentencji sądu duchownego uważanej powszechnie nie tylko za sprawiedliwą, ale także za korzystną, w szczególności dla tych, którzy przeciw niej najgłośniejszemu protestowali.

Na szczęście najwierniejszym uczniom Jakuba Franka nie brakowało przynajmniej środków utrzymania, jako że pieniądze nadal płynęły do nich obficie od kontrtalmudystów z Polski, Czech, Węgier i Turcji. Wkrótce też ich

uwięziony w Częstochowie przywódca nawiązał z nimi ożywioną korespondencję.

W swoich listach, pisanych zawsze dobrą polszczyzną i na eleganckim papierze, Święty Pan skarżył się często na samotność, na złe warunki, w jakich go przetrzymywano, na brak ruchu i rozrywek, na kiepskie jedzenie i nieustanne hałasy, które musiał znosić, najbardziej jednak pomstował na tych, którzy swoim niewczesnym gadulstwem przyczynili się do jego uwięzienia, a potem haniebnie go opuścili.

Za ich winy dostawało się zresztą wszystkim: „Ja was wprowadziłem między narody, a zwyczajem narodów jest orać. Na to orzą, żeby siać. Było wam rozumieć, iż ja orzę, aby zasiać. A dlatego, żeście bluźnili i gadali, i odkryli między narodami sekret ten, odegnaliście mnie od sukcesji Boskiej”¹; „Ja bym was za myśli nie sądził, tylko za gadanie wasze, chociaż mówicie, iż waszym zamiarem było tym się Bogu przysłużyć”²; „We Florencji jest zwyczajem, że po śmierci tamtejszego arcybiskupa obierać nowego ma kapituła tym sposobem: wszyscy zgromadziwszy się w kościele, padają na twarz. Król wchodzi i jednego spośród nich nominuje. Razu pewnego podczas elekcji, leżąc tak na ziemi, usnął jeden z prostej rangi kanoników, król kazał odziać go w szatę arcybiskupią ze wszystkimi dekoracjami, i tak przebudziwszy się, ujrzał się ów kanonik arcybiskupem. Cały świat dziwił się temu, iż ze snu był tak raptownie podwyższony. Tak i tu [...] było wam milczeć, nie wydając najmniejszego głosu, to by mogło i na was raptownie przyjść podwyższenie”³.

Z czasem jednak Święty Pan coraz częściej przedstawiał swój areszt nie jako rezultat zdrady niewiernych uczniów, lecz jako próbę charakteru, której sam ich poddał: „Gdy rybacy łowią wieloryby, zwyczajem ich jest podwiązać, dostawszy wieloryba, sznur pod jego gardzielą, a gdy się ciskać zaczyna, popuszczają mu sznura, aż gdy rybak ze swym czółnem do lądu dobije, dopiero szarpie i na brzeg go wyciąga. Podobnie i z wami, ja was mam przywiązanych na sznurze i umyślnie tego sznura wam popuściłem, żeby widzieć, czy będziecie mieli cnotę, stałość, tylko żem tego u was nie znalazł”⁴.

Przemieniając swój przymusowy pobyt na Jasnej Górze w dobrowolny, stanowiący konieczną i nieodłączną część jego posłannictwa, Mistrz wiązał go też coraz częściej z postacią jakiejś tajemniczej Panny, o której wspominał niemal w każdym liście: „Ja sobie kupiłem na to karetę sześciokonną, aby jechać jak jeden z wielkich panów i aby pokazać, że dla miłości tej Panny, choćbym

mógł być jak jeden z tych wielkich panów, opuściłem wszystko i poszedłem do aresztu dla Niej. Tak jak czytamy u Jakuba: *Waikach meawne hamokaum wayosem meraszausof* – wziął z tego miejsca kamienie i kładł się na nich⁵, co znaczy, że choć był przyzwyczajony leżeć na pościeli, przez miłość ku Niej kładł się na kamieniu”⁶; „Mówili przodkowie wasi: *Ki Moschiach ben Jossef beture de Roime weoschore, weoser* – Mesjasz znajduje się we wrotach rzymskich, zawiązuje i rozwiązuje. [...] Ja to jestem ten, co idę przed Nią i strzegę Jej. Ja to biorę na siebie wszelkie dolegliwości i bóle z wielkiej ku Niej miłości; zawsze oczy moje zwrócone są na Nią. Ja to jestem ten, co wiąże i rozwiązuje, jak własnymi widzicie oczyma”⁷; „Od początku świata mnie tylko samemu, nie innemu, oddana ta Panna, abym ja był Jej stróżem”⁸; „Choć mnie w Częstochowie ścigają wszelkimi oskarżeniami, ja na to nie zważam i cierpię dla wielkiej ku Niej miłości. Stąd macie rozumieć, że ja nie na darmo tyle cierpię w areszcie moim. Tak i wam cierpieć i całować ziemię”⁹, czy wreszcie: „Ja wam pokażę, że wprzód Panna odkryta być musi. Bo Ona jest przed Bogiem i Ona jest bramą do Boga. Przez Nią tylko przyjść można do Boga i Jego osiągnąć”¹⁰.

W swoich listach Święty Pan napominał też uczniów, aby zawsze trzymali się razem i starali się postępować dobrze, ilustrując to przykładami, które miały im zapaść głęboko w serca. Kiedyś napisał do nich: „Był jeden niedźwiedź. Podczas jego niebytności, wyjęto mu małe dzieci z jamy; z wielkiej boleści nie zastania ich wpadł ów niedźwiedź do wsi i kaleczył bydło i ludzi. Starsi ze wsi posłali do niego z tym nakazem: Jeżeli się nie oddalisz, zbierzemy dwie gromady i zgubimy cię. On się śmiał i drwił z tego. Posłali powtórnie, z napomnieniem, iż zbierzemy cztery lub więcej gromad. Również wyśmiewał się z tego. Na ostatek posłano do niego w te słowa: We wsi naszej jest czterech braci, tych my przeciwko tobie pošlemy. To gdy usłyszał, wziął się i poszedł w swoją drogę, oddaliwszy się zaraz ze wsi. Tak i z wami, ja was postawiłem za braci, abym sam nie szedł w te niebezpieczne drogi, abyście moimi pomocnikami byli, a wyście tego nie chcieli, odtąd napominam was, abyście byli uczciwi z Bogiem i ludźmi, z całego serca waszego, bez obłudy, jak byliście dotąd, wówczas będziecie godnymi widzieć, co Bóg czyni na tym świecie i każdą rzecz w szczególności, cuda Jego i wielkość”¹¹.

Innym zaś razem skierował do nich te słowa: „Była pewna familia królewska, która zawsze chorowała i choroba ich domowa wciąż nie wygaszona trwała. Pewien czarownik nadszedł i odkrył choroby tej przyczynę. Za bardzo

dawnych czasów – mówił on – pewien czarownik, zakochawszy się w jednej pannie z rodziny waszej, chciał ją mieć za żonę, a że ona go żadną miarą nie chciała, odmienił ją w drzewo i zaniósłszy ją na nieprzebytą górę, postawił to drzewo w naczynie z trzech metalów złożone, otoczywszy górę tygrami, lwami i zjadłymi bestiami. Nikt jej zaś uwolnić nie może, mówił ten nowo przybyły, jak jeden z rodziny waszej. Król, tej rodziny głowa, miał czterdziestu ośmiu synów. Chciał ostatniego zostawić, a wszech wysłać, aby zguby tej odszukali i przez to od choroby panującej w domu uwolnili się. Ale czarnoksiężnik nalegał, aby wszyscy co do jednego poszli mówiąc, a może ostatni będzie miał największe szczęście? Wszyscy poszli. Dwunastu poszło do góry, ale ich dzikie bestie pokaleczyły i powrócili nazad, nie chcąc iść dalej. Najmłodszy, na którego korona spadała, całą mocą uzbroiwszy się, z dzidą w ręku idzie na górę. Tygier rwie mu się naprzeciw. Pchnął go dzidą, tygier wziął utkwioną dzidę i poleciał. Królewicz został całkiem bezbronny, tylko mu trąbka pozostała. Począł w nią trąbić. Na odgłos tej trąbki uciekają wszystkie zwierzęta, on drapie się wszelką siłą po głogach, cierniach, kamieniach, wybojach, włazi na ostatek na górę i odpocząwszy nieco, porusza to naczynie z trzech metalów. Królewna z drzewa obraca się w żywą osobę piękności tej, co wprzód była, i zaraz go poznała, że on z tej samej rodziny co ona. On ją bierze do domu, radość powszechna, choroba zupełnie ustała, i to mu było na wieczną chwałę. Tak i tu, od najmłodszego pokolenia, powinniśmy się wszelkimi siłami starać za naszych przodków, przedprzodków i dla dzieci własnych i prawnuków, aby już wieczyście złego nie było”¹².

Posłuszni nakazom Mistrza, by trzymać się razem, jego przebywający w Warszawie uczniowie przenieśli się w maju 1760 roku do Lwowa, gdzie, poza wszystkim, życie było nieporównanie tańsze i spokojniejsze. Wraz z nimi zrobił to także rotmistrz von Zypke. We Lwowie czarny huzar nie ćwiczył już swoich „Machabeuszy” tak często jak dawniej, lecz pamiętając o tym, co przyrzekł Jakubowi Frankowi, zajął się przede wszystkim edukacją jego córki.

Nie było to wcale łatwe. Z początku, aby w ogóle ruszyć z miejsca, czarny huzar musiał korzystać z pomocy tłumacza. Pokazywał jakiś przedmiot, pytał głośno „*Was ist das?*”, Jakub Mniejszy przekładał to pytanie na polski, sześćioletnia Awaczunia mówiła, jak dana rzecz nazywa się po polsku, po czym czarny huzar podawał niemiecką nazwę tego przedmiotu i prosił, by powtórzyła ją kilka razy. Gdy jakieś słowo zostało wreszcie opanowane, przechodził do

następnego, potem do kolejnych, a kiedy jego uczennica poznała już niemieckie nazwy wszystkich przedmiotów znajdujących się w pokoju, a później w całym domu, zaczął rysować jej na kartce papieru rozmaite ptaki, słońca, lalki, drzewa, kwiatki, łódki i zwierzęta, żeby przejść następnie do budowania najprostszych zdań w rodzaju „Ptak fruwa”, „Kot śpi”, „Łódka płynie” czy też „Słońce świeci” oraz do typowo germańskich pytań, zaczynających się od różnych „Was”, „Wer”, „Wenn”, „Wo”, „Warum” albo „Wie”, i do udzielania na te pytania prawidłowych odpowiedzi.

Ruchliwa niczym żywe srebro Awaczunia uczyła się bardzo chętnie i chwyciła wszystko w lot, póki traktowała te lekcje jak jeszcze jedną zabawę, ale po pół godzinie zazwyczaj miała dosyć, a wtedy przestawała powtarzać nowe słówka i odpowiadać na pytania, kładła się na podłodze i udawała głuchoniemą bądź zaczynała coś podśpiewywać albo fikać koziołki, za nic mając obecność preceptora oraz własnej matki, strofującej ją w takich razach po hebrajsku lub po turecku, jako że pani Frankowa, chociaż nie znała polskiego ani niemieckiego, towarzyszyła córce na każdych zajęciach.

Niekiedy zresztą do lekcji w ogóle nie dochodziło, ponieważ tuż przed nią Awaczunia chowała się tak znakomicie, że choć szukali jej wszyscy domownicy, nikt nie potrafił jej znaleźć, ona zaś sama opuszczała kryjówkę dopiero wtedy, gdy rozgoryczony rotmistrz von Zypke już sobie poszedł.

Mimo to czarny huzar nie zrażał się i jego cierpliwość została w końcu nagrodzona, bo któregoś razu, po trzech miesiącach nauki, znudzona dziewczynka, zamiast jak dotąd kłaść się na podłodze lub fikać kozły jak niesforna małpka, zaczęła go nagle przedrzeźniać, powtarzając za nim słowo „Heissen”¹³ jako „Scheissen”¹⁴, „Marsch”¹⁵ jako „Arsch”¹⁶, a „Schule”¹⁷ jako „Schwule”¹⁸. Rotmistrz von Zypke, mocno wprawdzie zdziwiony, skąd zaczerpnęła tę rzadką w jej wieku wiedzę, poczuł się wtedy równie dumny, jak kilka miesięcy wcześniej, kiedy jego podwładni paradowali po Krakowskim Przedmieściu podziwiani przez zaskoczonych warszawskich gapiów.

Jego duma i satysfakcja wzrosły jeszcze bardziej, kiedy parę tygodni później jego uczennica, wyczyniająca akurat rozmaite akrobacje, zapytana o to, czy naprawdę nie interesuje jej język niemiecki, zaskoczyła go w odpowiedzi dwoma wyrecytowanymi bezbłędnie *Zungenbrecher*¹⁹: „*Fischers Fritze fischt frische Fische, frische Fische fischt Fischers Fritze*”²⁰ oraz „*Brautkleid bleibt Brautkleid und Blaukraut bleibt Blaukraut*”²¹.

Wprawdzie kiedy ją zapytał, co to znaczy, Awaczunia wzruszyła tylko ramionami, lecz od tej pory nie miał już żadnych wątpliwości, że jego metody pedagogiczne się sprawdzają i że ta rezolutna dziewczynka będzie kiedyś znała niemiecki nie gorzej od niego, a może nawet od samego doktora Marcina Lutra, uchodzącego w tej mierze za niedoścignętego mistrza.

Ucząc córkę Jakuba Franka, czarny huzar uczył się także sam, bo z jednolitego dotąd szumu polskiej mowy – najeżonej karkołomnymi zbitkami spółgłosek i arcytrudnymi samogłoskami nosowymi, zapamiętanymi jeszcze z lekcji łaciny jako „a” i „e” *caudatae*, pełnej także nieznanymi w języku niemieckim ostrymi dźwięków zbliżonych pod względem wymowy do twardego bądź nieco miększego francuskiego „j” – potrafił z każdym dniem wyłowić coraz więcej sensu, a kiedy robił swoje codzienne zakupy w którymś ze lwowskich sklepików, sprzedawcy coraz rzadziej się mylili i wreszcie zaczęli mu podawać to, o co prosił.

▪

Ponieważ starania o uwolnienie czy choćby tylko o widzenie ze Świętym Panem nie przynosiły żadnego rezultatu, jesienią 1760 roku jego żona i stronnicy postanowili wysłać do Częstochowy dwóch emisariuszy z zadaniem przekazania Mistrzowi wyrazów szacunku i pieniędzy, przekonania się naocznie, jak się miewa, oraz wysłuchania jego rozkazów i życzeń odnoszących się do całej kompanii.

Wybór padł na Mateusza Matuszewskiego (dawniej Chaima Warszawskiego z Kopyczyniec) i Jana Wołowskiego (ongiś Jehudę Szora z Rohatyna), którzy w swoich nierzucających się w oczy strojach szlachty zagrodowej dotarli na Jasną Górę bez żadnych przeszkód.

Na miejscu, kiedy pytali o lokum Mistrza, usłyszeli od jednego z wojskowych weteranów stanowiących załogę twierdzy, że Jakub Frank jest więźniem i nie wolno go odwiedzać. Na szczęście na widok srebrnego tynfa beznogi gwardzista w obszarpanym mundurze i wysokiej grenadierskiej czapie natychmiast zmienił zdanie i zaofiarował się zaprowadzić ich osobiście do tak zwanego dolnego aresztu, gdzie interesujący ich aresztant powinien był o tej porze zażywać odpoczynku.

Kiedy doszli na miejsce, w którym, wbrew temu, czego się spodziewali, nie widać było żadnych zamków, zasuw, rygli czy łańcuchów, ich przewodnik zastukał do ciężkich dębowych drzwi i zawołał głośno, jakby się zwracał do plutonu głuchych rekrutów: „Ekscelencjo! Goście do pana, mężczyźni”, po czym zasalutował i pokuśtykał o kulach z powrotem na swój posterunek.

– Wszelki duch! Jehuda, Chaim! – wyraz zaskoczenia i niedowierzania na twarzy Jakuba Franka szybko ustąpił miejsca oznakom radości. – Wchodźcie, wchodźcie, bracia!

Ale zanim weszli, z kwatery Świętego Pana wyszedł najpierw jakiś zakonnik w białym paulińskim habicie z przyborami do pisania w ręku.

– To brat Serafin, który dzięki uprzejmości przeora pomaga mi przy korespondencji – wyjaśnił Mistrz, kiedy mnich zniknął w głębi korytarza.

Miejsce odosobnienia Świętego Pana było dość obszerne, choć pod względem wygody daleko mu było do dworów i pałaców, w których często przemieszkował podczas swoich ostatnich miesięcy na wolności. Kiedy przybysze ze Lwowa złożyli mu z tego powodu wyrazy ubolewania, Jakub Frank machnął lekceważąco ręką:

– Mnie to nie przeszkadza, bo jest dokładnie tak, jak zapowiedziałem, kiedym jechał z Iwania do Lwowa przez Podhajce. Bardzo wielu zbierało się wtedy iść za mną, a ja mówiłem do nich: „Wiedźcie, że ja teraz idę do chrztu i dużo ludzi wiodę za sobą. Gdy usłyszycie, że zostałem panem, a wielu z tych ludzi, co za mną idą, będzie szanowanych i będzie się żywić ładnie, a nie ubogo, żebyście o tym zaprawdę wiedzieli, że to czart nas, a nie prawdziwy Bóg prowadzi. Jeśli zaś usłyszycie, że ja cierpię wielki niedostatek, a ludzie, co za mną idą, w wielkim są uciemieniu i ciskają ich z jednego miejsca na drugie, bez szat i żywności, macie wówczas wiedzieć, że to Bóg nas prowadzi i On to nas będzie prowadził na wieki”²². Jak widzicie, spełniło się co do joty. Jesteście głodni?

Widząc po ich minach, że chyba tak, Święty Pan odwrócił się w stronę niedomkniętych drzwi do sąsiedniego pomieszczenia, skąd sączył się nader przyjemny zapach:

– Kaźmirz, masz już co podać? Jak tak, to dawaj piorunem. I gdańskiej.

W chwilę później, gdy Matuszewski z Wołowskim zasiedli wygodnie przy stole, Kaźmirz, znany im dobrze osobisty kucharz Mistrza, jak zawsze w nieskazitelnie białym fartuchu i takiejż wysokiej czapce, przyniósł z sąsiedniej

izby trzy talerze, trzy kieliszki i karafkę zimnej wódki, a po upływie jeszcze paru minut wielką tacę z dwoma parującymi półmiskami i stertą grubo krojonych pająd chleba.

– Szyjki rakowe po polsku w śmietanie z koprem i sandacz z buraczkami i sufletem z kaszy gryczanej i grzybów – zaanonsował z namaszczeniem, po czym wycofał się dyskretnie do kuchni.

– Jedzcie i pijcie, czym chata bogata – zachęcił gospodarz, nalewając gościom i sobie po kieliszku gorzałki. – Lepszego sandacza nie znajdziecie w całym mieście.

– Mieście? – zdziwił się Matuszewski. – Skąd o tym wiesz, Święty Panie?

– Bo czasem tam bywam. Samotny mężczyzna ma różne potrzeby.

– A my myśleliśmy, że nie wolno ci stąd wychodzić – stwierdził z pewnym rozczarowaniem Wołowski.

– I dobrze myśleliście, bo nie wolno. Ale po pierwsze, nikogo nie obchodzi, czy stąd wychodzę, czy nie, a po drugie, nawet gdyby kogoś to obchodziło, ze strażnikami za parę groszy można załatwić wszystko. Byle wrócić przed nocą, bo wtedy często podnoszą most między bramami.

– To znaczy – Matuszewski odłożył z powrotem na talerz kawałek sandacza, który już podnosił do ust – że... że mógłbyś stąd uciec?

– A pewnie, że mógłbym – potwierdził przywódca kontrtalmudystów. – Tylko dokąd?

– Jak to dokąd? Na wolność – wtrącił z pełnymi ustami Wołowski. – Do Iwania, Rohatyna albo do Kopyczyniec.

– I po co? Żeby mnie tam zaraz znaleźli i odesłali ciupasem z powrotem?

– To do Turcji.

– Aha, żeby mnie tam skrócili o głowę za odstępstwo od wiary Proroka? – prychnął Mistrz.

– No to już nie wiem – poddał się Matuszewski.

– Nie, przyjaciele, nie zamierzam nigdzie uciekać – Święty Pan pokręcił głową. – Moje miejsce jest tutaj, w Polsce i w Częstochowie. W Polsce, bo grunt podniesienia jest właśnie w Polsce, a w Częstochowie, bo ziele żywota znajduje się w ziele śmiertelnym.

– Ziele żywota? – powtórzył za nim jak echo Wołowski.

– Tak, czyli Panna, na której moc całego świata zawisła. Jestem Jej posłem i muszę trzymać się i przestrzegać tego, co Ona mi rozkazuje, bo chciałbym was

do Niej zaprowadzić. Was i całą kompanię.

– A po co?

W odpowiedzi Święty Pan ciężko westchnął.

– Słyszeliście kiedyś o strzelcu, który gnał za ptakiem w lesie? Ptak ulatywał przed nim z jednego drzewa na drugie, póki nie uciekł do pałacu królewskiego. Strzelec gnał za nim i tam. Co wtedy czyni ptak? Oto staje za portretem królewskim i już się nie obawia strzelca. Tak i my powinniśmy ukryć się pod Jej skrzydłami, bo Ona jest portretem samego Króla. Wszystkie moce są u Niej i w ręku Jej. I tak jak mówili, że On zmartwychwstał, tak Ona powstanie z ziemi, prawie z ziemi, i przed nią będą klęczeć wszystkie królestwa ziemskie. Wybawienie zaczyna się bowiem od Panny.

Wołowski z Matuszewskim spojrzeli po sobie, po czym ten drugi zapytał bez cienia entuzjazmu:

– To kiedy nas do niej zaprowadzisz?

– A choćby i dzisiaj, jak zrobi się trochę luźniej. Ale o to, żeby was przyjęła na dobre, może trzeba się będzie starać długie lata. Bo najpierw musicie stać się Jej godni.

– Długie lata, to znaczy ile? – zaniepokoił się Matuszewski.

– Nie wiem. Może dziesięć, a może trzynaście?

– Trzynaście lat! – jęknął Wołowski i z wrażenia łyknął jednym haustem cały kieliszek wódki, po czym krztusząc się, zwrócił się do Mistrza błagalnie: – A nie można by tego trochę skrócić?

– Obawiam się, że nie. Bo to jest dokładnie tak, jak w przypowieści o królu, co budował wielki kościół. Majster założył fundament w ziemi, a potem uciekł od roboty na trzynaście lat i nikt nie chciał się podjąć dokończenia tej budowli. Po trzynastu latach powrócił, aby zakończyć gmach, i pytał go król, dlaczego uciekł, porzuciwszy robotę. Odpowiedział majster: budynek ten, com mu dał fundament, jest bardzo wielki. Gdybym go zaraz skończył, to grunt by tego ciężaru na sobie nie utrzymał i zapadłby się, dlatego umyślnie odszedłem, aby ten fundament dobrze osadził się w ziemi i bardziej już nie opadał. Teraz, kiedy zacznę stawiać na nim budowlę, ta już będzie wieczną i nigdy nie upadnie.

Po tych słowach obaj goście mocno zmarkotnieli i do końca posiłku odzywali się już tylko półsłówkami. A kiedy skończyli jeść, Jakub Frank wdział na siebie swój czerwony dolman z czarnymi wyłogami i wysoką futrzaną czapę, po czym zabrał ich na spacer, aby im pokazać swoje nowe włości.

Najpierw, żeby trochę ochłonać po obfitym i zakrapianym wódką posiłku, obeszlą dookoła wysokie klasztorne wały z czterema bastionami wysuniętymi do przodu niczym grotę gigantycznych włóczni. Oprócz stosunkowo nowych i sprawnych armat dniem i nocą czuwających nad bezpieczeństwem klasztoru, przybysze ze Lwowa zobaczyli tam także zwalone bezładnie na kupę, pozieleniałe ze starości szczątki nieporównanie większej kolubryny, wysadzonej sto lat wcześniej w powietrze przez obrońców Jasnej Góry w czasie szwedzkiego oblężenia.

Wołowski z Matuszewskim próbowali podnieść jeden fragment działa, bynajmniej nie największy, lecz nie zdołali go nawet oderwać od ziemi. Podziwowali się więc trochę nadludzkiemu wzrostowi i sile dawnych Szwedów, którzy musieli takie monstrum obsługiwać, po czym poszli obejrzeć niebotyczną wieżę, wznoszącą się hen w przestworza niczym jej sławna poprzedniczka Babel lub drabina Jakubowa, o których nieraz czytali w Torze. Napatrzywszy się jej do syta – aż od zadzierania głów w górę zaczęły ich boleć karki – zwiedzili następnie dom muzykantów i dobrze zaopatrzoną, pachnącą ziołami aptekę, a potem, przez kolejne dziedzińce i kaplicę św. Antoniego, udali się do wspaniałej bazyliki, gdzie na widok złocistych marmurów i utrzymanego w tej samej tonacji sklepienia, pełnego malowideł i różnych rzeźbionych ozdób – stanęli jak wryci. Zdjęci podziwem chcieli zostać w niej dłużej, aby napaść oczy tym widokiem, lecz Mistrz już ciągnął ich dalej, przez następny podwórzec, do niewielkiej starej kaplicy, gdzie, jak powiedział, mieszkało ziele żywota, czyli Panna.

We wnętrzu tej kaplicy, rozświetlonym blaskiem setek świec i lamp oliwnych, panował znacznie większy tłok niż w bazylice. Widziało się tam rumiane, dobrze odżywione twarze szlachty w barwnych kontuszach i w wilczych, rysich bądź sobolowych szubach; gładko wygolone fizjonomie noszących się z niemiecką mieszczańską, sterane pracą i pobrużdżone niejedną niedolą oblicza wieśniaków w wielokroć łątanych sukmanach i byle jak wyprawionych kozuchach, a nawet stężale pod maską zaskorupiałego brudu i przerażające niekiedy brakiem choćby jednego spróchniałego zęba gęby proszalnych dziadów, odzianych jedynie w podarte łachmany i ze strzępami zabłoconych szmat zamiast butów.

Ku zdumieniu Wołowskiego i Matuszewskiego, wszyscy ci zatopieni w modlitwie pielgrzymi byli ze sobą wymieszani bez różnicy stanu i majątku,

i niekiedy stali lub klęczeli przy sobie ramię w ramię, jakby to miejsce, w którym się znajdowali, miało jakąś magiczną moc unieważniania wszystkich światowych różnic i hierarchii.

To niezwykle wrażenie równości i braterstwa ludzi, których na co dzień musiało dzielić wszystko, spotęgowało się jeszcze, kiedy jakiś piskliwy kobiecy głos zaintonował pieśń, podchwyconą od razu przez wielu obecnych:

*Witaj święta i poczęta, niepokalanie,
Maryjo, śliczna lilija, nasze kochanie!
Witaj, czysta Panienko, najśliczniejsza Jutrzenko!
Witaj, święta, Wniebowzięta, Niepokalana!
Swą pięknością, niewinnością w niebie górujesz,
W dostojństwie i panieństwie wszystkim celujesz:
W pierwszym, Panno, momencie, święte Twoje Poczęcie,
Jaśniejące jako słońce, Niepokalana!
Sam Bóg święty z Ciebie wzięty dla tej przyczyny,
Żeś się stała i została zawsze bez winy.
Tyś przed wieki przejrzana, i za Matkę wybrana
Jezusowi Chrystusowi, Niepokalana!
Twoje państwo i poddaństwo, świat, nieba Pani!
Cesarzowie, monarchowie Twoi poddani!
Dla Twojej wielkiej godności dał Ci Bóg w swej hojności,
Żeś poczęta zaraz święta, Niepokalana.*

Jeszcze większe zdumienie ogarnęło Wołowskiego i Matuszewskiego, kiedy przeciskając się powoli za Świętym Panem przez tłum pielgrzymów, dotarli wreszcie do ozdobnej kutej kraty oddzielającej prezbiterium od reszty kaplicy.

Całą szerokość ściany na wprost nich zajmował wspaniały ołtarz z czarnego hebanu, ozdobiony czterema kolumnami o srebrnych głowicach i wykonanymi z tego samego kruszcu figurami aniołów i pustelników, przy czym zarówno ołtarz, jak i otaczające go ściany, obite lśniącem jedwabiem, tonęły w powodzi błagalnych i dziękczynnych wotów.

Najwięcej było wśród nich różnej wielkości serc i serduszek ze srebra albo złota, miniaturowych rączek, oczu, nóżek i uszu wykonanych z tych samych szlachetnych metali, mniej lub bardziej ozdobnych rycerskich ryngrafów oraz

prostych tabliczek z wosku, na których, czasem z kaligraficzną wprawą, czasem zaś straszliwymi kulfonami i z błędami ortograficznymi, wyrażano Jasnogórskiej Pani bezgraniczną miłość, wdzięczność i oddanie.

W kaplicy nie brakowało również kaskad różańców, grubych pęków koralików, bursztynów i pereł, ciężkich girland bransolet, zapinek i kolczyków, pierścieni nanizanych na sznury niczym obwarzanki, pojedynczych egzemplarzy porzewiałej ze starości broni, wyszczerbionej pod Grunwaldem, Orszą, Kircholmem czy Wiedniem, niepotrzebnych już ozdrowiałym ślepcom i chromym kul i lasek – zarówno krzywych i sękatych, nieposiadających żadnej wartości, jak i eleganckich, idealnie prostych i gładkich, wykończonych srebrem lub kością słoniową – a wreszcie najskromniejszych pod słońcem bukietów suchych kwiatów i umajonych kolorowymi wstążkami snopków zboża z ostatnich żniw.

– Ależ tu bogactwa, niech mnie wszyscy diabli! – wykrztusił oszołomiony Wołowski.

– Zachowuj się, Jehuda – ofuknął go po cichu Święty Pan. – Jesteś w komnacie Królowej Polski.

– Królowej Polski, a nie Panny?

– Na jedno wychodzi.

– To gdzie ona jest? – zaintrygowany Wołowski zaczął się rozglądać na boki.

– Zaraz zobaczysz.

I rzeczywiście, kiedy w chwilę później rozległa się uroczysta intrada zagrana na trąbkach, kornetach i tubie, wszyscy obecni padli na kolana i w ołtarzu głównym zaczął się odsłaniać obraz Panny z Dzieciątkiem na ręku.

Królowa Polski o pociągłej ciemnej twarzy naznaczonej na prawym policzku dwiema biegnącymi równolegle na ukos bliznami, w której wdzięk dziewictwa łączył się w przedziwny sposób z majestatem macierzyństwa, spoglądała na zgromadzonych w kaplicy ludzi pełnym łagodności wzrokiem, choć zarazem przenikliwie, pochyłona nieznacznie ku swojemu Synowi, który w lewej ręczce trzymał książkę, a prawą błogosławił świat. Oboje ubrani byli w drogocenne szaty ozdobione wielką ilością szlachetnych kamieni – Matka w niebieską, Dziecko w czerwoną – i nosili na głowach złote korony.

– E, to Matka Boska – stwierdził rozczarowany Matuszewski. – Już ją widziałem, w Brzeżanach albo w Podhajcach.

– Możliwe. Ma wiele portretów, jak to królowa. Ale ten jest najważniejszy – oświadczył z dumą Święty Pan.

– Hm... Jeśli to Królowa Polski, to czemu taka czarna? – w głosie Wołowskiego zabrzmiało niedowierzanie.

– Nie wiem. Może od kopających tu dniem i nocą świec? – odpowiedział przywódca kontrtalmudystów.

– A dlaczego taka pokiereszowana?

– Ponad trzysta lat temu jakieś łotry – jedni mówią, że Czesi, inni, że Polacy – napadli na Jasną Górę, zabili dwunastu zakonników i zrabowali drogie wota. Ukradli też ten obraz i załadowali go na wóz razem z innymi łupami. Wyjechali z klasztoru, lecz niedaleko Jasnej Góry konie nagle stanęły i nie chciały dalej iść. Wtedy zbójcy zrzucili ze złością obraz na ziemię, od czego pękł na trzy części, a potem jeszcze pocięli twarz Panny mieczami.

– A to łotry! Jak można tak zszpecić piękną kobietę? – oburzył się Wołowski.

– Przecież już mówiłem, że łotry. Na szczęście Święty Jedyny – niech będzie błogosławiony! – ukarał ich zaraz za to świętokradztwo śmiercią. Wszyscy zginęli w strasznych męczarniach, a obok zbezczeszczonego obrazu wytrysło źródło, w którym mnisi obmyli go z błota. Nad tym źródłem, ujętym później w studzienkę, znajduje się teraz kaplica, bo wiele osób korzystających z jego wody zostało cudownie uzdrowionych. Jeśli zaś chodzi o obraz, to go potem naprawiono, tyle że choć trzy razy kładziono farby, cięcia i rany nie dały się zamalować.

– Warto by się tej wody napić – zauważył rzeczowo Matuszewski. – Tak na wszelki wypadek.

– Dobrze. Później was do niej zaprowadzę.

– W takim razie ten mały to królewicz? – indagował dalej Wołowski.

– Owszem, powiadają nawet, że Król królów. Zresztą, sami słyszeliście: „*Cesarzowie, monarchowie Twoi poddani!*” – zanucił Mistrz, a potem zapytał: – No i jak wam się podoba?

W odpowiedzi Wołowski podrapał się za uchem i rzekł:

– Czy ja wiem? Jako kobieta i królowa całkiem, całkiem, ale jako panna z dzieckiem nie za bardzo.

– W dodatku może Cyganka – dorzucił Matuszewski. – Nie wiem, czy warto się dla takiej męczyć aż trzynaście lat.

– Dosyć tego! – zdenerwował się Święty Pan. – Na żarty się wam zebrało? Widzę, że ochrzczeni czy nie, pod jednym względem jesteście równi innym narodom, bo tak jak one o niczym nie mają pojęcia, tak i wam nic nie wiadomo. I pomyśleć, że ta Panna, chociaż z Dzieckiem, tak się cieszyła wami, gdyście do chrztu weszli, i bardzo pragnęła, abyście szli zawsze w całości i Ją kochali! Wiedźcie, durnie, że od dzisiaj, jeśli godnymi będziecie, ja tylko tego z was przyjmę, kogo mi Ona powierzy. I tylko oni zobaczą Dom Boży!

A potem, widząc, że niektórzy z pielgrzymów zaczynają na nich sykać z powodu ich zbyt głośnej rozmowy, zniżył głos i zarządził:

– Won stąd, zanim nas wyrzucą.

Lecz po powrocie na kwaterę wybuchł ponownie:

– Więc to tak? Panna wam się nie podoba, bo czarna, ranna i z Dzieckiem? To może myślicie, że królowie i panowie polscy są głupszy od was, bo od wieków idą do Jej portretu z wielką pokorą? Oj, chyba nie! Już szybciej o was da się powiedzieć to samo, co o tym wieprzku, którego pewien chłop zaniósł do poświęcenia w Podhajcach. Kiedy wracał z kościoła, wieprzek wypadł mu na ziemię i zwał się w błocie. Zdziwiony chłop rzekł na to: Już poświęcony, a jednak swojej natury odmienić nie może! Tak i wy, choć już was wodą oczyszczono, jednak waszych praw i myślenia porzucić nie możecie! Ale może to nie wasza, tylko moja wina? Może powinienem był wam częściej i lepiej tłumaczyć, że kto chce przystąpić do Panny, aby Ją napić miłością, musi się trudzić i gonić za Nią rok, dwa albo i więcej – choćby i trzynaście lat – i zalotami Ją nęcić ku sobie, i dlatego wy się jeszcze Jej nie uchwyciliście? Bez Jej zaś mocy żaden człowiek w żadne miejsce iść nie może, chyba że Ona sama go powiezie, bo Ona to wszech mocy moc. Wiedźcie, że w tym portrecie przebywa *Szechina*, trzeba ją tylko z niego wydobyć.

– *Szechina*?! – powtórzył za nim jak echo Matuszewski. – To co innego. W takim razie na pewno nam to za mało tłumaczyłeś i nie najlepiej.

– Zamknij się, Chaim – Mistrz pogroził mu pięścią. – Ja się do swoich grzechów przyznaję, wy się zajmijcie waszymi.

– Naszymi? A niby jakimi? – zdziwił się Wołowski.

– Srakimi! Lenistwem, wygodnictwem, głupotą, brakiem dociekliwości i poprzestawaniem zawsze na małym. Kiedy przyszedłem do was do Iwania, mówiłem wam przecież nie raz: Ja jestem posłem od Boga, i odkryłem wam, iż musimy iść do chrztu. Podług rozumu naturalnego należało wam zapytać: Cóż

będziemy czynić w tej religii, do kogo się modlić i jak modlić się mamy? Skąd się żywić będziemy? Gdybyście mnie o to pytali, odpowiedziałbym wam na każdy punkt i nawet powiedziałbym wam o moim przyszłym areszcie w Częstochowie. Potem podzieliłbym całą kompanię na dwanaście części, a w każdej części postawiłbym jednego z was, rozkazawszy, aby każda część udała się do innego województwa, określiłbym przy tym strój, w jaki każda część ma się stroić, aż wreszcie wołałbym po trzech z was do Częstochowy i dałbym rozkaz, abyście nie wchodzili prosto do fortecy, tylko siedzieli jakiś czas w miasteczku pod klasztorem.

W tym czasie kupilibyście sobie mały portrecik, a zamknąwszy się dobrze z zawarowanymi oknami w jednej izdebce, musielibyście trzy dni i trzy noce modlić się przed tym portretem, bez jadła, picia i snu. Dopiero wtedy rozkazałbym wam, abyście się dobrze wykąпали, pourzynali sobie paznokcie u rąk i nóg, i ubrawszy się na biało, podeszli do bramy fortecy następującym sposobem: z oczami ku ziemi spuszczoneymi, z rękoma na dół zwieszonymi i w największym milczeniu. Wszyscy mówiliby, że oszaleliście, ale wy postalibyście w tej pozycji przez jakiś czas i dopiero wtedy weszlibyście do fortecy.

A kiedy by was przyprowadzono do mnie, postawiłbym przed wami pewną rzecz, abyście na nią patrzyli i mocno na nią wglądali. Tak musielibyście stać sześć godzin, wciąż na nogach ze spuszczoneymi oczami i rękoma, na żadną rzecz się nie oglądając i nie poruszając się wcale, choćby was mucha gryzła, a nawet wąż się wam okręcił wokół nóg. Boże broń, żeby się znalazł takowy, co by tego wytrzymać nie mógł, bo od razu wyleciałby z izby za mur! Wy musielibyście to w dzień czynić, a kobiety w nocy. I chociaż nie w mocy człowieczej znieść to, jednak musielibyście wszelkimi siłami, ile możności, mocować się, a gdybyście godnymi byli to znieść, to Ona dałaby wam moc nową, abyście odtąd wszystko wytrzymali. Wówczas dopiero usłyszelibyście głos mówiący do was. Ja bym zapytał każdego, co usłyszał i co odpowiedział, każdy podług stopnia swego. Gdybyście z Nią byli, to Ona by z wami tak mówiła, jak ze mną, i tak by się cieszyła z wami, jak ze mną, a potem by was wprowadziła do kościoła nago, bez żadnej bojaźni i drżenia. I bylibyście odtąd szanowani w oczach wszystkich polskich magnatów, a mnie więcej by czci oddawano jak królom i cesarzom.

– Mielibyśmy iść do kościoła nago, niczym jakieś lafiryndy? – oburzył się Wołowski.

– Tak, na znak waszej niewinności i na dowód tego, że nie macie przed Nią nic do ukrycia.

– A cóż to za portrecik, przed którym mielibyśmy się modlić przez trzy dni i trzy noce na głodniaka, oraz ta „pewna rzecz”, w którą mielibyśmy się gapić bez ruchu przez sześć bitych godzin, choćby nas węże po nogach gryzły? – zapytał z niechęcią Matuszewski. – No i ten głos, co to niby miały do nas na końcu przemówić?

– Trzeba się było o to pytać w Iwaniu, nie teraz – Święty Pan rozłożył z satysfakcją ręce. – Teraz najważniejsze to przypaść do gustu Pannie.

– To już wiemy – nieukontentowanie w głosie Matuszewskiego jeszcze się wzmogło.

– Naprawdę? To ja ci powiem, Chaim, że tyle wiecie, co zjecie, czyli gówno. Myślicie, że Mesjasz będzie mężczyzną? W żadnym wypadku, bo gruntem jest Panna. To Ona będzie prawdziwym Mesjaszem. Zapamiętajcie sobie raz na zawsze: wszyscy Żydzi zostają dzisiaj w ucisku, w zgryzocie i w zamęcie, bo ufają w przyjście Mesjasza w osobie męskiej, nie zaś w przyjście Panny. I to jest wielki błąd! Macie dzieci?

– Nie. Bo co?

– To radzę wam się o nie szybko postarać. Chyba że wolicie je urodzić sami?

– Urodzić sami? Jakże to? – przeraził się Wołowski.

– Zwyczajnie. Podobno Pierwszy, odkąd połączył się z *Szechiną*, świecił jak słońce, znał wszystkie języki i był tak naprawdę kobiecej płci. Więc gdy się ta Panna, w którą się teraz wcieliła *Szechina*, połączy się ze mną, to może i wy będziecie świecić jak promienie, znać wszystkie języki i też zostanieie kobietami?

– Nie, Panie, tylko nie to, tylko nie to! – zaprotestował gwałtownie Wołowski.

– A czemu nie? Sracie w gacie ze strachu? – zaśmiał się Jakub Frank. – Ciekawe dlaczego? Czyżbyście mieli coś do stracenia?

– Mniej więcej to samo, co ty, Święty Panie – zauważył ponuro Matuszewski.

– Raczej mniej niż więcej. Bo jeśli chodzi o mnie, to ja miałem w młodości tak żywe przyrodzenie, że gdy raz jeden młodzieniec chciał wleźć na drzewo, podstawiłem mu je stojące i wlaźł po nim jak po drabinie na sam czubek. Także

w najzimniejszej wodzie zawsze mi stało. A gdym szedł między panny, musiałem je sobie przywiązywać, bo bez tego toby mi przebiło ubranie na wylot. Ale wy? Wolne żarty!

– Wszystko jedno – szepnął błagalnie Wołowski. – Wolę mieć byle jakie, niż być kobietą.

– Ja też, o ile to nie jest naprawdę konieczne – poparł go Matuszewski.

– Dobrze, nie martwcie się na zapas. Wszystko zależy od tego, jak się będziecie sprawować. Jeśli Ona i ja będziemy z was zadowoleni, może coś się wymyśli – pocieszył ich Mistrz. – Chyba że wy sami podsuniecie jakieś rozwiązanie?

Wołowski z Matuszewskim popatrzyli na siebie bezradnie, a potem jak na komendę pokręcili głowami.

– Tak właśnie myślałem – Święty Pan uśmiechnął się. – To powiem wam jeszcze jedno. Otóż w młodości mojej znajdowała się w rzece Prut ryba sum, żyjąca w głębinie. Ja z innymi dziećmi kąpałem się w tej rzece, a sum tchem swoim wciągnął był ludzi kilkoro i ich połknął, tylko ich ubrania na brzegu zostały. Raz kąpałem się z moimi kolegami blisko tej głębinie i poczuliśmy, że nas dech suma wciągać zaczyna. Lecz był między nami jeden rozumny chłopiec, który powiedział: „Zapewne tu albo czarownica, albo ryba jaka znajduje się, co nas swym oddechem ku sobie ciągnie”. Leżało nieopodal stamtąd wielkie drzewo z gałęziami, młody ów radził mi, abym się uchwycił gałęzi tego drzewa, co gdy uczyniłem, wszyscy chwytały się mnie i takem ich wszystkich wybawił. Potem wielu ludzi wyciągnęło tę rybę i w niej bardzo wiele dzieci znaleziono, które ona połknęła. Tak i z wami: wielu was, a nie ma jednego rozumnego, z którym by można pogadać i który by dobrze poradził. Rozkazuję wam, wracajcie do Lwowa i powtórzcie całej kompanii wszystko, coście tu widzieli i słyszeli, zabiegajcie dalej o moje uwolnienie, a jak tylko będzie można, przyjeżdżajcie wszyscy razem do Częstochowy.

– Tak jest, Święty Panie! – najpierw Wołowski, a potem Matuszewski przypadli skwapliwie ustami do wyciągniętej ku nim łaskawie ręki Mistrza.

▪

Nadzieje Mistrza na rychły przyjazd kompanii do Częstochowy okazały się płonne, ponieważ przez dwa następne lata jego zawiedziony ojciec chrzestny

August III oraz prymas Polski Władysław Aleksander Łubieński konsekwentnie odrzucali prośby frankistów o pozwolenie przeniesienia się w pobliże Jasnej Góry, skutkiem czego Święty Pan musiał spędzić ten czas w samotności – na studiowaniu Biblii, pisaniu listów, szukaniu sposobu wydobycia *Szechiny* z obrazu Jasnogórskiej Panny i kontemplacji tego, co działo się na Bożym świecie.

A działo się na nim naprawdę sporo. Przede wszystkim dalej toczyła się wojna rozpoczęta w 1756 roku zdradzieckim atakiem Prus na Saksonię i przybierająca coraz bardziej niepomysłny obrót dla berlińskiego agresora. Osobą zaś, która z takiego jej przebiegu miała najwięcej satysfakcji (oprócz, rzecz jasna, władców Austrii, Rosji, Szwecji, Francji i wielu drobnych państw Rzeszy), był z całą pewnością pan Gédéon Benoît, *chargé d'affaires* poselstwa pruskiego w Warszawie, współpracujący od jakiegoś czasu bardzo gorliwie z jego ekscelencją Fiodorem Wojejkowem, ambasadorem Jej Imperatorskiej Mości Elżbiety I Romanowej.

Współpraca pana Benoît z rosyjską ambasadą nie oznaczała rzecz jasna, że zaniedbywał on swoje obowiązki względem Fryderyka II. *Chargé d'affaires* poselstwa pruskiego w Warszawie nie był przecież głupcem ani samobójcą. Dlatego, zgodnie z ogólną dyrektywą Berlina, aby za panowania Augusta III ani jeden polski sejm nie podjął żadnej uchwały w jakiegokolwiek sprawie, doprowadził, nie żałując na to pieniędzy, do zerwania obrad polskiego parlamentu w 1760 roku, rok później zaś zaangażował się mocno w przygotowania do zerwania kolejnego sejmiku, podczas którego Polacy zamierzali uzdrowić swoją walutę. Choć Prusy i Rosja nadal toczyły wojnę, w obu przypadkach pan Benoît współdziałał niemal jawnie z ambasadorem Wojejkowem, zgodnie z zawartym czterdzieści lat wcześniej w Poczdamie tajnym prusko-rosyjskim traktatem zobowiązującym oba kraje do wspólnego przeciwdziałania wszelkim reformom w Polsce, mogącym w jakikolwiek sposób wzmocnić Rzeczpospolitą.

Mimo to coraz bardziej niekorzystny dla Prus przebieg wojny szczerze go cieszył, bo potwierdzał słusność dokonanego przez niego wyboru. Kiedy zaledwie trzy miesiące po Kunersdorf Austriacy rozgromili armię pruską pod Maxen, zabijając, raniąc bądź biorąc do niewoli czternaście tysięcy Prusaków wraz z ulubionym generałem Cezara Północy Friedrichem Augustem von Finckiem, pan Benoît wręcz skakał z radości. A kiedy pół roku później w bitwie

pod Landeshut, nazwanej potem nieco na wyrost Pruskimi Termopilami, ci sami Austriacy wyeliminowali z walki dalsze dwa tysiące Prusaków i wzięli do niewoli trzech innych generałów – znanego z okrucieństwa Heinricha Augusta de la Motte-Fouqué (jedyny, któremu pan Benoît odrobinę współczuł, bo był Francuzem), Friedricha Augusta von Schenckendorffa oraz sławnego zabijakę, dowódcę żółtych huzarów, Pawła Józefa Małachowskiego – *chargé d'affaires* poselstwa pruskiego w Warszawie podjął ambasadora Wojejkowa wspaniałą kolacją z kawiozem i szampanem.

Tymczasem, choć po Landeshut Trajan znad Szprewy wołał w rozpacz: „Koniec! Koniec z nami!”²³, dwa kolejne ważne starcia, pod Legnicą i pod Torgau, udało mu się niestety wygrać. Pan Benoît mógł się pocieszać tylko tym, że były to w istocie zwycięstwa pyrrusowe, kosztujące Prusaków kolejne dwadzieścia tysięcy ofiar. W dodatku, po bitwie pod Torgau po raz pierwszy zdarzyło się, że część pruskich żołnierzy przestała słuchać rozkazów swoich oficerów i zaczęła bratać się z nieprzyjaciółmi. Na dobre *chargé d'affaires* poselstwa pruskiego w Warszawie uspokoił się jednak dopiero jesienią 1760 roku, kiedy to dwaj rosyjscy generałowie, Tottleben i Czernyszew, zajęli na parę dni Berlin i choć się z niego szybko wycofali (na szczęście tylko za opłotki), zdążyli wycisnąć z miasta półtora miliona talarów kontrybucji. W dodatku, jakby dobrych wiadomości znad Szprewy było jeszcze mało, wkrótce potem dotarła do Warszawy informacja, że towarzyszący Moskałom Sasi splądrowali przy tej okazji do szczytu dwa berlińskie pałace Fryderyka II – w Schönhausen i w Charlottenburgu.

Choć pan Benoît nie znał wszystkich szczegółów, domyślał się z satysfakcją, że jego królewski pryncypał musiał być w tym czasie bliski nerwowego załamania. I jak przystało na wytrawnego dyplomatę, były to domysły słuszne, bo rzeczywiście, zaraz po Torgau, gdzie przed śmiercią od odłamka austriackiego kartacza uratował go jedynie gruby kozuch, Fryderyk II pisał w głębokiej rozpacz do swojego przyjaciela Jeana-Baptiste'a de Boyera, markiza d'Argens: „Wszystko jest czarne. Mam wrażenie, że leżę na dnie grobu. Proszę okazać współczucie dla położenia, w jakim się znajduję. Proszę pamiętać, że niczego przed panem nie ukrywam. *Adieu*, drogi markizie. Proszę się odezwać i pamiętać o nędzarzu, który przeklina sto razy na dzień, że się narodził i marzy o krainie milczenia, dokąd żadne smutne wieści nie docierają”²⁴. Zaś przy innej okazji: „Pan jako uczeń Epikura ceni sobie życie. Ja patrzę na śmierć oczami

stoika. Nie dożyję chwili, w której byłbym zmuszony do zawarcia niekorzystnego pokoju. Żadne namowy nie spowodują, bym przypieczętował własną hańbę. Albo zostanę pogrzebany pod zgłiszczami mego kraju, albo znajdę sposób na zakończenie nieszczęścia, jakim los mnie prześladowuje”²⁵.

Inny list Cezara Północy z tego okresu, skierowany do pani Camus, ochmistrzyni dworu królowej Prus, był jeszcze bardziej gorzki: „Dostanie pani swój serwis śniadaniowy, sześć filiżanek do kawy bardzo ładnych, z kwiatuskami i ozdóbkami, które tak podnoszą ich wartość. Ja od czterech lat nie jadam kolacji, a podczas marszu mam za cały obiad filiżankę czekolady. Pędzimy naprzód jak wariaci, by przegonić Austriaków z Drezna, a oni, stojąc na szczytach gór, tylko się z nas śmieją. Musimy wyrzucić stąd armię Rzeszy, by zapewnić sobie kwatery i wyżywienie. Prowadzę życie gorsze jak pies. Cała ta mordęga bardzo mnie postarzała. Włosy na prawej połowie głowy są już zupełnie białe. Zęby mi się wykruszyły. Moja twarz jest pomarszczona jak damska halka. Plecy mam wygięte jak smyczek. A duch mój jest opanowany przez smutek. Mówię o tym, by się pani nie przestraszyła, gdy się spotkamy”²⁶.

Tak więc, ku wielkiemu zadowoleniu pana Benoît, w kolejny rok wojny, 1761, Prusy wchodziły bardzo osłabione. Ludność państwa zmniejszyła się o pół miliona, czyli o jedną szóstą. Śląsk był doszczętnie zniszczony i splądrowany przez wszystkie walczące armie. Prusy Wschodnie, Pomorze, duża część Brandenburgii i posiadłości pruskie w zachodnich Niemczech znajdowały się pod obcą okupacją, ściągającą z nich rozmaite kontrybucje, rekwizycje, furaż i podatki. W reszcie kraju coraz trudniej było o pieniądze i rekruta, bez których nie dało się prowadzić wojny. Na domiar złego z Anglii przestały napływać subsydia przeznaczone na obronę związanego z tym krajem Hanoweru, wynoszące dotąd prawie trzy i pół miliona talarów rocznie, ponieważ Fryderyk II wydawał je na zupełnie inny cel, finansując z tych środków swoje kampanie w Saksonii i na Śląsku.

W tej sytuacji Marek Aureliusz Północy wyciskał potrzebne mu rozpaczliwie pieniądze przede wszystkim z neutralnej Polski, którą zalewał fałszywą monetą wymienianą na miejscu na dobre srebro, jak również, w formie kontrybucji, z okupowanych miast Saksonii: milion sto tysięcy talarów z Lipska, dwieście piętnaście tysięcy z Chemnitz, dwieście tysięcy z Naumburga, sto dwadzieścia tysięcy z Merseburga, osiemdziesiąt tysięcy z Zwickau etc., etc., etc. Błagającym o litość rajcom saksońskich miast tłumaczył zimno: „Oszczędzałem

ten piękny kraj, jak tylko mogłem” i puentował bezlitośnie: „Nie dacie pieniędzy, to spalimy miasto”²⁷.

Z wypieszczonej armii Króla-Sierżanta pozostały tylko nędzne resztki. Oprócz prawie dwustu tysięcy żołnierzy na polach bitew poległo również wielu dowódców, w tym kilku najzdolniejszych, z marszałkami Kurtem Christophem von Schwerinem, Jakobem von Keithem i Maurycem von Anhalt-Dessau na czele. W regimentach piechoty, zamiast regulaminowych pięćdziesięciu dwóch, służyło najwyżej po dwunastu, piętnastu oficerów, często tylko naprędce wyszkolonych. Z trudem zdobytych rekrutów, przeważnie skądś porwanych i wcielonych do szeregów siłą, ćwiczono szybko i byle jak, choć prawdę rzekłszy, nie warto ich było szkolić lepiej, ponieważ i tak uciekali całymi setkami przy pierwszej okazji. Na domiar złego, przetrzebioną przez wroga i dezercje armię dziesiątkowały dodatkowo głód i choroby, gdyż wojsko żywiło się wyłącznie tym, co ukradło.

Pytany, jak wybrnąć z tej sytuacji, Salomon Północy odpowiadał po stoicku: „Nie mam już żadnych zapasów i nie wiem, skąd je wziąć”²⁸, ale w głębi ducha był przerażony. Stratami w ludziach nigdy się nie przejmował („Przy stanie armii wynoszącym 50 000 wojska, strata czterech, pięciu tysięcy ludzi jest rzeczą bez znaczenia”²⁹), tyle tylko, że teraz nie było ich kim uzupełniać. Pozostało mu zaledwie trzydzieści pięć tysięcy żołnierzy, podobną liczbą dysponował także jego brat książę Henryk, co wystarczało na doraźne opędzanie się od Austriaków – odzyskujących powoli Śląsk, choć niepotrafiących jeszcze zdobyć najważniejszych tamtejszych twierdz: Wrocławia, Brzegu, Nysy, Koźła i Głogowa – lecz nie pozwalało na podejmowanie żadnych działań zaczepnych.

Jedyną siłą, mogącą jeszcze przyjść z pomocą pruskiemu Cezarowi, byli Turcy i Tatarzy, których od paru lat próbował podburzyć przeciwko Rosji przy pomocy swego ambasadora w Stambule i zarazem agenta na Krymie Boscampa, międzynarodowego awanturnika podającego się za Holendra, znającego dobrze wschodnie języki i tamtejsze stosunki. Ale wezyr Mohammed Ragib nie chciał się wtrącać w waśnie gjaurów, które uważał za wojnę „świń przeciw psu”, a chan Krym Girej, mający kłopoty we własnym państwie, wciąż kluczył, podbijał stawkę, zmieniał terminy i warunki, lecz koniec końców nie ruszał się z miejsca.

Ze swojej strony po Kunersdorf Fryderyk II unikał już jak ognia walk z Moskalami, tak wyjaśniając tę postawę swojemu bratu: „Ani myślę atakować Rosjan. To Austriacy są naturalnymi wrogami Prus. Tylko przypadek zrządził, że

Rosjanie znaleźli się w obozie naszych nieprzyjaciół. Inny przypadek może uczynić z nich naszych sojuszników”³⁰. Było to całkowicie odmienne podejście do Rosjan od tego, jakie zaprezentował w sierpniu 1758 roku, kiedy to po raz pierwszy ujrzał rosyjskich żołnierzy – grupkę jeńców ujętych niedaleko podpalonego i zbombardowanego przez Moskali Kostrzynia nad Odrą – i widząc, jak bardzo są brudni, zarośnięci, zawszeni i obdarci, stwierdził z pogardą, że Prusacy łatwo „dadzą sobie radę z tą dziczą”, a on sam osobiście „nauczy Rosjan rozumu”³¹. Niewiele lepiej potraktował wtedy kilku wziętych do niewoli rosyjskich generałów, każąc zamknąć ich w ocalałych kostrzyńskich lochach. Gdy jeden z nich, hrabia Sałtykow, zapytał oburzony: „Czy jest to pomieszczenie godne dowódców?”, król Prus odpowiedział: „Gdyby Rosjanie nie spalili miasta, panowie generałowie otrzymaliby wygodniejsze kwatery. Na przyszłość niech pamiętają, że są w Europie, a nie na Dzikich Polach. Tu pali się miasta tylko w największej konieczności”³². Obecny przy tej scenie feldmarszałek von Keith, który przeszedł ze służby rosyjskiej do pruskiej, ostrzegł go wówczas: „Wasza Królewska Mość zmieni zdanie, gdy pozna Rosjan bliżej”³³, ale Trajan Północy puścił tę uwagę mimo uszu. Parę dni później, przed bitwą pod Zorndorf, zakazał dawać pardonu prostym rosyjskim żołnierzom, co spowodowało, że Rosjanie zaczęli postępować na placu boju dokładnie tak samo. W rezultacie, po jedenastu godzinach wzajemnej rzezi, na pobojuwisku leżały trzydzieści dwa tysiące trupów.

Niezależnie jednak od takiej czy innej taktyki, od ostrożności wobec Rosjan, a nawet od nadziei pokładanych w dalekich muzułmanach, Cezar Północy nie miał już żadnych złudzeń, jak musi się skończyć ta wojna, którą sam rozpętał: „Istniejemy jedynie dzięki błędom, jakie popełnili nasi przeciwnicy. Nie możemy jednak dłużej na nie liczyć”³⁴. „Zaczynam tę kampanię jak człowiek, który skacze głową prosto w topiel!”³⁵.

Jego desperacja była tak wielka, że on, zatwardziały i ostentacyjny ateista, niegdysiejszy przyjaciel pana Woltera, zaczął w tym czasie czytać francuskie kazania, zgodził się na msze polowe i obecność kapelanów w swoim wojsku, wdawał się w dyskusje o nieśmiertelności duszy, a nawet zabrał się za pisanie *Kazania o Sądzie Ostatecznym* i przy każdej okazji rozprawiał z pasją o realności cudów.

Jego rozpacz pogłębiła jeszcze z dawna oczekiwana wizyta posłów chana Krym Gireja, którzy pojawili się w jego obozie pod Strzelinem w swych

wschodnich strojach i zawojach, brani przez zwykłych pruskich żołnierzy za Trzech Króli, tylko po to, żeby mu przekazać, iż Tatarzy, w zamian za złoto, chętnie przyjdą mu z pomocą, pod tym wszakże warunkiem, że zgodzi się na to... Rzeczpospolita Polska!

Z punktu widzenia pana Benoît wszystko szło więc znakomicie i jeśli cokolwiek denerwowało *chargé d'affaires* ambasady pruskiej w Warszawie, to jedynie to, że Rosjanie, stojący tuż pod Berlinem i posiadający nad Prusakami miażdżącą przewagę, nie kwapili się bynajmniej do zadania im śmiertelnego ciosu. Pan Benoît podejrzewał, że mogło to mieć jakiś związek z krążącymi od pewnego czasu pogłoskami o ciężkiej chorobie Jej Imperatorskiej Mości Elżbiety Piotrowny Romanowej, więc żeby rozwiać swoje wątpliwości, zapytał o to wprost podczas pożegnalnego spotkania z ambasadorem Wojejkowem, który przenosił się właśnie do Królewca, gdzie miał objąć stanowisko gubernatora zdobytych przez Moskali Prus Wschodnich.

– To prawda, drogi „Gallusie” – potwierdził ze smutkiem ambasador. – Nasza Najjaśniejsza Pani jest bardzo chora i jeśli dojdzie do najgorszego, na tronie zasiądzie jej siostrzeniec Piotr Fiodorowicz, który uwielbia Prusy i waszego łajdackiego króla. Dlatego żaden rosyjski dowódca nie chce się dzisiaj popisywać swoją bitnością i odwagą, woląc pozostać ślepy i głuchy na wszelką taktykę i strategię. Bo za to samo, za co dziś można dostać awans albo order, jutro można będzie zostać zdegradowanym lub trafić na Syberię.

– Rozumiem – rzekł z ciężkim sercem pan Benoît. – To pewnie i panu, ekscelencjo, nie jest lekko opuszczać Polskę?

– Oczywiście. Tu żyłem sobie jak u Pana Boga za piecem, a Królewiec może się szybko skończyć.

– Czy wiadomo już, kto będzie pana następcą?

– Hrabia Hermann Karl von Keyserling, doświadczony dyplomata i prezes Rosyjskiej Akademii Nauk. Z pewnością pan go zna, bo był tu ambasadorem już dwa razy.

– Owszem, znam go. Nie tylko doświadczony dyplomata, ale także wielki pan, wielki uczonek i wielki meloman.

– Właśnie – uśmiechnął się kwaśno ambasador Wojejkow. – Przynajmniej będziecie mieli jakieś inne tematy do rozmów oprócz służbowych.

Ponieważ wiara przenosi góry, cud, o który Fryderyk II w tajemnicy przed najbliższym otoczeniem modlił się żarliwie po całych nocach, zdarzył się 5

stycznia 1762 roku. Tego dnia zmarła caryca Elżbieta Piotrowna Romanowa, zaprzysięgła nieprzyjaciółka Prus i ich króla, znieważającego ją wielokrotnie w swych plugawych paszkwilach.

Wiadomość o śmierci tej pięknej i wrażliwej kobiety, uwielbiającej kwiaty, słodczyce, miłosne igraszki, całonocne bale i wielogodzinne wystawne uczyty, podczas których nie wolno było nikomu wspomnieć nawet słowem o panu Wolterze, nieboszczykach ani o wszelkiej nauce, zwolenniczki umiarkowanego postępu i oświecenia (zniosła stosowanie tortur w sprawach kryminalnych, zawiesiła wykonywanie kary śmierci oraz zabroniła mieszkańcom Moskwy ich ulubionej rozrywki, czyli domowej hodowli niedźwiedzi, w dzień trzymany na łańcuchu, a nocą spuszczone swobodnie na miasto), potrafiącej zarazem, w razie potrzeby, pić po kozacku wódkę pod rzodkiewki i prowadzić wojnę nie gorzej niż niejeden pruski generał, uszczęśliwiony Pliniusz Północy przywitał radosnym okrzykiem: „Bestia jest martwa! Jej jad już nie działa!”³⁶.

Zgodnie z tym, co powiedział panu Benoît ambasador Wojejkow, śmierć cesarzowej Elżbiety oznaczała, że tron carski obejmie jej siostrzeniec Piotr III, książę Holstein-Gottorp, ostatni po kądzieli męski potomek Piotra Wielkiego. Ten zawołany pijak już od dziesiątego roku życia, urodzony i wychowany po luterańsku w Niemczech i szykowany początkowo na króla Szwecji, nienawidził z całej duszy Rosji i prawosławia i nigdy nie nauczył się dobrze mówić po rosyjsku. Kochał za to bezgranicznie Prusy i ich wojowniczego monarchę.

Dlatego zaraz po dojściu do władzy zarządził przerwanie wojny z tym krajem i wysłał do jego władcy list z zapewnieniami przyjaźni. „Bogu niech będą dzięki! Pierwszy promień światła, wolne tyły!”³⁷ – radował się Fryderyk II i ze swej strony odesłał carowi rosyjskich jeńców, dobrze na tę okazję odżywionych i zaopatrzonych, a wraz z nimi najwyższe pruskie odznaczenie: Order Czarnego Orła. Car nie pozostał dłużny wobec takiej uprzejmości i również zwolnił jeńców, po czym nakazał zwycięskiej dotąd armii rosyjskiej odwrót spod Berlina, a następnie, nie żądając niczego w zamian, opuszczenie całego zajętego przez nią terytorium Prus. „Gdybym był poganinem, stawiałbym ołtarze Waszej Cesarskiej Mości”³⁸ – dziękował za ten wielkoduszny gest swemu „najlepsze przyjacielowi na świecie”³⁹ Juliusz Cezar Północy. „Ciekawe, gdzie jest teraz ta beka sadła, *monsieur* Wojejkow, który śmiał nazywać naszego Najjaśniejszego Pana łajdakiem?! Czyżby w Kiachcie?!” – grzmiał na wszelki wypadek w ambasadzie pan Benoît, gdy się o tym dowiedział. Wkrótce potem Rosja

opuściła koalicję antypruską i nawet oddała do dyspozycji Cezara Północy dwudziestotysięczny korpus armijny niedawnego zdobywcy Berlina generała Zachara Czernyszewa. W ślad za Rosją z wojny wycofały się także Francja i Szwecja.

W maju Rosja i Prusy podpisały traktat pokojowy i zawarły formalny sojusz. Zabezpieczony w ten sposób od wschodu Fryderyk zaatakował ponownie Austriaków, w czym pomagali mu teraz dawni sprzymierzeńcy wroga – Rosjanie. Jednocześnie król Prus i car Rosji snuli plany wspólnego odebrania Szlezwiku Duńczykom.

Rozwijającą się tak pięknie prusko-rosyjską sielankę przerwał niespodziewanie przewrót pałacowy w Petersburgu, przeprowadzony 9 lipca 1762 roku z inspiracji małżonki Piotra – Katarzyny. Obalił on propruskiego cara i wyniósł do władzy jego żonę. Tydzień później osadzony w areszcie domowym Piotr III został zamordowany przez swoich własnych strażników, choć oficjalny komunikat Petersburga mówił o śmierci naturalnej na skutek „nagłego ataku kolki hemoroidalnej”, co Fryderyk II skomentował zgryźliwie: „Dobrze wiemy, jaka to w Rosji niebezpieczna choroba”⁴⁰.

Nie wiedząc, czy nowa władczyni Rosji Katarzyna II nie zechce powrócić do antypruskiej koalicji, Fryderyk namówił generała Czernyszewa, aby ten dalej sprawiał wrażenie, iż pozostaje w ścisłym sojuszu z Prusami. Dzięki temu królowi udało się raz jeszcze pokonać Austriaków – w bitwie pod Burkersdorf – za co usłużny Czernyszew otrzymał od niego drogocenną szpadę wysadzaną brylantami.

Katarzyna II nie chciała jednak ani wojny, ani sojuszu z Prusami, lecz wolała opromienić początek swego panowania sławą rozjemczyni, która doprowadziła do zakończenia krwawej wojny pustoszącej Europę od siedmiu lat. Było to tym łatwiejsze, że do pokoju skłaniała się także wyczerpana i opuszczona przez Rosję i Francję Austria. Z inicjatywy nowej carycy wojujące dotąd dwory wiedeński, berliński i drezdeński rozpoczęły rokowania pokojowe.

Toczyły się one w Hubertusburgu, ale nie w ukochanym pałacu myśliwskim Augusta III, tylko w jednym z należących do niego pawilonów, przeznaczonym kiedyś dla służby. Sam pałac na rozkaz Fryderyka II został bowiem doszczętnie splądrowany i zrujnowany.

Pierwszy pruski dowódca, któremu zlecono to bandyckie zadanie, generał Friedrich Christoph von Saldern, bohater spod Hochkirch, Legnicy i Torgau,

odmówił jego wykonania jako sprzecznego z honorem i złożoną przysięgą wojskową, za co został przez Trajana Północy natychmiast zdymisjonowany. Drugi jednak, królewski fligel-adiutant Karol Teofil Guichard, wykonał ten rozkaz w całej rozciągłości.

Rokowania, podczas których brylował młody, rzutki i błyskotliwy przedstawiciel Katarzyny II książę Mikołaj Repnin toczyły się dość wolno, bo prawdopodobieństwo zawarcia pokoju bez aneksji i odszkodowań kazało Fryderykowi II przeciągać je jak najdłużej, aby w tym samym czasie dalej rabować bezkarnie Saksonię oraz neutralną, lecz niemal bezbronną Polskę, w której jego żołnierze plądrowali miasta i wsie, brali okup, nakładali kontrybucje i porywali tysiące chłopskich rodzin dla zaludnienia powojennych pustek na pruskim Pomorzu i w Brandenburgii, o czym Cezar Północy oficjalnie nic nie wiedział i co, w odpowiedzi na skargi strony polskiej, obiecywał oczywiście wnikliwie „zbadać” i „wyjaśnić”.

Wreszcie, 15 lutego 1763 roku traktat pokojowy został podpisany. Oznaczał on właściwie powrót do sytuacji sprzed wojny, która pochłonęła życie prawie miliona żołnierzy, spowodowała nieopisane cierpienia ludności cywilnej i obróciła w ruinę wielkie połacie Europy. Saksonia wracała w ręce Augusta III, Maria Teresa uznawała posiadanie Śląska i hrabstwa kłodzkiego przez Prusy, z kolei Fryderyk zobowiązywał się do poparcia kandydatury jej syna Józefa II na cesarza niemieckiego.

Król Prus był z tych postanowień bardzo zadowolony, czemu dał wyraz w liście do swego brata Henryka: „Bardzo dobrze, że zawarliśmy pokój, ale nie dajmy tego po sobie poznać”⁴¹. W końcu, jakkolwiek by patrzeć, cudem uniknął niemal pewnej katastrofy, a po definitywnym zagarnięciu Śląska oraz osłabieniu Austrii, Francji i Saksonii, jego państwo wyrastało na jedno z najważniejszych europejskich mocarstw.

Poczucie tryumfu mąciła mu tylko świadomość, że w jeszcze większą siłę urósł w tym samym czasie rosyjski niedźwiedź, którym z początku tak bardzo gardził. Wprawdzie po wstąpieniu na tron Katarzyny II Prusacy i Moskale pozostawali nadal w dobrych stosunkach, przekształconych rok później, jak za Piotra III, w formalny sojusz, ale Fryderyk II, który podczas walk o Śląsk sam wielokrotnie zdradzał sprzymierzeńców, wiedział doskonale, że aliance polityczne bywają nietrwałe i zależą bardzo od zmiennej koniunktury („Gwarancje traktatowe to najczęściej puste słowa: dziś się je daje, a następnie od

ich wypełnienia zwalnia dwuznaczna wykładnia jednego wyrazu lub zdania”⁴²). Dlatego pomimo sukcesu w Hubertusburgu i dobrych relacji z Petersburgiem, nadal bał się Rosjan, o których parę lat później powiedział w Nysie cesarzowi Józefowi II: „Za jakiś czas ani ja, ani cała Europa nie zdołamy powstrzymać tych ludzi. Turcy są niczym w porównaniu z nimi”⁴³.

Najmniej zadowolony po Hubertusburgu był pan Benoît, ale szybko doszedł do wniosku, że wystarczy być tylko nieco ostrożniejszym i można dalej służyć zarówno Prusom, jak Rosji, wyciągając z tej sytuacji nie mniej korzyści, niż czynił to w podobnym położeniu Truffaldino, bohater zabawnej sztuki *Sługa dwóch panów* niejakiego Goldoniego, którą pruski dyplomata dostał niedawno z Wenecji i którą czytał teraz z przyjemnością, kiedy musiał potrzymać trochę pod drzwiami jakichś natrętnych petentów lub gości.

¹ Kraushar, *Frank i frankiści*, t. I, s. 250-251.

² *Księga Słów Pańskich*, t. I, s. 127.

³ Tamże, s. 78.

⁴ Tamże, s. 52.

⁵ Rdz 28, 11.

⁶ Za: *Księga Słów Pańskich*, t. I, s. 155.

⁷ Kraushar, *Frank i frankiści*, t. II, s. 338.

⁸ *Księga Słów Pańskich*, t. I, s. 155.

⁹ Kraushar, *Frank i frankiści*, t. I, s. 250.

¹⁰ Tamże, s. 127.

¹¹ *Księga Słów Pańskich*, t. I, s. 49-50.

¹² Tamże, s. 44.

¹³ Nazywać się (niem.).

¹⁴ Srać (niem.).

¹⁵ Marsz (niem.).

¹⁶ Dupa (niem.).

¹⁷ Szkoła (niem.).

¹⁸ Pedał (niem.).

¹⁹ Łamańce językowe (niem.) w rodzaju polskiego „Chrzęszcz brzmi w trzcinie”.

²⁰ Pomocnik rybaka łowi świeże ryby, świeże ryby łowi pomocnik rybaka (niem.).

²¹ Suknia ślubna suknią ślubną, a czerwona kapusta – czerwoną kapustą (niem.).

²² Za: *Księga Słów Pańskich*, t. II, s. 33.

²³ Kracherowa, *Partyzant moralności*, s. 221.

²⁴ Tamże, s. 226.

²⁵ Tamże, s. 224.

²⁶ Tamże, s. 227.

²⁷ Tamże.

- ²⁸ Tamże, s. 221.
- ²⁹ Tamże, s. 149.
- ³⁰ Tamże, s. 228-229.
- ³¹ Tamże, s. 207.
- ³² Tamże, s. 208.
- ³³ Tamże, s. 207.
- ³⁴ Tamże, s. 213.
- ³⁵ Mac Donogh, *Fryderyk Wielki*, s. 284.
- ³⁶ Konopczyński, *Fryderyk Wielki a Polska*, s. 76.
- ³⁷ Kracherowa, *Partyzant moralności*, s. 230.
- ³⁸ Mac Donogh, *Fryderyk Wielki*, s. 288.
- ³⁹ Tamże.
- ⁴⁰ Tamże, s. 290.
- ⁴¹ Kracherowa, *Partyzant moralności*, s. 232.
- ⁴² Konopczyński, *Fryderyk Wielki a Polska*, s. 37.
- ⁴³ Mac Donogh, *Fryderyk Wielki*, s. 334.

Rozdział 8

TAKIE CZASY

Wielomiesięczne zabiegi jejmość pani Frankowej, najwierniejszych uczniów Świętego Pana i ich rodziców chrzestnych, a także licznych przyjaciół Mistrza z panią Katarzyną z Kossakowskich Potocką kasztelanową kamieniecką na czele, odniosły w końcu skutek i we wrześniu 1762 roku prymas Polski Władysław Aleksander Łubieński zezwolił pani Chanie i małej Awaczuni na odwiedzenie męża i ojca, któremu z tej okazji przydzielono na Jasnej Górze jeszcze jedną izbę.

Anielska wręcz cierpliwość ojców paulinów i stoicka abnegacja częstochowskiego garnizonu sprawiły ponadto, że odwiedziny te przerodziły się niepostrzeżenie w stały pobyt, z różnych zaś zakątków Polski, już bez pytania kogokolwiek o zgodę, zaczęły ściągać do Częstochowy gromady frankistów, osiedlając się w samym mieście lub w jego najbliższej okolicy.

Święty Pan, popadający ostatnio coraz częściej w depresję, wyraźnie odżył. Znowu miał swój dwór, swoje orszaki czternastu „braci” i czternastu „sióstr” (także małą Awaczunię wyposażono na Jasnej Górze w orszak małych „Nares”, dobranych z frankistowskiej dziatwy), znów miał komu opowiadać o Pannie i dla kogo urządzać ceremonie wielogodzinnego stania bez ruchu na jednej nodze lub gromadnego biegania po wałach fortecznych z głośnymi śpiewami i wzajemnym trzymaniem się za ręce, co wprawiało w osłupienie pielgrzymów przybywających do Jasnogórskiej Pani, znowu wreszcie, tak jak bardzo lubił, mógł przyjmować w swoim apartamencie tłumy gości, wydawać huczne przyjęcia, a nawet urządzać całonocne tańce i pijatyki.

Jego pragnienie powetowania sobie prawie trzech lat samotności było tak silne, że zdarzało mu się niekiedy występować z pomysłami, które nie znajdowały akceptacji reszty kompanii.

Tak było na przykład, kiedy któregoś dnia, podczas posiłku w licznym gronie, zaproponował, żeby Klara, jedna z „siostr”, pierwsza „włożyła łyżkę do zupy”.

Kiedy sploniona ze wstydu Klara nie chciała tego uczynić, Święty Pan wpadł w gniew i zaczął krzyczeć:

– Kiedy wy mnie w takiej bagateli słuchać nie chcecie, jakże mnie w większej rzeczy usłuchacie?!

A potem oznajmił biesiadnikom, że trzeba koniecznie, aby bracia, co obce żony mają, porzucili je i wzięli sobie za żony siostry, które mają obcych mężów; kompania jednak była temu przeciwna i okazała mu jawne nieposłuszeństwo.

Nie lepiej poszło Świętemu Panu, gdy zgromadziwszy pewnego razu wszystkie kobiety, oświadczył:

– Radbym jedną wielką rzecz zdziałać, przeto chcę, abyście wybrały spośród siebie jedną z sióstr i oddały ją mnie. Musi się to stać w miłości i zgodzie, i przyjaźni, i w ten sposób, aby każda z was tak jej dobrze życzyła, jakby sama na jej miejsce pójść miała. Dajcie mi tę siostrę, bo *eine Schwester ohne Brüder ist wie ein Schiff ohne Ruder*. Ja ją wezmę do siebie i dam jej dobrze jeść i pić. Potem ona będzie błogosławiona urodzeniem córki, a poznacie to po tym, że kiedy pocznie, to będzie się za nią wlokła czerwona nić.

Na to odezwała się Jejmość, że sama chciałaby zostać tą siostrą. Mistrz odpowiedział, że to niemożliwe, ponieważ ona, jako jego żona, musi dać mu synów, a nie córkę. Kobiety odeszły i nie zgodziły się na to życzenie. Gdy Święty Pan nalegał dalej, uradziły między sobą, żeby wybrać Henrykową, ale na to nie zgodziła się z kolei inna z sióstr, sama chcąc zostać wybraną. A kiedy w końcu „siostry” doniosły Świętemu Panu, iż nie mogą się porozumieć co do wyboru i poprosiły, żeby dokonał go sam, Mistrz nie odzywał się do nich ani słowem przez kilka następnych tygodni.

Rotmistrz von Zypke i jego „Machabeusze” opuścili Lwów dopiero w listopadzie, jako jedni z ostatnich, i z rozkazu Jakuba Franka zamieszkali nie w Częstochowie, ale niedaleko Olsztyna, a dokładniej w jednej z jaskiń, w jakie obfituje tamta okolica. Wraz z Pańskim podskarbis Eliszą z Podhajec mieli strzec w niej ofiar i datków przekazywanych Mistrzowi przez jego wyznawców z kraju i z zagranicy.

Choć rotmistrz von Zypke żartował, że sam Elisza, wielki jak dąb, z rękami jak bochny chleba i czarną jak smoła zmierzwioną brodą upstrzoną

ekskrementami nietoperzy, mógłby w pojedynkę rozpedzić na cztery wiatry batalion pruskich grenadierów, to jednak, sumienny jak zawsze, podszedł do swoich nowych obowiązków najlepiej, jak umiał.

Sporządził odręczną mapę okolicy, wybrał i obsadził swoimi ludźmi najlepsze punkty obserwacyjne, ustawił szyldwachów przy wejściu do jaskini, wprowadził system patroli konnych, rozpisał na trzy miesiące naprzód harmonogram wart i dyżurów porządkowych, ułożył listę zmieniających się codziennie haseł i odzewów, zorganizował służbę zaopatrzenia, wyznaczył miejsce na kuchnię polową i mianował kucharza, kazał uprzątnąć pieczarę z pokładów guana i starych kości, a wreszcie przygotował nowy regulamin służby, wzbogacony w porównaniu ze lwowskim o surowe przepisy sanitarne mające na celu utrzymanie elementarnej higieny w miejscu zakwaterowania.

Sama jaskinia nie była najwygodniejszym miejscem do życia. Panował w niej chłód, mrok i wilgoć, trzeba było stale palić ogniska i poruszać się z pochodnią w rękę, uważając przy tym na szczeliny, wystające z podłoża głązy oraz schodzące w wielu miejscach bardzo nisko sklepienie ze zwisającymi z niego ostrymi stalaktytami. Lecz do wszystkiego można się było przyzwyczaić.

Kiedy przy okazji lekcji niemieckiego, które odbywały się na Jasnej Górze, czarny huzar wspomniał o tym wszystkim Awaczuni, mała tak bardzo zapaliła się do zwiedzenia groty, że dotąd wierciła ojcu dziurę w brzuchu, aż Jakub Frank w końcu jej na to pozwolił.

Dowieziona karocą do Olsztyna, a stamtąd konno do pieczary, stale pod czujną opieką rotmistrza von Zypke i jednego z gwardzistów oświecającego im drogę pochodnią, panna Frank zaczęła zwiedzanie jaskini od wizyty w garnizonowej kuchni, gdzie Elisza z Podhajec przygotował dla niej kogel-mogel z miodem i rodzynkami. Po posiłku, trzymana za rękę przez czarnego huzara, obeszła kolejno wszystkie podziemne komory, podziwiając fantastyczne kształty i kolory różnych głązów, nacieków i stalaktytów, poddając pieczołowitym oględzinom białego wija, który napatoczył się po drodze, próbując krystalicznie czystej wody z bijącego w pieczarze źródła, zaglądając do beczek ze srebrem i złotem i wołając od czasu do czasu „Echo! Echo!”, żeby usłyszeć swój własny głos zwielokrotniony przez skalne ściany.

Wszystko to podobało się jej ogromnie, ale największe wrażenie zrobiły na niej dwie rzeczy.

Pierwszą był niepozorny rysunek na jednej ze ścian, który przedstawiał trzy włochate słonie z ogromnymi kłami ścigane przez gromadę uzbrojonych w łuki i dzidy nagich ludzików, narysowanych zaledwie kilkoma czarnymi kreskami.

– Ha, ha, ha – zaśmiała się na jego widok. – Czy to pan, panie rotmistrzu, narysował ten obrazek? Slonie nie mają futra, tylko gładką skórę. A tym myśliwym to mógł pan chociaż dorysować gacie, żeby nie latali z siusiakami na wierzchu.

– To nie ja. Pierwszy raz go widzę. Może to dzieło Eliszy z Podhajec? – odpowiedział czarny huzar.

– Jeśli tak, to zrobimy mu kawał – stwierdziła panna Awaczunia i wyciągnawszy z jednego ze starych ognisk kawałek zwęglonego drewna, dorysowała największemu słoniowi długą do kolan czarną brodę i zaopatrzyła wszystkich uchybiających moralności ludzików w szerokie kozackie szarawary.

Drugą rzeczą, która pannie Ewie spodobała się najbardziej, były nietoperze, zwisające ze sklepienia chyba tysiącami. Wtulone jedne w drugie, grzejąc się nawzajem ciałami, tkwiły tam nieruchomo jak pestki w tarczy słonecznika i tylko od czasu do czasu któryś z nich nieznacznie się poruszał lub odrywał się od innych, by załatwić w locie swoją naturalną potrzebę.

– Wie pan, co one tam robią? – zapytała belferskim tonem Awaczunia.

– Śpią? – próbował zgadnąć czarny huzar.

– Zgadza się. Śpią przez całą zimę jak niedźwiedzie. A wie pan, że zdarzają się wśród nich wampiry?

– Wampiry? – bohater spod Zorndorf spojrzał niepewnie w górę.

– Tak, ale nie tutaj, tylko w Ameryce Południowej – uspokoiła go natychmiast panna Frank.

– Bogu niech będą dzięki!

– A wie pan, jaki to rząd? – indagowała dalej.

– Rząd? – zdziwił się rotmistrz von Zypke. – Nie rozumiem.

– Wszystkie zwierzęta tworzą jakąś gromadę, rząd, rodzaj i gatunek – wyjaśniła córka Jakuba Franka. – Z czego rząd jest najważniejszy.

– Jasne, to samo mówili w wojsku. Więc jeśli pytasz, jaki rząd mogą tworzyć fledermausy, to ja ci odpowiem, że fledermausowski¹.

– Nieprawda. *Chiroptera*, czyli rękoskrzydłe, bo ich skrzydła to tak naprawdę ręce, tyle że obciążone błoną – zaprotestowała Awaczunia.

– No proszę, kto by pomyślał! – pruski oficer pokręcił głową. – A skąd ty to wszystko wiesz?

– Wiem, bo oprócz niemieckiego uczę się teraz łaciny. U brata Serafina, który pozwolił mi przeglądać różne książki w bibliotece. Z widzianych do tej pory najbardziej spodobała mi się *Systema Naturae* Linneusza. Kiedyś, jak poznam łacinę trochę lepiej, przeczytam ją sobie w całości.

– W to nie wątpię, drogie dziecko – zdumiał się jeszcze bardziej czarny huzar, a potem, prowadząc ostrożnie Awaczunię z powrotem do wyjścia z jaskini, zamruczał pod nosem: – Co za czasy, w których każde bydlę pcha się do rządu!

Po tej wizycie jedynym wydarzeniem, które urozmaiciło monotonną służbę rotmistrza von Zypke w olsztyńskiej jaskini, było wyposażenie „Machabeuszów” w pierwsze prawdziwe mundury utrzymane w barwach Podola: białe koszule, czarne spodnie i buty oraz zielone, a dokładniej „papuzie” czapki i kurtki, podobne pod względem kroju do huzarskich, choć pozbawione kosztownych haftów, galonów i szamerunków. Cały oddział prezentował się w nich wspaniale i – jakby przyobleczenie wojskowych strojów przydało mu w magiczny sposób animuszu – wypełniał swoje obowiązki jeszcze gorliwiej niż dotąd.

Po Nowym Roku 1763 zadowolony z tego stanu rzeczy czarny huzar postanowił skorzystać wreszcie z zaproszenia pana Korytkowskiego i za zezwoleniem Jakuba Franka odwiedzić go w jego majątku pod Nowogródkiem, powierzwszy czasowo komendę nad gwardią Jakubowi Mniejszemu.

Jedynym miejscem po drodze do Korycina, w którym zatrzymał się nieco dłużej, był sam Nowogródek, gdzie wdrapał się na spore wzgórze, by obejrzeć sobie ruiny zamku Mendoga, pierwszego chrześcijańskiego władcy Litwy. Wprawdzie z zamku, wysadzonego pół wieku wcześniej przez Szwedów, pozostały tylko dwie wieże i kawałek muru, ale widok, jaki się z niego roztaczał, wart był paru minut wspinaczki w kopnym śniegu. W Nowogródku czarny huzar zwiedził jeszcze kilka kościołów, z których najbardziej spodobała mu się biała fara, a to ze względu na znajdujący się w niej ciekawy monument przedstawiający dziewięciu bezgłowych rycerzy poległych w 1621 roku w bitwie pod Chocimiem, po czym, zasięgnąwszy języka, ruszył prosto do majątku swego przyjaciela.

W Korycinie podejmowano go po królewsku. Przez dwa tygodnie jadł, pił, wysypiał się do woli, bywał na polowaniach, jeździł kuligiem, oglądał kolędników, odwiedzał w towarzystwie państwa Korytkowskich i ich dwóch

dorosłych synów, bliźniaków Łukasza i Mateusza, domy ich sąsiadów, gdzie znowu ucztował, zabawiał się grą w karty i obtańcowywał do białego rana wszystkie miejscowe panny i wdowy, gdy zaś zbliżał się już termin powrotu pod Częstochowę, okazało się, że jego polski przyjaciel przygotował dla niego jeszcze jedną niespodziankę.

– Drogi rotmistrzu – poprosił go były pirat – może zamiast wracać tak szybko do swojej jaskini, zostałby pan u nas jeszcze trochę, a potem pojechał ze mną do Nowogródka, na wybory deputatów do Trybunału Głównego Wielkiego Księstwa Litewskiego?

– A cóż to takiego? – zapytał zaskoczony czarny huzar.

– Trybunał apelacyjny dla wyroków sądów ziemskich, grodzkich i podkomorskich w tej części Rzeczypospolitej. Co roku w pierwszy poniedziałek po święcie Matki Boskiej Gromniczej wszystkie powiaty Wielkiego Księstwa wybierają do niego, na tak zwanych sejmikach gromniczych, po dwóch deputatów na jednoroczną kadencję sędziowską. Za parę dni do Nowogródka zjedzie się w tym celu cała miejscowa szlachta.

– Dobrze, ale co ja tam będę robić? – pruski oficer pokręcił głową.

– Po pierwsze, wspierać mnie moralnie, bo ja też zamierzam kandydować.

– Gratuluję. A po drugie?

– W razie potrzeby wspierać mnie również fizycznie, bo nie chciałbym głupio przegrać.

– Nie rozumiem. Chyba nikt z biorących udział w jakichś wyborach nie ma ochoty przegrać? A przecież, z natury rzeczy, ktoś musi.

– Owszem, ale co innego jest przegrać uczciwie, gdy się po prostu dostaje mniej kresek, a co innego przegrać głupio – odpowiedział na to stary pirat.

– Przegrać głupio? Co to znaczy? – drażył dalej Prusak.

– Przegrać głupio, to przegrać wtedy, kiedy wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że się powinno wygrać. Wygląda to na ogół tak, że jakiś kandydat na posła lub na sędziego trybunalskiego zabiega całymi miesiącami o popularność, w piątek czy świętek jeździ od dworu do dworu, je i pije ze szlachtą, aż go od tego boli brzuch i wątroba, prawi panom braciom komplementy, podryguje w tańcu z ich żonami i córkami, wysłuchuje ich skarg i zażaleń, spisuje na wołowej skórze wszystkie ich postulaty, temu pożyczy trochę pieniędzy, tamtemu umorzy dług, jednemu świadkuje na ślubie, drugiemu potrzyma do chrztu dziecko, trzeciemu napisze mowę pogrzebową, jeszcze

innemu wetknie do ręki parę talarów, a kiedy na końcu, podczas głosowania, jest już absolutnie pewny, że może liczyć na życzliwość co najmniej połowy powiatu, nagle wstaje jakiś dureń z partii przeciwnej i oprotestowuje jego kandydaturę.

– Na czym taki protest polega?

– Najczęściej na dyfamacji. Każdy zarzut dobry, byle był skuteczny. Im zresztą cięższy, tym lepszy. Na przykład, że coś waćpan ukradł, kogoś zabił, że uciekł pan z pola bitwy, że jest pan bigamistą albo gwałcicielem, że fałszował pan monetę, że ciąży na panu jakaś kondemnata czy też po prostu że nie jest pan szlachcicem, co samo w sobie uniemożliwia pełnienie funkcji publicznych.

– Dalej nie rozumiem. Przecież dyfamatora można podać do sądu i jeśli się jest niewinnym, łajdak musi przegrać – dziwił się nadal rotmistrz von Zypke.

– Toteż każdy to robi, ale póki sprawa się nie wyjaśni, zdyfamowany nie może kandydować. I o to właśnie chodzi. A sprawa się wyjaśni albo nie, może od razu, a może za sto lat. I niekoniecznie w sposób, jakiego by pan sobie życzył.

– Jak to?

– Zna pan powiedzenie „Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy”? Otóż sądy, zresztą nie tylko polskie, często naśladują Pana Boga tylko w tym aspekcie, o którym mowa w pierwszej części tego przysłowia. I właśnie dlatego chciałbym zostać sędzią trybunalskim, żeby prostować, na ile to możliwe, kręte i pokręte ścieżki sprawiedliwości.

– Ładne buty, nie ma co! Widzę, że mój były Najjaśniejszy Pan miał sporo racji, kiedy mówił, że demokracja to taki ustrój, w którym zgraja wilków i stado baranów decydują wspólnie o tym, co będzie na obiad.

– Coś w tym jest, nie da się zaprzeczyć, choć nie do końca. Przed protestacją można się bowiem obronić.

– W jaki sposób?

– A w taki, że dopóki nie zostanie ona złożona na piśmie na stole prezydyjnym, przy którym zasiada komisja wyborcza, a następnie wpisana do akt grodzkich, nie ma żadnej mocy prawnej. Wystarczy zatem nie dopuścić do jej złożenia.

– Tylko tyle?

– Tylko tyle i aż tyle. Niech waćpan nie zapomina, że dyfamator na ogół nie działa sam. Najczęściej bywa tak, że kiedy jeden oszczerca zgłasza werbalny protest, zwany kontradykcją, drugi już leci do stołu prezydyjalnego ze stosownym pismem. A kiedy uda się go powstrzymać i wydrzeć mu to nieszczęsne pismo

z rąk, nieraz okazuje się, że jest jeszcze trzeci, czwarty albo piąty dyfamator, każdy ze swoją kopią protestacji, przy czym wszyscy oni, korzystając z zamieszania, drą się na wypródki do stołu komisji, i to z reguły z różnych stron, by dodatkowo zmylić oponentów. Dlatego najważniejsze na wyborach to dobrze rozstawić swoich ludzi, oczywiście najgęściej wokół prezydium. Teraz już pan wie, drogi rotmistrzu, dlaczego na sejmiku liczy się każda szabla.

– Domyślam się, że przeciwnik rozumuje dokładnie tak samo? – zaniepokoił się czarny huzar.

– I owszem. Dlatego, o ile dyfamator nie działa w pojedynkę i nie uda się go zatrzymać gdzieś po drodze, do największych przepychanek albo siekaniny dochodzi właśnie koło stołu prezydialnego. I to nawet w Piotrkowie Trybunalskim, gdzie wybierają deputatów do Trybunału Koronnego i gdzie stół komisji stawiają przezornie w kościele.

– Naprawdę? – zgorszył się rotmistrz von Zypke. – Bijecie się nawet w kościele?

– Fakt, że to nieładnie – rozłożył ręce pan Korytkowski. – Ale jeśli dyfamatorowi uda się ująć pogoni i dotrzeć z pismem tak daleko, czasem nie ma innej rady, jak zrębać takiego syna choćby przed ołtarzem. Oczywiście porządni ludzie tego nie robią i starają się go usiec już wcześniej.

– A na jakiej podstawie sądzi pan, że ktoś w Nowogródku mógłby chcieć go zdyfamować?

– Na takiej, że ludzie to nie anioły i na sejmiki, a zwłaszcza do wyborów, garną się nie tylko zacni, stateczni i bogobojni obywatele, których naturalnie jest więcej, ale także różnego rodzaju awanturnicy i wartogłowy, nie mówiąc już o zwykłych kanaliach, jak choćby znany w całym naszym powiecie z czarnego podniebienia chorążyc przewalski Wiśniewski, skończony warchoł, bezczelny piniacz i nikczemny pyskacz, który nie przepuści nawet myszy, żeby jej zaraz nie opluć lub nie przydepnąć jej ogona. Poza tym niech waćpan pamięta, że pierwszą chętną do zniesławiania rywali jest zawsze partia przeciwna, bo ma w tym największy interes.

– A któż jest w tym przypadku partią przeciwną?

– Zwolennicy tak zwanej Familii, czyli Czartoryskich i Poniatowskich, co u nas na Litwie oznacza przede wszystkim stronników księcia Michała Fryderyka Czartoryskiego, kanclerza wielkiego litewskiego.

– I czym się ta Familia panu naraziła? – zapytał czarny huzar.

– Głównie zerwaniem większości sejmów za obecnego panowania i podejrzanymi konszachtami z Rosją. Mówi się także, że chciałyby zdobyć władzę, aby wprowadzić monarchię dziedziczną i ograniczyć wolności obywatelskie. Niezależnie od plotek, o których nie wiem, czy są prawdziwe, mnie osobiście wystarcza to pierwsze.

– Kogo więc pan popiera?

– Jako republikant kieruję się zasadą Cyncerona, że oprócz praw Boskich, *salus rei publicae suprema lex esto*². Dlatego popieram książąt Radziwiłłów, od wieków największych panów, najlepszych obywateli i najhojniejszych dobrodziejów tego zakątka świata.

– Dobrze. Na ile szabel może pan liczyć?

– Ja, moi synowie, trochę krewnych i przyjaciół, razem jakieś trzydzieści do czterdziestu różnów.

– No to ma pan jeszcze jeden. Ale zanim kogoś rozsiekam, proszę mi powiedzieć, choć trochę się boję o to zapytać, czy ma pan jeszcze w zanadrzu jakieś „po trzecie”, związane z moim udziałem w sejmiku? – wołał się upewnić czarny huzar.

– Nie. Chyba tylko takie, że jako Prusak, przyzwyczajony od kolebki do *absolutum dominium*³, miałby pan świetną okazję zobaczyć na własne oczy, jak wygląda demokracja i wolne wybory. Jestem pewny, że byłoby to dla pana nie lada *novum* i arcyciekawa eksperyencja.

– Bez wątpienia – przyznał rotmistrz von Zypke i ukradkiem się przeżegnał.

Trzy dni później, wyściskany i wycelowany serdecznie przez panią Korytkowską oraz przez liczne grono miejscowych wdów i panien, które nie wiadomo w jaki sposób dowiedziały się o jego wyjeździe, wzruszony czarny huzar dosiadł konia i w towarzystwie swego przyjaciela i jego dwóch synów udał się na sejmik gromniczny w Nowogródku.

Stolica województwa dosłownie pękała w szwach. Ze wszystkich okolicznych dworów, dworków i zaścianków zjechało do niej tyle szlachty, że pan Korytkowski i jego towarzysze tylko z najwyższym trudem znaleźli sobie jakąś stancję. Zaraz potem rzucili się w wir życia sejmikowego, ponieważ stary pirat miał mnóstwo przyjaciół i znajomych, a jeśli tylko spotkał któregoś na ulicy, w farze, u jezuitów albo w karczmie, natychmiast wdawał się z nim w rozmowy, podczas których charakteryzowano poszczególnych kandydatów, oceniano ich szanse, liczono spodziewane kreski i szable i zastanawiano się nad

taktyką, jaką należało obrać w dniu głosowania, gdyby partia przeciwna zechciała się uciec do protestacji lub ogłosić manifest *contra totum actum*⁴.

W ciągu długich godzin, spędzanych głównie nad kuflem piwa lub kielichem wina, czarny huzar poznawał kolejnych, wciąż nowych Korsaków, Danejków, Woyniłowiczów, Horeszków, Wereszczaków, Reytanów, Owsianych, Mickiewiczów, Zahorskich, Tańskich, Domeyków, Tuhanowskich, Białopiotrowiczów, Puttkamerów, Uzłowskich, Szrendzińskich, Czeczotów i Sopliców, którzy szybko zlali mu się w jeden wielki, barwny, roznamiętniony polityką tłum, gdzie trudno było odróżnić poszczególne twarze i połączyć je z właściwym nazwiskiem.

Jeszcze gorzej było z tytułami, których nowo poznani Polacy z lubością używali: wszystkimi tymi chorążymi, stolnikami, podstolimi, podczaszymi, cześnikami, łowczymi, krajczymi, strażnikami, wojskimi, oboźnymi, pisarzami, sędziami i podsędkami, dzielącymi się dodatkowo na litewskich i koronnych, na wielkich i polnych, na wojewódzkich i powiatowych, na ziemskich i grodzkich, na grodowych i niegrodowych i jakby tego było jeszcze mało, tworzącymi niekiedy całe ciągi honorowe od piastującego ongiś urząd dziada do pozbawionego dzisiaj wszelkiej oficjalnej powagi szaraczkowego wnuka, jak miało to miejsce w przypadku przedstawionych mu kolejno przez pana Korytkowskiego starosty, starościca i starościcowicza mścibowskich albo krajczego, krajczyca i krajczycowicza rostowskich.

Rotmistrz von Zypke nie tylko nie rozumiał funkcji większości z tych godności, ale nie potrafił także ustalić ich właściwej hierarchii. Było to tym trudniejsze, że wśród poznawanej przez niego szlachty trafiali się również i tacy, co wzorem biskupów *in partibus infidelium*⁵ używali tytułów wywodzących się z dawno odpadłych od Polski i nieistniejących już województw: wendeńskiego, dorpackiego, parnawskiego, smoleńskiego czy czernihowskiego, których to województw czarny huzar nie umiał nawet wyobrazić sobie na mapie.

Ale to, co dla niego stanowiło trudność nie do pokonania, dla Polaków było bardzo łatwe, o czym przekonał się wieczorem, zarówno przed przyjęciem – wydanym dla swoich stronników przez pierwszego senatora Litwy, księcia wojewodę wileńskiego, który, jak każdy wielki pan w Rzeczypospolitej, lubił mieć w Trybunale oddanych sobie ludzi, zawsze gotowych stanąć za nim murem i w razie czego przeważać szalę sprawiedliwości na właściwą stronę, zaś jego przeciwnikom wyciąć jakąś prawniczą fintę lub w ostateczności „posłać ich do

lasu”, żeby tam sobie „czochrali niedźwiedzie” – jak i w jego trakcie. Co ciekawe, nie było to jedyne przyjęcie urządzone tego dnia w Nowogródku, ponieważ w tym samym czasie na drugim końcu miasteczka, w wielkim ogrzewanym namiocie, podejmował swoich zwolenników śmiertelny wróg wojewody i lokalny przywódca Familii, kanclerz wielki litewski książę Michał Fryderyk Czartoryski.

Dla uniknięcia ewentualnych niepokojów, jak też dla zapobieżenia przenikaniu szpiegów i prowokatorów z jednego obozu do drugiego, w południe przez środek Nowogródka przeprowadzono umowną linię demarkacyjną, obsadzoną z jednej strony przez ściągnięty z Wilna regiment gwardii pieszej litewskiej, z drugiej zaś przez przybyłe z Nieświeża dwie setki dragonów i pół chorągwi radziwiłłowskich janczarów. Kto chciał przekroczyć tę granicę, musiał zdeponować u żołnierzy swój oręż, co skutecznie zniechęcało różnych choleryków przywykłych nawiedzać terytorium wroga wyłącznie z bronią w ręku.

Toteż jeśli tu i ówdzie na samej linii granicznej dochodziło niekiedy do jakichś pyskówek i przepychanek, miały one charakter bezkrwawy i czysto rytualny, gdyż wszczynali je poniekąd z obowiązku i z poczucia honoru najwięksi rębacze i hałaburdy z obu stron, należący bądź do groźnej Bandy Albańskiej księcia Radziwiłła, bądź do jeszcze groźniejszych i dzikszych Wilków Wołczyńskich książąt Czartoryskich. Regularne wojsko przyglądało się tym scysjom obojętnie.

Tak więc póki co porządek został utrzymany i to pomimo tego – jak z goryczą wyjaśnił rotmistrzowi von Zypke pan Korytkowski – że właściwy gospodarz tych ziem wojewoda nowogródzki Józef Aleksander Jabłonowski, jeden z najbogatszych ludzi w Polsce, książę Świętego Cesarstwa Narodu Niemieckiego, kawaler wielu orderów, członek Académie des Inscriptions et Belles Lettres w Paryżu i Królewskiego Towarzystwa Nauk, Literatury i Sztuki w Nancy, znakomity historyk, matematyk, astronom i heraldyk, autor tak wziętych dzieł jak *L'Empire des Sarmates, aujourd'hui Royaume de Pologne; Heraldyka, to jest osada klejnotów rycerskich i wiadomość znaków herbowych, dotąd w Polsce nieobjaśniona; Dodecas ducum Martis Poloniae Magnique Ducatus Lithuaniae* czy *De astronomiae ortu atque progressu et de coelesti systemate opus astronomico-historicum*, przebywał jak zwykle za granicą, znacznie bardziej zainteresowany tym, co nowego odkopano w Herkulanum lub

co naprawdę powiedział Eneasz przy rozstaniu z Dydoną, niż tym, co działo się na co dzień w powierzonym jego pieczy województwie.

Przyjęcie radziwiłłowskie odbywało się w ogromnej, zbudowanej specjalnie w tym celu drewnianej szopie, mogącej śmiało pomieścić kilkaset osób. U wejścia do niej, ozdobionego u góry ogromnym herbem przedstawiającym trzy trąby złączone ze sobą ustnikami i ułożone symetrycznie w kształt gwiazdy, witał gości sam gospodarz, jaśnie oświecony wojewoda wileński książę Karol Stanisław Radziwiłł, X ordynat nieświeski, VIII ordynat ołycki, VII pan na Białej oraz właściciel Birż, Dubinek i Kiejdan.

To właśnie wtedy rotmistrz von Zypke przekonał się po raz pierwszy, jak świetnie w zawilosciach etykiety orientują się Polacy, którzy, choć o oznaczonej godzinie pojawili się tłumnie pod szopą, to jednak – cali w lansadach, ukłonach, uśmiechach i wśród niekończących się uprzejmości, komplementów, podkreśniania wąsa i wzajemnego częstowania się tabaką – podchodzili do gospodarza po kolei, ściśle według precedencji wynikającej ze zwyczaju uświęconego wielowiekową tradycją.

Książę wojewoda, młody, wysoki, dobrze zbudowany, o wielkich błękitnych oczach i zawadiacko podkręconych w górę wąsach, wyglądał wręcz majestatycznie w swoim lamowym czarnym żupanie i w pąsowym kontuszu z czarnymi wyłogami przepasanym srebrnym słuckim pasem w czarne orły z trąbkami, w żółtych safianowych butach, w sobolowym kołpaku, spod którego spływał mu na plecy długi seledziec i w karmazynowej ferezji spiętej u góry diamentową klamrą, na której można było przeczytać rubinową cyfrę „K.K.R.”, składającą się z trzech początkowych liter jego pierwszego imienia, tytułu i nazwiska, a przecież, chociaż mógł uchodzić z wyglądu za króla, ujmował wszystkich przybyłych serdecznością i bezpośredniością, z jakimi się do nich zwracał, pamiętając przy tym bezbłędnie, z kim ma do czynienia i jaka mu przysługuje godność.

Tego zapytał o zdrowie, tamtego o żonę, z tym zamienił parę słów o zeszłorocznych żniwach, z owym o polityce, tego pocieszył po niedawnej stracie ojca, tamtemu pogratulował udanego zięcia, jeszcze innemu obiecał umorzyć długi, pomoc przy wyswataniu córki albo protekcję w sądzie – i każdy odchodził od niego szczęśliwy, jakby to właśnie on był tym jedynym wybrańcem, dopuszczonym przez tak wielkiego pana do ścisłej konfidencji i pozostającym z nim na zażyłej stopie.

Kiedy nadeszła ich kolej, pan Korytkowski, jego dwaj synowie i rotmistrz von Zypke ruszyli w stronę szopy. Na widok samozwańczego kapitana hiszpańskiej marynarki wojennej książę wojewoda rozpostarł ramiona i zawołał:

– Czołem, mości Korytkowski! Czy wygrał pan ostatnio jakąś bitwę morską?

– Niestety, mości książę. Odkąd straciłem okręt, zostałem skazany na jazdę. I to głównie bryczką – odpowiedział były pirat.

– To dobrze, panie kochanku, to bardzo dobrze – roześmiał się wojewoda. – Niech pan pamięta, kapitanie, że chciałbym utworzyć w Nieświeżu szkołę morską, więc jeszcze się tu waćpan przydasz. Nasza ojczyzna potrzebuje floty.

– Nasza ojczyzna potrzebuje wielu rzeczy. Ale zawsze jestem do usług waszej książęcej mości – pan Korytkowski skłonił się z zadowoleniem.

– A to pewnie Łukasz i Mateusz – książę Radziwiłł wyciągnął po kolei rękę do obu bliźniaków. – Wciąż nie potrafię ich odróżnić.

– Ja również – pocieszył go pan Korytkowski.

– Za to waści nie znam, panie kochanku – zwrócił się wojewoda do czarnego huzara. – Od dawna mieszka pan na Litwie?

– To mój przyjaciel rotmistrz Horst Gottlieb von Zypke, oficer w stanie spoczynku pruskich czarnych huzarów, bohater spod Zorndorf. Pan rotmistrz mieszka pod Częstochową i zna już dobrze język polski, a teraz bawi u mnie w gościnie i chciał koniecznie zobaczyć wolne wybory – przedstawił swego przyjaciela pan Korytkowski.

– Bohater spod Zorndorf? Więc bił pan Moskali? Jakże panu zazdroszczę, panie kochanku! Zapraszam, serdecznie zapraszam w moje skromne progi, to dla mnie prawdziwy zaszczyt. Czym chata bogata, panie rotmistrzu, niech się pan czuje jak u siebie w domu!

– Bardzo mi miło, mości książę – odpowiedział po polsku Prusak i skłonił się głęboko.

Po wejściu do wnętrza szopy, gdzie panowało przyjemne ciepło bijące od wymurowanego w parę dni kominka, czarny huzar stwierdził z podziwem, że także tam nikt z obecnych nie miał najmniejszych wątpliwości, gdzie powinien usiąść, aby nie uchybić innym szacunku i nie narazić się samemu na cięte przytyki. Ponieważ jednak trochę burczało mu w brzuchu, w jeszcze większy podziw wprowadziło go to, co ujrział na trzech zestawionych w podkowę gigantycznych stołach, przy których mogło zasiąść ze trzysta osób.

Stały na nich dziesiątki czubatych mis bigosu z różnych rodzajów mięsa zmieszanego pół na pół z kielbasą, szynką i słoniną; także misy schabowych i mielonych kotletów, pieczeni wołowej, cielęciny na szaro i biało, baraniny z czosnkiem, pieczonych kur, kurcząt, gęsi, indyków i kaczek. Pomędzy misami tkwiły gęsto wielkie srebrne tace pełne grubych plastrów szynki, wieprzowej i wołowej wędzonki, jasnych i ciemnych salcesonów, piętrowych zwojów kielbas i kaszanek, kruchych prosiąt z pięknie przyrumienioną, chrupiącą skórką i z obowiązkowym jabłkiem w uśmiechniętym ryjku, cielęcych i świńskich nóżek na zimno, gotowanych ozorów w sosie chrzanowym, smażonych i wędzonych karpi, sumów, szczupaków, sandaczy, łososi i węgorzy, jak również gorące brytfanki wypełnione po brzegi smakowitymi szczątkami doczesnymi zajęcy, kuropatw, cietrzewi, pardw i przepiórek. A wszystko to, jak Pan Bóg przykazał, podlane obficie sosem i doprawione szczodrze goździkami, gałką muszkatołową, imbirem, pieprzem, szafranem, pistacjami, orzeszkami pinii, miodem, cukrem i solą rodem z Wieliczki.

W setkach mniejszych naczyń rozstawionych wzdłuż całej długości stołów czekały najrozmaitsze przekąski zaostrażające apetyt, w tym jajka z kawiozem, szyjki rakowe, kapary, oliwki, sardele, marynowane ostrygi, wszelkiego rodzaju musztardy i chrzany o zróżnicowanej jak gama muzyczna mocy – od powodujących co najwyżej lekkie kręcenie w nosie, po takie, które mogły zwalić z nóg nawet najtęższych smakoszy – nie mówiąc już o górach cytryn, melonów, kwaszonych ogórków, gruszek i śliwek w occie czy pocziwych darach miejscowych lasów: grzybach, borówkach i żurawinie w przeróżnych postaciach.

Tu i ówdzie, niczym kratery wulkanów, dymiły wielkie srebrne kociołki z barszczem, z żurem, z krupnikiem, z flakami zaprawionymi na żółto szafranem, z zupą grzybową z łazankami i ze złocistym rosołem, na którego powierzchni pływały olbrzymie oka przezroczystego tłuszczu.

Geometryczny środek każdego z tych stołów zajmowała wielka jak młyńskie koło misa, skąd wznosiła się ku niebu istna wieża Babel mięsiwa. Fundament każdej wieży stanowiły pieczenie wołowe, na których spoczywały ćwiartki cielęciny, na nich baranina, indyki, gęsi i kapłony, jeszcze wyżej kurczęta, kuropatwy i bekasy, a na samym szczycie całe stada pachnących rozmarynem drożdów i kwiczołów, ułożonych wianuszkiem wokół tkwiącej pośrodku chorągwi z herbem województwa nowogródzkiego, czyli dwóch tarcz, z których jedna przedstawiała litewską Pogoń, a druga, o czerwonym polu,

czarnego anioła z rozwiniętymi skrzydłami, z lewą ręką opuszczoną swobodnie i prawą wspartą nonszalancko na biodrze.

A przecież na tym się nie kończyło, wszak były jeszcze kosze pieczywa, pasztety, pierogi, kulebiaki, kasze i mnóstwo wetów: ciast, bab, pierników, tortów, makowców, biszkoptów, konfitur, pomarańcz, winogron, jabłek, ananasów, włoskich i laskowych orzechów, smażonych w cukrze gruszek, migdałów w czekoladzie, rodzynek, lodów uformowanych w melony i arbuzy, a wreszcie rozmaite figury i całe sceny wyrobione kunsztownie w barwionym cukrze.

Pośród tych ostatnich najbardziej rzucał się w oczy sporych rozmiarów Cyncynat w prostej tunice i sandałach, odrywany właśnie od pługą przez wysłanników rzymskiego senatu ofiarowujących mu godność dyktatora (czy też może Piast Kołodziej przyjmujący królewską koronę z rąk dawnych Sarmatów?), a także dwie inne kompozycje dorównujące mu niemal pod względem wielkości, przedstawiające Ledę z łabędziem oraz Danae zapładnianą przez złoty deszcz, w których, prawdopodobnie z powodu czysto męskiego charakteru zebrania, najskrytsze wdzięki obu wybranek Zeusa zostały oddane nadzwyczaj starannie.

Wspaniałego obrazu całości dopełniały jeszcze liczne kubły z tłuczonym lodem, w których chłodziły się butle węgierskiego i francuskiego wina, potężna bateria pękatych karafek przepalanej gorzałki, anyżówki, wiśniaku, jałowcówki, ratafii, cynamonówki i malinnika, jak również stojąca przed każdym nakryciem srebrna fajerka wypełniona palącym się spirytusem, na której można było odgrzać sobie zbyt zimne dania.

Rotmistrz von Zypke usiadł tam, gdzie wskazał mu pan Korytkowski, po czym, tak samo jak wszyscy obecni na sali, nie tknął żadnej potrawy, póki w towarzystwie ostatniego z gości nie pojawił się gospodarz, witany owacjami na stojąco.

– Dziękuję wam, bracia, dziękuję! – rzekł wyraźnie wzruszony książę wojewoda, zajmując honorowe miejsce w centrum środkowego stołu. – Ponieważ jedzenie stygnie, a wino i wódka się grzeją, będę mówił krótko. Witam jeszcze raz z całego serca wszystkich waszmościów. To, że możemy wspólnie co nieco przegryźć i kapeńkę wypić w tak zacnej kompanii, to dla mnie, panie kochanku, największy zaszczyt. Jedzcie więc i pijcie, i popuszczajcie pasa, jak drzewiej bywało, bo kto wie, co nam przyniesie jutro? A idą, zdaje się, ciężkie czasy! Nasz dobry król, miłościwie nam panujący od trzydziestu lat August III, coraz

częściej słabuje i chociaż wszyscy tutaj jak jeden mąż życzymy Jego Królewskiej Mości, by przeżył w jak najlepszym zdrowiu i panował nam jeszcze co najmniej drugie trzydzieści lat...

– Wiwat Król Jegomość! Wiwat August Trzeci! – przerwały mu na moment głośne okrzyki.

– ...to jednak człowiek jest śmiertelny. I już są tacy, co przymierzają się zająć jego miejsce. Wiecie, o kim mówię?

– Wiemy, wiemy, o Familii! – rozległo się z różnych stron.

– Właśnie. Jaśnie oświeceni książęta Czartoryscy, dufni w to, że ich siostrzeniec, stolnik litewski Poniatowski, wkradł się w intymne łaski carycy, stają wręcz na głowie, by zagarnąć tron i rządzić Polską w oparciu o Rosję. Jak nie wojewoda ruski książę August Czartoryski, to jego syn Adam Kazimierz, a w ostateczności pan stolnik litewski, choć to chudopacholek bez zasług i nazwiska, który to, że w ogóle może ubiegać się o koronę, zawdzięcza tylko korupcji i obcej protekcji. Wszystko to oczywiście dla naszego szczęścia i dobra, jakżeby inaczej, panie kochanku! Po to, jak twierdzą, żeby nas reformować, modernizować, przerabiać na „prawdziwą” Europę, żeby zagwarantować nam nasze prawa, wzmocnić naszą wolność, równość i godność, po to, żeby zabezpieczyć nasze granice i zapewnić nam większy dostatek, słowem, wyłącznie po to, żeby nam wszystkim nieba przychylić!

To bardzo pięknie, nieprawdaż? Wypada im tylko pogratulować i podziękować. Pogratulować, zapytacie, a czego? Jak to czego? Głupoty, panie kochanku, głupoty, i to potrójnej! Trzeba bowiem mocno szwankować na umyśle, żeby sądzić, że dla takiej władczyni jak Katarzyna II, rządzącej mocarstwem, które trzęsie połową świata, jegomość pan stolnik litewski, choćby był przystojny niczym sam Adonis, może być czymkolwiek więcej niż przelotnym kaprysem, doraźną zabawką, którą w każdej chwili można rzucić w kąt i zastąpić jakimś innym zapchajdziurą. Trzeba także nie mieć piątej klepki, żeby za wzór reform, modernizacji i – he, he, he – „europejskości”, jak też na protektora naszych praw, wolności, równości i godności oraz gwaranta naszych granic i dobrobytu, wybrać sobie akurat Rosję, kraj, który chyba ze wszystkich na świecie najmniej się do tego nadaje. Przecież rozumie to nawet dziecko! Wystarczy przypomnieć sobie, mości panowie, nasze szkolne lata. Kogo wtedy prosiliśmy o pomoc lub podpowiedź, kiedy mieliśmy problemy z Alwarem albo z Donatem?⁶ Prymusa

czy ostatniego matoła w klasie, zasiadającego w ławce z napisem *scamnum asinorum*?⁷

– Precz z Familją! Precz z Ciołkiem! Precz z Moskwą! – stanowiło jedyną odpowiedź.

– Raczej z Czopkiem – zauważył ktoś złośliwie.

– Tak jest! Precz z Familją! Precz z Czopkiem! – podchwyciono natychmiast.

– Ale nawet nie to jest największym błędem książąt Czartoryskich – ciągnął dalej książę wojewoda wileński. – Ich największym błędem jest samo szukanie protekcji za granicą, nawet gdyby prosili o nią prawdziwych prymusów, takich jak Anglia, Francja czy Holandia. Na jakiej bowiem podstawie przyjmują, że obce potencje zechcą nam pomóc i nie pozwolą Polsce upaść? Że przyzwyczajone od zawsze do dbania przede wszystkim o własny interes i do zwiększania przy każdej okazji swego terytorium, będą chciały chronić i oszczędzać nasze? Że wzmocnią nas swoim kosztem? Że będą łożyć na to, na co my nie chcemy łożyć? Że zadbają o to, o co my nie dbamy? Mówiąc krótko, skąd bierze się to naiwne przekonanie jaśnie oświeconych książąt Czartoryskich, że postronni mogą nam życzyć lepiej, niż sobie samym i że bardziej kochają naszą ojczyznę, niż my ją kochamy? Z tego, że pan stolnik Poniatowski ma piękne oczy i jeszcze piękniejsze plany? Śmiechu warte, panie kochanku! Naprawdę, chciałbym się mylić, ale boję się, że to próżne chęci!

Zresztą tak się składa, że akurat mamy wśród nas cudzoziemca, pana rotmistrza von Zypke, byłego oficera pruskich czarnych huzarów i bohatera spod Zorndorf, który bawi w gościnie u naszego przyjaciela pana Korytkowskiego. Pan rotmistrz zna dobrze polski, zapytajmy go zatem, co o tym sądzi? Prosimy, panie kawalerze.

Wywołany nagle do odpowiedzi rotmistrz von Zypke podniósł się z ławy i stwierdził krótko:

– Myślę, że książę wojewoda ma rację. Na miejscu waszmościów też liczyłbym tylko na siebie.

– Dziękuję, panie rotmistrzu. No i sami widzicie, bracia – westchnął książę wojewoda. – Nie ma innego wyjścia, jak podziękować stanowczo książętom Czartoryskim i panu Poniatowskiemu za ich groźne plany. W jaki sposób, spytacie? A w bardzo prosty, panie kochanku. Wycinając jutro w pień, a w razie czego oprotestowując wszystkich ich kandydatów do Trybunału Litewskiego

i popierając z całych sił naszych: jaśnie wielmożnych panów Korsaka, Danejkę, Tuhanowskiego, Horeszkę i Korytkowskiego, z nadzieją, że dwóm albo przynajmniej jednemu z nich uda się przedrzeć przez wrogie zasieki i zastawione przez czartoryjszczyków pułapki i zostać sędzią w tej kadencji!

A potem trzeba powtórzyć ten sam manewr przy wyborach do Sejmu. I pamiętać: *E pluribus unum*⁸, mości panowie! Tylko tak sprawimy, że pomysł pana stolnika Poniatowskiego i jaśnie oświeconych książąt Czartoryskich, co się z dupy począł, na tym też, co z dupy wychodzi, się skończy. Tak nam dopomóż Bóg! Wasze zdrowie, drodzy przyjaciele!

– Zdrowie księcia pana! Precz z Familją! Precz z Moskwą! Zwyciężymy! – huknęło w całej szopie, po czym, bez dalszej zwłoki, zaczęto ucztę.

Srebrne łyżki, noże i widelce, wielkie chochle i specjalne nożyce do krajania pieczystego poszły żwawo w ruch, choć niejeden z gości z przyzwyczajenia wolał wyjąć własne sztucce z uwiązane go u pasa skózanego pokrowca bądź zza cholewy albo zrobić sobie tradycyjną łyżkę ze skórki chlebowej, zatknąwszy ją na nóż. Z mis, półmisków, waz, salaterek, tac, koszów i kociołków zniknęła szybko ich zawartość, trzy wieże Babel zmniejszyły się o połowę, Cyncynat, czy też Piast Kołodziej, stracił wkrótce pług, a Leda łabędzia i cnotę, ale oprócz tych postaci, jedynych w swoim rodzaju, wszelkie inne straty i ubytki były natychmiast uzupełniane przez uwijającą się jak w ukropie służbę.

Goście usługiwali sobie nawzajem, przestrzegając zasad tytularnej precedencji lub zwykłego starszeństwa, nalewali jeden drugiemu zupy, podawali sobie sól i sosy, kroili bądź odrywali po prostu ręką kawały mięsiwa i nakładali je sąsiadom na talerze, a wszystko to w atmosferze wzajemnych komplementów i rozmaitych wyszukanych grzeczności. Od czasu do czasu przy którymś z trzech stołów rozlegały się śmiechy i gromkie brawa, gdy ktoś z biesiadników ku swojemu zdziwieniu odkrywał, że nałożona właśnie na talerz potrawa przechodziła w jego ustach metamorfozę godną pióra Owidiusza, bo smażony karp przemieniał się nagle w wołową pieczeń, zajęczy comber stawał się kaczką, zaś ozdobny bazyliśzek, czyli ogromny łosoś na świńskich nóżkach z kogucim grzebieniem i rozpiętymi na drucie gęsiami skrzydłami, smakował niczym zwykłą wątrobianką z dodatkiem buraczków.

Do jeszcze większych wybuchów wesołości dochodziło, kiedy któryś z gości natrafił na jedną z niespodzianek przygotowanych przez gospodarza: złotego dukata umieszczonego w kotlecie mielonym, drogocenną perłę tkwiącą

w dzwonku sandacza bądź rubinowy pierścień ukryty w wieprzowej wędzonce, a zwłaszcza wtedy, gdy złamał sobie ząb na gipsowym jajku lub połknął z rozpędu coś żywego, co jeszcze długo ruszało mu się w brzuchu – może akwaryjną rybkę, a może jednodniowe kurczę – a najbliżsi sąsiedzi pocieszali nieboraka, że nie ma się czym przejmować, bo to tylko zwykła mysz albo żaba.

Oczywiście nie jedzono niczego na sucho. Pito, i to obficie, z kielichów i z kieliszków, ze szklenic i ze szklanek, z pucharów i z pucharków, jak też ze zdradliwych kulawek (jedna z nich trafiła się rotmistrzowi von Zypke), które należało stale trzymać w ręku, bo z braku nóżki nie dawały się odstawić na stół, choć w ostateczności można je było, jak w końcu zrobił to czarny huzar, wetknąć w jakiś pasztet bądź kulebiak.

Książę wojewoda, jako gospodarz, który musiał zwyczajowo wypić zdrowie wszystkich osób siedzących u stołu, począwszy od najgodniejszej, a na ostatniej skończywszy, pomimo swojej znanej powszechnie słabości do trunków, przy kolejnych toastach najczęściej przytykał tylko kieliszek do ust i zaraz odstawiał go z powrotem, ale inni nie wylewali na ogół za kołnierz. Ci, na których cześć pito, kłaniali się w podzięcie i ze swej strony odwzajemniali się stosownym toastem, a wszystko to, jak nakazywała grzeczność, przeplatano gęsto piciem za zdrowie gospodarza i przepijaniem do siebie nawzajem ze słowami „Zdrowie mości dobrodzieja!”, „W pańskie ręce!” albo „Sto lat, panie bracie!”.

Przy każdym toaście wstawano, pito i siadano z powrotem, chyba że ktoś nie mógł się już podnieść z ławy. Aby nikomu nie uchybić, wnoszono także toasty zbiorowe za stan rycerski, za czcigodne duchowieństwo, za piękne damy (choć na sali nie było ani jednej kobiety), za ichmościów panów braci i obywateli, a wreszcie za zdrowie całej przytomnej kompanii, za zwycięstwo w jutrzejszych wyborach i po prostu za przyjaźń, za zgodę, za dobro powszechne i za Najjaśniejszą Rzeczpospolitą. Czujni lokaje krążący wokół stołu dolewali natychmiast każdemu, kto osuszył swój kielich bądź go nie dopił, a gdzie oni nie dotarli bądź dotrzeć nie zdążyli, wyręczał ich lub uprzedzał najbliższy sąsiad. Nie było od tego żadnej ucieczki, bo jeśli ktoś, broniąc się przed dolewką, schował kielich za plecami, napełniano mu go właśnie tam, a jeśli ukrył go dyskretnie pod stołem, o to, żeby nie był pusty, dbali siedzący pod nim mali chłopcy.

Alkohol robił swoje, coraz rzadziej usługiwano sobie nawzajem, dbając przede wszystkim o własną wygodę i własny talerz. Jeden rozprawiał o polityce, drugi opowiadał pieprzne dykteryjki, trzeci organizował wyprawę na Turcję albo

na Moskwę, ten układał traktat pokojowy kończący najnowszą, siedmioletnią wojnę w Hubertusburgu, tamten, chociaż nikt go nie słuchał, skarżył się po raz kolejny na swe chore nogi, jeszcze inny żalił się na swą jędzę żonę. Tu i ówdzie całowano się z dubeltówki, po czym jedzono zgodnie z jednego talerza i pito po bratersku z jednej szklenicy, gdzie indziej znowuż zrucano ukradkiem pod stół kości i ogryzki, lecz coraz częściej dochodziło także do drobnych utarczek, do jakichś przymówek, sprzeczek i zaczepek, do różnego rodzaju dwuznacznych aluzji i jawnych złośliwości, do ostrzegawczego ruszania wąsem i pogardliwego mierzenia się zmętiałym wzrokiem, do gniewnego cedzenia słów przez zęby i niepotrzebnego podnoszenia głosu, w końcu gdzieniegdzie rozległy się nawet pojedyncze przekleństwa.

Jeszcze kielich lub dwa i już tu i ówdzie skakano sobie do oczu, wypominając sobie jakiś niezwrócony groszowy dług albo zajazd sprzed pół wieku, jakiegoś Bogu ducha winnego jelonka, ustrzelonego przed laty w nie swoim lesie, jakąś skradzioną nocną porą kopę siana, jakąś kreskę oddaną na poprzednim sejmiku na kpa-kontrkandydata, jakiś ciągnący się od pokoleń spór o miedzę czy wreszcie jakąś wyjątkowo obrzydliwą czarną polewkę, którą czyjaś wyrodna babka śmiała kiedyś podać czyjemuś zacnemu dziadkowi. Raz i drugi zaatakowano nawet rotmistrza von Zypke, pytając go podchwytliwie, czy oprócz Zorndorf był także pod Pirną i czy dobrze mu się strzelało w plecy Najjaśniejszemu Panu Augustowi III, czemu zaskoczony Prusak musiał długo i gorąco zaprzeczać.

Na szczęście wszędzie tam, gdzie zaczynało iskrzyć i gdzie w każdej chwili ręce mogły ruszyć do szabel, zjawiał się natychmiast książęcy gospodarz, wylewał na wzburzone fale oliwę, kazał zwaśnionym przeprosić się i ucałować z dubeltówki, a potem polecał im słodkim, lecz nieznoszącym sprzeciwu głosem:

– Jedzcie i pijcie, panie kochanku, nie bądźcie mi niełaskawi. I pamiętajcie, że w jedności siła!

Ale już nie wszyscy mogli pić dalej. Ten i ów bujał się bezmyślnie na ławie, paru spało z twarzami w talerzach, niektórzy wylewali natychmiast na podłogę wszystko, co im ochoczo dołała służba, a jeśli ktoś jeszcze przejawiał chęć do picia, najczęściej wychodził jak za potrzebą na dwór i tam, pogmerawszy sobie palcem w gardle, wydalał z siebie nadmiar trunku, co po zaczerpnięciu dodatkowo paru haustów świeżego powietrza, pozwalało mu powrócić do towarzystwa i raczyć się od nowa winem czy wódką bez ryzyka kompromitacji.

Zdarzało się bowiem, że temu lub owemu, kto zaniedbał tej ostrożności, wierząc nadmiernie w swoją mocną głowę i, jakby nigdy nic, rwał się do dalszego picia, przy pierwszym łyku robiło się niedobrze i zanim zdążył zasłonić sobie usta, nie tylko obryzgiwał siedzącego naprzeciwko siebie nieprzetrawionym trunkiem, ale i dekorował mu kontusz mięsem, śledziami, kaszanką bądź bigosem.

Kiedy w taki właśnie sposób sąsiad z przeciwka przyozdobił siedzącego po lewicy czarnego huzara Łukasza Korytkowskiego, stary pirat zmełł pod nosem jakieś przekleństwo, podniósł się z ławy, pochylił się nad stołem, wyciągnął rękę, chwycił za czub na wpół przytomnego sprawcę i wcisnął mu z całej siły głowę w półmisek zimnych nóżek w galarecie, po czym oświadczył:

– Na dziś wystarczy, mości panowie. Jutro czeka nas ciężki dzień. Trzeba się wyspać.

Zaraz potem cała czwórka opuściła dyskretnie szopę, choć jeszcze u wyjścia musiała opędnąć się od namolnej służby, proponującej jej na siłę strzemiennego, i udała się chwiejnym krokiem na stancję.

– No i jak się panu podobało? – zapytał pan Korytkowski rotmistrza von Zypke, któremu najbardziej ze wszystkich plątały się nogi.

– *Se... sehr gut, da... danke* – wybełkotał z trudem czarny huzar. – *Zu... zupfenie jak u... u mnie w ka... kasynie, tylko je... jedzenie du... dużo lepsze. Ale ja... ja już się chyba od tego od... odzwyczaiłem...*

Rano obudziło ich bicie dzwonów, które bardzo nieprzyjemnie nakładało się na bolesne łupanie i dudnienie w czaszkach. Minęła dłuższa chwila, zanim panu Korytkowskiemu przypomniało się, że to dzwony fary wzywają wyborców do stawienia się na sejmiku. Zarządził zatem pobudkę, a potem cała czwórka, bez mycia się i golenia, wypiwszy jedynie chciwie po kwaterce wody i oczyściwszy tylko z grubsza zapaskudzony kontusz Łukasza, powlokła się dopełnić swego obowiązku.

Choć w farze msza już się kończyła, nie dotarli na nią bynajmniej jako ostatni. Gdy zasiedli w jednej z tylnych ławek, do świątyni wciąż przybywali kolejni elektorzy – zarówno republikanci, jak i czartoryjszczycy – z reguły tak samo jak oni niewyspani, z zapuchniętymi oczami, nienaturalnie bladzi bądź – dla odmiany – czerwoni na twarzach, jakby ich kto oblał barszczem, mający niekiedy problemy z utrzymaniem równowagi albo też cierpiący tak niewymowne katusze pragnienia, że chleptali ukradkiem wodę z chrzcielnicy.

Ten i ów paradował w szlafmycy albo w delii założonej na lewą stronę, ktoś przyszedł w bamboszach, niektórzy, zajmąwszy jakieś miejsce, zasypiali natychmiast kamiennym snem.

Po mszy okazało się zresztą, że wielu wyborców, których męczył rozstrój żołądka lub nudności, w ostatniej chwili zmieniło trasę i ominąwszy kościół, skończyło w pobliskich krzakach, skąd wracali teraz na niepewnych nogach, lecz z wyrazem ulgi na twarzach.

Miejscem odbywania sejmiku był przykościelny cmentarz zajęty mniej więcej w połowie przez republikantów i w połowie przez zwolenników Familii. Ponieważ przewodniczący sejmikowi z urzędu kasztelan nowogródzki Jan Chreptowicz oraz marszałek tego zgromadzenia Benedykt Massalski należeli do stronników Czartoryskich, stół prezydialny, przy którym zasiadało kilku asesorów mających czuwać nad legalnością i prawidłowością aktu wyborczego, stał po stronie cmentarza opanowanej przez tę właśnie frakcję. Wojska, tak przydatnego poprzedniego dnia do rozdzielania i trzymania w ryzach zbyt krewkich elektorów, nie było pod farą w ogóle, jako że zgodnie z literą i duchem obowiązującego prawa, odeszło rankiem z miasteczka, aby w żaden sposób nie wpływać na wynik wyborów.

Obrady zagaił pan kasztelan, dziękując szlachcie za liczne przybycie, następnie pan marszałek złożył przysięgę, że przeprowadzi uczciwie elekcję sędziów trybunalskich, po czym zaczęło się wotowanie nad kandydaturami zgłoszonymi wcześniej do łaski.

Pierwszym z ubiegających się o godność deputata był wystawiony przez republikantów pan Apolinary Danejko, krajczy chwejdański. Kandydat, dźwigający już siódmy krzyżyk na karku, niski, łysy jak kolano, z wielkim sumiastym wąsem i z jeszcze większym brzuchem opiętym błękitną delią, wyszedł przed szereg swojej partii, wlokąc za sobą zabytkową karabelę na zbyt luźnych rapciach, i ukłonił się grzecznie publiczności, lecz ze strony czartoryjszczyków powitało go jedynie buczenie i gwizdy. A kiedy one ucichły, głos zabrał marszałek Massalski:

– Jegomość pan Danejko, krajczy chwejdański, znany dobrze waszmościom obywatel naszego powiatu, jest mężem dojrzałym wiekiem i rozumem, przykładnym, godnym i zgodnym, znającym prawa i zwyczaje krajowe, szanowanym, majątnym oraz uczciwym. I z pewnością byłby najdoskonalszym sędzią trybunalskim pod słońcem, gdyby nie to, że jak wieść niesie, podczas

zeszłorocznej pielgrzymki do Matki Boskiej Żyrowickiej uwiódł ponoć w Słonimiu jakąś siostrę bernardynkę, która kręci się teraz po wirydarzu z półrocznej wielkości brzuchem.

Przez cmentarz przetoczył się syk oburzenia, który wydarł się z piersi stronników wszystkich partii. Osłupiały krajczy chwejdański zrobił się czerwony jak burak, potem zbladł, później poruszył kilka razy krzaczastymi brwiami i sumiastym wąsem, aż wreszcie wy dobył z siebie piskliwy jęk:

– Co wy, co wy, mości panowie?! Boga w sercu nie macie?! Ja miałbym zrobić coś takiego zakonnicy?! Ja?! Chybaście się szaleju najedli, moiściewy! Jakże w ogóle śmiecie?! Taż będzie już z pięć albo i sześć roków, dzięki Bogu, jak nie byłem w Żyrowicach ani nawet w Słonimiu! Mam na to świadków!

– Nie brak świadków na tym świecie – zauważył w odpowiedzi marszałek Massalski.

– Sinobrody! Moralny karzeł! Pielgrzymkowy satyr! Amant od siedmiu boleści! – zawtórował mu osławiony pan Wiśniewski, chorążyc przewalski, zaprzędany duszą i ciałem Czartoryskim, wyskakując przy tym raz po raz do góry zza pleców najroślejszych czartoryjszczyków ustawionych na wszelki wypadek w pierwszym rzędzie swojej frakcji.

– Hańba, hańba! Precz z Familją! Precz z Czopkiem! – ujęli się za panem Danejką radziwiłłowscy.

– Hm... – wtrącił kasztelan Chreptowicz, kiedy się nieco uspokoiło. – Wprawdzie faktycznie jesteś waćpan niewyględny, ale kto tam waści wie? Cicha woda brzegi rwie, jak powiadają.

– Właśnie, im kocur starszy, tym ogon twardszy – dorzucił ze śmiechem któryś ze zwolenników Familii.

– Ależ, panowie, na litość Boską! – złożył ręce pan Danejko. – Gdzież mnie tam do zakonnic? I jakież tam u mnie ogon? Taż żona od dawna zarzuca mi *impotentiam*! Mam na to świadków.

– Klauzurowy ruchacz! Klasztorny jebaka! Niemłody, niemodny, lecz niezawodny! Durny, bzdurny, ale jurny! Kłótniwy, mrukliwy, ale chutliwy! – wyśmiał go z miejsca pan Wiśniewski.

– Żona to żona, a kochanka to co innego. Przed żoną mogłeś się waćpan maskować z brakiem afektu – stwierdził marszałek Massalski. – Ale nie przyszliśmy tutaj roztrząsać waścinych amatorów, tylko na wybory. Zdajmy się zatem na wolę wyborców. Kto z panów braci jest za wyborem jaśnie

wielmożnego pana Apolinarego Danejki, krajczego chwejdańskiego, na deputata z naszego przesławnego powiatu do Trybunału Głównego Wielkiego Księstwa Litewskiego, niechaj podniesie rękę. Kto jest przeciw? Kto się wstrzymuje?

Jak było do przewidzenia, zwolennicy księcia wojewody wileńskiego zagłosowali jak jeden mąż za panem Danejką, niemal wszyscy stronnicy Familii przeciw, a sprawę rozstrzygnęli, jak to zazwyczaj bywa, elektorzy niezależni, którzy, zgorszeni usłyszaną przed chwilą historią, odrzucili w przytłaczającej większości tę kandydaturę.

– Złożę na waszmości skargę do grodu! – zagroził marszałkowi Massalskiemu rozgoryczony pan Danejko.

– Proszę bardzo, składaj waść nawet dwie – odparł z tryumfującym uśmiechem marszałek sejmiku. – Ja tylko *relata refero*⁹. I tak to waćpanu nic nie pomoże, bo jak się wszyscy mogliśmy przekonać, wyborcy pana nie chcą. Takie czasy, ot co.

– A to parszywa gnida! – zaklął pod nosem pan Korytkowski, podczas gdy pokonany krajczy chwejdański schodził z placu ze spuszczoną głową, żegnany szyderczymi okrzykami czartoryjszczyków: „Tylko nie zapomnij waćpan zaprosić nas na chrzciny!”, „Ciekawe, coś zmajstrował? Chłopca czy dziewczynkę?” albo „Następnym razem życzymy waszmości trojaczków!”.

Na szczęście trzech kolejni kandydaci, którzy byli wysunięci tym razem przez Familię, także przepadli. Jednemu zarzucono pozostawanie pod kondemnatą, drugiemu łapówkarstwo, trzeci zaś nie przypadł do gustu neutralnym wyborcom. Niestety przepadł również z kretesem republikant pan Horeszko, któremu zarzucono, że przed trzystu laty wszedł nielegalnie w posiadanie zamku.

Głęboko niezadowolony przeszedł natomiast pan Mikołaj Korsak, i to pomimo tego, że niezrównany – czy też może niezrównoważony – pan Wiśniewski, chorążyc przewalski, o mało nie zapluł się na śmierć, wykrzykując pod jego adresem: „Paskudny radziwiłłowski lizus! Oślizgły szkodnik! Ćwok ciemnogrodzki! Nikczemny dureń! Kanalia! Podły cham i bezczelny prostak! Polityczny kłusownik i żałosny hipokryta!”.

Tym zaciętsza walka rozgorzała zatem o drugie i zarazem ostatnie miejsce w Trybunale. Dwaj kolejni kandydaci Familii przegrali tak samo jak poprzedni. Chorążyc przewalskiego rozwścieczyło to do tego stopnia, że darł się jak opętany:

– Dość tej brutalnej nagonki! Dość tej ohydnej żenady! Dość tej haniebnej demagogii, cynicznego kłamstwa i bezwstydney obłudy! To są chorzy z nienawiści ludzie, chorzy na głowę, na mózg i na wszystko! Nic tylko szkodzą, przeszkadzają i rzucają kłody pod nogi, nikczemne, obrzydliwe prostaki! Po co się w ogóle z tym bydłem zadawać? Po co z nim dyskutować? Jak chamstwo nie dorosło do wolności, trzeba mu odebrać głos i popędzić je szablami z powrotem do obory! Na co jeszcze czekamy, bracia? To jest wojna o wszystko! Dorznijmy tę zgraję, zanim będzie za późno!

– Stul pysk, moczymordo, i uważaj, kurduplu, żebyśmy to my ciebie nie dorznęli! – nie wytrzymał Mateusz Korytkowski, a potem zwrócił się do ojca: – Czy mam mu rozkwasić ten jego parszywy czartowski ryj?

– Nie, synu – powstrzymał go były pirat. – Łachudry przegrywają i może o to im właśnie chodzi, żeby zerwać sejmik. Olać gnoja.

– Ha, ha, ha! – śmiał się tymczasem pan Wiśniewski z za pleców innych, przewyższających go co najmniej o dwie głowy czartoryjszczyków. – Strasznie się was boję, wsiowi gamonie! Tak przed wami drzę, że chyba przez całą noc nie zmrużę oka i będę się pocił pod kołdrą jak mysz, licząc ze strachu barany! Lepiej wylejcie sobie na głowy po wiadrze zimnej wody, bo nienawiść zalewa wam mózgi! O ile, rzecz jasna, je posiadacie.

– *Silentium, silentium!*¹⁰ – zdobył się wreszcie na interwencję kasztelan Chreptowicz, widząc bezczynność prowadzącego obrady marszałka Massalskiego. – Przypominam waszmościom, że jesteśmy na wyborach, a nie w karczmie czy w burdelu, i że mamy do obsadzenia jeszcze jedno wolne miejsce. Następnym, który się o nie ubiega, jest jaśnie wielmożny pan Jerzy Wandalin Korytkowski herbu Jelita, sędzic stokliski...

– Ha, ha, ha! – przerwał mu brutalnie pan Wiśniewski. – Sędzic stokliski! Dobrze, że nie pisarzewicz płotelski albo ciwunowicz zwodowski czy raczej wzwodowski!¹¹ W każdym razie ojciec tego zbója z zakazaną gębą, co groził mi przed chwilą śmiercią, pirat, handlarz niewolników, kapitan słodkich wód i majtek bez majtek! Jego kandydatury nie będziemy w ogóle rozpatrywać! Jak chamstwo nie wie, co to wolność, to trzeba z nim gadać inaczej! Skończyło się dworskie pierdzenie w bęben i zawijanie bździn w koronki! Tylko patrzcie, waszmościowie, co ja z tym prostakiem zrobię...

– Kapitan słodkich wód i majtek bez majtek?! Zawijanie bździn w koronki?! – powtórzył, z trudem łapiąc oddech, pan Korytkowski. – Chyba faktycznie nie

ma wyjścia i trzeba mu rozkwasić ten parszywy ryj!

Chorążyc przewalski wyskoczył tymczasem po raz pierwszy przed swoją drużynę i wyciągnął zza poły kontusza jakiś papier, którym zamachał gwałtownie w powietrzu.

– Wiecie, co to jest? – zawołał. – To protestacja, którą przygotowałem zawczasu przeciwko tym z przydupasów jaśnie oświeconego księcia wojewody wileńskiego, którzy są winni podeptania ustaw krajowych, traktatów międzynarodowych lub prawa morskiego! Czyli przeciw wszystkim, z mości Korytkowskim na czele! Jednemu się upiekło, ale jak już powiedziałem, skończyło się sranie w bęben! Koniec, kurwa, z Wersalem! Koniec z pałacem Buckingham! Koniec z etykietą, nożem i widelcem! Jak położę ten dekret na stole prezydialnym, to łajba tego flibustiera pójdzie od razu na dno jak kamień!

Po tych słowach na cmentarzu rozpętała się prawdziwa burza. Zwolennicy Familii wiwatowali i bili brawo jak szaleni, oburzeni republikanci klęli i gwizdali z całych sił, obie strony wymachiwały w kierunku przeciwników zaciśniętymi pięściami i wyjętymi z pochew szablami, protestowała także część wyborców nienależących do żadnej partii, nikt jednak nie śmiał zaczynać starcia bez wyraźnego sygnału ze strony przywódców lub bezpośrednio poszkodowanego kandydata. Lecz dopóki pozostawało w grze jeszcze jedno wolne miejsce w Trybunale Litewskim, ani ksiązę kanclerz, ani ksiązę wojewoda, siedzący w swoich karocach na dwóch przeciwległych krańcach cmentarza z obojętnymi minami, niczym dwa na swych słońcach przeciwnych bogi, wcale nie życzyli sobie wszczynania tumultu mogącego doprowadzić do zerwania sejmiku.

Jeśli zaś chodzi o bezpośrednio poszkodowanego, to ten, choć rozjuszony do żywego, mógł się odezwać dopiero wtedy, gdy wrzawa nieco przycichła.

– A cóż ty mi, kpie zatracony, możesz zarzucić konkretnego w tym twoim zasranym piśmie? – zapytał wtedy z wściekłością.

– Pływanie pod obcą banderą, naruszanie pokoju między Turcją i Hiszpanią, a zwłaszcza korsarstwo! – odpowiedział z wyzywającym uśmiechem chorążyc przewalski. – Mało? To mogę dopisać coś jeszcze.

– Tak?! – wycedził pan Korytkowski. – No to jeszcze zobaczymy, ty ruski wypierdku! Wy do nas z dekretem, a my do was z muszkietem! Brać go, mości panowie!

Po tych słowach radziwiłłowscy rzucili się do pana Wiśniewskiego z obnażonymi szablami, ale ten ani myślał na nich czekać, tylko obróciwszy się

błyskawicznie na pięcie, dał nura między swoich, którzy rozstępowali się przed nim jak na komendę, otwierając mu prostą drogę ku stołowi prezydialnemu, a następnie zwierali błyskawicznie szeregi, aby stawić czoła nacierającym z impetem republikantom.

Najżarliwiej zmagano się na pierwszej linii, gdzie dość długo żadna ze stron nie mogła uzyskać przewagi i skąd dobiegało najwięcej jęków i wołań o pomoc ze strony rannych i tratowanych. Stopniowo jednak partyzanci księcia wojewody poczęli brać górę. Jednolity front się załamał, przeciwnicy wymieszali się i odtąd walczone już tylko w małych grupkach, w absolutnym taktycznym zamęciu i bez żadnego widocznego dowództwa, już to goniąc się z wielkim krzykiem, już to uciekając przed sobą po całym cmentarzu.

Komu wytrącono z dłoni szablę czy obuszek, ten bynajmniej się nie poddawał, tylko wrywał naprędce sztachetę z płotu, drewniany krzyż z najbliższej mogiły lub kawałek kamiennego epitafium i dotąd okładał nimi nieprzyjaciół, póki mu się ten prowizoryczny oręż całkiem nie rozpadł w rękę, po czym robił użytek z gołych pięści. Bojowego animuszu nie osłabiały ani prośby kasztelana Chreptowicza, ani groźby marszałka Massalskiego, ani tym bardziej hiobowe laments miejscowego proboszcza, ani nawet to, że jedna czy druga grupka splecionych ze sobą w śmiertelnym uścisku przeciwników wpadła niespodziewanie do starej, nadwerężonej przez czas mogiły lub do wykopanego przez grabarza na zapas dołu, bo i tam bito się dalej nie gorzej niż na innych pozycjach, choć często już tylko zetlałym żebrem bądź pozieleniałą ze starości puszczelą.

Tymczasem, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, chorążycowi przewalskiemu nie udało się dotrzeć do stołu prezydialnego. Po początkowych sukcesach, gdy wszystko szło mu jak po maśle, nadzieją się w końcu na dobrze rozstawionych ludzi księcia wojewody, którzy obalili go na ziemię i nakryli stosem własnych ciał. I chociaż dwukrotnie zdołał spod nich wypełznąć i popędzić zygzakiem dalej, to kiedy był już blisko celu, ktoś podstawił mu nogę i pan Wiśniewski potknął się, potem przekoziółkował w powietrzu, następnie szurnął kawał drogi brzuchem po śniegu, aż wreszcie wyrznął z całej siły głową w kamienną podmurówkę jakiegoś grobowca i stracił przytomność. W chwilę później znaleźli się przy nim pan Korytkowski, jego dwaj synowie i rotmistrz von Zypke, goniący jego tropem jak ogary.

Stary pirat wyrwał z ręki nieprzytomnego chorążycza jego manifest, podał go na strzepy, a potem, korzystając z ogólnego zamieszania, cała czwórka chwyciła nieświadomego niczego pniacza za ręce i nogi, na wszelki wypadek nakryła mu jeszcze twarz futrzaną czapą i przeniosła go czym prędzej za linię frontu, do własnego obozu. Tam złożono go na ziemi, związano mu ręce i nogi i otoczono tak ściśle radziwiłowskimi partyzantami, że od tego momentu pan Wiśniewski zupełnie zniknął czartoryjszczykom z oczu.

Tymczasem bitwa na cmentarzu powoli dogasała. Większość z walczących zdała sobie sprawę, że protestacja nie została złożona, niektórzy widzieli, jak manifest podarto, po obu stronach zaświtała więc nadzieja, że sprawy mogą się jeszcze potoczyć inaczej, nie mówiąc już o tym, że spora część wojowników była już zmęczona i należało opatrzyć rannych.

Zawarto zatem nieformalny rozejm, a wraz z nim wrócił także większy posłuch dla apeli kasztelana i marszałka. W końcu wspólnymi siłami rozdzielono kilku ostatnich, głuchych na wszystko przeciwników.

– Chwała niech będzie Bogu, że waszmościom rozum wrócił! – przywitał z ulgą tę chwilę kasztelan Chreptowicz. – Mam nadzieję, że nikt nie zginął?

– A gdzie tam! Ten i ów zarobił co najwyżej guza albo parę szram na pysku, to wszystko – odpowiadano mu z różnych stron. – W sumie tyle co przy goleniu.

– To dobrze, oby się to więcej nie powtórzyło. W takim razie procedujemy dalej, panie marszałku.

– Mości panowie! – zabrał głos marszałek Massalski. – Protestacja imć pana Wiśniewskiego nie została formalnie złożona, przepadł gdzieś też jej autor...

– Może wleciał do trumny i gzi się z jakąś nieboszczką? – zaśmiał się ktoś z republikantów. – Więcej by było z tego pożytku niż z jego sejmikowania!

Cały obóz radziwiłowski zatrzęsł się ze śmiechu, lecz jego wesołości nie dzielano ani wśród czartoryjszczyków, ani przy stole prezydialnym.

– Kiepski żart! – stwierdził z pogardą marszałek Massalski. – Swoją drogą, po zakończeniu sejmiku dobrze byłoby przeszukać wszystkie naruszone groby, żeby się upewnić, czy nie ma tam kogoś żywego. Teraz jednak przystąpmy wreszcie do rozpatrzenia kandydatury imć Jerzego Wandalina Korytkowskiego, sędzica stokliskiego.

Słowa te zostały przyjęte przez republikantów wielkimi brawami, zaś przez zwolenników Familii jeszcze większymi gwizdami, lecz kiedy jedni i drudzy trochę się uspokoili, zaszło coś zupełnie nieoczekiwanego.

– Niestety nie ma na to zgody, panie marszałku – odezwał się stanowczo, choć z należytych szacunkiem, jeden z asesorów zasiadających w prezydium. – Wprawdzie jaśnie wielmożny pan Wiśniewski, chorążyc przewalski, a mój bliski krewny, nie złożył swojej protestacji na piśmie, jak wymaga prawo, to jednak umówił się ze mną przed sejmikiem, że gdyby zaszła taka potrzeba, mam to zrobić za niego, co też niniejszym czynię. Oto, mości panowie, kopia manifestu przeciw wyborowi imć pana Korytkowskiego, sędzica stokliskiego, z wpisaniem jego nazwiskiem, tytułem, stosownymi formułami grzecznościowymi i przede wszystkim z tą samą nieodpartą argumentacją, jaką raczył nam przedstawić w swoim wystąpieniu nieobecny tu chwilowo z nieznanym powodów jaśnie wielmożny chorążyc przewalski.

Po tych słowach pan asesor wyjął zza pazuchy jakiś papier i położył go na stole, a na całym cmentarzu zapadła iście grobowa cisza, przzerwana po chwili rozdzierającym krzykiem pana Korytkowskiego:

– A to skurwysyn!

Konsternacja zapanowała także przy stole prezydialnym. Kasztelan Jan Chreptowicz, chociaż zwolennik Familii, zmarszczył brwi, pochylił się ku marszałkowi Massalskiemu i szepnął:

– Nie podoba mi się ta akcja. Komisja wyborcza jest od czuwania nad uczciwym przebiegiem wyborów, a nie od wpływania na ich wynik, nie sądzi pan, panie marszałku?

– I owszem – przyznał niezbyt chętnie marszałek sejmiku. – Co waszmość proponujesz?

– Usunąć go ze składu kolegium. Jak się waćpan nazywasz? – zwrócił się już na głos do asesora spokrewnionego z panem Wiśniewskim.

– Jan Nepomucen Fizdejko, cześnik wilkijski, zawsze do usług jaśnie wielmożnego pana kasztelana, a także jaśnie oświeconych książąt Czartoryskich i całej przeświatnej Familii – odparł uniżenie rozpromieniony asesor.

– Jestem zaszczycony i dziękuję waszmości w jej imieniu. A teraz zbieraj waść swoje manatki i żebyś go tu więcej nie widział. Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno? Liczę do trzech: raz... dwa...

Przerażony cześnik wilkijski wolał nie czekać, aż kasztelan nowogródzki wymówi słowo „trzy” i nie pytając absolutnie o nic, rzucił się do ucieczki, a wtedy pan Chreptowicz uniósł rękę do góry i obwieścił stentorowym głosem:

– Umiłowani panowie bracia! Jegomość pan Fizdejko, cześnik wilkijski, asesor tego sejmiku, złamał świętą zasadę bezstronności prezydium i został za to dla przykładu wykluczony z kolegium w trybie natychmiastowym. Niechaj to będzie nauczka dla wszystkich, którzy chcieliby kiedykolwiek pójść w jego ślady.

Cały cmentarz dosłownie zatrząsł się od braw i wiwatów partii radziwiłłowskiej oraz od gwizdów i okrzyków „Hańba! Hańba!” czartoryjszczyków. A kiedy znowu dało się usłyszeć własne myśli, rozległ się głos Mateusza Korytkowskiego:

– No dobrze, a co z protestacją?

– No dobrze, a co z protestacją? – powtórzył pan Chreptowicz do marszałka Massalskiego.

– Jeśli chodzi o protestację, to myślę, że została złożona *lege artis* – odpowiedział marszałek sejmiku. – W końcu pan Fizdejko też jest obywatelem i miał pełne prawo wyrazić swoje zdanie. A poza tym nie działał przecież *pro domo sua*¹².

– No tak – westchnął kasztelan Chreptowicz i znów uniósł rękę. – Obywatele! – ogłosił. – Jeśli chodzi o protestację, to została ona złożona *lege artis* i zachowuje swoją ważność. Zwłaszcza że złożono ją *pro publico bono*¹³, nie zaś *pro domo sua*.

Tym razem bili brawo i wiwatowali zwolennicy Familii, a gwizdali i krzyczeli „Hańba! Hańba!” republikanci.

– Tego nie mogliśmy przewidzieć! – stwierdził osłupiały pan Korytkowski. – Niech to wszyscy diabli, ale choć poniosłem uszczerbek na zdrowiu i majątku, ofiar złożonych na ołtarzu ojczyzny nie należy nigdy żałować. Jest jeszcze pan Tuhanowski, może jemu pójdzie lepiej.

– Kurwa żeż mać! – wybuchnął Mateusz Korytkowski i nie mając na kim wyładować swojej złości, kopnął z całej siły w żebra leżącego wciąż na śniegu pana Wiśniewskiego, który natychmiast otworzył oczy i już się zbierał, żeby rozedrzeć się na całe gardło, kiedy drugi z bliźniaków, Łukasz, przystawił mu szablę do grdyki.

– Piśnij tylko słowo, szcurze – ostrzegł chorążycy przewalskiego – a przybiję cię do ziemi jak osikowym kołkiem. Choć mogę to też zrobić teraz, kiedy leżysz, skurwielu, jak trusia i udajesz trupa. Co ty na to, ojcze?

– Nie – odpowiedział pan Korytkowski. – Prawdę mówiąc, sam miałem zamiar naszczać mu do gęby, żeby mu ją choć trochę wyparzyć, ale już mi przeszło. W końcu jesteśmy chrześcijanami i w dodatku szlachtą. Puśćcie wolno tego sukinsyna.

A kiedy uwolniony z więzów pan Wiśniewski rwał jak zając do obozu Familii, stary pirat wołał za nim:

– Następnym razem, jak mi wejdiesz w drogę, moskiewski lokaju, obetnę ci jaja, jeśli je, rzecz jasna, posiadasz!

Nie wiadomo, czy sprawiły to niedawne przeżycia, czy też raczej obawa o przyszłość, dość że do końca sejmiku jegomość pan Wiśniewski nie odezwał się już więcej ani słowem.

Sam sejmik zresztą wkrótce się zakończył, i to sensacyjnie. Otóż po utraceniu kandydatury pana Korytkowskiego niezależni elektorzy mieli tak dosyć arogancji i manipulacji czartoryjszczyków, że następny kandydat do Trybunału Litewskiego pan Antoni Tuhanowski, reprezentujący stronnictwo republikanckie, niespodziewanie zyskał mnóstwo głosów i zdobył przebojem drugie z wakujących miejsc.

Po tym wielkim zwycięstwie stronnicy księcia wojewody wileńskiego skakali do góry, rzucali w niebo czapkami, wołali „Hura!”, ściskali się nawzajem i wiwatowali bez końca, zaś zwolennicy Familii, wściekli, smutni i upokorzeni, opuszczali cmentarz jak niepyszni, chyłkiem, z nietęgimi minami i z nosami spuszczone na kwintę, klnąc przy tym, złorzecząc i lamentując, a niekiedy przysięgając także zwycięzcom okrutną zemstę. W atmosferze rozgrzanych do czerwoności emocji nikt nie pamiętał o przeszukaniu naruszonych grobów.

– No i jak było? – zapytał czarnego huzara pan Korytkowski, kiedy się żegnali pod nowogródzką farą.

– Świetnie. Całkiem jak u nas w Niemczech na Sejmach Rzeszy. Tylko że u nas latają jeszcze w powietrzu berła i korony.

Mimo to, w najgłębszej skrytości ducha, rotmistrz von Zypke bardzo się cieszył, że ma już to wszystko za sobą i może nareszcie wracać do swojej jaskini.

Lecz pod Częstochową czekała na niego nowa niespodzianka. Jak się okazało, podczas jego pobytu na Litwie dwóch konnych gwardzistów, Stanisław Kostka Zbaraski (dawniej Natan Kopłowicz ze Zbaraża) i Kazimierz Zamoyski (ex Wolf Eljaszewicz z Brzeżan), pokłóciło się z sobą śmiertelnie, doprowadzając przy okazji do podziału w całej frankistowskiej kawalerii.

Poszło o koński ogon. Do tej pory ogony wierzchowców straży konnej Jakuba Franka rosły swobodnie bez żadnych ograniczeń, jak u tatarskich czy tureckich bachmatów, co miało podkreślać kresowy charakter tej formacji wywodzącej się z terenów, które od wieków jako pierwsze stawiały czoła wpadającym z Dzikich Pól do Polski ordyńcom i spahisom. Czarny huzar w pełni aprobował ten zwyczaj, jak zresztą wszystko, co spajało powierzony mu oddział i podnosiło jego morale.

Tymczasem podczas jego nieobecności Stanisław Kostka Zbaraski obciął krótko ogon swojemu koniowi, tłumacząc się, że miał już dosyć prania swego „papuziego” munduru w czasie odwilży, kiedy to jego koń z każdym machnięciem ogona obrzucał go od stóp do głów błotem i śnieżną bryją. Nie zmniejszyło to jednak oburzenia pozostałych kawalerzystów, wyrażonego w najostrzejszych terminach przez Kazimierza Zamoyskiego. Od słowa do słowa doszło do obelg, od obelg do rękoczynów, aż w końcu, tuż przed powrotem czarnego huzara do Olsztyna, obaj gwardziści wyzwalali siebie nawzajem na pojedynek.

– Pojedynek?! – zagotował się rotmistrz von Zypke, gdy o tym usłyszał od Jakuba Mniejszego, i kazał mu natychmiast przyprowadzić obu podwładnych.

– Czyście poszaleli?! – zapytał, kiedy wezwani gwardziści stanęli przed jego obliczem i strzelili służbie obcasami. – Chcecie się pozabijać z powodu końskiego ogona?!

– Skoro nie ma innego wyjścia... – wzruszył ramionami Stanisław Kostka Zbaraski.

– Gdy w grę wchodzi honor, koński ogon jest tak samo ważny jak wszystko inne – oświadczył z dumą Kazimierz Zamoyski.

– Honor?! Jaki honor?! Czyj honor, do jasnej cholery?! – nie wytrzymał czarny huzar.

– A choćby mój – odpowiedział hardo Zbaraski.

– I mój – zawtórował mu nie mniej bezczelnie Zamoyski. – A także honor całego regimentu, bo wyglądamy teraz jak, nie przymierzając, kupa podolskich dziadów, a nie prawdziwi huzarzy.

„*Heilige Himmel!*”¹⁴ – jęknął w duchu rotmistrz von Zypke i już chciał ich obu zdrowo obsztorcować, kiedy nagle uświadomił sobie, że przecież nie kto inny, tylko on sam zrobił z tych ludzi – ongiś bosych, obdartych, zgarbionych i bojących się własnego cienia – dumnych z siebie żołnierzy, i że to on sam, a nie

kto inny, opowiadał im często o honorze i wpajał im poczucie własnej godności. Toteż zamiast ich ostro złać, zastygł na chwilę ze zbolaną miną, a potem westchnął i zaproponował:

– A nie moglibyście się pogodzić albo załatwić tego inaczej?

– Inaczej to znaczy jak? – zapytał rzeczowo Stanisław Kostka Zbaraski.

– Nie wiem. Tak jak dawniej – odpowiedział Prusak.

– Dawniej to jeden drugiemu dałby po mordzie albo skopałby dupę i na tym by się skończyło. Ale odkąd nosimy mundury, to nie uchodzi. Zwłaszcza mnie, bo ja jestem szlachcicem – wyjaśnił Kazimierz Zamoyski, którego ojcem chrzestnym był rzeczywiście jeden z krewnych ordynata z Zamościa.

– A czy w Polsce pojedynki nie są zakazane? – nie dawał za wygraną czarny huzar.

– Są – potwierdził Zamoyski. – Ale ważniejszy jest honor. Sam pan to mówił, panie komendancie.

– Właśnie. I dlatego będziemy się strzelać do upadłego. Nie ma innego wyjścia – uzupełnił jego przeciwnik.

– Strzelać?! – przeraził się rotmistrz von Zypke. – Z czego?

– Z pistoletów. Pożyczyliśmy je w Częstochowie.

– Przecież żaden z was w życiu nie oddał ani jednego strzału!

– Tym lepiej. To nie sztuka zabić kruka, ale gołym tyłkiem jeża. Zresztą będziemy się strzelać z odległości trzech końskich ogonów, a z takiej trafi nawet ślepy – zapewnił komendanta Stanisław Kostka Zbaraski.

– I to w bezksiężycową noc – dodał ze złowrogą satysfakcją jego adwersarz.

– *Blöde Hacke!* – zaklął czarny huzar, tym razem na cały głos. A potem pokręcił głową i stwierdził zrezygnowany: – Dobrze, jak sobie chcecie. Ale odległość wymierzę sam, co do paznokcia. I będzie wam wolno oddać tylko po jednym strzale.

– To w zupełności wystarczy – odpowiedzieli, jakby się umówili, obaj kawalerzyści.

– Więc znajdźcie sobie sekundantów i spiszcie testamenty. Pojedynkę odbędzie się za trzy dni pod zamkiem – zamknął sprawę rotmistrz von Zypke.

Trzy dni później w odludnym miejscu pod ruinami olsztyńskiego zamku zebrali się wszyscy gwardziści oraz wielu zwykłych frankistów przybyłych specjalnie na tę okazję z Częstochowy i jej okolic.

Zdradzającemu oznaki niewyspania rotmistrzowi von Zypke, w świeżo odprasowanym mundurze, trzymającemu w ręku gołą szablę z przywiązaną na jej czubku wielką kraciastą chustką do nosa, towarzyszył jego adiutant Jakub Mniejszy z przerzuconym przez ramię dużym płóciennym workiem. Główni bohaterowie dnia, panowie Stanisław Kostka Zbaraski i Kazimierz Zamoyski, zjawili się punktualnie w towarzystwie swoich sekundantów.

Po własnoręcznym sprawdzeniu i starannym nabiciu pożyczonych w Częstochowie pistoletów czarny huzar zwrócił się do zebranych:

– Panie i panowie, za chwilę będziecie świadkami smutnego wydarzenia. Oto dwaj bliscy do niedawna przyjaciele i towarzysze broni, ichmościowie Stanisław Kostka Zbaraski i Kazimierz Zamoyski, poróżniwszy się o koński ogon, postanowili stoczyć ze sobą pojedynek na śmierć i życie. Jako ich przełożony próbowałem nakłonić ich do zgody, ale ponieważ w grę wchodzi rzecz święta, jaką jest honor, nic z tego nie wyszło. Mimo to spróbuję zrobić to jeszcze raz, publicznie. Panowie, czy jesteście w stanie wybaczyć sobie nawzajem i zrezygnować z walki?

– Nigdy – pokręcił głową Stanisław Kostka Zbaraski.

– W żadnym przypadku – poparł go Kazimierz Zamoyski.

– Cóż, wasza wola – westchnął czarny huzar, a potem kontynuował: – Jest życzeniem panów Zbaraskiego i Zamoyskiego, by strzelać do siebie z odległości wyznaczonej przez trzy końskie ogony (po tych słowach pod zamkiem przeszedł szmer podziwu i zgrozy). Ich woli stanie się więc zadość. Jak widzicie, panie i panowie, mam z niewyspania podkrążone oczy. To dlatego, że przez całą noc razem z Jakubem Mniejszym wyjmowaliśmy włos po włosie z trzech końskich ogonów zakupionych wczoraj na targu w Częstochowie i wiązaliśmy je następnie w jedną długą nić mierzącą teraz dobre ćwierć mili. Jakubie, wyjmij zwój.

Po tych słowach adiutant rotmistrza von Zypke wyjął z płóciennego worka wielki i gruby jak udo mężczyzny wieniec końskiego włosa i pokazał go publiczności, która zaczęła się gromko śmiać i wiwatować. Tylko panowie Zbaraski i Zamoyski, dotąd bladzi, pokraśniali z oburzenia, lecz choć chcieli koniecznie coś powiedzieć, czarny huzar nie dopuścił ich do głosu.

– O co chodzi? – rzucił ostro w ich stronę. – Chcieliście się strzelać z dystansu trzech końskich ogonów, to będziecie. Powiem więcej: jeśli któremuś z was uda się choćby zadrasnąć drugiego, to osobiście przyznam mu honorowy tytuł... tytuł... Jakubie, jak będzie po polsku *ein Scharfschütze*?

– Nie wiem – zawstydział się Jakub Mniejszy.

– Ale ja wiem! – rozległ się nagle dźwięczny głosik małej Awaczuni Frank, która też przyjechała, razem ze swoimi „Nares”, aby obejrzeć pojedynek: – Strzelec wyborowy.

– Właśnie, honorowy tytuł strzelca wyborowego. A teraz, Jakubie, weź kogoś do pomocy i rozwińcie ostrożnie nić. Wy zaś, panowie – zwrócił się do Zbaraskiego i Zamoyskiego – zajmijcie pozycje na jej przeciwległych końcach i nie ważcie mi się nacisnąć spustu, póki nie machnę chustką. Tego, kto strzeli wcześniej, własnoręcznie rozsiekam.

Niść z końskiego włosa została rozciągnięta, mający się pojedynkować gwardziści stanęli na jej końcach, rotmistrz von Zypke machnął szablą z przywiązaną do jej czubka kraciatą chustką, po czym huknęły dwa strzały, które w uszach publiczności zwały się niemal w jeden.

Ich jedynym skutkiem było to, że z okrągłej wieży olsztyńskiego zamku poderwało się stadko wron, które zrobiły nad głowami widzów trzy okrążenia, żeby zaraz potem, przekonawszy się, że dalszych wystrzałów nie ma, skryć się z powrotem w ruinach.

Kiedy panowie Stanisław Kostka Zbaraski i Kazimierz Zamoyski, witani oklaskami, wrócili ze swoich stanowisk, czarny huzar pogratulował im obu odwagi, kazał podać sobie ręce na zgodę, a na koniec zwrócił się do wszystkich podkomendnych nieznośnym sprzeciwu głosem:

– Od dzisiaj nie życzę sobie żadnych pojedynków. Zakazuję również obcinania koniom ogonów. Skoro taki jest miejscowy zwyczaj, trzeba go respektować. Kto bowiem nie szanuje tradycji, ten zawsze będzie obcym w cudzym kraju i – co znacznie gorsze – tylko przybłądą w swoim własnym. A teraz: *weggetreten!*¹⁵.

¹ Od niemieckiego słowa *die Fledermaus* (nietoperz).

² Dobro Rzeczypospolitej jest najwyższym prawem (łac.).

³ Rządy absolutne (łac.).

⁴ Przeciw całemu aktowi (łac.), tu w znaczeniu – zerwać sejmik.

⁵ W krajach będących w rękach niewiernych (łac.).

⁶ Autorzy najpopularniejszych podręczników do nauki łaciny używanych w ówczesnej Polsce.

⁷ Ośła ława (łac.).

⁸ Z wielu jedno (łac.), używane także w znaczeniu – w jednościi siła.

⁹ Powtarzam to, co mi opowiedziano (łac.).

¹⁰ Cisza, cisza! (łac.).

¹¹ Ciwun (tivunus) – najwyższa tytułarna godność w hierarchii honorowej Wielkiego Księstwa Litewskiego, wywodząca się jeszcze z czasów pogańskich, kiedy ciwuni byli zarządcami albo dzierżawcami majątków Wielkiego Księcia. W wieku XVIII istniało tylko dwóch ciwunów, trocki i wileński, a ich tytuły miały charakter czysto honorowy.

¹² We własnej sprawie (łac.).

¹³ Dla dobra publicznego, w interesie publicznym (łac.).

¹⁴ Święte nieba! (niem.).

¹⁵ Rozejść się! (niem.).

Rozdział 9

CZASY TAKIE, A NAWET TAKSZE

Z końcem 1762 roku zjechał do Warszawy nowy rosyjski ambasador hrabia Hermann Karl von Keyserling. Ponieważ Rosja i Prusy zawarły już pokój, pan Gédéon Benoît nie musiał spotykać się z nim po ciemku w Lesie Bielańskim czy w nadwiślańskich chaszczach, gdzie można było łatwo wybić sobie oko, tylko najzwyczajniej w świecie złożył mu wizytę w jego oficjalnej rezydencji. Wiedząc, że przedstawiciel Petersburga jest nie tylko wybitnym dyplomata i wielkim uczonym, ale także, jak przystało na Kurlandczyka ze starego arystokratycznego rodu, odrobinę ekscentrykiem, *chargé d'affaires* poselstwa pruskiego w Warszawie, który za poprzedniego pobytu hrabiego w Polsce zetknął się z nim zaledwie kilka razy, i to wyłącznie podczas ceremonii publicznych, przygotował się do tej wizyty bardzo starannie.

Stary hrabia Keyserling przyjął go bardzo uprzejmie, ubrany w niemodny od dziesięciu lat surdut i w wielkiej peruce złożonej z setek równej wielkości loków zwiniętych w grube wałki, która w eleganckim świecie też wyszła już dawno z użycia. Widać było od razu, że pomimo swego legendarnego bogactwa, jest to człowiek nieprzywiązujący większej wagi do wyglądu zewnętrznego, czy też może po prostu niepodatny na cudze wpływy i mocno przywiązany do własnego zdania.

– Ekscelencjo, jestem Gédéon Benoît, szef poselstwa pruskiego w Warszawie – przedstawił się reprezentant Berlina. – Przyszedłem złożyć panu wyrazy najgłębszego szacunku i szczerze życzenia samych sukcesów w pańskiej misji dyplomatycznej w Warszawie, jak też wyrazić gorącą nadzieję, że teraz, kiedy nasze kraje szczęśliwie przestały ze sobą wojować, będziemy współpracować na nowych zasadach we wszystkich dziedzinach interesujących

obie strony. Będzie to dla mnie tym większy zaszczyt, że podczas pańskiej poprzedniej kadencji w Polsce nie mieliśmy właściwie okazji się poznać, jako że pan, ekscelencjo, przebywał głównie przy dworze królewskim w Dreźnie, ja zaś, skromny dyplomatyczny wyrobnik, pilnowałem raczej drobnych i przyziemnych interesów Prus w Warszawie. Pragnę zarazem podkreślić, że współpraca z panem będzie dla mnie również wielką przyjemnością, gdyż rzadko ma się do czynienia z człowiekiem tak niezwykłym, nie tylko wybitnym dyplomata i mężem stanu, ale także znakomitym historykiem, geografem, matematykiem, logikiem, autorem wielu interesujących dzieł naukowych, znanym mecenasem sztuki i melomanem w jednej osobie.

– Uprzejmie dziękuję – odparł skromnie hrabia Keyserling. – Ja również liczę na naszą bliską współpracę i cieszę się, że wreszcie mam okazję poznać pana osobiście. Ambasador Wojejkow wiele mi o panu opowiadał.

– Miło mi. A cóż tam słyszeć u naszego drogiego Fiodora Matwiejewicza? – zapytał pan Benoît, gdy zasiedli do stołu.

– Wszystko w porządku. Po tym, jak oddaliśmy wam z powrotem Prusy Wschodnie, został gubernatorem Kijowa – odpowiedział ambasador Rosji, po czym powrócił do wątku, który go bardziej interesował: – Wspomniał pan o moich dziełach naukowych. Czyżby czytał pan któreś z nich?

– Jak pan najlepiej wie, ekscelencjo, w naszym fachu człowiek nie ma zbyt wiele czasu dla siebie. Mimo to zacząłem niedawno *Historia critica comitiarum regno Poloniae...* Proszę mi wybaczyć, że tu urwę, ale tytuł jest dość długi i skomplikowany.

– *Historia critica comitiorum regni Poloniae generalium, a Piasti principatu usque ad electionem Uladislai Jagellonis* – uzupełnił i poprawił przy okazji błędy Prusaka hrabia von Keyserling. – I jak pańskie pierwsze wrażenia?

– Rewelacyjne, choć na razie przebrnąłem tylko przez kilka stron. Znajomość łaciny nie należy do moich największych atutów. Doprawdy szkoda, że ekscelencja uparł się pisać w tym martwym języku. Gdyby nie to, byłby pan dzisiaj równie znany w świecie, jak sam Wolter.

– Będę panu niezmiernie wdzięczny, drogi panie Benoît, za niewymawianie przy mnie tego nazwiska. Co się zaś tyczy łaciny, to wybrałem ją celowo, ponieważ jest to język posiadający same zalety.

– Tak? To ciekawe, bo ja widzę w nim same wady.

– Po pierwsze jest niezwykle precyzyjny, co w nauce jest rzeczą fundamentalną. Po drugie, uniwersalny, tak w czasie, jak w przestrzeni. Kto zna łacinę, może czytać bez przeszkód nawet dzieła powstałe dwa tysiące lat temu, podobnie jak nie ma dla niego żadnego znaczenia, czy powstały one w Rzymie, Anglii, Hiszpanii czy na przykład w Polsce. Po trzecie wreszcie, co jest dla mnie szczególnie ważne, kiedy piszę jakąś książkę po łacinie, mam absolutną pewność, że nie sięgnie po nią żaden dureń. Bo pisanie dla durniów, panie Benoît, mija się całkowicie z celem: ani autorowi nie przynosi chwały, ani durniom pożytku.

– Już powiedziałem, ekscelencjo, że łacina nie jest moją najmocniejszą stroną...

– Toteż nie mówię o panu, *mon cher ami*¹, lecz o prawdziwych durniach, skończonych i nieuleczalnych. Takich, co zamiast przeczytać coś sensownego, marnują czas na różne *Sztuki pierdzenia*, *Kandydy* czy na innych *Wielkich ludzi z małym fiutem*.

– Chyba *Małych z dużym*? – zauważył spłoszony z lekka *chargé d'affaires* poselstwa pruskiego w Warszawie.

– Wszystko jedno – machnął ręką hrabia Keyserling. – Prawdę mówiąc, durnie nie powinni czytać nawet tego, bo tylko zgłupieją do reszty.

– No tak, może rzeczywiście byłoby lepiej, gdyby zamiast czytać, posłuchali sobie na przykład muzyki – na wszelki wypadek wolał zmienić temat pan Benoît.

– Cenna uwaga – zgodził się gospodarz. – Wprawdzie od muzyki też nie zmańdrzeją, ale zawsze mogą poskromić swoje złe instynkty, stać się nieco wrażliwsi i rozwinąć w sobie jakieś wyższe uczucia. Choć i w tym przypadku nie jest bez znaczenia, czego dureń słucha.

– Święte słowa – przytaknął mu *chargé d'affaires* ambasady pruskiej w Warszawie – godne prawdziwego melomana. Ja też kocham muzykę, oczywiście *toutes proportions gardées*².

– Tak? A jaką najbardziej? – zaciekał się ambasador Rosji.

– Najbardziej tę na flet. Nawet sam ją trochę grywam jako *dilettante*. Utwory Philidora, Boismortiera, de la Barre'a, Dornela, Monteclaira'a. Ostatnio odkrywam też na nowo koncerty fletowe mojego Najjaśniejszego Pana Fryderyka II.

– Niech pan nie żartuje – skrzywił się hrabia Keyserling. – W całej historii muzyki trudno znaleźć dzieła nudniejsze i bardziej pozbawione gustu. Zwłaszcza w wykonaniu ich koronowanego twórcy, o czym parokrotnie miałem zaszczyt

przekonać się osobiście w Poczdamie. I powiem panu w zaufaniu, drogi panie Benoît, że w takich razach zawsze myślałem sobie, iż koncerty to jednak nie jego *genre*³, że pański Najjaśniejszy Pan zrobiłby znacznie lepiej, gdyby poświęcił się wyłącznie pisaniu marszów wojskowych, takich choćby jak jego sławny *Hohenfriedberger Marsch*⁴, i wykonywał je nie na flecie, tylko na uciętej lufie karabinowej z wywierconymi w paru miejscach dziurami. Z pewnością brzmiałyby jeszcze bardziej dziarsko i bojowo. Naturalnie to uwaga czysto techniczna, bez żadnych podtekstów politycznych czy osobistych. Wojna się skończyła i nie jesteśmy już wrogami.

– Jako meloman ma pan zapewne rację, ja jednak mam jeszcze pewne obowiązki patriotyczne. Dlatego zostawmy na boku mojego Najjaśniejszego Pana, choć pozostanmy, jeśli można, przy muzyce. Czy to prawda, ekscelencjo, jak słyszałem, że znał pan osobiście Józefa Sebastiana Bacha, który podobno nawet dedykował panu jakieś swoje dzieła?

– Jana, Jana Sebastiana Bacha. Owszem, znałem go, lecz jeśli chodzi o jego dzieła, to dedykował mi tylko jedno.

– Tak? Jakie?

– Trzydzieści wariacji klawesynowych na temat pewnej arii, czy jak kto woli sarabandy. Absolutne cudo.

– A jak do tego doszło, jeśli wolno spytać?

– Stare dzieje, *mon ami*. W latach 1733–1744 byłem po raz pierwszy ambasadorem przy Jego Królewskiej Mości Augustie III, który rezydował wówczas w Dreźnie. Podczas jednej z moich podróży z Petersburga do Drezna zajechałem kiedyś do Gdańska, gdzie przyjaciele znający moje upodobania, zabrali mnie na koncert cudownego dziecka, niejakiego Johanna Gottlieba Goldberga, zwanego popularnie „Nutożercą”, gdyż potrafił zagrać na klawesynie dosłownie wszystko, ledwie rzuciwszy okiem na zapis muzyczny, i to nawet wtedy, gdy mu go odwrócono do góry nogami. Mały, mający wówczas dziesięć lat, był nie tylko niezwykle sprawny technicznie, ale także grał z pasją, wyczuciem i wdziękiem. Żeby jednak zostać naprawdę wielkim muzykiem, musiał kształcić się dalej, na co jego rodziców nie było stać. Ponieważ, dzięki Bogu, jestem dość majątny, umówiłem się z nimi, że zabiorę go do Saksonii, gdzie sztuka muzyczna stoi na bardzo wysokim poziomie, i wykształcę go na własny koszt. Tak też się stało. Mały uczył się między innymi u Jana Sebastiana, którego znałem już wcześniej, bo pomagałem mu uzyskać tytuł nadwornego

kompozytora króla Polski, oraz u jego najstarszego syna Wilhelma Friedemanna. Potem pracował u mnie jako domowy klawesynista, jak też w najlepszej podówczas orkiestrze drezdeńskiej, należącej do hrabiego Brühla. Niestety zmarł biedak na suchoty jeszcze przed trzydziestką.

– To przykre, ale co z pańską sarabandą i jej wariacjami?

– W Dreźnie często chorowałem i cierpiałem na bezsenność. Żeby jakoś dotrzeć do rana, prosiłem Goldberga, by grał mi na klawesynie w położonym obok pokoju. Wkrótce znałem już na pamięć cały jego repertuar i postanowiłem zamówić u Bacha coś nowego. No i Bach dostarczył mi rzecz genialną! Przed wszystkim od strony muzycznej, ale także od technicznej: gęstą, pełną niesamowitych zmian tempa, wymagającą niespotykanej szybkości i zręczności palców, a także delikatności uderzenia i wyczucia wielkiej gamy nastrojów.

Rzecz przy tym tak trudną, że dla większości niedostępną, czyli mówiąc inaczej, napisaną po łacinie. A mój biedny Hans zagrał ją od razu, *a vista!*⁵ Odtąd, ilekroć nie mogłem zasnąć, wołałem: „Mój drogi Goldbergu, zagraj mi, proszę, którąś z moich wariacji”, i na ile było to możliwe, czułem się naprawdę szczęśliwy. Za tę kompozycję dałem Bachowi złoty kubek ze stoma luidorami w środku, za które bardzo mi dziękował, ponieważ, jak twierdził, były to największe pieniądze, jakie zarobił w życiu. Pewnie mówił prawdę, bo zawsze ledwie wiązał koniec z końcem, mając do wyżywienia kupę dzieci.

– To bardzo szlachetne z pańskiej strony, ekscelencjo. Zazdroszczę panu, że znał go pan tak dobrze – westchnął *chargé d'affaires* poselstwa pruskiego w Warszawie.

– Wcale nie znałem go dobrze. Bach, jak każdy wielki artysta, nie lubił mówić o sobie i bardzo chronił swoją prywatność.

– Tak czy inaczej, wiele bym dał, żeby móc wysłuchać tego utworu.

– Niestety nie ma już między nami mojego drogiego Goldberga, który zagrałby go najlepiej na świecie. Ale mogę to zrobić i ja, choć, ze względu na mój reumatyzm, tylko parę wariacji. W końcu też wziąłem u Bacha kilka lekcji.

Po tych słowach hrabia Keyserling podszedł do stojącego w kącie salonu silbermannowskiego klawesynu o dwóch manualach i zagrał z pamięci *Arię* oraz kilka wariacji na jej temat. Przez kwadrans salon rezydencji wypełniały różne warianty tej samej melodii, oparte przede wszystkim na zmienności ruchliwego basu, już to tworzącego ostinatowe figury z każdego dźwięku, już to prowadzonego niezwykle swobodnie, przy czym zasadnicza harmonia

pozostawała zawsze w odpowiednim takcie. Kiedy ambasador rosyjski skończył grać, odwrócił się w stronę swojego gościa i zapytał z entuzjazmem:

– No i jak, panie Benoît?

– Rzeczywiście bardzo piękne, zwłaszcza ta piąta wariacja w szybkim tempie, gdzie melodia i bas są w lewej ręce, a figuracja prawej tworzy dla nich tło – odpowiedział raczej chłodno *chargé d'affaires* poselstwa pruskiego w Warszawie. – Choć jak dla mnie, za dużo w tym matematyki.

– Za dużo matematyki? – zdziwił się hrabia Keyserling. – Przecież muzyka i matematyka mają ze sobą wiele wspólnego. Im lepsza muzyka, tym zresztą więcej. Zaś muzyka tak skomplikowana i oparta na niewzruszonych zasadach, jak dzieła Bacha, sama jest po prostu udźwiękowioną matematyką, a przez to czymś równie pięknym i pasjonującym, jak choćby metoda redukcji równań czwartego stopnia do równań sześciennych, rachunek różniczkowy i całkowy albo najwspanialszy wzór matematyczny, jakim bez wątplenia pozostanie na zawsze tożsamość Eulera. Ręczę panu za to jako meloman i matematyk.

– To właśnie miałem na myśli. Nie umiałbym tego wyrazić lepiej – zgodził się pan Benoît, choć widać było, że pozostał przy swoim zdaniu.

– No cóż, cieszę się, że podziela pan moją miłość do nauki i muzyki, choć nasze gusta nieco się różnią – stwierdził gospodarz z wyraźnym rozczarowaniem. – Myślę jednak, drogi „Gallusie”, że pewnie chciał pan poruszyć ze mną także inne tematy?

– I owszem, ekscelencjo.

– Jestem do pańskiej dyspozycji. Czyżby chodziło o tę „współpracę na nowych zasadach”, o której raczył pan wspomnieć przy powitaniu?

– Dokładnie tak. Gratuluję ekscelencji spostrzegawczości.

– A zatem, co miał pan na myśli?

– To, że skoro nasze kraje powróciły do przyjacielskich stosunków i możemy znowu współpracować jawnie, nie ma już żadnej potrzeby, abym nadal był waszym tajnym agentem. Dlatego proszę uprzejmie o zwrot podpisanej przeze mnie deklaracji współpracy, którą zostawiłem pańskiemu poprzednikowi.

– Niech pan nie będzie dzieckiem, *mon cher ami*. Przecież pan dobrze wie, że zostać obcym agentem jest bardzo łatwo, ale wycofać się z tego w zasadzie nie sposób. W końcu pan też ma swoich „Brutusów” i „Kakusów”. Może gdyby pański monarcha był mniej oryginalny i co parę lat nie zaskakiwał Europy

kolejnymi pomysłami, poszedłbym panu z sympatii na rękę. W tej jednak sytuacji, to niemożliwe.

– W takim razie proszę o podwyżkę. Kiedy w Berlinie przestaną skupiać się na wojnie, moja praca dla was stanie się dużo bardziej ryzykowna.

– Niestety to też niemożliwe. To pański władca rabował w czasie wojny wszystko, co mu wpadło w ręce. My postępowaliśmy inaczej, więc skarbiec Rosji świeci pustkami. Takie czasy.

– To oburzające!

– I ja tak sądzę. Niech pan jednak nie narzeka i dziękuje Bogu, że ma pan do czynienia z człowiekiem starej daty, który zawsze był zdania, że za każdą pracę należy się zapłata. I dlatego, jako człowiek starej daty, obiecuję panu, że dopóki ja tu będę ambasadorem, będzie pan otrzymywać tyle samo, co dotychczas. Co będzie po mnie, nie wiem. Oby tylko nie trafił pan na któregoś z tych nowomodnych idealistów, co to uważają, że między przyjaciółmi nie powinno być żadnych tajemnic, więc nie ma też powodu, by im za nie płacić.

▪

Od czasu pojedynku pana Zbaraskiego z panem Zamoyskim rotmistrz von Zypke nie miał więcej problemów z dyscypliną w swoim oddziale, toteż kilka następnych miesięcy spędził spokojnie na strzeżeniu jaskini, ćwiczeniach, szlifowaniu niemieczyny Awaczuni oraz swojej własnej polszczyzny, zaś w połowie września odwiedził go niespodziewanie pan Korytkowski.

Wygląd polskiego szlachcica, obwieszonego różnego rodzaju bronią tak bardzo, że przywodził na myśl starożytne panoplia, a także jego bagaż – pan Jerzy Wandalin przyjechał wprawdzie wierzchem, ale jego koń ciągnął za sobą spory wózek wypchany po brzegi kuframi i sakwami – wskazywały niezbitcie, iż stary pirat wybiera się w jakąś daleką i niezbyt bezpieczną podróż.

Tak też było w istocie, co wyjaśniło się, kiedy obaj przyjaciele należycie się wyściskali.

– Jadę do Kamieńca Podolskiego – oświadczył pan Korytkowski.

– Z całym tym arsenałem? – zdziwił się jeszcze bardziej pruski oficer. – Czyżby Kamieniec znowu zajęli Turcy?

– Nie. Wszystko waćpanu wyjaśnię, detalicznie i *ab ovo*⁶, ale nie na sucho, tylko przy piwie albo przy winie. Po podróży strasznie zaschło mi w gardle, poza

tym trzeba oblać nasze spotkanie. Zna pan w Częstochowie jakąś godziwą oberżę?

– I owszem.

– No to nie traćmy czasu. Niech pan prowadzi, drogi rotmistrzu.

Gdy zasiedli wreszcie w ulubionej częstochowskiej gospodzie czarnego huzara i pociągnęli zdrowo z wielkich cynowych kufli, pan na Korycinie, z wyrazem ulgi na twarzy, otarł wąsy z piwnej piany i rzekł:

– Kiedy bawił pan u mnie pod Nowogródkiem, poznał pan wielu moich przyjaciół i sąsiadów. Nie poznał pan jednak najbliższego z nich, imć pana Kacpra Różyckiego, a to z tej przyczyny, że zacny ów człowiek, nadzwyczaj uczciwy i pobożny, *sodalis Marianus*⁷, członek bractwa Różańcowego, Szkaplerznego, Serca Pana Jezusa i Pocieszenia Najświętszej Marii Panny, przykładny mąż, chociaż bezdzietny, tudzież powszechnie szanowany w całym powiecie gospodarz i wzór obywatela, wybrał się akurat w zapusty do Warszawy, do medyka leczącego jego podagrę.

Po odbyciu konsylium ze swoim łapiduchem, jako człek z natury towarzyski i świata ciekawy, pochodził trochę po stołecznych teatrach i innych komedyjach, kupił rymowany kalendarz na nowy rok i modny kornet żonie, a na koniec postanowił wybrać się jeszcze na którąś z owych sławnych na prowincji stołecznych redut, czyli płatnych balów maskowych, urządzanych w karnawale w różnych warszawskich pałacach. Nie tyle po to, żeby tam tańcować, na co mu już za bardzo ani lata, ani zdrowie nie pozwalały, ile po to, by pograć sobie w miłej kompanii w mariasza, w czym zawsze nadzwyczaj gustował.

Jak pomyślał, tak zrobił. Zapłacił za bilet, kupił maskę, zjadł, pomimo panującej na tych redutach straszliwej drożyzny, parę zaprawnych kuropatw i wydusił pod nie do sucha kilka kufli piwa, po czym przysiadł się do jednego z zielonych stolików i zapomniał o Bożym świecie.

Przypomniawszy sobie o nim dopiero nad ranem, kiedy przegrał już czterdzieści czerwonych złotych. Wtedy pożegnał się z towarzystwem i wrócił do stojącej przed pałacem kolaski.

Jaśka, jego woźnicy, nie było na koźle, bo grzał się nieopodal przy ognisku razem z innymi hajdukami. Za to z wnętrza pojazdu dochodziło coś na kształt cichego kwilenia. Kiedy imć pan Różycki zajrzał do środka kolaski, ujrzał tam niemowlę płci męskiej, zawinięte w lichą kołderkę, które zdążyło już mu obsikać

skórzane siedzisko. Do kołderki dziecka przyczepiona była niewielka karteczka z napisem „Franuś”.

Na ten widok pana Różyckiego, mającego w żyłach krew, a nie wodę, jakby coś dźgnęło w zadek rozżarzonym sztyłem! Wytargał za uszy niecnotę Jaśka, który przysięgał na wszystkie świętości, że niczego nie widział ani nie słyszał, a następnie zaczął biegać od jednego do drugiego z zaparkowanych przed pałacem pojazdów, otwierać gwałtownie ich drzwiczki i pytać znajdujących się wewnątrz ludzi, czy nie wiedzą czegoś więcej o małym Franiu.

A w większości tych wehikułów działa się po prostu Sodoma i Gomora! Wymknąwszy się z balu, różni kawalerowie gzili się w nich z cudzymi żonami i córkami, które na widok pana Różyckiego okrywały się z piskiem czym mogły, a jedna z rozneglizowanych dam zdieiła go nawet w głowę obcasem. I co pan na to powie, panie rotmistrzu?

– A cóż ja mogę powiedzieć? Chyba tylko to, że najwyraźniej co zmajstrowano w jednym powozie, to podrzucano w drugim – odparł czarny huzar.

– To także, panie rotmistrzu, to także. Ale mnie chodziło o pana Różyckiego.

– Co się tyczy pana Różyckiego, to mam nadzieję, że w godzinie próby okazał się naprawdę tak zacnym człowiekiem, jak mi go pan odmalował.

– I trafił pan w sedno, drogi przyjacielu. Bo kiedy mały Francio zaczął głośno płakać, zapewne z głodu, mój sąsiad pan Różycki pobiegł z powrotem do pałacu, zapłacił znowu za wejście (kto bowiem opuszczał redutę bez specjalnej kartki stwierdzającej, że jeszcze wróci, musiał kupować nowy bilet), zamówił u zdumionego *chef de la cuisine*⁸ butelkę ciepłego mleka z miodem, uciął sobie kawałek koszuli, skręcił z niego naprędce smoczek i tym sposobem nakarmił brzdąca do syta. Wtedy kazał Jaśkowi wozić się po mieście w poszukiwaniu rontu straży marszałkowskiej, aby złożyć stosowną denuncję i dowiedzieć się, co właściwie powinien zrobić. Po jakichś dwóch godzinach jeżdżenia w tę i w tę po całej Warszawie natknął się wreszcie na nocny ront złożony z trzech roślących obwiesiów.

Kiedy przedstawił im swój problem, pierwszy z nich powiedział, że jeśli Franuś sprawia mu kłopoty, niech go utopi w Wiśle, jak robią inni. Drugi poradził mu, żeby pojechał na plac Warecki, do Szpitala Dzieciątka Jezus i podrzucił go szarym siostron, prowadzącym tam przytułek dla sierot i podrzutków. Trzeci,

najbezcześniejszy, zaczął krzyżeć na pana Różyckiego i oskarżać go, że to on sam chce się pozbyć własnego dziecka, czego najlepszym dowodem miał być fakt, iż mały Francio był ponoć podobny do niego jak dwie krople wody.

– Niezła historia. I co na to pan Różycki?

– Niech pan sobie wyobrazi, drogi rotmistrzu, że najbardziej ujął go trzeci z owych hultajów. Pan Różycki przyjrzał się uważnie Franulkowi i doszedł do wniosku, że mały rzeczywiście jest do niego podobny. I wtedy, choć z duszą na ramieniu, postanowił zabrać go do domu. Po drodze zatrzymywał się w każdej większej miejscowości i płacił po dwa tynfy każdej karmiącej matce, która zechciała dać Franiowi cyca, jak też zaopatrzyć go w suche i czyste pieluchy. I tak, cało i zdrowo, dojechali obaj szczęśliwie pod Nowogródek.

– Ciekawe, jak przywitała ich pani Różycka? – rotmistrz von Zypke uśmiechnął się pod wąsem.

– Powiem tak, przyjacielu: gdyby Dante, pisząc swoją *Boską komedię*, wiedział, co się wówczas działo w domu państwa Różyckich, jego opis piekła byłby jeszcze prawdziwszy i bardziej wstrząsający, dzięki czemu mógłby ocalić przed wieczną zaturą znacznie większą liczbę zbłąkanych dusz. Bo choć mój poczciwy sąsiad zapewniał na klęczkach o swojej niewinności, jejmość pani Różycka grzmiąła, płakała i mdlała na przemian, oskarżała go o zdradę i pociąg do kurewstwa, odseparowała go zupełnie od stołu i łoża, groziła mu rozwodem i jakby tego wszystkiego było mało, podawała publicznie w wątpliwość jego podagrę.

Trzeba jej jednak przyznać, że Franusiem zajęła się od pierwszej chwili nader troskliwie: znalazła mu na wsi mamkę, własnoręcznie myła go i przewijała, jak też bardzo chętnie brała go na ręce i kołysała śpiewem do snu. W końcu tak małego pokochała, jakby był jej własnym dzieckiem, więc kiedy wreszcie pogodziła się z mężem, oboje jednomyślnie postanowili go usynowić. I tak, dzięki Bogu i państwu Różyckim, mały Franio został dziedzicem wcale niemałej fortunki, w przyszłości zaś, kto wie, może stać się jeszcze chlubą naszego powiatu, posłem na Sejm albo senatorem, a nawet zasiąść na tronie Rzeczypospolitej, jako że w naszej Polsce nie masz rzeczy niemożliwych.

– Naprawdę piękna historia i wspaniali ludzie! Nie rozumiem jednak, co pan, kochany panie Korytkowski, ma z tym wszystkim wspólnego – zauważył pruski oficer.

– To, że radując się ze szczęścia biednego Frania oraz moich zacnych sąsiadów, nie potrafiłem ani na chwilę zapomnieć, że są w Polsce ludzie gotowi topić własne dzieci w Wiśle.

– No cóż, w Polsce topią je w Wiśle, u nas z reguły w Szprewie, a w Paryżu pewnie w Sekwanie. Takie czasy. Chociaż to okropne, nie da się temu całkiem zaradzić.

– Całkiem może się nie da, ale częściowo owszem. I dlatego postanowiłem pomóc szarym siostron prowadzącym w Warszawie ów dom dla sierot i podrzutków.

– A cóż to za jedne, bo jako protestant nie bardzo się na tym wyznaję? – zapytał czarny huzar, napełniając ponownie kufle.

– To Siostry Miłosierdzia, które trafiły do nas z Francji, zwane szarymi albo szarytkami od koloru swoich habitów, a może od francuskiego słowa „*La charité*”⁹. Opiekują się chorymi, rannymi i ubogimi, i od jakiegoś czasu prowadzą także wspomniany dom. Założył go ksiądz Piotr Gabriel Baudouin, również Francuz, który ufundował go ponoć pod wpływem wrażenia, jakie zrobił na nim kiedyś widok zwłok porzuconego niemowlęcia rozszarpywanych na ulicy przez bezpańskie psy.

– Dzielne kobiety! Robią dokładnie to samo, co doktor Johann Heinrich Callenberg, dyrektor Institutum Judaicum et Muhammedicum, dla którego miałem zaszczyt krótko pracować jako ochotnik, a który także utworzył w Halle sławny sierociniec.

– Jak widać, w wielu sprawach nic nas nie różni – stwierdził z satysfakcją pan Korytkowski.

– I ja tak myślę. No i jak pan pomógł owym siostron?

– Za zgodą żony wziąłem sto czerwonych złotych, państwo Różyccy dołożyli mi drugą setkę i pojechałem bryczką do Warszawy, na plac Warecki, gdzie rzeczony ksiądz Baudouin wybudował wielki szpital imienia Dzieciątka Jezus, w skład którego wchodzi także przytułek prowadzony przez szare siostry. Spotkałem się z ich przełożoną, wręczyłem jej pieniądze i wyraziłem nadzieję, że dzięki nim uda się przez jakiś czas wyżywić trochę dziatwy. Siostra przełożona podziękowała mi serdecznie, a potem powiedziała:

„Przyda się każdy grosz, bo potrzeb mamy bez liku i pomimo wielkiej ofiarności licznych dobroczyńców, z dnia na dzień coraz więcej”.

„Jakże to?” – zapytałem zdziwiony.

„Odkąd można zostawić u nas każde niechciane dziecko, wiedząc, że będzie miało tutaj wikt i opierunek, czynią to nie tylko nieszczęśliwe panny i ubodzy, którzy dawniej utopiliby je może w rzece albo porzucili w krzakach, ale także ludzie całkiem majątni, a nawet wielcy panowie niechętni słuchać w domu płaczu i wrzasków dziecięcych. Najgorsze jest jednak to, że robią to najchętniej *gratis*, pod osłoną nocy, i nie martwią się wcale, że ujmują tym samym mleka i chleba potomstwu prawdziwych nędzarzy”.

„Co za niegodziwość!” – stwierdziłem oburzony.

„Takie czasy, proszę pana. I dlatego już od paru miesięcy prosimy naszych przyjaciół i dobroczyńców, oczywiście tylko tych, którzy mogą sobie na to pozwolić, aby w ramach straży obywatelskiej zaciągali przed naszym zakładem nocne warty, zatrzymywali każdego, kto chciałby podrzucić nam dziecko i namawiali go usilnie, by tego nie robił, jeśli ma je z czego utrzymać, lub żeby dał nam parę groszy na jego wychowanie, w przypadku zaś karmiących matek, by zgodziły się zostać jakiś czas w przytułku i dalej karmić piersią swoje dziecko, a jeśli mają za dużo pokarmu, również jedno albo dwoje cudzych”.

„Myślę, że to całkiem rozsądne. Gdyby nie to, że mieszkam koło Nowogródka, sam bym się chętnie zgłosił do tej straży, bo jej cel jest zbożny. Chociaż... właściwie ze trzy dni mógłbym podyżurować, nic się nie stanie, jeśli wrócę do domu trochę później” – powiedziałem po chwili namysłu.

„Z nieba nam waszmość spadłeś! – ucieszyła się siostra przełożona. – Zwłaszcza że osoba, która miała trzymać straż w tym tygodniu, akurat zachorowała”.

„Zatem tym bardziej się cieszę, że mogę się do czegoś przydać” – zapewniłem ją na pożegnanie.

– To bardzo pięknie z waści strony – wtrącił czarny huzar.

– Na moim posterunku, niedaleko kolistego korytka, do którego wkładano podrzutki, zjawiłem się przed dziewiątą. Noc była chłodna, więc nastawiłem budę bryczki, okręciłem się pledem, od czasu do czasu rozgrzewając się dodatkowo łykiem gorzałki z podróżnej butelki, i ani się spostrzegłem, jak zasnąłem kamiennym snem.

– He, he, he... To całkiem jak z tym waszym sławnym pospolitym ruszeniem – rzucił rotmistrz von Zypke, śmiejąc się.

– Proszę sobie nie kpić, sprawa jest poważna. Kiedy się obudziłem, było już rano. Z przerażeniem spojrzałem najpierw na koło przy bramie. Na szczęście nie

było w nim żadnego podrzutka. Lecz gdy poszedłem do siostry przełożonej, zrzędała mi mina.

„Nie wiem, cóżeś waść robił w nocy, mości Korytkowski, ale podczas pańskiego dyżuru podrzuciono nam aż sześć niebożąt, w tym jedno w jedwabnej koszulce, co może wskazywać, że nie jest to bynajmniej potomek żebraków. Oczywiście wszystkie bez grosza przy duszy” – wypomniała mi gorzko mój brak czujności.

„Proszę najpokorniej o wybaczenie, siostro. Po podróży spod Nowogródka, szukaniu kwatery w Warszawie i załatwianiu różnych spraw na mieście, byłem wczoraj bardzo zmęczony i pewnie dlatego zmorzył mnie sen. Dziś wyśpię się porządnie i więcej się to nie powtórzy. Proszę na mnie liczyć jak na Zawiszę”.

„Trudno, jakoś je wyżywimy, lecz trzymam pana za słowo, panie Korytkowski” – zastrzegła się na odchodnym.

I rzeczywiście, tego dnia wyspałem się solidnie, po obiedzie wypilem cały dzban kawy i dopiero tak przygotowany udałem się na nocną wartę. Do dziesiątej nic się nie działo, bo na placu kręciło się jeszcze zbyt dużo ludzi. Godzinę później plac opustoszał i wtedy podrzucili pierwsze dziecko. Szczerze mówiąc, zauważyłem to w ostatniej chwili, bo przynieśli je w wielkim kotle do prania, a kiedy włożyli je do korytka i pociągnęli za sznurek dzwonka, było już po wszystkim.

– Siedem do zera – roześmiał się znowu czarny huzar.

– Niestety! Następne też przeoczyłem, bo tym razem przyniósł je zawinięte w dywan jakiś lokaj, który dla niepoznaki trzymał jeszcze w ręku trzepaczkę.

– Osiem.

– Z kolejnym również mi się nie powiodło, ponieważ kobieta, która je przyniosła, bynajmniej się z nim nie kryła i to, że nie wyglądała wcale na podejrzaną, całkiem mnie zmyliło. Dopadłem ją wprawdzie, gdy szarpała za sznurek dzwonka, ale wtedy rzuciła mi w twarz kocykiem okrywającym dotąd becik i jakoś się wyrwała. Co gorsza, w tym samym momencie nad kolistym korytkiem otworzyło się niewielkie okienko i ukazała się w nim jakaś bardzo stara, nieznana mi osobiście szara siostra.

„To pana?” – zapytała, pokazując leżące w korytku niemowlę.

„Nie”.

„A kocyk?”.

„Też nie”.

„Wszyscy tak mówią. Jak się nazywa?”

„Kto?”

„Dziecko”

„Nie wiem”

„A pan?”

„Korytkowski, herbu Jelita”

„Naprawdę? Długo pan nad tym myślał? A może Korytkowski herbu Koło? Albo Kołowski herbu Korytko?” – zapytała zgryźliwie, wymawiając bardzo mocno, wręcz z wibracją, głoskę „r”.

„Ależ siostrze, na litość Boską!”...

„Dobrze, dobrze, mnie tam wszystko jedno. Niech będzie Korytkowski. To i tak mniejszy wstyd dla dziecka, niż gdyby pan powiedział, że nazywa się Juliusz Cezar, Piast Kołodziej albo Ludwik Świąty, jak robią inni. Właśnie, jeszcze imię”.

„Imię?”

„Tak, imię albo imiona”

„Jerzy Wandalin”

„Dobrze. I na pewno chce pan oddać takiego pięknego chłopczyka? Nie żal panu?” – zapytała z wyrzutem.

„Siostrze, nie rozumiemy się... Ja po prostu nie zdążyłem” – odpowiedziałem, dusząc się z gniewu.

„To akurat widać. Co pan sobie myśli? Że jak jestem zakonnicą, to już nie wiem, skąd się dzieci biorą? To się pan myli, i to bardzo. Zapewniam pana, że znam się na tych sprawach dużo lepiej od pana i od wszystkich Polaków razem wziętych, bo jestem rodowitą Francuzką. Nie zdążył pan? Wszyscy tak mówią. To na drugi raz niech pan zdąży. Bo co tu winne dziecko? Ono się na świat nie prosiło”.

„Siostrze, błagam!”

„Dobrze już, dobrze. Proszę jeszcze o czerwońca albo dwa na mamkę dla Jureczka i może pan sobie iść. Nie jesteśmy inkwizycją”.

„Czerwońca?! Przecież dałem już siostrze przełożonej dwie setki!” – obruszyłem się nie na żarty.

„Wszyscy tak mówią. W zeszłym miesiącu był tu jakiś Bolesław Chrobry i twierdził, że dał jej trzy tysiące. A nie dał, kutwa, ani grosza, najwidoczniej licząc na to, że wychowamy mu dziecko za darmo. A ja się pana pytam, skąd my

mamy brać pieniądze na mleko, na mamki, na pieluchy, na ubranka, na kocyki i kołderki, na nocniki i łóżeczka, na lekarstwa i opał i na tysiąc innych niezbędnych rzeczy?”.

„Niech się jutro siostra zapyta przełożonej, to przekona się, że mówię prawdę”.

„Dobrze, dobrze, wszyscy tak mówią. Albo daje pan dwa czerwonce, albo wzywam straż marszałkowską i podaję jej pańskie nazwisko i rysopis. A wtedy naje się pan wstydu na całą Polskę”.

„Dobrze, niech będzie, oto dwa dukaty, ale jutro poskarżę się siostrze przełożonej”.

„Proszę bardzo. Jeśli pan powiedział prawdę, dostanie te pieniądze z powrotem, jeśli nie, to może się pan skarżyć nawet Jego Świątobliwości Klemensowi XIII”.

„Żeby siostra wiedziała, że się poskarżę! Muszę tylko wiedzieć na kogo?” – pogroziłem jej palcem.

„Proszę bardzo. Na siostrę Chantal, *s'il vous plaît*¹⁰.”

Po tych słowach stara harpia zabrała dziecko i zamknęła z trzaskiem okienko.

– Dziewięć! – ogłosił, śmiejąc się do rozpuku rotmistrz von Zypke. – Szkoda tylko, że nie zabrał pan tego małego Jerzyka Wandalinka, jak pan Różycki Franusia. Franulek miałby się z kim bawić.

– Tak pan myśli? Może ma pan rację, drogi rotmistrzu, ale wtedy byłem na to zbyt zdenerwowany. Po powrocie do bryczki musiałem się nawet na chwilę położyć, żeby dojść do siebie. A kiedy mi się to wreszcie udało, powiedziałem sobie: „Dosyć tego, mości Korytkowski! Do dziesięciu razy sztuka! Od tej pory żaden wyrodny ojciec i żadna wyrodna matka nie będą ci w kaszę dmuchać!”. I z okiem przyklejonym do dziury w budzie bryczki zacząłem niecierpliwie wypatrywać nowego podrzutka.

Nie minął nawet kwadrans, kiedy usłyszałem kobiece kroki, a potem zobaczyłem młodą damulkę skradającą się ostrożnie pod murem szpitala i rozglądającą się co chwila na boki. Do piersi tuliła spory becik. „Mam cię, wywłoko, ty już mi nie uciekniesz!” – pomyślałem z satysfakcją, a potem wyskoczyłem z powozu niczym tygrys i ucapiłem ją za ramię.

„A dokąd to, szelmo, tak leziesz po ciemku?! – zawołałem. – Do przytułku?! Nie wstyd ci, lafiryndo?! Łajdaczyć to się umiałaś, ale dziecko niech żywią

inni?!”.

A ona na to:

„Oszalał pan? Kobiety po nocach napastujesz? Od siostry z imienin wracam. Łapy przy sobie, zboczeńcu, bo zaraz narobię takiego rabanu, że zleci się pół Warszawy!”.

Puściłem ją zbity z tropu, bąkając pod nosem: „Najmocniej panią przepraszam”, a ta, zanim zdołałem wyjść z osłupienia, bach dziecko w korytko i tyle ją widzieli!

Tym razem sam musiałem pociągnąć za sznurek, po czym schowałem się pędem w bryczce. Znów byłem tak zdenerwowany, że zaczęły mi się trząść ręce, zęby zaś dzwoniły mi tak głośno, jakby wzywały ludzi na sumę.

– No to już mamy dziesięć! – tym razem czarny huzar musiał trzymać się za brzuch.

– Jakby pan przy tym był – stwierdził ponuro pan Korytkowski. – Ale jeśli pan myśli, że się poddałem, to się pan grubo myli. Około drugiej w nocy pod szpital zajechała wspaniała kareta. Czwórka pięknych koni w bogatych czaprakach i z kitami na głowach, jak też książęca mitra wymalowana na drzwiach pojazdu wskazywały wyraźnie, że ich właściciel nie jest zwykłym zjadaczem chleba. Na swój sposób świadczył o tym także fakt, że Pan Bóg pobłogosławił mu bliźniętami, ponieważ w chwilę później z karety wyskoczył jakiś fagas z identycznym bachorem pod każdą pachą.

Gdy wkładał już maluchy do korytka, ukłułem go w plecy szablą.

„Odnieś te dzieci z powrotem temu, kto je spłodził – wycodziłem. – Twojego pana stać chyba na wychowanie parki bękartów?”.

„Nic waści do tego – odparł ów famulus, odwracając się do mnie przodem. – I z większym respektem proszę. Bo jeśli to nawet bękarty, to w połowie książęcej krwi”.

„Mało mnie to obchodzi, nicponiu. Zabieraj je z powrotem albo dorzuć do korytka kieskę złota. A na respekt trzeba sobie zasłużyć. Póki co, powiedz swojemu panu, że jeśli kiedyś przyjdzie mu jeszcze ochota spłodzić kolejne niechciane dziecko, to niech lepiej sobie włoży kuśkę między framugę a otwarte drzwi i każe ci je z całej siły zatrzaskać”.

Zamiast odpowiedzi, bezczelny sługus rozdarł się na całe gardło: „Józek, Michał, Antek! Na pomoc!”, na co z karety wypadło zaraz dwóch innych osiłków w liberiach i z dębowymi pałami w dłoniach, do których dołączył także stangret

ze swoim batem. Choć zdołałem obciąć jednemu ucho, wkrótce powalili mnie na ziemię, skopali, zdeptali, wygrzmocili kijami i ocięli rzemiennym kropidłem jak kota, i pewnie by mnie zabili na amen, gdyby nie ta stara francuska harpia, która nagle wypadła na ulicę i podniosła taki wrzask, że hultaje rzucili się w popłochu do ucieczki.

– Szkoda, że mnie tam nie było! – czarny huzar nagle spoważniał. – Razem dalibyśmy im radę.

– Zapewne. Lecz ponieważ pana tam nie było, przeleżałem w szpitalu Dzieciątka Jezus dobre dwa tygodnie. W tym czasie odwiedziła mnie parę razy siostra przełożona, szczególnie zaś czułą opieką otoczyła mnie siostra Chantal, z którą bardzo się zaprzyjaźniłem i od której nie chciałem już przyjąć z powrotem moich dwóch dukatów. Któregoś razu, pod koniec mojej kuracji, zapytałem ją, jak też się miewa mały Jerzy Wandalin Korytkowski.

„Jerzy Wandalin Korytkowski? Nie ma u nas takiego” – odpowiedziała z grobową miną.

„Jak to?! Przecież byłem przy tym, jak go wkładano do rynienki. I nawet pozwoliłem nadać mu moje nazwisko. Czyżby go ukradli albo, nie daj Boże, powiększył grono aniołków?” – jęknąłem głośno.

„Nie. Jerzy Wandalin Korytkowski nazywa się teraz Luiza Korytkowska, o ile nie ma pan nic przeciwko temu. W każdym razie pod tym nazwiskiem go ochrzczono. Bo to dziewczynka, proszę pana”.

„Dziewczynka?!” – ze zdumienia podskoczyłem na łóżku.

„Tak, i to prześliczna. *Une petite fille très, très jolie!* ¹¹ Proszę mi wybaczyć, ale jestem już bardzo stara i niedowidzę. Kiedyś wystarczył mi jeden rzut oka na podrzutka, żeby określić jego płeć. Dzisiaj nie jestem tego do końca pewna, póki nie sprawdzę, co ma między nogami” – usprawiedliwiła się moja przyjaciółka.

„A dlaczego akurat Luiza... choć to ładne imię?” – zapytałem.

„Bardzo często nadajemy je dziewczynkom trafiającym do naszego zakładu. Na cześć Luizy de Marillac, założycielki naszego zgromadzenia” – wyjaśniła.

„Rozumiem. Czy mógłbym ją zobaczyć?” – poprosiłem.

„Oczywiście, *pas de problème*”¹².

Kiedy przeszliśmy ze szpitala do sierocińca, do sali zastawionej gęsto łóżeczkami, w których z powodu ciasnoty spoczywały po trzy lub cztery niemowlęta naraz, siostra Chantal wyjęła z jednego z nich ciemnowłosą kruszynę ze zwisającym z jej szyi na tasiemce kartonikiem z napisem „Luiza

Korytkowska”. Mała zaczęła mnie świdrować swoimi czarnymi jak dwa węgielki ślepkami, po czym nagle wyciągnęła do mnie rączęta i tak słodko się uśmiechnęła, że moje serce po prostu stopniało jak wosk i przejąwszy ją ostrożnie od starej Francuzki, rzekłem, odrobinę przy tym chrząkając, aby ukryć wzruszenie:

„No cóż, kochana siostrzo Chantal, myślę, że jeśli to jest *mademoiselle* Korytkowska, to jej miejsce jest pośród innych Korytkowskich, jak Pan Bóg przykazał. Wezmę ją do domu i wychowam niczym najukochańszą córkę. Jestem pewny, że moja żona bardzo się ucieszy”.

W odpowiedzi siostra Chantal rzuciła mi się na szyję i musiałem naprawdę stawiać bohaterski opór, żeby nie zginąć od nadmiaru jej czułości.

– Drogi przyjacielu, i ja chętnie bym pana wycałował, choć pewnie nie aż tak namiętnie, jak pańska Francuzica, gdyby nie te pańskie okropne wąsiska – rzekł, również przy tym trochę pochrząkując, rotmistrz von Zypke. – Mam nadzieję, że pańska żona rzeczywiście się ucieszyła i że w przeciwieństwie do pana Różyckiego, nie musiał jej pan na kolanach zapewniać o swojej niewinności?

– Ależ skąd, była wniebowzięta! Przede wszystkim dlatego, że nigdy nie mieliśmy córki, a może trochę i z tego powodu, że nie musiała już dłużej zazdrościć pani Różyckiej. Tak czy owak, Luiza jest teraz w naszym domu dużo ważniejsza ode mnie.

– To dobrze, tak właśnie powinno być. Ale dalej nie rozumiem, co to ma wspólnego z Turcją? – zapytał czarny huzar.

– Wszystko. Początkowo zamierzałem odnaleźć tych hultajów, którzy mnie pobili i przykładowo ich ukarać. Potem jednak pomyślałem: „Dlaczego miałbym odpłacać złem za dobro, które mi uczynili? Zamiast się mścić, powinienem raczej dziękować Bogu, że postawił tych obwiesi na mojej drodze. Przecież gdyby nie oni, nie trafiłbym do szpitala i nie cieszyłbym się dzisiaj miłością córki”. Odtąd zastanawiałem się już tylko nad formą tego dziękczynienia i wie pan, co w końcu wymyśliłem?

– Nie mam najmniejszego pojęcia.

– Że najlepiej podziękuję Bogu, jeśli uwolnię z tureckiej niewoli paru chrześcijańskich jeńców. I dlatego przyjechałem najpierw do Częstochowy, żeby się polecić Najświętszej Paniencie.

– Zawsze wiedziałem, że waćpan nie zadowoli się byle czym, ale teraz to mi pan naprawdę zaimponował. Oby tylko nie zechciał pan zdobywać Stambułu w pojedynkę! – czarny huzar przeżegnał się na wszelki wypadek.

– Ani mi to w głowie. Nie chodzi o operację zbrojną, tylko o zwykły handel. Wziąłem ze sobą trochę pieniędzy, po drodze odwiedziłem krewnych pod Łomżą, a teraz jadę do Kamieńca, gdzie chcę się przyłączyć do corocznej wyprawy ojców trynitarzy zajmujących się tym interesem na okrągło, odkąd król Jan III Sobieski sprowadził ich do Polski z Hiszpanii. Przez parę tygodni objedziemy kilka targów niewolników i kupimy tylu ludzi, ilu tylko się da.

– To co innego – uspokoił się pruski oficer – na tak piękny cel sam nie poskąpię grosza. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze i że już wkrótce wróci pan do domu, za którym z pewnością tęskni pan teraz podwójnie.

– To prawda, choć nie jest to aż tak proste. Zawsze kiedy jestem poza domem, bardzo za nim tęsknię, ale kiedy siedzę w nim za długo, znów ciągnie mnie w świat. Najwyraźniej nie jestem stworzony tylko do siania gryki, chodzenia po gumnie, liczenia baranów i zagładania kurom w zadek, czy się dobrze niosą. I dlatego, póki będę w stanie samodzielnie wsiąść na konia, zapewniam pana, drogi rotmistrzu, że będę jakoś próbował pogodzić obie te rzeczy.

– W takim razie będziemy pić do rana za powodzenie pańskiej wyprawy! – oświadczył gromko czarny huzar.

– Wie pan co, rotmistrzu? Czasami mi się wydaje, że jest pan najprzyjemniejszym wcieleniem pruskiego rozsądku na świecie – odpowiedział mu z ochotą dziedzic Korycina.

Picie za powodzenie wyprawy pana Korytkowskiego do Turcji rzeczywiście przeciągnęło się do rana. Koło południa zaś polski szlachcic, któremu ciągle szumiało w głowie, żegnany serdecznie przez swojego ledwie trzymającego się na nogach pruskiego przyjaciela, wdrapał się z trudem na siodło i ruszył z Olsztyna, choć nieco zygzakiem, w stronę odległej tureckiej granicy.

▪

August III, podobnie jak inne koronowane głowy, nie wziął osobiście udziału w rokowaniach w Hubertusburgu kończących siedmioletnią wojnę. Do swojego

ukochanego Drezna przybył dopiero pod koniec kwietnia i przeraził się niezmiernie tym, co tam zobaczył.

Duża część miasta, w czasie wojny zbombardowanego i złupionego przez Prusaków, była kompletnie zniszczona. Najpiękniejsze pałace i mieszczańskie kamienice leżały w gruzach. Wiele wypalonych do szczytu domów groziło zawaleniem. Liczne budynki publiczne, zamienione przez Prusaków w stajnie, magazyny, koszary lub arsenały, nie nadawały się do użytku. Ulice pełne były żebraków i inwalidów wojennych. Bieda była powszechna, a ceny bardzo wysokie. Brakowało pieniędzy dosłownie na wszystko. Jediną pociechą monarchy było to, że ocalały jego ukochane obrazy z Zwingeru, ukryte na czas wojny w Königstein.

Kontakt z powojenną rzeczywistością ojczystego kraju załamał króla do tego stopnia, że wkrótce potem zapadł poważnie na zdrowiu. Mimo to podczas kuracji nadal zajmował się sprawami państwowymi i interesował się postępami prac komisji przygotowującej program odbudowy Saksonii. W sierpniu i wrześniu miał się na tyle lepiej, że wybrał się nawet na polowanie.

5 października na zamku elektorskim w Dreźnie od rana myto posadzki, nakrywano stoły, wymieniano świece w kandelabrach, wieszano girlandy świeżych kwiatów, wycierano ostatnie plamy na lustrach i kryształach. Śpiewaczki i śpiewacy, mający wieczorem wystąpić w próbie generalnej opery *Leucippe*, którą to próbą zamierzano uświetnić przypadającą w tym dniu okrągłą trzydziestą rocznicę wyboru Augusta III na króla Polski, przymierzali w garderobach kostiumy, peruki i buty, malowali sobie szminkami twarze i przepłukiwali gardła wodą z solą lub pili kolejne surowe jajka, aby zapewnić sobie zwinność gardła i czysty tembr głosu. Jak kazał artystyczny zwyczaj, przierzucali się przy tym obscenicznymi żartami: basy, tenory i falsety demonstrowały altom i sopranom, czym zastąpiłyby chętnie ich kurze jaja i zdrowotne sole, zaś alty i soprany zadzierały w odpowiedzi suknie, by pokazać im z udaną wzdargą, gdzie mają ich umizgi i końskie zaloty. Muzycy stroili instrumenty, a zdenerwowany dyrygent, niepewny jak wypadnie tego wieczoru, wychylał ukradkiem jeden kielich reńskiego wina za drugim.

Ku utrapieniu służby i protokołu zaczęli się też pojawiać pierwsi dostojni goście z Warszawy, których trzeba było nie tylko nakarmić, napoić i zakwaterować, lecz niekiedy także zabawić albo przetłumaczyć, jeśli życzyli sobie na przykład pokojówki z gorącym żelazkiem czy pachnącej ziołami kąpieli,

a nie znali, jak to Polacy, żadnego innego języka oprócz swego własnego, łaciny, francuskiego i ewentualnie angielskiego.

Tymczasem w ten wielki dla siebie dzień August III zaziębił się podczas porannej mszy, kiedy klęczał na zimnej posadzce zamkowej kaplicy. Koło południa poczuł się tak niedobrze, że musiano mu puścić krew. Potem, ponieważ z każdą chwilą miał się coraz gorzej, wezwano spowiednika.

I zanim rozległy się pierwsze takty uwertury do *Leucippe*, król niespodziewanie skonał.

Pochowano go w krypcie kościoła katolickiego w Dreźnie, obok jego ukochanej żony Marii Józefy, która zmarła sześć lat wcześniej jako traktowana na pozór z wszelkimi honorami zakładniczka Fryderyka II.

▪

Rok 1763 był jednym z najtrudniejszych w całej dyplomatycznej karierze hrabiego Keyserlinga i to nie tylko z powodu szwankującego mu coraz bardziej zdrowia.

Jeszcze za życia Augusta III księżęta Czartoryscy razem ze stolnikiem litewskim Stanisławem Antonim Poniatowskim zaczęli ostrą walkę o polski tron, przy czym, absolutnie pewni poparcia Rosji, prowadzili ją z jednej strony bardzo brutalnie wobec swoich przeciwników politycznych, z drugiej zaś dość dyletancko, to znaczy bez należytej koordynacji działań z carską ambasadą, co przyprawiało nieraz o ból głowy wytrawnego dyplomate.

Tak było na przykład z ich pomysłem obalenia Augusta III z pomocą rosyjskiej armii, utraconym na szczęście w Petersburgu, gdyż za bardzo przypominał sposób, w jaki w Rosji pozbyto się Piotra III, czy też z ostentacyjnym formowaniem nowych pułków nadwornej milicji w Puławach za moskiewskie ruble. Jeszcze gorzej z punktu widzenia hrabiego Keyserlinga wyglądała awantura wywołana przez przywódców Familii przy okazji kwietniowej reasumpcji Trybunału Głównego Litewskiego w Wilnie, kiedy to po przegranych przez siebie wyborach na sejmikach gromnicznych postanowili nie uznać ich wyników i doprowadzili do tego, że biskup wileński Ignacy Jakub Massalski, ich stronnik, odmówił odebrania zwyczajowej przysięgi od legalnie wybranych deputatów radziwiłłowskich. Jakby tego było mało, w tym samym czasie zwolennicy Familii uchwalili bardzo niewygodny dla Rosji manifest,

w którym oddawali się pod opiekę jej władczyni – co o mało nie skończyło się wzajemnym wystrzelaniem się z armat zgromadzonych w mieście republikantów i czartoryjszczyków – i wytrzasnęli, nie wiadomo skąd, jakiegoś majora Puczkowa, oficera wojsk rosyjskich, który na ich polecenie, w charakterze „międzynarodowego obserwatora”, miał sporządzić dla Katarzyny II specjalny raport o wszystkim, co zobaczył w Wilnie.

Było to tak jaskrawe pogwałcenie prawa międzynarodowego i suwerenności Rzeczypospolitej, że hrabia Keyserling po prostu się wściekł.

Kiedy jednak prosił przywódców Familii, by nie kompromitowali w ten sposób Rosji ani jej wspaniałomyślniej władczyni, ci puszczali to mimo uszu, ufni, że w Petersburgu nic nie jest im w stanie zaszkodzić.

Naiwność tego rozumowania denerwowała hrabiego Keyserlinga bardziej niż towarzysząca jej pycha, arogancja i żądza władzy, a nawet bardziej niż pazerność, z jaką książęta Czartoryscy oraz pan stolnik litewski nagabywali go bez przerwy o pieniądze, niezbyt skrupulatnie zresztą się z nich rozliczając, czego, jako solidny Kurlandczyk, nie potrafił zrozumieć ani zaakceptować.

Ale naiwność książąt Czartoryskich i pana stolnika litewskiego była akurat tą wadą, której w żaden sposób nie mógł im głośno wypomnieć.

No bo niby jakże on, ambasador rosyjski w Warszawie, związany dodatkowo otrzymanymi instrukcjami, miałby im powiedzieć, że zakładanie życzliwości Rosji dla przebudowy i wzmocnienia Polski tylko z tego powodu, że przed laty pan stolnik litewski miał wielki zaszczyt i jeszcze większą przyjemność przespać się parę razy z obecną carycą, było budowaniem zamku na ruchomych piaskach, jako że od tamtego czasu znana ze swego temperamentu Najjaśniejsza Pani miała jeśli nie setki, to przynajmniej dziesiątki nowych kochanków?

Jakże miał im powiedzieć, że „europeizacja” Polski w oparciu o Rosję jest pomysłem co najmniej równie zabawnym, jak „europeizowanie” Francji z pomocą Kałmuków albo Hotentotów? Jak miał im powiedzieć, że Familia może sobie planować jakie chce reformy, ale tych naprawdę ważnych, rzeczywiście istotnych dla wzmocnienia Rzeczypospolitej, jak choćby zniesienie wolnej elekcji i *liberum veto* czy zwiększenie liczby polskiego wojska, i tak nie przeprowadzi, gdyż zabrania tego *explicite*¹³ tajny traktat prusko-rosyjski zawarty w Poczdamie w 1720 roku i obowiązujący na nowo od czasu zakończenia siedmioletniej wojny?

Jakże wreszcie miał im powiedzieć, że w tym ciągłym wierceniu mu dziury w brzuchu, aby najbliższa wolna elekcja odbyła się pod nadzorem armii rosyjskiej, co zdaniem książąt Czartoryskich i stolnika litewskiego miało być najlepszą gwarancją, że wygra ją kandydat obozu postępu i reform, kryła się myśl prawdziwie samobójcza, zważywszy, że armia rosyjska, jak zresztą każda inna na świecie, bardzo nie lubiła opuszczać terytoriów, na których raz postawiła stopę?

Mimo to, ponieważ lubił Polskę i Polaków, hrabia Keyserling starał się to wszystko jakoś przywódcom Familii przekazać, choć oczywiście nie wprost. Długo rozbierał każdy ich pomysł na czynniki pierwsze i nicował go na wylot, wyszukując jego realne i domniemane słabe strony, z lubością wskazywał im na ryzyko związane z jego realizacją, prosił o jego ponowne przemyślenie, mnożył wątpliwości, piętrzył trudności, powoływał się na tak zwane czynniki obiektywne, kluczył, lawirował i meandrował, zwlekał tygodniami z wydaniem jakiegokolwiek opinii, często prosił ich jeszcze o dodatkowy czas potrzebny mu rzekomo na przeprowadzenie konsultacji z Petersburgiem, a kiedy już musiał wypowiedzieć swoje własne zdanie, starał się to czynić w sposób iście ezopowy, jak najbardziej ogólny, mętny, zawily i niejednoznaczny, tak aby z jego wypowiedzi nie dało się wyciągnąć żadnych konkretnych wniosków ani tym bardziej nie sposób było jej zinterpretować jako najlżejszej choćby formy poparcia ich planów.

Co więcej, wszystko to przeplatał nieraz rzucanymi w ich obecności, jakby od niechcienia i niekoniecznie *à propos*, uwagami o zmiennej naturze kobiet, o potrzebie powagi w polityce, o ogólnym upadku obyczajów tego wieku, który dawno zapomniał już, na czym polega prawdziwa miłość i szlachetna wierność, o pożytkach, jakie przynosi praca u podstaw, o konieczności kierowania się w życiu rozumem, a nie iluzjami, czy też o cierpliwości, będącej jego zdaniem najważniejszą ze wszystkich cnót. Niekiedy zaskakiwał także przywódców Familii niezwykle pochlebnymi dla Polski porównaniami Rzeczypospolitej z innymi krajami Europy, które uznawał za dużo bardziej zepsute, a także wtrącanymi trochę ni w pięć, ni w dziewięć i mrozącymi krew w żyłach opowieściami o dzikich ekscesach, jakich dopuszczali się rosyjscy żołdaci w zajętych przez siebie Prusach Wschodnich.

Niestety jedynym skutkiem tego aż nazbyt widocznego braku entuzjazmu z jego strony była rosnąca nieufność książąt Czartoryskich i pana Poniatowskiego do jego własnej osoby. I choć przywódcy Familii nadal często wpadali do

rosyjskiej ambasady, tak w celach towarzyskich, jak – zwłaszcza – po pieniądze, wkrótce najważniejsze dla siebie sprawy zaczęli załatwiać bezpośrednio w Petersburgu.

Długoletnie doświadczenie dyplomatyczne podpowiadało hrabiemu Keyserlingowi, że bezpośrednie kontakty Familii z Petersburgiem mogą być dla niego niebezpieczne, toteż kiedy w sierpniu 1763 roku, omówiwszy już zapewne dokładnie rzecz nad Newą, książę August Czartoryski zwrócił się do niego z prośbą o sprowadzenie do Polski paru rosyjskich pułków pod dowództwem generała Sałtykowa w celu rozpedzenia bądź zastraszenia Trybunału Litewskiego, który ośmielił się wziąć na wokandę kilka pozwów przeciwko zwolennikom postępu i reform, stary dyplomata – z obawy, że może to być również próba, na jaką wystawia go jego Najjaśniejsza Pani – zgodził się bez zastrzeżeń.

Ekspedycja karna generała Sałtykowa nie przyniosła zresztą większych rezultatów. Korpus rosyjski pokręcił się trochę po ekonomii szawelskiej należącej do Radziwiłłów, podszedł pod Wilno, gdzie książę Karol Stanisław na wszelki wypadek postawił w stan gotowości dwie swoje chorągwie, potem spustoszył kilkanaście majątków przeciwników Familii i w końcu wycofał się za granicę Rzeczypospolitej.

Ufając swemu doświadczeniu, ambasador Keyserling zgodził się także podpisać ultimatum dotyczące Trybunału Głównego Litewskiego, jakie po tej manifestacji siły postanowili skierować do księcia wojewody wileńskiego przywódcy Familii. Sprowadzało się ono właściwie do dwóch żądań: aby Trybunał Litewski nie stawiał odtąd przed sądem żadnych stronników Czartoryskich ani „przyjaciół Rosji”, i żeby wszystkie wyroki w sprawach dotyczących tych dwóch uprzywilejowanych kategorii osób, jakie już zapadły, zostały natychmiast unieważnione lub nie podlegały egzekucji.

Ambasador rosyjski był zbyt dobrym prawnikiem, żeby nie wiedzieć, że w istocie przywódcy Familii domagali się dla siebie i swoich popleczników całkowitej bezkarności, więc wcale się nie zmartwił, kiedy książę Radziwiłł odrzucił to ultimatum, argumentując bardzo logicznie, że jego przyjęcie oznaczałoby stworzenie sytuacji, w której każdy, kto chciałby w Polsce uniknąć kary, mógłby się ogłosić „przyjacielem Rosji” i stać się w ten sposób nietykalny dla wymiaru sprawiedliwości. Z drugiej strony stary dyplomata miał także

nadzieję, iż wykazana przez niego w tej sprawie dobra wola wobec popieranej przez Rosję Familii zostanie zauważona i doceniona w Petersburgu.

Stało się jednak inaczej. W listopadzie hrabia Keyserling otrzymał depeşe z wiadomością, że wkrótce do Warszawy przybędzie jego zastępcą, aby nieco go odciążyć w trudnym i pracowitym okresie związanym z bezkrólewem w Polsce.

To, że tym zastępcą miał być książę Mikołaj Wasiliewicz Repnin – niespełna trzydziestoletni uczestnik, w randze generała majora, siedmioletniej wojny, negocjator pokoju z Fryderykiem II, poseł rosyjski w Berlinie, prawdziwa gwiazda rokowań w Hubertusburgu i co najważniejsze, mąż siostrzenicy ministra spraw zagranicznych hrabiego Nikity Panina – nie wróżyło niczego dobrego i wskazywało jasno, że nad Newą zapadły jakieś ważne decyzje, których wykonania nie chciano powierzać wyłącznie oficjalnemu przedstawicielowi Rosji w Rzeczypospolitej.

Książę Mikołaj Repnin zjawił się w Warszawie tuż przed Bożym Narodzeniem. Pomimo trudów podróży kipiał wprost energią, jaką zawsze daje młodość, bogactwo, powodzenie i poczucie własnej ważności, więc zaraz po kolacji wydanej na jego cześć przez hrabiego Keyserlinga zamknął się z ambasadorem w jego gabinecie, by przekazać mu pocztę dyplomatyczną oraz kilka prywatnych listów.

Wśród tej pierwszej, jak podkreślił z naciskiem, najważniejsze i najpilniejsze były tajne instrukcje imperatorowej z dnia 7 listopada, toteż hrabia Keyserling, z należytym szacunkiem, zaczął lekturę otrzymanej korespondencji właśnie od nich.

„Bezkrólewie w Polsce i wybór nowego króla są wydarzeniami najważniejszymi dla rzeczywistych interesów naszego imperium – pisała Najjaśniejsza i Najmiłociwsza Pani – dotyczą integralności naszych granic i specjalnych korzyści, jakie są skutkiem naszego bezpośredniego wpływu na system polityczny całej Europy.

Powierzając wam wspólnie interesy naszego cesarstwa, chcielibyśmy, o ile to jest możliwe, odsunąć się od biegu wydarzeń. Przechylając szalę naszych relacji i spraw publicznych na naszą stronę, pragnęlibyśmy wielkimi krokami przyspieszyć ich realizację. Postępujcie wzajemnie z całą szczerością, pozostawcie na stronie swoje sprawy osobiste. To jedyny środek, abyście dali nam nowy dowód całej waszej gorliwości, wierności i nieustannych starań w obronie naszych interesów. Są one najważniejsze.

Tak więc spodobało się nam w tym piśmie wyrazić naszą opinię i nakreślić obraz naszych zamierzeń, w miarę jak wymagać tego będą okoliczności.

Nie ignorujcie tego, że pomimo tak wielkiego i tak długiego wpływu Rosji na rządy w Polsce, naszym poprzednikom nie udało się uzyskać od tej republiki potwierdzenia tytułu cesarskiego. Należy więc teraz to osiągnąć, tak dla powagi naszej korony, jak dla naszego własnego honoru. Jest to tym ważniejsze, że wstępując na tron, związaliśmy ten tytuł z naszą koroną i naszymi krajami.

[...]

Od czasu ostatnich lat panowania Augusta II dobrze wiadomo, do czego zdolny jest obcokrajowiec wybrany królem Polski, posiadający swoje państwo dziedziczne i dochody. To, że niedawno zmarły August III, niczego nie dokonał, wynikało z indolencji jego charakteru, z faktu, że jego minister był niestały, rozrzutny i pochłonięty niskimi intrygami. Jest także prawdą, że wydarzenia zawsze obracały się na jego szkodę. Z drugiej strony zabrakło mu czasu, by dojść do jakiegoś dobrego wyniku. Gdyby pozwolono na elekcję w jednej rodzinie, wkrótce przerodziłaby się ona w prawdziwie dziedziczną. Rzeczpospolita Polska nie posiada dość sił wewnętrznych, by zdołała się oprzeć temu niebezpieczeństwu, lub powstrzymać gwałty, które mogłyby być zadane jej prawom i konstytucjom. Nie można jej porównywać z Rzeszą Niemiecką. W związku z tymi rozważaniami, z powodu naszej pozycji i sąsiedztwa, powinniśmy zwracać całą naszą uwagę, by terażniejsza forma rządu polskiego pozostała w zupełności nienaruszona, by nie zmieniło się prawo jednomyślności na sejmach, by nigdy nie zwiększono liczebności sił zbrojnych. Na tym zasadza się fundament naszej polityki imperialnej, za pomocą czego bezpośrednio oddziałujemy na politykę europejską.

Po zgłębieniu wszystkich motywów i nie wdając się we wszystkie możliwości, jest prawdopodobne i nieodzowne, że osadzimy na tronie polskim przychylnego nam «Piasta», użytecznego dla naszych rzeczywistych interesów, jednym słowem człowieka, który tylko nam zawdzięczać będzie swoje wyniesienie. W osobie stolnika litewskiego hrabiego Poniatowskiego znajdujemy wszystkie warunki niezbędne dla naszej przychylności i w konsekwencji postanowiliśmy wynieść go na tron polski...”

„A zatem nie księżę August i nie księżę Michał Fryderyk!” – ucieszył się hrabia Keyserling i zanucił w duchu piosenkę, którą od jakiegoś czasu śpiewała cała Warszawa:

*Nie ostrz, cny książę, na koronę zęby,
Nie wpadnie próżno gołąbek do gęby!*

A potem czytał dalej:

„Panie hrabio Keyserling, działał pan z sukcesem dla naszych interesów, pod egidą oddanych nam książąt Czartoryskich i ich stronników, w interesie kandydata wystawionego przez rodzinę książęcą w razie śmierci poprzedniego króla Polski. Zatem w przyszłości niech pan punktualnie wykona wszystko to, co zawierają nasze poprzednie instrukcje, w szczególności nr 18 i 19, z 9 lutego bez numeru, z 23 kwietnia nr 73, z 10 września i wreszcie z 7 października numer 77. Dziś działać będziecie wspólnie. Jednakże, by nasze intencje, jeżeli to możliwe, były jeszcze bardziej precyzyjne, wykonają panowie, co następuje:

I. Jakkolwiek zarządziliśmy przygotowania wojenne i duża część naszych wojsk jest gotowa przekroczyć granice na pierwsze wezwanie, to jednak ważne jest dla chwały naszej i imperium, by pokazać całemu światu, że Rosja we wszystkich najważniejszych sprawach będzie pertraktować i działać sama, bez niczyjej pomocy, że posiada ona roztropność i znajomość prowadzenia polityki twarzą w twarz z innymi państwami i że w razie potrzeby jej siły fizyczne są wystarczające, by ją skutecznie podeprzeć.

Jednak z drugiej strony jesteśmy w oczywisty sposób skłonni do umiłowania pokoju i ludzkości, chcielibyśmy więc, by elekcja naszego kandydata przebiegła bez zgiełku, bez wojny domowej i z zagwarantowaniem wszystkich prerogatyw, przywilejów i wolności Rzeczypospolitej Polskiej i byśmy w ten sposób zrealizowali wszystkie nasze projekty. Jednak gdyby, wbrew naszym przewidywaniom, sprawy przyjęły inny obrót, jesteśmy zdecydowani z niewzruszoną wytrwałością wysłać wszystkie wojska, jakie Opatrzność nam powierzyła, i na naszą korzyść zakończyć sprawy polskie. Z tego powodu nakazujemy wam trzymać rękę nad wykonaniem poniższych artykułów.

II. Niech panowie użyją wszystkich pieniędzy, jakie macie w swoich rękach, wraz ze 100 000 rubli zaciągniętymi na dom handlowy Clifford syn i wspólnicy w Amsterdamie, w celu zwiększenia liczby przywódców i stronników naszej partii. Nie chcemy wam przepisywać, komu, kiedy i ile macie przelać z tych pieniędzy, wiemy bowiem, że sami zrobicie z nich najlepszy użytek. Spuszczamy się w tym, panie hrabio Keyserling, na pańską roztropność, wierność w naszej służbie i wreszcie na doskonałą znajomość spraw tego państwa. Niemniej jednak zwracamy pańską szczególną uwagę na sejmiki, by posłowie tam wybrani

działali całkowicie w naszym interesie. Jest więc ważne, byśmy mieli tam swoich aktywnych emisariuszy wyposażonych w pieniądze. Dołączamy więc ich listę, dla każdego województwa, którą to listę hrabia Władysław Gurowski dostarczył niedawno naszemu tajnemu radcy Paninowi. Zweryfikuje pan skuteczność tego środka. Jednocześnie posłuży on panu do wyjaśnienia postępowania hrabiego Gurowskiego, potwierdzi jego szczerłość wobec nas, gdyż obiecał on nam uroczyście wiernie służyć naszym zapatrywaniom i zapewnił nas w sposób najbardziej stanowczy, że szybko wykonując dokładnie wszystko to, co on zaleca, będzie można w sposób energiczny ocalić jego ojczyznę od niebezpieczeństw, które jej zagrażają. Poza tym oświadczył, że śmierć króla Polski uwolniła go kompletnie od zobowiązań, które zaciągnął wobec zmarłego króla i jego rodziny.

III. W sposób stanowczy ogłosicie kandydatowi nasze zamiary osadzenia go na tronie, środki, których użyjemy do tego celu, i co w sposób szczególnie powinno go przekonać do naszych zamiarów, to że jeśli pieniądze, których użyjemy do osiągnięcia naszego celu, zdadzą się na nic, użyjemy wtedy wszystkich zasobów, jakie powierzyła nam Opatrzność. To powinno go przekonać, bowiem sam nie miałby ani pretekstu, ani środków, żeby to osiągnąć. Wszelako, jako że nasze zamiary i środki wymagać będą wzrostu opodatkowania naszych wiernych poddanych, powodowani naszym macierzyńskim sercem uważamy, że mają prawo wymagać od nas dla nich samych i swojej ojczyzny jakiejś rekompensaty ofiar, jakie składają. Wynika stąd, że honor i wdzięczność kandydata powinny być poważnie brane pod uwagę, że nasz własny interes i poparcie, jakiego mu udzielamy, zostaną przez niego docenione, i że zawsze będzie działał dla utrzymania pokoju i najściślejszych stosunków przyjaźni i dobrego sąsiedztwa pomiędzy Rzeczpospolitą i naszym imperium. W tym celu, odpłacając się za nasze dobrodziejstwa, natychmiast po wyniesieniu na tron zakończy wszystkie spory dotyczące się delimitacji granicy pomiędzy naszym imperium i Polską, stosownie do sprawiedliwości i naszej pełnej i całkowitej satysfakcji, a w czasie trwania swoich rządów będzie miał na uwadze interes naszego imperium jako swój własny, że będzie wypełniał nasze słuszne zamiary wbrew wszystkim okolicznościom, zachowując szczerę przywiązaną do naszej osoby. Nie zakładamy, że mógłby on odmówić tych gwarancji, bowiem jako cnotliwy i szlachetny patriota powinien on przekonać się, że podnosząc go na tarczy, ratujemy jego ojczyznę wstrząsaną w swoich podstawach i chylącą się ku

upadkowi. Uwalniamy w ten sposób Polskę od prawa dziedziczości i wszystkich nadużyć, które gnębiły jej wolność w czasie panowania książąt zagranicznych. Kandydat powinien być skądinąd pewny, że z powodu tak wyraźnych dowodów naszej ku niemu życzliwości jego przeciwnicy nie zechcą sami źle zinterpretować naszych czystych i zbawiennych intencji.

IV. Uznajemy za więcej niż pewne, że hrabia Keyserling, księżęta Czartoryscy i wszyscy przywódcy naszego stronnictwa w tym kraju, wiedzeni swoją roztropnością, przygotowali już wszystko, co tyczy się zaproponowanego przez nas kandydata. Rozkazujemy zatem, by on i ci, których zjednał, zdali sobie sprawę, że ofiaruje się im nasze wsparcie i naszą życzliwość, które ofiarujemy jednocześnie ich ojczyźnie. W konsekwencji należy podjąć zdecydowane środki, niczego nie oszczędzając, także w stronnictwie opozycyjnym, tak by pierwszy sejm uznał nam i naszej koronie tytuł cesarski. By książę Kurlandii przez nas przywrócony został na nowo zatwierdzony. By sejm koronacyjny powołał komisję nadzwyczajną, która wspólnie z naszymi komisarzami zajmie się uznaniem i zwrotem ziem do nas należących, wydaniem dezertorów i zbiegów, którzy uszli do Polski, która ustanowi bezgraniczną tolerancję dla wyznających prawosławie, zajmie się zwrotem cerkwi, klasztorów i ziemi, które niegdyś zostały im wydarte. Komisja ta podejmie niezbędne środki, by na przyszłość poprzez ekstradycję nie dopuścić do dezercji, w ten sposób przez wprowadzenie ciężkich kar kładąc kres rozbojom. Łudzimy się, że mądrzy i dobrze myślący Polacy, przekonani do naszych tak szczerych i tak otwartych intencji, postarają się teraz i w niedalekiej przyszłości porzucić wszystkie przeszkody, jakie skłaniały do psucia pokoju, dobrej harmonii, dobrego sąsiedztwa i przyjaznych kontaktów pomiędzy poddanymi obydwu państw.

V. Nic wam nie zjedna naszej łaski bardziej i nie przyniesie wam chwały osobistej niż doprowadzenie, hrabio Keyserling i książę Repninie, do tego, by cała Rzeczpospolita zebrana na sejmie poprosiła o naszą interwencję i uroczystą gwarancję praw podstawowych, konstytucji, przywilejów i wolności Rzeczypospolitej, i by ta sama Rzeczpospolita w innym akcie publicznym i urzędowym zaświadczyła uznanie przywrócenia byłego księcia Kurlandii.

VI. Nie widzimy konieczności zalecać wam w osobnym piśmie środków, jakich macie użyć, by skłonić Polaków do naszych zamiarów. Wasz własny sąd i zdolność zastąpią to, czego brakuje w niniejszych instrukcjach. Znajdziecie sprzyjającą okazję, z czym, jak i przez kogo będzie dla was użyteczne pozyskać

panów polskich, spuszcza się w tym na doskonałą znajomość rzeczy i ludzi i długie doświadczenie hrabiego Keyserlinga.

VII. Powinniście też działać w tym kierunku, byście mogli poza zwyczajnym adresem do nas skierowanym, uzyskać od prymasa, jako tamtejszej ważnej osobistości, by poprosił on formalnie o naszą protekcję, zachowanie prawa wolnej elekcji przyszłego króla i by poprosił nas, byśmy nie pozwolili, by ktokolwiek oprócz nas mógł tam interweniować. Przez co zyskamy dogodny pretekst, by mieć wpływ na tak ważną sprawę, i ku naszej radości będziemy mogli wybierać wszystkie środki ku naszemu pożytkowi.

VIII. Wśród tak różnych i licznych czynności niepodobna przewidzieć wszystkich potrzeb i stawić czoło wszystkim wydarzeniom we właściwym czasie i miejscu. Dlatego więc wysyłamy wam 20 naszych podpisów *in blanco* w różnej formie i wielkości. Powierzamy je waszemu doświadczeniu i sprawdzonej wierności, wierząc, że zrobicie z nich użytek dla osiągnięcia celów wyłożonych powyżej. W naszym imieniu wydajcie wszystkie noty, manifesty, rozporządzenia lub paszporty. Zobowiązujemy was w sposób jak najbardziej wyraźny, by nasza godność i nasze imię nie były wystawione na jakąkolwiek zniewagę.

IX. Widzimy, że ta ważna i doniosła sprawa jest trudna do przeprowadzenia i zakończenia, i że przyciągnie uwagę i zazdrość całej Europy. Trudno nam także w tej chwili dokładnie określić środki, które wydadzą się wam niezbędne. Nie ograniczamy wam w zupełności wysokości sum, jakie będziecie potrzebowali wydać, powierzając je waszemu honorowi i uczciwości, jednakże ostrzeżcie nas o nadużyciach, gdy będzie to konieczne, byśmy w porę mogli je wam wysłać bez zbytnej straty dla naszego skarbcza.

X. Jest prawdopodobne, że ludzie zawistni i zazdrośni wobec naszych zamiarów, a przez to wrodzy wobec naszego stronnictwa w tym kraju, będą chcieli pokrzyżować nasze zabiegi i działać na naszą szkodę. Bez wątplenia dojdzie do tego, że nasi przeciwnicy zawiążą konfederację i będą próbowali wybrać innego króla. Rozkazujemy wam więc stanowczo, gdy nasz kandydat zostanie wybrany i ogłoszony, byście w naszym imieniu uroczyście go uznali wraz z wszystkimi waszymi polskimi przyjaciółmi. Jeżeli jednak ktokolwiek ośmieliłby się przeciwstawić tej elekcji, zmącić pokój publiczny Rzeczypospolitej, utworzyć konfederację przeciw zgodnie z prawem wybranemu monarsze, wtedy bez żadnej uprzedniej deklaracji rozkażemy naszym wojskom uderzyć w tym samym czasie we wszystkich punktach terytorium polskiego.

Rozkażemy, by uważać naszych przeciwników za rebeliantów i mącicieli, i by zniszczyć ogniem i mieczem ich dobra i włości. W tym wypadku porozumiemy się z królem Prus, a wy ze swojej strony z jego ministrem rezydującym w Warszawie.

XI. Jeśli nieprzewidzianie wszystkie tak liczne i dobrze zorganizowane środki zaradcze nie powiodą się i gdy nie będziemy mogli się obejść bez interwencji zbrojnej, i będziemy zmuszeni do ustanowienia i utrzymania siłą króla z naszego wyboru, gdy powyższe środki zostaną zaniechane, wtedy nie złożymy broni, dopóki całe Inflanty polskie nie zostaną odłączone i wcielone do naszego imperium. Zapoznając was wcześniej z tym postanowieniem, zalecamy wam w najwyższym stopniu zachowanie tajemnicy, bowiem uciekniemy się do tego środka tylko wtedy, gdy inne wydadzą się niewystarczające.

XII. Zdajecie sobie sprawę, jak nikłe są przychody króla polskiego według dawnego wykazu i że nie ma on własnych. Nasz interes wymaga więc, byście użyli całego waszego kredytu, by zasilić jego szkatułę prywatną dla utrzymania świetności królestwa. Po ten środek nie należy sięgać w wypadku zabiegania o pomoc zagraniczną.

XIII. Na koniec nie powinniśmy podejrzewać, że człowiek tak szlachetnie myślący jak nasz kandydat dał posłuch radom przeszkadzającym w przyjęciu korony, niemniej zdajemy sobie zdecydowanie sprawę, że nasi przeciwnicy, tak w Polsce, jak za granicą, użyją w tym celu wszelkich energicznych środków i nie oszczędzą niczego, by do tego doprowadzić. Zalecamy wam pilnować tego z całą możliwą czujnością i zapewnić naszego kandydata, że odkąd będzie pod naszą opieką i protekcją, nikomu nie uda się wydrzeć mu korony.

XIV. Wydając dla was obu niniejsze instrukcje, powierzając waszemu doświadczeniu wszystkie środki, jakie uznacie za użyteczne do podjęcia, nie pozostaje nam nic innego, jak tylko czekać na realizację naszych zamiarów. Ani przez chwilę nie wątpimy, znając dobrze wasz zapał i wierność, że hrabia Keyserling w tym celu użyje swoich wypróbowanych talentów, a książe Repnin, idąc w ślady pierwszego, ujawni swoje. W ten sposób zjednoczeni, nie zanedbujcie codziennie niczego, by więcej zasłużyć się na naszą cesarską łaskę.

Katarzyna”¹⁴.

„Więc chyba klamka zapadła!” – pomyślał ze smutkiem hrabia Keyserling, kiedy doczytał instrukcje Najjaśniejszej Pani do końca. A potem, bez silenia się na udawanie entuzjazmu, mruknął:

– No to będziemy mieli mnóstwo pracy.
– Zgadza się, lecz na szczęście zna pan dobrze naszego kandydata? – raczej stwierdził, niż zapytał ksiązę Repnin.

– Owszem. Kiedy byłem tu po raz drugi, w latach 1749–52, jego rodzice uprosili mnie, żebym udzielał mu lekcji matematyki. A i teraz widujemy się dość często.

– I co pan o nim myśli, ekscelencjo?

– Pitagoras to z niego nie będzie.

– Chodziło mi raczej o jego kwalifikacje monarsze.

– Drugi Jagiełło, Batory, Waza czy Sobieski także nie.

– Cieszę się, że podziela pan opinię, jaką wyrobiłem sobie na jego temat w Petersburgu – ksiązę Repnin uśmiechnął się. – To naprawdę idealny kandydat. Aha, jeszcze jedno, o czym miałem pana powiadomić ustnie. Od jutra ja tu rządę, choć formalnie pozostaje pan nadal szefem placówki.

Stary dyplomata przygryzł wargę i bez słowa skinął głową.

W końcu przeszło dwa razy młodszy od niego ksiązę Repnin był mężem siostrzenicy pierwszego ministra imperium.

¹ Mój drogi przyjacielu (franc.).

² Z zachowaniem wszystkich proporcji (franc.).

³ Rodzaj, gatunek, specjalność (franc.).

⁴ Marsz wojskowy skomponowany przez Fryderyka II w 1745 r. dla uczczenia zwycięstwa pod Hohenfriedeberg (dziś Dobromierz na Dolnym Śląsku).

⁵ Na pierwszy rzut oka, bez przygotowania (wł.).

⁶ Od jajka (łac.), zwrot używany przez Rzymian w znaczeniu – od samego początku.

⁷ Członek bractwa Maryjnego (łac.).

⁸ Szef kuchni (franc.).

⁹ Miłosierdzie (franc.).

¹⁰ Jeśli pan sobie życzy (franc.).

¹¹ Bardzo, bardzo piękna dziewczynka! (franc.).

¹² Nie ma problemu (franc.).

¹³ Jasno, wyraźnie, wprost, bez osłonek (łac.).

¹⁴ *Recueil des traités, conventions et acts diplomatiques concernant la Pologne par le comte d'Angeberg* [Leonard Chodźko], Paris 1862, s. 3-11, tłum. Maciej Szczepańczyk: „Tajne instrukcje Katarzyny II dla dyptomatów rosyjskich w Warszawie (1763)”, Wikiźródła, Wikipedia.

Rozdział 10

SYMFONIA REPNINOWSKA: *ALLEGRO VIVACE*

Już nazajutrz po przybyciu do Warszawy książę Repnin spotkał się w cztery oczy ze stolnikiem litewskim, któremu przekazał wyrazy poparcia swojej Najjaśniejszej Pani, trzy tysiące dukatów na bieżące wydatki oraz zapewnienie, że wszystkie jego długi zostaną spłacone przez Rosję do końca 1764 roku. Parę dni później w warszawskim mieszkaniu Stanisława Antoniego Poniatowskiego rosyjski dyplomata poznał najważniejszych przywódców Familii: kanclerza litewskiego Michała Fryderyka Czartoryskiego, wojewodę ruskiego Augusta Aleksandra Czartoryskiego, marszałka wielkiego koronnego Stanisława Lubomirskiego, wojewodę inowrocławskiego Andrzeja Zamoyskiego, a także trzech braci gospodarza: Kazimierza, podkomorzego koronnego, Andrzeja, generała wojsk austriackich, i Michała, kapelana nadwornego. Powiadomił ich wówczas oficjalnie, że Jej Imperatorska Mość Katarzyna II byłaby nad wyraz szczęśliwa, gdyby nowym królem Polski został miły skądinąd jej sercu pan stolnik litewski, co, jak zauważył, nie wywołało wcale entuzjazmu wujów kandydata, książąt Czartoryskich, którzy po cichu, o czym dobrze nad Nową wiedziano, sami liczyli na polski tron, a w ostateczności woleli go raczej odstąpić synowi księcia Augusta Adamowi Kazimierzowi, generałowi ziem podolskich, niż swojemu uboższemu, mniej utytułowanemu, za to bardzo zadufanemu w sobie siostrzeńcowi.

Książę Repnin osłodził im nieco tę gorzką pigułkę informacją, że w Petersburgu rozpatrzono pozytywnie ich niedawną prośbę, aby dla lepszego trzymania w szachu partii republikańskiej, jak też nieobliczalnego księcia wojewody wileńskiego i opozycji obu hetmanów koronnych, skierować do Polski pod rozkazy Familii tysiąc lekkokonnych kozaków czugujewskich, których

raczyli skomplementować w swojej pokornej petycji jako „najwaleczniejszych i najkarniejszych”¹. Powiedział im także, iż ich starania o sprowadzenie do Polski większej liczby wojsk rosyjskich na pewno spotkają się nad Newą z życzliwym przyjęciem, tymczasem jednak – dla uniknięcia niepotrzebnych komplikacji dyplomatycznych – należało skupić się przede wszystkim na formowaniu w Rzeczypospolitej silnego stronnictwa popierającego elekcję pana stolnika litewskiego oraz Familii i Rosję, przygotować się dobrze do sejmików przedkonwokacyjnych, myśleć o zorganizowaniu antyrepublikanckich konfederacji szlachty w Koronie i na Litwie, a także gromadzić na wszelki wypadek broń i amunicję, jako że mogły się one niebawem bardzo przydać.

Sam książę Repnin dał wkrótce popis aktywności na tym polu, przekonując do namaszczonego w Petersburgu kandydata wielu wpływowych dygnitarzy i polskich magnatów, których kaptował na różne sposoby. Jednym rekomendował pana Poniatowskiego jako kogoś, kto przeprowadzi w Polsce niezbędne reformy, innym jako gwaranta nienaruszalności starodawnych polskich praw i złotej wolności, przy czym zapewniał – tak jednych, jak drugich – że Rosja życzy sobie jego wyboru całkowicie bezinteresownie, z czystej sąsiedzkiej przyjaźni i życzliwości dla Rzeczypospolitej. Komu wypadało, obiecywał łaski, urzędy, stanowiska, ordery i pieniądze, kogo trzeba, straszył konsekwencjami gniewu swojej Najjaśniejszej Pani, toteż partia prorosyjska rosła z dnia na dzień jak na drożdżach. Jednym z jej pierwszych i najcenniejszych nabytków stał się prymas Polski Władysław Aleksander Łubieński, sprawujący podczas bezkrólewia funkcję *interrex*a, czyli faktycznej głowy państwa, obdarowany przez księcia Repnina stoma tysiącami rubli w gotówce.

Rzutki poseł pełnomocny nie zapomniał również o innych środkach mogących przyczynić się do sukcesu jego misji. W lutym 1764 roku, na prośbę Familii, sprowadził do Polski dwa tysiące rosyjskiej piechoty, którą rozlokował w Konstantynowie i w Międzyrzeczu. Zadbął też o to, by tuż przy granicy z Litwą stanął kilkutyśięczny korpus generała Czernyszewa, gotów w każdej chwili wkroczyć do akcji. Organizującym się w Koronie i na Litwie antyrepublikanckim konfederacjom przekazał, odpowiednio, sto tysięcy dukatów poprzez książąt Czartoryskich i sześćdziesiąt tysięcy za pośrednictwem hetmana wielkiego litewskiego Michała Massalskiego oraz jego syna Ignacego, biskupa wileńskiego. Zważywszy, że Litwa była od pokoleń matecznikiem Radziwiłłów, konfederacji

litewskiej obiecał także wsparcie wojskowe w sile czterech tysięcy rosyjskich żołnierzy.

Kiedy poseł austriacki w Warszawie Florimont-Claude Mercy-Argenteau, zaniepokojony tymi działaniami, zażądał wyjaśnień od ambasadora Keyserlinga, caryca poinstruowała swego dyplomatę: „Oświadczyć to moim przyjaciołom i nieprzyjaciołom, że jestem Imperatorową Wszech Rosji i że nie ma innej woli nad wolę moją”².

Sam stolnik litewski był tak pewny tego, że zostanie królem Polski, iż przedstawił księciu Repninowi swoje warunki związane z objęciem tronu. Obejmowały one coroczne subsydia od dworu rosyjskiego, gwarancję bezpieczeństwa panowania, oddanie pod wyłączną komendę przyszłego monarchy pułków gwardii i lekkiej jazdy oraz przyznanie mu prawa do nieograniczonego rozdawnictwa urzędów.

Wychodząc z założenia, że „cóż nam za korzyść z takiego króla, który by był pozbawiony wszystkiego”³, Katarzyna II przyjęła te warunki, jak też zatwierdziła w tajnym reskrypcie wszystkie inne obietnice złożone dotąd przez księcia Repnina przywódcom Familii i osobiście stolnikowi Poniatowskiemu, choć z wypłacaniem mu rocznych subsydiów na razie się wstrzymała. W liście do swoich posłów w Warszawie tak uzasadniała swe decyzje: „Przez taki krok stanowczy zyskujecie prawo nastawiania i żądania bezwarunkowej z ich strony powolności, mianowicie: zyskania od wyznaczonego przez nas tymczasowego kandydata do korony formalnego zapewnienia o jego uległości i niezmiennej gotowości do pomagania nam w sprawach naszych, przyzwolenia na ustępstwa na rzecz państwa naszego i poddanych naszych, osnute na traktacie wieczystego przymierza i wreszcie, wyjednania tego, by Rzplita polska żądała naszej gwarancji co do zachowania jej konstytucji i praw”⁴.

Całą tę tytaniczną pracę książe Repnin wykonywał właściwie sam, bo stary hrabia Keyserling, który coraz częściej chorował – czy też, jak donosił młody poseł pełnomocny swojemu wujowi kanclerzowi w prywatnych listach, „udawał, że choruje” – wycofał się niemal zupełnie z życia publicznego i towarzyskiego, prawie nigdzie nie był i w zasadzie nikogo też nie przyjmował. I choć, zgodnie z wyraźnym rozkazem Jej Imperatorskiej Mości, podpisywał razem z księciem Repninem wszystkie oficjalne pisma wychodzące z ambasady, to najczęściej nawet ich nie czytał, a jeśli w ogóle przychodził do pracy, to z reguły zamykał się w swoim gabinecie, wyjmował z szafy skrzypce i przez cały Boży dzień

wygrywał na nich jakieś okropne bemole lub inne zgrzytliwe cedury, od których jego pracowitemu zastępcy po prostu pękała głowa.

Lecz z bólem głowy czy bez, książę Repnin nie zwalniał ani na chwilę. Kiedy do ambasady dotarł szyfrogram informujący o tym, że Najjaśniejsza i Najmiłościwsza Pani życzy sobie, aby już na sejmie konwokacyjnym została poruszona sprawa politycznego równouprawnienia mieszkających w Polsce innowierców, czyli tak zwanych „dysydentów”, poprzez przyznanie im prawa do pełnienia funkcji poselskich, trybunalskich, a w przyszłości także hetmańskich, i że Rosja zawarła już w tej sprawie ścisłe przymierze z Prusami, od razu zaprosił do siebie pana Gédéona Benoît, *chargé d'affaires* ambasady pruskiej w Warszawie, którego nie miał dotąd okazji poznać.

– Drogi „Gallusie” – zaczął bez zbędnych wstępów, gdy zasiedli do kolacji – jak panu zapewne wiadomo, byłem na ostatniej wojnie, podczas której pozbawiłem życia wielu Prusaków. Przyznam, że sprawiało mi to nawet niejaką przyjemność, ale cóż, byliśmy wtedy nieprzyjaciółmi. Potem zostałem posłem w Berlinie, gdzie miałem zaszczyt poznać osobiście pańskiego wielkiego monarchę, prawdziwą chlubę tego wieku, a także liczne grono wspaniałych i mądrych ludzi, waszą imponującą naukę, kulturę i w ogóle wasz piękny kraj. I muszę panu powiedzieć, że od tej pory jestem zagorzałym prusofilem.

– A ja jestem Francuzem, lecz jeśli chodzi o Prusy, to w pełni podzielam zdanie waszej książęcej mości – odpowiedział mu uprzejmie pan Benoît.

– Cieszy mnie to niezmiernie. Zwłaszcza w perspektywie czekającej nas obu ciężkiej pracy, będącej konsekwencją faktu, że nasze kraje zawarły właśnie ścisły sojusz mający na celu przywrócenie należnych praw politycznych polskim dysydentom, jak też – w sensie bardziej ogólnym – zapewnienie szczęśliwej przyszłości samej Polsce i reszcie Europy.

– Sojusz? Nic o nim nie słyszałem – udał zdziwienie pan Benoît, choć znał doskonale sprawę z berlińskich depesz.

– Jak to? Nie dostał pan instrukcji? – zdziwił się rosyjski poseł pełnomocny.

– Nie. A powinienem?

– Oczywiście! Przecież ten sojusz zmienia całkowicie nasze stosunki. Z przedwczorajszych śmiertelnych wrogów i wczorajszych obojętnych wobec siebie sąsiadów, stajemy się teraz najbliższymi sojusznikami i przyjaciółmi. Widzę, że muszę zmobilizować hrabiego Solmsa albo samego ministra Herzberga, żeby przysłali panu natychmiast stosowne instrukcje.

– Straszny z pana idealista, ekscelencjo, co, jak zauważyłem, jest dość typowe dla Słowian. My, Francuzi, jesteśmy dużo bardziej trzeźwi i rzeczowi, więc powiem panu tak: nie musi pan uruchamiać ani hrabiego Solmsa, ani ministra Herzberga, bo czy dostanę odpowiednie instrukcje, czy nie, i tak będę z panem współpracować. Po pierwsze dlatego, że chodzi o szczęście Polski i reszty Europy, a po drugie, ponieważ zobowiązałem się kiedyś do tego na piśmie. Wolałbym jednak nie robić tego za darmo czy za pół darmo, a więc po słowiańsku, tylko za coś konkretnego, czyli po francusku.

– Co pan ma na myśli? – uniósł brwi książę Repnin.

– Podwyżkę, ekscelencjo. Podwyżkę, na którą czekam już od paru lat.

– Podwyżkę? Od nas? – Rosjanin zaśmiał się ironicznie.

– Od was – potwierdził z determinacją *chargé d'affaires* ambasady pruskiej.

– Panie Benoît, proszę nie przeciągać struny – ostrzegł go, już całkiem serio, rosyjski dyplomata. – Jako najbliżsi sojusznicy i przyjaciele nie powinniśmy mieć przed sobą żadnych tajemnic, a tym bardziej płacić sobie nawzajem za cokolwiek, więc nie tylko nie dam panu podwyżki, ale w ogóle odbiorę panu pensję. Nie podoba się panu, to trudno. Znam na tyle dobrze hrabiego Solmsa i jestem w na tyle zażyłych stosunkach z pańskim ministrem Herzbergiem, że wystarczy jedno moje słowo, a zostanie pan stąd odwołany w krótkich abcugach.

– Wola Boska! – westchnął na to pan Benoît. – Możecie mnie nawet odwołać do Kiachty, ale bez podwyżki szczęście Polski oraz reszty Europy mało mnie obchodzi.

– *Francuzskaja swołocz!* – mruknął pod nosem książę Repnin, uprzytomniwszy sobie jednak, że ten bezczelny Prusak ma nad nim istotną przewagę w postaci doskonałej, ponad piętnastoletniej znajomości Rzeczypospolitej i panujących w niej stosunków, przemógł się, zastanowił przez chwilę, po czym rzekł z rezygnacją: – Dobrze, dostanie pan tę swoją podwyżkę, a nawet awans na ambasadora.

– Awans na ambasadora? – powtórzył osłupiały *chargé d'affaires* ambasady pruskiej. – Od kogo? Od was?

– Nie – odpowiedział Rosjanin. – Od własnego ministra spraw zagranicznych hrabiego Herzberga, tak samo zresztą, jak podwyżkę. Załatwię to panu.

– Naprawdę?

– Ma pan moje słowo.

– Jeśli tak – zawołał oszołomiony pan Benoît – to od tej chwili nie ma dla mnie nic ważniejszego od szczęścia Polski i reszty Europy. Mogę nad nim pracować dniem i nocą, chociaż, zanim się za to zabiorę, chciałbym załatwić jeszcze jedną sprawę.

– Jaką?

– Proszę o zwrot zobowiązania, które podpisałem kiedyś ambasadorowi Wojejkowowi. A także wszystkich pokwitowań odbioru pieniędzy. Między najbliższymi przyjaciółmi i sojusznikami takie rzeczy są niepotrzebne. Zwłaszcza jeśli pensji ma już nie być.

– Słusznie, też tak uważam – zgodził się książę Repnin. – I nawet już o tym pomyślałem.

Po tych słowach wstał od stołu, sięgnął do biurka, wyjął stamtąd zobowiązanie do współpracy agenta „Gallusa” oraz plik jego finansowych pokwitowań i wręczył to wszystko gościowi. Uszczęśliwiony *chargé d'affaires* ambasady pruskiej w Warszawie przycisnął papiery do serca, potem przejrzał je i przeliczył, w końcu zaś podarł je na strzępy i z wyrazem ulgi na twarzy wrzucił do płonącego kominka.

Tym, czego pan Benoît nie wiedział, było to, że zniszczył w ten sposób nie oryginał swojego cyrografu – spoczywający nadal, na wszelki wypadek, w archiwum rosyjskiej ambasady – lecz jego doskonałą kopię, zamówioną parę dni wcześniej przez księcia Repnina u pewnego warszawskiego fałszerza dokumentów zaopatrującego od lat cudzoziemskie placówki dyplomatyczne w Warszawie w podrobione polskie pisma urzędowe, pieczęcie i fałszywe paszporty dowolnego kraju.

Tymczasem sejmiki przedkonwokacyjne nie wszędzie szły po myśli Familii. Tu i ówdzie, polskim zwyczajem, trochę się pobigosowano, gdzieniegdzie wybrano podwójną liczbę posłów, w paru miejscach pobito kandydatów Familii na sędziów kapturowych, sejmik pruski w Grudziądzu w ogóle zaś nie doszedł do skutku z powodu zajść między republikańskimi wyborcami i oddziałem wojsk rosyjskich generała Chomutowa, strzegących tam od czasu ostatniej wojny rosyjskich magazynów wojskowych.

Za radą księcia Repnina petersburska dyplomacja wykorzystała natychmiast te fakty, aby powiadomić europejskie dwory, iż może zajść potrzeba udzielenia Polsce dobrosąsiedzkiej pomocy przez wprowadzenie w jej granice armii rosyjskiej dla utrzymania porządku i pokoju między zwaśnionymi stronnictwami

oraz dla zapewnienia bezwarunkowej wolności wyboru nowego króla. Niemal jednocześnie ogłoszono na Litwie powstanie antyrepublikanckiej konfederacji, wspartej od razu przez dwa rosyjskie korpusy wojskowe liczące w sumie osiem tysięcy żołnierzy, dowodzone przez generała Rennenkampfa i księcia Wołkońskiego, którym książę Repnin przydzielił kilku zaprzyjaźnionych Polaków do pomocy przy redagowaniu publicznych odezwo i odróżnianiu majątków „nieprzyjacielskich”, przeznaczonych do spustoszenia, od „przyjacielskich”, które należało oszczędzać. Wkrótce potem stojący dotąd nad granicą litewską korpus generała Czernyszewa skierował się na Warszawę, oddziały generała Chomutowa wkroczyły zaś do Zakroczymia. Silne formacje Moskali weszły też cichaczem na Wołyń i Podole.

Na wieść o ruchach wojsk rosyjskich hetman wielki koronny Jan Klemens Branicki, hetman polny koronny Wacław Rzewuski oraz liczni republikanccy senatorowie próbowali wymóc na prymasie Łubieńskim, jako najwyższej władzy w Polsce, by zwołał natychmiast pospolite ruszenie, jak też żeby podpisał przygotowany przez nich protest przeciwko gwałceniu niezawisłości Rzeczypospolitej i wysłał go do Petersburga oraz innych stolic, do czego był zobowiązany konstytucją sejmową z 1737 roku, uchwaloną również głosami książąt Czartoryskich, zakazującą pod karą śmierci i wiecznej infamii sprowadzać do kraju obce wojska podczas bezkrólewia – sto tysięcy rubli łapówki zrobiło jednak swoje i książdz prymas odmówił.

Zirytowani hetmani koronni i senatorowie republikanccy nie dali za wygraną i podpisawszy sami rzeczony protest, zaczęli wręczać go kolejno przedstawicielom obcych dworów w Warszawie. Kiedy umówili się w tym celu na spotkanie z ambasadorem Keyserlingiem, książę Repnin, znający doskonale treść pisma – bo zdążył już sobie pozyskać informatorów także w obozie hetmańskim (szczególnie oddanych w osobach kuchmistrza koronnego Adama Łodzi Ponińskiego i referendarza koronnego księdza Gabriela Podoskiego) – wezwał do siebie swego nominalnego szefa i zabronił mu stanowczo przyjmować to pismo.

– Ale jakże ja mogę to zrobić? Przecież to jedne z najważniejszych osób w Polsce! – próbował oponować stary hrabia, ściskając przy tym tak mocno trzymane w ręku skrzypce, że pękła w nich z jękiem jakaś struna.

– To pańska sprawa. Niech pan coś wymyśli, od tego jest pan dyplomatą – burknął w odpowiedzi poseł pełnomocny i dodał ze złością: – I proszę mi

przestać rzępolić nad uchem w godzinach pracy, o ile nie chce pan skończyć na Syberii!

W umówionym dniu hrabia Keyserling przyjął hetmana Branickiego i towarzyszące mu osobistości z niezwykłą kurtuazją, odebrał od nich list skierowany do Najjaśniejszej Imperatorowej Wszech Rosji, po czym zaczął oglądać bardzo uważnie kopertę, w którą był zapakowany, i bez jej otwierania zwrócił im go z powrotem.

– Najmocniej przepraszam, ale nie mogę przyjąć tego listu – rozłożył bezradnie ręce.

– Nie może pan przyjąć tego listu? – zdziwił się naczelny dowódca armii polskiej. – A to dlaczego?

– Dlatego, że zawiera błąd w tytulaturze Najjaśniejszej Pani – wyjaśnił z zażenowaniem ambasador Rosji.

– Błąd w tytulaturze? To niemożliwe, ekscelencjo. Przepisano ją żywcem, słowo w słowo, z nagłówków waszych oficjalnych listów przechowywanych w kancelarii sejmu – oświadczył jeszcze bardziej zdumiony hetman wielki koronny.

– A jednak, drogi przyjacielu, a jednak – pokiwał smętnie głową stary Kurlandczyk, a potem, przeprosiwszy innych gości, ujął hetmana za ramię i odciągnął go na stronę, w przeciwległy kąt salonu.

– Proszę mi wybaczyć, panie hetmanie, takie mam instrukcje. Nic na to nie poradzę – rzekł cicho. – Wyślijcie ten list pocztą albo przez umyślnego. W ten sposób wilk będzie syty i owca cała. Ale teraz muszę się już pożegnać.

Książę Repnin był bardzo zadowolony, że hrabia Keyserling posłał Polaków do wszystkich diabłów, i to w ciągu kwadransa. Jego satysfakcję psuł jedynie fakt, że Prusacy, ci sami Prusacy, którzy tak niedawno podpisali z Rosją tajną konwencję zobowiązującą obie strony do ścisłej współpracy na rzecz zapewnienia wiecznego szczęścia Rzeczypospolitej przez niedopuszczenie do jakichkolwiek reform mogących zmienić jej aktualny stan i położenie, okazali się skrajnie nielojalni i ów bezczelny antyrosyjski list polskiej opozycji przyjęli, jakby nigdy nic!

„*Wot, prusskije sabaczki!* – pieniał się ze złości rosyjski poseł pełnomocny. – Ciekawe, w co te szuje grają?! Co kombinują, gnidy, na boku?! Że chcą się pokazać, germańskie ścierwa, jako więksi przyjaciele Polski niż Rosjanie, to

jasne, ale dlaczego robią to właśnie teraz, w tak delikatnym momencie, *job ich wsiech w żopu?!*”

Na te pytania książę Repnin nie znajdował odpowiedzi, ale przyrzekł sobie, że na razie *chargé d'affaires* ambasady pruskiej w Warszawie – ten *francusko-prusskij pizdiec*, ten *rybij chuj na utynych łapach*⁵ – jak go teraz z lubością nazywał – jeszcze sobie troszkę poczeka na obiecany tytuł i pensję ambasadora. Zwłaszcza że ta *prusskaja bladź* zawiodła go już po raz drugi, bo po raz pierwszy wystawiła go do wiatru, jak skończonego *duraka*, kiedy, ni z tego, ni z owego, nie zdradzając się ani słowem, załatwiła po cichu, rosyjskiemu bądź co bądź kandydatowi do polskiej korony, najwyższe pruskie odznaczenie: wysadzany diamentami order Czarnego Orła, z którym to Czarnym Orłem, przypominającym raczej oskubaną wronę niż prawdziwego króla ptaków, pan stolnik litewski tak długo obnosił się na przyjęciach i paradował z dumą po Warszawie, aż wreszcie po jego, Repnina, interwencji, otrzymał z Petersburga znacznie wyżej ceniony order św. Andrzeja Powołańca.

Złość księcia Repnina wywołana postawą Prus i nieszczerością pana Benoît była jednak niczym w porównaniu z prawdziwą wściekłością, jaka go ogarnęła, kiedy dowiedział się, że protest hetmana Branickiego oraz innych polskich republikantów dotarł jakimś cudem do Petersburga, gdzie stał się nawet przedmiotem potencjalnie groźnej dla jego kariery narady w Kolegium Spraw Zagranicznych.

Przez dwa dni mury ambasady rosyjskiej w Warszawie – w których umilkły definitywnie rozmaite nieznośne siciliany, menuety, *gigues*, chaconny, allemandy i inne sarabandy Jana czy też Józefa Sebastiana Bacha – trzęsły się niczym mury Jerycha od najwymyślniejszych przekleństw rosyjskich, francuskich, niemieckich i polskich.

Straszliwa burza z piorunami ucichła dopiero wtedy, kiedy polscy przyjaciele rosyjskiego posła pełnomocnego pokazali mu kopię listu – jakże odmiennego w tonie od obrzydliwej demagogii republikantów – który z własnej inicjatywy wysłali właśnie do Najjaśniejszej Pani w imieniu całej Familii:

„Nie ustępując w gorącym patriotyzmie innym współobywatelom, z żalem dowiedzieliśmy się, że są ludzie w Polsce wyrażający niezadowolenie z powodu wkroczenia wojsk Waszej Imperatorskiej Mości do naszego kraju, a nawet, że zwrócili się do Waszej Imperatorskiej Mości w tym przedmiocie z reklamacją. Widzimy z żalem, że prawa naszej ojczyzny nie są dostateczne dla utrzymania

tych mniemanych patriotów w należytych karbach [...]. Groziłaby nam, wobec braku sił odpowiednich, przemoc z ich strony, na sejmach elekcyjnym i koronacyjnym. Wstąpienie w granice Rzplitej wojsk Waszej Imperatorskiej Mości i ich zachowanie się – budzi istotną wdzięczność w sercu każdego prawdziwego Polaka i tę wdzięczność uznaliśmy za właściwe pismem niniejszym wynurzyć”⁶.

Niestety, o ile przywódcy Familii dowodzili swym listem, że są rzeczywiście prawdziwymi Polakami, o tyle przywódcy republikanccy w żaden sposób nie zasługiwali na to miano, gdyż nadal bruździli jak mogli i stawiali księciu Repninowi okoniem.

Oto bowiem, w odpowiedzi na obecność Rosjan pod Warszawą i ściąganie przez Familię do stolicy wielotysięcznych oddziałów własnej nadwornej milicji, hetman wielki koronny Jan Klemens Branicki wydał podległym sobie pułkom rozkaz stawienia się przed inauguracją sejmu konwokacyjnego w Warce. Poprosił również dwóch najmajętniejszych republikanckich magnatów – księcia Karola Stanisława Radziwiłła, wojewodę wileńskiego, i Franciszka Salezego Potockiego, wojewodę kijowskiego – o przyprowadzenie do Warszawy jak największej liczby prywatnego wojska.

Na szczęście były to jednak ruchy spóźnione i raczej naiwne. Pod Warką zjawiało się tylko kilka polskich regimentów, ponieważ dowódcy pozostałych albo zostali w porę przekupieni, albo mieli dość rozumu, by nie zadzierać jednocześnie z Czartoryskimi i z Rosją. Jeśli chodzi o księcia Radziwiłła, to wystarczyło, że generał Rennenkampf zaczął nieco mocniej szarpać jego majątki na Litwie, by z obawy o ich dalszy los wojewoda wileński zabrał do Warszawy zaledwie tysiąc prywatnych żołnierzy. Jeszcze łatwiej poszło księciu Repninowi z wojewodą kijowskim, który, odpowiednio postraszony, w ogóle zrezygnował z przyprowadzenia do stolicy trzydziestu obiecanych chorągwi koronnych i tysiąca swoich humańskich kozaków, uchodzących za prawie tak samo bitnych jak czugujewscy.

Mimo to, na wszelki wypadek, ambasada rosyjska wydała jeszcze uspokajające oświadczenie, w którym o armii moskiewskiej stacjonującej już na Woli i w Ujazdowie mówiło się tak, jakby dopiero zbliżała się do Warszawy, i to w dodatku wyłącznie w odpowiedzi na prowokacyjne rozkazy wydane wcześniej przez hetmana Branickiego:

„Zbliżanie się korpusu wojsk Jej Cesarskiej Mości Wszech Rosji nie może i nie powinno wzbudzać żadnego podejrzenia w Najjaśniejszej Rzeczypospolitej odnośnie wolności i jej bezpieczeństwa wewnętrznego. Liczebność tych oddziałów nie jest dość znaczna, by mogły one cokolwiek przedsięwziąć przeciw prawom i przywilejom narodu tak wolnego i silnego jak naród polski. Stanowi to zarazem dowód aż nadto przekonujący czystości intencji Jej Cesarskiej Mości Wszech Rosji, której nie przyświeca żaden inny cel jak tylko zachowanie wolności, do której wszyscy członkowie składający naród mają równe i niezaprzeczone prawo. Granice, które oddzielają kraje Rosji od krajów Polski rozpościerają się po tamtej stronie na 200 mil drogi. Cóż jest więc bardziej naturalne i ważniejsze dla Rosji niż zwracać baczną uwagę na wszystko, co może zniszczyć wolność i zmącić spokój Rzeczypospolitej? Jej Cesarska Mość życzyłaby sobie oszczędzić niniejszego wystąpienia, lecz trzeba było ustąpić w obliczu okoliczności, gdzie ani prawa, rozum, miłość ojczyzny, ni względ na spokój publiczny, nie miały wpływu na umysły. Wojska Rzeczypospolitej, naturalnie przeznaczone do bronięcia granicy królestwa, zostały użyte na sejmikach, by krępować wolne głosy niezależnej szlachty. Sądy kapturowe zostały ustanowione zbrojną ręką. Co stało się w Grudziądzu, jest zbyt świeżej daty, by zatarło się w niepamięci. Rozkazy wydane wojskom Rzeczypospolitej, by zbliżały się do Warszawy, dają podstawy sądzić, że podejmą one działania, jakie widzieliśmy w tamtym mieście.

Jej Cesarska Mość, nasza łaskawa władczyni, życzy sobie tylko zachowania spokoju publicznego i nigdy nie pozwoli, by jedna partia prześladowała drugą z przyczyny przewagi sił, przede wszystkim gdy sprawiedliwość nie określi, jak poskromić gwałty i nie wyznaczy dróg postępowania.

Dlatego my niżej podpisani, ambasador nadzwyczajny i minister pełnomocny Rosji, wyraźnie oświadczamy w imieniu Jej Cesarskiej Mości, naszej łaskawej władczyni, w sposób najbardziej uroczysty, prymasowi i Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, że oddziały rosyjskie nie spowodują żadnej przeszkody w obradach, że nie będą mieszały się do żadnej sprawy dotyczącej sejmu walnego i w żaden sposób nie wystąpią, gdy członkom Rzeczypospolitej spodoba się powstrzymać gwałty, których celem będzie zmącenie spokoju publicznego lub bezpieczeństwa jednostek.

Hrabia Keyserling

Książę Repnin”⁷

Zjeżdżający się do Warszawy senatorowie i posłowie republikanccy – a na przyjazd zdecydowali się tylko nieliczni – już na pierwszy rzut oka mogli się przekonać, że przewaga czartoryjszczyków jest miażdżąca. Ale największy *siurpryz*⁸ czekał ich 7 maja, w dniu otwarcia sejmu mającego ustalić termin i miejsce elekcji oraz *pacta conventa* obowiązujące przyszłego króla. Już w nocy Moskale zamknęli wszystkie drogi wyjazdowe z miasta, wszędzie krążyły patrole złożone z nadwornej milicji Familii i Rosjan, wystraszeni mieszkańcy kryli się po domach za szczelnie zamkniętymi bramami i okiennicami, a na głównych ulicach i skrzyżowaniach stały rosyjskie armaty, przy których czuwali kanonierzy z zapalonymi lontami. Także zamek królewski, gdzie miano obradować, został obsadzony przez Rosjan i gwardię pieszą koronną księcia Augusta Czartoryskiego, po czym wpuszczano do niego tylko tych posłów i senatorów, których mandaty Familia uznała za ważne.

Republikanci niewiele mogli zrobić. Kiedy jeden z nich, gen. Andrzej Mokronowski, przedostawszy się jakoś do izby poselskiej, chciał skorzystać z prawa weta i oświadczył, że sejm „z Moskwą na karku” jest nielegalny, o mało go na miejscu nie rozsiekano. Zresztą sejm, złożony teraz wyłącznie ze zwolenników postępu i reform, ogłosił się wkrótce konfederacją, w której decyzje podejmowano większością głosów i nie można było używać *liberum veto*. Jedną zaś z najważniejszych decyzji owej świeżo zawiązanej konfederacji stało się odebranie władzy nad wojskiem obu hetmanom koronnym i przekazanie jej, wraz z tytułem generalnego regimentarza, księciu Augustowi Czartoryskiemu.

Zamkniętych w Warszawie przeciwników Familii można było teraz bez problemu wygnieść, ale ani książę Repnin, ani Czartoryscy nie życzyli sobie przelewu krwi na oczach mieszkańców stolicy i cudzoziemskich dyplomatów. Dlatego pozwolili im opuścić miasto, i to pomimo tego, że przed samym wyjazdem dwudziestu dwóch republikanckich senatorów i czterdziestu sześciu posłów ośmieliło się złożyć w grodzie warszawskim obraźliwy dla Rosjan i Familii manifest:

„My, senatorowie duchowni i świeccy, koronni i W. Ks. Lit., zjechawszy się na sejm *convocationis*, uniwersalami JO Księcia Jmości prymasa na dzień siódmy maja naznaczony, manifestujemy się i uskarżamy przed Bogiem, światem całym i przed całą Rzplitą, i wszystkimi najjaśniejszymi potencjami o to, iż zastaliśmy nie tylko nasze, ale i wszystkich narodów prawa zgwałcone przez

wojska rosyjskie już pod samą Warszawą przed samymże sejmem ściągnięte, a dziś do samej Warszawy z armatami wprowadzone, a podług prawa i zwyczaju nie tylko polskiego i litewskiego, ale wszystkich narodów pod wojskami i potęgą ich obcą żadne, osobliwie najwალniejsze rady odprawiać i ekspediować zabraniającego – sejmowi nam nie dopuszczające [...]. A lubo nieomyłnej jesteśmy nadziei, że cała Europa, zapatrzwszy się na ucisk wolnego narodu i wzgardę praw i wolności naszych, nie zamknie czuwającego oka i nie ubliży nam potrzebnych środków do ratowania ojczyzny naszej, atoli dla pokazania całemu światu i tej miłej wraz z nami przyciśnionej ojczyźnie niewinność naszą z jednej strony, a z drugiej chęci i ochotę wyratowania się i wydzwignięcia z ostatniego niebezpieczeństwa praw zdeptanych i wolności już prawie w niewolę przemienionej, manifestujemy się najprzód przed całą ojczyzną, jakośmy tu Moskwy nie sprowadzali ani o przysłanie onej nie prosili, ani za przyjście onej nie dziękowali. Protestujemy się tak przed pogranicznymi, jako i sprzyjającymi nam najjaśniejszymi potencjami, nawet i przed samą Najjaśniejszą Carową Jejmością, jakośmy jej nie dali żadnej przyczyny wtargnięcia w kraj nasz wojskiem swoim, oświadczając się przed Bogiem, któremu wszystkie skrytości serc ludzkich są wiadome, iż nie inszy cel jest myśli naszych, jako ratować wolność i ojczyznę i przy niej tak jako przy wierze świętej katolickiej chwalebnym przykładem przodków naszych fortuny, majątności i na ostatek krew i życia nasze podać na całopalenie”⁹.

Po opuszczeniu Warszawy republikanci trzymali się razem tylko do Kozienic, gdzie początkowo zamierzali zawiązać rekonfederację wymierzoną w Familię i w Rosję. Nie zrobili tego jednak, dając posłuch biskupowi krakowskiemu Kajetanowi Sołtykowi, który obawiał się, że „gdy tak blisko Warszawy będą się rekonfederować, a mało sił mają, tedy silniejsza partia książąt Czartoryskich i z pomocą wojsk rosyjskich pod Warszawą zgromadzonych, zacznie ich, rekonfederowanych, jako słabszych zaraz uganiać; a widząc inne województwa i ziemie koronne słabą i uciekającą rekonfederację, nie zechcą się do niej łączyć”¹⁰.

Z Kozienic każdy ruszył więc w swoją stronę, by zgodnie z umową zebrać więcej ludzi i stawić się wkrótce w Mościskach koło Lwowa, gdzie miano oficjalnie ogłosić powstanie republikanckiej rekonfederacji.

Książę Repnin i Familia tylko na to czekali. Ich wojska, dowodzone przez podkomorzego koronnego Kazimierza Poniatowskiego, ruszyły najpierw tropem

hetmana Branickiego.

Choć jego oddziały topniały z każdym dniem, bo odkąd odebrano mu władzę nad armią koronną wielu żołnierzy i oficerów wolało przejść na stronę Czartoryskich, niż stać się później obiektem ich zemsty, stary hetman radził sobie całkiem nieźle. Ustępował, kluczył, manewrował, wymykał się parę razy z zasadzek, stoczył kilka potyczek, próbował nawet pertraktować – wszak, jakkolwiek by patrzeć, ścigający był jego szwagrem – ale nie kapitulował.

Dopiero kiedy Familia odebrała komendę zbyt miękkim jej zdaniem podkomorzemu koronnemu i powierzyła ją energicznemu i bezwzględniemu staroście halickiemu Franciszkowi Ksaweremu Branickiemu (niespokrewnionemu bynajmniej z hetmanem wielkim koronnym), wsławionemu bohaterstwem pod Zorndorf, gdzie dowodził szwadronem rosyjskiej kawalerii, pościg szybko się zakończył.

Otoczony pod Krosnem, były naczelny dowódca armii polskiej złożył broń, opuścił swoich żołnierzy i udał się na emigrację na Węgry. Dzięki mediacji swojej żony Elżbiety Poniatowskiej, rodzonej siostry pana stolnika litewskiego, wkrótce z niej zresztą powrócił w zamian za obietnicę uległości wobec Familii i niemieszania się więcej do polityki.

Równie szybko ugiął się także i podporządkował dotychczasowym przeciwnikom wojewoda kijowski Franciszek Salezy Potocki.

Na placu boju pozostał jedynie wojewoda wileński książę Karol Stanisław Radziwiłł, który ani myślał się poddawać. Zaopatrzywszy się w prowiant i amunicję w swoim pałacu w Białej, książę wojewoda ruszył na odsiecz Nieświeża i Słucka, obleganych już przez Moskali i współdziałających z nimi czartoryjszczyków. Po drodze, w Terespolu, zagarnął bez jednego wystrzału dwustu żołnierzy nadwornych i trzy armaty należące do podskarbiego wielkiego litewskiego Jana Jerzego Flemminga, zięcia Michała Fryderyka Czartoryskiego (niewiele później, w odwecie, czartoryjszczycy ograbili doszczętnie i spalili rezydencję w Białej), po czym koło Słonimia starł się z próbującym zagrozić mu drogę generałem Rennenkampfem.

Zażarta bitwa, w której z każdej strony padło około setki zabitych, pozostała nierozstrzygnięta, lecz odbiła się głośnie echem w całej Polsce jako przykład śmiałego oporu przeciwko sprowadzonym przez Familię Moskalom, sam zaś wojewoda wileński, nieposiadający żadnego wojskowego wykształcenia, wyrósł

z dnia na dzień na bohatera broniącego wolności, honoru i praw Rzeczypospolitej.

Niestety, tymczasem padły Nieśwież i Słuck i były już rabowane przez zdobywców, więc książę Karol, przeciwko któremu ciągnęły teraz znacznie większe siły wroga, zaczął wycofywać się na Wołyń, do Ołyki, brnąc przez pińskie błota i niszcząc za sobą wszelkie groble i przeprawy.

Już z Ołyki rozsyłał listy do innych przywódców republikańskich, wzywając ich do wspólnego oporu i zawiązania ogólnokrajowej konfederacji. Nie wiedział, że wszyscy jego sprzymierzeńcy zostali już wyparci za granicę albo spacyfikowani. A ponieważ także z Korony ciągnęli już na niego Moskale i Franciszek Ksawery Branicki, wobec groźby zamknięcia w słabo ufortyfikowanej Ołyce książę wojewoda kazał spakować na wozy, ile się dało pieniędzy, rodowych sreber i kosztowności, resztę skarbów zamurować w zamku w tajnej skrytce i z oddziałem tysiąca wiernych żołnierzy wymaszerował żwawo w stronę tureckiej granicy. Odgryzając się umiejętnie rosyjskiej kawalerii deptającej mu cały czas po piętach, zdołał dotrzeć szczęśliwie do Turcji, skąd niebawem przeniósł się na Węgry.

W akcie zemsty zawiązana przez czartoryjszczyków konfederacja litewska odarła go tymczasem z wszelkich dostojenstw, zarekwirowała jego dobra (książę Repnin nakazał, by odtąd stacjonowały w nich za darmo wojska rosyjskie) i odebrała mu tytuł wojewody, który na życzenie Katarzyny II przekazała pisarzowi polnemu litewskiemu księciu Michałowi Kazimierzowi Ogińskiemu, wybitnemu kompozytorowi i mecenasowi sztuki, autorowi hasła „Harfa” w Wielkiej Encyklopedii Francuskiej, będącemu – co najważniejsze – kolejnym zięciem kanclerza wielkiego litewskiego Michała Fryderyka Czartoryskiego.

Książę Repnin i przywódcy Familii nareszcie mogli odetchnąć z ulgą. Po wypchnięciu za granicę księcia Karola Stanisława Radziwiłła, wszelka zorganizowana, dysponująca pieniędzmi, międzynarodowymi koneksjami i jakąś siłą militarną opozycja przeciwko wyborowi Stanisława Antoniego Poniatowskiego na króla Polski przestała *de facto* istnieć. Jej pozostałych w Polsce zwolenników skutecznie zastraszano, zmuszano do przystępowania do konfederacji utworzonych przez czartoryjszczyków, prześladowano sądami, niektórych nawet skazano na śmierć, więc sytuacja w kraju uspokajała się błyskawicznie.

Na swój sposób uśmierzono także krytykę tego, co działo się w Polsce, ze strony zagranicy, bo kiedy ambasador Francji w Warszawie Antoine-René de Voyer de Paulmy, markiz d'Argenson, poskarżył się prymasowi Łubieńskiemu, że „w Polsce nastąpiło rozdwojenie, a on nie może przebywać tylko w jednej jej części”¹¹, sprawujący funkcję *interrex*a purpurat odpowiedział mu brutalnie, że w takim razie nie uważa go odtąd za ambasadora, co spowodowało, że obrażeni Francuzi zlikwidowali swoją placówkę dyplomatyczną w Warszawie, a w ich ślady poszli wkrótce solidaryzujący się z nimi Hiszpanie i – na krótko – również Austriacy.

– A niech idą w cholere, krzyż im na drogę! – gratulował prymasowi Polski twardej postawy zadowolony z takiego obrotu sprawy książę Repnin, skupiający się w owym czasie na zapewnieniu właściwego przebiegu sejmiku konwokacyjnego.

Pozbawiony całkowicie opozycji parlament liczył teraz zamiast trzystu jedynie osiemdziesięciu posłów i w miejsce stu trzydziestu sześciu zaledwie siedmiu senatorów, co nie podobało się nawet niektórym członkom Familii. Książę Repnin tłumaczył im jednak, że liczba w tym przypadku nie ma żadnego znaczenia, wszak w jego rodzinnej Rosji wszystkie najważniejsze decyzje podejmuje się jednoosobowo, a przecież jeszcze się nie zdarzyło, żeby któraś z nich była nietrafna.

Sejm konwokacyjny, choć kaleki, przyjął dwie uchwały, na których szczególnie zależało księżętom Czartoryskim. Pierwsza z nich znosiła cła wewnętrzne i ustanawiała w ich miejsce cło generalne pobierane na granicach Rzeczypospolitej (co zostało natychmiast oprotestowane przez Prusy), druga natomiast stanowiła, że wszelkie sprawy skarbowe – „ku pożytkowi Rzplitej z jakiegokolwiek okoliczności ściągające się”¹² – przedstawiane sejmowi przez powołaną właśnie do życia Komisję Skarbu Koronnego, będą rozstrzygane jak w sądzie, czyli większością głosów. Podobny tryb głosowania przewidziano także dla mającej powstać Komisji Wojskowej.

Sejm konwokacyjny załatwił także parę kwestii istotnych dla Petersburga. Należały do nich: formalne uznanie przez Polskę cesarskiego tytułu władców Rosji i królewskiego władców Prus (uważanych dotąd nad Wisłą za samozwańcze), publiczne wyrażenie wdzięczności Imperatorowej za jej dotychczasową pomoc dla Polski, co czyniło z Katarzyny II nieformalną protektorkę Rzeczypospolitej i definitywnie zamykało usta zagranicznym

krytykom, a wreszcie wystosowanie do carycy oficjalnej prośby o przysłanie do Polski większej liczby rosyjskich żołnierzy, jako że tu i ówdzie próbowano jeszcze zawiązywać opozycyjne rekonfederacje.

Choć książę Repnin nie mógł się nachwalić roli, jaką odegrał na tym sejmie pan stolnik Poniatowski („Wdzięczniejszego nadeń człowieka i bardziej nam oddanego nigdzie byśmy nie znaleźli. Pierwszy on na zebraniu sejmowym przemówił za tym, by złożyć uroczyste Waszej Imperatorskiej Mości podziękowanie za świadczoną, przez wprowadzenie wojsk naszych do Rzplitej, pomoc. On też udaremnił zamiar, by sejmiki odprawiać większością, a nie jednomyślnością głosów. A stało się to na skutek naszego w tej mierze żądania”¹³), to jednak nawet popierany przez Rosję kandydat do tronu polskiego nie był w stanie sprawić, by najważniejsza dla Petersburga sprawa, czyli polityczne równouprawnienie religijnych dysydentów w Polsce, spotkała się z życzliwością sejmujących stanów, i to pomimo tego, że wszyscy posłowie i senatorowie biorący udział w sejmie konwokacyjnym należeli przecież jak jeden mąż do tego samego obozu postępu i reform.

Inna rzecz, że rosyjski poseł pełnomocny zbytnio na to nie naciskał, bo sam miał w tej mierze pewne wątpliwości, z których zwierzył się hrabiemu Paninowi: „Przywrócenie dysydentom wszelkich ich dawnych praw zdaje się być rzeczą trudną, a prawie że niemożliwą. Jeśli bym nawet śmiał otwarcie w tej kwestii zdanie moje wynurzyć, to, zdaje się, że taka restytucja nawet nie byłaby dla nas korzystna [...]. Przyznanie różnowiercom praw do urzędów cywilnych zwiększyłoby tylko ich siłę i przewagę króla pruskiego. Między naszymi jednowiercami nie ma ani jednej wybitniejszej osobistości; siła ich nic nam nie pomoże, a zdaje się przecie, że naszym interesem jest, by żaden dwór obcy nie był silniejszy od naszego”¹⁴.

Z drugiej strony, aby nie być posądzonym o defetyzm albo brak gorliwości w wypełnianiu otrzymanych z Petersburga instrukcji, winą za dotychczasowy brak postępów w sprawie dysydenckiej książę Repnin obarczył na wszelki wypadek Polaków: „Nie może sobie JW Pan wyobrazić, jak mało można w ogóle polegać na tym narodzie [...]. Co dziś przedstawiają za prawdziwe, co zakłębieniem stwierdzają i co jako naoczni świadkowie faktu przedstawiają, to nazajutrz okazuje się – kłamstwem”¹⁵.

Na szczęście Petersburg był bardzo zadowolony z dotychczasowych osiągnięć swego przedstawiciela w Warszawie, a kwestii równouprawnienia

polских innowierców nie uważał na razie za najpilniejszą. „Będziecie się starać poprawić resztę na sejmie koronacyjnym, lub też – lepiej jeszcze – na sejmie *pacificationis*, a wtedy my, przyzwawszy do pomocy państwa protestanckie, jak np. Anglię, Holandię, dwór berliński, Szwecję i Danię, uczynimy jedną wspólną deklaracją nacisk na Polaków, by uczynili zadość żądaniom pokrzywdzonych innowierców”¹⁶ – uwolniła księcia Repnina od zbędnych rozterek sama Najjaśniejsza Pani.

Po tym oświadczeniu rosyjskiemu posłowi pełnomocnemu w Warszawie nie pozostało nic innego jak dopilnować elekcji pana stolnika litewskiego, która dokonała się szczęśliwie 7 września 1764 roku – jednomyślnie, głosami pięciu i pół tysiąca szlachty i pod dyskretnym nadzorem przyjacielskiej rosyjskiej artylerii.

Z okazji tego wielkiego dnia imperatorskie gratulacje odbierał nie tylko nowy władca Polski, który przybrał sobie imiona Stanisława Augusta, ale także hrabia Panin i obaj rosyjscy posłowie w Warszawie, do których uszczęśliwiona Katarzyna II napisała: „Winszuję Wam króla przez Nas wybranego”¹⁷.

Hrabia Keyserling nie doczekał koronacji swojego byłego ucznia wyznaczonej na 25 listopada, dzień imienin Katarzyny, gdyż 30 września skończył wreszcie udawać chorobę i umarł.

Dla księcia Repnina jego śmierć oznaczała przede wszystkim jeszcze więcej pracy, ponieważ nowy polski monarcha wciąż roił sobie, że przeprowadzi jakieś gruntowne reformy pozwalające wzmocnić Rzeczpospolitą. O takich podstępnych planach z jego strony świadczył między innymi list, który tuż po elekcji wysłał do Najjaśniejszej Pani, a którego odpis przekazano księciu Repninowi pocztą dyplomatyczną z Petersburga:

„Nie będę się rozwodził nad uczuciami wdzięczności, którymi serce moje jest wezbrane. Zbyt jesteś wyższą nad to, a przy tym słowa moje nie dorównałyby uczuciom. Lecz powołam się jedynie na dobrze znany Waszej Imperatorskiej Mości mój charakter. Wiesz dobrze, jaką władzę ma nade mną wdzięczność, a wdzięczność moja dla Ciebie – nieograniczona, równa się ona mojej uległości. Możesz W.I.M. śmiało sobie powiedzieć o mnie: «Mój najlepszy, mój najwierniejszy przyjaciel, jest obecnie królem. Przywiązany jest do mnie nie tylko uczciwością i osobistym uczuciem, lecz i interesem własnym». Na szczęście cnoty Twoje i bezinteresowność pozwalają mi spłacić dług i Tobie, i mojemu państwu. Pragniesz, by Polska była swobodną; jest to i moim celem.

Pragnę wyprowadzić ją z otchłani bezładu w niej panującego. Większości patriotów do tego stopnia dokuczyła anarchia, że już głośno zaczynają wyrażać przekonanie, iż przeniosą monarchię absolutną nad nadużycia samowoli, jeśli już niepodobna będzie zdobyć się na swobodę prawidłową. Radbym wyzwolić ich z tego rozpaczliwego usposobienia. Jedynym ku temu środkiem będą – reformy sejmowe. Dysydenci stanowią część obywateli, nad którymi panuję. Ponieważ Waszą Imp. Mość gorąco ich los obchodzi, to więc skłania mnie do działania na ich korzyść, wobec narodu katolickiego, nadzwyczaj drażliwego na punkcie pewnych prerogatyw. Lecz dla pomyślnego przeprowadzenia tej myśli, trzeba wprowadzić ład większy do obrad sejmowych, a tego dopiąć niepodobna bez zreformowania naszych sejmików. Polega na tym i interes własny Waszej Imperatorskiej Mości”¹⁸.

Zgodnie z otrzymanymi instrukcjami, książę Repnin starał się wybić Stanisławowi Augustowi z głowy mrzonki o reformach sejmowych, domagając się za to kategorycznie, by sejm koronacyjny zajął się przede wszystkim potwierdzeniem polsko-rosyjskiego traktatu z 1686 roku, projektem polsko-rosyjskiego przymierza zaczepno-odpornego, uregulowaniem przebiegu wspólnej granicy oraz kwestią politycznego równouprawnienia innowierców.

Trzy pierwsze kwestie, przynajmniej częściowo, zostały załatwione przez posłów po myśli księcia: traktat z 1686 roku potwierdzono, zgodzono się rozważyć projekt polsko-rosyjskiego sojuszu wojskowego (choć tylko w wersji obronnej) i powołano specjalną komisję do spraw delimitacji granicy. Inne uchwały sejmu koronacyjnego, takie jak przyznanie braciom Stanisława Augusta tytułów książęcych, nie miały dla Rosji żadnego znaczenia („Kiedy moi przodkowie byli książętami od pokoleń, ich sadzili w polu rzepę” – skomentował w zaufanym gronie to wyniesienie rosyjski poseł pełnomocny).

Najważniejsza dla Petersburga sprawa politycznego równouprawnienia dysydentów, o której hrabia Panin pisał teraz z naciskiem, że „poda to sposobność do utrzymywania prawa mieszania się na przyszłość w wewnętrzne sprawy Rzplitej”¹⁹, nie została jednak załatwiona.

Rzecz w tym, że choć także sejm koronacyjny składał się wyłącznie ze zwolenników Familii, nawet oni rozumieli, że Petersburg i popierające go dwory protestanckie żądają od Polski czegoś niesłychanego, czegoś, co nawet w załączku nie istniało w ich własnych krajach, gdzie wyznawcy innych od panującego wyznań chrześcijańskich nie tylko nie korzystali z równości praw politycznych,

ale najczęściej – w jaskrawym kontraście z Rzeczpospolitą – w ogóle nie mogli swobodnie wyznawać swej wiary. Co ciekawe, przeciwni politycznemu równouprawnieniu dysydemtów byli również posłowie i senatorowie uważający się za najbardziej oświeconych, z książętami Czartoryskimi na czele, którzy, choć przywykli zgodnie z duchem czasu traktować sprawy religii dosyć lekko, obawiali się, że ustąpienie w tej kwestii Rosjanom zwróci przeciwko sejmowi i nowemu królowi cały upokorzony naród i postawi pod znakiem zapytania powodzenie jakichkolwiek innych reform. Toteż nawet oni nie pozwolili dokończyć wypowiedzi referującemu tę sprawę w imieniu króla prymasowi Łubieńskiemu, zagłuszając jego słowa głośnym tupaniem i gwizdami.

Przestraszony takim obrotem sprawy Stanisław August usprawiedliwiał się przed Katarzyną II jak umiał:

„Śmiem sądzić, że Wasza Imp. Mość upatruje najwyższy dowód mojej uległości – w ofierze, którą złożyłem na sejmie. Poświęciłem to wszystko, co najbardziej mi leżało na sercu. Przeprowadzenie zasady głosowania większością na sejmie i uchylene *liberum rumpo*²⁰ były to przedmioty najgorętszych moich pragnień. Życzyłaś sobie Wasza Imp. Mość, by tego nie wnieść pod obrady... i stało się Jej woli zadość! Mam prawo spodziewać się, że ta z mojej strony powolność uczyni Waszą Imp. Mość przychylniejszą dla tej sprawy – w przyszłości. Pragnienie uczynienia zadość życzeniu W.I.M. i mojemu własnemu życzeniu skłoniło mnie do starań o przeprowadzenie pomyślnie sprawy dysydemtów. Poseł Waszej Imp. Mości zawiadomi o tym, jaki rezultat osiągnięty został, wśród fanatycznego protestu sejmujących. Rozjątrzenie doszło do tego stopnia, że chciano z prymasa uczynić ofiarę, gdy tylko z lekka sprawę tę poruszył. Oczekuję po wysokiej sprawiedliwości Waszej Imp. Mości – przyznania, że nie mogłem i nie powinienem był ryzykować dalej, po tak smutnym doświadczeniu”²¹.

Również książę Repnin, na wszelki wypadek, opisał carycy dokładnie przebieg swoich zabiegów w tej sprawie:

„Oddaję najzupełniej sprawiedliwość królowi, że jest on oddany całym sercem Waszej Imp. Mości i sprawy nasze, nie obłudnie, za własne poczytuje. Zmuszony byłem, dla wyjednania skutku pomyślnego we wszystkich sprawach naszych, uczynić królowi i niektórym magnatom poufne wynurzenie, iż rozkazano mi dopóty wojsk naszych stąd nie wyprowadzać, dopóki sprawy dworu naszego załatwione nie będą, nie wyłączając sprawy dysydemtów. Gdym

się przekonał, że tego, ani strachem, ani namową dopiąć niepodobna, usiłowałem wzbudzić w narodzie uczucie wdzięczności, by tym środkiem przynajmniej dobić się pożądanego rezultatu. Skutkiem czego zgodziłem się na propozycję króla, by oznajmił narodowi, że wojska nasze wyjdą z kraju, lecz i to nic nie wpłynęło na obrót sprawy dysydentów. Sprawa ta, podniesiona na sejmie, wywołała taki zamęt i oburzenie, że wszyscy z miejsc swoich powstali i zażądali, by im wskazać tego, co się ośmiela projektować coś na korzyść dysydentów i przedłożyć to marszałkowi sejmu. Król, prymas i mniejszość rozsądnych, widząc takie pomiarkowanie, nie śmieli przemówić słowa [...], a chociaż projekt wyszedł od króla i prymasa, oświadczyli, że stało się to za sprawą ministrów cudzoziemskich, czym wrzask przytłumiono. Projektu nie odczytano i wszyscy zaczęli krzyczeć, że sprawa ta załatwiona na poprzednich sejmach i że niczego już w tej kwestii nie zmieniają. [...] Widzę teraz, że entuzjazm religijny jest najniebezpieczniejszy i że trudno bardzo zyskać nad nim przewagę”²².

Na szczęście dla króla i księcia Repnina, w Petersburgu za głównych winowajców fiaska sprawy dysydenckiej na sejmie koronacyjnym uznano książąt Czartoryskich. „Jesteśmy przeświadczeni – pisał do Warszawy hrabia Panin – że familia Czartoryskich należy w tej sprawie do najoporniejszych i za jej to sprawą zaszła co do dysydentów na sejmie ostatnim porażka. Trzeba przeto starać się rozmaitymi sposobami skłaniać ją do widoków naszych, a gdyby się to nie udało, skorzystać z obecnego rozdwojenia między «familją» a królem i podniecać tego ostatniego przeciw wujom”²³.

W myśl otrzymanych instrukcji książę Repnin starał się więc izolować Stanisława Augusta od zgubnych wpływów jego wujów, choć ze względu na chwiejny charakter polskiego monarchy nie było to wcale łatwe. W styczniu 1766 roku rosyjski dyplomata donosił do Petersburga:

„Miałem sposobność, na polowaniu będąc, zbliżyć się do króla, by zwrócić jego uwagę na wzmagający się ciągle «duch panowania» jego wujów i na konieczność pozbycia się ich opieki, by sam wreszcie stał się panem swojej woli, a nie ulegał zależności od innych. Już nieraz poruszałem ów przedmiot, tak, że się wstydzę powtarzać ciągle jedno i to samo, widząc bezskuteczność obietnic czynionych mi przez króla, że się spod owej opieki wyzwolić nie omieszka. W trakcie owej rozmowy oświadczył mi król, że ma zamiar wejść w ściślejszy stosunek z wybitniejszymi magnatami na prowincji, by od nich bezpośrednio mieć wiadomość o potrzebach w kraju i o życzeniach osób zainteresowanych,

a nie za pośrednictwem Czartoryskich. Naturalnie, że taki krok mógłby w rzeczy samej osadzić tych ostatnich na takiej stopie, jaka poddanym króla przystoi. Lecz nie śmiem marzyć nawet, by ten zamiar był wprowadzony w czyn.

Bezsilność króla jest tak zadziwiająca, że nie poznają go ci nawet, którzy go jako prywatnego człowieka znali. Sam Rzewuski²⁴ w poufnej rozmowie ze mną oświadczył, że gdyby wiedział, że do tego przyjdzie, odradziłby królowi przyjęcie na siebie tak odpowiedzialnego stanowiska. [...] Na koniec w owej rozmowie zapewnił mnie król, że uczyni wszystko, co będzie pożyteczne dla Rosji i że od jej systemu nigdy nie odstąpi. Nie wiem, czy zamiarom tym zawierzyć można, lecz zapewniam, że uległość jego dla nas jest bezgraniczna i śmiem nawet ręczyć za nią; lecz nie mniejszą jest i słabość jego dla wujów”²⁵.

Książę Repnin ufał jednak, że kwestię dysydentów uda się załatwić na następnym sejmie, w ścisłym i tajnym sojuszu z królem, z którym już się w tej sprawie porozumiał:

„Przysiągł mi król, że uczyni wszystko, cokolwiek będzie w jego mocy, i zgodził się na ułożenie stosownego w tej mierze trybu postępowania, z zastrzeżeniem wszakże, że za skutek nie ręczy. Nadmienił przy tym, że jest przygotowany na straszne hałasy, a nawet, że przyjść może do obnażenia szabel w senacie, czego dotąd nie bywało i co może być z ujmą dla jego godności. Przewiduje nawet ewentualność wojny domowej; lecz na wszystko jest przygotowany, byleby tym dowieść nieograniczonej uległości woli Imperatorowej”²⁶.

Ścisły i tajny sojusz z królem polegał na tym, że za radą monarchy książę Repnin miał wystąpić na początku przyszłego sejmku z ostrą deklaracją w sprawie politycznego równouprawnienia polskich innowierców, popartą następnie przez posłów krajów protestanckich, Stanisław August miał zaś odegrać rolę rozjemcy między własnymi poddanymi a Petersburgiem i doprowadzić w ten sposób do uzgodnionego z góry z Rosjanami kompromisu.

Plan był dobry, ale rozczarowany wynikami sejmku koronacyjnego rosyjski poseł pełnomocny nie zamierzał po raz kolejny stawiać wyłącznie na kapryśnego monarchę i niewdzięczną Familię. Rozmyślając nad tym, w jaki sposób najlepiej zabezpieczyć rosyjskie interesy w Polsce, książę Repnin doszedł bowiem do wniosku, że na ich straży powinno stać jak najwięcej różnych osób, rodów, grup, środowisk, klanów, koterii i polskich stronnictw politycznych. Mogły się one nawzajem lubić bądź nie, mogły mieć w konkretnych sprawach przeciwne

zdania, mogły się otwarcie zwalczać i wzajemnie sobie szkodzić, mogły nawet przegryzać sobie nawzajem gardła – wszystko to nie miało najmniejszego znaczenia, byle tylko w sprawach najważniejszych, czyli tych, gdzie chodziło o dobro Rosji, wszystkie one śpiewały na tę samą nutę. Wtedy, niezależnie od tego, kto byłby akurat w Warszawie górą, Rosja zachowywałaby zawsze pozycję arbitra, a jej interesy nie mogłyby doznać żadnego uszczerbku.

Dzieląc się swoimi przemyśleniami na ten temat z hrabią Paninem, książe Repnin użył porównania, które słyszał nieraz od nieboszczyka Keyserlinga, a które do tej pory odnosił wyłącznie do swoich kochanek: „Od duetu lepsze jest trio, od tria kwartet, a najlepsza ze wszystkiego jest orkiestra symfoniczna”.

Hrabia Panin, zagorzały meloman, zapalił się natychmiast do tej idei męża swojej siostrzenicy i poprosił go, by niezwłocznie przystąpił do tworzenia w Polsce prawdziwej wielkiej rosyjskiej orkiestry symfonicznej, gotowej dać swój pierwszy koncert już na najbliższym sejmie, na którym Rosja chciała załatwić definitywnie trzy najważniejsze dla niej sprawy: doprowadzić do politycznego równouprawnienia polskich innowierców, zawrzeć z Polską traktat przymierza w wersji zaczepno-odpornej i ruszyć w praktyce z miejsca kwestię regulacji wspólnej granicy.

Rosyjski pierwszy minister radził przy tym księciu Repninowi, by planując skład swojej orkiestry symfonicznej, nie ograniczał się wyłącznie do znanych i wypróbowanych przyjaciół Rosji, lecz starał się także pozyskać dla niej tych wszystkich Polaków, którzy, jak choćby hetman polny koronny Wacław Rzewuski czy biskup krakowski Kajetan Sołtyk, występowali z początku przeciw zbawiennym intencjom Jej Cesarskiej Mości, ale teraz, zrozumiawszy najwidoczniej, jak ciężko zgrzeszyli, zaczęli już dawać różne sygnały, że szukają jakiegoś honorowego sposobu naprawienia swego błędu.

Co więcej, hrabia Panin sugerował również, że w obsadzie orkiestry należy uwzględnić nawet tych znaczących obywateli Rzeczypospolitej, którzy w dalszym ciągu jak bezrozumne dzieci tkwili w złośliwym uporze i wciąż nie chcieli się przytulić do matczynej piersi carycy. Wszyscy oni bowiem mogli się jeszcze kiedyś przydać i okazać cennymi sprzymierzeńcami, w szczególności zaś ci ostatni, o których nie bez kozery powiadało Pismo: „Większa będzie radość z jednego grzesznika, który się nawraca, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują nawrócenia”²⁷.

Śmiała myśl hrabiego Panina wybiegała naprawdę daleko i jak przystało na pierwszego ministra największego państwa na świecie, nie była obciążona żadnymi małostkowymi uprzedzeniami, o czym świadczyło najlepiej to, że w przyszłej wielkiej rosyjskiej orkiestrze symfonicznej w Polsce widział także miejsce dla księcia Karola Stanisława Radziwiłła.

„[...] najgłówniejszą treścią naszych spraw jest mieć zawsze na zawołanie gotowych w Polsce sprzymierzeńców [...] – pisał do księcia Repnina. – Nie mam najmniejszych wątpliwości co do tego, że wszyscy rywale ambitnych Czartoryskich skorzystają z tego, by zjednać sobie opiekę tutejszego dworu, a przez nią i – przewagę nad Czartoryskimi. Być może, że niektórzy z nich, zawiązawszy z Panem ściślejszy stosunek, wspomną Wam o przebywającym obecnie w Dreźnie księciu Radziwiłł. Zmiana okoliczności, usuwając na stronę, w odniesieniu do nas, względy, które spowodowały wygnanie tej osobistości z ojczyzny, może ją z czasem uczynić bardzo pożądanym dla widoków naszych orężem, a w każdym razie postrachem dla Czartoryskich. I dlatego pozostawiam uznaniu Pańskiemu zawiązanie z Radziwiłłem, za pośrednictwem przyjaciół naszych, stosunku, i zawarcie z nim, w charakterze posła pełnomocnego, piśmiennego układu, dopomożenie mu do powrotu do Polski, by go można było użyć w razie potrzeby, w taki lub owaki sposób”²⁸.

Książę Repnin wziął sobie z pokorą głęboko do serca mądre rady wuja swojej żony – zwłaszcza że na sejmikach prowincjonalnych wciąż najchętniej wybierano do sejmu posłów jawnie nieprzychylnych Rosji – i zabrał się z energią za tworzenie takiej rosyjskiej orkiestry w Polsce, która w każdych okolicznościach dałaby sobie radę nawet z najtrudniejszym repertuarem.

Jak powszechnie wiadomo (a raczej jak powszechnie nie wiadomo, bo na przykład książę Repnin dowiedział się o tym dopiero od świętej pamięci hrabiego Keyserlinga), każda orkiestra symfoniczna składa się z kilku obowiązkowych sekcji. Dla swojego ansamblu rosyjski poseł pełnomocny w Warszawie przyjął model klasyczny, zawierający sekcje instrumentów smyczkowych (*Archi*), dętych (drewnianych, czyli *Legni*, oraz blaszanych, czyli *Otoni*), perkusyjnych (*Batteria*) i klawiszowych (*Tastiere*).

Najważniejsze instrumenty smyczkowe, a więc pierwsze i drugie skrzypce, powierzył książę Repnin królowi i księżętom Czartoryskim. Resztę smyczków – altówki, wiolonczele i kontrabasy – mieli obsługiwać zaprzyjaźnieni bądź

przekupieni magnaci, wyżsi urzędnicy i dowódcy wojskowi, a także niektórzy senatorowie i posłowie na sejm Rzeczypospolitej.

Flety, klarnety, oboje i fagoty przeznaczył dla polskich innowierców, z których w razie potrzeby można było sformować niejedną orkiestrę kameralną – pod postacią konfederacji dysydenckich wymierzonych w króla i w obowiązujący w Polsce porządek prawny.

Trąbka i puzon przypadły dwóm rosyjskim pułkownikom sztabowym Wasilijowi Karrowi i Otto von Igelströmowi, przydzielonym mu do pomocy z Petersburga, których to pułkowników wysłał natychmiast w objazd wszystkich magnackich siedzib i co ważniejszych dworów szlacheckich od granicy rosyjskiej aż do Wisły, z rozkazem namawiania ich właścicieli, w imię chrześcijańskich zasad miłosierdzia i świętej coraz większe tryumfy w cywilizowanym świecie humanitarnej idei tolerancji, do bezwarunkowego popierania polityki Rosji wobec Rzeczypospolitej, pod groźbą, że jeśli tego nie uczynią, Katarzyna II uzna ich za wrogów własnej ojczyzny i gwałcicieli świętych obowiązków sąsiedzkich wobec jej imperium, ze wszystkimi tego stanu rzeczy przykrymi konsekwencjami.

Miejsce przy klawesynie przeznaczył książę Repnin dla pana Benoît, może dlatego, że wyczuwał w nim prawdziwego wirtuoza, a może po prostu z tej przyczyny, że wyjątkowo nie znosił tego instrumentu.

Werble, kotły, bęben wielki i dzwony (jak znalazł, kiedy przyjdzie pora podzwonnego dla Polski) należały się w naturalny sposób rosyjskim wojskom, i to zarówno tym, które już stacjonowały nad Wisłą, jak i tym, które w każdej chwili można było nad nią sprowadzić.

Zgodnie z radą hrabiego Panina książę Mikołaj Wasiliewicz zostawił też w każdej sekcji trochę miejsca dla przyszłych sojuszników, w tym również dla takich, którzy dzisiaj zaliczali się jeszcze do wrogów Rosji albo nie chcieli dla niej koncertować, ale jutro mogli z chęcią wykonywać dla niej najbardziej popisowe partie. Nie trzeba dodawać, że samego siebie widział w roli dyrygenta.

Zarys orkiestry powstał szybko, ale droga do jednego zgranego zespołu była jeszcze daleka. Niektórzy instrumentalisci nieznośnie fałszowali, inni nie trzymali tempa lub bez względu na umiejętności rwali się do wykonywania kunsztownych partii solowych, jeszcze inni źle czytali partyturę albo opuszczali bez usprawiedliwienia próby, więc zapanowanie nad tak niewycwiczonym

i niesfornym ansamblem wymagało od kapelmistrza nie lada cierpliwości, stanowczości i wysiłku.

Stosunkowo najmniej kłopotów sprawiał pierwszy skrzypek Stanisław August, który tak się już przyzwyczaił do przyjacielskiej opieki Rosji, że bez jej zezwolenia nie robił dosłownie nic i prosił ją o pomoc lub pośrednictwo nawet wtedy, kiedy z powodzeniem mógł sobie dać radę sam, jak miało to na przykład miejsce podczas konfliktu z Gdańskiem zamierzającym po staremu wybijać własną monetę czy w przypadku prawosławnych misjonarzy przemierzających polską Ukrainę i nawracających tamtejszych unitów na swoją wiarę. Na dodatek, ku zadowoleniu księcia Repnina, posłuszeństwo króla wciąż się pogłębiało i już wkrótce Stanisław August nie tylko dawał mu do zatwierdzenia wszystkie swoje pisma urzędowe, lecz nawet pozwolił mu się odwieść od planu ożenku z którąś z austriackich arcyksiężniczek (co, zdaniem Petersburga, mogło za bardzo wzmocnić Polskę) i przyrzekł mu uroczyście, że nie ożeni się z nikim bez zgody Rosji. A tuż przed sejmem, za dodatkowe pięćdziesiąt tysięcy rubli, zrobił się tak uległy i tak chętny do współpracy, że zasięgał rady rosyjskiego posła pełnomocnego nawet w sprawie uniwersałów przedsejmikowych, zmieniając w nich pod jego dyktando wszystko, z przecinkami włącznie.

Tę daleko idącą królewską uległość należało jednak ciągle pielęgnować, czasem strasząc monarchę tym lub owym (najskuteczniejsza była groźba, że wojska rosyjskie wyjdą z Polski, choć z drugiej strony Stanisław August drżał jak osika również wtedy, gdy książę Repnin mówił mu, że zawsze może liczyć na braterską pomoc Rosji), czasem zaś futrując go po prostu pieniędzmi.

Rosyjski poseł pełnomocny dziwił się nieraz, na co polskiemu monarsze aż tak wielkie kwoty – regularna pensja, wynosząca zazwyczaj tysiąc dwieście dukatów miesięcznie i podwyższana niekiedy do dwunastu tysięcy rubli, okazjonalne upominki od carycy w postaci dziesięciu, dwudziestu, pięćdziesięciu czy nawet stu tysięcy rubli, a wreszcie imponujące pożyczki w wysokości kilkudziesięciu tysięcy dukatów, zaciągane zawsze na weksel i z nikłą nadzieją zwrotu – ale nigdy o to nie zapytał i bez mrugnięcia okiem wypłacał królowi wszystko, o co ten poprosił, wszak chodziło o długoterminową, świetną inwestycję.

Przykład dała zresztą Najjaśniejsza Pani, bardzo chętnie umarzająca królewskie długi, zwłaszcza kiedy oczekiwała od Stanisława Augusta konkretnych posunięć w różnych ważnych sprawach. „Na przedstawienie

uczynione przez Was Naszemu rzeczywistemu radcy stanu, Paninowi, w przedmiocie owych dwudziestu tysięcy czerwonych złotych, pożyczonych królowi polskiemu z naszych skarbowych pieniędzy, rozkazujemy Wam nie żądać ich zwrotu od Jego Królewskiej Mości, lecz pozostawić je do Jego rozporządzenia, zapisawszy je do wydatków, przy czym zwrócić królowi z należnym od Nas pozdrowieniem, wzięty od niego na tę kwotę rewers”²⁹ – radziła na przykład księciu Repninowi tuż przed zbliżającym się sejmem.

Trudniej było z Czartoryskimi, bo ci, jako ludzie bardzo majątni i w dodatku z charakterem, cieszący się ponadto wielką estymą w polskim społeczeństwie, potrafili być naprawdę niezależni. Kiedy w perspektywie zbliżania się nowego sejmu książę Repnin zapytał księcia Augusta, wojewodę ruskiego, co należałoby zrobić, żeby sprawa dysydentów została tym razem pozytywnie załatwiona, usłyszał w odpowiedzi, że naród polski chętnie przyzwoli na wszelkie możliwe ustępstwa wobec innowierców, jeśli tylko wojska rosyjskie opuszczą Polskę. Przedstawiciel Petersburga odparł wprawdzie na tę bezczelność: „A któż te wojska do Polski zaprosił?”, lecz przekonał się po raz kolejny, że choć w swojej orkiestrze przewidywał dla przywódców Familii bardzo ważną rolę, to tak naprawdę nie mógł na nich liczyć.

W Petersburgu Najjaśniejsza Pani wciąż się łudziła, że Czartoryskich uda się przekupić tak samo jak innych: „W tym celu oraz dla wzmocnienia operacji Waszych w sprawach dysydenckiej i granicznej, jesteście już zaopatrzeni w wystarczający fundusz pieniężny, którego możecie używać, rozdzielając go, według uznania Waszego, między króla i książąt Czartoryskich, jeśli oni będą z Wami szczerze i otwarcie postępować w przedmiotach leżących nam obecnie bardziej niż inne na sercu. Sądzimy, że jeśli tylko pierwsi i drudzy gorąco współpracować z Wami będą, wpływ korupcji pieniężnej na miejscu, w izbie poselskiej, będzie korzystniejszy, aniżeli po województwach, przy wyborze posłów”³⁰.

Jednak rezydujący w Warszawie książę Repnin był zdecydowanie większym pesymistą: „Pragnąc pomyślnego rezultatu naszych działań na sejmie przyszłym, nie śmiem wszelako łudzić się zbyt różowymi nadziejami. W razie niepowodzenia, trzeba będzie wprowadzić wojska do dóbr naszych przeciwników, by złamać takim środkiem ich opór i osłabić ich kredyt w narodzie. Jeśli bowiem ten przekona się, że prowodyrowie nie mają sił oprzeć

się przemocy, to, naturalnie, odstąpi od nich i przejrzy, że i sam sobie rady nie da z nami”³¹.

Jakby tego było mało, dodatkowych kłopotów przysparzał mu także pan Gédéon Benoît, a to ze względu na jego skłonność do pustych ozdobników i ciągłego spowalniania tempa. Otóż kiedy księciu Repninowi zależało na tym, aby trochę bardziej postraszyć Polaków czy też w jakiejś sprawie mocniej przykręcić im śrubę, i zgodnie z logiką liczył na sojuszniczą solidarność Berlina, *chargé d'affaires* ambasady pruskiej w Warszawie przeważnie się ociągał, kręcił, wynajdywał jakieś usprawiedliwienia dla postawy Polaków, dawał wyraz swojej niespodziewanej ku nim sympatii i zalecał postępować z nimi po przyjacielsku, serdecznie i jak najłagodniej, tak aby doprowadzeni do ostateczności nie podnieśli przypadkiem buntu mogącego łatwo przerodzić się w wojnę powszechną, ta zaś z kolei w krwawą łaźnię, zwłaszcza gdyby w obronie Polski stanęła Austria i zaatakowała zdradziecko Bogu ducha winne Prusy.

– A odkąd to z was takie *zajcziki*³²? – wybuchł któregoś razu rosyjski poseł pełnomocny, nie mogąc dłużej słuchać tych wykrętów. – Jeśli dobrze pamiętam, jeszcze nie tak dawno, pod Zorndorf czy pod Kunersdorf, krwawa łaźnia w niczym wam nie przeszkadzała.

– Było, minęło – rozłożył ręce pan Benoît. – Przez ostatnie ćwierć wieku nawojowaliśmy się tyle z naszym Najjaśniejszym Panem i odnieśliśmy tak wiele zwycięstw, że teraz, jak on sam powiada, nie zaatakowalibyśmy nawet kundla srającego na głównej ulicy Berlina. Dziś interesuje nas już tylko polityka miłości.

– Polityka miłości?! – powtórzył osłupiały książę Repnin. – Raczej hieny czekającej w krzakach, aż lew zagryzie bawołu, żeby mu potem ukraść kawałek zdobyczy!

– Niech pan to nazywa, jak chce, ekscelencjo. Ja mam swoje instrukcje.

Książę Repnin, podobnie jak pan Benoît, był rasowym dyplomatą i jak dla każdego rasowego dyplomaty instrukcje były dla niego o wiele świętsze niż dziesięć przykazań, więc tylko kiwnął z niechęcią głową i zakończył tę rozmowę.

A ponieważ, mimo całego swojego krętactwa związanego z nową berlińską „polityką miłości”, *chargé d'affaires* ambasady pruskiej w Warszawie nie wyłamywał się jawnie z jego orkiestry, wkrótce potem załatwił mu dla zachęty obiecaną kiedyś podwyżkę i awans. Nie był to wprowadzie awans na ambasadora, a tylko na posła pełnomocnego, lecz kiedy pan Gédéon Benoît zaczął z tego

powodu kręcić nosem, przypominając swoje wielkie zasługi dla Rosji, księżę Mikołaj Wasiliewicz huknął na niego:

– Niech pan nie będzie bezczelny, panie Benoît! Żeby zostać ambasadorem, trzeba się bardziej wykazać. *Per aspera ad astra*³³.

– Osobiście wolę sytuację odwrotną – odpowiedział nowo mianowany pruski poseł pełnomocny. – Będę się bardziej wykazywał, jak zostanę ambasadorem.

Pan Benoît mógł sobie pozwolić na hardość i podbijanie własnej ceny, bo w przeciwieństwie do księcia Repnina, znał korespondencję swojego Najjaśniejszego Pana z ambasadorem Prus w Petersburgu hrabią Victorem Friedrichem von Solmsem, przysyłaną mu do wiadomości w odpisach, z której to korespondencji mógł wywnioskować, co Cezar Północy naprawdę myśli o sprawie polskich innowierców i jak bardzo jest wściekły na Katarzynę II za wywieraną na niego presję, by przeprowadził zbrojną manifestację przeciw Rzeczypospolitej.

Spośród wspomnianych depech nowo mianowanemu posłowi pełnomocnemu i nadzwyczajnemu Królestwa Prus w Warszawie zapadły szczególnie w pamięć trzy szyfrogramy, w których tonie pobrzmiwały echa dawno minionych czasów, kiedy to Fryderyk II chciał jeszcze uchodzić za Anty-Machiavela. W pierwszym z nich pruski Salomon stwierdzał bez ogródek:

„Każde państwo monarchiczne lub republikańskie ma zupełne prawo stanowić dla siebie lub uchylać prawa. Polska skorzystała z tego przywileju. Uznała ona, że dysydenci nie powinni piastować urzędów i wykluczyła ich z takowych. Otóż nastęcza się pytanie, jakim prawem Imperatorowa rosyjska może się mieszać w sprawy wewnętrzne Polski i w imię czego działa? W imię jakiej zasady? Na to wszystko odpowie nam wymijająco. Dlatego to właśnie dwór wiedeński uważa taką politykę za napastniczą, za zamach na wolność polską. Przyznam się, że radząc się Hugona Grotiusa³⁴, niepodobna inaczej twierdzić, że postępowanie Imperatorowej niczym się usprawiedliwić nie daje. Nie jest to kwestia stanowczości, lecz – prawa. Z tym wszystkim posuwam swoje ustępstwa do stopnia – przyzwolenia na takie kroki, jakkolwiek w głębi duszy ich niesprawiedliwość uznaję!”³⁵.

W drugim można było przeczytać: „Największym z moich ustępstw dla dworu rosyjskiego jest to, które czynię obecnie, w sprawie dysydentów polskich. Uznasz Pan, że nikt przecież nie zapatruje się na tę sprawę jako na sprawę religii,

z wyjątkiem może kilku biskupów polskich. Cała zresztą Europa widzi jawnie i uznaje, że Imperatorowa rosyjska pragnie doprowadzić Polskę do stanowiska Kurlandii i rządzić królem jej w taki sposób, by nie mógł kroku uczynić bez jej zezwolenia”³⁶.

W trzecim szyfrogramie Trajan Północy zżymał się na naciski Rosjan i wskazywał jednoznacznie, że z jego punktu widzenia sprawa polskich innowierców jest o wiele mniej istotna niż zachowanie w Polsce *liberum veto*:

„Nie ścierpię, by jakieś obce mocarstwo, nie mające ani prawa, ani tytułu do tego, wtrącało się do moich spraw wewnętrznych. Nigdy to miejsca mieć nie będzie, dopóki żyć będę. Chcę wystąpić w Warszawie z deklaracją, co do której się umówiliśmy, lecz dalej kroku nie postąpię. Uczynię to dlatego, ponieważ Imperatorowa pisała mi roku ubiegłego przez Salderna, że nie będzie obojętna wobec mojej bezczynności w sprawach Polski. Hrabia Panin oświadczył Panu niedawno, że będzie zadowolony z mej deklaracji na sejmie warszawskim i że Rosja weźmie na siebie resztę. Niech więc spełni to i niech mnie zostawi w spokoju, gdyż jeślibym tylko ruszył wojska, Polacy zaraz o tym napiszą, a w Petersburgu, gdzie humory tak są zmienne, zaraz znajdą, że uczyniłem za wiele. Te sekatury zniecierpliwiają mnie do ostateczności. Lecz inna jest sprawa, daleko ważniejsza, na tym sejmie. Czartoryscy pragną ustalić większość głosowania, jako prawo wieczyste dla sejmów. Znaczy to – obrócić do góry nogami formę ich rządu. Może to stać się bardzo groźnym, jeśli się na to nie zwróci uwagi, a to powinno być obecnie głównym naszej czujności przedmiotem”³⁷.

Wszystko to nie zmieniało oczywiście faktu, że skądinąd Fryderyk II radził Rosjanom zwiększyć swoją obecność wojskową w Polsce do czterdziestu tysięcy żołnierzy, pozostawiało jednak panu Benoît wystarczająco duże pole manewru, by mógł pertraktować z księciem Repninem jak równy z równym, a nawet pozwalać sobie od czasu do czasu na otwartą krytykę Rosji. I tak pruski poseł pełnomocny zauważył kiedyś z przekąsem:

– Zupełnie nie rozumiem, dlaczego wy, Moskale, uczepiliście się sprawy dysydentów jak pijany płotu. Przecież Polacy postępują z protestantami i prawosławnymi dokładnie tak samo, jak my czy wy z katolikami. W dzisiejszych oświeconych czasach nie powinno się robić problemu z podobnych dupereli.

– Zapewniam pana, ekscelencjo, że sprawa dysydentów to nie żadne duperele – zaoponował książę Repnin. – Zwłaszcza jeśli traktować ją w kategoriach politycznych, a nie konfesyjnych.

– Dobrze, mimo to bardzo mnie dziwi, że przykładacie do niej tak wielką wagę, podczas gdy w innych, dużo ważniejszych kwestiach, jesteście ślepi i głusi.

– W dużo ważniejszych kwestiach jesteście ślepi i głusi? Niby w jakich? – obruszył się Rosjanin.

– A choćby w kwestii zniesienia *liberum veto* w sprawach skarbowych „ku pożytkowi Rzplitej z jakichkolwiek okoliczności ściągających się”, na co pozwoliliście na sejmie konwokacyjnym.

– Pozwoliliśmy, bo nie sposób wszystkiego zakazać. A poza tym, jako dobrzy sąsiedzi, nie mamy nic przeciwko temu, żeby polska gospodarka kwitła.

– My też nie – pan Benoît wzruszył ramionami – w końcu im bogatsza Polska, tym większe wpływy Prus z ceł i eksportu. Problem w tym, że pod płaszczykiem tych „spraw skarbowych” można również przegłosować zwiększenie podatków na wojsko. I co wtedy, ekscelencjo?

– *Job twoju mać!* – zaklął głośno rosyjski dyplomata, a w duchu musiał przyznać z podziwem: „*Bienua maładiec! Kanieczno, eto nie prostyj giermanskij chuj!*”³⁸. Po czym, przerażony odkryciem pruskiego posła pełnomocnego, jeszcze tego samego dnia napisał do Petersburga, że przyzwolenie na zniesienie *liberum veto* w sprawach skarbowych było poważnym błędem Rosji, który należy szybko skorygować. Przy okazji tłumaczył się także z własnego niedopatrzenia:

„Niedoświadczenie moje ówczesne jest po części tego przyczyną, albowiem szanując przenikliwość i znajomość rzeczy zmarłego hrabiego Keyserlinga, w zupełności na jego radach polegałem, a tymczasem on, jak to teraz niestety się okazuje, oszukiwanym był przez nieszczerych przyjaciół naszych i przez dwuznaczne konstytucje przeszłego sejmu”³⁹.

Jego depesza wywołała nad Newą prawdziwą panikę i wkrótce dostał stosowną instrukcję od samej carycy: „Na koniec zalecamy Waszej ostrożności nie dopuszczać żadnych niezwykłych nowości do obecnej formy rządu polskiego, a zwłaszcza – powiększenia liczby wojska, a jeśliby w tym kierunku uczyniono ze strony króla jakiś krok, proszę w Naszym imieniu uczynić przedstawienie, że takie dążenia zaniepokoją tylko sąsiadów i przyczynią kłopotów jego ojczyźnie”⁴⁰.

W tym niezwykle pracowitym dla księcia Repnina okresie najbardziej zaskoczył go dziwny list, jaki otrzymał od niejakiego Jakuba Franka, podającego się za żydowskiego więźnia sumienia od paru lat przetrzymywanego bezprawnie w areszcie domowym na Jasnej Górze.

Pomijając występujące w tym liście nie do końca klarowne stwierdzenia, w rodzaju „wyciągnąłem moich ludzi z ciemności i prowadziłem ich do boku Izmaelowego i do boku Ezawowego”, „miły zapach dochodzi mi z Północy” czy też, że już Biblia powiada o Rosji: „I panować będzie od morza do morza, od Rzeki aż po krańce ziemi”⁴¹, jego nieznany rosyjskiemu dyplomacie autor deklarował rzecz bardzo ciekawą, a mianowicie, że w zamian za uwolnienie go z aresztu i za możliwość osiedlenia się wraz z jego ludźmi w imperium carów, gotów jest przejść na prawosławie razem z tysiącami swoich zwolenników, jak też nawrócić na tę wiarę niezliczone rzesze polskich Żydów, ponieważ – czego książe Repnin znów nie potrafił pojąć – „byłaby to nić żywota we troje skrecona”. W związku z czym rzeczony Jakub Frank prosił pokornie rosyjskiego posła pełnomocnego o łaskawe przyjęcie na audiencji jego wybierających się do Rosji delegatów, wydanie im rosyjskich paszportów oraz zaopatrzenie ich w listy polecające do odpowiednich władz cesarstwa, tak duchownych, jak świeckich.

Wbrew swoim zwyczajom książe Repnin dość długo zastanawiał się, jak powinien na ten list zareagować, i to nawet wtedy, gdy sprawdził już wiarygodność nadawcy. Perspektywa rozbudowania swojej orkiestry o tłumy nowych, żydowskich muzyków była bowiem bardzo kusząca, ale tylko w sytuacji, gdyby chcieli oni spożytkować swoje talenty w Polsce, nie zaś w Rosji, gdzie nikt ich nie oczekiwał i gdzie nie byłoby z nich zresztą większego pożytku. Tego jednak Frankowi napisać nie mógł, aby go nie zniechęcić. W końcu – z tego samego powodu – postanowił okazać swoją dobrą wolę i ustaliwszy najpierw co trzeba w Rosji, zgodził się przyjąć posłańców z Jasnej Góry.

Zjawiło się ich w ambasadzie trzech: Jaskier Korolewski, Paweł Pawłowski i Jan Wołowski – wszyscy w polskich strojach i przy karabeli. Ponieważ w przeciwieństwie do nieboszczyka hrabiego Keyserlinga książe Repnin był człowiekiem naprawdę zajęтым, kazał ich wprowadzić do siebie od razu i dawszy im do zrozumienia, że orientuje się doskonale w ich problemach, przeszedł z miejsca do meritum:

– Wasz mistrz prosił mnie o pomoc i po namyśle postanowiłem mu jej udzielić. Nie może być bowiem tak, żeby w naszym oświeconym wieku ktoś siedział w więzieniu za jakieś bzdury, wbrew zasadniczym prawom i wolnościom ludzkim.

– Nasz Mistrz nie siedzi za bzdury, tylko za prawdę – zauważył na to Paweł Pawłowski.

Rosyjski poseł pełnomocny przyjrzał mu się przez moment, jakby dojrzał właśnie jakiś zupełnie nieznaną gatunek owada, po czym kiwnął głową i rzekł:

– Oczywiście. Właśnie to chciałem powiedzieć. – A potem zapytał: – Gracie na jakichś instrumentach?

Wołowski, Pawłowski i Korolewski spojrzeli po sobie zdziwieni.

– My? Nie za bardzo – odpowiedział po chwili Wołowski.

– A Żydzi w ogóle?

– W ogóle to tak. Już Biblia wspomina o instrumentach, na których grali nasi przodkowie – odparł Jaskier Korolewski i odetchnął z ulgą.

– Tak? A o jakich? Mam nadzieję, że nie o klawesynach? – książę Repnin zabębnił palcami o blat biurka.

– Nie – odparł Wołowski, który pierwszy raz w życiu słyszał to słowo. – *O szofarach, kinnorach, hacocrach, ugabach, halilach, naanim, topach i cecelim.*

– To znaczy?

– O rogach, lirach albo cytrach, trąbach, fletach, piszczałkach, grzechotkach, bębenkach i cymbałach – wyjaśnił Pawłowski.

– I o *nevelach*, czyli harfach – dorzucił Korolewski.

– W rogi, piszczałki, bębni czy cymbały chętnie wam uwierzę, ale z tymi liram, cytrami, trąbami, a zwłaszcza z harfami i fletami to chyba przesadzacie – mruknął książę Repnin, pamiętający doskonale przepiękną harfę, zdobną w delikatne rzeźby i złocenia, jaką oglądał w Carskim Siole, a także skomplikowany, pełen różnych kłapek i dziwnych przycisków srebrny flet, na którym popisywał się publicznie w Sanssouci Fryderyk II.

– Ależ skąd! – odpowiedział zaczerwieniony Jaskier i zacytował: – „Tak Dawid, jak i cały dom Izraela tańczyli przed Panem z całej siły przy dźwiękach pieśni i gry na cytrach, harfach, bębnach, grzechotkach i cymbałach”⁴². Druga Księga Samuela.

– „Chwalcie Go dźwiękiem rogu, chwalcie Go na harfie i cytrze! Chwalcie Go bębniem i tańcem, chwalcie Go na strunach i flecie! Chwalcie Go na

cymbałach dźwięcznych, chwalcie Go na cymbałach brzęczących: Wszystko, co żyje, niech chwali Pana!”⁴³ – uzupełnił Pawłowski.

– Alleluja! – dokończył Wołowski i oznajmił z dumą: – Psalm sto pięćdziesiąty.

– „Idź precz ode Mnie ze zgiełkiem pieśni twoich, i dźwięku twoich harf nie chcę słyszeć”⁴⁴. Księga Amosa – dorzucił Korolewski.

– „Nic, tylko harfy i cytry, bębny i flety, i wino na ich ucztach. O sprawę Pana nie dbają ani nie baczą na dzieła rąk Jego”⁴⁵. Izajasz – podjął rywalizację Pawłowski.

– Dosyć, wystarczy. Wierzę wam. Macie tu paszporty i listy rekomendacyjne do patriarchy Moskwy, a także do rosyjskich władz cywilnych i wojskowych. Życzę wam powodzenia i bardzo liczę na rzetelne sprawozdanie po waszym powrocie. Aha, jeszcze jedno. Gdzie w Biblii piszą o Rosji, że „panować będzie od morza do morza, od Rzeki aż po krańce ziemi”?

– W psalmie siedemdziesiątym drugim – wskazał uprzejmie Jaskier Korolewski.

– To bardzo ciekawe. Będę musiał kiedyś przeczytać tę książkę. Stoi cegła na półce i czeka.

Trzej goście spojrzeli po sobie jeszcze bardziej skonsternowani, ale nie powiedzieli ani słowa. Dopiero gdy opuścili teren ambasady, Pawłowski zapytał bez owijania w bawełnę:

– Wariat czy co?

– Gorzej, dyplomata – odparł z miną znawcy Wołowski. – Słyszałem, że ci to dopiero mają nasrane. Ponoć nigdy nie wiadomo, co mają na myśli, a kłamią nawet wtedy, kiedy śpią.

– Nieważne. Grunt, że dał nam paszporty i listy polecające. Ruszamy na podbój Moskwy, panowie! – podsumował zadowolony Korolewski.

Na relację z pobytu frankistów w Moskwie książę Repnin nie musiał wcale czekać do ich powrotu z Rosji, albowiem już wkrótce otrzymał drogą służbową urzędowy raport w tej sprawie:

„Przybyli właśnie do miasta Moskwy trzej ludzie, którzy przeszli byli w Polsce na wiarę sabbatejczyków, przed kilkoma laty. Oni to, widząc zamęt w kraju, zaczęli działać na własną korzyść. Przez różne starania dotarli do arcybiskupa greckiego, człowieka bardzo pobożnego i sprawom wiary swej oddanego, i przedstawili, że ich naczelnik, Jakub Frank, zamknięty przez

katolików w klasztorze częstochowskim, zgłębił najskrytsze tajniki kabały i tradycji i doszedł do przekonania, że jedynie w religii prawosławnej jest zbawienie i że wszyscy życzą sobie przejść na tę wiarę, pod warunkiem, aby ich mistrza, Franka, uwolnić z więzienia, gdyż on jest podstawą ich nauki i wiary. Ta mowa znalazła przystęp do serca Arcybiskupa i innych Rosjan [...]”⁴⁶.

Jednak – jak książę Repnin mógł przeczytać w dalszej części raportu – misja i plany frankistów zostały błyskawicznie pokrzyżowane przez polskich ortodoksyjnych Żydów, którzy ze swej strony napisali do władz rosyjskich: „Czyż nie widzicie, że owi burzyciele działają nieszczerze? Wszak to już piątą religię przyjąć pragną! Najprzód byli Żydami, następnie Turkami, po czym stali się sabbatejczykami, wreszcie katolikami, a teraz, chcąc wydobyć z więzienia swego naczelnika, chcą przejść na prawosławie. W Kamieńcu Podolskim również podeszli Arcybiskupa, zapewniwszy, że wierzą w Trójcę Świętą, lecz kiedy się ich kłamstwa wydały, uwięziono Franka z jego zgrają. Czyż wy, Rosjanie, tak mądry i potężny naród, dacie się przez niego podejść? Kłamstwem jest, jakoby Frank uwięzionym był w klasztorze za propagandę religijną. Przeciwnie! W nim wygasło wszelkie poczucie religii i honoru. Jest on grzesznikiem, ogłaszając się Bogiem i twierdząc, że cudzołóstwo nie jest występkiem. [...] Nie zezwólcie na to, by się ci ludzie osiedlili u was, gdyż oni będą zawsze wam nieprzyjaźni, staną się złym przykładem dla ludności waszej, a jako nędzarze, żyć będą kosztem innych. [...] Stało się więc, jak chcieli. Trzech owych wysłańców wypędzono z Moskwy”⁴⁷.

– *Bravo, bravissimo!* – zanucił rosyjski poseł pełnomocny, gdy o tym przeczytał. – No to teraz, jeśli chcą, niech przechodzą na prawosławie, ale w Polsce!

I kiedy po powrocie do Polski Jaskier Korolewski i jego towarzysze zawitali znowu do rosyjskiej ambasady, książę Repnin przyjął ich z wszelkimi honorami, choć na jeszcze krótszej audiencji.

– Nie musicie mi nic mówić – rzekł, gdy stanęli przed jego obliczem. – Wiem już, jak wam poszło w Moskwie. Ale nie przejmujcie się. W końcu wy nie znacie rosyjskiego ani rosyjskich obyczajów, w Rosji nie znają was ani waszych obyczajów, więc nie ma się czemu dziwić. Tak widocznie musiało być. A przejść na prawosławie możecie także tutaj, w Polsce, jeśli tylko szczerze tego pragniecie. I to nie w dwadzieścia czy trzydzieści tysięcy, ale wszyscy, ilu was

jest. Kiedy to zrobicie, zobaczycie, że Rosja o was nie zapomni, a wasze cytry i harfy usłyszy cały świat.

Po tych słowach podał każdemu rękę i szybko się pożegnał.

– No i jak, panowie? – zapytał z kwaśną miną Pawłowski, kiedy znaleźli się na ulicy. – Przechodzimy na prawosławie czy nie?

– Ty, Icek, chyba już całkiem w tej Rosji ochujałeś! Chcesz przejść na prawosławie w Polsce? Teraz? Żeby nas wzięto za Moskali, kiedy wybuchnie powstanie? Weź ty się lepiej puknij w ten pusty łeb! – rozsierdził się Wołowski.

– Masz rację, Szloma. Taki interes to pan ambasador może sobie w dupę wsadzić – poparł go Jaskier Korolewski. – Razem ze wszystkimi swoimi harfami i klawesynami.

Wołowski i Korolewski mieli rację, bo sytuacja w Polsce wciąż się zaogniała. Na wielu sejmikach wyborcy, zachęceni do tego przez swoich biskupów, zobowiązywali nowo wybranych posłów, by ci bronili w Warszawie wiary katolickiej, nie zgadzali się na jakiegokolwiek ustępstwa wobec dysydentów ani na żadne traktaty zaczepno-odporne z obcymi potencjami, by mieli na pieczy sprawę podatków i zwiększenia liczby wojska, a przede wszystkim, by domagali się wyjścia z Polski wojsk rosyjskich, jak też przyznania odszkodowań wszystkim obywatelom, którzy z ich powodu ucierpieli.

W tych okolicznościach hrabia Panin znów próbował szukać pomocy u książąt Czartoryskich, schlebiając im zarazem i grożąc w skierowanym do nich liście: „Cała Europa wie, jak wielkim jest wpływ WW. Ks. Mości u narodu. Wszystkie mocarstwa podziwiały Wasze szlachetne usiłowania, podjęte celem wyzwolenia go z ciężącego na nim jarzma. Wam więc jedynie przypisze następstwa tego, co się stanie na sejmie, który ujawni przed światem całą wagę, jaką naród przywiązuje, lub nie, do trwałego z Rosją sojuszu. Co do mnie, będę się miał za usprawiedliwionego, że uczyniłem wszystko dla odwrócenia wypadków, zarówno przykrych dla Waszej, jak i dla mojej ojczyzny”⁴⁸.

Jednocześnie pierwszy minister Rosji apelował do księcia Repnina o uruchomienie polskich innowierców: „Starajcie się zatem skupić wokół siebie dysydentów i naszych współwyznawców. Zapewnijcie ich o opiece naszej. Niechaj podadzą królowi i sejmowi memoriał, z żądaniem przywrócenia sobie wszelkich praw”⁴⁹, jak też zalecał mu, by zażądał dla siebie publicznej audiencji na pierwszej sesji zbliżającego się sejmu, podczas której powinien dobitnie wyłożyć oczekiwania Petersburga w tej materii.

Rosyjski pierwszy minister opisywał przy tym szczegółowo, jak owa audiencja powinna wyglądać: jeśli król będzie w płaszczu i koronie, książę Repnin powinien stawić się przed nim w nakryciu głowy i uchylać go przy każdej wzmiance o Imperatorowej i polskim monarsze; jeśli król będzie siedzieć na tronie, rosyjski poseł pełnomocny miał żądać dla siebie taboretu; jeśli polscy senatorowie będą mieć krzesła, to on powinien domagać się fotela etc., etc. „Aby słowom dodać więcej wagi, zalecam Panu – instruował go dalej hrabia Panin – aby ta audiencja odbyła się natychmiast po wyborze marszałka, nie dopuszczając przedtem żadnych innych rozpraw, tak aby dwór polski i wszyscy ziemscy posłowie mogli się przeświadczyć o tym, że wszelkie ich przeciwne dążenia wniwecz przez nas obrócone zostaną. Jeśliby sejm terażniejszy poważił się chcieć nam przeciwdziałać i jeśliby Imperatorowa zmuszona była dać uczuć następstwa swego gniewu tym z Polaków, którzy się okażą przeciwnikami dysydentów, to niechaj sami odczują los, jaki ich spotka. Czterdzieści tysięcy wojska gotowego do pochodu przyjdzie w pomoc dysydentom i wymierzy zasłużoną naszym przeciwnikom karę”⁵⁰.

Oczywiście książę Repnin nie omieszkiał od razu pokazać tej instrukcji Stanisławowi Augustowi, sam zaś uwijał się jak w ukropie, aby jak najszybciej powołać do życia konfederację dysydencką. Tu jednak spotkała go przykra niespodzianka, bo przynajmniej z początku nie znajdował wśród polskich innowierców zbyt wielu chętnych do współpracy.

„Fanatyzm wzmagają się tutaj do tego stopnia – skarżył się Petersburgowi – że unikają mnie, jak dawniej unikano wyklętych przez Kościół; wnoszą przy biesiadach zdrowie obrońców katolickiej wiary, przy czym gorętsze głowy zaklinają się, że raczej zginą, aniżeli się zgodzą na ustępstwa dysydentom. Tymczasem ze strony tych ostatnich nikogo nie widać, co mnie bardzo smuci. Niedołęstwo nie do darowania! Pisałem do wielu, by tu przybyli. Oświadczyli, że przyjadą, a tymczasem nikogo dotąd nie ma!”⁵¹. A przy innej okazji zauważał z goryczą: „Zaprawdę, przeprowadzenie tej sprawy jest tak trudne i powikłane, że często mnie rozpacz ogarnia”⁵².

Z kolei Stanisław August, pierwszy skrzypek jego wymarzonej orkiestry, tak się rozwojem wypadków przeraził, że na tydzień przed inauguracją sejmu pisał do polskiego posła w Petersburgu Franciszka Rzewuskiego, by ten próbował wyjednać u Katarzyny II złagodzenie kursu wobec Polski:

„Ostatnie rozkazy dane Repninowi, by wprowadzić dysydentów do legislacji, są istotnym gromem dla mego kraju i dla mnie osobiście. Jeżeli to jest jeszcze w mocy ludzkiej, przedstaw Imperatorowej, że korona, którą mnie obdarzyła, stanie się dla mnie szatą Nessusa. Spalę się w niej, a koniec mój będzie straszliwy. Nie mogę zataić, iż widzę jasno straszliwy wybór, jaki mi pozostanie uczynić, o ile Imperatorowa nastawać będzie na spełnienie swej woli: gdyż przyjdzie mi, albo – wyrzec się Jej przyjaźni, tak niezbędnej i dla mego serca, i dla mego panowania i państwa, lub też – dopuścić się zdrady względem mojej ojczyzny... Tak, przyjacielu, takim jest moje położenie. Jeśli Rosja uprze się, by wprowadzić dysydentów do prawodawstwa, to, choćby ich było 10 lub 12, staną się oni prawnymi prowodyrami stronnictwa, które będzie rząd Rzplitej uważać za swego wroga, przeciw któremu zawsze szukać będzie oparcia i pomocy u dworów obcych. Uznasz, że gdy przeczuwam zło nieuchronne i wielkie dla kraju mego, powinienem zapomnieć o sobie i myśleć tylko o swoim obowiązku. Niepodobna odczuwać więcej nade mnie szkody, jaką poniosę – tracąc przyjaźń i pomoc Imperatorowej rosyjskiej. Lecz cóż mam czynić? Wiem, że to przypłacę koroną i życiem, lecz zdradzać kraju nie myślę. Jeśli więc pozostała jeszcze w sercu Imperatorowej odrobina uczucia dla mnie, czas jest jeszcze. Niech wyda rozkaz Repninowi, by cofnął wojska w pochodzie z Litwy i wstrzymał inne od wkroczenia, jeśli tylko sejm zgodzi się na przyjęcie artykułów dysydenckich, z wyłączeniem legislatury. Siła może wszystko, lecz czyż się jej używa przeciw tym, których się kocha, jeśli się wie, że to nam sprawia udrczenie? Nie mogłem się zdecydować, by to napisać wprost Imperatorowej. Obawiałem się, bym w rozżaleniu i uniesieniu nie powiedział słówka, które by ją zrazić i dotknąć mogło. Uczyń zatem wszystko, co będziesz w stanie uczynić. Chodzi tu o los twego kraju i twego przyjaciela, który nigdy bardziej nie odczuwał goryczy smutnej królewskości, jak w tych strasznych opałach. Zginąć – to nic, lecz zginąć z ręki ubóstwianej – to straszne! Oświadczyłem to wczoraj Repninowi, i on sam to widzi, że od najbardziej fanatycznych, aż do najrozsądniejszych, od największych, do maluczkich, wszyscy są w konsternacji, graniczącej niemal z rozpaczą”⁵³.

Król bynajmniej nie przesadzał, bo kiedy pokazał ten list rosyjskiemu posłowi pełnomocnemu, księżę Repnin, znany z iście granitowego serca, autentycznie się wzruszył i z własnej inicjatywy napisał do carycy: „Rozkazy nadesłane mi w sprawie dysydenckiej są straszne. Włosy stają mi dęba, gdy

o tym myślę, nie mając prawie żadnej nadziei wykonania, bez użycia siły, woli Imperatorowej, co do obywatelskich praw dysydentów”⁵⁴.

Sama Imperatorowa była jednak mniej skłonna do wzruszeń i wkrótce odpowiedziała twardo na sentymentalne słowa „Woskowej Lalki”, jak nazywała teraz swego dawnego kochanka: „Bezowocnym byłoby chcieć przekonać tego, kto słuchać nie chce. Tym sposobem pozostało mi tylko oddać tę sprawę własnemu jej losowi i temu położeniu, w jakim je zastanie list niniejszy. Zamykam oczy na następstwa, lecz pochlebiam sobie, że W. K. Mość raczyła uznać w tym wszystkim, cokolwiek dla Was i kraju Waszego uczyniłam, tyle bezinteresowności, że trudno mnie posądzić o to, bym z Polski chciała uczynić dla siebie cel dla swego oręża. Oręż ten nigdy nie będzie skierowany przeciw tym, którym dobrze życzę, lecz nie powstrzymam go, jeśli się przekonam, że użycie siły może być im pożytecznym. Takim jest moje zapatrywanie, oparte na współudziale, jaki żywię dla szczęścia Rzplitej, jak również i na moich niezmiennych uczuciach, z którymi pozostaję Panie, a bracie mój, Waszą dobrą siostrą, przyjaciółką i sąsiadką”⁵⁵.

Z kolei wzruszający się jeszcze tak niedawno niedolą Polski książe Repnin, kiedy dowiedział się, że w przeddzień otwarcia sejmu Stanisław August, puszczając w niepamięć ścisły i tajny sojusz z ambasadą rosyjską oraz całą umówioną wcześniej *commedia dell'arte*, jaką mieli wspólnie odegrać na pierwszej sesji obrad, po raz kolejny stchórzył i zorganizował u siebie na zamku poufną naradę z senatorami, na której namawiał ich, by w trakcie obrad sejmowych nie wspominali ani słowem o prawach dysydentów (o czym, na wyprzedki, doniosło rosyjskiemu dyplomacie aż kilku uczestników tego sekretnego spotkania), wpadł we wściekłość i wołając na cały głos – z gładkim przejściem na język polski, którym coraz częściej i coraz lepiej się posługiwał – „*Nu, pagadi*, ty króliku z Bożej łaski! Jeszcze ci zadam takiego bobu, że popamiętasz ruski miesiąc!” A potem wydał rozkaz, aby stojące w Rzeczypospolitej oddziały rosyjskie wkroczyły natychmiast do dóbr wrogo usposobionych biskupów, a opuszczone przez nie kwatery zajęły nowe pułki i brygady ściągnięte z Rosji.

„Nic gorszego w sprawie dysydentów stać się już nie może nad to, co jest – usprawiedliwiał tę decyzję w liście do petersburskiego Kolegium Spraw Zagranicznych – a może ten krok sprawi skutek pożądany. Nie ma nadziei, by,

bez użycia siły dało się tu coś przeprowadzić. Nie tylko część sejmu, lecz wszyscy hurmem będą nam przeciwni, nie wyłączając króla i Czartoryskich”⁵⁶.

¹ Aleksander Kraushar, *Książę Repnin i Polska w pierwszym czteroleciu panowania Stanisława Augusta (1764-1768)*, Warszawa 1900, t. I, s. 28.

² Tamże, s. 44.

³ Tamże, s. 36.

⁴ Tamże, s. 42.

⁵ Rybi chuj na kaczych łapach (ros.).

⁶ Kraushar, *Książę Repnin*, t. I, s. 48.

⁷ *Recueil des traités, conventions et acts diplomatiques concernant la Pologne par le comte d'Angeberg*, s. 19-20, tłum. Maciej Szczepańczyk: „Deklaracja uzasadniająca wkroczenie wojsk rosyjskich w granice Rzeczypospolitej (1764)”, Wikiźródła, Wikipedia.

⁸ Niespodzianka (ros.).

⁹ Henryk Schmitt, *Materyały do dziejów bezkrólewia po śmierci Augusta III i pierwszych lat dziesięciu panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego*, Lwów 1857, t. I, s. 43-44.

¹⁰ Marcin Matuszewicz, *Diariusz życia mego*, Warszawa 1986, t. II, s. 530-531.

¹¹ *Historia dyplomacji polskiej, t. II: 1572-1795*, pod red. Zbigniewa Wójcika, Warszawa 1982, s. 495.

¹² Władysław Konopczyński, *Liberum veto. Studium porównawczo-historyczne*, Kraków 1918, s. 411.

¹³ Kraushar, *Książę Repnin*, t. I, s. 53.

¹⁴ Tamże, s. 54.

¹⁵ Tamże, s. 53.

¹⁶ Tamże, s. 56.

¹⁷ Tamże, s. 61.

¹⁸ Tamże, s. 66-68.

¹⁹ Tamże, s. 91.

²⁰ Swobodnie zrywam (łac.) – synonim *liberum veto* (swobodnie zabraniam).

²¹ Kraushar, *Książę Repnin*, t. I, s. 70.

²² Tamże, s. 71-72.

²³ Tamże, s. 73.

²⁴ Franciszek Rzewuski, ambasador polski w Petersburgu.

²⁵ Kraushar, *Książę Repnin*, t. I, s. 86-87.

²⁶ Tamże, s. 83-84.

²⁷ Łk 15, 7.

²⁸ Kraushar, *Książę Repnin*, t. I, s. 174-175.

²⁹ Tamże, s. 123-124.

³⁰ Tamże, s. 130-131.

³¹ Tamże, s. 100-101.

³² Zajączki (ros.).

³³ Przez ciernie do gwiazd, przez trudy do celu (łac.).

- ³⁴ Huig de Groot (Hugo Grotius, Hugo Grocjusz), 1583-1645 – holenderski prawnik, filozof i dyplomata, uważany za ojca prawa międzynarodowego.
- ³⁵ Kraushar, *Księżę Repnin*, t. I, s. 257.
- ³⁶ Tamże, s. 258.
- ³⁷ Tamże, s. 183-184.
- ³⁸ Zuch z tego Benoît! Doprawdy, to nie jest zwykły niemiecki chuj! (ros.).
- ³⁹ Kraushar, *Księżę Repnin*, t. I, s. 171.
- ⁴⁰ Tamże, s. 131.
- ⁴¹ Ps 72, 8.
- ⁴² 2 Sm 6, 5.
- ⁴³ Ps 150, 3-6.
- ⁴⁴ Am 5, 23.
- ⁴⁵ Iz 5, 12.
- ⁴⁶ Kraushar, *Frank i frankiści*, t. I, s. 275.
- ⁴⁷ Tamże, s. 276-277.
- ⁴⁸ Kraushar, *Księżę Repnin*, t. I, s. 139-140.
- ⁴⁹ Tamże, s. 136.
- ⁵⁰ Tamże, s. 132.
- ⁵¹ Tamże, s. 144.
- ⁵² Tamże, s. 128.
- ⁵³ Tamże, s. 142-143.
- ⁵⁴ Tamże, s. 143.
- ⁵⁵ Tamże, s. 149.
- ⁵⁶ Tamże, s. 147-148.

Rozdział 11

SYMFONIA REPNINOWSKA: *MOLTO CANTABILE*

Sejm 1766 roku przyniósł księciu Repninowi kolejne rozczarowania. Już na pierwszej sesji obrad biskup krakowski Kajetan Sołtyk, niezastraszony zajęciem jego dóbr przez Moskali, przedstawił Wysokiej Izbie projekt uchwały w sprawie „ubezpieczenia wiary”, gwarantujący katolicyzmowi po wsze czasy pozycję religii panującej w Polsce i odmawiający politycznego równouprawnienia dysydentom, czyli idący dokładnie na przekór planom Petersburga, który z pomocą innowierców pragnął mieszać się w wewnętrzne sprawy Rzplitej.

Wprawdzie Stanisław August, bojący się tak samo Rosji, jak własnych poddanych, nie dopuścił do głosowania nad tym projektem, ale z drugiej strony odłożył także *ad calendas graecas*¹ umówioną już publiczną audiencję księcia Repnina w sejmie. Rozwścieczony poseł rosyjski czekał z początku na nowy termin, lecz kiedy zamiast niego doczekał się tego, że Wysoka Izba zabrała się za projekt ustawy króla i Czartoryskich o zniesieniu *liberum veto* w sprawach skarbowych także na sejmikach, stracił cierpliwość i razem z panem Benoît ruszył do kontrataku, o którym tak raportował do Petersburga:

„Z uwagi, że ów projekt zredagowany został w wyrażeniach ogólnikowych, opiewając, że takie sprawy winny być raz na zawsze stanowione na sejmikach większością głosów, bez wymienienia, na czym owe materie skarbowe polegają i bez wyłączenia z nich dochodów nowych, nienależących do spraw ekonomicznych, lecz do państwowych, przeto wspólnie z Panem Benoît udałem się do ks. Czartoryskich z przedstawieniem, że należy jasno wyłuszczyć, które mianowicie materie podchodzą pod atrybucje komisji skarbowych i że, według

naszego poglądu, należeć tu winno jedynie określenie porządnego użycia już ustanowionych dochodów, a nie – możliwość stanowienia nowych, większością głosów, w epoce, gdy Rzplita już pod węzłem generalnej konfederacji pozostawać nie będzie, bo to stanowi przedmiot materii państwowej, podlegającej na sejmikach jednomyślności. Na to mi odpowiedzieli Czartoryscy, że i nowe podatki należą do materii dochodów, a zatem wchodzi w zakres komisji skarbowych, ustanowionych na sejmie konwokacyjnym. Zarzuciłem, że my inaczej pojmujemy konstytucję sejmu konwokacyjnego, i że przy takiej wykładni obstają Rosja i Prusy. Dwuznaczność powstała z tego powodu, że prawa polskie w ogóle są niejasno redagowane. W trakcie wynikłego stąd sporu kanclerz litewski, rozgniewany, oświadczył mi, że Polacy mają prawo takie uchylać postanowienia, jak im się podoba, a ja na to mu odpowiedziałem, że jeśli tak, to i my mamy prawo inaczej to rozumieć, i że jeśli by nawet, przyjąwszy projekt, wnieśli go do konstytucji, to wykonać nie będą mogli tego prawa, gdyż my, z racji sąsiedztwa, mamy interes w tym, by forma tutejszego rządu nie uległa zmianie. W trakcie tej rozmowy oświadczył mi kanclerz, że wolałby widzieć Rzplita w zupełności zawojowaną, aniżeli w takiej zależności [...]. Na to odrzekłem, że wysoki dwór mój dostatecznie już dowiódł podczas bezkrólewia, jak mało mu zależy na utrzymaniu Polski w zależności, nie zażądawszy w zamian za swoje trudy i nakłady, podjęte celem zapewnienia jej spokoju i wolnego wyboru Piasta, żadnego wynagrodzenia; więc materie odnoszące się do polityki wzajemnej i interesów sąsiedzkich nie powinny być rozstrzygane bez porozumienia z sąsiadami, jeśli nie zależy na chęci doprowadzenia do rozbratu. W tejże konstytucji sejmu konwokacyjnego powiedziano, że i sprawy komisji wojskowej powinny być uchwalane tak, jak skarbowe, co stwierdzono i na sejmie koronacyjnym, skutkiem czego zapytałem wojewody ruskiego, czy i powiększenie liczby wojska także ma podlegać większości głosów? Na to mi wojewoda oświadczył potwierdzająco. Na to odparłem, że takie tłumaczenie sprzeciwia się zasadniczej swobodzie szlacheckiej, polegającej na *liberum veto*, na zmianę czego nigdy nie zezwolimy”².

W osobnym liście do hrabiego Panina książę Repnin stwierdzał bez ogródek: „Z obowiązków gorliwości winienem donieść, że użycie siły staje się z każdą chwilą naglejsze, nie tylko dla przeprowadzenia sprawy dysydenckiej, lecz dla zatamowania wszystkich obmyślonych tu podstępów. Należy koniecznie określić traktatem formalnym, czyli gwarancją, granice wszystkich tak zwanych

materii państwowych i siłę *liberum veto*, dlatego że na każdym sejmie mogłyby one ulegać zmianom, a naszym zadaniem powinno być, raz na zawsze, ustanowienie tamy przeciw takim intrygom, jeśli nam zależy na tym, by nie mieć niespokojnych, a z czasem i niebezpiecznych sąsiadów”³.

Oburzona Katarzyna II pisała do swojego posła w Warszawie: „Nie wiążąc Wam szczegółowymi rozporządzeniami rąk, uważamy za potrzebne wskazać, że przede wszystkim należy się Wam zwrócić do tych spomiędzy przeciwników rodziny Czartoryskich, którzy jej pozyskanego wpływu najbardziej zazdroszczą i oświadczyć tymże bez ogródek, że My, doświadczony niewdzięczności książąt Czartoryskich, i widząc, że oni własnego swego, przez Nas spotęgowanego wpływu używają na szkodę ojczyzny własnej, pozbawiamy ich tej opieki i Naszego bezinteresownego dla Rzplitej polskiej współczucia, i pragniemy przelać je na tych spomiędzy Polaków, którzy najwięcej doznali na sobie skutków samowoli i chciwości książąt Czartoryskich, w pochwyceniu w swe ręce steru spraw ich ojczyzny. Od tej zatem chwili przelewamy Najwyższą opiekę Naszą na tychże przeciwników, pod warunkiem, by ściśle złączywszy się ze sobą, pod tarczą Naszej opieki, oparli się despotyzmowi Czartoryskich [...]”⁴.

Jednocześnie Petersburg naciskał na swojego posła pełnomocnego nad Wisłą, by przyśpieszył prace nad tworzeniem konfederacji dysydenckich, które w odpowiedniej chwili mogłyby się zwrócić do Najjaśniejszej Pani z oficjalną prośbą o pomoc przeciwko władzom Rzeczypospolitej.

Z drugiej strony hrabia Panin i sama Katarzyna II próbowali zmobilizować Stanisława Augusta do bardziej zdecydowanej walki z zaproponowaną przez biskupa krakowskiego uchwałą o „ubezpieczeniu wiary”, jak też wymóc na nim i na książętach Czartoryskich rezygnację z planów jakiegokolwiek ograniczenia *liberum veto*.

W związku z tą pierwszą kwestią hrabia Panin wysłał do Stanisława Augusta osobisty list, w którym radził mu po przyjacielsku, by uwolnił się wreszcie spod wpływów duchowieństwa, przypominając mu, że jeśli chodzi o Kościół, to w dzisiejszych oświeconych czasach „pierwszym obowiązkiem monarchy, stanowiącym jego splendor i korzyść ludom świadczoną, winno być – zmiażdżenie owej hydry i opętanie jej tymi samymi kajdanami, które ona trzyma na zgubę równości i wolności”⁵.

W drugiej z kolei sprawie Najjaśniejsza Pani polecała księciu Repninowi: „Samym Czartoryskim i królowi możecie w naszym imieniu oświadczyć, że gdy

oni za poprzedniego panowania tak hałasowali przeciw uciskowi i despotyzmowi i napraszali się pomocy naszej dla obrony zasadniczych ustaw i swobód Rzplitej, jakim sposobem mogą oni obecnie usprawiedliwić się przed ojczyzną, wobec tak podstępного swego postępowania i czyż mogą schlebiać sobie, by wśród ludzi oświeconych, możliwym było usidlanie, nie tylko narodu, lecz i tych, od których otrzymali przewagę? [...] Wiemy bardzo dobrze, co znaczy owo wprowadzenie większości głosów do spraw pierwszorzędnej wagi. Na próżno łudzą się, że przy obecnej konfederacji uda im się zbuntować się przeciw nam [...]”⁶.

Ze swej strony, żeby nie okazać się bardziej miękkiem od carycy, hrabia Panin dodawał: „Niezależnie od tego, należy postawić krzyżyk i na osobie króla odjęciem mu, zgodnie z życzeniami jego przeciwników, niektórych z prerogatyw, by mu na zawsze pamiętną pozostała epoka, w której chciał je sobie pozyskać – uchyleniem się od opieki Imperatorowej. Wszyscy sprzymierzeńcy Rosji powinni nagle sejm opuścić wobec tego, że zasada większości głosów ubliża prawom Rzplitej. Z pomocą pośpieszy im korpus 30-tysięczny stojący na granicy, a i król pruski również pomocy swej nie odmówi, gdyż co do tego punktu zachodzi między obu dworami *casus foederis*”⁷.

Proponowane radykalne środki odzwierciedlały bardzo dobrze stan umysłów, a zwłaszcza emocji panujących nad Newą, ale zdaniem księcia Repnina nie nadawały się do praktycznego zastosowania. No bo jak mógł „postawić krzyżyk” na osobie króla, skoro bardziej uległego odeń człowieka nie dało się w Polsce znaleźć, a liczenie na militarną interwencję Prus, uprawiających właśnie swoją pokrętną „politykę miłości”, zakrawało na mrzonkę? Więcej nadziei na przełamanie oporu Polaków pokładał raczej w swojej własnej, długo oczekiwanej publicznej audiencji w sejmie, do której doszło wreszcie na początku listopada.

Ale także ta uroczysta audiencja, podczas której posłowie i senatorowie Rzeczypospolitej podejmowali go z iście królewskim ceremoniałem, nie przyniosła żadnego przełomu. Toteż wkrótce potem książę Repnin i pan Benoît wspólnie złożyli Pierwszemu Skrzypkowi wizytę, podczas której wręczyli mu dwie jednobrzmiące noty, żądające przywrócenia *liberum veto* we wszystkich sprawach.

W tym akurat przypadku obaj posłowie pełnomocni mogli liczyć na wielu sprzymierzeńców w polskim sejmie, i to nie tylko pośród posłów, których mieli na swoich listach płac. Także wśród najuczciwszych i osobiście nieprzekupnych

wybrańców narodu nie brakowało bowiem takich, którzy tradycyjnie widzieli w *liberum veto* ostatni środek obrony wolności obywatelskich przed zagrożeniem ze strony absolutnych władców, zwłaszcza że świeża jeszcze była pamięć gwałtów i niesprawiedliwości, jakich na swoich przeciwnikach politycznych dopuszczała się niedawno rządząca Familia.

Szczęśliwie dla obu dyplomatów, jeden z takich nieprzekupnych posłów, kuchmistrz wielki litewski Michał Wielhorski, wychodząc z podobnych przesłanek i przy okazji czyniąc zadość oczekiwaniom Rosji i Prus, zgłosił niemal w tym samym czasie projekt uchwały o „zabezpieczeniu głosu wolnego”, który przywracał *liberum veto* we wszystkich sprawach będących przedmiotem obrad sejmu. Zdaniem posła Wielhorskiego była to bowiem najlepsza – obok niepowiększania liczby wojska – gwarancja wolności Rzeczypospolitej, gdyż tylko Polska słaba i niezagrażająca nikomu nie musiała się także nikogo obawiać i mogła korzystać do woli ze wszystkich swoich swobód i dobrobytu.

Najzagorzalszymi zwolennikami tego projektu okazali się książę Repnin i pan Benoît, którzy, z inicjatywy tego pierwszego, udali się natychmiast do króla i po prostu ostrzegli go po przyjacielsku, że jeśli projekt posła Wielhorskiego nie zostanie przyjęty, to Rosja i Prusy nie będą miały innego wyjścia jak wypowiedzieć Polsce wojnę.

Najprostsze metody bywają często najskuteczniejsze. Rosyjsko-pruskie ultimatum zadziało jak walnięcie pięścią w stół podczas misternych rokowań i przyparciu do muru posłowie i senatorowie, z książętami Czartoryskimi włącznie, zagłosowali niemal jak jeden mąż za przyjęciem projektu kuchmistrza wielkiego litewskiego, chociaż niektórzy z nich, składając później swój podpis pod przyjętą już uchwałą, deklamowali nieco teatralnie i na tyle szumnie, by zapamiętała ich historia: „Bodaj bym nigdy nie był posłem!” albo: „Obym się był nigdy nie narodził!”

I tak najważniejsza reforma sejmu konwokacyjnego – nieśmiała próba ograniczenia *liberum veto* – została złożona do grobu.

Książę Repnin nie posiadał się z radości i przy szampanie, którym razem ze swoim pruskim kolegą fetował ten sukces, perorował z dumą:

– No i sam pan widzi, panie Benoît, że nie ma na świecie lepszej dyplomacji niż rosyjska! Zazwyczaj staramy się być uprzejmi i tak delikatni, jak pieszczoty młodej, niedoświadczonej kochanki, ale kiedy trzeba, walimy z całej siły w mordę, aż naszym przeciwnikom głowy podskakują. Igrali panowie Paliaczki,

igrali, aż się doigrali! Na drugi raz dobrze się zastanowią, podgalane kutasy, zanim zrobią cokolwiek przeciwko nam! Mam nadzieję, że nie uraziłem pańskich delikatnych europejskich uszu, drogi przyjacielu? Jeśli tak, to bardzo przepraszam, ale u nas, Rosjan, co w sercu, to na języku, nie lubimy niczego owijać w bawełnę.

– Nie, nie, ależ skąd – rozproszył jego obawy *chargé d'affaires* ambasady pruskiej w Warszawie. – My, Prusacy, też jesteśmy prostolinijni. Zresztą co fakt, to fakt. I to że kutasy, i to że podgalane. Trzeba nazywać rzeczy po imieniu.

Parę dni później obu posłom pełnomocnym bardzo jednak zrzędył miny, ponieważ polski sejm, przystąpiwszy tym razem do rozpatrywania kwestii politycznego równouprawnienia innowierców, jednomyślnie (wszak właśnie przywrócono *liberum veto*) odrzucił naciski Rosji oraz dworów protestanckich i równie jednomyślnie przyjął projekt uchwały o „ubezpieczeniu wiary” zgłoszony wcześniej przez biskupa krakowskiego Kajetana Sołtyka.

Tak doświadczeni dyplomaci jak książę Repnin i pan Benoît zdawali sobie sprawę, że w przeciwieństwie do przywrócenia *liberum veto*, zamach na uprzywilejowaną pozycję katolicyzmu w Polsce musiał zostać odebrany nad Wisłą jako rzecz dużo groźniejsza, jako cios w samą istotę polskości, w sam rdzeń narodowej wspólnoty, w same fundamenty moralnych wyobrażeń Polaków o sobie samych i otaczającym ich świecie. Mimo to nijak nie spodziewali się aż tak powszechnego sprzeciwu wobec żądań Rosji i Prus, który zjednoczył we wspólnym oporze – bez oglądania się na dalsze konsekwencje – nawet nienawidzących się na co dzień politycznych przeciwników.

Ale Prusak i Rosjanin wyciągali z tego faktu całkiem odmienne wnioski.

– Chyba ciut przedobrzyliśmy, ekscelencjo – stwierdził pan Benoît, kiedy w poselstwie pruskim omawiali zaistniałą sytuację. – Moim zdaniem sprawę dysydentów należy odpuścić. Do kontrolowania Polski i popychania jej za każdym razem w pożądanym przez nas kierunku w zupełności wystarczy *liberum veto*. Nie ma żadnej potrzeby dodatkowo upokarzać Polaków i wdawać się z nimi w jakieś wojny religijne. W końcu żyjemy w Stuleciu Świąteł, a nie w jakichś ciemnych wiekach, gdy ludzie wierzyli w gusła i czary. Poza tym nie zapędza się rannego zwierza do kąta, z którego nie może uciec, bo wtedy, z braku innego wyjścia, skoczy nam do gardła. Zostawmy im to, do czego są przywiązani, stwórzmy im jakiś symboliczny margines wolności, a zapewniam pana, że nawet im przez myśl nie przejdzie, żeby się zbuntować.

– Nie, nie i jeszcze raz nie! – zaperzył się po słowach Prusaka rosyjski dyplomata. – Jest pan dzieckiem, panie Benoît! Na jaki bunt Paliaczkow chce pan jeszcze czekać? Przecież to ostatnie głosowanie to jest właśnie klasyczny, jaskrawy i bezczelny bunt! Chce pan czekać, aż zwołają pospolite ruszenie lub wezwą na pomoc Francję albo Austrię? Niech pan nie będzie naiwny, drogi kolego! Powiem panu tak: pan może sobie czekać, na co chce, *usque ad mortem defecatam*⁸, ale ja, jako najwyższy przedstawiciel Rosji w Warszawie, skończę z każdym polskim buntem, zanim zdąży się rozwinąć na dobre!

– Ciekawe jak? – zapytał z ironicznym uśmiechem pan Gédéon Benoît.

– A zwyczajnie, po rosyjsku. Bo u nas nikt się nie przejmuje tym, żeby nie upokarzać dodatkowo przeciwników, nikt nie dba o to, czy żyjemy w Stuleciu Świąteł, czy w jakichś ciemnych wiekach, i każdy ma najgłębiej w dupie, czy gna rannego zwierza do kąta, czy prosto pod lufę. Tym bardziej nikt nie dba o to, czy przeciwnik ma jeszcze jakiś symboliczny margines wolności, czy już go nie ma, tylko przede wszystkim stara się bydlaka unieszkodliwić, i to raz na zawsze! Pyta pan „jak”? A zwyczajnie, po rosyjsku: najpierw knutem, potem, jeśli trzeba, łamiąc mu kark, obcinając ręce i nogi, gruchocząc czaszkę, miażdżąc jaja, a na końcu wdeptując go w ziemię – byle tylko przestał być niebezpieczny! Jedyne „symboliczny margines wolności”, jaki my mu zostawiamy, to ten – o ile jeszcze w ogóle dycha! – żeby z tym swoim złamanym karkiem, z obciętymi rękami i nogami, z tą swoją zgruchotaną czaszką i z jajami przerobionymi na jajecznicę mógł się jeszcze jakoś doczołgać do naszych stóp i zanim skona, polizać je z respektem, błagając o litość. Zobacz pan, przyjacielu, że Polacy jeszcze sami będą się domagać równouprawnienia dla swoich religijnych dysydentów i prosić moją Najjaśniejszą Panią o opiekę i gwarancję dla ich zasranego kraju!

Po tych słowach pan Benoît miał się ochotę przeżegnać, ale jako człowiek ze wszech miar postępowy, od dawna wolny od wszelkich przesądów, nie zrobił tego, tylko ująwszy kieliszek z najlepszym reńskim winem, jakie przechowywał w piwnicach ambasady, rzekł z lekka ochrypłym z wrażenia głosem:

– No to smacznej jajecznicy. Ale Prusy nie będą się do tego mieszać.

– Tym lepiej – rzucił rosyjski poseł pełnomocny, a następnie wydał wargi i burknął pod nosem: – *Kak wam ugodno, mierzkuje gady*⁹.

I zaraz po tym spotkaniu, postawiwszy krzyżyk zarówno na Prusach, jak i na panu Benoît osobiście, przystąpił z właściwym sobie zapalem do zwalczania polskiego *miatieża*¹⁰.

Uchwałę sejmu w sprawie dysydentów musiał jak najszybciej obalić, i to z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że lekceważyła ona całkowicie wolę Najjaśniejszej Pani, na co on, jako najwyższy przedstawiciel Rosji w Polsce, nie mógł absolutnie pozwolić, a po drugie – i to było dużo ważniejsze – ponieważ przy jej podejmowaniu niespodziewanie ujawniła się nigdy wcześniej przez niego niewidziana odwaga i jedność Polaków, które na dłuższą metę mogły okazać się bardzo niebezpieczne i zniweczyć całą jego ciężką pracę, prowadzoną bez wytchnienia od ponad trzech lat.

W Petersburgu również zdano sobie sprawę z tego, że stanowczość, z jaką Polacy przeciwstawili się naciskom Rosji i krajów protestanckich w kwestii politycznego równouprawnienia innowierców, może ich moralnie wzmocnić, natchnąć wolą oporu w innych sprawach, a nawet zachęcić do czynnych wystąpień przeciw okupującym Rzeczpospolitą obcym wojskom. To właśnie miał na myśli hrabia Panin, kiedy w nerwowej depeszy pytał rosyjskiego posła pełnomocnego w Warszawie, kto i w jakich okolicznościach może ogłosić w Polsce pospolite ruszenie. To właśnie brał również pod uwagę sam książę Repnin, kiedy niemal równocześnie wystąpił do Petersburga o pozwolenie na odesłanie do Rosji żony i dzieci oraz o zgodę na redukcję personelu ambasady i sprzedaż części jej wyposażenia.

Ale Polacy, uchwalwszy, co chcieli, nie zdradzali żadnych wrogich zamiarów. Toteż kiedy minęły wszelkie obawy związane z pospolitym ruszeniem, książę Repnin znowu rozwinął skrzydła.

Przemyślawszy rzecz głęboko, postanowił doprowadzić do nowego sejmu *pacificationis*, który obaliłby antydysydencką uchwałę poprzedniego i zwróciłby się do Rosji o wieczystą gwarancję niezmienności ustroju Rzeczypospolitej. Biorąc pod uwagę rozsądną postawę w sprawie *liberum veto*, jaką na ostatnim sejmie zajęli książęta Czartoryscy, rosyjski poseł pełnomocny doszedł do wniosku, że niezależnie od dotychczasowych przykrych doświadczeń, powinien się z nimi pogodzić i ze względu na ich pozycję i wpływy w społeczeństwie właśnie im powierzyć zadanie przekonania opinii publicznej, że nowy sejm nadzwyczajny jest absolutnie i pilnie potrzebny.

Za jego namową hrabia Panin, który jeszcze nie tak dawno wieszał psy na obu przywódcach Familii, napisał do nich przyjazny list z gratulacjami z powodu patriotyzmu, jakim się wykazali, głosując za przywróceniem *liberum veto*. Ten gest, jak wyznawał, skłonił go do podjęcia starań o przywrócenie im zachwianej

ostatnio łaski jego wspaniałomyślnej monarchini, jak też do przekazania im w najgłębszym sekrecie, że Najjaśniejsza Imperatorowa jest bardzo niezadowolona z postępowania króla Polski, w którym dostrzega stałe dążenie do powiększania władzy osobistej i uwolnienia się spod przyjacielskiej opieki Rosji, której zawdzięcza tron.

Ta rażąca niewdzięczność Stanisława Augusta, a razem z nim całego narodu polskiego, była szczególnie widoczna na ostatnim sejmie podczas omawiania kwestii dysydentów, toteż Najjaśniejsza Pani postanowiła wziąć dalsze losy tej sprawy w swoje potężne ręce, najlepszym zaś środkiem ku temu, aby popierani przez Rosję i inne mocarstwa dysydenci uzyskali wreszcie należne im prawa, byłoby zwołanie nowego posiedzenia polskiego parlamentu, czym mogliby się zająć właśnie książęta Czartoryscy.

Ku wielkiemu zaskoczeniu hrabiego Panina, książęta Czartoryscy odmówili, narażając się tym ostatecznie na niełaskę Petersburga, którą wkrótce potwierdził szyfrogram carycy wysłany do księcia Repnina: „Dołóżcie wszelkich starań dla zupełnego usunięcia Czartoryskich od stosunków z wami i od wszelkiego, jakiego bądź wpływu w rządzie, aby w ten sposób nie tylko oni sami i cała Polska, lecz i dwory postronne mogły się przekonać dowodnie, że oni, Czartoryscy, sami z siebie żadnego znaczenia nie mają, a jeśli je mieli poprzednio, to tylko dzięki protekcji dworu naszego, bez której, gdy ją utracili, doszli, że tak powiem, do zupełnego niebytu, a natomiast przeciwnicy ich, zyskawszy ją, natychmiast wzięli nad nimi górę”¹¹.

Kiedy rosyjski poseł pełnomocny pokazał tę depezę przywódcom Familii, ci przestraszyli się nie na żarty, ale nie zmienili zdania. Aby ocalić swoją skórę i majątki, uradzili jednak w gronie rodzinnym, że należałoby jakoś obłaskawić księcia Repnina i zważywszy, że od czasu odesłania żony i dzieci do Petersburga mieszkał on w Warszawie samotnie, postanowili podsunąć mu w charakterze kochanki synową wojewody ruskiego księżnę Izabelę z Flemmingów Czartoryską, żonę Adama Kazimierza, generała ziem podolskich.

Czego jednak w swej kalkulacji nie przewidzieli, to tego, że książę Repnin, w życiu publicznym nieokrzesany brutal i skrajny pragmatyk, zakocha się w pięknej i mądrej Izabeli niczym jakiś głupekowaty Arlekin z płótna Watteau, i coś, co z założenia miało być jedynie krótkotrwałą wymianą politycznych i miłosnych usług, przerodzi się szybko w długi i płomienny romans, znany i głośno komentowany w całej Polsce. Szef rosyjskiej ambasady w Warszawie,

wobec Izabeli czuły i pełen galanterii, traktował zresztą odtąd jeszcze bezwzględniej jej męża, który nie dość że *de facto* stracił żonę, to jeszcze musiał przywozić ją i odwozić z Pałacu Brühla po każdej miłosnej sesji.

Za to ze swojej części niepisanego kontraktu z Augustem i Michałem Fryderykiem Czartoryskimi książę Repnin wywiązał się absolutnie uczciwie i od tej pory chronił, jak tylko mógł, cały ród Czartoryskich przed represjami Petersburga, przytaczając trudny do zbitcia nad Newą argument: „Czartoryscy zupełnie się już od króla odstrychnęli i żadnego wpływu na sprawy mieć naturalnie nie będą; lecz zupełne ich wytępienie uważam za przeciwne naszym interesom. Nie trzeba dawać im przewagi nad stronnictwem naszym, lecz należy ich zostawić jako straszidło, za pomocą którego będziemy silniej trzymać w rękę naszych stronników, bo jeśli ci stronnicy nie będą mieli żadnej obawy, to zechcą, jak Czartoryscy, być niezależnymi od nas”¹².

Romans z księżną Izabelą nie oznaczał oczywiście, że książę Repnin zaniedbywał sprawy służbowe. Mało tego, dokładnie w tym czasie wyraźnie przyspieszył tworzenie konfederacji dysydenckich. Po wydrukowaniu w Petersburgu odpowiednich manifestów i wydaniu stosownych instrukcji przyszłym przywódcom owych związków („Zbyteczna zalecać wam jak największą w działaniu ostrożność. Istota sprawy wymaga, by ani dwór polski, ani nikt inny z rozmów, zachęt i działań waszych nie mógł powziąć podejrzenia, że konfederacja dysydencka przez nas jest przygotowywaną i że przez nas się już gromadzi”¹³), w marcu 1767 roku zawiązała się w radziwiłowskim Słucku konfederacja prawosławna pod laską marszałkowską generała Grabowskiego i przyjacielską opieką rosyjskich bagnetów generała Nummersa, dziesięć zaś dni później w Toruniu konfederacja protestancka kierowana przez innego generała wojsk polskich, barona Jerzego Wilhelma Goltza.

Ponieważ akty założycielskie obu konfederacji podpisało zaledwie kilkaset osób – w tym wielu nieletnich i analfabetów – nad Newą uznano, iż rzecz wyglądałaby dużo lepiej, gdyby przynajmniej konfederację toruńską poparły rady miejskie największych pomorskich miast, zamieszkałych w większości przez protestantów. Nakłonienie ich do tego nie było wcale łatwe, jak meldował księciu Repninowi konsul rosyjski w Gdańsku Rehbinder, lecz ostatecznie zakończyło się sukcesem:

„Zaledwie nadeszła 21 marca wiadomość o zawarciu konfederacji, z wezwaniem do niej miast Gdańska i Elbląga, natychmiast udałem się

w niedzielę rano do prezydenta miasta Weikmana, by mu doręczyć zaproszenie ze strony marszałka konfederacji Goltza. Prezydent odrzekł, że nazajutrz, tj. w poniedziałek, papiery te odda, lecz oświadczył zarazem, że urząd miejski ani kroku nie uczyni, dopóki nie będzie miał zapewnienia na piśmie, że krok ten Imperatorowa zatwierdzi. Gdy zaś i generał Goltz zawiadomił mnie, że Toruń i Elbląg póty nie zamanifestują się, dopóki o krokach ze strony Gdańska podjętym się mających, nie dowiedzą się – zmuszony zostałem podać miastu memoriał, a to podziałało tak skutecznie, że już od 9 rano do 5 po południu trzy urzędy były na sesji. Na pierwszym zebraniu nic się osiągnąć nie dało, gdyż zasłanianie się dawnym zwyczajem, by oczekiwać decyzji Torunia, na co ja ze swej strony zauważyłem, że w przypadkach nadzwyczajnych należy uchylać się od zwyczajów, co gdyby nie nastąpiło – komenderujący generał Sałtykow rozlokuje się w mieście. Te przyjacielskie zachęty sprawiły, że już wczoraj o 3 po południu sprawa załatwioną została”¹⁴.

Mimo to książę Repnin nie miał wątpliwości, że sami innowiercy nie wywalczą sobie w Polsce politycznego równouprawnienia. Mogła im je zapewnić jedynie katolicka większość (najlepiej również związana węzłem prorosyjskiej konfederacji), czyli dokładnie ta sama, która im go dotąd odmawiała. I choć wyglądało to na próbę rozwiązania kwadratury koła, rosyjski poseł pełnomocny, lubiący trudne wyzwania, postanowił do tego doprowadzić.

Naturalnie zdawał sobie sprawę z tego, że żadna katolicka konfederacja hasła politycznego równouprawnienia religijnych dysydentów nie wypisze na swoich sztandarach, ale nie musiało to być wcale jej głównym celem. Z równym powodzeniem mogła to zrobić także przy okazji, niejako *en passant*¹⁵, w ramach jakiejś większej politycznej transakcji, byle tylko podstawowy cel owej transakcji był dla niej wystarczająco atrakcyjny i wart poniesienia tak wielkich kosztów.

Zastanawiając się nad tym, co mogłoby być takim celem dla Polaków, rosyjski dyplomata doszedł do wniosku, że najszybciej chyba obrona wolności i demokracji, o których tak bardzo lubili rozprawiać (*Dam ja wam swabodu i diemokracju!*), w połączeniu z nadzieją na detronizację Pierwszego Skrzypka (choć z rozbudzaniem takiej nadziei należało uważać, bo w Petersburgu wciąż chciano go oszczędzać).

Przystąpił zatem do budowania prorosyjskiej konfederacji katolickiej. Aby nie eksponować za bardzo własnej roli, przygotowania do jej zawiązania

powierzył swojemu nowemu współpracownikowi, referendarzowi koronnemu Gabrielowi Junoszy Podoskiemu.

Był to wybór wręcz idealny, i to bynajmniej nie dlatego, że referendarz koronny był księdzem (złośliwi powiadali bowiem, że odprawił w życiu tylko jedną mszę – podczas własnej prymicji), lecz przede wszystkim dlatego, że Podoski – przykładny wolterianin, człowiek bystry, rzutki, giętki, dowcipny i błyskotliwy – nie ulegał żadnym skrupułom i przesądom, bardzo zaś lubiąc żyć po pańsku, na co w żaden sposób nie wystarczało mu pieniędzy wyciąganych od licznych kochanek, za garść rubli gotów był zrobić wszystko, nawet gdyby chodziło o ponowną kradzież obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej czy publiczne przejście na islam.

Niedługo potem *l'abbé* Podoski ruszył w objazd Polski w towarzystwie dwóch rosyjskich pułkowników Wasilija Karra i barona Otto von Igelströma, starając się przede wszystkim dotrzeć do osobistości i środowisk usposobionych najbardziej wrogo do Stanisława Augusta i Familii.

Wszędzie apelował do swoich rozmówców, by przekuli swoje niezadowolenie w czyn i wzorem innowierców, którzy jako pierwsi podnieśli głowę w obronie należnych im praw, tworzyli załążki ogólnokrajowej konfederacji katolickiej stawiającej sobie za cel przywrócenie starożytnej polskiej wolności i demokracji, ukrócenie samowoli króla i książąt Czartoryskich, ukaranie ich wołających o pomstę do nieba nadużyć, a wreszcie – jeśli jego interlokutorzy wyraźnie tego oczekiwali – usunięcie z tronu bezczelnego parweniusza Ciołka i wybranie królem kogoś godniejszego. Ksiądz Podoski nie ukrywał zarazem, że osiągnięcie tego nadrzędnego celu może wymagać od przyszłej konfederacji katolickiej nawiązania ścisłej współpracy z istniejącymi już konfederacjami dysydenckimi, co oznaczało niestety konieczność pewnych ustępstw na rzecz zamieszkujących Rzeczpospolitą innowierców.

Wymowny *l'abbé* potrafił być przy tym na tyle giętki, że kiedy trafiał na duchownych albo na innych ludzi szczególnie przywiązanych do prymatu i prerogatyw wyznania rzymskokatolickiego, uspokajał ich argumentem, że tak naprawdę planowana konfederacja to w istocie rekonfederacja wymierzona nie tylko w tyranię Stanisława Augusta i otaczającą go, zepsutą do szpiku kości dworską kamarylę, ale także w samych innowierców, którym ostatnio tak bardzo

poprzewracało się w głowach, że zaczęli podważać uprzywilejowaną pozycję katolicyzmu w Polsce.

Niezależnie od tych niuansów, referendarz koronny zapewniał wszystkich swoich rozmówców, że projektowana konfederacja katolicka cieszy się pełnym poparciem Najjaśniejszej Imperatorowej Wszech Rosji, dostojnej opiekunki polskiej wolności, która zbrzydziwszy sobie do szczętu despotyzm i niewdzięczność swojego byłego pupila, pragnie, z aktywną pomocą polskich patriotów, usunąć go z tronu i po udzieleniu Rzeczypospolitej wspaniałomyślniej, uroczystej i przyjacielskiej gwarancji, iż będzie czuwać nad nienaruszalnością jej ustroju, swobód i granic, zamierza wycofać swoje wojska z Polski, gdzie nie będą już one miały nic więcej do roboty.

Kogo nie mógł przekonać, tego próbował przekupić, kogo nie mógł przekupić, tego próbował zastraszyć. Gdzie nie skutkowało jedno ani drugie, w parę dni po jego wyjeździe zjawiali się Moskale, którzy podpalali opornym dwór albo stodołę, zabierali im zboże lub żywy inwentarz – i liczba zwolenników planowanej konfederacji bardzo szybko rosła.

Wkrótce dołączyli do nich także główni przywódcy dotychczasowej republikańskiej opozycji: wojewoda kijowski Franciszek Salezy Potocki, biskup krakowski Kajetan Sołtyk, biskup kamieniecki Adam Krasiński, marszałek nadworny Jerzy Mniszech, hetman polny koronny Waclaw Rzewuski, podskarbi koronny Teodor Wessel i kuchmistrz litewski Michał Wielhorski.

Księżę Repnin był tak zachwycony efektami pracy swojego nowego instrumentalisty, że nie mógł się go nachwalić w Petersburgu, a kiedy w Koronie i na Litwie zaczęły powstawać pierwsze katolickie konfederacje powiatowe, ziemskie i wojewódzkie, mające zgodnie z planem połączyć się następnie w jedną ogólnopolską konfederację generalną, wyściskał go z entuzjazmem i rzekł:

– Zawsze byłem przyjacielem przyjaciół Rosji i starałem się, jak mogłem, okazywać im swoją wdzięczność. Jednak w pańskim przypadku, *mon cher ami*, doprawdy nie wiem, jak mógłbym się panu odwdziaczyć. Pieniądze to za mało, zasługuje pan na dużo więcej: na order, awans, stopień generała, gubernatorstwo, słowem, na coś, co się naprawdę liczy. Proszę powiedzieć, co mogę dla pana zrobić. Czy jest w pańskim fachu coś, co uchodzi za szczyt marzeń, za ukoronowanie całej życiowej kariery?

– To nie tyle fach, ile powołanie – zauważył skromnie referendarz koronny, wskazując na swoją koloratkę. – Ale jeśli już się trzymać tej świeckiej terminologii, to w moim fachu szczytem kariery i marzeń jest chyba wybór na papieża. Wątpię jednak, by mogło mnie to spotkać.

– A któż to może wiedzieć, *monsignore*? Niezbadane są wyroki Opatrzności! – zaproponował serdecznie rosyjski poseł pełnomocny. – Wszystko zależy od tego, ile Watykan ma regimentów i jak są uzbrojone. Bądźmy jednak realistami, póki co nasze wpływy nie sięgają tak daleko, więc na początek trzeba się zadowolić czymś skromniejszym. Może jakąś kanonią albo biskupstwem?

– Czemu nie? Byle nie trzeba było do tego dopłacać – podziękował grzecznie ksiądz Podoski. – Choć dla mnie i tak jest najważniejsze, że mogę się zaliczać do przyjaciół Rosji.

– Słusznie, bardzo słusznie. Jeszcze się pan przekona, *cher abbé*, że to dużo lepsze niż tron świętego Piotra – zapewnił go usatysfakcjonowany książę Repnin.

Zakarbowawszy sobie w pamięci, że powinien się rozejrzeć za jakąś tłustą prebendą dla księdza Podoskiego, rosyjski poseł pełnomocny skupił się tymczasem na rzeczy najważniejszej, jaką było niewątpliwie zorganizowanie do końca katolickiej konfederacji generalnej. Pod koniec kwietnia ujawnił, kto, zdaniem Petersburga, nadawałby się najlepiej na jej marszałka. Zważywszy, że chodziło o wyjątego spod prawa banitę, legendarnego przywódcę republikantów i byłego wojewodę wileńskiego księcia Karola Stanisława Radziwiłła, wyzutego przez czartoryjszczyków niemal z całego majątku i złożonego przez nich ze wszystkich zajmowanych wcześniej urzędów, książę Repnin był pewien, że ta kandydatura niezwykle boleśnie uderzy w króla i obóz Familii.

Ze swej strony książę Radziwiłł, przejadający, a jeszcze bardziej przepijający na emigracji resztki wywiezionych z Polski dóbr rodowych, próbował wielokrotnie doprowadzić za pośrednictwem swoich zwolenników do anulowania ciężących na nim dekretów i kondemnat orzeczonych w 1764 roku przez sądy antyrepublikanckiej konfederacji Czartoryskich. Stanisław August i jego wujowie byli jednak nieubłagani. Toteż z początkiem 1767 roku były wojewoda wileński postanowił zwrócić się w tej sprawie do dworu rosyjskiego i za pośrednictwem rosyjskiego ambasadora w Dreźnie księcia Biełosielskiego zadeklarował, że w zamian za możliwość powrotu do kraju, odwołanie ciężących na nim wyroków oraz odzyskanie obłożonych sekwestrem majątków i dawnej pozycji, gotów jest być lojalnym wobec Katarzyny II.

Ku jego zdumieniu, Rosjanie okazali mu więcej współczucia niż władca jego własnego kraju i byli koledzy z senatu. Ni stąd, ni zowąd zgodzili się bowiem zapewnić mu „powrót do ojczyzny z honorem i dalszą szczęśliwość”¹⁶, pod tym tylko warunkiem, że złoży pisemne oświadczenie, iż „zawsze będzie popierał partię rosyjską”¹⁷, przyjmie nadzór nad swoim postępowaniem w osobie przydzielonego mu do towarzystwa przybocznego oficera, wyda Rosji wszystkich zbiegów moskiewskich ukrywających się w jego dobrach na Litwie, nie będzie tamował kupcom rosyjskim transportu towarów rzeką Dźwiną ani pobierał od nich jakiegokolwiek myta oraz zwróci prawosławnym wszystkie cerkwie zamienione w jego majątkach na świątynie unickie.

Wspaniałomyślna odpowiedź Rosjan nie zawierała wprawdzie ani słowa na temat zwrotu utraconych przez niego majątków i przywrócenia mu niegdysiejszych godności, lecz książę Karol rozumiał, że były to sprawy skomplikowane i wymagające czasu, więc podpisał, czego od niego żądano, z nadzieją, że i w tym zakresie Petersburg pójdzie mu na rękę.

Zaraz potem Moskale – ci sami Moskale, których trzy lata wcześniej bił pod Słonimem – zaproponowali mu, żeby stanął na czele konfederacji katolickiej mającej na celu pozbawienie władzy Stanisława Augusta i Czartoryskich, a kiedy się na to zgodził, podarowali mu jeszcze dziesięć tysięcy dukatów, jakby rozumieli, że przedzie coraz cienie i że po powrocie do kraju nie będzie niestety w stanie żyć na takiej stopie, do jakiej był przyzwyczajony i jaka powinna charakteryzować marszałka polskiej konfederacji generalnej.

Gdy pod koniec maja przybył do Gdańska, był niewymownie szczęśliwy i pełen optymizmu. Już wkrótce mógł odzyskać przynajmniej część z tego, co utracił, a odwet na zniechęconym Ciołku i jeszcze gorszej od niego Familii był dosłownie na wyciągnięcie ręki. W Królewcu dołączył do niego niezmordowany pułkownik Karr, który od tej pory nie odstępował go ani na krok („Pilnuje mnie, jak własne dziecko Imperatorowej”¹⁸ – wzruszał się tą orientalną troskliwością ekswojewoda wileński). 5 czerwca książę Radziwiłł, witany na Litwie jak bohater, wjechał w honorowej asyście rosyjskiej kawalerii do Wilna. Powitało go tam trzysta armatnich salw, bicie w dzwony, nieprzebrane tłumy wiwatujących mieszkańców, delegacje od cechów i miejscowych Żydów, kwieciste oracje przedstawicieli wszystkich zakonów, muzyka polskich i rosyjskich kapel wojskowych, a wreszcie całonocna iluminacja, fajerwerki i trwający do białego rana bal zaszczycony obecnością generała Nummersa i wielu innych rosyjskich

oficerów. Rozanielony książę Karol, ubrany na tę okazję w mundur konfederacki z wysadzonym brylantami orderem Orła Białego, kazał wydać wilnianom oraz niepełniącym służby żołnierzom 40 kuf piwa, tyleż miodu i 20 beczek wina, zaś wszystkich najwyższych rangą moskiewskich wojskowych obdarował cennymi prezentami.

Podobne sceny entuzjazmu rozegrały się w Białymstoku, gdzie były wojewoda wileński odwiedził starego hetmana wielkiego koronnego Jana Klemensa Branickiego, jak również na całej trasie przejazdu księcia Karola do Radomia, gdzie miano formalnie powołać do życia katolicką konfederację generalną.

Każdy, kto widział ten tryumfalny przejazd przez pół Polski byłego przywódcy republikantów i niedawnego banity, wyniesionego teraz na szczyty władzy przez tych samych Rosjan, których nie tak dawno gromił, musiał być przekonany, że dni panowania Stanisława Augusta i tyranii jego wujów zbliżają się właśnie do końca. Najmniej wątpliwości w tym względzie miał sam śmiertelnie przerażony król.

– Konfederacja konfederacją, ale dlaczego jej marszałkiem ma zostać akurat książę Radziwiłł? – odważył się w końcu zapytać księcia Repnina polski monarcha.

– Dlatego, że jestem bardziej pewny jego zależności od nas niż kogokolwiek innego – wycedził w odpowiedzi rosyjski dyplomata. – Muszę mieć obok siebie ludzi posłusznych, a nie wyczekiwać, by sprawy, które prowadzę, zależały od takich, na których się zawiodłem. – Po czym, widząc, że oczy polskiego monarchy nabiegają łzami, dodał nieco mniej surowo: – Ale proszę się nie martwić. Jeśli Wasza Królewska Mość nie będzie się do niczego mieszać, włos mu z głowy nie spadnie. Proszę we wszystkim trzymać się Rosji, a nie dopuścimy, by konfederacje powstające pod naszą opieką w czymkolwiek Waszej Królewskiej Mości uchybiły. A najlepiej niech Wasza Królewska Mość sam przystąpi do tego związku.

– Co? Miałbym przystępować do czegoś, co jest wymierzone we mnie?! – oburzył się Stanisław August.

– A czemu nie? Na chytróści nikt jeszcze nie stracił.

Okazja do wykazania się w swoim posłuszeństwie wobec Rosji, jak też chytrością, trafiła się królowi bardzo szybko. 20 czerwca 1767 roku zmarł prymas Polski Władysław Aleksander Łubieński (w Warszawie krążyła uparcie

plotka, że otruli go Moskale) i zanim Stanisław August i polscy biskupi zdążyli się porozumieć, kto powinien zostać jego następcą, a nawet zanim dostojny nieboszczyk został pochowany w Łowiczu, książę Repnin oświadczył, że nowy prymas Polski został już wybrany – w Petersburgu – i że będzie nim nie kto inny jak Gabriel Junosza Podoski. Nic to, że taki wybór był całkowicie bezprawny z punktu widzenia praw krajowych i zasad kościelnej hierarchii (Podoski nie był nawet biskupem), jak również prawa kanonicznego i międzynarodowego, król miał do wyboru sprzeciwić się lub ulec. Stanisław August, choć z całej duszy nienawidził Podoskiego jako intryganta i swojego osobistego wroga, wybrał to drugie i już cztery dni po śmierci prymasa Łubieńskiego mianował oficjalnie referendarza koronnego nową głową Kościoła w Rzeczypospolitej, wychwalając przy okazji pod niebiosami zarówno jego wielkie zasługi dla wiary, jak i niepospolite przymioty moralne.

Jako pierwszy z gratulacjami dla nowego prymasa Polski pośpieszył hrabia Panin: „Tylko Wasza miłość ojczyzny, której ambasador był świadkiem, gorliwość Wasza w sprawach Rzplitej, których nie zaniedbywaliście w czasach najkrytyczniejszych, wyniosły Was do tak wysokiej godności”¹⁹ – wieszował swojemu ulubieńcowi.

Problem w tym, że królewską nominację musiał jeszcze zatwierdzić papież. Wprawdzie hrabia Panin był dobrej myśli także i w tej sprawie, stwierdzając w depeszy, którą rosyjski poseł pełnomocny w Warszawie pokazał zaraz Podoskiemu: „Gdyby, wbrew wszelkiemu spodziewaniu, ze strony nuncjusza papieskiego lub też ze strony dworu rzymskiego bezpośrednio zaszło jakoweś sprzeciwienie i przeszkody, polecam Wam oświadczyć imieniem własnym lub imieniem dworu, że on, nuncjusz, jako człowiek rozumny, oświecony i obrotny, mając to przeświadczenie, że jeśli my w sprawach polskich, a zwłaszcza w dysydenckiej, doszliśmy już do środków ostatecznych, to i w tej delikatnej sprawie nie zatrzymamy się w połowie drogi – bezcelowym sprzeciwianiem się wyborowi dogodnego Jej Imperatorskiej Mości prymasa. [...] Protest taki nie przeszkodzi nowemu prymasowi w wykonywaniu swego urzędu nawet pomimo papieża, a będzie miał tylko ten skutek, że narazi religię katolicką w Polsce na takie skutki, które obecnie, ze strony niechętnych, wyłącznie są przypisywane wpływom rosyjskim”²⁰, ale książę Repnin na wszelki wypadek poradził świeżo wybranemu w Petersburgu prymasowi Polski, by przynajmniej na chwilę spróbował odmienić swój dotychczasowy tryb życia.

L'abbé Podoski wziął sobie tę radę do serca i z dnia na dzień zaczął się garnąć do znanego ze swojej prawości i patriotyzmu biskupa krakowskiego Kajetana Sołtyka. Schlebiał mu na każdym kroku, wychwalał go pod niebiosa, obrał go sobie oficjalnie za duchowego przewodnika i przyrzekł mu publicznie, że w rządzeniu Kościołem w Polsce będzie się kierował wyłącznie gorliwością, doświadczeniem i chrześcijańską miłością, czym zjednał sobie pocziwego biskupa tak bardzo, że ten nie tylko zaczął go popierać na niwie krajowej, ale – ku oburzeniu wielu – wstawił się też za nim osobiście w Rzymie.

W tej sytuacji protesty nuncjusza papieskiego w Warszawie straciły na znaczeniu i Jego Świątobliwość Klemens XIII, pomimo rozmaitych zastrzeżeń, zatwierdził nominację nowego prymasa Polski.

Księżę Repnin tryumfował.

– A nie mówiłem, drogi przyjacielu, że niezbadane są wyroki Opatrzności? – gratulował swojemu najbliższemu współpracownikowi. – Niech się pan nas trzyma, a zobaczy pan, że jeszcze zrobimy go papieżem! „Gabriel Pierwszy”! To będzie brzmiało naprawdę nieźle. Chyba że Gabriel Drugi albo Trzeci, bo niezbyt się orientuję w tych *rimskich* kontredansach?

– Pierwszy, Pierwszy – potwierdził przymilnie nowy prymas.

Swoją radością z awansu referendarza koronnego książe poseł podzielił się również z hrabią Paninem: „To wyniesienie Podoskiego do godności prymasa ogromnie podniesie nasze tutejsze wpływy. Podoski był mi jawnie oddany i, jako sekretarz mój, uczestniczył czynnie we wszystkich obecnych sprawach. Przez jego wyniesienie zobaczy także cały naród, jak wspaniale umiemy nagradzać tych, którzy nam wiernie służą. Przekona się on, że można żywić najzupełniejsze zaufanie do opieki naszego wysokiego dworu, jeśli nawet w chwili utworzenia tak obraźliwej dla króla konfederacji, ten ostatni nie mógł odmówić godności pierwszego w państwie urzędu temu właśnie, który, gwoli dogodzenia Rosji, głównym i zwierzchniczym był jej działaczem. Wierność Podoskiego wyższą jest nad wszelką wątpliwość, gdyż to człowiek stanowczy, rozumny i jasno oceniający to, że wszystko nam tylko zawdzięcza [...]”²¹.

Tymczasem w Radomiu gromadzili się już marszałkowie i delegaci katolickich konfederacji powiatowych, ziemskich i wojewódzkich. W połowie czerwca zjechał tam również, z wielkim szumem i paradą, sam książe Karol Stanisław Radziwiłł.

Ujęty widokiem wiwatującej na jego cześć szlachty, wygłosił od razu przemówienie, w którym, przypomniawszy niezaskuszone krzywdy i afronty, jakich doznał ze strony króla i Familii: „Ten ci to ja winowajca ze czci wyzuty, z honoru obnażony, z fortuny obdarty, Europie okropne widowisko, zemsty wyuzdanej ofiara, który, że dobrze swobodnej ojczyźnie sprzyjając, żywiej może i dokładniej o dobro jej zastawiałem się. Ten to ja zbrodniarz, który Bogu – wiarę, Monarsze w przeszłym rządzie nieodżałowanemu – wierność zachowując, w nieskazitelnym powinności patriotycznej zachowywałem się obrębie [...]”²², zaznaczył z całą mocą, że czasy się na szczęście zmieniły, ponieważ „przyszedł ten szczęśliwy moment, w którym ukochana ojczyzna, jak z letargu ocucona, za przedziwnym najwyższych wyroków zrządzeniem, dźwiga zmartwione członki i duchy; przyszedł czas, od dobrze tej życzących synów upragniony, za roztropnym natchnieniem, wspaniałym powodem i okazaną dobrotliwie protekcją tej niezwykłej sąsiadki, która pełną ludzkości mądrością, grunt w stałość swobód naszych wymierzająca, poznawać raczy nagiętą do przepaści wolność Polski”²³.

W swojej przemowie były wojewoda wileński podziękował także braciom szlachcie za niemal pewny wybór na marszałka konfederacji, nie zapominając oczywiście o słowach wdzięczności dla rosyjskiej Imperatorowej, która raczyła go wydobyć z otchłani nieszczęścia: „Znajdujecie mnie tutaj w tym świętym węzle z Wami, spokojnego – za protekcji N. Monarchini poręką, i wygnańca, złośliwymi odrodnych braci wyrokami zhańbionego, nie tylko do pierwszej przywracacie urodzonności, ale też do pierwszeństwa przewodniczącego steru skołatanej nawałnością ojczyzny przypuszczacie. [...] Mam szczególniejsze racje wyznać głęboką wdzięczność N. Imp. J., że wraz uzaliwszy się nad powątloną śmiertelnymi razami ojczyzną, i mnie wielowładną wspierać raczy kompasją”²⁴.

Na koniec zaś poprosił konfederatów, żeby go wspierali w pracy dla dobra ojczyzny: „[...] dodawajcie mężni, powszechniej Matki synowie, a gorliwi współbracia i dobrodzieje, tej radzie – mocy popierania”²⁵.

Ale nie wszystko w Radomiu było szczęściem i weselem. Całe miasto pełne było Rosjan, a pułkownik Karr, który z polecenia księcia Repnina trzymał tam komendę, przydzielił każdemu z ważniejszych konfederatów rosyjską straż wojskową – dla „bezpieczeństwa i splendoru”, jak wyjaśniał wszystkim zadowolonym i niezadowolonym z tego nieproszonego zaszczytu. Prawdopodobnie z tego samego powodu w ratusz, gdzie miała obradować

konfederacja, wymierzone były na wszelki wypadek lufy zaprzyjaźnionej moskiewskiej artylerii.

Przed formalnym wyborem marszałka i zaprzysiężeniem konfederacji pułkownik Karr zapoznał zebranych z jej programowym aktem, przygotowanym zawczasu w kancelarii księcia Repnina. Zdumieni słuchacze dowiedzieli się z niego, że łącząc się, wiążąc i konfederując dla ratunku Ojczyzny, „przy wierze św. Rzymskiej katolickiej panującej i całości owej nieskazitelnej, przy prawach, wolnościach, swobodach i prerogatywach, w ogólności wszystkim i w szczególności każdemu służących”²⁶, zobowiązują się jednocześnie do należytej wdzięczności dla cnotliwej Monarchini Wszech Rosji, która nie tylko „nas łaskawie popierać obiecuje w odzyskaniu nadwyrężonej wolności, upadłej równości, mniej poważanego dostojęstwa obywateli i spokojności wewnętrznej”²⁷, ale już „przysłała nam posiłki na to, abyśmy dalszym wczesnie zabiegli nierządom, fundamentalnych praw wzruszające niedoskonałości wykorzenili, równość znoszące ustawy odmienili i przyciśnionych obywateli do stopnia równości podwyższyli”²⁸.

Zgromadzeni w ratuszu konfederaci przybyli w większości do Radomia w najgłębszym przekonaniu, że mająca się tam zawiązać konfederacja będzie tak naprawdę rekonfederacją wymierzoną w polityczne uroszczenia religijnych dysydentów, przecierali jeszcze bardziej oczy ze zdumienia, dziwiąc się przy okazji swojej własnej, nieskończonej tolerancji i łaskawości, kiedy usłyszeli następnie, że w istocie są gorącymi zwolennikami forsowanych przez Rosję rozwiązań korzystnych dla innowierców:

„Co się tyczy greków, nieunitów i dysydentów, tak stanu szlacheckiego, jako i mniejszej kondycji ludzi, kupców, rzemieślników i rolników, trudno ich uciemiężliwość zamilczeć. Człek każdego stanu i kondycji, w jakimkolwiek na świecie kraju, pod jednakową praw zasłoną, zaszczyca się obywatelstwem. Cóż dopiero w naszej Ojczyźnie, gdzie w każdym stanie, prawa i ustawy nasze, na fundamencie równości ustanowione być zwykły? A jakże szlachcic może być szlachcicem, gdy praw stanowi swemu przyzwoitych nie jest uczestnikiem, jak mieszczanin mieszczaninem, gdy równy tylko drugiemu w ponoszeniu ciężaru, a nie w używaniu dobrodziejstw, jak na ostatku chłop chłopem, gdy robić musi, a roli i chałupy mieć nie będzie? Ojczyzna nasza, jako Matka dobra, Matka sprawiedliwa, równo wszystkie dzieci swoje kochać powinna, bez względu na ułomność ludzką, przyzwoitą każdemu. Nie jest to uszczerbkiem Wiary Świętej

katolickiej dotrzymać praw i prerogatyw tym, co jak my – nie wierzą. [...] My, skonfederowane Stany, zabiegając wszelkim rozterkom, nienawiściom, niechęciom i zawziętościom, które by mogły wynikać ze skażenia równości między jedneje Matki synami i jednego ciała członkami, zważywszy na ważną intercesję Najj. Imp. Jmci i złączonych z Nią dworów, tudzież łaskawe tej Monarchini oświadczenie, iż żadnej krzywdy ani Wierze Św. Katolickiej Panującej, ani prawom i wolnościom naszym uchybić nie zamyśla, oraz zawdzięczając staranność około dobra powszechnego wspomnianym dysydentom, równie jako i my przy prawach i swobodach naszych z hazardem fortun i życia zastawiającym się, jako to z aktu konfederacji toruńskiej i słuuckiej jasno widzieć można (które to od początku ich, *pro legalibus*²⁹ uznawszy, żądamy, aby od nich delegaci do traktowania z nami naznaczeni byli), [...] przyjmujemy żądania ich i zgadzamy się na przywrócenie onym tego, o co się na przeszłym sejmie J. K. Mć P. N. M. i Zgromadzonych Rzplitej Stanów upraszali [...], przyrzekając, że na to starań naszych żałować nie będziemy, ażebyśmy na najpierwszym sejmie wynaleźli niezawodny sposób uczynienia im dostatecznej sprawiedliwości, a przez to samo, dogodzenia poważnemu interesowaniu się za Nimi Najj. Imp. Jmci i złączonych z Nią potencji”³⁰.

Ten fragment aktu konfederacji wzbudził ogromne protesty, większość jednak zgromadzonych ciągle jeszcze zachowywała spokój w oczekiwaniu na rzecz najważniejszą, czyli zapowiedź obiecanej przez księcia Repnina detronizacji Stanisława Augusta.

Kiedy zamiast niej rozległy się wypowiedane w ich imieniu słowa: „Oświadczamy się z tym, że się nie zawiązujemy przeciw Najjaśniejszemu Królowi Panu Naszemu Miłociwemu, lecz szczególnie myśli nasze są natężone na obronę dobra pospolitego. Znamy dobrze wierność tę, którą nakazuje prawo, honor i powinność każdemu obywatelowi ku majestatowi i dostojeństwu Jego [...]”³¹, okrzykom „Hańba! Hańba!” i „Zdrada! Zdrada!” oraz żądaniom radykalnego przerobienia odczytanej deklaracji nie było końca.

W odpowiedzi, przeczekawszy cierpliwie burzę, pułkownik Karr oświadczył, że pod groźbą utraty opieki Imperatorowej niemożliwe są jakiegokolwiek zmiany w treści zaprezentowanego aktu, przeciwko zaś tym, którzy go nie poprą, zmuszony będzie użyć wojska i przyjacielskich armat. A ponieważ całe miasto otoczone było przez Moskali i nie dało się z niego w żaden sposób uciec, nieszczęsnym konfederatom radomskim nie pozostało nic innego, jak

złożyć w końcu swoje podpisy na odczytanym akcie konfederacji i zaprzysiąc jej wierność. Ten czy ów, dla spokoju sumienia, zrobił to wprawdzie z rozmaitymi prawnymi lub moralnymi zastrzeżeniami, lecz nie miały one *de facto* żadnego znaczenia.

„Zawiedzeni zostaliśmy jak ptaszęta na lep wzięte. Chcieliśmy wzmocnić wolność, a staliśmy się niewolnikami!”³² – podsumował z rozpaczą tę sytuację biskup krakowski Kajetan Sołtyk w liście do swojego nowego wielbiciela księdza Podoskiego, który zresztą wiedział o tym, jak będzie przebiegać konfederacja, dużo więcej i znacznie wcześniej od niego.

Po jednogłośnym wyborze na marszałka generalnego konfederacji, ułożoną przez siebie przysięgę złożył także książę Karol Stanisław Radziwiłł. Zaskoczyła ona Rosjan całkowicie, ponieważ nie było w niej jakiegokolwiek odniesienia do przyjętego właśnie aktu konfederacji i najmniejszej nawet wzmianki o carycy, królu, równouprawnieniu innowierców czy znienawidzonej wieczystej rosyjskiej gwarancji dla ustroju Polski:

„Ja, Karol Stanisław, książę Radziwiłł, przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, w Trójcy Świętej Jedynemu, iż do tego urzędu generalnej konfederacji marszałkostwa wolnymi głosami skonfederowanych województw, ziem i powiatów obrany i wyniesiony, wiernie Rzplitej skonfederowanej służyć będę. Jej pożytki i powszechne dobro – jedynym i najwyższym prawem mieć będę. Dostojeństwo Świętej, prawowiernej wiary katolickiej, rzymskiej, jako panującej, tudzież zachowanie praw, swobód i wolności, według opisu konfederacji, przestrzegać i z ofiarą krwi i życia zaszczycać będę. Do żadnych facji obcych i domowych, krewności, koligacji i jakichkolwiek względów *cum detrimento*³³ Rzplitej mieszać się i łączyć nie będę, ani żadnej konfederacji lub korespondencji szkodliwej z postronnymi lub domowymi nieprzyjaciółmi mieć i przyjmować nie odważę się, i kto by chciał cnotę i wiarę moją tentować, wydać go *in publico*³⁴ obowiązuję się i, na co konsensusu większej części skonfederowanej Rzplitej nie będzie, tego czynić ani pisać nie będę i nikomu nie dopuszczę. We wszystkich okolicznościach z JMć Panami konsyliarzami pilnie znosić się będę i nic bez konsensusu i decyzji ich czynić i konkludować nie będę i póty w funkcji mojej nieprzełamane trwać będę, pokąd Rzplita *in toto et integro*³⁵ uspokojona będzie; w sądach, według prawa, *secundum ius scriptum, justitiam et aequitatem*³⁶, bez żadnego względu sądzić będę. Tak mi Panie dopomóż i niewinna męka Jego”³⁷.

Były wojewoda wileński zrozumiał, że obalić Stanisława Augusta się nie da, ale wciąż łudził się – tak samo jak wcześniej jego śmiertelni wrogowie, książęta Czartoryscy – że z pomocą Rosji uda mu się zrobić coś dobrego dla Polski, a przy okazji i dla samego siebie: ograniczyć władzę królewską, przywrócić starodawne polskie swobody, równość i demokrację, umocnić pozycję katolicyzmu jako religii panującej w Polsce, przejąć władzę nad wojskiem i zwiększyć jego siłę obronną, skasować niesprawiedliwe wyroki wydane przez Familię i wreszcie – czemu nie – odzyskać, choćby tylko częściowo, własne majątki i godności, jak też zemścić się na swoich politycznych przeciwnikach. Zresztą nie mógł się już wycofać z gry, jaką podjął z Rosjanami, bo naraziłoby go to natychmiast nie tylko na nowe represje Moskali oraz króla i Familii, którzy najprawdopodobniej wróciliby wtedy od razu do łask Petersburga, ale także na bolesną kompromitację w oczach zgromadzonej w Radomiu szlachty i połowy Polski.

Księcia Repnina jednak niełatwo było wyprowadzić w pole, albowiem jeśli chodzi o zakres samodzielności konfederacji radomskiej, trzymał się on generalnie tego, co sformułował w tej kwestii hrabia Panin: „Panowie Polacy chcą chytrąsią osiągnąć to, czego w innej drodze nie dostąpią i przyznaniem wierze katolickiej charakteru panującej, chcą wyzwolić się z obowiązku wdzięczności za przyznanie jej przez nas tego tytułu. Lecz my podejść się nie damy. Niech mają dowód tego na Czartoryskich, którzy pragnąc nas usidlić, tego wszakże nie dopięli, tak też i tutaj podejść się nie pozwolimy. Jeśli Polacy obstawać będą przy swoim, to dokuczliwością taką wyprowadzą nas z cierpliwości i wojska nasze, które dotąd trzymane są kosztem naszym w Polsce, pošlemy do dóbr tych magnatów, którzy się nam sprzeciwiać będą, aby tam żyły ich kosztem. Niech zatem wybierają albo jedno, albo drugie, albo zupełną naszej woli uległość, albo przymus. Nasze warunki są jasne: 1) zupełne równouprawnienie dysydentów z katolikami; 2) usunięcie nowości wprowadzonych do praw i swobód polskich; 3) gwarancja wieczysta Rosji za całość konstytucji i formy rządu. Niech wybierają między dobrowolnym przyjęciem tych warunków, a przymusowym. Doprowadzeni do ostateczności, na nic nie będziemy zważać i sprawę załatwimy według naszego widzenia rzeczy. Należy to jasno wytłumaczyć Polakom, by nie sądzili, że są nam potrzebni i by ktokolwiek chciał przyjść im z pomocą”³⁸.

Dlatego rosyjski poseł pełnomocny pozwalał konfederacji radomskiej i jej marszałkowi generalnemu zajmować się tysiącem jałowych spraw urzędniczych, takich jak przyjmowanie przysiąg od deputacji zbiorowych i pojedynczych osób, mianowanie doradców i sekretarzy, uchwalanie regulaminu obrad i kolejności zabierania na nich głosu, opracowywanie rozmaitych instrukcji dla własnych delegatów, zakładanie ksiąg rachunkowych czy prowadzenie *urbi et orbi* obszernej korespondencji, bo przecież od tego nic w Polsce zmienić się nie mogło. Nie przeszkadzało mu również, że po przeniesieniu się do Warszawy ksiązę Radziwiłł ostentacyjnie lekceważył króla, któremu nie złożył nawet kurtuazyjnej wizyty.

Wszystko to, z punktu widzenia księcia posła, nie miało bowiem większego znaczenia. Tak naprawdę liczyło się wyłącznie to, co konfederacja radomska mogła zrobić dla Rosji i jej planów, zwłaszcza w kwestiach zupełnego równouprawnienia innowierców z katolikami i rosyjskiej gwarancji dla niezmienności ustroju Polski.

Przypominał o tym nieustannie księciu Radziwiłłowi, kładąc szczególny nacisk na kwestię rosyjskiej gwarancji. Z jego inicjatywy odnoszący się do tej sprawy punkt znalazł się w instrukcji dla deputacji, którą kazał konfederatom wysłać do Rosji, a także w listach uwierzytelniających, które mieli oni przekazać Katarzynie II.

Delegaci konfederacji radomskiej zapewnili w Moskwie carycę, że „Rzplita trwałość szczęścia i wolności swojej chce być winna Waszej Imp. Mości”, prosząc ją zarazem o „wysoką i wielowładną” gwarancję polskich praw, której oryginał, „jako święty i drogi depozyt wolność naszą zapewniający, złożony będzie dla świadczenia wiekom – o sławie i łasce W. Imp. Mości”³⁹.

W kwestii dysydentów potwierdzili stanowisko przyjęte w Radomiu: „Dosyć nam było wiedzieć, że ci grekowie, nieunicy i dysdenci zaszczytzeni są protekcją W. Imp. Mości – dla pozyskania dla nich przyjaźni naszej i szczerego imże obiecania, iż starać się będziemy zjednać im należyte zadośćuczynienie. Sprawiedliwość jak najdosłowniejsza powinna być każdego człowieka udziałem i ta, zapewne braterską miłością wsparta, będzie nam przewodnikiem w ułożeniu interesów i pretensji tychże nieunitów i dysydentów wszelkiego stanu i kondycji”⁴⁰.

Co gorsza, nie poprzestali na tym i zwrócili się do imperatorowej również z prośbą o „kontynuację pomocy i posiłków łaskawych, pod cieniem których

oczekujemy skutków jak najpomyślniejszych dla swobód i uszczęśliwienia naszego”⁴¹ – czym zhańbili się tak samo, jak proszący o rosyjską pomoc wojskową cztery lata wcześniej zniechęceni przez nich przedstawiciele Familii.

Pod naciskiem księcia Repnina punkty dotyczące dysydentów i rosyjskiej gwarancji dla Polski znalazły się także w uniwersałach na sejmiki mające wybierać posłów na najbliższy sejm, wydanych zresztą podwójnie – przez Stanisława Augusta i przez księcia Radziwiłła jako marszałka konfederacji radomskiej – co świadczyło wymownie o tym, że po raz pierwszy Stanisław August i Familia z jednej strony, a były wojewoda wileński i republikanci z drugiej, grają w jego wymarzonej wielkiej rosyjskiej orkiestrze symfonicznej razem i zgodnie, i to taką melodię, jaką im raczył narzucić.

Do pełnego sukcesu rosyjskiego posła pełnomocnego brakowało jeszcze tylko stosownych uchwał przyszłego sejmu, toteż na jego należytych przygotowaniu książę Repnin skupił odtąd całą swoją uwagę.

Najpierw, bojąc się wrzenia, jakie zaczynało ogarniać Warszawę i całą Polskę na wieść o tym, że najbliższy sejm nadzwyczajny może się odbyć pod całkowitą kontrolą Rosjan, wymusił na konfederatach radomskich przyjęcie jeszcze jednej, niezmiernie ważnej uchwały, którą jak zwykle przygotował osobiście. Brzmiała ona następująco:

„Ponieważ wspaniałe i dobroczynne wsparcie Najjaśniejszej Imperatorowej całej Rosji wszystkich ogólnie współobywatelów naszych pomyślnie i nieomylnie gotuje uszczęśliwienie, przeto na oświadczenie nieskończonej wdzięczności naszej, wojska tejże Najjaśniejszej Imperatorowej JMci całej Rosji – za posiłkowe i prawdziwie Narodowi pomocne, póki konfederacja terażniejsza trwać będzie, uznajemy, wszystkich zaś tych, którzy by się sprzeciwiać im ważyli, albo w nieprzyjacielski sposób postępować sobie z nimi zuchwale śmieli, za nieprzyjaciół ojczyzny uznamy i, według rygoru prawa i powierzonej nam mocy, sądzić ich i karać będziemy”⁴².

Dopiero po zabezpieczeniu się w ten sposób przed nieprzemyślanymi reakcjami polskich wartogłów, rosyjski poseł pełnomocny skierował silne oddziały wojska do wszystkich miejscowości, w których miano wybierać posłów na sejm. Oficjalnie dowódcy tych oddziałów mieli powiadamiać lokalnych marszałków sejmikowych, że Moskale przybywają w ich strony dla zagwarantowania Polakom możliwości skorzystania z przysługujących im praw,

swobód, przywilejów i wolności obywatelskich, mniej zaś oficjalnie mieli oni przekazać wspomnianym marszałkom, że w instrukcjach poselskich na sejm muszą się znaleźć koniecznie wszystkie punkty wymienione w obu uniwersałach i że posłami mogą zostać tylko tacy kandydaci, którzy publicznie wyrażą na nie zgodę. W wielu przypadkach oficerowie rosyjscy dysponowali zresztą gotowymi listami osób, które powinny być zostać wybrane, ułożonymi w Warszawie przez księcia Repnina. Oporni marszałkowie sejmikowi musieli liczyć się z represjami, wśród których spustoszenie prywatnych majątków należało do najłagodniejszych. Rosyjscy żołnierze mieli również czuwać nad tym, by podczas sejmików nie rozwijano żadnej propagandy przeciwko równouprawnieniu dysydentów i gwarancji Petersburga dla ustroju Polski, śmiałkom zaś, którzy by się tego dopuścili, mogli od razu wymierzać karę, wedle swobodnego uznania swoich dowódców.

Ponieważ większość z owych dowódców nie posiadała ani w części tej ogłady, z jakiej słynęli pułkownicy Karr i Igelström, przed rozesłaniem ich w różne części Polski książę Repnin, wyznający zasadę „ufać, ale sprawdzać”, zrobił im jeszcze odprawę, podczas której z całą stanowczością kazał im pamiętać, że znajdują się w obcym kraju i że w razie jakichś bliższych, nieuniknionych zresztą kontaktów z tubylcami, w rodzaju przyjęć, redut, kolacji czy balów, muszą się zachowywać tak, aby w najmniejszy nawet sposób nie splamić honoru rosyjskiego żołnierza.

– Zakarbujcie sobie, panowie, że póki co nie jesteście u siebie. Dlatego żadnego picia na umór, żadnego strzelania na wiat w zamkniętych pomieszczeniach, żadnego rąbania szablami mebli i obrazów, żadnego smarkania i plucia na podłogę, żadnego gryzmolenia na ścianach nieprzyzwoitych napisów czy sprośnych rysunków. Szczuć i srać tylko w miejscach do tego przeznaczonych. Przy ludziach nie kłąć. Przede wszystkim jednak szacunek dla dam! Podczas rozmów z pięknymi szlachciankami rąk w kieszeniach nie trzymać, w tańcu nie podstawiać im nóg i za cycki nie łapać. Przy kolacji jajkami się nie bawić. A przy pożegnaniu ukłonić się elegancko i w ogóle prowadzić się dostojnie, jak na rosyjskiego oficera przystało. I zapowiadam wam, kto zlekceważy te słowa, podobnie jak wszystkie inne moje rozkazy, ten bardzo szybko trafi tam, gdzie nie będzie już mu się żyło tak słodko i beztrudno jak tutaj, a ciepłe kalesony i grube onuce przydadzą mu się nawet w środku lata! Odmaszerować!

Rozesławszy swoje wojska na cztery strony świata, książę Repnin sypał złotem, gdzie należało, wiedząc doskonale, jak wielką siłę perswazji posiada ten żółty metal, i mobilizował nieustannie do działania wszystkich ważniejszych przywódców konfederacji radomskiej i najbardziej wypróbowanych przyjaciół Rosji. Tak pisał na przykład do generała Kreczetnikowa o wojewodzie kijowskim Franciszku Salezym Potockim i o kasztelanowej kamienieckiej Katarzynie z Potockich Kossakowskiej: „Mając potrzebę obecnie poważania go, proszę Pana, byś pojechał do niego pod pretekstem życzliwych odwiedzin i zapewniwszy go o protekcji Jej Imperatorskiej Mości i usilności mojej oddawania mu zawsze usług moich – jak to dowodnie okazywałem dając synowi jego starostwo bełskie – proszę mu oświadczyć, że koniecznie wymagam i siłą wojskową podtrzymywać tego wymagania nie omieszkam, aby punkty wiadome koniecznie w instrukcjach poselskich zamieszczone były [...] za posłuszeństwo bezwarunkowe posłów, we wszystkich materiach, które się na sejmie traktować będą, wojewoda osobiście odpowiedzialnym będzie”⁴³; „Z kasztelanową kamieniecką również widzieć się proszę i nic z nią nie mówiąc o wyznaczonych przeze mnie posłach, wezwać ją tylko przyjaźnie, aby starała się wpływem swoim umieścić bez wielkich trudności wyrażone punkty w instrukcjach poselskich, zapewnić ją o przyjaźni mojej dla niej, w skutku której starać się będę pomóc jej w jej procesie z Dzeduszyckim, najstaranniej przy tym ukrywając przed nią, że tenże Dzeduszycki naznaczony już jest przeze mnie na posła w województwie podolskim”⁴⁴.

Mimo to, choć wszystko wydawało się dopięte na ostatni guzik i choć na ogół wyborcy głosowali na sejmikach tak, jak im sugerowały uniwersały oraz przyjacielscy, uzbrojeni po zęby rosyjscy żołnierze, tu i ówdzie zdarzały się jednak przykre niespodzianki.

I tak na przykład książę Repnin poczuł się zmuszony aresztować podczaszego koronnego Szcześnego Czackiego, skądinąd konfederata radomskiego, agitującego na Wołyniu „w duchu przeciwnym Ambasadzie”. A kiedy ten nie poddał się i na sejmiku w Łucku odczytano jego list, w którym skarżył się na swoje zatrzymanie i prosił, by panowie bracia wybrali go posłem zaocznie, rosyjski poseł pełnomocny pchnął kuriera do komenderującego w tym miejscu moskiewskiego dowódcy z surową zapowiedzią, że jeśli lokalny sejmik przybierze niepomyślny obrót, to on sam trafi pod sąd wojenny. Nie pomogło jednak ani to, ani aresztowanie szlachcica, który odważył się przewieźć list

Czackiego do Łucka, bo w końcu zebrana na sejmiku szlachta porwała się do szabel z zamiarem rozsiekania jego marszałka. „Zapobiegło się temu – raportował przerażony rosyjski komendant – za pomocą grenadierów, którzy przymuszeni byli dwie doby stać na miejscu dla ocalenia przyjaciół naszych”⁴⁵.

Z kolei na sejmiku w Bełzie wyborcy dali swoim posłom instrukcje dokładnie przeciwne do oczekiwań Rosji. To samo stało się w Kamieńcu Podolskim. W Lublinie nakazano posłom, by na sejmie starali się ze wszystkich sił obalić wszelkie uchwały niezgodne z dawniejszym porządkiem rzeczy. W Haliczu lokalny marszałek Marian Potocki w ogóle nie wpuścił Moskali do miasta, zapewniając ich, że sam „wszystko załatwi”, po czym – jak meldował dowodzący w tamtym regionie książę Chwasułow – „oszukał mnie i wszystko zrobił przeciwnie”⁴⁶. Najgorsze zaś było to, że na większości sejmików posłowie otrzymali instrukcje, by w Warszawie kategorycznie sprzeciwiać się politycznemu równouprawnieniu religijnych dysydentów!

W odpowiedzi rozgoryczony książę Repnin kazał zajmować *manu militari*⁴⁷ dobra nieposłusznych marszałków sejmikowych i co znaczniejszych wyborców (w tym majątek zaprzyjaźnionej do tej pory kasztelanowej kamienieckiej, która niespodziewanie oparła się naciskom generała Kreczetnikowa). W miejscowościach, gdzie zwyciężyli przeciwnicy rosyjskich „punktów”, kazał powtarzać wybory, a w tych, gdzie mógł się tego dopiero spodziewać – wybierać podwójną liczbę posłów, tak aby podczas rugów sejmowych można było oddzielić ziarno od plew oraz światło od ciemności, i przyznać mandaty wyłącznie tym delegatom, którzy głosowali „w duchu zgodnym z Ambasadą”.

Problem w tym, że w Polsce nie można było ufać nikomu, bo nawet ci posłowie, którzy na sejmikach głosowali tak jak trzeba, na sejmie w Warszawie mogli zmienić front, czemu sprzyjała nieustanna agitacja elementu wywrotowego, szerzona zwłaszcza po kościołach i klasztorach.

„Patrz pan, z jakimi poczciwcami mam tu do czynienia i jak przyjemne jest moje położenie – zalił się na swój los książę poseł hrabiemu ministrowi Paninowi. – Zaprawdę, obawiam się, bym w tym rzemiośle, poprzestając z nimi, sam w końcu nie został łotrem!”⁴⁸

Najgorszym ze wspomnianych łotrów był zaś niewątpliwie biskup krakowski Kajetan Sołtyk, którego w swojej korespondencji z Petersburgiem książę Repnin nazywał bez ogródek „Szuja”. „Szuja” bowiem nie tylko bezczelnie agitował po kościołach i na sejmikach, ale śmiał nawet nękać księcia

posła w jego własnej rezydencji, gdzie po aresztowaniu podczaszego Czackiego zjawiał się bez zaproszenia, żeby oświadczyć beczelnie:

– Myśmy narodem wolnym i dlatego mamy prawo tak mówić i działać, jak się nam podoba, i nikt nie jest władny zabronić nam tego. Wszakże Imperatorowa w deklaracjach swoich oświadczyła, że wolnościom naszym ubliżać nie będzie.

– Wysoki dwór nasz – odpowiedział na to, ledwie się hamując, książę Repnin – będzie naturalnie bronić polskiej wolności, lecz należy odróżniać wolność od buntowniczych postępów. Czacki się ich dopuścił, a wszystkich, którzy również pokuszają się o zakłócanie spokoju wewnętrznego, spotka taki sam los, boć sama Rzeczpospolita prosiła nas o opiekę.

– Myśmy nie poddanymi waszymi – zareplikował złośliwie „Szuja”.

– Prawda, lecz sąsiedztwo, alians i samo życzenie Rzeczypospolitej nakładają na Imperatorową obowiązek opiekowania się spokojem domowym tego kraju, nakładania uzdy na tych, którzy ów spokój mącą.

– Poświęcimy życie za wolność naszą! – nie ustępował hardy biskup krakowski.

– Wolność i bunt to dwie różne rzeczy – uciął dyskusję rosyjski poseł pełnomocny. – Kto z was pokusi się wszcząć bunt, niech spróbuje. Rychlej doczeka się słusznej nagrody za taki postępek!⁴⁹

Wkrótce potem książę Repnin ostrzegł krakowskiego infułata przez prymasa Podoskiego, że jeśli na najbliższym sejmie będzie się zachowywał tak, jak na poprzednim i jak u niego w Pałacu Brühlowskim, to spotka go los podczaszego Czackiego, z tą tylko różnicą, że jako wielkiego dygnitarza Rzplitej nigdy go już z więzienia nie wypuszczą. Ale biskup Sołtyk, mimo że jego majątki były już zajęte przez Moskali i doszczętnie przez nich złupione, ani myślał siedzieć cicho.

„Sołtyk w swoim szaleństwie – donosił do Petersburga książę Repnin – nie należy do ludzi, których groźbami i ruiną majątkową uśmierzyć można. Istotnie, trzeba będzie zrobić z nim to, o czym go Podoski uprzedził. Doprowadzi mnie on do ostateczności swoim uporem w sprawie dysydenckiej”⁵⁰; „Dałbym nie wiedzieć co, by sobie stąd gdziekolwiek wyjechał; dojadł mi do żywego!”⁵¹.

„«Szuja», biskup krakowski – denerwował się z kolei hrabia Panin – już obecnie sam dał powód do aresztowania go i trzymania pod kluczem. Jeśli do tego przyjdzie, możecie skorzystać z jego okólnika do sejmików, w którym podniecając naród, przekręca słowa uroczystych deklaracji Jej Imperatorskiej Mości i tym samym obraża Jej uczucia i sposób myślenia”⁵².

Tymczasem atmosfera w kraju wciąż się zagęszczała, zwłaszcza po tym, jak papież ogłosił brewe zachęcające Polaków do wytrwania w miłości do panującej w nim wiary przodków.

„Trudno opisać, jaki tutaj fanatyzm! – skarżył się do Petersburga rosyjski poseł pełnomocny. – Kobiety modlą się codziennie o zbawienie ginącej wiary; księża i kaznodzieje w kazaniach swoich nawołują lud do fanatyzmu, zgodnie z instrukcjami biskupów krakowskiego i kamienieckiego. Nuncjusz, nie kontentując się tym, iż biskup kijowski wydrukował brewe papieskie w przekładzie polskim, wydrukował je i w języku łacińskim i rozdał między ludność. Gdy w publicznych ogrodach, na przechadzkach, spotyka się dysydentów, kobiety, które tutaj rej wodzą, natychmiast się oddalają... Słowem, między publicznością odczuwać się daje tak silne rozjątrzenie, iż gdybym nie znał usposobienia narodu, nie tak łatwo do oporu czynnego pochoptego, mógłbym w każdej chwili oczekiwać wybuchu. Lecz chociaż otwartej walki nie przewiduję, może się jednak wydarzyć jakieś tajne sprzysiężenie, którego ofiarą padnie król”⁵³.

W tej wybuchowej atmosferze – doszedł ostatecznie do wniosku książę Repnin – spraw naprawdę ważnych dla Petersburga nie należało załatwiać z całym przyszłym parlamentem, tylko w znacznie węższym gronie, najlepiej z jakąś skromną delegacją sejmową, której skład dobrałby osobiście spośród najwierniejszych przyjaciół Rosji i płatnych agentów ambasady. Dodatkową zaletą tego rozwiązania było to, że po wynegocjowaniu z tak dobraną delegacją rosyjskiej gwarancji dla Rzeczypospolitej, obejmującej także kwestie politycznego równouprawnienia dysydentów i zachowania w Polsce dawnej formy rządów, zarówno konfederacja radomska, jak i sam polski parlament nie byłyby już odtąd do niczego potrzebne.

Co więcej, genialny w swej prostocie pomysł z delegacją sejmową (zaakceptowany szybko przez hrabiego Panina) był w zasadzie jedynym sposobem, by przeprowadzić na sejmie wszystkie plany Rosji, gdyż pomimo zastosowania przez księcia Repnina wszelkich środków zapobiegawczych, niesforni Polacy po raz kolejny wybrali do parlamentu wielu posłów z gruntu przeciwnych politycznemu równouprawnieniu innowierców i – jeszcze bardziej – rosyjskiej wieczystej gwarancji dla ustroju swego kraju.

Jednak z tego, że był to sposób genialnie prosty i w zasadzie jedyny, nie wynikało wcale, że da się go łatwo wprowadzić w życie, ponieważ już na

pierwszej sesji nowo wybranego sejmu – i to pomimo obstawienia zamku królewskiego i całej Warszawy moskiewskimi żołdatami – „Szuja” biskup krakowski, wspierany przez biskupa kamienieckiego Adama Krasińskiego, biskupa kijowskiego Andrzeja Józefa Załuskiego, hetmana polnego koronnego Wacława Rzewuskiego oraz jego syna Seweryna, starostę dolińskiego, zaczął perorować, że wszystkie przyjęte przez ten sejm prawa i projekty będą z góry nieważne jako uchwalone pod obcym przymusem. Oświadczył także, iż ani konfederacja radomska, „będąca pod wpływem najdzikszej przemocy”⁵⁴, ani wysłana przez nią do Moskwy delegacja nie miały prawa przedsiębrać, „co tylko cała na sejmie czynić może Rzeczpospolita”⁵⁵, gdyż tylko „Rzplita, w trzech stanach na sejmie zgromadzona, jako absolutna pani, ma wolność i moc, też konfederacji ustawy roztrząsać, aprobować lub reprobować, przyjąć lub całkiem odrzucić”⁵⁶.

„Szuja”, biskup krakowski, i jego akolici odrzucili również zgłoszoną przez księcia Radziwiłła jako marszałka sejmu propozycję wydzielenia z parlamentu specjalnej delegacji do przygotowania wraz z księciem Repninem traktatu gwarancyjnego z Rosją i zażądali w zamian wysłania do posła rosyjskiego innej deputacji z prośbą, aby „nam okazał swoje pełnomocnictwo, o którym bez ustanku prawi, dla przeświadczenia nas, że go istotnie upoważnia do zuchwalstwa, z jakim sobie u nas poczyną, gdy śmie w naszym własnym kraju pastwić się nad obywatelami, więzić ich, pustoszyć dobra nasze, gwałcić narady i prawa nam przepisywać”⁵⁷, jako że jego gwałtowne postępowanie „jest wprost przeciwne deklaracjom imperatorowej”⁵⁸ i „zadaje ciągle kłam zaręczeniom publicznie głoszonym”⁵⁹.

Jakby tego wszystkiego było jeszcze mało, biskup kijowski Andrzej Józef Załuski ostro wystąpił przeciw innowiercom, zarzucając im, że postępują według zasady Machiavellego: „Chcesz być niewinnym, oskarżaj jako pierwszy”, i przypomniał, że taką tolerancją, z jakiej korzystają w Polsce, nie cieszą się oni nigdzie na świecie.

Przerażony król nie zgodził się na wysłanie podobnej deputacji do ambasadora Rosji i przerwał posiedzenie sejmu, ale księżę Repnin, przysłuchujący się obradom z ukrycia, i tak uznał, że tym razem miarka się przebrała.

Toteż parę dni później kazał swoim żołnierzom aresztować głównych podżegaczy: biskupów Kajetana Sołtyka, Adama Krasińskiego i Andrzeja Józefa

Załuskiego oraz hetmana Wacława Rzewuskiego i jego syna Seweryna. Z wyjątkiem biskupa Krasieńskiego, który w ostatniej chwili zdołał uciec z Warszawy w przebraniu, wszystkich pozostałych wzięto w nocy, niekiedy wprost z łóżek, wyłamując bramy do ich pałaców, po czym przewieziono ich pod eskortą do Pałacu Brühlowskiego. Nad przebiegiem całej akcji czuwał osobiście książę Repnin, ubrany na tę okazję w generalski mundur.

Nocne porwanie senatorów i posła obradującego sejm wywołało burzę w całej Warszawie. Książę Karol Radziwiłł płakał z rozpaczy i chciał złożyć łaskę marszałkowską, książę Michał Fryderyk Czartoryski domagał się interwencji króla u posła rosyjskiego, prymas Podoski umywał od wszystkiego ręce, Stanisław August zaś, który zawsze opowiadał, jak bardzo nienawidzi łowów, na wszelki wypadek wybrał się od razu na polowanie.

Dopiero następnego dnia, za ostrożną zgodą króla, zdesperowani posłowie i senatorzy wysłali do księcia Repnina delegację z zapytaniem, dlaczego kazał porwać ich kolegów, jak też z pokorną prośbą, by raczył ich uwolnić. W odpowiedzi rosyjski poseł pełnomocny oświadczył, że biskupi krakowski i kijowski, a także hetman polny koronny i jego syn zostali aresztowani, ponieważ zapomnieli o godności Najjaśniejszej Imperatorowej Wszech Rosji, oczerniając jej zbawienne dla Polski zamysły. Zaznaczył przy tym, że aresztowań dokonało wojsko przyjacielskie i pomocnicze Rzeczypospolitej, które dalej będzie pełnić swoją powinność, dopóki pragnienia narodu polskiego, wyłuszczone jasno w akcie konfederacji radomskiej, nie zostaną w pełni urzeczywistnione. A kto będzie się temu sprzeciwiał, ten zostanie uznany za nieprzyjaciela Jej Imperatorskiej Mości i potraktowany niczym wróg własnej ojczyzny, ze wszystkimi wynikającymi z tego konsekwencjami.

Na koniec dodał, że aresztowanych nie uwolni, a tak w ogóle i na przyszłość, to on, jako ambasador Rosji, absolutnie nie musi tłumaczyć się komukolwiek ze swoich czynów.

Po powrocie delegacji na zamek Stanisław August rozłożył ręce, uznając, że „na cóż się przyda to rozpościerać żalność, co już nie jest w naszej mocy?”⁶⁰ i zasugerował, że należy tak postępować, „gdy już nie może być dobrze, żeby przynajmniej było nam jak najmniej źle”⁶¹.

Zebrani na zamku posłowie i senatorowie Rzeczypospolitej ze łzami w oczach podzielili ten punkt widzenia, z jednym wyjątkiem kanclerza wielkiego koronnego Andrzeja Zamoyskiego, który na znak protestu podał się do dymisji.

Wakat na tym wysokim urzędzie nie trwał zresztą długo, bo wkrótce potem, na prośbę księcia Repnina i za zgodą króla, kanclerstwo wielkie koronne przeszło w ręce oddanego, chociaż płatnego przyjaciela Rosji, biskupa przemyskiego Andrzeja Młodziejowskiego.

Niewiele później parlament zgodził się bez szemrania powołać delegację sejmową mającą pod okiem księcia Repnina przygotowywać traktat gwarancyjny z Rosją. Oprócz zdeklarowanych kanalii weszło do niej także kilkunastu przyzwoitych posłów mających mimo wszystko nadzieję, że uda się im w niej zrobić coś dobrego dla Polski.

Tymczasem triumfujący książę Repnin po prostu wysłał swoich więźniów na wschód.

Kibitki uwożące z Polski trzech porwanych senatorów i starostę dolińskiego eskortowało zaledwie stu kozaków i to bynajmniej nie czugujewskich, a jednak, choć przemierzały one kraj nieśpiesznie, w tempie właściwszym raczej dla konduktu pogrzebowego niż dla bojącej się pościgu szajki porywaczy, i mijały po drodze wiele miejscowości, w których znajdowały się mniejsze lub większe oddziały polskie, urządzając sobie nawet dłuższy popas w Wilnie, gdzie stacjonował spory polski garnizon, nikt nie podjął próby zbrojnego odbicia jeńców. Po prawdzie nie było takiego rozkazu, lecz przede wszystkim zabrakło do tego woli i odwagi. Współczucie i solidarność rodaków wobec aresztantów ograniczały się do kawałka chleba albo dzbana wody, które – zazwyczaj na próżno – próbowali im podawać na postojach, najczęściej zaś kończyły się na lamentach, biciu w dzwony, czynionym z rozpaczą znaku krzyża bądź na wypowiedzianych pod nosem przekleństwach.

Rosyjski poseł pełnomocny w Warszawie śledził marsz swoich kozaków z wielką uwagą. Kiedy konwój, nie niepokojony przez nikogo, przekroczył wreszcie granicę Rosji i skierował się do Kaługi, wyznaczonej aresztantom na miejsce zsyłki, odetchnął z ulgą i nabrał niewzruszonej pewności, że Polska ma już przetrącony kręgosłup i że teraz, jeśli tylko zechce, może z nią zrobić wszystko, nawet narzygać albo oddać mocz na podgolone łby i kontusze jej dygnitarzy.

Od tej pory traktował Polaków – tę bandę śmierdzących tchórzy, za jakich ich teraz uważał – niczym jeńców wojennych, a nawet gorzej, bo jak własnych chłopów pańszczyźnianych.

Nielicznych posłów i senatorów przychodzących do niego nadal, by upomnieć się o porwanych przyjaciół i współobywateli, straszył przez pułkownika Karra: „Nie na tym co się stało, koniec, ale jeszcze głowy będą latały”⁶². Nie inaczej potraktował też pana Stanisława Brzostowskiego, marszałka konfederacji radomskiej na Litwie, któremu oświadczył w podobnych okolicznościach: „W co waść dufacie? Ja, mając czterdzieści tysięcy wojska w kraju, nie dlatego tu jestem z nimi, aby obłąpiali, ale żeby sprzeciwiających się bili i przymuszali. Jest to równo dla mnie, czy wziąć księcia prymasa, czy pana Bohomolca, czy wszystkich, tak jak pierwszych wzięto”⁶³. Jeszcze brutalniej obszedł się z posłem Józefem Pułaskim, starostą wareckim, który wraz z paroma towarzyszami śmiał go molestować o przywrócenie wolności wywiezionym do Rosji parlamentarzystom – bo po prostu publicznie kopnął go w zadek.

Króla Stanisława Augusta nie traktował zresztą dużo lepiej.

W przeciwieństwie do polskiego monarchy, uważającego za naturalne, że nie powinno się zaczynać żadnego koncertu czy przedstawienia, póki ambasador Rosji nie zajmie swojego miejsca w łoży honorowej, sam nie miał podobnych względów dla gospodarza kraju, w którym miał zaszczyt być akredytowany.

Któregoś razu, na maskaradzie u księcia Radziwiłła, kiedy król miał ochotę wstrzymać rozpoczęcie tańców do czasu, aż zakończy się wieczerza w sali, gdzie biesiadowano, gdyż tamto pomieszczenie było większe, kazał powiedzieć monarsze, by tańce rozpoczęto zaraz, w innym pomieszczeniu. A gdy Stanisław August poprosił go przez posła angielskiego, aby zaczekał, aż większa komnata zostanie uprzątnięta, prychnął ze złością: „Tak być nie może, a jeśli król nie przyjdzie na salę, to każę rozpocząć tańce bez niego!”⁶⁴ Kiedy indziej, na przyjęciu u prymasa, gdy towarzyska konwersacja zesłała na ciężką dolę władców, którzy, pozbawieni z różnych powodów tronu, musieli się imać jakiejś pracy, i Pierwszy Skrzypek stwierdził kokietyjnie, że on, postawiony przez zły los w podobnej sytuacji, niechybnie umarłby z głodu, jako że nie zna żadnego innego fachu oprócz królowania, ksiązę Repnin zaoponował rozbawiony: „Za pozwoleniem, Wasza Królewska Mość jesteście wyśmienitym tancerzem”⁶⁵.

Najbardziej jednak lubił upokarzać króla w cztery oczy, zwłaszcza wtedy, kiedy ten przychodził do niego po pieniądze. Tłumaczył mu wówczas, że po ostatniej, siedmioletniej wojnie, skarb Rosji świeci pustkami i jeśli nawet, od czasu do czasu, pojawia się w nim garść srebra lub złota, to najpierw musi być przeznaczona na armię ze względu na agresywną postawę Turcji, której wyraźnie

nie podoba się przynoszące tak piękne owoce rosyjsko-polskie zbliżenie. Król po tych albo po podobnych wyjaśnieniach (miejsce Turcji mogła zająć Austria, Szwecja albo Prusy) najczęściej uderzał w płacz i o to właśnie chodziło.

Bo jeśli, zgodnie z wcześniejszym założeniem, królewskie łyzy zdołały utworzyć na wykrochmalonym gorsie monarchy plamę większą od monety jednotalarowej, książę Repnin uśmiechał się słodko i ze słowami: „Kto wie, czy to już nie ostatni raz?”, wręczał królowi sakiewkę z pieniędzmi. Jeśli jednak Stanisław August wytarł oczy koronkowym mankietem zbyt wcześnie, rosyjski poseł pełnomocny rozkładał ręce i prosił go z najwyższym żalem, by w sprawie swojej comiesięcznej zapomogi zajrzał do niego za dwa lub trzy tygodnie, a wtedy zobaczy, co się da zrobić.

Co ciekawe, nie inaczej traktował też książę Repnin najwierniejszych przyjaciół Rosji, w większości utrzymanków ambasady, których sam wyznaczył do delegacji sejmowej pracującej nad traktatem gwarancyjnym z Rosją. „Waszeć za młody jesteś *l'abbé*, by mówić ze mną”⁶⁶ – sztorcował na przykład starszego od siebie o siedemnaście lat biskupa Andrzeja Młodziejowskiego, nowego kanclerza wielkiego koronnego. „Dziwny wy naród – brzydki naród! – wymyślał innym, zachęcając ich do bardziej wyteżonej pracy. – Jak wy by byli inny naród, to wy już by się bili! A jak się nie chcecie bić, to róbcie, co wam każą!”⁶⁷. Uprzedzał też delegatów, aby na zbliżającym się sejmie nie próbowali zmieniać w żaden sposób uzgodnionych już projektów: „Ostrzegam panów, abyście nie przeszkadzali na sesji sejmowej czytaniu projektów ugodzonych i aprobowanych przez waćpanów, bo inaczej tak skończę, jakem zaczął i przestrzegam, że gdy przyjdzie do tego, nie tylko trzech, ale i trzydziestu wezmę!”⁶⁸

Kilku członkom delegacji sejmowej – pisarzowi witebskiemu Piotrowi Bohomolcowi, kasztelanowi wiślickiemu Rochowi Jabłonowskiemu i staroście ziołowskiemu Michałowi Janowi Pacowi – traktującym swoją pracę nader serio i zgłaszającym wciąż nowe uwagi i wątpliwości związane z traktatem, regularnie odbierał głos lub krzyczał na nich: „Dosyć już tych żartów! Przypomnijcie sobie waćpanowie, z kogo żartujecie!”⁶⁹, „Uważ, co na siebie ściągnąć możesz!”⁷⁰, „Paszoł won na swoje miejsce! Jak przyjdzie na ciebie kolej, to powiesz swoje zdanie”⁷¹ albo: „Twoim manifestem tyle wskórasz i tego on wart będzie, żebyś za niego... w tył wziął nogą!”⁷² Innych straszył, że ich oćwiczy „batożkami” bądź „dubiną”, albo że ich również każe wywieźć do Rosji, bo – jak lubił powtarzać – „kibitki już w pogotowiu!”⁷³. Kiedy nie spodobał mu się projekt jakiegoś

artykułu, darł go po prostu na strzępy i kazał go pisać od nowa. A jeśli któryś z delegatów opierał się temu lub zaczynał coś mrużyć pod nosem, do akcji wkraczał niezawodny biskup kujawski Antoni Kazimierz Ostrowski, nie na darmo biorący z kasy ambasady aż 1500 złotych polskich miesięcznie, i ująwszy takiego wyrodka pod ramię, perswadował mu po przyjacielsku: „Piszmy, co nam każą, żeby się pan poseł bardziej nie rozzłościł”⁷⁴.

Wszystko to sprawiało księciu Repninowi sporo satysfakcji, najbardziej jednak cieszył go fakt, że do udziału w delegacji sejmowej przygotowującej traktat gwarancyjny z Rosją zmusił także dwóch dotychczasowych śmiertelnych wrogów – księcia Karola Stanisława Radziwiłła i księcia Michała Fryderyka Czartoryskiego. Choć nie uczestniczyli oni w pracach delegacji zbyt aktywnie, ograniczając się na ogół podczas jej posiedzeń do obrzucania się nawzajem obelgami, zjadliwymi docinkami i nienawistnymi spojrzeniami, to jednak sama ich obecność w tym gremium była absolutnie bezcenna, ponieważ dowodziła wszem wobec, że uczciwa i wyteżona praca dla dobra Polski, pod warunkiem, że było ono tożsame z dobrem Rosji, potrafi połączyć nawet najzagorzalszych przeciwników i może być wzorem dla wszystkich Polaków, jak osiągnąć polityczną i moralną jedność, której skołatana Rzeczpospolita tak bardzo potrzebowała.

A jeśli kogoś jeszcze brakowało księciu Repninowi w jego orkiestrze symfonicznej, grającej teraz zaiste fenomenalnie i naprawdę „*pa duszam*” (czy – jak by powiedział przemądrzały nieboszczyk hrabia Keyserling – *molto cantabile*), to wyłącznie najbardziej nieprzejednanych członków republikańskiej opozycji, z biskupem „Szuja” Sołtykiem na czele. Na szczęście, kiedy najwyższemu przedstawicielowi Rosji w Warszawie doniesiono, że jego ekscelencja biskup krakowski po wywózce do Kaługi, z braku możliwości rozwijania jakiegokolwiek działalności politycznej, nauczył się tam robić na drutach i zajął się wyrobem ciepłych wełnianych czapek, szalików i gaci, księżę Repnin przebolewał w końcu tę stratę.

Gdy któregoś razu zazdroszczący mu wyraźnie sukcesów pan Benoît (w Petersburgu przeważał chwilowo pogląd, że rosyjski lew nie powinien dzielić się swoją zdobyczą z pruską hieną) zapytał go, czy nie boi się, że Polacy mogą w końcu się zbuntować, księżę Repnin odpowiedział nonszalancko:

– Jak chcą, niech spróbują. Szczerze mówiąc, zbrzydło mi już to siedzenie bez sensu w Warszawie. Za byle drobiazg muszę tutaj płacić każdej poselskiej

kanalii prawdziwe krocie. Żeby choć brali i robotę robili! Ale oni biorą i nawet palcem w bucie nie kiwną!

W rzeczywistości nie było tak źle. Choć Polacy, jak to Polacy, tracili dużo czasu na jałowe dyskusje, dzielenie włosa na czworo, szlifowanie po wielokroć tych samych fragmentów tekstu, wsadzanie do niego rozmaitych łacińskich sentencji i uczonych terminów, które rosyjski poseł pełnomocny – nieznoszący wszystkiego, co pochodziło z Rzymu, a nie z Grecji – musiał potem bezwzględnie usuwać, praca nad traktatem zbliżała się z wolna do końca.

A kiedy ów koniec był już naprawdę bliski, ksiązę Repnin coraz częściej i coraz zuchwalej widział się w marzeniach u boku swej Najjaśniejszej Pani.

Nie, nie musiał być od razu jej Pierwszym Kochankiem. Wiedział przecież dobrze, że ta najwyższa na świecie godność nie zależała bynajmniej od urodzenia, rangi czy jakichkolwiek zasług osobistych tych, którzy do niej aspirowali, ale wyłącznie od woli, a nawet od kaprysu Imperatorowej, obdarzającej swoich wybranków tym zaszczytem równie arbitralnie, jak Bóg albo Natura (według modnych *philosophes*) darzą ludzi urodą, zdrowiem lub bogactwem. A skoro ten niebywały honor zależał wyłącznie od jej woli bądź kaprysu, to w gruncie rzeczy Pierwszym Kochankiem mógł zostać każdy, nawet jakaś skończona swołocz, całkiem jak w przypadku owej hołoty – jakichś rybaków, celników czy poborców podatkowych – którą, jak mu kiedyś powiedział Patriarcha Moskwy, Chrystus powołał na swoich uczniów.

Zresztą, co tu owijać w bawełnę, kimże, jak nie skończoną swołoczą, *job ich materi*, byli dotychczasowi Pierwsi Kochankowie Najjaśniejszej Pani? Taki, dajmy na to, szambelan Sałytkow albo podkomorzy Naryszkin, miauczący godzinami pod jej sypialnią w oczekiwaniu, aż mu pozwoli wejść do środka, czy nawet ten polski królik Poniatowski, przestępujący nieraz z nogi na nogę przed nim, rosyjskim posłem pełnomocnym w Warszawie, i z rozmazanym od płaczu pudrem na mordzie skamlący o garść rubli? Jakież to oni mieli zasługi? Chyba tylko takie – liczone na werszki i pudy i mierzone wytrzymałością serca i lędźwi – jak pierwszy lepszy przystojny huzar czy byle zgrabny kirasjer trzymający wartę w cesarskim pałacu, którego Katarzyna potrafiła wezwać znienacka do swojej sypialni, zwalnając go tym samym z innych obowiązków. Kimże wreszcie, jak nie zwykłą, parszywą swołoczą, był jej aktualny Pierwszy Kochanek hrabia Grigorij Orłow, a także przynajmniej dwaj z jego braci, Fiodor i Aleksy, synowie prostego żołnierza ściętego osobiście przez Piotra Wielkiego,

których też niekiedy dopuszczała do swoich wdzięków? Wszak ich jedyną chyba zasługą dla Rosji był udział w spisku na życie jej małżonka Piotra III, a może nawet własnoręczne zamordowanie Jego Imperatorskiej Mości, za co, zgodnie z wszelkimi zasadami logiki i polityki, już dawno powinni byli sami przepaść bez śladu – uduszeni, zadźgani, utopieni, otruci bądź powieszani za żebro na rzeźnickim haku – a jednak ciągle żyli jak pączki w maśle i trzęśli Rosją jak ulegątką, obdarowywani wciąż nowymi tytułami, wysokimi stopniami oficerskimi – z feldmarszałkowskim włącznie – majątkami ziemskimi z tysiącami dusz, wspaniałymi pałacami zbudowanymi przez zagranicznych architektów i wielkimi jak Kaukaz górami pieniędzy. „Mały człowiek z wielkim fiutem!” – myślał z pogardą o hrabim Orłowie książę Repnin, cytując z lubością tytuł książki pożyczonej niedawno od pana Benoît, która tylko dlatego zwróciła jego uwagę, że skojarzyła mu się od razu ze znienawidzoną osobą aktualnego Pierwszego Kochanka Jej Imperatorskiej Mości.

Nie, bycie Pierwszym Kochankiem Najjaśniejszej Pani leżało zdecydowanie poniżej godności księcia Repnina, jakkolwiek by było, potomka starego książęcego rodu władającego samodzielnie księstwem czernihowskim do czasów Iwana Groźnego, uczestnika w stopniu generała majora ostatniej siedmioletniej wojny, negocjatora pokoju z Fryderykiem II, posła rosyjskiego w Berlinie i w Warszawie, prawdziwej gwiazdy rokowań pokojowych w Hubertusburgu i co najważniejsze, męża siostrzenicy pierwszego ministra Imperium.

Osobiście rosyjski poseł pełnomocny w Warszawie wołał być kochankiem drugim, trzecim, czwartym, a nawet piątym, i to bynajmniej nie ze względów bezpieczeństwa, tylko dlatego, że gardził przypadkiem, więc mniej zależne od przypadku niższe pozycje w miłosnej hierarchii pozwalałyby mu zachować więcej szacunku dla samego siebie. I choć wszyscy drugo-, trzecio-, czwarto- i piątorzędni kandydaci na carskich amantów musieli przejść obowiązkowe i dość upokarzające oględziny lekarskie oraz poddać się wyczerpującej próbie sprawnościowej przeprowadzanej na rozkaz Jej Imperatorskiej Mości przez którąś z jej zaufanych „*probirszczyc*”, to jednak właśnie wśród kochanków niższej rangi zaczynały się liczyć prawdziwe walory osobiste i zasługi dla Rosji.

A któż mógł mieć ich więcej od niego, Mikołaja Wasiliewicza Repnina, rzucającego właśnie do stóp Jej Imperatorskiej Mości Rzeczpospolitą Polską, tak jak się rzuca zdobyczny nieprzyjacielski sztandar lub świeżo pohańbioną brankę? W dodatku na Polsce nie musiało się przecież kończyć, wszak za nią leżały

Niemcy, a dalej Francja, Hiszpania i Portugalia, w innym zaś kierunku, za morzem, Dania, Szwecja i Anglia, a na niezmiernym Wschodzie – Turcja, Chiny i Japonia. Iluż wspaniałych czynów mogliby razem dokonać, gdyby tylko Najjaśniejsza Pani raczyła go docenić, jak na to zasługiwał! I jakąż nieśmiertelną sławą mogliby się okryć oboje!

Bo przecież jeśli już teraz, z powodu właściwie bezbronnej Polski, najtęższe głowy tego wieku, jak choćby niezrównany pan Wolter, nazywały Katarzynę II „Semiramidą Północy” lub „Gwiazdą Polarną” i zachęcały Polaków, by całowali jej ręce i nogi, dziękując jej na kolanach za wysłanie do nich wojska, które niesło im pokój i sprawiedliwość, to aż trudno sobie wyobrazić, jak by ją one mogły nazywać i co jeszcze o niej głosić (zwłaszcza jeśli im sypnąć trochę więcej rubli), gdyby armia rosyjska pod jego dowództwem, w ramach dalszego zbierania ziem ruskich, zaprowadziła ład i porządek także w dalekich Chinach, Indiach czy Japonii, i nauczyła nieco kultury tamtejszych dzikusów?

Rosyjski poseł pełnomocny w Warszawie mocno wierzył w to, że dzień jego tryumfu jest już bliski. Dlatego, aby wraz z nadejściem owego wielkiego dnia nie zawieść swojej Najjaśniejszej Pani, o której wymaganiach krążyły prawdziwe legendy, bardzo dbał o swoje zdrowie i kondycję. Zażywał regularnie przechadzek oraz ciepłych i zimnych kąpiel, prawidłowo się odżywał, robił regularnie pompki i przysiady, ćwiczył fechtunek i podnosił codziennie dwupudowe ciężary. Spożywał ponadto spore ilości najprzeróżniejszych afrodyzjaków, spośród których najbardziej cenił sobie młode szparagi, smardze i świeże trufle, bladozielone pędy pora, astrachański kawior, śródziemnomorskie *frutti di mare*, soczyste węgierskie morele z dodatkiem pszczelego mleczka, truskawki z francuskim szampanem, ostrygi z Morza Północnego, drobno siekane tatarskie befsztyki i mocno dojrzałe kozie sery, choć oczywiście nie zapominał także o znacznie mniej smacznych, choć równie skutecznych środkach, takich jak hiszpańska mucha, popiół ze spalonych skorupki orzechów laskowych czy wyciąg z kory drzewa *johimba*, sprowadzanej z Afryki razem z niewolnikami, który budził w nim zawsze demona chuci. W razie potrzeby gotów był również ściągnąć z Chin niezwykle kosztowny proszek z rogu nosorożca, stawiający ponoć na baczność nawet umarłych, lecz żeby się na to zdecydować, musiał mieć najpierw pewność, że tak wielki wydatek nie pójdzie na marne.

Póki tej pewności nie miał, wolał dużo praktykować, nie zawsze zresztą z księżną Izabelą, co nie tylko wychodziło taniej, lecz było również znacznie

przyjemniejsze. A choć w miłosnym szale niekiedy się mylił i zwracał się do Izabeli Czartoryskiej „Najjaśniejsza Pani”, nie pociągało to za sobą żadnych konsekwencji, ponieważ księżna Izabela, zbyt mądra, by unosić się gniewem z tak błahej przyczyny, dziękowała mu zawsze za te słowa jak za najwyższy komplement i dopiero potem, kiedy się odwrócił, uśmiechała się kwaśno do ściany.

Podczas gdy książe Repnin, na razie tylko w marzeniach, zażywał szczęścia z carycą, prace delegacji sejmowej dobiegły szczęśliwie końca i 27 lutego 1768 roku, po paru miesiącach nieustannego użerania się z jej niesfornymi członkami, rosyjski poseł pełnomocny w Warszawie mógł wreszcie zasiąść na honorowym miejscu w izbie poselskiej, aby wysłuchać gotowych projektów traktatu gwarancyjnego między Polską i Rosją oraz uchwały przyznającej równouprawnienie polityczne polskim innowiercom.

Zgodnie z tym, co wcześniej zapowiedział sejmującym stanom, oba projekty nie podlegały żadnej dyskusji ani poprawkom i musiały zostać przyjęte na ostatniej sesji sejmowej 5 marca. Mimo to ponurą ciszę, w jakiej słuchano owych projektów, zakłócił niespodziewanie czyjś młodzieńczy głos:

– Mości książe marszałku, proszę o głos.

To zuchwałe żądanie wywołało powszechne zdumienie. Król zerwał się z tronu, pytając o nazwisko śmiałka. O to samo dopytywał się z oburzeniem książe Repnin. Tymczasem młody, najwyżej dwudziestoletni poseł ciągnął dalej, jakby nigdy nic:

– Ponieważ, książe marszałku, nie dajesz mi głosu, wbrew prawu, którego nic zmasać nie potrafi, a które posłowi wolnemu mówić pozwala na każdym sejmie, przymawiam się więc najmniej, iż gdy nie widzę zwróconych na łono senatu uwięzionych senatorów i do stanu rycerskiego przywróconego posła, nie widzę też wolnego sejmu, ale widzę tylko gwałt i przemoc moskiewską, przeciwko tej więc protestuję!

Ponieważ sejm obradował pod wężem konfederacji, co oznaczało, że uchwały podejmowano na nim większością głosów i żadne *liberum veto* nie było go w stanie zerwać, tak jawne przeciwstawienie się woli rosyjskiego ambasadora nie tylko zaskoczyło, ale i przeraziło większość sejmujących, którzy zaczęli podejrzewać, że w słowach młodego posła mogło się kryć wezwanie do jakiejś mogącej wybuchnąć lada chwila rewolucji. Na wszelki wypadek wszyscy

pozostali więc na swoich miejscach, podając sobie tylko z ust do ust domniemane nazwisko buntownika: Dybicki, Żabicki, Izbicki, Babicki...⁷⁵

– Szybciej Pojebicki! – szepnął do ucha pobladłemu księciu Repninowi prymas Podoski. – Bo trzeba być naprawdę zdrowo pojebanym, żeby tak szkalować Rosję!

– Że Pojebicki, to sam widzę – wysyczał z wściekłością rosyjski dyplomata. – Ale dlaczego nikt go nie łapie, nie wsadza w dyby, nie wlecze do *tiurmy*?!⁷⁶

„Bo ludzie nie są głupi i wiedzą, że kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie, i że ten się śmieje, kto się śmieje ostatni” – chciał mu już odpowiedzieć prymas Polski, ale w porę ugryzł się w język i jedynie wzruszył ramionami, bo cóż go to właściwie obchodziło?

Tymczasem młody człowiek, co do którego szybko ustalono, że nazywa się Józef Wybicki i jest posłem z Prus Królewskich, ani myślał czekać, aż go zaczną łapać, zakuwać w dyby i wlec do więzienia, tylko szybko opuścił izbę i niezatrzymywany przez nikogo, nawet przez Moskali, niemających jeszcze takiego rozkazu, ukrył się czym prędzej gdzieś na mieście.

Kozacy szukali go na próżno jeszcze przez parę dni, póki ksiązę Repnin nie machnął na niego ręką, bo wobec innych, dużo ważniejszych spraw, które układały się wręcz znakomicie, bezczelny wybryk jakiegoś niedowarzonego młodzieńca („Jak dojrzeje, to zmądrzeje”) nie miał w gruncie rzeczy większego znaczenia.

Na ostatniej sesji sejmu w dniu 5 marca posłowie przyjęli bez szemrania wszystko, co w kwestii dysydentów i traktatu gwarancyjnego z Rosją zechciał im narzucić. W końcowym słowie marszałek rozwiązującej się konfederacji radomskiej i sejmu delegacyjnego, ksiązę Karol Stanisław Radziwiłł, podziękował, jak należało, Bogu, królowi, wszystkim stanom i Najjaśniejszej Imperatorowej, która się tak „łaskawie i skutecznie do interesów Rzplitej przez JO wielkiego posła swego ks. JMC Repnina, wielkiego ministra wmieszać raczyła”⁷⁷. Następnie, zgodnie z polskim obyczajem, przedstawiciele sejmujących stanów ucałowali kolejno rękę swojego monarchy, wysłuchali uroczystej mszy w katedrze św. Jana, odśpiewali chórem *Te Deum laudamus* – i rosyjski poseł pełnomocny w Warszawie mógł nareszcie uznać, że Polska została zdobyta.

Ksiązę Mikołaj Wasiliewicz Repnin był przy tym niezmiernie dumny, że to dzięki niemu Polska została zdobyta w sposób „kulturny”, ze wszech miar

przyzwoicie i postępowo, tak jak przystało na Wiek Rozumu: bez krwawych jatek w staroświeckim pruskim stylu, bez łun pożarów, bez bombardowania miast, bez gwałcenia kobiet, bez rozpruwania brzuchów, bez podrzynania gardeł i zdzierania ostatniej koszuli z ludności cywilnej i właściwie także bez jednego wystrzału, jeśli nie liczyć potyczki sprzed paru lat z byłym wojewodą wileńskim.

Co więcej, to dzięki niemu, księciu Mikołajowi Wasiliewiczowi Repninowi, Polska została zdobyta w sposób nowoczesny, czy wręcz nowatorski, który mógł stać się przykładem dla innych państw, jak rozstrzygać konflikty międzynarodowe humanitarnie, a więc głównie przy pomocy kunsztu dyplomatycznego z naprawdę niewielkim dodatkiem złota, jak też w oparciu o zasady polityczne i wartości moralne cenione w całym cywilizowanym świecie: obronę swobód i wolności osobistej przed zakusami despotyzmu, równość obywateli wobec prawa, demokrację, poszanowanie praw mniejszości, tolerancję religijną oraz ideę współpracy i dobrego sąsiedztwa między państwami i narodami.

Za największy zaś tytuł do chwały rosyjski poseł pełnomocny poczytywał sobie to, że Polska została zdobyta całkowicie legalnie, bo – dzięki jego nieodpartej sile perswazji – wszystkie istotne z punktu widzenia prawa akty ograniczające suwerenność Rzeczypospolitej zostały formalnie przyjęte przez jej najwyższe władze – króla, sejm i senat.

Księżę poseł wiedział, że dokonał rzeczy wiekopomnej, prawdziwego majstersztyku, który prędzej czy później przesunie granice Rosji daleko na zachód. Był też absolutnie pewny, że Najjaśniejsza Pani będzie umiała to docenić, więc oczami duszy widział się teraz niemal bez przerwy na jej mlecznobiałym, drżącym z rozkoszy łonie.

Dlatego kiedy – krótko po swoim niebywałym tryumfie w sejmie i gdy zamówił już w Chinach sproszkowany róg nosorożca – dowiedział się, że w jakimś zapyziałym miasteczku Bar na Podolu, zamieszkanym w większości przez Żydów, zawiązała się kolejna konfederacja w obronie wiary katolickiej i niepodległości Polski, wymierzona tym razem bezpośrednio w Rosję, a na jej czele stanął starosta warecki Józef Pułaski, którego raczył kiedyś publicznie kopnąć w dupę, z początku zupełnie się tym nie przejął.

Gdy jednak dwa lub trzy tygodnie później okazało się, że do tej nowej polskiej konfederacji garną się tysiące ochotników, w tym także całe oddziały polskiego wojska, zląkł się nie na żarty i zaczął mocno żałować, że kiedy miał do

czynienia z owym Józefem Pułaskim, nie skorzystał z okazji, by kazać kozakom zarażać go szablami bądź nawlec, jak przeznaczone do pieczenia prosię, na długą wojskową pikę.

I w związku z tym nowym niebezpieczeństwem na wszelki wypadek wstrzymał wyjście z Polski armii rosyjskiej, które w nagrodę za uchwalenie traktatu gwarancyjnego z Rosją obiecał Pierwszemu Skrzypkowi i sejmującym stanom.

¹ Do greckich Kalend (łac.), używane przez Rzymian w znaczeniu „do terminu, który nigdy nie nastąpi”, „na święty Nigdy”.

² Tamże, s. 166-168.

³ Tamże, s. 171.

⁴ Tamże, s. 161-162.

⁵ Tamże, s. 176.

⁶ Tamże, s. 181.

⁷ Tamże, s. 179.

⁸ Do usranej śmierci (łac.).

⁹ Jak sobie życzyście, parszywe gady (ros.).

¹⁰ Bunt, rebelia (ros.).

¹¹ Kraushar, *Książę Repnin*, t. I, s. 266.

¹² Tamże, t. II, s. 101.

¹³ Tamże, t. I, s. 225.

¹⁴ Tamże, s. 254-255.

¹⁵ Mimochodem (franc.).

¹⁶ Kraushar, *Książę Repnin*, t. I, s. 251.

¹⁷ Tamże, s. 252.

¹⁸ Dionizy Sidorski, *Panie Kochanku*, Katowice 1987, s. 155.

¹⁹ Kraushar, *Książę Repnin*, t. I, s. 268-269.

²⁰ Tamże, s. 269.

²¹ Tamże, s. 331.

²² Tamże, s. 298.

²³ Tamże, s. 295-296.

²⁴ Tamże, s. 296.

²⁵ Tamże, s. 299.

²⁶ Tamże, s. 385.

²⁷ Tamże.

²⁸ Tamże.

²⁹ Za legalne (łac.).

³⁰ *Książę Repnin*, t. I, s. 386-387.

³¹ Tamże, s. 386.

³² Sidorski, *Panie Kochanku*, s. 163.

- ³³ Na szkodę (łac.).
- ³⁴ Publicznie (łac.).
- ³⁵ W pełni i cała (łac.).
- ³⁶ Zgodnie z literą prawa, sprawiedliwością i uczciwością (łac.).
- ³⁷ Kraushar, *Książę Repnin*, t. I, s. 303.
- ³⁸ Tamże, s. 277.
- ³⁹ Tamże, t. II, s. 41-42.
- ⁴⁰ Tamże, s. 42-43.
- ⁴¹ Tamże, s. 41.
- ⁴² Tamże, t. I, s. 368.
- ⁴³ Tamże, s. 323.
- ⁴⁴ Tamże.
- ⁴⁵ Tamże, s. 325.
- ⁴⁶ Tamże.
- ⁴⁷ Zbrojnie (łac.).
- ⁴⁸ Kraushar, *Książę Repnin*, t. II, s. 14-15.
- ⁴⁹ Tamże, s. 15.
- ⁵⁰ Tamże, s. 16.
- ⁵¹ Tamże, s. 15.
- ⁵² Tamże, t. I, s. 360.
- ⁵³ Tamże, t. II, s. 18.
- ⁵⁴ Schmitt, *Materyały do dziejów bezkrólewia po śmierci Augusta III*, t. I, s. 140.
- ⁵⁵ Tamże.
- ⁵⁶ Kraushar, *Książę Repnin*, t. II, s. 64.
- ⁵⁷ Schmitt, *Materyały do dziejów bezkrólewia po śmierci Augusta III*, t. I, s. 140.
- ⁵⁸ Tamże.
- ⁵⁹ Tamże.
- ⁶⁰ Kraushar, *Książę Repnin*, t. II, s. 86.
- ⁶¹ Tamże.
- ⁶² Sidorski, *Panie Kochanku*, s. 182.
- ⁶³ Kraushar, *Książę Repnin*, t. II, s. 178.
- ⁶⁴ Tamże, s. 192.
- ⁶⁵ Tamże, s. 194.
- ⁶⁶ Tamże, s. 178.
- ⁶⁷ Za: Władysław Konopczyński, *Konfederacja barska*, Warszawa 1991, t. I, s. 19.
- ⁶⁸ Sidorski, *Panie Kochanku*, s. 186.
- ⁶⁹ Kraushar, *Książę Repnin*, t. II, s. 220.
- ⁷⁰ Tamże, s. 223.
- ⁷¹ Tamże, s. 292.
- ⁷² Tamże, s. 291.
- ⁷³ Tamże, s. 92.
- ⁷⁴ Za: Kraushar, *Książę Repnin*, t. II, s. 179.
- ⁷⁵ Za: Józef Wybicki, *Pamiętniki*, Lwów 1881, s. 32-33.

⁷⁶ Więzienie (ros.).

⁷⁷ Kraushar, *Książę Repnin*, t. II, s. 304.

Rozdział 12

SYMFONIA REPNIŃSKA: RONDO ALLA POLACCA (CON FUOCO)

Przynajmniej z początku warunki, w jakich książę Marcin Lubomirski odsiadywał swoją karę w twierdzy w Munkaczu, na północno-wschodnim krańcu Węgier, były bardzo dobre. W przeciwieństwie do innych więźniów i stłoczonych w garnizonie austriackich żołnierzy, miał do dyspozycji ładnie urządzone pokój, sporo rzeczy osobistych, własnego lokaja, mógł odbywać przechadzki w obrębie wewnętrznych murów fortecy, korzystać z miejscowej kantyny oficerskiej, prowadzić bez przeszkód korespondencję i sprowadzać sobie dowolne książki, w tym także z Polski. Na prośbę ojca dostawał codziennie do stołu wino, kawę, herbatę, cukier, świeże masło, biszkopty, mleko i owoce. Każdego dnia odwiedzał go także miejscowy kapelan odpowiedzialny za jego zdrowie duchowe. Za zgodą komendanta twierdzy pułkownika Schmidta pobierał również lekcje architektury wojskowej i cywilnej, a na dodatek w niedziele i święta zarówno pan komendant, jak i nadzorujący bezpośrednio polskiego więźnia porucznik de Regas zapraszali go często do siebie na rodzinny obiad, kończący się z reguły dziką pijatyką.

Mimo to książę Marcin źle znosił więzienie. Był stale przygnębiony, łatwo się denerwował, zżerała go nuda i bezczynność, doskwierał mu brak kobiet, dręczyły go po nocach wspomnienia Anny Wyleżyńskiej i dawnych paryskich hulanków, nawiedzały go czarne myśli, toteż w listach, które dla zabicia czasu chętnie wówczas pisywał, wspominał nieraz o śmierci jako o czymś, co już niemal pukało do drzwi jego „celi”: „wyznaję, że jest na krótki ostatek życia mego przygotowany”¹, „jedyna pociecha jest, że niezadługo dni moje skończą”²,

„już ja prawie o zgubie mojej powątpiewać nie mogę i lepszych czasów spodziewać się nie mam, upadłszy zatem pod nogi ojcowskie i one ucałowawszy, pokornie upraszam, abys J.O. Jegomość Książę Dobrodziej zawczasu mi wolę swoją oznajmił i J.W. komendantowi polecił, co ma z trupem moim uczynić (jeśliby Boskiej tak podobało się Opatrzności), abym nie był tak pogrzebiony, prawie na rozstajnych drogach, jak niedawno zmarły tu w areszcie graf, który nie jako jakiegokolwiek kondycji człek, ale jak ostatni żebrak pod figurą pochowany”³.

Niekiedy młody więzień rozważał nawet samobójstwo, o czym wspominał w listach do stryja Franciszka: „nie o wolność upraszam, ale o lżejszą śmierć, miej ulitowanie jegomość dobrodziej, jeżeli nie nad ciałem, to przynajmniej nad duszą, aby nie przyszła na jakiś straszliwy koniec. Bóg widzi serce moje, że życia ukrócić ni myślę i nie chcę, ale cóż po nim, skoro siedzę w najokropniejszej ciemnicy jak najostatniejsi ludzie, gorzej od innych więźniów, którzy za daleko cięższe od moich pokutują występki”⁴.

Na domiar złego dokuczał mu wilgotny klimat Munkacza, a jeszcze bardziej niż klimat żona porucznika de Regas, tyleż brzydka, co namiętna Włoszka, prześladowająca go swoimi zalotami, gdy jej mąż upijał się z komendantem twierdzy. Nieprzywykły działać wbrew swojej naturze książę Marcin najpierw udawał, że nie rozumie, o co jej chodzi, potem zaś, na wszelki wypadek, przestał przychodzić na prozione obiady, lecz to tylko pogorszyło sytuację, ponieważ wzgardzona Włoszka postanowiła się zemścić i doniosła mężowi, że powierzony jego pieczy Polak posiada broń i planuje ucieczkę.

Od tej pory często budzono więźnia w środku nocy, przetrząsano jego łóżko, pruto mu bagnetem poduszki i kołdrę, rewidowano jego celę, kilkakrotnie zrywano w niej podłogę w poszukiwaniu ukrytej broni, a wreszcie, kiedy nie dało to żadnych rezultatów, odebrano mu prawo do spacerów i trzymania lokaja, jak też ograniczono inne przywileje, z których dotąd korzystał. Wprawdzie większość tych złośliwych szykan skończyła się, kiedy stary miecznik koronny przysłał w prezencie pułkownikowi Schmidtowi i porucznikowi de Regas po drogocennym zegarku, ale po tym doświadczeniu książę Marcin marzył już tylko o jednym – żeby przeniesiono go z Munkacza gdzieś indziej.

W jego listach z tego okresu powtarza się ciągle ta sama prośba, skierowana między innymi w marcu 1761 roku do stryja Franciszka: „Drogi Stryju, prosz ojca, aby poczynił starania u Dworu Wiedeńskiego, aby mnie przenieść do zdrowszej twierdzy, na południu Cesarstwa”⁵.

Marzenie księcia Marcina spełniło się w czerwcu 1762 roku, kiedy to po kolejnej interwencji stryja, który po śmierci ojca stał się jego najbliższym opiekunem i powiernikiem, władze austriackie zgodziły się wreszcie przenieść polskiego więźnia do twierdzy w Budzie.

Komendantem tej naddunajskiej fortecy był jeden z bohaterów siedmioletniej wojny feldmarszałek Andreas von Hadick, zdobywca Berlina z października 1757 roku. Zgodnie z otrzymanymi z Wiednia instrukcjami traktował on księcia Marcina bardzo łagodnie, przywracając mu wszystkie dotychczasowe przywileje i zezwalając dodatkowo na nieograniczone korzystanie ze wzmacniających spacerów po pięknie utrzymanym ogrodzie twierdzy.

Tam to właśnie młody polski arystokrata ujrzał po raz pierwszy jego piękną córkę, siedemnastoletnią Annę, o której zapisał w prowadzonym od czasów Munkacza pamiętniku: „Szczególnym zapewne trafem ta urodziwa panna jest rzeczywistym portretem Anny Wyleżyńskiej”⁶, jakby usprawiedliwiając się przed sobą, że zakochał się w niej bez pamięci już od pierwszego wejrzenia.

Hrabianka Anna von Hadick była dziewczyną nie tylko piękną, ale także dobrze wykształconą, czytana, wrażliwą, nerwową, nieco egzaltowaną, nawykłą do wykwintu i wielkiego świata i przede wszystkim – jak prawie każda kobieta w jej wieku – marzącą o wielkiej miłości.

Kiedy niezwykle przystojny Polak zagadnął ją po francusku i zaczął obsypywać wyszukаныmi komplementami, przyjęła to z wyraźną satysfakcją i odpowiedziała mu w tym samym języku, iż wie, że jest polskim księciem odsiadującym wyrok za piętnaście zwycięskich pojedynków, czym dała mu do zrozumienia, że zainteresowała się jego osobą już wcześniej. Ze swej strony książę Marcin nie zamierzał bynajmniej wyprowadzać jej z błędu co do przyczyny swego uwięzienia ani tym bardziej przyznawać się, że jest już żonaty.

Młodzi spotykali się coraz częściej i wkrótce byli w sobie zakochani po uszy. Kiedy zaczęli snuć wspólne plany na przyszłość, książę Marcin począł nalegać na stryja i na swojego plenipotentą w Polsce księdza Drużbackiego, aby w porozumieniu z rodziną Wyleżyńskich doprowadzili *per fas et nefas*⁷ do unieważnienia jego pierwszego małżeństwa. Ponieważ Annie Wyleżyńskiej również nie zależało już na tym związku, sprawa znalazła szczęśliwy finał przed sądem biskupim w Kamieńcu Podolskim, który w swoim wyroku uznał to stadło za nieważne, jako że „ślub odbył się bez zapowiedzi, bez indultu, udzielony przez

niewłaściwego proboszcza. Wyleżyńską zaprowadzono gwałtem do ołtarza i lubo nic nie mówiła, trzymając zamknięte usta, wpisano ślub do metryki kościelnej”⁸. Reszta była kwestią odpowiedniego odszkodowania dla byłej żony, na co książe Marcin mógł sobie pozwolić.

Po rozwiązaniu tej kwestii następną przeszkodą stojącą na drodze księcia Marcina do szczęścia z panną Hadickówną był opór jej ojca, któremu początkowo nie bardzo podobał się romans córki z cudzoziemskim więźniem. Do przełamania tego oporu przyczyniły się najbardziej informacje o rodzinie Lubomirskich, jakie feldmarszałek von Hadick uzyskał z ambasady austriackiej w Warszawie, oraz list rekomendacyjny wystawiony kandydatowi na jego zięcia przez księcia Karola Stanisława Radziwiłła, byłego wojewodę wileńskiego i najbogatszego magnata w Polsce, przebywającego na emigracji politycznej w Preszowie, z którym książe Marcin nawiązał nieco wcześniej przyjacielską korespondencję (co wcale nie było łatwe, jako że z początku książe Radziwiłł nie chciał utrzymywać stosunków z „kryminalistą” i nie odpisywał na jego listy).

Kiedy zarówno cesarscy dyplomaci, jak i ekswojewoda wileński, potwierdzili, że starający się o rękę Anny von Hadick Polak jest nie tylko autentycznym księciem, ale także byłym polskim i pruskim generałem, bohaterskim uczestnikiem – podobnie jak sam feldmarszałek – ostatniej siedmioletniej wojny, kawalerem orderu św. Huberta, potomkiem jednego z najznakomitszych rodów Rzeczypospolitej, księciem Świętego Cesarstwa Rzymskiego, hrabią na Wiśniczu i Jarosławiu, starostą kazimierskim i nade wszystko dziedzicem astronomicznej fortuny, obejmującej między innymi majątki Połonne, Bar, Kolbuszowa, Lubar i Janowiec, komendant twierdzy w Budzie zmienił zdanie i zgodził się na zaręczyny.

Aby jednak mogło dojść do ślubu, należało załatwić jeszcze jedną sprawę, a mianowicie doprowadzić do uwolnienia księcia Marcina z więzienia. Działania w tym kierunku podjęto zarówno w Austrii, jak i w Polsce. Feldmarszałek Andreas von Hadick kołatał w tej sprawie do kanclerza Cesarstwa hrabiego Kaunitza oraz – wykorzystując starą znajomość z wojska z pozostającym w służbie austriackiej generałem Andrzejem Poniatowskim – do jego brata, nowego króla Polski. Ze swej strony zabiegali o to również w Warszawie i w Wiedniu książe Franciszek Lubomirski i hetman wielki koronny Jan Klemens Branicki. Starania te dały w końcu efekt i w maju 1765 roku Jej Cesarska Mość

Maria Teresa podpisała reskrypt przywracający księciu Marcinowi wolność osobistą, tudzież wszelkie prawa „jakie mu dało jego urodzenie”.

Uskrzydłony tą wiadomością młody książę napisał od razu do byłego wojewody wileńskiego: „Racz mi, Mości Książę, wybaczyć materię, którą muszę poruszyć. Bez protekcji J.O. Dobrodzieja, bez Jego wsparcia nie będę mógł wyprawić ślubu z Hadickówną, nie mając na to środków. Uniżenie proszę zatem o wypożyczenie na tę okazję koni, karet, srebra, służby, 2000 dukatów i dwóch orderów pruskich, do których mam prawo z czasów wojny śląskiej, a pieniądze zwrócę z czynszów z dóbr moich po powrocie do kraju”⁹.

Karol Stanisław Radziwiłł odpowiedział: „Ja nie sknera, panie kochanku. Kiedy mnie dobrze, niechże innym, co mnie kochają, tak samo będzie. Więc posyłam Ci, panie kochanku – 1700 dukatów, konie, karetę, 4 służących, dwa ordery pruskie diamentami wysadzane”¹⁰.

Miesiąc później w Hermannstadt w Siedmiogrodzie odbył się olśniewający ślub księcia Marcina Lubomirskiego z hrabianką Anną von Hadick. Świadkiem ślubnym pana młodego był książę Karol Stanisław Radziwiłł. W kontrakcie ślubnym książę Marcin poczynił na rzecz żony nadzwyczaj hojne zapisy, obowiązujące także w przypadku ewentualnego rozwodu, jej owdowienia, a nawet powtórnego wyjścia za mąż. Równie szczodry był także dla teścia i swojego szwagra, oficera austriackiej gwardii cesarskiej, którym podarował z tej okazji wspaniałe wierzchowce z ukraińskiej hodowli książąt Lubomirskich, przysłane na czas przez stryja Franciszka wraz z dodatkowymi karetami i niezbędną służbą.

Po trwającym trzy dni weselu młodzi małżonkowie spędzili miesiąc miodowy na Węgrzech, po czym wyruszyli w podróż poślubną do Drezna i Paryża, jesienią 1765 roku wybrali się zaś do Preszowa w odwiedziny do byłego wojewody wileńskiego mieszkającego tam po królewsku w wynajętym pięknym pałacu.

W ciągu paru dni spędzonych głównie przy stole i niemal zawsze z kielichem w ręku, książę Marcin dowiedział się bardzo dużo o panujących aktualnie w Polsce stosunkach, odmalowanych przez księcia Radziwiłła w nader ciemnych barwach. Były wojewoda wileński opowiadał mu o przemocy Moskwy, o jawnych gwałtach, jakich dopuszczał się ambasador Rosji, o słabości charakteru nowego króla i jego całkowitej uległości wobec Katarzyny II, o masowej ucieczce obywateli w prywatność i milczenie, o bolesnej samotności

patriotów, którzy – podobnie jak on sam, były zarządca województwa wileńskiego – próbowali bronić honoru, godności i suwerenności Rzeczypospolitej, o prześladowaniach, rekwizycjach i konfiskatach, które za to na nich spadały, o zdradzie dawnych przyjaciół, którzy ze strachu bądź z przyziemnej troski o swe majątki przechodzili chyłkiem na stronę Familii, jak zrobił to ostatnio sam były hetman wielki koronny Jan Klemens Branicki, o ogólnym upadku obyczajów i starodawnej cnoty pod nowym panowaniem, a wreszcie także i o tym, że dłużej tak być nie może i że prędzej czy później dumny naród strząśnie z siebie kajdany, a Radziwiłłowie i Lubomirscy, jako najlepsi i najwierniejsi synowie Polski, powinni wówczas przejąć ster rządów z rąk niegodziwców i podźwignąć kraj z upadku, przywracając mu wielkość i świetność z czasów Jagiellonów, Batorych i Wazów.

Tymczasem ekswojewoda wileński radził księciu Marcinowi cieszyć się urokami świeżo zawartego małżeństwa, zadbać o potomstwo, trzymać się z daleka od krajowej polityki i najlepiej w ogóle nie wracać do Polski, gdzie z pewnością pamiętają mu jego stare przewiny i gdzie być może nie zechcą respektować decyzji cesarzowej Marii Teresy, zwracającej mu wolność.

Mimo to młody książę Lubomirski zaryzykował i jeszcze w 1765 roku wybrał się prywatnie do kraju. Choć polska prasa odnotowała ten przyjazd, urzędowo nikt się nim nie zainteresował. Zadowolony z takiego stanu rzeczy książę Marcin odwiedził stryja Franciszka pod Częstochową, a także mieszkających w Łańcucie kuzynów Stanisława i Antoniego, którzy nakreślili mu obraz sytuacji w Polsce podobnie jak książę Radziwiłł, po czym objechał wszystkie swoje majątki, gdzie wydał szereg szczegółowych zarządzeń mających poprawić ich dochodowość, co już wkrótce zapewniło mu trzydzieści tysięcy dukatów rocznego dochodu – sumę wystarczającą z naddatkiem na prowadzenie luksusowego trybu życia.

W 1766 roku powrócił do Polski na stałe, tym razem z żoną. Anna von Hadick z zapartym tchem oglądała pałace, ogrody, galerie i stajnie w Janowcu, Lubarze, Kolbuszowej i Połonnem, podziwiała wspaniałe meble, znakomite obrazy, przepiękne marmury, brązy, kryształy, porcelanę, bogate kolekcje starodawnej broni, książek i numizmatów, rzadkie okazy roślin i stada czystej krwi wierzchowców, przyjmując wszędzie hołdy licznej służby, której, w zależności od jej rangi, pozwalała łaskawie pocałować się w rękę albo w pantofelek.

Rok później młodzi małżonkowie doczekali się pierwszego dziecka, córeczki Łucji. Zgodnie z radą byłego wojewody wileńskiego, ksiązę Marcin trzymał się w Polsce z dala od dworu i polityki, za to bardzo szybko powrócił do dawnych obyczajów, rzucając się w wir hazardu i przelotnych romansów i coraz bardziej zaniedbując żonę.

Zimą 1768 roku doszła do jego uszu wiadomość, że w jego własnym dziedzicznym miasteczku Bar dwaj nieznani mu bliżej szlachcice, starosta warecki Józef Pułaski i starosta różański Michał Krasieński, zawiązali ogólnokrajową konfederację w obronie wolności Polski i wiary katolickiej, skierowaną przeciwko Stanisławowi Augustowi i Rosji.

Ksiązę Marcin uznał, że los zsyła mu ogromną szansę, by się zrehabilitować i stanąć wreszcie po właściwej stronie.

▪

Po wybuchu konfederacji barskiej i wystosowaniu przez jej przywódców apelu do króla, żeby się do niej przyłączył, Stanisław August, całkowicie zależny od Rosji, najchętniej zaszyłby się w mysiej dziurze, bez podejmowania jakiegokolwiek decyzji. Będąc między młotem a kowadłem, z początku nie reagował także na nalegania księcia Repnina, żądającego, by razem z polskim senatem zwrócił się do Petersburga z prośbą o dodatkową pomoc wojskową.

Król zgodził się na to – „aby tym okazać swą gorliwość i niewzruszoną wierność ku Rosji”¹¹, jak powiedział – dopiero wtedy, gdy zirytowany poseł rosyjski pogroził mu za pośrednictwem jego własnego brata Kazimierza: „Powiedz W. Ks. Mość Królowi, że jeżeli w Senacie nie stanie taka uchwała, jakiej ja życzę, jeżeli Senat nie wezwie wyraźnie pomocy naszych wojsk przeciwko barzanom, to armia Imperatorowej, której już kazałem zatrzymać się w kraju, pozostanie tam przez kilka tygodni bezczynną spektatorką postępów konfederacji, która nie omieszka rozszerzyć się na całe królestwo. Ale gdy to nastąpi, wydamy otwartą wojnę całej Rzplitej, tak jakby król ją rozpoczął, i o wszystkim rozstrzygnie prawo zwycięstwa, na szkodę tych, co złamali świeżo zawarty traktat... Król Jmć widział, że to, co ja zapowiadam, spełnia się, i musi pamiętać ze świeżych przykładów, jak łatwo Rosji uspokoić i przeciągnąć na swoją stronę ludzi, którzy się tu popisują największą gorliwością religijną i patriotyczną, skoro tylko się im pokaże najlżejsze prawdopodobieństwo zmiany

panującego oraz zniszczenia wszystkiego, co król w swym mniemaniu zrobił najlepszego na użytek kraju”¹².

Kiedy jego żądaniom stało się zadość, książę Repnin, nie czekając wcale na nowe posiłki z Rosji, wydał rozkaz kilku rosyjskim korpusom już stacjonującym w Polsce, by przystąpiły natychmiast do tłumienia powstania, zanim ogarnie ono inne obszary kraju i zanim oprócz kilku chorągwi partii ukraińskiej, które przystąpiły do niego niemal od razu, weźmie w nim udział więcej regularnych oddziałów polskich. Moskałom udającym się na Podole i Braclawszczyznę towarzyszył korpus wojsk koronnych pod dowództwem Franciszka Ksawerego Branickiego, pozostający na rosyjskim żołdzie.

Ponieważ nie było wiadomo, z jakim oporem spotkają się owe siły pacyfikacyjne, książę Repnin zalecił im początkowo daleko idącą łagodność w postępowaniu z Polakami. Rosyjscy dowódcy mieli skrupulatnie płacić za rekwizowaną żywność i furaz, wielkodusznie traktować jeńców wojennych, których mogli zwalniać z niewoli na słowo honoru i przyjmować łaskawie z powrotem w szeregi ujętych dezertersów z armii koronnej, nie wolno im było natomiast ściągać żadnych kontrybucji z zajętych miejscowości ani pozwalać podwładnym na łupiestwo.

„Jeżeli zdołamy wzbudzić ku sobie miłość, to przez samo przywiązanie znosić będą z mniejszą odrazą to, cośmy tutaj zrobili”¹³ – tłumaczył się książę poseł z tych ceregieli Petersburgowi i dodawał: „Chciałbym sprawić, by tu ubóstwiano Imperatorową równie silnie, jak ją poważają i jak jej się boją; chciałbym jej sławę uczynić nieśmiertelną w całej Europie”¹⁴.

Szybko okazało się jednak, że wysłane na Podole i Braclawszczyznę wojska radzą sobie dość łatwo z nielicznymi i słabo uzbrojonymi konfederatami. W czerwcu 1768 roku, po trzytygodniowym oblężeniu, padł klasztor karmelitów w Berdyczowie, gdzie ufortyfikował się najzdolniejszy z powstańczych dowódców starościc warecki Kazimierz Pułaski, który, kiedy obrońcom zabrakło ołowiu, kazał nabijać armaty szkłem, metalowymi guzikami i wszelkiego rodzaju starym żelastwem, i dotąd strzelał tym do Moskali, aż zabrakło z kolei prochu.

Niedługo potem Rosjanie i Franciszek Ksawery Branicki zdobyli sam Bar, zabijając – w dużej mierze już po bitwie – ponad czterystu i biorąc do niewoli prawie półtora tysiąca obrońców, w tym znanego z ostatniego sejmiku młodego posła z Prus Królewskich Józefa Wybickiego, który zdążył się już przyłączyć do konfederacji. Na całym Podolu, Braclawszczyźnie i Kijowszczyźnie likwidowano

kolejne oddziały powstańcze, a te, którym udało się uniknąć rozbicia, szukały rozpaczliwie schronienia za turecką granicą.

Teraz książe Repnin nie był już tak wielkoduszny. Po zdobyciu Baru szydził, że tamtejszym *buntowszczykom* nie pomógł ani ich duchowy przywódca, przeor miejscowego klasztoru karmelitów ksiądz Marek Jandołowicz, sławny w całej Polsce prorok i cudotwórca, władający żywiołami, rozkazujący czartom, uzdrawiający jednym dotknięciem chorych i potrafiący przywoływać znakiem krzyża pioruny, by strzelały ku chwale Trójcy Przenajświętszej, ani nawet sama Matka Boska, której cudowny obraz konfederaci wystawili na wałach tuż przed rosyjskim szturmem. I nakazał swoim dowódcom nie ustępować odtąd w niczym rebeliantom, tylko atakować ich bez pardonu, rozbijać, gromić, karać, łapać, aresztować, wiązać, wsadzać w dyby, zakuwać w kajdany i wywozić do Rosji, póki bunt nie zostanie utopiony we krwi.

Nie wszystkim podległym mu wojskowym odpowiadały te żandarmskie metody. Niektórzy z nich – jak generał Sałtykow – skarżyli się na nie w Petersburgu albo – jak kilku oficerów sztabowych – podali się na znak protestu do dymisji, lecz inni – jak generałowie Kreczetnikow i Podgoriczczanin – byli bardzo zadowoleni, bo nareszcie mogli rabować do woli i to bez szczególnego rozróżniania, kto wróg, kto przyjaciel.

Nic dziwnego, że w tej sytuacji Stanisław August gratulował sobie, że po raz kolejny postawił na właściwą, czyli mocniejszą kartę.

Ale radość rosyjskiego posła pełnomocnego i króla była przedwczesna, bo choć południowo-wschodnie kresy Rzeczypospolitej zostały dość szybko spacyfikowane, iskry rozniecone w Barze nie dało się zdeptać i niebawem wywołała ona pożar w innych regionach kraju: w Wielkopolsce, Małopolsce, na Podkarpaciu, Mazowszu, Podlasiu, a także na Litwie. Wkrótce stała w ogniu niemal cała Rzeczpospolita – z wyjątkiem Warszawy, otoczonej podwójnym kordonem moskiewskich żołdatów. Ale i tam dochodziło parę razy do paniki, kiedy to z obawy, że konfederaci mogą zaatakować stolicę i wysadzić w powietrze miejską prochownię, zarządzano pogotowie gwardii koronnej, zataczano przed bramy nabite armaty, osadzano w tych bramach grube stalowe sztaby i łańcuchy oraz trzymano na wszelki wypadek konie królewskie pod siodłami.

Tymczasem po stronie barzan w miejsce jednej rozbitej partii powstawała druga, komendę po zabitych bądź wziętych do niewoli dowódcach przejmowali

następni, każdego wywiezionego do Rosji „szuję” zastępowało stu innych. *Buntowscy* działali w małych grupach, więc choć przegrywali liczne potyczki, rzadko dawali się pokonać w większej bitwie. Powstańcy byli źle uzbrojeni, często w jakiś przedpotopowy oręż po zamierzonych przodkach albo w zwykłą broń myśliwską, ale strzelali celnie, dobrze cięli szablami i co najważniejsze, wierzyli w swoją rację i opiekę Boską.

Jednocześnie, będąc obywatelami kraju, który od trzech pokoleń nie toczył żadnej wojny i w którym na co dzień zajmowali się przede wszystkim własnym gospodarstwem, nie rozumieli postępu, jaki również w sztuce wojennej przyniósł Wiek Rozumu, więc po doznanych porażkach potrafili się niekiedy tłumaczyć, że nieprzyjaciel zaatakował ich „niespodziewanym przypadkiem”, „z nadnaturalną zjadłością”, „w daleko większej liczbie” i jakby tego nierycerskiego zachowania przeciwnika było jeszcze mało, w dodatku... „w godzinach rannych”¹⁵. Ale ta sama ich niedzisiejszość sprawiała także, iż nie uważali za obowiązujące przysięg złożonych pod przymusem, toteż zwalniani z rosyjskiej niewoli za rewersem, w którym musieli odzegnać się od powstania, natychmiast chwyтали z powrotem za broń i znów atakowali najeźdźców.

Zwalczanie konfederatów utrudniała także ich wielka ruchliwość. Jakiś oddział mógł w jednym miesiącu działać w Wielkopolsce, w drugim pod Krakowem, w kolejnym na Litwie, a w następnym na Mazowszu, przy czym wszędzie pojawiał się z nienacką, jakby wyrósł spod ziemi, i znikał równie szybko, jakby się pod nią z powrotem zapadł. Niektórzy z rosyjskich dowódców, miotających się za powstańcami po całym kraju, odnosili wrażenie, że uganiają się za jakąś nieistniejącą w rzeczywistości chimerą. Inni, wprost przeciwnie, widzieli ich w każdej kępie krzaków i za każdym stogiem siana.

Do tych ostatnich należał między innymi działający na Litwie generał Nummers, alarmujący księcia Repnina, że w Wielkim Księstwie słychać wszędzie wezwania do walki na śmierć i życie, szlachta masowo zaopatruje się w broń i prędzej czy później wszystko musi się skończyć wyrżnięciem całej rosyjskiej generalicji. Na nic zdały się napomnienia księcia posła, że jeden moskiewski żołnierz wystarczy za dziesięciu *buntowczyków* i że najlepszą formą obrony jest atak – generał Nummers wołał być ostrożny i jedyną kontrakcją, jaką podjął, stały się regularne rewizje u wileńskich krawców i szewców w poszukiwaniu mundurów i butów szytych dla konfederatów.

Tak czy inaczej rosyjska srogość dawała tyle samo, co rosyjska łagodność i o żadnym „ubóstwianiu” Imperatorowej w Polsce nie mogło być mowy. Brak zapachu do wielbienia carycy stawał się także coraz bardziej widoczny w lepszym towarzystwie, w którym księżę Repnin obracał się na co dzień.

Król Stanisław August, choć nakazał armii koronnej współdziałać z Moskalami, wskutek konfederacji barskiej wyraźnie zhardział, zaczął zadzierać nosa i pozwolił sobie nawet zasugerować Najjaśniejszej Pani, iż najlepszym sposobem uspokojenia jego rodaków byłoby cofnięcie postanowień ostatniego sejmiku w sprawie równouprawnienia dysydentów i rosyjskiej gwarancji dla ustroju Polski. Hrabia Panin przypomniał mu jednak szybko, skąd mu nogi wyrastają, ostrzegając go w imieniu carycy, że do spacyfikowania Polaków Imperatorowej wystarczy tylko jedno słowo, ponieważ „wśród najzawziętszych wicherzycieli, wśród przywódców różnych facji nie ma jednego, który by się nie poddał w 24 godziny na tych warunkach, jakby tylko zobaczył, że Jej Cesarska Mość zgadza się na poświęcenie Pańskiej korony”¹⁶.

Także większość co ważniejszych radomian (oprócz prymasa Podoskiego), którzy nie tak dawno głosowali za rosyjską gwarancją dla Polski i wysłali do Petersburga delegację z wiernopoddańczym listem, popierała teraz barskich rebeliantów. W sposób jawny czynili to biskup kamieniecki Adam Krasiński, podskarbi wielki koronny Teodor Wessel, wielki kuchmistrz litewski Michał Wielhorski i starosta ziołowski Michał Jan Pac, mniej zaś lub bardziej skrycie wojewoda kijowski Franciszek Salezy Potocki i ekswojewoda wileński księżę Karol Stanisław Radziwiłł.

Co gorsza, według meldunków rosyjskich oficerów, nie można było ufać nawet polskim oddziałom dowodzonym przez Franciszka Ksawerego Branickiego, jako że w głębi ducha nienawidziły one swojej komendy i sprzyjały konfederatom. „Łamię sobie głowę, myślę, jak przywrócić spokój, ale doprawdy nie wynajduję nic pewnego”¹⁷ – pisał do Petersburga księżę Repnin i na wszelki wypadek sypał złotem na prawo i lewo, aby zapewnić Rosji choćby minimum lojalności.

W sierpniu 1768 roku wyłożył na korpus Branickiego 18 000 dukatów, we wrześniu wypłacił królowi (tym razem bez żadnych sztuczek) 40 000, w październiku dał kolejne 18 000 na zaopatrzenie Kamieńca i korpus Branickiego, a wreszcie – choć wiedział, że wzbudzi to nad Newą irytację – przeznaczył 5555 dukatów na założoną niedawno w Warszawie Szkołę Rycerską,

wyłącznie po to, aby uczący się w niej kadeci nie uciekli tłumnie do konfederatów.

Jedni książęta Czartoryscy trzymali się z daleka od buntu, lecz i oni zaczęli po staremu bruździć. Kiedy w obliczu wojny z Turcją, popierającą powstańców i domagającą się wyjścia z Polski wojsk rosyjskich, książę poseł starał się namówić Pierwszego Skrzypka do koalicji z Moskwą („Zbierz Wasza Królewska Mość resztę wojska, jakie masz, połącz je z naszymi, przybierz tytuł generalissimusa i idź na Turków we własnej osobie! Ja będę twym adiutantem, a Polska może skorzystać z naszych zdobyczy”¹⁸), w czym wspierał go brat króla Kazimierz („nie masz ratunku, tylko konfederację przy Moskwie czynić”¹⁹), książęta Czartoryscy i niektórzy ministrowie odradzali monarsze ten pomysł, kracząc mu do ucha: „Lepiej umrzeć lub pójść z torbami, niż być ohydą narodu”²⁰ i „zginiesz, królu, gdy pójdziesz wbrew narodowi”²¹.

O złej woli i czarnym podniebieniu książąt Czartoryskich świadczyło również to, że kiedy książę Repnin zapytał wojewodę ruskiego, jak doprowadzić do zakończenia polskiego powstania, ten odpowiedział mu bezczelnie: „Bez pofolgowania narodowi w dziele ostatniego sejmku pacyfikacji nie da się łagodnie przeprowadzić; orężem i przemocą oczywiście zrobicie, co zechcecie”²²; gdy zaś książę poseł, będący prawdziwym obsesjonatem legalizmu, domagał się, by zbierający się na jesieni sejm potępił oficjalnie konfederatów jako warchołów, buntowników, zdrajców i podpalaczy Polski oraz żeby zażądał od Turcji wydania wszystkich barzan, jacy schronili się na jej terytorium, książę August, któremu powstańcy spustoszyli właśnie jeden z jego majątków, skwitował to krótko: „Któż się odważy na taki krok? Lepiej mieć zrujnowane dobra niż zostać zarzniętym”²³.

Słowem, w ciągu niedługiego czasu z wielkiej rosyjskiej orkiestry symfonicznej, którą książę Repnin budował przez lata ogromnym nakładem sił i środków, zrobił się mizerny zespół kameralny, a i ten przy lada okazji zaczynał fałszować.

Tymczasem może jeszcze bardziej nawet niż postawa Polaków, w jakimś stopniu zrozumiała (w końcu każda ryba trzepoce się na haczyku), denerwowało księcia postać zachowanie jego najbliższego sojusznika pana Gédéona Benoît, najwyraźniej prowadzącego wobec niego i Petersburga jakąś podwójną i nieczystą grę.

I nie chodziło bynajmniej o to, że jego ekscelencja pruski poseł pełnomocny w swoich depezach do Berlina bezczelnie oczerniał Rosję (nie wiedziała francuska świnia, bardziej zainteresowana popisami w towarzystwie jakimiś głodnymi kawałkami o literaturze, muzyce, współczesnej filozofii czy innych duperelach niż pilnowaniem własnej ambasady, że jeden z jej współpracowników za parę rubli sporządzał dla księcia Mikołaja Wasilewicza dokładne odpisy wszystkich tych, pozał się Boże, szyfrogramów), pisząc na przykład, że Rosja podburza przeciw Polsce jej prawosławnych poddanych oraz dzikich i krwiożerczych hajdamaków, albo że wbrew rosyjskiej propagandzie konfederaci barscy wcale nie są ciemnymi fanatykami, ponieważ nie walczą z tolerancją i postępem, tylko o wolność i niepodległość swojego kraju. To jeszcze ostatecznie można by było parszywej gnidzie wybaczyć. Rzecz w tym, że ten *francusskij skot*²⁴ i *prusskij pizdiec* najwyraźniej cieszył się z kłopotów Rosji i ewidentnie liczył na to, że jeszcze się one pogłębią. Świadczyły o tym najlepiej jego nachalne oferty pruskiej pomocy, gdyby Moskwa nie mogła sobie poradzić z polskim *miatieżem* albo z popierającymi go, obrzezanymi tępą piłą, bisurmanami. Nie chodziło tu bowiem o pomoc przyjacielską i – jak przystało na lojalnego sojusznika – całkowicie bezinteresowną, jak choćby ta, którą Prusy świadczyły Rosji do tej pory, wcielając siłą do swego wojska wszystkich konfederatów wypartych przez Rosjan za pruską granicę lub porywając w Gdańsku i w Wielkopolsce najzdatniejszych do wojaczki mężczyzn, dzięki czemu armii Jej Imperatorskiej Mości ubywało wielu potencjalnych przeciwników, ale o pomoc łajdacką, skażoną u samego źródła nienasyconą chciwością, bezwzględną germańską pychą i drapieżnością, skrajnym pruskim łotrostwem i nikczemnym wyrachowaniem, gdyż polegającą na tym, że za jakies gównem warte pruskie wsparcie militarne na froncie polskim albo tureckim, Rosja miałaby zapłacić Berlinowi polskim, lecz przecież w przyszłości niechybnie rosyjskim Gdańskiem, Toruniem lub Elblągiem!

„Wasze niedoczekanie, *mierzawcy!*”²⁵ – klął w duchu książę Repnin, kiedy tego słuchał, po czym, ledwie się hamując, odpowiadał swojemu pruskiemu koledze:

– Serdecznie dziękuję, ekscelencjo, za tę wspaniałomyślną propozycję. Weźmiemy ją oczywiście pod uwagę, ale proszę się o nas tak bardzo nie martwić. Damy sobie radę w pojedynkę. W końcu radziliśmy już sobie z silniejszymi przeciwnikami. Dość przypomnieć, że osiem lat temu zdobyliśmy Berlin.

Pomimo tych wszystkich kłopotów, trudności i afrontów, książę Repnin nie byłby sobą, gdyby się nie zakrzętnął z pasją wokół planowanego jesienią sejmu, kierując tym razem do nadzoru nad sejmikami aż 24 tysiące rosyjskich żołnierzy. Niestety spotkało go kolejne rozczarowanie, okazało się bowiem, że po ostatnich doświadczeniach Polacy wcale nie kwapią się do korzystania ze swoich praw wyborczych pod osłoną zaprzyjaźnionych rosyjskich bagnetów i że w całym kraju udało się wybrać tylko sześćdziesięciu czterech posłów, z których do Warszawy na pierwszą sesję parlamentu przyjechało zaledwie ośmiu, co spowodowało, że jesienny sejm, z którym łączył tak wiele nadziei, nawet się nie zawiązał!

Już wkrótce jednak spadł na księcia Repnina nowy, dużo cięższy cios.

Otóż zaczęły dochodzić go słuchy – a informacje te potwierdził wkrótce w prywatnym liście hrabia Panin – że nad Newą coraz częściej i bardziej otwarcie oskarżano go przed carycą o nieumiejętne, brutalne, awanturnicze i rozrzutne metody rządzenia Polską, które doprowadziły w końcu do zbrojnego powstania i mogły jeszcze, nie daj Boże, wystawić na szwank bezpieczeństwo i integralność terytorialną Rosji, zagrożonej wojną z Turcją. Szczególnie miano mu ponoć za złe jego rzekomą samowolę, jak też brak należytego umiaru, trzeźwości umysłu i oględności przy wywózce do Rosji polskich senatorów, mającej jakoby oznaczać niespotykane w cywilizowanym świecie złamanie prawa międzynarodowego i obowiązujących zwyczajów dyplomatycznych i dostarczającej przy okazji tyleż niepotrzebnych, co niestety aż nadto usprawiedliwionych argumentów rozmaitym rusofobom, od których, jak wiadomo, aż się roi na tym świecie, odkąd go Pan Bóg stworzył, i którzy tylko czekali na podobną gratkę.

„A któż to mi, do kurwy nędzy, sugerował z Petersburga, że «Szuja», biskup krakowski już obecnie sam dał powód do aresztowania go i trzymania pod kluczem?!” – wściekał się z powodu tych nikczemnych oszczerstw książę Mikołaj Wasiliewicz, choć jego wściekłość nie miała w tym przypadku żadnego znaczenia. W jego sytuacji ważne wszak było jedynie to, że Najjaśniejsza Pani jest niezadowolona, a to oznaczało, że powinien był czym prędzej zapomnieć o młodych szparagach, smardzach i świeżych truflach, nie mówiąc już o cudownym proszku z rogu nosorożca, jak też o wszelkich Indiach, Chinach czy innych Japoniach, i zacząć się poważnie martwić o własną przyszłość. Zwłaszcza gdyby miało się okazać, że konfederaci barscy tryumfują.

Po tym niespodziewanym ciosie ksiązę Repnin popadł w głęboką depresję. Oczywiście dalej wywiązywał się perfekcyjnie ze wszystkich obowiązków, nadal planował i nadzorował akcje przeciwko powstańcom oraz kierował najlepiej jak umiał ambasadą, ale wieczorami, zamknięty na głucho w swoim gabinecie, coraz częściej zaglądał do kieliszka i pytał sam siebie w czarnej rozpacz: „Dlaczego?! Za co?! Przecież ja tylko wykonywałem rozkazy!”

A kiedy już się porządnie napił, tak po rosyjsku, dawał upust przepełniającej go goryczy i krzyczał na cały głos w stronę ściany obwieszanej od góry do dołu najdostojniejszymi portretami:

– *A job was wsiech w żopu!*

– *Wsiech?* – próbował go w takich razach ostrzegać i sprowadzać ze złej drogi jakiś wewnętrzny głos, przypominający do złudzenia głos prześwietnego wuja jego własnej żony, pierwszego ministra Imperium.

Lecz szef rosyjskiej ambasady w Warszawie odpowiadał mu niezmiennie: „*Da, wsiech*” i dodawał ze straceńczą odwagą: „*Naskwoż i na wsiegda!*”²⁶.

I tylko wtedy czuł się wolny i szczęśliwy.

▪

Pośród tych wszystkich dramatycznych wydarzeń klasztor jasnogórski był prawdziwą oazą spokoju, gdzie sprawy wieczne liczyły się bardziej od doczesnych, a życie toczące się dniem i nocą wokół Czarnej Madonny płynęło w sposób uporządkowany, zgodnie z rytmem pór roku i kolejnych świąt maryjnych.

Z tego błogosławionego spokoju korzystał także Jakub Frank, nieinteresujący się zbytnio polityką. Wprawdzie do Stanisława Augusta, który zastąpił na tronie jego ojca chrzestnego, odnosił się dość nieufnie, zwłaszcza po tym, jak w 1764 roku parlament zdominowany przez zwolenników Familii ograniczył dostęp żydowskich przechrztów do szlachectwa i zlikwidował liczący sobie już kilka wieków Sejm Czterech Ziem, najwyższą, całkowicie samorządną władzę polskich Żydów („Tak to już jest z tymi zwolennikami postępu i reform – skarżył się wtedy swoim uczniom – że zaczynają zazwyczaj od pięknych słów, żeby potem wyciągnąć z rękawa nóż albo jeszcze mocniej zaciągnąć ludziom pętlę na szyi”), ale niepokoje, walki bratobójcze, bezwzględne wtrącanie się obcych państw w wewnętrzne sprawy Polski i działania armii rosyjskiej

w Rzeczypospolitej kwitował jedynie ze wzgardą: „Wieku tego królowie wcale nie zachowują swojej powagi, tylko jak prości żołnierze prowadzą się i to wszystko idzie coraz niżej, póki nie upadnie”²⁷, dodając niekiedy proroczo: „Uważcie! Powiadam wam, że Polska zostanie rozdzielona”²⁸.

Dużo ważniejsze od tego, co działo się za murami Jasnej Góry, było dla niego rozwijanie własnej nauki i przekazywanie jej swoim uczniom, choć po staremu była to nauka niezbyt jasna i pełna sprzeczności.

Z jednej strony Święty Pan nauczał bowiem, że „wszystkie religie i narody muszą wejść do rzymsko-chrześcijańskiej religii, nawet Filiponi, Hernhuci, Amonici i inne tym podobne sekty”²⁹ i że „wszyscy Żydzi muszą być ochrzczeni, mężczyźni osobno, kobiety osobno”³⁰, z drugiej jednak głosił, iż „od początku świata nie było jeszcze i jednego człowieka, który by znał prawdziwego Boga, tego, którego ufamy widzieć w Jego blasku. Imię Jego jeszcze wiadome nie jest, nawet przydomek Jego też nie wiadome nikomu i nikt nie zna miejsca przybytku Jego”³¹.

„Prawdziwy Bóg” nie był przy tym dla niego Stwórcą świata – „Jak bowiem być może, żeby Bóg prawdziwy świat ten stworzył, w którym umierać, oddzielać się trzeba i tyle braków się znajduje, to by było przeciw powadze Jego. Stąd wniesć, iż niechybnie ten, co świat stworzył, nie był to sam prawdziwy Bóg, który ma wszystko naprawić, aby do zupełnej doprowadzić całości”³² – zaś poznać „prawdziwego Boga” mógł tylko „człowiek całkowity”. „Musimy pracować i trudzić się, abyśmy przyszli do stopnia całkowitego człowieka, jak stoi: *Zróbmy człowieka*³³. Wówczas dopiero godnymi będziemy, żeby się prawy Bóg odkrył i na nas patrzył, wówczas dopiero przyjdziemy do żywota wiecznego”³⁴.

Tym, kto miał władzę czynić ludzi „całkowitymi” oraz doprowadzić ich do „prawdziwego Boga” i do życia wiecznego, zwanego *Das*, nie był też Jezus Chrystus, ponieważ „ten Chrystus jest przedmową, która jest głupstwem i to jest przed owocem. Przyszedł dopiero okazać mądrość, która ma wyjść i wielką rzecz on sam byłby wprowadził na świecie, żeby był nie sfałszował poselstwa swego”³⁵. Mesjaszem był on sam, Jakub Frank z Korolówki: „Wszak wiecie, że doktor nie przychodzi leczyć zdrowych, tylko chorych. Również i ja przyszedłem leczyć chorych, tych co powątpiewają o swojej wierze i pozostali prawie bez Boga. Przyszedłem do was z tą dobrą nowiną, iż jest Prawdziwy Bóg na świecie i że ja Go wam pokażę”³⁶. „Zamiarem moim jest bowiem uczynić człowieka

w całości, stałego i żywot wieczny posiadającego. Was zaś oddano mi do rąk, żebyście mogli przyjść do stopnia człowieka w całości”³⁷.

Czasami, jakby dla odmiany, Mistrz twierdził jednak, że droga do *Das* mogła prowadzić także przez Pannę, czyli jego córkę:

„Proście Boga, abyście godnymi byli wstąpić do tego *Das*, na który my ufamy. Ona, ona to otworzy ten *Das*, i ona was prowadzić będzie. Tam będziecie widzieli ojców i proroków, a ci sami was strofować będą, mówiąc: Patrzajcie coście uczynili, a to, co więcej tam zobaczycie, tego wyrazić nie można. W oczach godnymi będziecie wejść do Ezawa i będziecie mieli wieczną radość. Mocno mnie to cieszyć będzie, gdy własnymi oczami zobaczę Abrahama patriarchę siedzącego przy najmniejszym z kompanii”³⁸. „Kto ją godzien w całości oglądać, tak jak jest ładną w istocie, ten przyjdzie do żywota wiecznego, bo ona sama jest życiem wiecznym”³⁹.

Tak czy inaczej, aby radować się wieczną szczęśliwością *Das*, należało wejść tam „w czystości i jasności, wyzuć się ze wszystkiego, że wszech nauk, praw, religii i złych obyczajów, i trzeba, aby tam wchodzący miał o jeden stopień więcej cnoty od innych ludzi”⁴⁰. A pomóc w tym mógł tylko on, Święty Pan: „Ja na tom tylko do Polski przyszedł, abym zgładził wszystkie prawa, wszystkie religie i moim pragnieniem jest, żebym przyprowadził żywot na świat”⁴¹.

Jedynym, czego w zamian wymagał od swoich uczniów, było całkowite zawierzenie i bezwzględne posłuszeństwo:

„Powiadam wam, gdy mi Bóg otworzy nową drogę, w którą ja pójdę, wówczas wszyscy, co pójdą za mną, muszą być w całości [...]. Choćbym wam mówił: Idźcie przez ścianę i wyjdźcie przez nią, powinniście wierzyć w to, że Bóg wszystko może”⁴².

A jeśli wśród słuchaczy znalazł się jakiś sceptyk, nie bardzo chcący w to wszystko wierzyć, Mistrz olśniewał go dodatkowymi rewelacjami, formułowanymi zazwyczaj w trybie warunkowym:

„[...] jest na górze skarb, sześćset milionów dukatów, o którym księża nie wiedzą. Kazałbym ci iść do jednej jaskini pod Częstochową. W niej znalazłbyś sześciuset krawców, co szyją suknie, na których przyszyte są dublony złota, przyszyte tak lekko, aby po ulicach i rynkach upadały między ludzi i aby oni je zbierali. Za przybyciem naszym do Warszawy, nim bym wyszedł z aresztu, przygotowałbym te wszystkie suknie i pięć karet. Jedne byłyby srebrem, drugie złotem lekko okute. Koni też dwieście byłoby przed nami. My byśmy nic nie

wzięli na naszą potrzebę, tylko dałbym prawowiernym na opędzenie ich potrzeb. [...] Gdybyśmy tak jechali po Warszawie, wszystkie złoto i srebro odpadałoby, a cała Warszawa byłaby to zbierała. Ty byś krzyczał wielkim głosem: Niech król żyje! A wszyscy Panowie i ludzie wołaliby: Oto król nasz!”⁴³

Gdy i to nie pomagało, Mistrz publicznie wytykał niedowiarka palcami:

„W każdym miejscu, gdzie się znajdują bogobojni i w całości, tam się też znajdują i zawikłanego rozumu, bo rzecz tak być musi, gdyż gdyby tych zagmatwanych głów nie było, to by nie rosły paznokcie u człowieka, a te coraz obcinać trzeba, aby się nie podrapać i nie pokaleczyć. W każdym miejscu dwa znajdują się, rzecz sama i jej *oppositum*⁴⁴, gdzie szczęście, tam się znajduje nieszczęście i przeciwnie, gdzie nieszczęście, tam szczęście też być musi”⁴⁵.

Niekiedy zaś po prostu wpadał w złość i rugał sceptyków jak święty Michał diabła, sięgając przy tym chętnie do wspomnień z dzieciństwa:

„W szabas zjechali goście do Rabbi Lejbego, ci różne mi psoty, jak to dziecięciu, wyrabiali. W wieczór z soboty na niedzielę jest zwyczajem u Żydów, wzięwszy kielich z perfumą błogosławić i odmawiać co nad tym. Ja, ukradłszy ten kielich, wyjąłem z niego perfumy i nakładłem gówien. W wieczór oni wszyscy odmawiali błogosławieństwa nad tym i do nosa przytykali te paskudztwa jeden po drugim”⁴⁶. Tak i z wami, nieszczęśni, co nie odróżniacie perfumy od gówna!

Na ogół jednak szybko się reflektował i przeproszał wszystkich, których mógł urazić: „Widzicie przed sobą prostaka [...]. Gdyby potrzebowano uczonych, to by wam byli takiego posłali”⁴⁷. Zapewniał przy tym, że nie ma dla niego nic ważniejszego niż jego terażniejsi i przyszli uczniowie: „Powiadam wam, choćby wszyscy królowie przyszli do mnie, to to w moich oczach nic nie waży; moje największe wyglądanie jest na Żydów, by przyszli do mnie”⁴⁸. I przyjdzie ich moc niezliczona.

Oprócz działalności duszpasterskiej Święty Pan prowadził również na Jasnej Górze normalne życie rodzinne – to tam urodzili mu się trzej kolejni synowie: Jakub, Roch i Józef – troszczył się o byt swoich wiernych, rozsyłając na wszystkie strony emisariuszy z zadaniem zbierania nowych datków, interesował się poziomem wykszolenia swoich huzarów, a wreszcie oddawał się także zwykłym ludzkim ucieshom.

To ostatnie było powodem jego jedynych, choć tylko sporadycznych zatargów z ojcami paulinami, którzy kilkakrotnie zabraniali mu urządzania

hucznych biesiad i przyjmowania u siebie nocą młodych dziewcząt i chłopców. Wprawdzie oburzony Święty Pan odgrażał się wówczas w gronie najbliższych: „Dzień mściwy jest ukryty w sercu moim. Bądźcie spektatorami i obwoływaczami na świecie: Wysprzątać! Wysprzątać miejsce żywo, dla tego, który tu przyjdzie!”⁴⁹, jak też wołał wielkim głosem: „Pomstę swoją wyleję za tę straszną męczarnię i krew rozlaną na próżno!”⁵⁰, szybko się jednak uspokajał, machał ręką na zakonników i ich zakazy, po czym, jakby nigdy nic, powracał do swoich nawyków.

Jego ukochana córka Awaczunia była całkowitym przeciwieństwem ojca. Wiedziała wprawdzie, że ma w przyszłości do odegrania ważną rolę religijną i wcale się przeciw temu nie buntowała, ale z każdym rokiem spędzonym na Jasnej Górze coraz mniej interesowała ją metafizyka, za to coraz bardziej pochłaniała ją nauka i przepastna biblioteka ojców paulinów.

Uczyła się teraz łaciny, francuskiego, angielskiego, matematyki i muzyki, toteż lekcje niemieckiego, który znała już naprawdę dobrze, odbywały się rzadko i ograniczały się jedynie do konwersacji, prowadzonej najczęściej podczas spaceru po jasnogórskich wałach. I niemal na każdej z tych perypatetycznych lekcji potrafiła zaskoczyć rotmistrza von Zypke jakimś dziwnym pytaniem.

– Czy wie pan, panie rotmistrzu, dlaczego pan istnieje? – zapytała go na przykład któregoś razu.

– Nie mam pojęcia – odparł zdumiony czarny huzar. – To znaczy mam – poprawił się szybko – dzięki Panu Bogu lub moim rodzicom, jak wolisz.

– Nie – dziewczynka pokręciła tryumfalnie głową. – Dlatego, że pan myśli. *Cogito, ergo sum*. Myślę, więc jestem.

– Też coś! – prychnął lekceważąco Prusak. – Sama to wymyśliłaś?

– Nie. Francuski filozof Descartes.

– Od razu widać. Cholerne żabojady! Dla zgrabnego *bon motu* czy, jak to się mówi u nas, *zwischenruffu*, zawsze gotowi dać się pokroić albo postawić świat na głowie.

– Na głowie? A dlaczego? – zdziwiła się panna Ewa.

– Dlatego, że w rzeczywistości jest dokładnie na odwrót. Jeśli mi nie wierzysz, zdejmij pantofelek i kopnij z całej siły tę oto armatę – czarny huzar wskazał na zaśniedziałe resztki szwedzkiej kolubryny, obok których właśnie przechodzili. – No śmiało, nic ci nie będzie. Armata nie myśli, więc nie istnieje.

– Nie – odparła Awaczunia po chwili namysłu i wygięła usta w podkówkę.

– No i sama widzisz, jaki z niego filozof. Nie „Myślę, więc jestem”, lecz „Jestem, więc myślę”. *Sum, ergo cogito*. Tyle że to bardziej postulat moralny niż maksyma filozoficzna. Bo maksyma filozoficzna powinna być uniwersalna, czyli sprawdzać się w każdych okolicznościach i pod każdą szerokością geograficzną. Tymczasem, choć ludzi na świecie jest od diabła, większość z nich w ogóle nie myśli.

– Nie lubię pana – stwierdziła w odpowiedzi trzynastolatka i obróciwszy się na pięcie, uciekła naburmuszona do klasztoru.

Przy innej okazji zagadnęła go:

– A wie pan, że ludzki umysł to *tabula rasa*, czyli niezapisana tablica, i że cała wiedza, jaka się na niej zapisuje, pochodzi wyłącznie z doświadczenia?

– Tak? – odpowiedział. – A ty skąd o tym wiesz? Z doświadczenia?

– Nie, z książki.

– I to jest najlepszy dowód, ile w tym twierdzeniu prawdy.

– Może z tym doświadczeniem rzeczywiście coś nie tak – poprawiła się, kiedy spotkali się ponownie trzy tygodnie później. – Ale chyba pan nie zaprzeczy, że cała wiedza i wszelkie dyspozycje ludzkiego umysłu mają swoje źródło w poznaniu zmysłowym i że wystarczy jedynie zdolność odbierania wrażeń, żeby nawet w posągu, o którym pisze Condillac, pojawiła się świadomość i życie duchowe?

– Hm, gdyby to była prawda, to niewidomi i niesłyszący nie mieliby żadnych szans w jakiegokolwiek rywalizacji z pełnosprawnymi – odparł na to czarny huzar. – Na szczęście tak nie jest. Dość przypomnieć, że Homer napisał *Iliadę* i *Odyseję*, chociaż był ślepy jak kret, a jednym z najlepszych władców rzymskich był cesarz Hadrian, głuchy jak pień. Co się zaś tyczy owego posągu, obdarzonego jakoby świadomością i życiem duchowym, to chętnie bym go sobie obejrzał i dokładnie opukał.

– Naprawdę nie da się z panem dyskutować, jest pan po prostu okropny! A na dodatek nietolerancyjny! – Awaczunia tupnęła nogą.

– Ja nietolerancyjny?! A czy ty chociaż wiesz, co znaczy słowo „tolerancja”? – oburzył się z kolei Prusak. – Tolerancja to cierpieć coś, co normalnie jest nie do zniesienia, znosić coś, czego normalnie nie da się ścierpieć, wytrzymać z pokorą coś, za co normalnie należałoby obić komuś mordę, a wszystko to wyłącznie z miłości bliźniego. Słowem, tolerancja to prawdziwa próba charakteru i jedna z najwspanialszych chrześcijańskich cnót. Praktykuję ją,

oczywiście, na ile mogę, lecz wszystko ma swoje granice. Sam uważam się za najbardziej tolerancyjnego człowieka na świecie, lecz jeśli ktoś chce mnie zmusić, żebym przyklasnął czemuś, czego z całego serca nienawidzę lub czym po prostu gardzę – lub bym to zaakceptował bądź podziwiał – albo jeśli ktoś liczy bezczelnie na to, że kiedykolwiek wyduszę z siebie, że czarne jest białe, a białe czarne lub że przyznam mu rację, kiedy zaprzecza prawom natury albo fizyki, to lepiej niech uważa, bo w takich razach moja tolerancja kończy się jak ręką odjął i mogę go tak trzasnąć w parszywy ryj, że nie da się go potem pozbierać przez parę ładnych miesięcy! I mam do tego święte prawo.

– Tak?! I potraktowałyby pan w ten sposób nawet kobietę? – zapytała ze zgrozą Awaczunia.

– Nie, kobietę raczej nie – zreflektował się rotmistrz von Zypke. – Ale z całej reszty zrobiłbym szablą polski bigos. Taki drobno krajany, jaki najbardziej lubię.

Po tym szczerym wyznaniu panna Frank nie chciała już dłużej z Prusakiem dyskutować, lecz nie dała bynajmniej za wygraną.

– Panie rotmistrzu, choć ostatnio jest pan nastawiony wyjątkowo negatywnie do wszystkiego, co mówię – poinformowała go surowo na kolejnej lekcji – mam nadzieję, że nie będzie pan podważał przynajmniej tego, że wszyscy ludzie powinni być wolni i równi?

– Oczywiście, o ile masz na myśli wolność w granicach prawa i równość wobec prawa – zgodził się bohater spod Zorndorf. – Bo bez tego zastrzeżenia wolność i równość wzajemnie się wykluczają.

– Jak to?

– A tak, zwyczajnie, jak woda i ogień. Zacznijmy od tego, że ludzie nie są równi z natury. Jedni są niscy, drudzy wysocy, jedni chudzi, drudzy grubi, część z nich jest biedna, część bogata, niektórzy są mądrzy, inni głupi, ci są zdrowi, tamci chorzy, jedni są pracowici, a inni to śmierdzący lenie, istnieją wreszcie ludzie dobrzy i ludzie źli. Zaprowadzenie równości w całym tym pstrokatym towarzystwie razem z jego różnorodnością mogłoby się odbyć jedynie przemocą, przy czym z raz zastosowanej przemocy nie dałoby się już zrezygnować, ponieważ bez niej wszystko wróciłoby szybko w stare koleiny. A gdzie jest przemoc, nie ma wolności. W dodatku tam, gdzie zaprowadzono by równość przemocą, zniknęłaby także sama równość, gdyż ci, którzy stosują ucisk, w sposób oczywisty stoją ponad uciskanymi.

– Straszne rzeczy pan opowiada! Widzę, że nie lubi pan współczesnej filozofii?

– Nie lubię.

– A dlaczego?

– Bo mogę. Dzięki Bogu, żyjemy w kraju, gdzie nikt jeszcze nie próbował wprowadzać równości siłą. Nie lubię jej także dlatego, że choć filozofów jest dzisiaj jak psów pod jatką i choć tak jak te psy skaczą sobie oni wzajemnie do gardeł, prawda, siłą rzeczy, może być tylko jedna.

– Więc pewnie pan myśli, że zajmuję się bzdurami?

– Tego nie powiedziałem. Czytaj, dziecko, jak najwięcej, także filozofii, nigdy nie wiadomo, co się w życiu przyda. Tylko nie uważaj od razu za prawdę wszystkiego, co przeczytałaś, wyłącznie dlatego, że komuś przyszło do głowy to napisać, często zresztą nie wiadomo po co i za Bóg wie czyje pieniądze. Pamiętaj, że zgodnie z naturą, autorami większości książek, podobnie zresztą jak wszystkich innych wytworów ludzkich rąk i umysłów, są skończeni durnie, bo ci, statystycznie rzecz biorąc, stanowią największy odsetek każdego społeczeństwa. Dlatego właśnie jest tak ważne, aby myśleć samodzielnie, to znaczy wątpić i nie wierzyć na słowo żadnym „autorytetom”, na ogół równie sprzedajnym jak portowe dziwki. Czyli, jak to świetnie ujął twój szanowny rodzic, umieć odróżniać perfumę od gówna.

– Myśli pan, że mój ojciec jest mądry? – zapytała z nutką niepewności w głosie.

– Swój rozum ma – odparł dyplomatycznie czarny huzar.

– Bardzo panu dziękuję, panie rotmistrzu – stwierdziła z wyraźną ulgą panna Ewa. – Mimo wszystko kocham pana.

A potem stanęła na czubkach palców i pocałowała rotmistrza von Zypke w prawy policzek.

Niemieckie konwersacje z Awaczunią były dla czarnego huzara wielką przyjemnością. Czekał na nie zawsze niecierpliwie, zwłaszcza że od czasu, kiedy po wykupieniu w Turcji kilkudziesięciu chrześcijańskich jeńców złożył mu wizytę pan Korytkowski, nie miał w Olsztynie żadnych innych gości, zaś po śmierci *rebbe* Eliszy, pochowanego w jednej z olsztyńskich jaskiń, prawie nie wychylał nosa ze swojej kamiennej samotni.

Wybuch konfederacji barskiej, z początku omijającej szczęśliwie okolice Częstochowy, przyniósł w życiu Mistrza i jego ludzi dwie zmiany.

Pierwszą z nich było odejście z kompanii dawnych pojedykowiczów Kazimierza Zamoyskiego i Stanisława Kostki Zbaraskiego, którzy, uznawszy, że powinni dołączyć do powstańców, poprosili o zwolnienie ze służby i pojechali walczyć na Podole. Drugą, narastający w Mistrzu i niedający się racjonalnie wytłumaczyć niepokój, że towarzyszący powstaniu zamęt może ściągnąć jakieś straszliwe niedole na głowy polskich i nie tylko polskich Żydów. Aby ich ostrzec przed nadciągającym nieszczęściem i wskazać im niezawodny sposób ratunku, Święty Pan ułożył zatem i wydrukował własnym sumptem dwie odezwy, z których część wysłał pocztą do różnych gmin żydowskich, resztę zaś kazał Mateuszowi Matuszewskiemu, Janowi Wołowskiemu, Piotrowi Jakubowskiemu, Pawłowi Pawłowskiemu oraz innym uczniom osobiście rozwieźć po Polsce i krajach ościennych, wyłączając południowo-wschodnie kresy Rzeczypospolitej, gdzie trwały walki.

W pierwszej z tych odezwy można było przeczytać: „Wiedźcie o tym, że niezadługo we wszystkich krajach, przeważnie zaś w Wielko i Małopolsce, na Litwie, na Rusi, na Węgrzech, Wołoszy, Mołdawii, w Prusiech, i wszędzie, gdzie Żydzi mieszkają, spotka was nieszczęście! Kto pozostanie w domu, zginie w domu i nie będzie komu ich grzebać! Co którzy będą na polu – zginą w polu, a psy gryźć będą ich kości! Papieru zabraknie na opisanie waszej niedoli. Lecz kto spełni nakaz Mojżesza i przyjmie wiarę Edomu – ocaleje!”⁵¹ Z kolei w drugiej: „Burza nadejdzie i spadnie na głowy winnych, zniszczy wszystko. Kto ujdzie miecza, nie ujdzie przepaści. Wam tedy przystoi płakać nad nimi, lecz i oni płakać będą nad wami. Pojawił się bowiem naród z potomków Edomu; szczęk wojny państwo na państwo rzuca i oczyści się lud, a występni zginą. Lecz grzeszni tego pojąć nie chcą, a tylko rozumni poznają, że każdy pochodzący z pokolenia Abrahama, Izaaka i Jakuba, musi przejść na wiarę Edomu. Kto wiarę tę z miłości przyjmie, ten będzie wyzwolon z niedoli i dozna łaski przepowiedzianej przez Izajasza”⁵².

Kiedy przerażeni uczniowie pytali go, co rozumie przez wiarę Edomu, Mistrz odpowiadał:

– Najchętniej naszą. Ale może też być rzymska, pruska, moskiewska lub jakaś inna. Bo w czasie wojny najgorsza jest żydowska.

Od większości gmin nie otrzymał żadnej odpowiedzi, z paru miejsc przyszło trochę obelg i nieprzyzwoitych propozycji i tylko z krajów habsburskich dostał dwa życzliwe listy. Jeden z Pragi, z uprzejmą prośbą, aby przysłał tam swoich ludzi, to może któryś z miejscowych Żydów da się przekonać do świętej wiary, drugi z morawskiego Brna, gdzie od czasu wyjścia za mąż mieszkała jego kuzynka Schöndl, która napisała, że gdyby miał jakieś kłopoty w Polsce, zawsze może się przenieść do spokojnej Austrii, a wtedy ona i jej mąż pomogą mu jakoś stanąć na nogi.

Te dwa miłe listy nie zmieniły faktu, że Święty Pan uznał całą sprawę za swoją porażkę. Nagle jednak zdarzył się cud.

Na samym początku maja zjawiono się w Częstochowie dwóch Prusaków. Prosząc Jakuba Franka o audiencję, jeden z nich, mocno przygarbiony i siwy jak gołąbek, przedstawił się jako Johann Friedrich Hermannsdorfer; drugi, może dwudziestoletni, na którego widok wielu pielgrzymów na Jasnej Górze zęgnęło się znakiem krzyża bądź pluło na wszelki wypadek przez lewe ramię, podał, że nazywa się Klaus, a właściwie Rajiv Callenberg.

Mistrz od razu poznał starego protestanckiego misjonarza i ucieszył się na jego widok.

– Naprawdę miło mi pana zobaczyć po tylu latach, panie Hermannsdorfer! Cóż pana tutaj sprowadza? – zapytał z otwartymi ramionami.

– Słyszeliśmy w Institutum Judaicum et Muhammedicum, że w związku ze zbliżającym się końcem świata chce pan znowu nawracać Żydów – odparł prosto z mostu brat Johann.

– To wspaniale, ale nie przypominam sobie, żebym pisał w tej sprawie do Halle – zdumiał się Święty Pan.

– Zgadza się. Za to wysłał pan do Niemiec niejakiego Wołowskiego, który odwiedził kilkanaście gmin żydowskich, gdzie go zresztą wyśmiano. Może dlatego, że nikogo nie zainteresowała jego propozycja, a może dlatego, że ledwie dukał po niemiecku i nikt nie rozumiał, o co mu właściwie chodzi. Tak czy owak, ponieważ nasz Instytut utrzymuje z tymi gminami bardzo dobre stosunki, udało się nam ustalić, jaki był cel jego misji, i postanowiliśmy panu pomóc. Bo nawracanie Żydów i mahometan to nie tylko nasz chrześcijański i statutowy obowiązek, ale także nasze powołanie i największa pasja. Co nie wyszło w Niemczech, może wyjdzie w Polsce, zwłaszcza że, odwrotnie niż dziesięć lat temu, tu koniec świata wydaje się bliższy.

– Teraz rozumiem i jestem naprawdę wzruszony, a z Wołowskim jeszcze się policzę. Mówił, skończony dupek, że zna niemiecki lepiej od cesarzowej Marii Teresy! Ale wracając do naszych Żydów, to na jaką konkretnie wiarę chcecie ich nawracać?

– To chyba jasne, *herr* Frank, że nie na rzymską.

– W takim razie, czy powiecie im także, co naprawdę myślał o nich doktor Luter? Jak choćby to, że to dzieci diabła, skazane na ogień piekielny, jeśli dobrze zapamiętałem ze Lwowa.

– Proszę bez złośliwości, drogi panie Frank. Gdyby pan dobrze pogrzebał w archiwach, znalazłby pan z pewnością niejedną jeszcze gorszą wypowiedź na ten temat teologów katolickich, a nawet samych papieży. Rzecz w tym, że tak oni, jak doktor Luter byli dziećmi swoich czasów i pod wieloma względami rozumowali niestety identycznie jak większość im współczesnych. Na szczęście dziś mamy Wiek Rozumu i ludzie myślą inaczej.

– Oby. Ale jeśli nawet nie przerazi ich pan doktorem Lutrem, to na pewno przestraszy tym Murzynem.

– Nie jestem Murzynem, tylko Hindusem, proszę pana – wtrącił z uśmiechem Klaus, a właściwie Rajiv. – A jeśli się trochę przestraszą, tym lepiej. Szybciej się nawrócą.

– W porządku, widzę, że tak samo jak doktor Luter, jesteście uparci jak osły, więc przyjmuję waszą ofertę, chyba że się sami wystraszyacie. Bo miejscem, gdzie moglibyście się przydać najbardziej, są południowo-wschodnie kresy Polski, gdzie wciąż jest bardzo niespokojnie i dokąd z powodu wojny polsko-rosyjskiej nie śmiałem posłać moich ludzi.

– Nie, nie wystraszymy się – zapewnił go brat Johann. – Jako Niemcy nie mamy nic do Rosjan ani do Polaków, więc możemy chyba liczyć na ich wzajemność. Nam chodzi wyłącznie o Żydów, bo jak już powiedziałem, ich nawracanie to nasze powołanie i pasja.

– W porządku, bardzo dziękuję. Na wszelki wypadek dam wam jednak kilku moich gwardzistów, których dowódca, rotmistrz von Zypke, będzie także waszym tłumaczem.

– Rotmistrz von Zypke, czarny huzar?! – ucieszył się Rajiv. – Nie wiedziałem, że jest jeszcze z wami. Z przyjemnością go zobaczę!

– Możesz go zobaczyć choćby dzisiaj, bo mieszka niedaleko stąd, w Olsztynie, gdzie chyba i was, panowie, będę musiał zakwaterować.

– A ja chętnie panów do niego zawiozę – zaoferowała się Awaczunia, tłumacząca tę rozmowę. Po czym, kiedy spostrzegła, że przystojny Hindus zauważył, iż od jakiegoś czasu wpatruje się w niego jak urzeczona, oblała się rumieńcem i dodała: – O ile nie boją się panowie pajaków i nietoperzy.

– Nietoperzy? – zdziwił się starszy z protestanckich misjonarzy.

– Tak, gacków, nocków i podkowców. Słowem, *chiroptera*.

▪

Ujrawszy przybyszów z Niemiec, rotmistrz von Zypke stanął w progu jaskini jak wryty.

– Brat Johann?! Klaus?! – wykrztusił z siebie, kiedy wreszcie odzyskał głos.

– Skąd żeście się tu wzięli?! Spadliście z nieba?!

– Nie, przyjechaliśmy z Prus, na misję – wyjaśnił z dumą młody Hindus.

– Więc jednak zostałeś pastorem?

– Jeszcze nie, ale mam taki zamiar.

– Może gdybym te dziesięć lat temu zamiast konia z piernika kupił ci prawdziwego, dziś nosiłbyś mundur – w głosie czarnego huzara dało się wyczuć pewien zawód.

– Nie sędzę, panie rotmistrzu. Moje powołanie jest raczej mocne – roześmiał się Rajiv. – Ale za tamtego konia serdecznie dziękuję. Bardzo mi smakował. Może dlatego, że był siwy od lukru.

– No dobrze, cieszę się niezmiernie, że was widzę, wchodźcie, wchodźcie do środka! Zaraz was ugoszczę, czym chata bogata, jak mówią Polacy.

– Ładna mi chata! – stwierdził z podziwem Klaus, kiedy po minięciu szerokiego i kilkakrotnie zakręcającego korytarza otworzyła się przed nimi duża podziemna galeria oświetlona przez liczne pochodnie, służąca tylko w części za kwaterę gwardzistów. – Toż to prawdziwy pałac maharadzów!

– I owszem – potwierdził z satysfakcją czarny huzar. – A co najważniejsze, w przeciwieństwie do maharadzów, jego utrzymanie nic mnie nie kosztuje.

Przy zarządzanej natychmiast kolacji rotmistrz von Zypke dowiedział się, że doktor Johann Heinrich Callenberg, wielce uczony i powszechnie szanowany dyrektor Institutum Judaicum et Muhammedicum w Halle, nie żyje już od ośmiu lat, zaś jego miejsce na czele tej instytucji zajął znany mu Stephan Schulz, który skupił się przede wszystkim na prowadzeniu sierocińca i działalności

wydawniczej, jak też, że brat Olaf, który odszedł z Instytutu zaraz po misji w Polsce, wkrótce potem zaciągnął się do wojska i zginął śmiercią bohatera pod Burkersdorf.

Czarny huzar wysłuchał również pełnej entuzjazmu opowieści Rajiva o jego przygotowaniach do ordynacji prezbiterkiej mającej wkrótce umożliwić mu publiczne zwiastowanie słowa Bożego, po czym sam musiał zdać gościom relację ze swoich przygód w Polsce i służby u Jakuba Franka.

Kiedy następnie przybysze z Prus przedstawili mu swój zamiar udania się na kresy Polski, rotmistrz von Zypke mocno się zasępił.

– Tak naprawdę to diabli wiedzą, co się tam dzieje – powiedział. – Eskorta kilku gwardzistów może nie wystarczyć.

– To niech pan powie mojemu ojcu, żeby dał ich więcej – poradziła Awaczunia. – Na pewno się zgodzi, a jeśli nie, sama go o to poproszę. Mnie nie odmówi.

– Dziękuję, porozmawiamy z nim o tym jutro, kiedy cię odwiozę do Częstochowy.

Reszta wieczoru upłynęła bardzo przyjemnie, lecz kiedy czarny huzar zaczął wypytywać brata Johanna o powojenne porządki w Prusach, a potem wdał się z nim w zażartą dyskusję na temat walorów odżywczych i smakowych kartofli („Mnie żadna siła na świecie nie zmusiłaby do przełknięcia podobnego świństwa!”), które Fryderyk II kazał sadzić w Prusach dla uniknięcia klęski głodu, panna Ewa wzięła Rajiva za rękę i zabrała go na zwiedzanie jaskini.

Oprowadzając go po różnych zakamarkach groty, pokazała mu smocze zęby stalaktytów i stalagmitów, naturalne kamienne kominy prowadzące ku powierzchni ziemi, zwisające ze sklepienia kolonie nietoperzy, źródło czystej wody tryskające z ledwie widocznego pęknięcia w skale, a także najciekawsze z wielobarwnych nacieków mineralnych tworzących na kamieniu obrazy i reliefy, w których można się było dopatrzeć portretów sławnych ludzi: Mojżesza, Abrahama i Izaaka, Juliusza Cezara, Kleopatry, nowego króla Polski Stanisława Augusta i jego potężnej protektorki Katarzyny II, różnych zwierząt oraz scen mitologicznych i batalistycznych, gdzie cierpliwość działającej przez wieki Natury doprowadziła w końcu do tego samego efektu co mistrzostwo Michała Anioła czy Rubensa.

O żadnym mistrzostwie nie mogło być rzecz jasna mowy w odniesieniu do niezdatnych rysunków wykonanych sadzą przez świętej pamięci Eliszę

z Podhajec, ale i one spodobały się młodemu Hindusowi, gdyż włochate słonie przypomniały mu od razu jego rodzinne strony.

Po powrocie do reszty towarzystwa zachwycony Rajiv pogratulował gospodarzowi:

– Naprawdę brakuje tu panu tylko ptasiego mleka, panie rotmistrzu.

– Dziękuję – czarny huzar podkreślił z zadowoleniem wąsa. – Choć to nie do końca prawda. Brakuje mi tu jeszcze paru innych rzeczy. Najbardziej i najczęściej tak zacnej kompanii, jak wasza. A od czasu do czasu także kufelka świeżego piwa, dobrego tytoniu i kilku taktów jakiejś niewykręcającej uszu muzyki. Śpiew ptaków i granie świerszczy to jednak nie to samo.

– Miło nam, że możemy zaspokoić przynajmniej pierwszą z pańskich potrzeb – rzekł na to brat Johann.

– A także ostatnią – dodał z tajemniczą miną młody Hindus, po czym bez wyjaśniania, co miał na myśli, zaczął grzebać w swojej sakwie, skąd wyjął dziwny instrument składający się z wysuszonej tykwy jakiejś trudnej do rozpoznania rośliny, której ucięta na końcu łodyga służyła za ustnik, i z wetkniętych w tę tykwę dwóch kawałków bambusa: jednego z otworami, dzięki czemu przypominał flet, i drugiego bez otworów, co sprawiało, że nie różnił się niczym od zwykłego patyka. Całość pomalowana była w ukośne jaskrawe czerwono-niebieskie paski i ozdobiona ornamentem ze złotych gwiazdek.

– Cóż to takiego? – zapytała zaciekawiona panna Ewa.

– *Pungi*. Rodzaj piszczałki, na której w Indiach przygrywa się węzom. To moja jedyna pamiątka po dziadku, który był *sapera*, czyli zaklinaczem tych gadów. Kiedy jadę w podróż, zawsze zabieram ją ze sobą.

– No proszę, tego nie wiedziałem – zdumiał się czarny huzar. – A jakie węże zaklinał twój szanowny dziadek?

– Najczęściej kobry. Nie ze względu na ich muzykalność, tylko dlatego, że są w Indiach bardzo pospolite.

– Mam nadzieję, że nie odziedziczyłeś tej piszczałki dlatego, że kiedyś któraś z nich ukąsiła twojego dziadka? – zaniepokoiła się panna Frank.

– Nie, mój dziadek znał świetnie swój fach i nigdy nie dał się ugryźć. Zmarł ze starości, kiedy miałem trzy lata.

– I umiesz na tym grać?

– Oczywiście.

– To zagraj coś, proszę.

Klaus usiadł w kucki na ziemi, przytknął łodygę tykwy do ust, przedmuchał ją parę razy, następnie odchrząknął, nabrał powietrza w płuca i zaczął grać.

Z obu bambusowych rurek wydobyła się kaskada dźwięków układających się w gęstą, żwawą, pełną rozmachu i pulsującą energią melodię, która pomknęła jak wichurka ku sklepieniu groty, owinęła się niczym wąż wokół zwisających z niego stalaktytów i nietoperzy i wybiła ze snu kilkanaście z tych zwierząt. Te rozpostarły skrzydła, zawirowały w powietrzu, zaraz potem zanurkowały w dół i zaczęły tańczyć szaleńczego kontredansa tuż nad głowami ludzi, żeby w chwili później, przekonawszy się na własne oczy, a raczej uszy, że nic im nie grozi, wzbić się ponownie do góry i przepaść w panującym tam mroku, podczas gdy odbijane od nierównych ścian jaskini takty muzyki długo jeszcze wracały do słuchaczy rozciągniętym echem.

– No, no, no! – stwierdził z podziwem rotmistrz von Zypke, kiedy hinduski kandydat na pastora odłożył swój instrument. – Widzę, że w Indiach lepiej gra się gadom niż u nas ludziom.

– To była akurat muzyka dla ludzi – zaśmiał się Klaus. – Wężom nie trzeba aż takich delikcji, bo prawdę rzekłszy, są głuche jak pień. Reagują nie na dźwięk, tylko na ruch *pungi*, którym *sapera* kręci im przed nosem. Ruch doprowadza je do czegoś w rodzaju hipnozy, podczas której nie mają ochoty kąsać. A to, co przed chwilą zagrałem, to główny motyw z pierwszej części koncertu na klawesyn w tonacji d-moll Jana Sebastiana Bacha.

– Jana Sebastiana Bacha? Nigdy o nim nie słyszałam – zawstydyła się Awaczunia.

– Ani ja – przyznał się czarny huzar.

– Nie szkodzi, prawie nikt nie słyszał.

– Zapamiętam sobie to nazwisko. Proszę, zagraj coś jeszcze – poprosiła panna Ewa.

– Dla ludzi czy dla węży?

– Dla mnie.

Rajiv skinął głową, a potem zagrał fragmenty pierwszej i ostatniej części koncertu g-moll na klawesyn tego samego, nieznanego prawie nikomu kompozytora.

– I jak? – zapytał, kiedy skończył i nieco zmęczony odjął *pungi* od ust.

– Cudownie! Ale chciałabym jeszcze usłyszeć jakąś uwerturę dla węży. Zobaczymy, czy uda ci się mnie zahipnotyzować.

Wtedy Klaus wykonał na swoim jaskrawo pomalowanym instrumencie jakąś przedziwną egzotyczną melodię, przy której Awaczunia, z arcyważną miną i rękami splecionymi nad głową, zaczęła wić się i kołysać niczym prawdziwa kobra.

– Czujesz się zahipnotyzowana? – zapytał młody Hindus, kiedy wybrzmiała ostatnia nuta.

– Ani trochę. Gdybym była wężem, to po czymś takim od razu bym cię dziabnęła. Zdecydowanie wolę Bacha.

– W takim razie kończę mój występ – wzruszył ramionami Rajiv.

– A mnie się wydaje, że cię zahipnotyzował i to nawet bez tej fujarki – stwierdził zgryźliwie obserwujący ich uważnie brat Johann. – W sumie niepotrzebnie, bo ma być pastorem.

– Przecież nie robimy nic złego – zauważył Klaus.

– W dodatku pastor może się żenić, czyż nie? – odgryzła się również Awaczunia.

– Tak, ale najpierw niech nim zostanie – zakonkludował starszy z protestanckich misjonarzy.

Następnego dnia czarny huzar odwiózł pannę Ewę do Częstochowy, gdzie poprosił jej ojca o pozwolenie zabrania na południowo-wschodnie kresy Polski większej liczby gwardzistów. Niestety pomimo interwencji Awaczuni, Jakub Frank zgodził się ostatecznie tylko na dziesięciu. Ktoś musiał przecież zostać w Olsztynie, żeby pilnować jaskini.

W tej sytuacji niezadowolonemu rotmistrzowi von Zypke nie pozostało nic innego, jak zapytać listownie pana Korytkowskiego, czy – jeśli nie przyłączył się do konfederacji lub nie ma jakichś innych ważnych planów – nie wzięłby udziału w wyprawie misyjnej znanego mu już Johanna Friedricha Hermannsdorfera do czterech południowo-wschodnich województw Rzeczypospolitej, przyprawiając ze sobą, jeśli to możliwe, tylu krewnych i znajomych, ilu tylko zdoła namówić. A że nie było wiadomo, czy stary pirat w ogóle przebywa w Korycinie, czarny huzar zaznaczył w swoim liście, że nie będzie czekać na jego pisemną odpowiedź, tylko na niego samego *in persona*, jak też na jego ewentualnych towarzyszy, pierwszego czerwca na rynku w Płoskirowie, dokąd, jak wynikało z mapy, było mniej więcej tak samo daleko z Częstochowy, jak

z Nowogródka, po czym, gdyby ich tam nie spotkał, niezwłocznie ruszy w dalszą drogę.

Po wysłaniu tego listu pruski oficer zabrał się za staranne przygotowanie misji. Przede wszystkim wybrał spośród swoich podkomendnych dziesięciu najodważniejszych i najbardziej obytych z bronią ludzi, z Jakubem Mniejszym na czele, kazał im wyprać i oporządzić mundury, podzelować buty, naostrzyć szable i noże, podkuć na nowo kilka koni, sam zaś zakupił w Częstochowie dziesięć nowych pistoletów, spory zapas kul i prochu, a także trochę środków opatrunkowych i kilka worków suchego prowiantu. Przez następne dwa tygodnie intensywnie ćwiczył swoich żołnierzy, zwłaszcza w strzelaniu na zaimprovizowanej specjalnie w tym celu strzelnicy.

W czasie przygotowań do wyprawy Awaczunia zjawiała się w Olsztynie prawie codziennie. Korzystając z pięknej wiosennej pogody, zabierała Rajiva na spacer po porastającym okoliczne wzgórza bukowym lesie albo na dalsze konne wycieczki, podczas których zwiedzali ruiny starych zamków, zaglądali do nieznanych jaskiń, łowili ryby w Prądniku, klasyfikowali – jak to określała Awaczunia – rozmaite okazy miejscowej fauny i flory, podziwiali wapienne skały o niezwykłych kształtach przywodzących na myśl uśpione kolosy, starożytne akwedukty, średniowieczne baszty, warującego psa lub maczugę, a kiedy się tym zmęczyli, zatrzymywali się w jakimś miłym ustroniu, rozpościerali na trawie obrus i raczyli się różnymi smakołykami zabranymi specjalnie na tę okazję przez pannę Ewę. Niekiedy, na prośbę Awaczuni, Rajiv wyciągał po posiłku swoje *pungi* i grał na nim na deser jedną lub dwie melodie jej ulubionego teraz kompozytora Jana Sebastiana Bacha lub jakiegoś innego, dużo bardziej znanego twórcy.

Na wszystkich tych wycieczkach towarzyszył im zawsze Jan Wołowski i trzech uzbrojonych gwardzistów. Nie tylko po to, żeby zapewnić im bezpieczeństwo (w każdej chwili w okolicy mogli pojawić się konfederaci albo, co gorsza, Moskale), lecz także w tym celu, aby mieć ich na oku i w przypadku jakichkolwiek niestosownych rozmów bądź zachowań z ich strony donieść o tym Świętemu Panu i bratu Johannowi.

Ale donosić nie było o czym, bo młodzi co najwyżej trzymali się niewinnie za ręce, jeśli zaś chodzi o ich rozmowy, toczone zawsze po niemiecku, to Wołowski nie potrafił ich należycie ocenić, ponieważ miał nieodparte wrażenie, że używali w nich jakiegoś tajnego szyfru.

– Jak byś go nazwał, Rajiv? – pytała na przykład panna Ewa podczas tak zwanego klasyfikowania, zdejmując z dębu sporego chrząszcza z olbrzymimi żuwaczkami przypominającymi do złudzenia poroże jelenia.

– „Jeleń szescionogi”, „*Cervus hexapodus*” – odpowiadał młody Hindus. – Albo „żuk św. Huberta”, „*Lucanus Sancti Huberti*”.

– A ja „przyszły mąż”, „*Maritus futurus*”, lub – jeszcze lepiej – „pastor luterański na misji”, „*Sacerdotus lutheranus in missione*” – przekomarzała się z nim Awaczunia.

– A jak byś sklasyfikował przedstawiciela tego gatunku? – indagowała swojego towarzysza innym razem, po złowieniu w Prądniku jakiejś niepozornej rybki.

– Czy ja wiem? Może „jesiotr polski”, „*Acipenser polonicus*”? Albo „sarmacki wieloryb”, „*Cetus sarmaticus*”? – proponował Rajiv.

– Sam jesteś wieloryb, „*Cetus indicus*”! – kpiła z niego córka Świętego Pana. – Wieloryb to w ogóle nie *Pisces*⁵³. To ssak, czyli *Mammalia*. A to biedne stworzenie, które wpuszczę za chwilę z powrotem do wody, to wykapanie „Stracone zachody miłości”, „*Labores amoris perdit*”, co zresztą widać gołym okiem.

– „*Labores amoris perdit*”? – powtarzał ze zdumieniem początkujący protestancki misjonarz. – A niby dlaczego?

– Bo tak. Chyba że wolisz „Otella”? – panna Frank wyszczerzyła zęby.

– Ale wymyśliłaś! Ja Otello, a ty pewnie Desdemona?

– Zgodnie z logiką, tak by wypadło.

– To trafiłaś kulą w płot! Z takim Otellem jak ja dociągniesz spokojnie do setki, bo nie ma we mnie nawet cienia krwiożerczości.

– W takim razie niech będzie „Miarka za miarkę”, „*Mensura per mensuram*” – zasugerowała Awaczunia. – Oboje na nią zasługujemy, więc tak będzie sprawiedliwie.

– Wolałbym „Poskromienie złośnicy”, „*Domitus clamosae*”, choć „Miarka za miarkę” też może być. Tylko wypuść już te „Stracone zachody miłości”, bo zaraz zdechną.

Wobec takich konwersacji Jan Wołowski był całkowicie bezradny, więc żeby nie ściągnąć burzy na swą własną głowę, nawet nie wspominał o nich Mistrzowi i bratu Johannowi.

Pierwsza i ostatnia zarazem okazja, żeby się jednak mógł wykazać, pojawiła się w przeddzień wyjazdu luterkańskiej misji. Awaczunia i Rajiv schwyтали wówczas w siatkę pięknego dużego motyla o biało-czarnym ubarwieniu skrzydeł. Kiedy Klaus sklasyfikował go jako „orła Prus” („*Aquila Borussiae*”), panna Ewa tupnęła nogą i stwierdziła z oburzeniem:

– Ależ wy, Prusacy, macie kwadratowe głowy... oczywiście z wyjątkiem rotmistrza von Zypke! Sztancą was robią czy jak? Naprawdę nie znacie się na niczym oprócz wojny? To, że biel i czerń są barwami Prus, wie każdy głupek. Ale ty urodziłeś się w Indiach, więc gdzie twoja fantazja? Nie widzisz, że ten motyl to „Sindbad żeglarz”, „*Sindbadus navigator*”?

– „*Sindbadus navigator*”? – zdeprimowany Rajiv podrapał się po głowie, po czym rozpostarł szeroko skrzydła owada i przyjrzał mu się uważnie. – Może masz rację. To faktycznie „Sindbad żeglarz”. W dodatku piękny okaz.

A następnie, nic sobie nie robiąc z towarzystwa pilnujących ich gwardzistów, pocałował pannę Ewę w usta.

Poddała się temu bardzo chętnie, lecz zaraz potem, nie bez złośliwości, zapytała:

– Czy aby na pewno pastorzy mogą się żenić?

– Na pewno – potwierdził Rajiv i pocałował ją ponownie.

Wtedy odepchnęła go delikatnie od siebie, pokręciła głową i stwierdziła drżącym z emocji głosem, choć starała się przy tym nadrabiać miną:

– To świetnie. Szkoda tylko, że nie ze mną.

– Szkoda tylko, że nie z tobą? – powtórzył osłupiały Klaus. – A to dlaczego?

– Dlatego, że mój ojciec chce, żebym została Matką Boską. Taką samą, jak ta w Częstochowie. Widziałaś?

– Widziałem... Co za szaleństwo!

W odpowiedzi Awaczunia tylko wzruszyła ramionami.

– Spokojnie – pocałował ją po raz trzeci. – Coś się wymyśli. Tylko na mnie czekaj.

– Będę na ciebie czekać choćby całe życie! – uśmiechnęła się przez łzy, bo tymczasem mina jej zrzędała i zdążyła się rozpłakać.

– Mamy ich! – zawołał jeden z gwardzistów i zatarł z satysfakcją ręce. – Długo się kryli, ale w końcu wyszło szydło z worka!

– Głupiś! – odpowiedział mu nieoczekiwanie dla samego siebie Jan Wołowski, który w pierwszej chwili pomyślał dokładnie to samo. – Nie znasz

niemieckiego, to nie rozumiesz, głąbie. Murzyn jutro wyjeżdża, więc żegna się jak człowiek. Morda w kubel i nikomu o tym ani mru-mru.

¹ Zarzycki, *Księżę Marcin Lubomirski*, s. 84.

² Tamże, s. 85.

³ Tamże, s. 81.

⁴ Tamże, s. 83.

⁵ Tamże, s. 85.

⁶ Tamże, s. 92.

⁷ Wszelkimi dozwolonymi lub niedozwolonymi środkami (łac.).

⁸ Zarzycki, *Księżę Marcin Lubomirski*, s. 94.

⁹ Tamże, s. 98-99.

¹⁰ Tamże, s. 99.

¹¹ Konopczyński, *Konfederacja barska*, t. I, s. 46.

¹² Tamże, s. 45-46.

¹³ Tamże, s. 145.

¹⁴ Tamże.

¹⁵ Tamże, s. 81.

¹⁶ Tamże, s. 177.

¹⁷ Tamże, s. 144.

¹⁸ Tamże, s. 175.

¹⁹ Tamże, s. 240.

²⁰ Tamże, s. 173-174.

²¹ Tamże, s. 242.

²² Tamże, s. 149.

²³ Tamże, s. 151.

²⁴ Francuskie bydłę (ros.).

²⁵ Łajdacy (ros.).

²⁶ Na wylot i na zawsze (ros.).

²⁷ *Księga Słów Pańskich*, t. I, s. 45.

²⁸ Za: Kraushar, *Frank i frankiści*, t. I, s. 248.

²⁹ Tamże, s. 271.

³⁰ Tamże.

³¹ Tamże, s. 125.

³² *Księga Słów Pańskich*, t. I, s. 147.

³³ Rdz 1, 26.

³⁴ *Księga Słów Pańskich*, t. I, s. 92.

³⁵ Tamże, s. 173.

³⁶ Kraushar, *Frank i frankiści*, t. I, s. 290.

³⁷ Tamże.

³⁸ *Księga Słów Pańskich*, t. I, s. 75.

³⁹ Tamże, s. 75.

- ⁴⁰ Kraushar, *Frank i frankiści*, t. I, s. 286.
- ⁴¹ *Księga Słów Pańskich*, t. I, s. 52.
- ⁴² Kraushar, *Frank i frankiści*, t. I, s. 278.
- ⁴³ Tamże, s. 245-246.
- ⁴⁴ Przeciwieństwo (łac.).
- ⁴⁵ *Księga Słów Pańskich*, t. I, s. 76.
- ⁴⁶ Tamże, s. 86.
- ⁴⁷ Tamże, s. 45.
- ⁴⁸ Tamże, s. 121.
- ⁴⁹ Kraushar, *Frank i frankiści*, t. I, s. 271.
- ⁵⁰ Tamże.
- ⁵¹ Tamże, s. 280.
- ⁵² Tamże.
- ⁵³ Ryby (łac.).

Rozdział 13

HUMANITAS

Po trwającej dwa tygodnie podróży, w czasie której nie wydarzyło się nic ciekawego, wyprawa misyjna dotarła do Płoskirowa, gdzie – ku wielkiej radości czarnego huzara – zastała przybyszów z Litwy.

Oprócz pana Korytkowskiego i jego syna Mateusza (drugi z bliźniaków, Łukasz, poszedł do powstania) był wśród nich znany dotąd rotmistrzowi tylko z opowieści pan Kacper Różycki, *sodalis Marianus*, członek bractwa Różańcowego, Szkaplerznego, Serca Pana Jezusa i Pocieszenia Najświętszej Marii Panny.

– Jak się miewa mały Franuś? – zapytał go pruski oficer, kiedy ich sobie przedstawiono.

– A dziękuję, panie rotmistrzu, wyśmienicie! – pan Różycki rozpromienił się. – Tydzień temu przyłapałem go w stodole, jak bawił się w medyka z Luizką Korytkowską. Widać, że jest nad wiek rozwinięty i będzie z niego tęgi kawaler.

Panu Różyckiemu towarzyszyło dwóch innych sąsiadów starego pirata, ichmościowie Gęsicki i Kurzyłło, a także zapamiętany przez rotmistrza von Zypke z sejmiku w Nowogródku pan Apolinary Danejko, krajczy chwejdański, włokący za sobą po ziemi zabytkową szablę, który powitał Prusaka z marsową miną, zauważając:

– Jak waść widzi, latka lecą, a rycerskiej ochoty nie ubywa.

W sumie, razem ze służbą, dwanaście osób.

„*Eine echte Sturmtruppe!*”¹ – zmartwił się w duchu czarny huzar, kiedy przywitał się kolejno ze wszystkimi, ale nie okazał swojego rozczarowania, bo i tak nie mogło to niczego zmienić.

Przy wspólnej kolacji Litwini szybko zaprzyjaźnili się z Prusakami. Wyjątkiem był pan Gęsicki; ten zaniepokojony kształtem koloratki brata Johanna trochę się na nich boczył i dopiero po którymś z rzędu kielichu wyrzucił z siebie:

– A na jaką to wiarę chcecie waszmościowie nawracać owych Żydów?

– Na ewangelicką – odpowiedział szczerze Rajiv.

– Znaczący będziecie przerabiać niewiernych od razu na heretyków?

– Daj waść spokój, mości Gęsicki! – ofuknął go pan Korytkowski. – Jeśli chce pan ich nawracać na naszą *Sanctam Fidem Catholicam et Romanam*, ma pan przecież wolną rękę. Tyle że niejedynemu już tego próbował z mizernym skutkiem, więc nie bądź pan taki pies ogrodnika. Co waści szkodzi, że spróbują inni? Zresztą jak się waćpanu nie podoba, możesz w każdej chwili wracać do domu. Dzięki Bogu, to wciąż wolny kraj.

– Ani myślę kogokolwiek nawracać, bo się na tym nie znam, a jechać samemu pod Nowogródek też nie mam ochoty. Trudno, lepszy rydz niż nic – pogodził się w końcu z rzeczywistością pan Gęsicki.

Reszta wieczoru upłynęła bez najmniejszych zadrażnień i nazajutrz wszyscy w jak najlepszej komitywie ruszyli w dalszą drogę.

Między Płoskirowem a Winnicą protestanccy misjonarze i ich towarzysze spotkali bardzo wielu Żydów, z których żaden nie chciał jednak słyszeć o zmianie wiary. Za Winnicą wyznawcy religii mojżeszowej trafiali się dużo rzadziej, głównie na gościńcu, którym pojedynczo lub gromadkami zmierzali w stronę Płoskirowa, lecz na widok jeźdźców w dziwnych mundurach albo czmychali natychmiast w pole lub najbliższe krzaki, albo przyśpieszali i gnali przed siebie ile sił w nogach, nie racząc przystanąć choćby na chwilę.

Pod tym względem nie różnili się zresztą od polskiej szlachty, której kilku przedstawicieli – bez zwracania najmniejszej uwagi na kierowane do nich pytania i pozdrowienia – również minęło pędem członków wyprawy, jakby gonili ich Turcy albo Tatarzy.

– Co za gbury! Co za dziki kraj! – pomstował na takie lekceważenie brat Johann.

– Powariowali wszyscy czy jak? – wtórował mu rozgoryczony pan Danejko, ale potem wszystko skończyło się, jak ręką odjął, i drugiego dnia po wyjeździe z Winnicy uczestnicy misji nie spotkali już nikogo oprócz miejscowego chłopstwa, które odnosiło się do nich coraz bardziej nieprzyjaźnie. Tu nie chciano sprzedać im prowiantu, tam nie pozwolono napić koni, w kolejnym

miejscu obrzucono ich z krzaków kamieniami, a jeszcze gdzie indziej strzelono do nich z ukrycia z samopału, na szczęście niecelnie, bo może tylko na postrach.

Mimo to bracia Johann i Rajiv upierali się, by jechać dalej. Wszędzie, gdzie było to możliwe, członkowie wyprawy wypytywali o miejscowych Żydów, lecz nagabywani o to ukraińscy chłopcy odpowiadali im zazwyczaj, że żadnych Żydów nigdy u nich nie było albo że jeśli nawet kiedyś byli, to właśnie uciekli „w kibiniu mać”. Pytani zaś, przed czym czy też przed kim mieliby owi Żydzi uciekać, rozmówcy luterzańskich misjonarzy udzielali najrozmaitszych odpowiedzi: że przed wierzycielami (bądź dłużnikami), przed Sądem Bożym, przed słuszną zemstą tych, których trują w swoich karczmach fałszowaną wódką, przed wściekłymi psami, przed zapachem wieprzowiny, przed sprawiedliwością, przed wyrzutami sumienia, a wreszcie – przed znakiem krzyża lub święconą wodą.

Pierwszego Żyda, który nie uciekł, uczestnicy polsko-pruskiej wyprawy zobaczyli dopiero za Braclawiem, w wiosce wyglądającej na zupełnie opuszczoną. Niestety nie nadawał się on do nawracania, gdyż wisiał martwy na drzewie w towarzystwie katolickiego księdza oraz psa, który jako jedyny z tej trójki zachował w całości oczy. Poniżej wisielców widniał przybity do drzewa kawałek deski z jakimś napisem.

– Co to znaczy, bo nic nie rozumiem? – zapytał poblady z gniewu rotmistrz von Zypke.

– Bo to cyrylica – wyjaśnił pan Kurzyło: – „*Lach, Żyd i sobaka, wse wira odnaka*”, czyli „Polak, Żyd i pies, wszyscy jednej wiary”.

– Co za draństwo! – wyszeptał czarny huzar i dodał głośno: – Że świat schodzi na psy, wiedziałem od dawna, ale że aż na tak parszywe kundle, nigdy bym nie przypuszczał!

– *Scheißen*, co to w ogóle jest? Europa?! – wtórował mu Rajiv. – Jeśli tak, to wolę po stokroć Indie. I jeszcze ten pies! Za co?

– Europa, młody człowieku, to jest w Paryżu albo w Londynie, a i to niekoniecznie. A stąd już niedaleko do Dzikich Pól, gdzie przeżyje tylko ten, kto ma oczy dokoła głowy – zauważył zgryźliwie pan Korytkowski.

– Coraz mniej mi się to podoba – stwierdził, rozglądając się trwożnie na boki pan Danejko.

– I nie jesteś waćpan osamotniony – zgodził się z nim pan Różycki.

– Dalibóg, ani trochę! – poparł ich obu pan Kurzyłło. – I pomyśleć, że mógłbym teraz siedzieć sobie na ganku i popijać węgryna!

– To co robimy? – zapytał brat Johann.

– Trzeba przetrząsnąć całą wioskę i zobaczymy – zadysponował rotmistrz von Zypke.

Lecz przetrząśnięcie wioski niewiele dało. Tylko kilka z około trzydziestu chałup nosiło ślady rabunku. Za jedną z nich członkowie wyprawy znaleźli zmasakrowane zwłoki dwóch wieśniaków, którzy prawdopodobnie próbowali stawiać opór jakimś napastnikom lub padli ofiarą ich zemsty. Gdzie podziła się reszta mieszkańców, nie sposób było ustalić.

Po pochowaniu zabitych, nad którymi brat Johann odmówił krótką modlitwę, czarny huzar zarządził naradę.

– Co panowie proponują? – zapytał wszystkich o zdanie.

– Ja żeby zawracać – odezwał się jako pierwszy pan Gęsicki.

– Kto też tak uważa?

Pan Danejko, pan Kurzyłło i z pewnym ociąganiem także pan Różycki unieśli ręce.

– Nie, błagam! Jedźmy dalej! – zaprotestował młody Hindus. – To moja pierwsza misja, tyle lat na nią czekałem! Zresztą chodzi nie tylko o to, ale także o honor! Co sobie pomyśli panna Ewa, jak się dowie, że zawróciliśmy już na początku drogi, tylko dlatego, że zobaczyliśmy paru wisielców?

– Hola, hola, mój synu – ostudził go rotmistrz von Zypke. – Honor to piękna rzecz, lecz są sprawy od niego ważniejsze, jak choćby troska o żony i dzieci. Mniej samolubstwa, proszę. Kto z panów jest za tym, żeby jechać dalej?

Tym razem obok Rajiva unieśli dłonie pan Korytkowski, jego syn Mateusz i brat Johann.

– Cztery do czterech – zmarszczył brwi czarny huzar. – Miałem nadzieję, że rozstrzygniecie to sami, ale trudno. Jeśli chodzi o mnie, to jestem za dalszą jazdą, głównie ze względu na tego młodego człowieka. Gdyby jednak dalej zrobiło się groźniej, natychmiast zawracamy. Tylko wtedy już bez żadnych protestów. Obiecujesz, Klaus?

– Obiecuję! – uszczęśliwiony Rajiv podskoczył z radości, a potem zaczął go ściskać.

– No dobrze, już dobrze – rzekł rotmistrz von Zypke, uwalniając się z jego objęć. – Oczywiście każdy z panów może zrezygnować z dalszej jazdy już teraz,

jeśli ma takie życzenie. Nikt nie będzie miał o to pretensji.

– Nie – oświadczył w imieniu zwolenników powrotu do domu pan Różycki.
– Nie przemawiało przez nas tchórzostwo, lecz rozsądek. *Vox populi, vox Dei*².
Podporządkujemy się woli większości.

– *Sehr gut*. W takim razie w drogę. Na wszelki wypadek ci z waćpanów, którzy posiadają broń palną, proszeni są o jej nabicie i trzymanie w pogotowiu.

Tej nocy, którą członkowie wyprawy postanowili spędzić na skraju gęstego lasu, rotmistrz von Zypke po raz pierwszy wyznaczył do pilnowania obozu podwójne warty. Większość zmęczonych jazdą i ostatnimi nieprzyjemnymi przeżyciami uczestników misji kładła się już spać, kiedy Lejba Reb Szajes, trzymający razem z Bartłomiejem pierwszą nocną straż, podczas obchodu zauważył w krzakach coś podejrzanego i zaszedłszy to coś od tyłu, wyciągnął z nich i doprowadził za kark do ogniska starszego mężczyznę w białych płóciennych portkach, koszuli przepasanej słomianym powrósem i zupełnie niepasujących do reszty żółtych butach z safianu. Jeniec opierał się z całych sił, krzycząc przy tym: „Łapy przy sobie, chamie!”

– Skradał się do nas, panie komendancie – zameldował rotmistrzowi von Zypke jego podwładny.

Na te słowa ujęty mężczyzna przestał się szarpać i zawołał uszczęśliwiony:

– Polacy?! Bogu niech będą dzięki!

– Polacy i Niemcy – odpowiedział lubiący ścisłość czarny huzar.

Wtedy dziwacznie ubrana postać otworzyła szeroko ramiona i rzekła łamiącym się ze wzruszenia głosem:

– Niech was błogosławi Pan Bóg i Matka Boska Berdyczowska! Błagam, mości panowie, weźcie nas pod swoją opiekę!

– Nas? – zdziwił się pruski oficer.

– Tak, mnie i moją córkę – wyjaśnił tamten i natychmiast wykrzyknął w ciemność: – Zosiu, chodź tutaj, to Polacy i Niemcy!

– Dobrze, już wiemy, że twoja córka ma na imię Zosia – włączył się do rozmowy pan Korytkowski. – A ty? Kim jesteś, człowieku? I dlaczego się do nas skradałeś jak złodziej?

– Achacy Ukrzański, cześnik czechryński, do usług waszmościów. A skradałem się, żeby sprawdzić, coście za jedni.

– Szlachcic w tym stroju? – skrzywił się z niedowierzaniem pan Gęsicki.

– Ten strój, podobnie jak szaty mojej córki – pan Ukrzański wskazał na szesnasto-, może siedemnastoletnią dziewczynę w prostej lnianej spódnicy i białej koszuli ściągniętej pod szyją kordonkiem, wkraczającą właśnie w krąg światła rzucanego przez ognisko – uratowały nam życie. To nie czas i miejsce, mości panowie, żeby zadawać szyku w kontuszach i słuckich pasach.

– A to czemu? – dociekał dalej pan Korytkowski, odwzajemniając się ukłonem pannie Zosi, która dygnęła grzecznie na powitanie wszystkich obecnych, po czym bez słowa usiadła na ziemi i obciągnęła do kostek spódnice.

– Z powodu hajdamaków, przed którymi uciekamy – wyjaśnił pan Ukrzański.

– Hajdamaków? – powtórzył za nim rotmistrz von Zypke. – *Was ist das?*³

– Łotry spod ciemnej gwiazdy i z piekła rodem, najgorsi złodzieje, bandyci i mordercy, jakich ziemia nosi! – wyrzucił z siebie jednym tchem świeżo poznany szlachcic. – Dziesięć dni temu napadli na mój dwór pod Berszadą, zrabowali go doszczętnie i w połowie spalili, a mojego syna i służbę, próbujących go bronić, roznieśli na szablach i spisach. My ocaliliśmy, bo byliśmy akurat w innym majątku. Po powrocie do domu pochowaliśmy naszego Stasia i innych i postanowiliśmy przedrzeć się na Wołyń, a jak Bóg pozwoli, to jeszcze dalej na zachód. Wędrujemy już od tygodnia o suchym chlebie i wodzie, wyłącznie nocami, bo w dzień lepiej siedzieć po lasach.

– O Boże! Bardzo wam współczuję! – pan Korytkowski przeżegnał się i polecił swojemu synowi Mateuszowi: – Przynieś naszym gościom coś do jedzenia.

Kiedy pan Ukrzański i jego córka zaspokoili pierwszy głód, Prusak zwrócił się do nich ponownie:

– A nie lepiej było zostać na miejscu i zacząć odbudowywać dom? Przecież skoro ci hultaje zrabowali go doszczętnie, nie mają już po co wracać.

Po tych słowach pan Ukrzański uśmiechnął się kwaśno.

– Waćpan jesteś pewnie jednym ze wspomnianych Niemców?

– Zgadza się. Rotmistrz Horst Gottlieb von Zypke, do usług.

– A zatem, panie rotmistrzu, jako cudzoziemiec może pan oczywiście nie znać tutejszych zwyczajów. Hajdamacy działają w luźnych kupach, liczących czasem kilku, lecz niekiedy nawet trzystu i więcej opryszków. Ich watahy często ze sobą współpracują, ale bywa i tak, że nawet nie wiedzą nawzajem o swoim istnieniu. Tak więc to, że napadli nas jedni, nie oznacza wcale, że nie mogą nas

napaść inni. Ale nie w tym największy szkopuł. W końcu do hajdamaków już tu przywykliśmy, bo niemal co roku na wiosnę, kiedy podeschną błota, wszędzie trawa pozwalająca wyżywić konie, a noce staną się na tyle ciepłe, że da się nocować pod gołym niebem, grasują oni od Dniepru do Dniestru i od Siczy i Stepów Bodziackich aż po Wołyń. Czasem któregoś złapią i wtedy taki syn kończy życie na szubienicy albo na ostrym palu, zaś cała reszta, jak się już narabuje, naniszczy, napali, nagwałci i namorduje do syta, prędzej czy później znika tak samo niepostrzeżenie, jak się była pojawiła, i do następnej wiosny jest święty spokój. Tyle że tym razem może być inaczej. Podobno bliżej Dniepru pojawiło się ich w tym roku dużo więcej niż zwykle. Chodzą też słuchy o jakimś Żelaźce, Żelazku czy też Żeleźniaku, kozaku siczowym, który miał jakoby otrzymać błogosławieństwo od ihumena klasztoru motroneńskiego Melchizedeka na obronę wiary grecko-rosyjskiej i pokazuje ponoć jakiś ukaz Imperatorowej Wszech Rosji, złotem pisany, pozwalający mu wyrzynać do woli wszystkich Polaków i Żydów. Ludzie mówią także, choć to wstyd powtarzać, że ten cały Żelaźko czy Żeleźniak posiada również rozkazy naszego własnego Miłościwego Pana, żeby robić to samo z konfederatami, jako tymi, którzy chcą rzekomo zniszczyć prawosławie, zburzyć cerkwie i wymordować popów i lud prawosławny. Nic dziwnego, że boją się powtórki z czasów Chmielnickiego.

– Nigdy nie uwierzę, mości Ukrzański, żeby rosyjska caryca albo król Polski mogli się posunąć aż do takiej nikczemności – wtrącił z oburzeniem pan Korytkowski.

– I ja w to nie bardzo wierzę. Po prostu *relata refero* – pan Ukrzański wzruszył ramionami.

– A ja bym bardzo chciał wiedzieć, skąd się ci bandyci biorą i dlaczego nie można zrobić z nimi porządku, skoro wiadomo, że wracają niemal każdej wiosny? – dziwił się dalej rotmistrz von Zypke.

– Wielu z nich wpada na rabunek do Polski z za Dniepru, z rosyjskiej Kijowszczyzny albo z Zaporozża – dowódcami watah są bowiem najczęściej właśnie Zaporozcy, posiadający największe doświadczenie wojskowe – inni przybywają tu „za pożytkiem” z Turcji albo z Wołoszczyzny, lecz przeważająca większość tych zbójów rekrutuje się z miejscowej ludności, świetnie znającej teren i doskonale wiedzącej, którędy iść i gdzie najłatwiej o zdobycz. Że zaś nikt na tym świecie nie ma patentu na szelmostwo, hajdamactwem parają się nie tylko Rusini, lecz także niektórzy Polacy, w tym nawet herbowa szlachta.

– Szlachta?! – pan Różycki skrzywił się i splunął na znak pogardy.

– Niestety! W swoim czasie głośne tu były przypadki pana Dyakowskiego z powiatu winnickiego, który razem z innymi hajdamakami rabował Żydów; pana Matkowskiego, skazanego na powieszenie przez sąd kapturowy województwa podolskiego za długoletnie zajmowanie się rozbojem; pana Żurakowskiego, który, zebrawszy oddział hultajów, napadał i plądrował dwory szlacheckie, wsie i miasteczka; pana Rządzkowskiego, gubernatora włości pohrebyskiej, który naprowadził na miasteczko Biliówkę i wieś Ohijówkę kilkudziesięciu hajdamaków, zrabował je doszczętnie i znęcał się okrutnie nad ich mieszkańcami, czy wreszcie pana Łopatyńskiego, dziedzica Łopatyniec, który obdzierał i mordował potajemnie podróżnych przejeżdżających przez jego dobra.

A czemu tak trudno dać sobie radę z tym hultajstwem, chociaż wiadomo, że wiosną zjawia się ono regularnie niczym dzikie gęsi albo żurawie? Moim zdaniem z trzech powodów. Po pierwsze dlatego, że wojska koronnego nie ma u nas prawie wcale i to nie tylko teraz, kiedy z rozkazu króla poszło pod Bar bić konfederatów, ale zawsze. Po drugie dlatego, że łapanie hajdamaków w ogóle nie jest łatwe, bo te łotry, nawet osaczone, bronią się do upadłego, wiedząc, że dla nich nie ma przebaczenia. Cóż ich bowiem czeka w razie pojmania? Śmierć psia na gałęzi lub sterczenie bolesne na palu. Dlatego rzucają się jak wściekli jeden na dziesięciu i częstokroć przebijają się przez przeciwników nie tylko sami, ale jeszcze i zdobycz potrafią uprowadzić. Są przy tym tak bitni i odważni, że nie raz widziano, jak w pięciu czy dziesięciu rozganiali na cztery wiatry trzydziestu lub pięćdziesięciu polskich dragonów. Po trzecie wreszcie, miejsce powieszonych bądź wbitych na pal szybko zajmują inni, tak wielu jest tutaj ludzi, którzy kochają walkę, włóczęgostwo i swawolę, lekceważą wszelką pracę, prawo i własność, za nic mają tak własne, jak i cudze życie, nie dbają zupełnie o jutro, każdą próbę ograniczenia ich samowoli traktują jak zamach na swoją wolność, a za parę dni bycia panem, czyli picia i hulania do upadłego za zrabowane pieniądze, gotowi są na wszystko, w tym również na własną śmierć. Najważniejszy jest oczywiście pierwszy z tych powodów. Nieszczęsny kraj, który zamiast zapewnić bezpieczeństwo swoim obywatelom, używa siły przeciwko najlepszym z nich!

– To prawda – westchnął pan Korytkowski. – Sam mam jednego syna u konfederatów.

– A może są jeszcze inne, oprócz łakomstwa na cudze dobra, powody tych bezeceństw? – odezwał się milczący do tej pory brat Johann, któremu Jakub Mniejszy tłumaczył wszystko na niemiecki.

– Niby jakie? – zapytał zdziwiony pan Ukrzański.

– Choćby takie, że oni chodzą głodni, a wy syci, że wy to szlachta, a oni chłopci, którzy na was pracują, że wy jesteście Polakami, a oni Rusinami, że wy to katolicy, a oni prawosławni, i tak dalej, i tak dalej.

– Niech pan nie żartuje, drogi panie...

– Hermansdorfer.

– ...drogi panie Hermansdorfer – obruszył się na te słowa pan Ukrzański. – Owszem, niektórzy hajdamacy złapani na gorącym uczynku tłumaczą się czasem, że imają się zbójstwa z chęci zemsty na polskiej szlachcie, która ciemieży ich pańszczyzną, i w ogóle „chłepce ich krew”, i której panowanie w tych stronach porównują do niewoli babilońskiej albo do egipskiej. Inni z kolei twierdzą, że występują zbrojnie w obronie wiary prawosławnej, coraz bardziej rugowanej stąd przez katolicką, lecz wszystkie te opowieści można sobie między bajki włożyć.

– Dlaczego?

– Dlatego, że ten kraj to ziemia mlekiem i miodem płynąca, całkiem jak ta obiecana w Biblii. Dość tu grunt poruszyć sochą i rzucić nań ziarno, żeby wydało bajeczne plony. Pług zostawiony tu przypadkiem na roli w kilka dni zarasta świeżą roślinnością, a niekiedy nawet sam puszcza korzenie, a trawy tutaj takie bujne, że pasącym się wołom ledwie ponad nimi rogi wystają. Toteż bez niewielkiej choćby pracy chodzi tu głodny chyba tylko ten, kto jeść nie chce albo nie może. Problem w tym, że uczciwa praca to ostatnia rzecz, jaka tych zbójów pociąga. Gdyby byli nią naprawdę zainteresowani, to każdy z nich mógłby bez trudu wziąć sobie w dzierżawę tyle ziemi, ile jest w stanie zaorać, gdyż tutejszym właścicielom ziemskim ciągle brakuje rąk do pracy i wciąż szukają kolonistów. Z tych dzierżaw, o których mówię, przez pierwsze lata nie płaci się nic, zaś jeśli chodzi o pańszczyznę, to właśnie z braku ludzi jest tutaj najniższa w całej Polsce i wynosi na ogół nie więcej niż dwanaście dni w roku na pańskim i drugie tyle przy robotach publicznych, takich jak naprawa dróg czy mostów.

Co do różnic narodowościowych czy religijnych, to już powiedziałem, że wśród hajdamaków trafiają się również Polacy, więc dodam tylko, że pośród ich ofiar nie brakuje także prawosławnych popów i miejscowego chłopstwa. Zresztą rabują oni ile wlezie także po rosyjskiej stronie Dniepru, a jeśli po naszej robią to

znacznie częściej, to tylko dlatego, że tutaj mogą się lepiej obłowić i czują się bardziej bezkarni. Na koniec, cóż to za obrońcy prawosławia, którzy albo w ogóle nie znają dziesięciu przykazań – identycznych przecież dla greków, jak dla łacinników – albo, jeśli nawet je znają, to nie przestrzegają żadnego z nich? A jeśli tak im przeszkadzają Polacy, szlachta i katolicy, to dlaczego łupią również i mordują Żydów? Nie, drogi panie Hermansdorfer, nie należy dorabiać filozofii do zbójstwa ani szukać usprawiedliwień dla łajdactwa, bo z tego nigdy nic dobrego nie wynika. Hajdamacka wataha to nie Akademia Platońska i najlepiej trzymać się od niej z daleka. Co do mnie, to cieszę się niezmiernie, że pod waszmościów łaskawą opieką Zosia i ja oddalimy się stąd jak najdalej na zachód.

– Kłopot w tym, mości Ukrzański, że my jedziemy w przeciwną stronę – rzekł z widocznym zmieszaniem pan Korytkowski.

– W przeciwną stronę?! Po tym wszystkim, co wam powiedziałem? – szlachcic w chłopskim przebraniu chwycił się za głowę. – A po co, na Boga?!

– Żeby nawracać Żydów, jak święci apostołowie Piotr i Paweł – odezwał się po raz pierwszy Rajiv.

– Nawracać Żydów? – pan Ukrzański zdumiał się jeszcze bardziej. – A dużo ich do tej pory nawróciliście?

– Tutaj czy w ogóle?

– Tutaj.

– Tu ani jednego. Bo jedyny, który nie uciekł, wisiał na gałęzi obok psa i księdza.

– Jezus Maria, więc są już i tutaj! – krzyknęła milcząca dotąd panna Zosia, po czym ukryła twarz w dłoniach i zaczęła głośno płakać.

– Moja córka ma rację, dotarli już tutaj! – stwierdził przerażony pan Ukrzański. – Więc dalej też nikogo nie nawrócicie. Kto był zdrowy na ciele i umyśle, ten już dawno uciekł do większych miast bądź chowa się w lasach i jarach. A kto nie uciekł, ten wisi teraz albo leży w krzakach z poderżniętym gardłem.

– To co pan radzi? – zapytał coraz bardziej przybity czarny huzar.

– Natychmiast zawracać.

– Mądrej głowie dość dwie słowie. Zawracajmy! – zgodził się z tą sugestią pan Danejko.

– Popieram – przytaknął mu pan Gęsicki.

– Ja również – oświadczył pan Różycki.

– I ja – dodał pan Kurzyłło.

– Ale to moja pierwsza misja! – jęknął Rajiv. – Nie chcę jej kończyć, ledwie się zaczęła!

– Klaus, obiecałeś – przypomniał mu surowo czarny huzar i zakończył kwestię: – Jutro rano zawracamy. To rozkaz.

Po tych słowach wszyscy odetchnęli z ulgą, tylko młody Hindus rozplakał się jak dziecko.

– *Ein Befehl ist ein Befehl*⁴ – pan Korytkowski przygarnął go do piersi. – Jako Prusak powinienesz to wiedzieć lepiej od innych. Ale uszy do góry, chłopcze, co nie udało się teraz, uda się kiedy indziej.

Droga powrotna na zachód przebiegała z początku spokojnie. Dopiero kiedy polsko-pruska wyprawa dotarła do wioski, w której poprzedniego dnia nie zastała żywego ducha, sytuacja zmieniła się gwałtownie.

Kiedy luterkańscy misjonarze i eskortujący ich Polacy znaleźli się mniej więcej pośrodku długiej, rozciągniętej wzdłuż drogi osady, zza drzew, zza płotów, zza krzaków, ze stajni, stodół i chlewików, z drzwi i okien chałup, które jeszcze wczoraj sprawiały wrażenie całkowicie opuszczonych i wymarłych, zaczęły się nagle wysuwać dziesiątki strzelb i samopalów, i co najmniej tyle samo szabel, spis, cepów, wideł, siekier i postawionych na sztorc kos, a nawet zwykłych drągów o zaostrzonych i osmalonych w ogniu szpicach.

– *Scheissen!* – zaklął na ten widok brat Johann, jadący w pierwszym szeregu między rotmistrzem von Zypke i panem Korytkowskim.

Prawie w tym samym momencie na drogę przed nimi wyskoczyło kilkunastu dziwacznie ubranych i uzbrojonych po zęby mężczyzn, których część, dla niepoznaki, miała uczernione sadzą twarze.

– Kurwa żeż mać! – zawtórował bratu Johannowi w najczystszej polszczyźnie czarny huzar, oceniwszy błyskawicznie sytuację. – Ale się zasadzili!

– O Jezu! Trzeba było siedzieć w domu, a nie próbować zbawiać świat... – jęknął jadący za nimi pan Gęsicki.

– Kolumna stać! Gotuj broń! Spróbujemy się przebić! – rozkazywał tymczasem Prusak.

– Gównu się przebijemy! – załkał w odpowiedzi pan Danejko, krajczy chwejdański. – Wystarczy ich policzyć.

– Panowie, błagam, dajcie mi jakąś broń – poprosił pobladły nagle pan Ukrzański.

– I mnie! – oświadczyła z determinacją panna Zosia.

Czarny huzar wręczył im swoje pistolety i zwrócił się do brata Johanna i Rajiva:

– A wy?

Stary misjonarz pokręcił przecząco głową.

– Nie biorę broni do ręki – wyjaśnił.

– Ja też – oświadczył Rajiv.

– Więc niech Pan Bóg ma was w opiece! – czarny huzar przeżegnał się zamasyście.

– Może się przebijecie, ale dopiero wtedy, gdy ja im trochę zamieszam w głowach – odezwał się milczący dotąd pan Korytkowski. – Proszę o drugi pistolet.

Kiedy jeden z gwardzistów oddał mu swoją broń, stary pirat, nie zważając na próbującego go powstrzymać rotmistrza von Zypke, zatknął ją za pas, a następnie wyjął zza pazuchy złożoną w kostkę biało-złoto-czerwona banderę hiszpańskiej marynarki wojennej, ucałował ją z szacunkiem, rozwinął, zatknął na klingę szabli i wymachując nią w lewo i w prawo, ruszył w kierunku blokujących drogę hajdamaków. Ponieważ we fladze przeważała biel, wyglądało to tak, jakby chciał się poddać lub złożyć ofertę okupu, więc ze strony przeciwnej nie padł ani jeden strzał, a wiele samopałów, strzelb, szabel i cepów opadło powoli ku ziemi.

Pan Korytkowski zatrzymał konia tuż przed zagradzającymi mu drogę zbójami, skłonił się im z szacunkiem, potem zaś wskazał na swoją flagę i zwrócił się do nich uprzejmie:

– *Buenos días, señores. Soy un caballero andante español, me llamo don Quijote y el caballo a que monto Rocinante, nombre a mi parecer alto, sonoro y significativo de lo que había sido cuando fue rocín, antes de lo que ahora era, que era antes y primero de todos los rocines del mundo. Ya ven ustedes mismos que es realmente mejor montura que los famosos Babieca del Cid o Bucéfalo de Alejandro Magno. Perdonen que les molesto, pero quisiera preguntarles, cómo llegar a Turquía hacia donde me dirijo con un par de amigos?* ⁵.

Hajdamacy tak zbaranieli, że słuchali go z rozdziawionymi gębami, a jednemu z nich, w narzuconym na gołe ciało fioletowym ornacie, z wrażenia wypadła z rąk siekiera. Kiedy pan Korytkowski skończył, inny opryszek, ubrany

w kobiecą suknię, zamrugał parę razy oczami, potem podrapał się niepewnie po głowie i zapytał swoich towarzyszy:

– Co on, kurwa, pierdoli?

– A chuj go wie! – odpowiedział inny, w żydowskim chałacie. – Francuz jakiś albo inny Szwed.

– Nie Francuz i nie Szwed, ino Turek – stwierdził trzeci w zalanym krwią kontuszu. – Powiedział „Turkija”, słyszeliście?

– Sam jesteś Turek, Hryćko – odezwał się czwarty ze srebrną tacą pod pachą.

– Ja? A czemu? – oburzył się ten w kontuszu.

– Bo też powiedziałeś „Turkija” – zaśmiał się na całe gardło ów z tacą.

Wtedy wybuchnęli śmiechem wszyscy, w tym także pan Korytkowski, ale z taką miną, jakby robił to wyłącznie z grzeczności, nie rozumiejąc absolutnie powodu tej ogólnej wesołości.

Za chwilę jednak przestało mu być do śmiechu, kiedy inny zbój, ubrany pomimo upału w sobolą szubę, oznajmił przepitym głosem:

– Żaden Szwed czy Turek, tylko zwykły parszywy Lach. Widzicie tę ikonę na jego piersi? To Matka Boska Częstochowska, czczona przez Laszczyńę. To konfederaci!

Kozak w fioletowym ornacie, cierpiący widać na krótkowzroczność, pochylił się ku panu Korytkowskiemu, przyjrzał się uważnie niewielkiej ikonce przyklepionej srebrną agrafką do jego czarnego płaszcza tuż obok krzyża św. Jakuba, po czym kiwnął głową i potwierdził:

– Ani chybi, Wasyl. To parszywy Lach. Przyjeb mu który kosą.

Lecz zanim którykolwiek z hajdamaków zdążył pójść za jego radą, pan Korytkowski wyciągnął błyskawicznie pistolet i przyłożywszy mu lufę do czoła, pociągnął za spust. W chwilę później strzałem z drugiego pistoletu roztrzaskał głowę zbójowi w sobolowej szubie i wbił aż po rękojeść szablę w brzuch temu w zakrwawionym kontuszu. Gdy stojący najbliżej hajdamacy wciąż ocierali twarze z resztek mózgow obustronnie zastrzelonych kompanów, stary pirat zdołał jeszcze wyszarpnąć szablę z trzewi Hryćki, pozostawiając w nich poczerwieniałą nagle banderę hiszpańskiej marynarki wojennej, i ściąć kolejnych trzech opryszków.

I dopiero wówczas sam padł martwy, przeбитo dwiema spisami i zdzielony z całej siły siekierą między łopatkami.

– *O mein Gott!* – jęknął na ten widok rotmistrz von Zypke, a potem obrócił się w stronę swoich podkomendnych i krzyknął, co sił w płucach: – Huzarzy, czy chcecie żyć wiecznie?!

– Tak! – odpowiedzieli mu chórem jak jeden mąż.

– To za mną!

Ruszyli, lecz w tym samym momencie hajdamacy dali ognia, zmiatając z siodeł niemal połowę członków wyprawy, a następnie zaczęli wypadać hurmem na drogę i atakować przybyszów wszystkim, co mieli pod ręką. Wtedy to między innymi zginął od kosy brat Johann Hermannsdorfer, trafiony cepem w głowę pan Kurzyło, podniesiony na spisach Jakub Mniejszy, rozsiekany szablami pan Różycki, przeбитo na wylot zaostrzonym kołem pan Ukrzański, a także wzięty na widły pan Danejko, krajczy chwejdański, którego w krytycznym momencie zawiodła jego zabytkowa karabela, niedająca się wydobyć z pochwy z powodu zżerającej ją od pół wieku rdzy.

Do miejsca, gdzie leżały trupy pana Korytkowskiego i zabitych przez niego hajdamaków, dotarła tylko garstka uczestników misji pod wodzą czarnego huzara, ale i oni nie zdołali przebić się dalej, ponieważ powstrzymała ich skutecznie druga salwa z hajdamackich strzelb i samopałów. Wśród tych, którzy spadli po niej z koni, był również Rajiv z rozoranym przez kulę policzkiem.

Wtedy zbóje rzucili się dobijając rannych. Jeden z nich, który już miał przeciągnąć nożem po gardle młodego misjonarza, zawahał się jednak i zapytał:

– A może ten z czarną mordą to jeden z naszych?

Następnie, żeby się upewnić, potarł dłonią czoło rannego i ze zdumieniem pokazał ją kompanom. Ręka była czysta.

– To Murzyn, durniu! – zaśmiał się starszy zbój z długim do pasa siwym osełdцем. – Weźmiemy go na Sicz dla naszego atamana. Pewnie jeszcze takiego cudaka nie widział.

W chwilę później związano Rajivowi ręce i nogi i wrzucono go na drabiniasty wóz, wypełniony do połowy zrabowanym gdzieś po drodze dobrem.

Dopiero z jego wysokości młody Hindus zorientował się, że z jego polskich i niemieckich towarzyszy wyprawy przy życiu nie pozostał nikt oprócz panny Zosi, którą właśnie gwałcono.

■

Z wozu kraj wyglądał przepięknie, o wiele piękniej od wszystkiego, co Rajiv widział w Niemczech, ale niezwykła uroda tego lądu, pełnego gęstych lasów, otwartych po horyzont przestrzeni, pokrytych bujną roślinnością stepów, cienistych jarów, malowniczych skał, czystych rzek i potoków, ozdobionego ponadto o tej porze roku wszelkimi możliwymi odcieniami soczystej zieleni i miriadami wszechobecnych kwiatów, tylko pogłębiała w młodym Hindusie wrażenie jakiejś fundamentalnej nierzeczywistości tego, w czym przyszło mu od niedawna uczestniczyć.

Kiedy pod wpływem gwałtownego wstrząsu na jakimś wyboju albo nagłego przechyłu wozu na niespodziewanej nierówności budził się z którejś z krótkich drzemek, w jakie niepostrzeżenie zapadał, i prostując obolałe kończyny, zdrętwiałe od leżenia na uwierających go zewsząd zegarkach, wypchanych sakiewkach, woreczkach pełnych pierścieni i pereł, srebrnych sztućcach i naczyniach liturgicznych, otwierał powoli oczy, miał nieodmiennie nadzieję, że tym razem zamiast ogolonych głów hajdamaków ujrzy przy sobie brata Johanna, rotmistrza von Zypke i polskich uczestników wyprawy. I choć za każdym razem spotykało go rozczarowanie, nadal wierzył w to, że świat, w którym studiował i przechadzał się po ulicach Halle, zwiedzał z Awaczunią okolice Częstochowy, zaglądał z nią do tamtejszych jaskiń, łowił ryby, „klasyfikował” różne okazy polskiej fauny i flory, urządzał *fêtes champêtres*, grał jej Bacha, a wreszcie, przytulał ją i całował, nie odszedł bynajmniej na zawsze i prędzej czy później musi powrócić.

Tymczasem jednak otaczająca go nierzeczywistość nie chciała ustępować i przypominała mu boleśnie o sobie więzami na rękach i nogach, pulsowaniem w zranionej twarzy, jękami i krzykami gwałconej panny Zosi, która, znając dobrze niemiecki, wołała w takich razach „Błagam, tylko nie patrz!”, a także głodem i pragnieniem, bo choć pilnujący ich najstarszy z bandytów o imieniu Ostap nie żałował im niczego, kiedy był trzeźwy, to po pijanemu zapominał o nich tak samo, jak o całym Bożym świecie.

Ludzie, w których władzy się znaleźli, zmierzali w zasadzie na wschód, lecz często zmieniali kierunek i nadkładali kawał drogi, by napaść na jakiś położony na uboczu dwór albo folwark. W takich razach, jeśli ich mieszkańcy nie uciekli wcześniej, rozprawiali się ze wszystkimi, którzy stawiali im opór, po czym kazali pozostałym przy życiu dawać sobie gorzałki, zastawiać stoły jedzeniem, sypać owsa koniom, a gdy już się najedli i napili, brali się do panien, poprzedzając to

jeszcze niekiedy tańcami. Śmiertelnie przerażonym, choć muszącym się uśmiechać kobietom i jurnym mołojcom przygrywał wtedy na bandurze jeden z hajdamaków, pilnujący zaś Klausa i panny Zosi oraz zgromadzonego do tej pory „pożytku” Ostap, niezdatny do płasów z racji strzaskanego kiedyś przez kulę kolana, podrygiwał miarowo na wozie, klaskał do rytmu i wznosił raz po raz zdrowie najlepszych tancerzy i najładniejszych *mołodyci*; robił to także wtedy, gdy te, ciągnięte za włosy, znikwały z krzykiem w stodole lub krzakach.

Kiedy oburzony Rajiv próbował protestować, Ostap machał ręką i tłumaczył mu cierpliwie jak dziecku:

– Daj spokój, Czernienko. Młodzi są, muszą się wyszumieć. Kiedy mają hulać, jak nie teraz? Prędzej czy później wpadną w ręce Lachów, a wtedy będą mogli sobie zatańczyć tylko na palu albo na konopnym sznurze. Taka kozacza dola.

Po zabawie z kobietami przychodził czas na rabunek. Hajdamaków najbardziej interesowały pieniądze, ponieważ były najwygodniejsze w transporcie. Jeśli ktoś ich nie oddał po dobroci, bili go kańczugami i torturowali, aż wyznał, gdzie schował swoje *hroszi*, po czym najczęściej go mordowali. Pewnego razu zamiast bicia nałożyli właścicielowi majątku na plecy siodło i ujeżdżali go jak konia, kłując go jednocześnie spisami i ostrogami. Innych szlachciców zmuszali do wskazania miejsca ukrycia swoich „skarbów”, czesząc ich po gołych plecach końskim zgrzebłem lub przypiekając im boki płonącymi pakułami.

Choć – jako się rzekło – zbóje cenili sobie najwyżej brzęczącą monetę, nie gardzili także inną zdobyczą, a czego nie mogli ze sobą zabrać, po prostu niszczyli. Pruli pierzyny, tłukli garnki, rozbijali szkło i porcelanę, rąbali meble i obrazy, strzelali do psów i kotów, deptali kury, kaczkę i gęsi, podpalali gołębniki, obalali płoty i załatwiali swoje naturalne potrzeby do studni. Na koniec, opuszczając złupiony dwór, puszczały go z dymem albo nie – w zależności od tego, jak się bawili i czy byli zadowoleni z gościny.

Oprócz dworów, napadali także na karczmy i wioski. W gospodach zaczynali zawsze od powieszenia żydowskiego arendarza i całej jego rodziny, potem zaś rzucali się na wódkę i wypijali ją do ostatniej kropli. Tym, co najbardziej zdumiewało Klausa, był fakt, że tam, gdzie gorzałki było szczególnie dużo, nie wlewali jej w siebie kubkami, konwiami czy nawet całymi wiadrami, lecz odbijali wieka beczek i wskakiwali do ich wnętrza tak jak stali, w butach

i w ubraniu, by móc się nią raczyć bez żadnej fatygi przez samo zanurzenie, całkiem jakby brali chrzest święty w Jordanie. Nawet kulawy Ostap, drżący w takich razach z podniecenia, kazał się wówczas wsadzać do wolnej beczki z niezbełtaną jeszcze zawartością i nie opuszczał jej dotąd, póki nie napił się „do należytości”, co obwieszczał sakramentalnym wołaniem: „Wyjmijcie mnie już, bracia, na dziś wystarczy!” Po tych słowach kompani odnosili go z powrotem na wóz, sztywnego wprawdzie, lecz zdrowego i całego, podczas gdy inni zbóje, niecieszący się w towarzystwie aż takim mirem, nie zawsze mieli podobne szczęście, o czym Rajiv przekonał się naocznie pod Czeczelowką, gdzie w krótkim czasie utopiło się w wódce trzech hajdamaków.

Na wioski hajdamacy napadali głównie dla prowiantu i to niezależnie od tego, czy ich mieszkańcy woleli przed nimi uciec, czy też witali ich chlebem i solą. Wieśniakom jednak nie czynili na ogół krzywdy, chyba że któryś sam się o nią napraszał. Tak było na przykład z pewnym kowalem, któremu zabrali konia i który, niepokodzony z tą stratą, szedł za nimi całe dwie mile, błagając ich po drodze na wszelkie sposoby, by oddali mu jego własność. W końcu tak bardzo ich tym błaganiem znudził, że pobili go do nieprzytomności i zostawili na wpół żywego na skraju drogi.

Pobity kowal i tak miał dużo szczęścia w porównaniu z pszczelarzem, w którego pasiece, gdzie wataha zatrzymała się na odpoczynek, jej członkowie znaleźli ukrywającego się polskiego księdza, bo natychmiast zarzucili powróż na szyję nie tylko nieszczęsnemu duchownemu, ale także goszczącemu ich Rusinowi.

– Ejże, cóż to znaczy, *batku*?! – zapytał go rozwścieczony hajdamaka z długim siwym osełdцем, uznawany przez resztę kompanów za dowódcę. – Kiedy tu przyszliśmy, pytałem cię wyraźnie, czy nie ma tu jakichś Lachów, Żydów albo księży, a ty powiedziałaś, że nie, bo przed nami byli tu już jacyś kozacy i wyrznęli wszystkich. To ja cię teraz pytam, cóż to za mołojcy, że można jeszcze po nich znaleźć przy życiu któregoś z tych przeklętych?! Po nas nikt nie zostanie, wszystkich wykolemy! – I kazał powiesić pszczelarza razem z księdzem.

Wszystko to przygnębiało Klausea coraz bardziej, lecz szczególnie wstrząsnęły nim dwa zdarzenia. Pierwszym było to, co spotkało pewną żydowską rodzinę, wypłoszoną przypadkowo z krzaków, gdy hajdamacy przejeżdżali przez jakiś las. Choć ojciec, matka i trójka dzieci rzucili się od razu do ucieczki, dwaj

zbóje na koniach szybko ich dogonili. Ojca i dwójkę starszych chłopców zabili na miejscu, zaś matkę i najmłodszego, może sześciolatniego syna, przywlekli na postronkach do swego dowódcy.

Ledwie żywa ze strachu Żydówka zaczęła całować jego strzemiona i błagać na wszystkie świętości, aby darował im życie, lecz hajdamaka z siwym osełdцем pozostał nieugięty.

– Ty już jesteś martwa – stwierdził. – Ale twoje szczenię może się jeszcze uratować, jeśli cię zastrzeli.

Po tych słowach wyjął zza pasa pistolet, odwiódł kurek i podał broń malcowi. A kiedy ten nie chciał jej przyjąć, wcisnął mu ją do ręki i warknął:

– Zastrzel tę sukę, bo jak nie, sam zginiesz pierwszy. Liczę do trzech: raz, dwa...

Zanim doliczył do trzech, rozległ się strzał i Żydówka padła na ziemię z przestrzeloną głową.

– Zuch chłopak! – roześmiał się stary zbój, odbierając małemu jeszcze dymiący pistolet. – Dasz sobie radę w życiu.

A potem odwrócił się obojętnie i ruszył w dalszą drogę.

Tymczasem malec rzucił się na martwe ciało matki, zaczął bić w nie pięstkami i drzeć się wniebogłosy. Kiedy minęli go kolejno wszyscy hajdamacy i wozy wypełnione „pożytkiem”, a on wciąż nie przestawał krzyczeć, jeden z jadących obok Rajiva bandytów nagle zawrócił i zabił dzieciaka jednym ciosem szabli.

– Nie lubię matkobójców – wyjaśnił po powrocie, choć nikt go o nic nie pytał.

Po tej historii młody Hindus i panna Zosia modlili się jeszcze goręcej o spotkanie z polskim wojskiem, lecz polskiego wojska nigdzie nie było, bo walczyło pod Barem z konfederatami. Za to następnego dnia, choć wydawało się to nieprawdopodobne, doszło do spotkania z wojskiem pruskim, a konkretnie z czterdziestoma lub pięćdziesięcioma czarnymi huzarami, i to właśnie było drugie ze zdarzeń, które sprawiło, że w Rajiwie najbardziej zagotowała się krew.

Pruscy żołnierze pędzili przed sobą tabun koni zakupionych w Polsce i musieli minąć się z hajdamakami na wąskiej drodze. Kiedy doszło do tej sytuacji, obie strony spoglądały na siebie spode łbów, w absolutnej ciszy i z bronią gotową do strzału, lecz nikt nie wykonał żadnego nieprzyjaznego gestu,

bo przy wyrównanej mniej więcej sile ognia każda, nawet najmniejsza zaczepka mogła się skończyć krwawą jatką.

Kandydat na luterańskiego pastora odczekał, aż w pobliżu jego wozu znajdzie się dowodzący huzarami szpakowaty major i wtedy krzyknął na całe gardło:

– Ratunku, panowie! Ja też jestem Prusakiem!

Na znak swego dowódcy pruska kolumna zatrzymała się i szpakowaty major podjechał do wozu w towarzystwie dwóch żołnierzy. W odpowiedzi hajdamacy natychmiast wymierzili w nich kilkanaście samopalów. Pruski oficer przyjrzał się związanemu Rajiwowi i leżącej obok niego pannie Zosi, a potem zapytał zdziwiony:

– Skąd znasz niemiecki?

– Już powiedziałem, jestem Prusakiem. Nazywam się Klaus Callenberg i pochodzę z Halle.

– A ta dziewczyna? Też jest Prusaczką?

– Nie, Polką. Ci ludzie porwali nas parę dni temu. Przy okazji zabili także wielu moich przyjaciół, w tym rotmistrza Horsta Gottlieba von Zypke, czarnego huzara, jak i wy, panowie, kawalera orderu *Pour le Mérite* za bitwę pod Zorndorf. Ratujcie nas, na litość Boską!

– Słyszeliście kiedyś o rotmistrzu Horście Gottliebie von Zypke? – zapytał swoich podwładnych pruski major.

– Owszem, był kiedyś taki w pułku – potwierdził starszy z dwóch żołnierzy.

– Ale potem dostał ponoć fioła na tle religijnym i zdezerterował w Polsce, defraudując przy okazji skarbowe pieniądze.

Usłyszawszy to wyjaśnienie, dowódca huzarów zasępił się, potem popatrzył na wycelowane w niego lufy samopalów, wreszcie skrzywił się i rzekł:

– Bardzo mi przykro, bądź sobie, kim chcesz. Polska to dziki, lecz suwerenny kraj, nie możemy mieszać się w jego wewnętrzne sprawy. Zwłaszcza z powodu jakiegoś dezertera i złodzieja, który zhańbił nasz mundur.

Następnie skinął hajdamakom ręką na pożegnanie i powrócił do kolumny, gdzie stwierdził z pogardą:

– Taki z niego Prusak, jak ze mnie Chińczyk.

W chwilę później po pruskich huzarach i prowadzonych przez nich koniach pozostał tylko tuman kurzu osiadającego z wolna na gościńcu. Hajdamacy

odetchnęli z ulgą, panna Zosia zaczęła histerycznie krzyżeć, a zrozpaczony Klaus mógł jedynie zgrzytać ze złości zębami.

Dzień po spotkaniu z Prusakami zbójcka wataha dotarła do jakiegoś miasteczka położonego nad niewielką rzeczką pośród wzgórz i jarów i otoczonego solidną dębową palisadą, za którą widać było kilka bastionów wewnętrznej forteczki. Mury tej forteczki rozbłyskiwały co jakiś czas armatnimi wystrzałami, którym odpowiadała niezbyt gęsta palba z broni ręcznej. W pewnej odległości od murów kłębił się tłum uzbrojonego chłopstwa, cudacznie poubieranych hajdamaków oraz pieszych i konnych kozaków, niepodejmujących jednak żadnych gwałtowniejszych działań.

– Co to za miejscowość? – zaniepokoił się Rajiv.

– Humań – odpowiedziała panna Zosia.

– A ci ludzie?

– Żeleźniak – wyjaśnił z dumą Ostap, który w nie wiadomo jaki sposób domyślił się sensu tego pytania.

▪

Jak Klaus i panna Zosia dowiedzieli się wkrótce, Żeleźniak i jego ludzie przybyli pod Humań dwa dni wcześniej, lecz nie zaatakowali miasta witającego ich ogniem z czterech lekkich działek, tylko rzucili się najpierw na tysiące polskich i żydowskich zbiegów z okolicznych majątków, wsi i miasteczek, którzy z powodu ciasnoty za obwarowaniami musieli obozować w szczerym polu, w miejscu zwanym Grekowym Laskiem.

Po tym ataku Grekowy Lasek przedstawiał sobą straszliwy widok. Wszędzie wały się trupy mężczyzn, kobiet i dzieci, przeważnie obdarte już do naga i prezentujące wszelkie możliwe rany i okaleczenia. Z wielu zwłok nadal sączyła się krew, tworząca tu i ówdzie na wpół zakrzepłe kałuże. Między zwłokami myszkowali miejscowi chłopcy i żebracy napychający swoje torby dobrem wzgardzonym przez hajdamaków, o które niekiedy zażarcie ze sobą walczyli. Jeśli któryś z owych „torbysznyków”, jak ich nazywał z pogardą Ostap, natknął się przypadkiem wśród zwałów trupów na kogoś rannego lub zgoła całego i zdrowego, kto próbował ukryć się między martwymi, natychmiast czynił użytek z noża i dokańczył dzieła zagłady.

Tym, co przeraziło Klause i pannę Zosię najbardziej, była obecność wśród rabusiów członków jakiejś formacji wojskowej w żółtych żupanach i błękitnych kontuszach. Dopiero później dowiedzieli się, że byli to nadworni kozacy wojewody kijowskiego Franciszka Salezego Potockiego, którzy pierwszej nocy oblężenia, zamiast – zgodnie z przysięgą – bronić miasta i jego mieszkańców, przeszli na stronę hajdamaków, tak jak uczynił wcześniej ich dowódca setnik Iwan Gonta, wysłany w pole przeciw Żeleźniakowi.

Po krótkim odpoczynku w Grekowym Lasku mołojcy, którzy przywieźli pod Humań Rajiva i pannę Ukrzańską, wyznaczyli spośród siebie dwóch ludzi do pomocy Ostapowi przy pilnowaniu zgromadzonego do tej pory dobytku i poruczywszy im jeszcze zadanie zorganizowania dodatkowych pojazdów, które spodziewali się napełnić nowymi łupami, wybrali się do obozu Żeleźniaka, aby odszukać znajomych i rozejrzeć się w ogólnej sytuacji.

Zdobycie dwóch nowych pojazdów nie stanowiło żadnego problemu, nie minął więc nawet kwadrans, jak pomocnicy Ostapa wrócili z wygodnym angielskim koczem i wspaniałą karetą o złożonych drzwiczkach, ozdobioną jakimś herbem. Jeśli zaś chodzi o ogólną sytuację, to Ostap, jego dwaj towarzysze oraz ich jeńcy dowiedzieli się o niej jeszcze przed powrotem pozostałych członków watahy z obozu Żeleźniaka od biwakujących nieopodal hajdamaków, z których jeden, niejaki Kazek, krostowaty były lokaj mówiący wyłącznie po polsku, również uciekł nocą z oblężonego miasta.

Według owego Kazka, po zdradzie Gonty i dezercji kozaków nadwornych w Humaniu, gdzie pozostali już tylko Polacy i Żydzi, obrońcy miasta całkowicie upadli na duchu. Ukrytym za murami ludziom brakowało broni i amunicji, a zwłaszcza wody, bo przez miasto nie przepływała żadna rzeczka, zaś rozpaczliwa próba wykopania studni skończyła się niepowodzeniem, kiedy kopiący dotarli do litej skały. Z braku wody gaszono więc pragnienie miodem, piwem, winem i wódką, ale to sprawiało, że część obrońców nie nadawała się do żadnej walki. Zresztą nawet ci, których nie zamroczył alkohol, uważali w większości, że uratować ich może tylko cud, toteż po mieście krążyła dniem i nocą procesja z obrazem Matki Boskiej, błagając Boga o zmiłowanie. W opinii byłego lokaja los miasta był przesądzony i można już było szykować worki na obfitą zdobycz.

Słowa Kazka potwierdzili kompani Ostapa, którzy wrócili wieczorem z obozu Żeleźniaka, przynosząc stamtąd również informację, że już następny

dzień może się okazać przełomowy.

Tak też było w istocie. Rankiem oszalały z rozpaczy i strachu gubernator Humania Rafał Mładanowicz wysłał przez Żydów w darze Żeleźniakowi i Goncie parę fur atłasu, adamaszku, cienkich płócien i eleganckich ubrań, w nadziei, że ci odstąpią od oblężenia.

Hajdamaccy przywódcy przyjęli prezenty, lecz zaraz potem wydali rozkaz zaatakowania miasta.

To, co nastąpiło dalej, panna Ukrzańska i hinduski kandydat na pastora mogli, przynajmniej częściowo, zobaczyć na własne oczy, ponieważ Ostap, nie mogąc sobie darować widowiska, podjechał furą na jedno z otaczających Humaną wzgórz, skąd roztaczał się piękny widok na miasto.

Do prawdziwego szturmego jednak nie doszło. Podczas gdy miasto ostrzeliwano z samopałów, a spędzeni z okolicy chłopcy rąbali siekierami otaczającą je palisadę, jakiś młody człowiek (Gonta, jak wyjaśnił Ostap), gładki, z podkreślonym zawadiacko wąsem i wystrojony niczym polski szlachcic, zaczął objeżdżać miejskie mury z przywiązaną do piki białą chustą, wołając przy tym na całe gardło: „Poddawajcie się! Nic wam nie będzie!”⁶

Przerażeni obrońcy, udręczeni pragnieniem i zżerani strachem, uchwycili się tej obietnicy jak tonący brzytwy i zgodzili się na pertraktacje tym chętniej, że oprócz wody zaczynało im także brakować kartaczy.

Wtedy Gonta podjechał pod główną bramę z chorągwiami wręczonymi mu przez Żeleźniaka – niewysokiego, barczystego mężczyznę o pełnej twarzy z niewielkim jasnym wąsem i osełdce założonym za ucho, ubranego w czerwony żupan i dosiadającego pięknego bułanego konia. Na chorągwiach z jednej strony widniał haftowany portret Katarzyny II, z drugiej zaś ukaz nakazujący „wojsku zaporoskiemu” szukanie i zwalczanie konfederatów.

Na pytanie z wałów: „Co z nami myślicie zrobić?”⁷, były setnik milicji humańskiej odpowiedział hardo: „Temu wojsku bronić się nie można, gdyż jest gwarantki kraju, samej Katarzyny imperatorowej”⁸ Na co jeden z dowódców obrony wykrzyknął: „Poddajemy się; na chleb i na sól prosimy”⁹, podczas gdy inny zaczął wołać: „Strzelić do szelmy! Łże i zwodzi, jak już zwiódł!”¹⁰. Wówczas, by temu przeszkodzić, gubernator miasta położył się ostentacyjnie na armacie i krzycząc „Do gadającego strzelać nie pozwalam, do odchodzącego strzelcie”¹¹, objął jej lufę ramionami. Ponieważ wywołało to oburzenie części zgromadzonych, po chwili podniósł się z działa i rzuciwszy tylko: „Radźcie

sobie. Ja idę do kościoła, oddaję się Bogu, bo tylko On naszym ratunkiem”¹², opuścił stanowisko dowodzenia. Odebrało to resztkę animuszu co dzielniejszym obrońcom i przeważało szalę na stronę tych, którzy nie mieli najmniejszej ochoty narażać swojego życia w obronie paru dukatów czy jakichś babskich błyskotek.

O dalszym przebiegu wypadków Klaus i jego towarzysza niedoli dowiadywali się głównie od członków watahy wpadających na chwilę do obozu, aby posilić się, zdrzemnąć czy przekazać Ostapowi świeżo zdobyte łupy, albo od krostowatego Kazka, któremu panna Zosia najwyraźniej wpadła w oko i który korzystał z każdej okazji, by się do niej zbliżyć.

Kiedy otworzono bramy, ludność rzuciła się w trwodze do świątyni, a hajdamacy wtargnęli bez przeszkód do miasta, gdzie obstawili natychmiast najważniejsze budynki: ratusz, kościół farny, kaplicę bazylianów i synagogę. W domach Bożych zrobił się taki tłok, że napastnicy nie mogli się tam w ogóle wcisnąć, więc z początku tylko puszczali do ich wnętrza swoje czapki wraz z prośbą „*Wspomahajte!*”. Ludzie, ściśnięci jak śledzie w beczce, wspomagali ich, czym kto mógł. Szczególnie w kościele farnym hajdamackie i kozackie czapki napełniały się bardzo szybko talarami i dukatami, zegarkami, tabakierkami, pierścionkami, bransoletami, broszami, kolczykami i sznurami pereł. Pod względem hojności kobiety przewyższały zdecydowanie mężczyzn, lecz kiedy jeden z warujących pod kościołem mołojców pochwalił je za to przed Gontą: „Pięknie wypraszają się Lachówki, trzeba im będzie przebaczyć”¹³, były setnik milicji nadwornej warknął w odpowiedzi: „A cóż z tobą będzie, jeśli im przebacysz?!”¹⁴

Nie wiadomo, czy sprawiła to ta odpowiedź, czy przykład żadnej krwi czerni, która tu i ówdzie zdążyła już puścić w ruch swoje noże i kosy, czy przyczynił się do tego opór garstki przebywających przypadkiem w mieście konfederatów, niedających się rozbroić i broniących się do upadłego – dość, że wkrótce zaprzestano uprzejmej kwesty i zaczęto wyciągać ludzi ze świątyni siłą, by mordować ich, czym popadło. Kiedy wewnątrz fary zrobiło się luźniej, również tam zaczęła się krwawa rzeź, podczas której zabito między innymi matkę i żonę gubernatora.

W tym samym czasie, gdy wiernych dźgano nożami, rozcinano siekierami, tłuczono drągami, przebijano pikami i siekano szablami, jakiś pijany hajdamaka wdarł się na ambonę, skąd głośno lżył mordowanych i wyśmiewał ich wiarę i zwyczaje.

W kościele farnym, gdzie księża niemal do końca komunikowali i udzielali absencji, niektórych duchownych zabito przy samym ołtarzu. Nie inaczej było także w unickim klasztorze bazylianów. Zamordowano tam wszystkich zakonników oraz ponad dwustu nieletnich uczniów miejscowej szkoły, której rektora zakłuto spisami i skrwawionego rzucono do rynsztoka. Na kilku innych schwytanych żywcem kapłanów nałożono jarzma od wołów i popędzono ich przez miasto z okrzykiem: „Woły unickie!”, okładając ich przy tym nahajami.

Kiedy nieszczęśnicy potykali się o leżące na ulicach trupy, z tłumu co rusz wyskakiwali jacyś ochotnicy i walili ich z całej siły pięściami w twarz. Na końcu swojej drogi krzyżowej także i owi unicy zostali zamordowani na żądanie jednego z popów z miejscowej cerkwi św. Mikołaja.

Poza „*riezaniem*” ludzi, we wszystkich świątyniach, niezależnie od obrządku, niszczone i kradzione sprzęty, palono obrazy i księgi liturgiczne. W kościele farnym zerwano nawet podłogę, szukając pod nią ukrytych skarbów i pieniędzy, jak też powieszono na stryczku krzyż z podobizną Chrystusa i wyrzucono z puszek wszystkie komunikanty. Tamtejszy obraz Matki Boskiej skłuto spisami i ostrzelano z samopałów, wykrzykując przy tym: „Włóczyliście się z nim wczoraj po mieście, niechże on was broni teraz!”¹⁵ Rzeźbione figury apostołów Piotra i Pawła wyniesiono na zewnątrz i nazywając je „konfederatami”, strzelano do nich, a następnie włożono im w ręce cepy i zachęcano do młócenia błota. Posąg św. Jana przywiązano do końskiego ogona i włączono po ulicach, żeby na koniec uciąć mu siekierą głowę i porąbać go na kawałki.

W całym mieście krew lała się strumieniami. Wypędzano mieszkańców z domów, piwnic, strychów i innych kryjówek, a jeśli nie chcieli stamtąd wyjść dobrowolnie, wykurzano ich ogniem i dymem, wprost pod noże, szable, kosy i zastrzone koły. Do uciekających strzelano bądź tratowano ich końmi, dzieci nadziewano na piki i spisy i podnoszono na nich do góry. Przywiązanym do pała ofiarom podrzynano gardła, kłuto je spisami, dźgano nożami i rżnięto piłami. Starców włączono za włosy, kobiety gwałcono, obcinano im piersi, ciężarnym rozpruwano brzuchy i wyszarpywano z nich płody. Niemowlęta, zwłaszcza żydowskie, rozdzierano za nogi jak kurczaki albo związane razem po dwoje lub troje, rzucono pod końskie kopyta. Kiedy ktoś szukał schronienia na dachu, ustawiano wzdłuż murów spisy na sztorc i zrzucano go na nie z góry.

Niektórych Polaków i Żydów straszliwie przed śmiercią torturowano, obcinając im nosy i uszy bądź paląc ich żywcem. Od części oszczędzonych chwilowo Żydów Gonta, który wprowadził się tymczasem do ratusza, zażądał wielkiego okupu. Kiedy ci przynieśli mu wszystko, co im jeszcze pozostało, były setnik milicji humańskiej przyjął to, a następnie kazał wyrzucić ich przez okno na bruk. Część Żydów zabarykadowała się w szkole żydowskiej, więc hajdamacy postanowili wziąć ją szturmem. Zatoczyli pod szkołę trzy działa, jedno ustawili od frontu, a dwa po bokach. Pierwsze nabili kartaczami, drugie kulami i dali ognia. Po zawaleniu się dachu i murów zarżnęli niedobitków nożami.

Po różnych szykanach zamęczono również gubernatora miasta Mładanowicza, aczkolwiek Gonta, czy to w przyпіlywie litości, czy to w przeblysku troski o własną przyszłość, ocalał spod noża jego dzieci, w tym ciężko ranną od ciosu spisą osiemnastoletnią córkę Weronikę.

Bardzo szybko całe miasto zasłane było trupami, połamanymi meblami, rozbitymi naczyniami, odłamkami szyb, podartymi książkami, rozprutymi pierzynami, a nawet zabitymi z rozpędu domowymi zwierzętami. Jak zeznał później przed sądem jeden z uczestników rzezi, tego dnia w Humaniu „wszyscy zabijali: strzelbą, spisami, nożami, cepami i zastupami; chyba rąk nie miał, to ten tylko nie zabijał”¹⁶. Jednocześnie rabowano wszystko, co przedstawiało jakąś wartość, ubierano się w szaty liturgiczne, nakładano na siebie po pięć czy sześć zdobycznych kontuszów bądź damskich sukien, pito na umór z kielichów mszalnych, rozbijano kościelne pateny i wygłaszano bluźniercze kazania.

Kiedy żądza krwi i rabunku osiągnęła apogeum, zdarzało się także, że pijana czerń mordowała się nawzajem i to nie tylko przy wyrywaniu sobie co cenniejszych łupów. Kto nie umiał pacierza cerkiewnego, kto nie potrafił przeżegnać się po grecku, kto nie chciał pić ciepłej gorzałki z miodem albo nie miał śniadej, spalonej stepowym słońcem cery, ten mógł łatwo zostać uznany za „Lacha” lub Żyda i również stracić głowę.

Największe szanse na ocalenie miały młode i piękne kobiety, choć nie wszystkie, lecz tylko te, które wpadły w oko jakiemuś mołojcowi i zgodziły się wyjść za niego za mąż, co łączyło się z koniecznością natychmiastowego przyjęcia prawosławnego chrztu. Niektóre ze strachu o życie przystawały na to; inne, którym nie w smak było takie zamążpójście, mordowano bez litości. Tak zginęła między innymi siostra pierwszej żony gubernatora miasta, która odparła na podobną propozycję: „Raz byłam chrzczona, dwa razy chrzczoną być nie

mogę”¹⁷, zaś kiedy obecny przy tym Gonta w odpowiedzi uderzył ją w głowę żelaznym obuszkiem, zdołała jeszcze zawołać do towarzyszących jej dam i pań: „Gińcie razem ze mną! Nie ma piękniejszej śmierci, jak umrzeć za wiarę!”¹⁸ Po tych słowach Gonta uderzył ją jeszcze raz, gruchocząc jej czaszkę, a jakiś towarzyszący mu hajdamaka obciął jej głowę toporem. Niektóre z towarzyszących jej pań poszły w jej ślady i też zostały zamordowane, inne czym prędzej zgodziły się na ślub.

– To się nazywa życie! – stwierdził z entuzjazmem zakrwawiony od stóp do głów Kazek, kiedy opowiadał o tym ze szczegółami Ostapowi, Klausowi i pannie Zosi. – Dawniej musiałeś przed taką jedną z drugą płaszczyć się i zginać kark, a teraz jest swoboda i każdy może sobie wyruchać, kogo chce, albo ożenić się nawet z hrabianką. A najlepsze jest to, że w każdej chwili można zostać wdowcem i wziąć sobie następną. Prawdziwa wolność i braterstwo, jak w raju!

– Wolność może tak, ale nie braterstwo – skrzywił się na to Ostap. – Braci każdy wybiera sobie sam.

– Wszystko jedno, dziadku. Tak czy siak, ja też bym się chętnie zabawił z tą jaśnie panią. Bardzo mi się podoba – były lokaj wyłuszczył wreszcie powód swoich częstych odwiedzin.

– Nie dla psa kiełbasa – ostudził jego zapalony Ostap. – Jaśnie panią daje tylko naszym. Ty możesz sobie wyruchać kożę.

– Ha, ha, ha... – Kazek wolał uznać jego słowa za żart. – W takim razie przyprowadź mi swoją matkę. Tylko to już pewnie próchno i mogą jej odpaść rogi.

– Uważaj, gnoju, co mówisz! – ostrzegł go Zaporozec.

– Ja tylko żartuję, tak samo jak ty – były lokaj wzruszył ramionami. – Nie po to się rżnie panów, żeby nie można było sobie pożartować. No to jak będzie?

– Już słyszałeś.

– Ale ja ją kocham. Mogę się z nią nawet ożenić.

– Ożenić? Ciekawe jak? Wszyscy wasi księża wyrżnięci.

– Może być w cerkwi, mnie tam wszystko jedno.

– A kto będzie kumami?

– A choćby Żeleźniak i Gonta.

– Utnij sobie jaja, to ci przejdzie – poradził mu Ostap.

– Tak? A co ty na to, jaśnie panią? – młody hajdamaka zwrócił się bezpośrednio do obiektu swoich westchnień.

– Idź do diabła – odpowiedziała mu blada jak ściana panna Zosia.

– Co?! Nie podobam ci się? – tym razem były lokaj zdenerwował się. – Wolisz, żeby cię ruchali inni?

– Już słyszałeś, idź do diabła! – powtórzył za panną Zosią stary kozak.

Wtedy były lokaj uderzył pannę Ukrzańską z całej siły w twarz.

– Bij! – rzekła na to w odpowiedzi. – Zasłużyłam na to grzechami moimi.

– Zostaw ją! – syknął Ostap, który zdążył już wymierzyć w niego lufę samopału. – Tknij ją jeszcze raz, a zobaczysz.

Ale Kazek wpadł już w prawdziwy szal.

– Wybieraj, kurwo, albo cię załatwię jak inne! – wołał, wymachując dziewczynie przed nosem nożem. – Tak czy nie?!

– Nie – odparła panna Zosia z niezwykle spokojem.

Wtedy wbił jej nóż prosto w serce.

Nie zdążył go nawet wyjąć, kiedy huknął strzał i sam padł martwy na ziemię.

Będący świadkiem tej sceny Rajiv zaczął wyc jak ranne zwierzę. Ostap z początku na to nie reagował, lecz po dłuższej chwili, ocierając ukradkiem oczy, poklepał go po ramieniu i westchnął:

– Daj spokój. To tylko złodziej.

Pozostali członkowie watahy śmiercią panny Zosi nie zmartwili się ani trochę. W końcu, jak powiedział ich dowódca z siwym osełdцем, ubyłoby jednej gęby do żywienia, a kobiet, z którymi można się było zabawić, było jeszcze w Humanii w bród.

Przez następne trzy dni i trzy noce hajdamacy hulali i pili do upadłego. Zdobywczej i przywiezionej z sobą wódki, wina, piwa i miodu nie brakowało, żywność dostarczali pod nahajami okoliczni chłopci. Choć wszędzie leżały nieopogrzebane zwłoki, co wieczór w zwycięskim obozie urządzano huczne uczyty i tańce; uczestniczyć musiały w nich także te „Laszki”, które mołojcy ocalili przed śmiercią, biorąc je sobie za żony, nałożnice bądź służące.

Po trzech dniach hulanki, kiedy smród rozkładających się szybko w letnim upale ciał stał się nie do zniesienia i groził wybuchem zarazy, Żeleźniak i Gonta, którzy zdążyli tymczasem przybrać tytuły książąt (w przypadku Żeleźniaka wraz z rangą „hetmana wojska zaporoskiego”, a w przypadku byłego setnika nadwornych kozaków razem ze stopniem „pułkownika” i godnością „wojewody humańskiego”), nakazali wreszcie uprzątnięcie trupów.

Część zwłok wrzucono do rzeczki Humanki, częścią wypełniono suchą studnię wykopaną na rynku miasta przez jego obrońców, resztę wywieziono podwodami do lasu i jako tako pogrzebano lub porzucono na żer dzikim zwierzętom. Obaj książęta zadbali również o ufortyfikowanie obozu pod Grekowym Laskiem i przeniesienie do niego zdobytych w Humaniu dział. Planowali też z rozmachem dalsze podboje, kontentując się na razie wysyłaniem w różne strony na rabunek mniejszych oddziałów. Jeden z nich, złożony z kozaków siczowych, napadł i spalił dwie pograniczne tureckie miejscowości Bałę i Gołę – jako odwet za odmowę ze strony lokalnych przedstawicieli sułtana wydania wszystkich ukrywających się w nich Polaków i Żydów. Mogące wyniknąć z tego faktu komplikacje międzynarodowe, z wybuchem wojny turecko-rosyjskiej włącznie, zupełnie obu hajdamackich „książąt” nie obchodziły.

„Hetman wojska zaporoskiego” i „wojewoda humański” zajęli się także administracją opanowanych przez siebie terenów. Skoro, jak ogłosili, nie było już polskich panów, nakazali miejscowemu chłopstwu odrabianie pańszczyzny na nich samych (hetmana i wojewodę) i na „wojsko zaporoskie”. Pilnowali tego specjalnie ustanowieni po wsiach komendanci, odpowiedzialni za dostarczanie do obozu stosownej ilości prowiantu i furażu. „Jak nie kijem go, to pałką! Durne woły robocze! Zamiast pracować na panów, będą teraz tyrać na Gontę i Żeleźniaka!” – zżymał się na te zarządzenia Ostap, niemający zwyczaju trzymać języka za zębami.

Oprócz dochodów ze świeżo wprowadzonej pańszczyzny, dodatkowe zyski przynosił obu „książętom” i innym hajdamakom kwitnący w obozie handel. Codziennie z pobliskiego Kijowa przybywali rosyjscy kupcy i wybierali, co tylko chcieli, z wielkich gór łupów, na które składały się ubrania, futra, buty, zegary i zegarki, srebrne i porcelanowe zastawy, złożone sztucce, meble, broń, obrazy, sztychy, rzeźby, szykowne kolasy oraz mnóstwo innych rzeczy o trudnym niekiedy do odgadnięcia przeznaczeniu. Za meble, obrazy, futra i powozy płacono po kilka rubli; za szable, pałasze i większość drobnych przedmiotów najwyżej po kilkadziesiąt groszy. Na ożywionym handlu bogacili się wszyscy, ale najwięcej zarobił na nim „książę” Żeleźniak, który za kilka wielkich skrzyń wypełnionych po brzegi srebrem otrzymał od Moskali dziesięć tysięcy rubli.

Choć mogłoby się wydawać, że w tym morzu bezprawia i okrucieństwa zginęła wszelka ludzka przyzwoitość, to jednak zdarzały się w nim także akty niezwyklej szlachetności, tym większej, że wymagającej ogromnej odwagi.

Należało do nich zwłaszcza przybycie do Gonty delegacji ukraińskich chłopów ze wsi Ositna, którzy w imieniu swojej gromady poprosili „wojewodę humańskiego” o oddanie pod ich opiekę trójki sierot po zamordowanym gubernatorze Humania. Zbity z pantałyku Gonta zapytał wtedy: „Czy to znaczy, że znów chcecie mieć panów?”¹⁹ Na co ci odpowiedzieli, że nieboszczyk gubernator zawsze traktował ich bardzo dobrze i właśnie z tego powodu chcą wziąć jego dzieci i wychować jak swoje. „Nie wykręcicie się tym od roboty na nich!”²⁰ – ostrzegł ich były setnik, ale widząc ich determinację, w końcu machnął ręką i ze słowami „*Czort ich bery!*” wyraził swoją zgodę. Podobnie jak chłopci z Ositnej zachowało się też wielu innych wieśniaków, którzy przyjęli pod swój dach i zaopiekowali się dziećmi ofiar rzezi, błakającymi się po okolicy lub ukrywającymi się w lasach.

Choć do tej pory wszystko szło dobrze, choć Humań zdobyto właściwie bez walki, choć od łupów uginały się wozy i choć Żeleźniak zapewniał swoich ludzi, że są pod wysoką protekcją Rosji, obiecując im, że dzięki braciom Moskałom i ich niezwyciężonej monarchini już wkrótce cała prawobrzeżna Ukraina będzie wolna od polskich panów i na wieki będzie się nazywać Hetmańszczyzną, nie wszyscy kozacy i hajdamacy ślepo mu wierzyli.

Bardzo sceptyczny wobec tych wizji był stary Ostap, który wielokrotnie radził swoim towarzyszom wracać jak najszybciej na Sicz, zanim pod Humaniem zjawi się polskie wojsko i szczęśliwa dotąd karta się odwróci. „Zobaczycie – powiadał im – siedem niedziel będzie naszego panowania, a potem siedem lat wieszania i ćwiartowania!”, jednak jego kompani, spragnieni jeszcze większej mołojckiej sławy i nowych cennych „pożytków”, puszczali jego zrzędenie mimo uszu.

Aż wreszcie któregoś dnia oświadczył:

– Bracia, wiecie, że wszy i konie to najlepsi przyjaciele kozaka. Wesz zawsze ostrzeże go przed niebezpieczeństwem, a koń zawsze go z niego wyniesie. Wyobraźcie sobie, że dziś w nocy, kiedy grzałem się przy ognisku, cała ta kozacka zgryzota wylazła mi na kołnierz i nie dała mi spokoju do białego rana. To niechybny znak, że *bude nam łycho z wraśymi Lachami*. Róbcie sobie, co chcecie, ja wracam na Zaporozże, zanim się tu zjawią *pany*. Zdobytego dobra wystarczy mi na długo.

Jego towarzysze, jak zwykle, ponatrząsali się trochę z jego babskich obaw, ale potem wyliczyli uczciwie należne mu łupy. Następnego dnia Ostap zaczął się

pakować.

Tuż przed odjazdem, gdy jego kompani drzemali zmorzeni wódką, podszedł do leżącego na wozie Rajiva i nie przejmując się wcale tym, że Hindus nie mógł go zrozumieć, zwrócił się do niego szeptem:

– Słuchaj, Czarnomordin. Najdalej za parę dni będą tu Lachy i zrobią wszystkim krwawą banię. Wszy się nie mylą. Nie mam zamiaru na to czekać i wyjeżdżam. A ponieważ, jak mnie tu zabraknie, nikt może nie pamiętać, żeby cię nakarmić i napoić, zwracam ci wolność. Oprócz wódki nie ma na tym świecie nic lepszego. Zapamiętaj sobie: tam jest wschód, tam zachód, tam północ, a tam południe.

Po tych słowach przeciął zdumionemu jeńcowi więzy i dodał:

– Jeszcze jedno. Masz tu nóż i trochę chleba. Pomogą ci przetrwać do lepszych czasów.

Potem wsunął pod słomę na wozie swój nóż i pół bochna chleba, wsiadł na konia i zniknął za drzewami.

Godziny, jakie pozostały do zmroku, wlokły się Rajivowi niemiłosiernie, ale nawet najmniejszym gestem nie zdradził, że jest już właściwie wolny. Dopiero kiedy zapadła noc, zsunął się ostrożnie z wozu i z nożem w zębach zaczął czołgać się w stronę najbliższej kępy krzaków. Po paru chwilach dotarł do celu i ponownie przywarł do ziemi.

Nikt nie zauważył jego zniknięcia. Kiedy nabrał co do tego całkowitej pewności, wstał i skulony przebiegł szybko kawałek odkrytej przestrzeni oddzielającej go od jednego z jarów schodzących stromo do rzeki Humanki.

▪

Wszy, najlepsze obok koni przyjaciółki kozaka, także tym razem miały rację, choć nie do końca. Parę dni po odjeździe Ostapa, które obozującym pod Humanem hajdamakom upływały na kolejnych hulankach, jak też na wyłapywaniu i mordowaniu ostatnich ukrywających się w lesie Lachów i Żydów, w okolicy miasta rzeczywiście pojawił się obcy oddział liczący mniej więcej stu pięćdziesięciu żołnierzy.

Nie był to jednak oddział polski, jak się obawiał Ostap, tylko rosyjski, i to złożony z kozaków dońskich, czyli ludzi tej samej krwi i wiary, co większość zdobywców Humania. Dowodzący nim porucznik Kołogrywow oświadczył

Żeleźniakowi i Goncie, że został przysłany spod Baru przez generała Kreczetnikowa, by wesprzeć ich w walce z konfederatami. Początkowa nieufność przywódców hajdamackich szybko została przełamana i oba wojska zaczęły radośnie się bratać. Wieczorem obaj hajdamaccy „książęta” wydali specjalny bankiet na cześć swych nowych sprzymierzeńców, którzy założyli tymczasem kwaterę w opustoszałym mieście.

Tym, czego nie wiedzieli „hetman wojska zaporoskiego” i „wojewoda humański”, było to, że Rosja, w której upatrywali swojej protektorki i która przysłała im właśnie z braterską pomocą, zmieniła radykalnie pogląd na temat ich działań.

Ksiązę Repnin, który jeszcze przed wybuchem zamieszek na Ukrainie przyjmował w Warszawie ihumena klasztoru motroneńskiego Melchizedeka oraz innych duchowych przywódców polskiego prawosławia i zapewniał ich gorąco o swoim poparciu dla prowadzonej przez nich walki o umocnienie ortodoksji na kresach Rzeczypospolitej, gdyż współgrała ona znakomicie z działaniami Rosji na rzecz politycznego równouprawnienia innowierców w Polsce, długo nie mógł uwierzyć w skalę i brutalność wystąpienia Żeleźniaka.

Widząc w hajdamakach i zbuntowanych chłopach naturalnych sojuszników Rosji w walce z konfederatami, z początku radził nawet generałowi Kreczetnikowowi, by „przeciwko nim zbrojnie nie stawać, tylko namową skłaniać ich do spokojnego rozejścia się”²¹. Kiedy jednak otrzymał dokładniejsze raporty o tym, co działo się w województwach kijowskim i braclawskim, a zwłaszcza o rzezi humańskiej i napadzie kozaków siczowych na Bałtę i Gołtę, przeraził się nie na żarty i napisał do generała Kreczetnikowa w całkiem odmiennym tonie: „Wszystko, co narusza spokojność tego kraju, jest fatalnym dla nas, stąd ten bunt chłopski koniecznie uśmierzyć potrzeba”²².

A kiedy jeszcze doszły go słuchy, że znajdujący się znacznie bliżej teatru wydarzeń były ambasador w Polsce generał-gubernator kijowski Fiodor Wojejkow oraz głównodowodzący wojsk rosyjskich w Małej Rosji generał Piotr Rumiancew alarmują Petersburg, iż hajdamacki pożar może się łatwo przenieść na lewy brzeg Dniepru, w liście do hrabiego Panina odciął się ostro od swoich przyjacielskich kontaktów z ihumenem Melchizedekiem i innymi przywódcami prawosławia na polskiej Ukrainie: „Wasza Wysokość zwróci uwagę na fakt, że archijerej perejasławski jest – jak sądzę – jedną z przyczyn poruszenia tutejszych buntujących się chłopów. Oczywiście istnieje prócz tego podległy mu ihumen

motreninski Melchizedek, którego znam osobiście jako oszusta, człowieka nad wyraz niespokojnego i zdolnego do wszystkiego. Ośmielam się przedłożyć Waszej Wysokości, że czas, by temu archijerejowi ogon uciąć ze względu na ważne konsekwencje, które z takich buntów wyniknąć mogą”²³. Na wszelki wypadek książę Repnin zaapelował także o wymierzenie przykładowych kar uczestnikom „koliszczyzny”: „Nie ma, zdaje się, potrzeby przedstawiać Waszej Wysokości, jak surowej kary warte jest to przestępcze postępowanie Zaporozców ze względu na ważne konsekwencje, jakie mogą z tego wyniknąć ze strony Porty”²⁴.

Z taką to właśnie misją ukarania „przestępczego postępowania” Zaporozców oraz innych uczestników rozruchów przybył do Humania porucznik Kołogrywow i jego dońscy kozacy.

Dzielny porucznik bardzo dbał o to, by pozyskać sobie przyjaźń walecznych „książąt”. Konferował z nimi codziennie i brał sumiennie udział w niekończących się hulankach. Kiedy jego żołnierze i hajdamacy pili razem wódkę (Dońcy znacznie mniej, ze względu na surowy rozkaz zachowywania w tej mierze pewnej powściągliwości), on sam, jakby od niechcienia, zapoznawał się z detalami umocnień hajdamackiego obozowiska, z rozmieszczeniem strzegących go zdobycznych armat, z miejscem składowania i wielkością zapasów kul i prochu, a wreszcie z rzekomym ukazem Katarzyny II nakazującym Żeleźniakowi wyróżnić wszystkich Lachów i Żydów na polskiej Ukrainie, który to ukaz dokładnie obejrzał, z należytym szacunkiem i na baczność, choć na wszelki wypadek nie wypowiedział się ani słowem na temat jego autentyczności.

Podczas rozmów i biesiad z hajdamackimi „książętami” porucznik Kołogrywow zapewniał ich nieustannie o pełnym poparciu Rosji, obiecywał, że Petersburg pomoże im zmusić Stanisława Augusta, aby wkrótce przestał nazywać siebie królem Polski i przyjął w zamian tytuł króla kozackiego, planował z nimi wspólne uderzenie na Berdyczów, gdzie miało wciąż przebywać wielu konfederatów, i roztaczał przed nimi kuszącą wizję wspólnego ataku na Wołyń i Polesie w celu ich wyzwolenia spod władzy polskich panów, zaznaczając jednak, że z tak wielką i skomplikowaną operacją militarną należy poczekać do czasu przybycia pod Humań dodatkowych posiłków rosyjskich, które z pewnością już są w drodze i powinny zjawić się w obozie lada dzień.

Porucznik Kołogrywow udzielał także Żeleźniakowi i Goncie wielu cennych rad. Podpowiedział im na przykład odesłanie do domu wszystkich chłopów

posiadających własne gospodarstwa i rodziny, aby mogli odrabiać pańszczyznę dla swoich nowych panów i wojska zaporoskiego, a także pozbycie się całej hultajskiej czerni słabo obeznanej z wojennym rzemiosłem i nieprzestrzegającej wojskowej dyscypliny, gdyż ta podczas wyprawy na Wołyń i Polesie mogłaby stanowić jedynie niepotrzebne obciążenie. Inna dobra rada, jakiej rosyjski porucznik udzielił hajdamackim „książętom”, polegała na tym, żeby nie rżnąć „Lachów” jak leci, tylko brać ich żywcem w dybki i trzymać w nich tak długo, aż sami wyrzekną się wszelkiej „laszczyzny” i pozwolą się przerobić na kozaków.

Dobre rady porucznika Kołogrywowa zostały przyjęte, większość chłopów i czerni wróciła do domów, a w przerwach między kolejnymi hulankami cały obóz hajdamacki rozbrzmiewał odgłosami wytężonej pracy przy wyrobie dybów na „Laszczynę”, które rosyjski oficer zgodził się łaskawie składować we własnych taborach.

Wkrótce potem przybyły pod Humań wyglądane z utęsknieniem posiłki rosyjskie w sile kargopolskiego pułku karabinierów pod dowództwem pułkownika Guriewa, na cześć którego hajdamaccy „książęta” wydali wspaniałą ucztę powitalną.

Podczas tej uczyty pili na umór tylko hajdamacy i Zaporozcy. Rosyjscy żołnierze, zgodnie z rozkazem, jedynie markowali degustację wódki. Kiedy gospodarze upili się tak bardzo, że nie byli w stanie nawet wystawić wart, pułkownik Guriew i porucznik Kołogrywow przystąpili do akcji, każąc na początek swoim ludziom uprowadzić z obozu kozackie konie.

Tuż przed świtem do namiotu porucznika Kołogrywowa przybył w towarzystwie kilku podwładnych ledwie trzymający się na nogach Gonta, aby, zgodnie z wcześniejszą umową, zabrać rosyjskiego oficera w gościnę do swojej rodzinnej wsi, otrzymanej kiedyś w dzierżawę od wojewody kijowskiego. Porucznik kazał podać herbatę, lecz nie zaprosił na nią swego gościa. Kiedy ten, zmęczony całonocną hulanką, zauważył, że i on chętnie by się napił *czaju*, Kołogrywow odstawił szklanę, po czym z całej siły zdzielił go pięścią dwa razy w twarz. Na ten znak do namiotu wpadli moskiewscy żołdaci i zakuli „wojewodę humańskiego” oraz jego towarzyszy w przygotowane zawczasu dybki.

Zaraz potem odezwały się rosyjskie trąbki i bębny. Moskale rzucili się na obóz hajdamacki i zaczęli zakuwać w dyby i kajdany swoich rzekomych sprzymierzeńców. Z jedyną sotnią Siczowców, która próbowała stawić im czoła, rozprawili się bardzo szybko kargopolscy karabinierzy. Znacznie słabszy opór

pojedynczych grupkach czerni uśmiercono nahajami. W krótkim czasie „wojsko zaporoskie” samozwańczego „hetmana” prawobrzeżnej Ukrainy przestało istnieć.

Po opanowaniu obozu pułkownik Guriew odesłał wszystkie hajdamackie armaty (w tym również te, które zabrano z Humania) i całą zdobyczną broń palną do generała Kreczetnikowa, z kolei łupy pochodzące z rzezi kazał rozdzielić pomiędzy Dońców i swoich karabinierów, z tym jednym, czysto teoretycznym zastrzeżeniem, że powinni je zwrócić prawowitym właścicielom, jeśli tacy się po nie zgłoszą. Oczywiście przy podziale łupów nie zapomniał również o sobie, o poruczniku Kołogrywowie i przede wszystkim, jak nakazywała wojskowa hierarchia i dyscyplina, o swoim przełożonym, generale Kreczetnikowie.

Wśród nielicznych hajdamaków zbiegłych z pogromu był także Maksym Żeleźniak. Wkrótce potem „książę smilański” objawił się na pograniczu polskotureckim, gdzie zebrał nową watahę złożoną z prawie dwustu zabijaków i zaczął nowe rozboje, w dalszym ciągu powołując się na rozkazy Katarzyny II. Zdążył spalić i wymordować polskie miasteczko Palejowe Jezioro i napaść raz jeszcze na turecką Bałtę – zanim wpadł w ręce pułkownika Guriewa.

Przesłuchiwanie wziętych do niewoli bandytów zaczęło się już następnego dnia po zdobyciu hajdamackiego obozu. Zgodnie z otrzymanymi rozkazami, pułkownik Guriew oddzielił poddanych rosyjskich – głównie Zaporozców – którzy mieli być sądzeni w Rosji, od poddanych polskich, których miał przekazać łowczemu koronnemu Franciszkowi Ksaweremu Branickiemu. Niezależnie od tej selekcji, wszyscy przywódcy rebelii zostali poddani surowej chłości. Poszukiwania w najbliższej okolicy powiększały codziennie liczbę zatrzymanych hajdamaków, teraz chętnie łapanych i dostarczanych Moskałom przez miejscową ludność.

Maksym Żeleźniak, odesłany wraz z innymi 74 poddanymi rosyjskimi pierwszym transportem aresztanckim do Kijowa, został tam skazany na łamanie kołem, zamienione następnie na 150 uderzeń knutem, wyrwanie nozdrzy, napiętnowanie rozżarzonym żelazem na czole i dożywotnie zesłanie na katorgę do Nerczyńska. W drodze na miejsce zsyłki zdołał wprawdzie rozbroić konwojujących go żołnierzy i zbiec wraz z kilkudziesięcioma innymi więźniami z etapowego aresztu nad Worskłą, wkrótce jednak został ponownie schwytany i w końcu przepadł bez wieści w piekle nerczyńskich kopalń. Podobnie traktowały sądy rosyjskie innych poddanych carycy uczestniczących

w koliszczyźnie. Z reguły skazywały ich na karę śmierci, którą, zgodnie z instrukcją Petersburga, zamieniały następnie na dożywotnią katorgę na Syberii.

Iwan Gonta razem z innymi 700 hajdamakami będącymi poddanymi polskimi został odesłany do obozu Franciszka Ksawerego Branickiego pod Serbami.

Branicki, który wolał raczej walczyć z konfederatami i nie miał dotąd do czynienia z hajdamakami, z początku nie bardzo wiedział, co robić z więźniami, zwłaszcza że nie było ich czym żywić. Znajdował się jednak pod nie lada presją. „Wszyscy sąsiedzi, obywatele tutejsi, Żydzi przybiegają do mnie; jeden radzi, aby ich ćwiartować, drugi palić, na pal bić, wieszać bez pardonu *et tolle crucifige*”²⁵, skarżył się królowi, dodając z sarkazmem: „Kiedy dwóch, trzech hajdamaków przyjdzie do wsi, to ze czterech uciekają i wywożą się za granicę; żaden się rozgniewać nie może, ani umie. Teraz zaś, gdy są w areszcie, to w taki impet i cholerę wpadają, że każdy z nich chce być katem”²⁶.

Jako człowiek praktyczny, łowczy koronny zaproponował Stanisławowi Augustowi, by wykorzystać jeńców przy rozbudowie zamku w Ujazdowie lub przy kopaniu kanału Ogińskiego, lecz król, skądinąd wrażliwy esteta i humanista, kazał mu ich po prostu wieszać lub – ku przestrodze innych – obciąć co dziesiątemu rękę i nogę. „To więcej nastraszy i uskromi jak śmierć: są tego dawniejsze przykłady”²⁷, pisał do swojego ulubieńca. Ostatecznie Franciszek Ksawery Branicki wysłał trochę hajdamaków na ciężkie roboty do Warszawy, Lwowa i Kamieńca Podolskiego, resztę zaś, zgodnie z królewskim rozkazem, powiesił.

Dla Iwana Gonty przygotował jednak coś specjalnego. Były setnik milicji nadwornej wojewody kijowskiego został skazany na powolną, rozłożoną w czasie śmierć. Przez dziesięć dni z przywiązanego do pala samozwańczego „księcia” i „wojewody humańskiego” miano drzeć żywcem pasy skóry, jedenastego dnia obciąć mu obie nogi, dwunastego ręce, trzynastego wypruć mu serce, a czternastego odrąbać głowę.

Dwa pierwsze dni męczarni Gonta zniósł nad podziw mężnie i dopiero trzeciego dnia ryknął: „Dlaczego tu nie ma Żeleźniaka i tego ukazu?!”²⁸, a potem zaczął krzyczeć, że wypełniał jedynie wolę króla. Oburzony tym bluźnierstwem Branicki kazał mu napchać do ust ziemi i od razu go zabić, a pozostałą część wyroku wykonać już na trupie. Tak też się stało. Fragmenty poćwiartowanych

zwłok „wojewody humańskiego” rozstawiono dla postrachu na palach w różnych miejscach Ukrainy.

Katarzyna II bardzo szybko, bo już 20 lipca 1768 roku, wyparła się jakichkolwiek związków z rzezią humańską, wydając w tym celu specjalny manifest skierowany do wyznawców prawosławia w Polsce. Deklarowała w nim, co następuje: „Wiadomo nam, że powstawszy za przykładem barzan przeciw prawowitej władzy, grzeszą z nieświadomości, a jeszcze bardziej z powodu oszukańczej działalności szajki rozbójników, która podając się za oddział wiernego Niżowego Wojska Zaporoskiego, jakoby z naszego rozkazu nie tylko sama w różnych miejscach grabi, pustoszy i zabija, ale przyjmuje jeszcze do współudziału nieposłusznych chłopów, pokazując kłamliwe ukazy, dane jakoby w naszym imieniu”²⁹. Po czym stwierdzała dobitnie: „Nikt przez nas nie był posyłany do buntowania naszych współwyznawców przeciw rodakom innych wyznań; rzekome nam wierne wojska zaporoskie, jakoby wysłane z naszego rozkazu, to w rzeczywistości zwykli rozbójnicy, złodzieje oraz naruszyście porządku publicznego [...], ściągają na siebie najcięższe skutki naszej niełaski”³⁰.

Jakby na potwierdzenie tych słów przez następne tygodnie i miesiące Rosjanie likwidowali systematycznie kolejne watahy hajdamackie działające na południowo-wschodnich kresach Rzeczypospolitej . Oprócz setek nowych jeńców dostawało się w ich ręce także mnóstwo zrabowanego wcześniej przez hajdamaków „pożytku”, z którym postępowali dokładnie tak samo jak pod Humanem, dzieląc się nim „*pa czynam*”, czyli odpowiednio do posiadanej rangi wojskowej. Wyżsi oficerowie, z generałem Kreczetnikowem na czele, wysyłali w tym czasie do Rosji całe wozy srebra i złota, powozy i karety, tabuny rasowych koni, meble, obrazy, broń i co tylko jeszcze dało się wywieźć, deklarując to wszystko na granicy jako „mienie wojskowe” bądź nie deklarując w ogóle niczego, lecz załatwiając sobie swobodny przejazd za odpowiednią łapówkę. Na wszelki wypadek generał Kreczetnikow wysłał także sporo prezentów wysoko postawionym urzędnikom w Petersburgu, w tym piękną szubę dla żony hrabiego Nikity Panina.

Noga powinęła się zaradnemu generałowi dopiero wtedy, gdy spróbował zaskarbić sobie w ten sam sposób przychyłność księcia Repnina, ponieważ rosyjski poseł pełnomocny w Warszawie nie tylko nie przyjął „*wziatki*”³¹, ale na dodatek, by poprawić swoją własną reputację w oczach Najjaśniejszej Pani, powiadomił ją o wszystkim w bezpośrednim liście. Oburzona Katarzyna II

natychmiast odwołała generała Kreczetnikowa i wielu jego oficerów z Polski, nakazując zarazem gubernatorowi kijowskiemu Fiodorowi Wojejkowowi przeprowadzenie na granicy ścisłej rewizji ich bagaży.

Podczas tej rewizji w ekwipażach zdymisjonowanego generała znaleziono między innymi mnóstwo srebrnych i złotych naczyń, w tym także liturgicznych, kolekcję zegarów i zegarków, porcelanowe serwisy, stopy biżuterii, tureckie obicia i dywany, wschodnie makaty, sobolowe futra, bele materii litych i jedwabnych, setki słuckich pasów i drogocenną broń.

Jeszcze ciekawsze łupy odebrano porucznikowi Kołogrywowi, a mianowicie młodą polską szlachciankę w wieku około trzynastu lat, którą wydał za mąż za swojego służącego, piękną Żydówkę, którą kazał ochrzcić, oraz przemycanych nie wiadomo po co do Rosji czterech małych chłopczyków i dwie kilkuletnie dziewczynki.

Początkowo zwalczające konfederatów barskich wojska koronne pod dowództwem Franciszka Ksawerego Branickiego pomagały Rosjanom w walce z hajdamakami tylko w ograniczonym zakresie. Sytuacja zmieniła się, kiedy łowczy koronny scedował to zadanie na swojego zastępcę, oboźnego koronnego Józefa Stępkowskiego, który po wyjeździe Branickiego do Warszawy w końcu 1768 roku został mianowany regimentarzem partii ukraińskiej i podolskiej.

Stępkowski, lubiący walkę partyzancką, dwoił się i troił, uganiając się za hajdamakami po całej polskiej Ukrainie przez parę lat. Zwalczał ich w otwartych potyczkach i z zasadzki, po czym rozstrzeliwał ich na miejscu, wieszał bądź wbijał na pal bez zwracania sobie głowy przeprowadzaniem jakiegokolwiek śledztwa czy procesu. Nic dziwnego, że szybko zyskał sobie przydomek „Krwawego” *vel* „Okrutnego” Józefa, lecz na terenach, które spacyfikował, bandytyzm kończył się z reguły raz na zawsze lub przynajmniej na wiele lat.

Stosowane przez regimentarza Stępkowskiego represje były tak bezlitosne, że jak wspominał po latach syn zamordowanego gubernatora Humania Mładanowicza: „[...] mało zostało się gospodarzy na Ukrainie. Kto poczuwał się, umykał na Wołoszczyznę, do Krymu, do Moskwy, do Donu i sami tylko poczciwi zostali się, nie składając więcej ludności, jak we wsiach dziesięciu. Reszta wsi została opuszczona i w pustki zamieniła się. Wydawał Stępkowskiemu syn ojca, ojciec syna, mąż żona”³². Tak samo surowo jak oboźny koronny, wieszający niekiedy po kilkudziesięciu hajdamaków dziennie, postępowały również sądy

polskie w Kodni, Trojanowie, Lwowie i Kamieńcu Podolskim, dokąd wciąż zwożono nowych aresztantów.

Zdarzało się jednak i tak, że regimentarz Stępkowski osaczał z wielkim trudem jakieś mniej lub bardziej niedostępne miejsce, gdzie, jak mu doniesiono, ukrywali się hajdamacy, lecz zamiast ich tam schwytać albo zabić, znajdował w nim jedynie ich zwłoki. Co ciekawsze, zwłoki te były zawsze pozbawione głowy, która, odcięta nożem, leżała obok wysmarowana na czarno ziemią, błotem bądź popiołem, tak jakby za życia nie należała wcale do zwykłego, poczciwego Rusina, tylko do jakiegoś zamorskiego ludożercy. Tam zaś, gdzie oprócz trupów wpadali panu obożnemu w ręce jacyś żywi zbóje, ci podczas przesłuchania powtarzali ciągle tę samą historię: że zanim stracili kontakt ze swoimi zabitymi tak okrutnie kompanami, najpierw słyszeli jakąś dziwną muzykę graną na instrumencie, którego natury nie potrafili jednak w żaden sposób określić.

– Ktokolwiek to robi i na czymkolwiek gra, zna się dobrze na rzeczy i odważa za nas kawał solidnej roboty! – mówił w takich razach z mieszaniną podziwu i zadumy „Okrutny Józef”, po czym, zgodnie ze swoim zwyczajem, po pobieżnym przesłuchaniu jeńców kazał ich wieszać, a ich ciała ćwiartować i wbijać na pal.

¹ Prawdziwy oddział szturmowy! (niem.).

² Głos ludu, głos Boga (łac.).

³ Co to jest? (niem.).

⁴ Rozkaz to rozkaz (niem.).

⁵ Dzień dobry, panowie. Jestem hiszpańskim błędnym rycerzem, nazywam się don Kichote, a koń, którego dosiadam, Rosynant, imię moim zdaniem wzniosłe, dźwięczne i znamienne dla tego, czym był, będąc chabetą, zanim stał się tym, czym jest obecnie, pierwszym spośród wszystkich wierzchowców na świecie. Sami panowie widzą, że to naprawdę lepszy rumak niż sławny Babieka Cyda czy Bucefał Aleksandra Wielkiego. Proszę wybaczyć, że panom przeszkadzam, ale chciałbym zapytać, jak dojechać do Turcji, dokąd się udaję z grupką przyjaciół? (hiszp.).

⁶ Franciszek Rawita-Gawroński, *Historia ruchów hajdamackich*, Lwów 1899, t. II, s. 228.

⁷ Paweł Mładanowicz, *Rzeź humańska czyli historia rewolucji zrobionej przez Żeleźniaka i Gontę, napisana rzetelnie, wiernie, dokładnie przez znajdującego się w tejże okropnej rewolucji naocznego świadka*, w: *Z dziejów hajdamaczyzny*, t. I, s. 123.

⁸ Tamże.

⁹ Tamże.

¹⁰ Tamże.

¹¹ Tamże.

¹² Rawita-Gawroński, *Historia ruchów hajdamackich*, t. II, s. 229.

¹³ Tamże, s. 233.

- ¹⁴ Tamże.
- ¹⁵ Tamże, s. 242.
- ¹⁶ Władysław A. Serczyk, *Hajdamacy*, Kraków 1978, s. 329.
- ¹⁷ Rawita-Gawroński, *Historia ruchów hajdamackich*, t. II, s. 338.
- ¹⁸ Tamże.
- ¹⁹ Tamże, s. 247.
- ²⁰ Tamże.
- ²¹ Serczyk, *Hajdamacy*, s. 346.
- ²² Tamże, s. 347.
- ²³ Tamże, s. 367-368.
- ²⁴ Tamże, s. 354.
- ²⁵ Rawita-Gawroński, *Historia ruchów hajdamackich*, t. II, s. 270.
- ²⁶ Tamże.
- ²⁷ Serczyk, *Hajdamacy*, s. 361.
- ²⁸ *Opis autentyczny Rzezi Humańskiej przez córkę gubernatora Humania z Mładanowiczów zamężną Krebsową*, Poznań 1840, s. 44.
- ²⁹ Serczyk, *Hajdamacy*, s. 354-355.
- ³⁰ Tamże, s. 355.
- ³¹ Łapówka (ros.).
- ³² Mładanowicz, *Rzeź humańska czyli historia rewolucji zrobionej przez Żeleźniaka i Gontę*, s. 151.

Rozdział 14

SMACZNYŚ, SŁABY I W LESIE

Kiedy do Częstochowy dotarła hiobowa wieść o rzezi humańskiej i przez kilka kolejnych miesięcy nie było nic słyhać o losach misji, która pod wodzą czarnego huzara udała się na kresy Polski – Jakub i Ewa Frank musieli w końcu pogodzić się z myślą, że prawdopodobnie już nigdy nie zobaczą jej uczestników.

Mistrz zamówił wtedy u przeora klasztoru na Jasnej Górze ojca Pafnucego Brzezińskiego uroczystą mszę żałobną za dusze członków wyprawy, prosząc go, by w swoim kazaniu koniecznie przytoczył i objaśnił możliwie dogłębnie słowa z Ewangelii św. Jana: „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich”¹. Przeor paulinów zrobił to tak dobrze, że podczas jego przemowy płakał cały kościół, a najgłośniej panna Ewa, której w pewnym momencie trzeba było podawać sole trzeźwiące.

Panna Ewa wybuchała płaczem na samą wzmiankę o rotmistrzu von Zypke, a zwłaszcza o Klausie, jeszcze przez pół roku; potem zdarzało jej się to coraz rzadziej, aż wreszcie, gdy wspomnienie pierwszej miłości zatarło się nieco w jej pamięci, zaczęła traktować ich śmierć z filozoficznym spokojem jako straszną wprawdzie, lecz naturalną część odwiecznego porządku świata.

W końcu miała dopiero piętnaście lat, a gwałtowna śmierć stała się tymczasem czymś powszednim także w okolicach Częstochowy, gdzie również dotarła wojna.

▪

Wojna z konfederatami toczyła się nadal, na południowo-wschodnich kresach Rzeczypospolitej wciąż wyłapywano hajdamaków, w całej Polsce rosła nieznana

wcześniej nienawiść do Rosji, a w Petersburgu aż huczało o romansie księcia Repnina z Izabelą Czartoryską i w końcu wydarzyło się to, czego rosyjski poseł pełnomocny w Warszawie obawiał się najbardziej: w kwietniu 1769 roku został odwołany.

– Dlaczego mi to robicie?! – pytał zrozpaczony hrabiego Panina w dopisku do prywatnego listu, sporządzonym na wszelki wypadek atramentem sympatycznym.

– Bo popełniłeś kilka poważnych błędów, poza tym smacznyś, słaby i w lesie – odpowiedział mu lakonicznie wuj jego żony. – Ale nie przejmuj się, tylko daj z siebie wszystko w każdym miejscu, gdzie raczy cię postawić łaska Jej Imperatorskiej Mości. I módl się, żeby to nie była tajga.

Po odbyciu wszystkich zwyczajowych wizyt pożegnalnych i kilku namiętnych sesji miłosnych z księżną Izabelą Czartoryską, w czerwcu 1769 roku, na parę dni przed wyjazdem z Polski, ksiązę Mikołaj Wasiliewicz spotkał się jeszcze na prywatnej kolacji z nowym ambasadorem Rosji w Warszawie księciem generałem Michaiłem Nikityczem Wołkońskim oraz ze swoim najbliższym druhem i współpracownikiem w miejscowym korpusie dyplomatycznym posłem pruskim Gédéonem Benoît.

Ksiązę generał, przewyższający jeszcze pod względem postury i tuszy byłego ambasadora rosyjskiego w Warszawie Fiodora Wojejkowa, znał wprawdzie Polskę nie najgorzej, ale z szacunku dla swojego poprzednika poprosił go o radę, jak powinien sobie ułożyć stosunki z krajowcami.

– Niech się pan nimi w ogóle nie przejmuj, ekscelencjo – odpowiedział mu ksiązę Repnin. – Osobiście dzielę ich na dwie kategorie: tych, którzy się przeciw nam buntują i tych, którzy nam służą. Pierwszych nienawidzę, drugimi gardzę, bo każdy inny naród na ich miejscu już dawno wypowiedziałby nam wojnę. Proszę ich traktować tak samo jak ja, i jeśli tylko nie popełni pan jakiegoś grubszego błędu, wszystko pójdzie jak po maśle.

– Hm, to faktycznie dość prosta recepta – stwierdził z lekką nutką ironii w głosie ksiązę Wołkoński.

– Tak, ale bardzo skuteczna – wtrącił pan Gédéon Benoît. – A jeśli waszej ekscelencji nie odpowiada, to polecam moją, dokładnie odwrotną: gardzić tymi, którzy się przeciw nam buntują i nienawidzić tych, którzy nam służą. Działa równie dobrze. Tak czy owak, najważniejsze to trzymać Polaków za mordę, jak radzi mój Najjaśniejszy Pan: jeśli oni krzyczą przeciwko wam, wy krzycicie

jeszcze głośniej przeciwko nim, jeśli łapią was za rękę, wy łapcie ich za gardło, jeśli oskarżają was o kradzież kurczaka, wy żądajcie wielkim głosem, żeby oddali wam skradzioną gęś, jeśli zarzucają wam kradzież gęsi, wy domagajcie się od nich zwrotu trzech indyków, a jeśli celują do was z muszkietu, wy celujcie do nich z armaty. Bo z Polakami inaczej nie można, drogi książę generale.

– Święte słowa! – przytaknął książę Repnin. – Tylko pogratulować Prusom tak mądrego władcy.

– Naturalnie, ja również przyłączam się do tych gratulacji, jakże by inaczej – nowy ambasador Rosji skłonił lekko głowę przed panem Benoît. – Mimo to, przynajmniej z początku, chciałbym podejść do Polaków nieco łagodniej. W 1761 roku nasiekłem się ich sporo w Poznaniu, kiedy podnieśli bunt przeciwko naszej rzekomej okupacji, potem, w 1764 roku, posłałem wielu z nich na tamten świat, gdy instalowaliśmy na tronie Stanisława Augusta, a i ostatnio, nie chwając się, dałem się nieźle we znaki barskim *buntowoszczynom*, więc trochę ich znam. I wiecie, co wam powiem, panowie? Mam wrażenie, że sam kij, sam knut, sama pałka, tylko ich utwierdzają w ich głupim oporze. Moim skromnym zdaniem trzeba dać tej hołocie trochę więcej marchewki. Jak królikom, że się tak wyrażę.

– Jak pan uważa, drogi przyjacielu. W końcu to tylko rozprawa o metodzie, a liczy się skutek. I właśnie dlatego bardzo pana proszę, żeby pan nie przesadzał z miękkim sercem. Ja też im nie żałowałem marchewki i sam pan widzi, gdzie dzisiaj jestem! – uzałił się sam nad sobą książę Repnin.

– Ależ ekscelencjo! – zaproponował nowy przedstawiciel Petersburga. – Po prostu powinęła się panu noga, to wszystko. W dyplomacji, jak na wojnie, takie rzeczy zdarzają się dość często, ale to przecież nie pańska wina, tylko ogólnych okoliczności i powszechnie znanej podłości Polaków. *Vis maior*², ot co.

Były ambasador Rosji w Warszawie uśmiechnął się kwaśno, lecz nie drażył dalej tego tematu, zwłaszcza że znowu wtrącił się pan Benoît:

– Oczywiście, książę generale, polityka miłości też ma swoje zalety. Pod tym wszakże warunkiem, że poprzedza śmiertelny cios.

„Co za durnia tutaj przysłali! – pomyślał Prusak, kiedy po tych słowach nowy rosyjski ambasador zaniósł się tubalnym śmiechem. – Cały kraj płonie, a ten chce hodować króliki! Niestety, tak jest zawsze, gdy za dyplomację biorą się wojskowe trepy. Na moje oko, wyleci stąd jeszcze szybciej niż ten padalec Repnin. No i bardzo dobrze, przynajmniej przeżyję kolejnego kacapa! Który to

już będzie? Szósty albo siódmy. Siódmy, bo po Keyserlingu, który był tu trzy razy, więc można go liczyć potrójnie, był jeszcze Bestużew-Riumin, potem Wojejkow, po nim Repnin, więc ten wieloryb jest dokładnie siódmy. A że siódemka to moja szczęśliwa liczba, może jeszcze przeżyję siedmiu następnych”.

Po czym, uśmiechając się do tej słodkiej myśli, wznosił toast:

– Ekscelencje, drodzy przyjaciele! Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Za przyjaźń prusko-rosyjską! *Prosit!*³

Parę dni po tej uroczystej kolacji książę Mikołaj Wasiliewicz Repnin wyjechał do Rosji. Aby odzyskać utracone zaufanie imperatorowej, zgłosił się na ochotnika na front wschodni, gdyż wojna z Turcją rozgorzała tymczasem na dobre. Choć po Warszawie – gdzie nakazywał tłumom szlachty, jak mają głosować, skąd wywoził kibitkami polskich posłów i senatorów, gdzie kreował wedle swego uznania nowych arystokratów i obsadził, jak mu się podobało, stanowisko prymasa Polski, a kiedy przyszła mu taka ochota, stawiał na bacność lub doprowadzał do płaczu samego króla i w ogóle, jak lubił powtarzać, „trzymał wszystkich za łeb tylko groźnym wzrokiem”⁴ – nie w smak mu była służba pod cudzą komendą, to jednak, jako człowiek niezwykle zdolny, ambitny, inteligentny, solidny, pracowity i niebojący się żadnych wyzwań, służył ofiarnie i lojalnie pod rozkazami feldmarszałka Aleksandra Golicyna, dowodząc jednym z korpusów armijnych.

Bronił z powodzeniem przed Turkami granicy na Prucie, odznaczył się przy oblężeniu Chocimia, okrył się sławą bohatera w bitwach pod Riabą Mogiłą i nad Kagulem, przyczynił się walnie do zajęcia Izmaïłowa, rozgromił dziesięcioletnie zgrupowanie nieprzyjaciela pod Bukaresztem, za co otrzymał order św. Jerzego II klasy, aż wreszcie, poróżniony się z generałem Piotrem Rumiancewem, poczuł się zmuszony poprosić o urlop „z powodu złego stanu zdrowia” i udał się do Anglii, żeby trochę odpocząć, odwiedzić starych znajomych i nieco się rozerwać w bardziej cywilizowanych warunkach.

W styczniu 1770 roku, kiedy książę Mikołaj Wasiliewicz dzielnie wojował z Turkami, księżna Izabela Czartoryska powiła w Warszawie syna, któremu nadano imiona Adam Jerzy. Małżonek księżnej Izabeli, generał ziem podolskich Adam Kazimierz Czartoryski, chciał zrazu odesłać noworodka w wysłanym płatkami róż koszyku do rosyjskiej ambasady, potem jednak, jako człowiek mądry, postępowy i nadzwyczaj tolerancyjny, doszedł do wniosku, że taka manifestacja mogłaby zostać źle odebrana przez ambasadora Wołkońskiego,

patrząc zaś na sprawę obiektywnie i bez zbędnych emocji, zarówno on sam, jak i cała familia Czartoryskich, potrzebowali od dawna męskiego potomka, który odziedziczyłby po przodkach ich tytuły i wielki majątek. Że zaś dziecko było w dodatku śliczne i już od pierwszych dni życia sprawiało wrażenie nadzwyczaj bystrego, pomysł z koszykiem szczęśliwie upadł.

Księżę Repnin matkę swojego syna spotkał w Londynie. Przyjechała tam z Holandii, gdzie załatwiała wraz z mężem sprawy spadkowe po zmarłym niedawno ojcu.

Uczucie łączące oboje kochanków w Warszawie wybuchło nad Tamizą z nową siłą. Księżę Mikołaj Wasiliewicz i księżna Izabela bywali razem na rautach, kolacjach, bankietach, balach, wyścigach, koncertach, w teatrze i w operze. On przystojny, elegancki, błyskotliwy, był ambasadorem i generałem, bajecznie bogaty i rozrzutny, w dodatku wielki znawca i kolekcjoner sztuki; ona piękna, inteligentna, jeszcze od niego bogatsza i spowinowacana z królem Polski, witani byli wszędzie z otwartymi ramionami, wzbudzając powszechny zachwyty.

Widziano w nich nowe wcielenie Romea i Julii, a w ich romansie jeszcze jeden dowód na to, że prawdziwa, wielka i czysta miłość potrafi przezwyciężyć wszelkie przeszkody, także te najtrudniejsze, wynikające z różnic politycznych, narodowościowych czy religijnych. W wytwornym londyńskim towarzystwie krążyły opowieści o legendarnej wprost szlachetności księcia Mikołaja Wasiliewicza, który jako ambasador rosyjski w Warszawie nie tylko wielokrotnie bronił rodziny księżnej Izabeli przed represjami zakochanej w nim po uszy Katarzyny II, ale także, w sposób graniczący wręcz z bohaterstwem, pomagał polskim patriotom, w tym również konfederatom barskim, którzy chwycili za oręż w obronie swej ciemnionej przez Rosję ojczyzny. Powszechnie doceniano także rycerski gest, jakim było złożenie przez księcia Repnina dymisji z funkcji ambasadora w proteście przeciwko brutalnej polityce Petersburga wobec Polski. Podziwiano pokorę i godność, z jaką przyjął zemstę zazdrosnej carycy, która nie zważając na jego książęcy tytuł i rangę generała, wysłała go jako prostego żołnierza na pierwszą linię frontu wojny z Turkami. Dziękowano również Opatrzności, że księżę Mikołaj Wasiliewicz wyszedł z tych oparów cało i po tylu strasznych przejściach mógł wreszcie cieszyć się swoją miłością właśnie w Londynie, gdzie, jak nigdzie indziej na świecie, wszystko, co piękne, szlachetne i wzniosłe, wzbudzało zawsze prawdziwy entuzjazm.

Słuchając tych wszystkich historii, książę Repnin dyplomatycznie niczego nie potwierdzał ani niczemu nie zaprzeczał. Nie robiła tego także księżna Izabela, gdyż już dawno doszła do wniosku, że zarówno w przypadku Anglików, jak i Francuzów, wszelkie próby zmieniania ich opinii czy tylko iluzji, nie mają najmniejszego sensu.

Czuła idylla kochanków trwała dalej także wtedy, gdy nad Tamizę przybył książę generał ziem podolskich, w którym, z racji jego niezwykłego taktu i wzorcowej wręcz tolerancji, londyńska socjeta odkryła szybko współczesnego Otella, nieznającego w ogóle uczucia zazdrości i aprobującego z góry każdą zachciankę swojej wybranki.

Polsko-rosyjska sielanka zaczęła się jednak kończyć, kiedy księżnej Izabeli przybył nowy, tym razem francuski adorator, Armand Louis de Gontaut książę de Lauzun, na którego stopniowo przelała swe uczucia.

Początkowo całe towarzystwo bawiło się razem, najpierw w Anglii, później we Francji, gdzie dołączył do niego jeszcze jeden wielbiciel pięknej księżnej, wielki łowczy koronny Franciszek Ksawery Branicki, następnie w Holandii, dokąd przyjechał kolejny zalotnik Izabeli w osobie królewskiego bratanka, księcia Stanisława Poniatowskiego, a w końcu w Brukseli, gdzie spychany coraz bardziej na margines książę Repnin uznał wreszcie, że ma dosyć tych wszystkich miłosnych wielokątów i postanowił wrócić do Rosji.

Rozstanie z księżną Izabelą przysporzyło księciu Mikołajowi Wasiliewiczowi sporo gorczy, im jednak bardziej jego powóz zbliżał się do Rosji, tym mniej zaprzętał sobie głowę byłą kochanką, odczuwając za to coraz większą satysfakcję z tego, że prawdziwy cel jego pobytu w Anglii i Francji został w pełni osiągnięty. Podczas poufnych rozmów, jakie przeprowadził na dworach Jerzego III i Ludwika XV oraz z wieloma najważniejszymi politykami brytyjskimi i francuskimi, dano mu wielokrotnie do zrozumienia – o czym natychmiast meldował do Petersburga – że żaden z tych krajów nie zamierza czynnie pomagać Turcji ani tym bardziej Polsce, gdzie konfederaci ośmielili się tymczasem ogłosić akt detronizacji Stanisława Augusta, a nawet próbowali porwać króla na ulicach Warszawy, by postawić go przed sądem. Co więcej, tak brytyjscy, jak francuscy rozmówcy księcia Repnina zapewnili go otwarcie, że jeśli bakcyła polskiej anarchii mogącego zainfekować całą Europę nie da się zwalczyć inaczej jak przez amputację części chorego organizmu Rzeczypospolitej, ani Londyn, ani Paryż nie będą się sprzeciwiać takiej operacji,

gdyż dobrze rozumieją, że z natury rzeczy nikomu nie zależy bardziej na zdrowiu chorego niż jego najbliższej rodzinie, najwierniejszym przyjaciółom i najlepszym sąsiadom, zawsze gotowym przyjść mu z pomocą.

Stanowisko Londynu i Paryża bardzo spodobało się w Petersburgu i już wkrótce trzy życzliwe sąsiedzkie dwory mogły przekazać Warszawie oficjalną notę, informującą Polaków o postanowionym przez siebie rozbiórce ich kraju. Kiedy książę Repnin dowiedział się o niej po drodze nad Nową, kazał podać sobie do powozu butelkę szampana i zaczął recytować na głos co lepsze fragmenty tajnej konwencji rosyjsko-pruskiej z lutego 1772 roku, przy której układaniu miał zaszczyt być konsultantem i której mniej lub bardziej wierną kopią – oprócz tego, że w charakterze współniczki doszła jeszcze Austria – musiała być nota wręczona właśnie w Warszawie.

Już sam wstęp do tej konwencji, zaczynający się od podniosłej inwokacji: „W imię Przenajświętszej Trójcy Świętej”⁵, był prawdziwym majstersztykiem, ponieważ nadawał odpowiednią, niemal religijną rangę reszcie tekstu, co skutecznie pacyfikowało umysły prostaczków, podbudowywało moralnie wszelkich polskich zdrajców i inne kanalie, bez których pomocy rozbiór byłyby jeśli nie niemożliwy, to przynajmniej o wiele trudniejszy, a wreszcie zastraszało czy tylko onieśmiało potencjalnych krytyków i oponentów przez pokazanie im czarno na białym, że władcy państw zaborczych reprezentują w tym przypadku samą Opatrzność (ilekroć książę Repnin wspominał tę inwokację, to ze względu na powszechnie znany ateizm Fryderyka II i swobodne podejście do chrześcijańskich zasad swojej własnej Najjaśniejszej Pani nie mógł się powstrzymać od śmiechu).

Dalej, we fragmencie, w którym konwencja wymieniała przyczyny rozbioru, było równie budująco i profesjonalnie, gdyż wszystkie one wskazywały niezbicie, że wyłączna wina za to smutne wydarzenie leży po stronie Polaków. Była tam między innymi mowa o „całkowitym zamęcie, w jakim pogrążona jest Rzeczpospolita przez niezgodę pomiędzy możnymi i zepsucie ducha wszystkich jej obywateli”, o tym, że żaden ze środków podjętych przez Rosję i Prusy dla uspokojenia Polski „nie przyniósł skutku, że wprost przeciwnie, jątrzenie ducha partii i facji przybiera tam każdego dnia na sile i że zakorzenia się tam [...] anarchia”, a wreszcie i o tym, „że należy obawiać się, by utrwalenie niepokoju i podziałów nie spowodowało całkowitego rozpadu tego państwa”.

Świetne było również to, że tajna konwencja rosyjsko-pruska z 1772 roku, a tym samym prawdopodobnie także nota wręczona w Warszawie, obarczając całkowitą odpowiedzialnością za rozbiór ich kraju samych Polaków, napomykała przy okazji i jakby tylko mimochodem, że Petersburg i Berlin roszczą sobie do Polski jakieś bliżej niesprecyzowane „tytuły, prawa i pretensje”:

„Ich Moście po dojrzałym namyśle nad bezpośrednimi związkami, jakie zachodzą pomiędzy takim położeniem sąsiedniego kraju a ich własnymi monarchiami i bezpieczeństwem ich granic, uważają za niezbędne współdziałanie pomiędzy sobą dla podjęcia środków zabezpieczenia ich tytułów, praw i pretensji wobec Rzeczypospolitej Polskiej, w celu przyłączenia do swych państw niektórych okręgów tego królestwa, przedstawiając w ten sposób z jednej strony zabezpieczenie ich interesów, z drugiej strony, by wyrzucić tym silniejsze wrażenie na niezgodnych umysłach Polaków, by przyspieszyć termin uspokojenia ich ojczyzny”.

Oczywiście wszystkie te „tytuły, prawa i pretensje” były fikcją, ale tylko Fryderyk II, cyniczny do szpiku kości i mający „pewną słabostkę do bycia oryginalnym”, przyznawał to bez żenady: „Prusy nie posiadały tytułu do zaboru polskiego Pomorza. Nie chciałbym udowadniać tęgości praw do tej ziemi”⁶. Książę Mikołaj Wasiliewicz był jednak legalistą i dlatego miał nadzieję, że w Rosji przekopywano teraz gorączkowo wszelkie możliwe archiwa, żeby coś na Polskę znaleźć albo wymyślić. I to coś naprawdę poważnego i wiarygodnego, a nie taki idiotyzm, jaki przytaczali Austriacy – do niedawna przeciwni podziałowi Rzeczypospolitej, a od czasu wstąpienia na tron Józefa II aż rwący się do jej rozszarpania – którzy ustanawiali właśnie na jej terytorium wojskowy kordon sanitarny pod pretekstem, że muszą się odgrodzić od szalejącej w Polsce dżumy. „Ach, ta germańska przyziemność! – myślał o nich z niechęcią książę Repnin, choć dżuma na Podolu była faktem. – Szkoda że nie powołali się na śpiączkę afrykańską albo na wybuch wulkanu pod Krakowem, byłoby nie mniej śmiesznie, ale za to dużo bardziej oryginalnie!”

Tajna konwencja rosyjsko-pruska, z której książę Repnin był tak dumny, zawierała jeszcze dwa istotne elementy. Pierwszym, pozytywnym, była krzyżowa gwarancja państw zaborczych, że będą sobie nawzajem pomagać w aneksji i utrzymaniu zajętych terytoriów. Drugi, oceniany przez byłego posła rosyjskiego w Warszawie nader krytycznie, stanowił dokładny spis łupów:

„Jej Cesarska Mość imperatorowa Wszech Rosji, w czasie i w sposobie określonym przez artykuł następny wejdzie w posiadanie pozostałej części Inflant polskich, jak również części województwa połockiego, za Dźwiną, podobnie części województwa witebskiego, w ten sposób, że rzeka Dźwina stanie się naturalną granicą pomiędzy dwoma państwami, niedaleko od osobnej granicy pomiędzy województwami witebskim i połockim, i idąc tą granicą do miejsca, gdzie spotykają się granice trzech województw: połockiego, witebskiego i mińskiego, stąd granica pójdzie linią prostą od źródeł rzeki Drujec w stronę miejscowości Ordwa, a stąd zejdzie wzdłuż tej rzeki aż do jej ujścia do Dniepru, w ten sposób, że całe województwo mścisławskie po obu stronach Dniepru, i dwa skraje województwa mińskiego za nową granicą i od Dniepru należeć będą do Cesarstwa Rosyjskiego, a od ujścia Drujca Dniepr będzie nową granicą pomiędzy dwoma państwami, zachowując jednakże granice okręgu Kijowa, które są obecnie po drugiej stronie tej rzeki.

Jego Królewska Mość król Prus w czasie i w sposobie określonym przez artykuł następny wejdzie w posiadanie całego Pomorza

Gdańskiego za wyjątkiem miasta Gdańsk z okręgiem, jak też okręgu w Wielkopolsce po drugiej stronie Noteci, płynąc tą rzeką od granicy z Nową Marchią, aż do Wisły niedaleko Fordonu i Solitz, w ten sposób, że Noteć stanie się granicą krajów Jego Królewskiej Mości króla Prus, i że ta rzeka przypadnie mu w całości. Jego Królewska Mość, nie chcąc podnosić pretensji do wielu innych okręgów Polski, graniczących ze Śląskiem i Prusami, odstępując od swych roszczeń do Gdańska i jego okręgu, weźmie w charakterze ekwiwalentu resztę Prus Królewskich, mianowicie województwo malborskie z Elblągiem, biskupstwem warmińskim i województwo chełmińskie, z tym, że Toruń pozostanie we władaniu Rzeczypospolitej”.

Zdaniem księcia Mikołaja Wasiliewicza spis ten, choć pożyteczny, był zdecydowanie zbyt precyzyjny. Jako doświadczony dyplomata i wojskowy, książę Repnin uważał bowiem, że polsko-rosyjską granicę trzeba będzie wkrótce wytyczać ponownie i to być może niejeden raz. Wystarczy przecież, by zaszła konieczność wcielenia do Rosji tego czy innego miasta albo rzeki, jakiejś obfitującej w minerały góry, jakiegoś ważnego punktu strategicznego lub kawałka wyjątkowo żyznej ziemi, a granicę znów przesunie się na zachód, więc sporządzanie szczegółowego rejestru nabytków było jedynie niepotrzebnym wiązaniem sobie rąk.

Swoją krytyczną opinię w tej mierze książę Repnin wyraził w liście do hrabiego Panina, sugerując zarazem, by przy każdorazowej korekcie polsko-rosyjskiej granicy Rosja zachowywała mimo wszystko daleko idącą wstrzeźliwość, gdyż każdy jej nowy nabytek wywoła z pewnością proporcjonalne roszczenia ze strony Prus. Tymczasem, nawet przy słusznym skądinąd założeniu, iż sojusz z Berlinem, scementowany wspólnym rozbiorem Polski, zapewni Rosji bezpieczeństwo i dominującą pozycję w Europie na sto lub nawet trzysta lat, Petersburg nie powinien tracić z oczu żelaznej zasady, że nigdy nie

może pozwolić żadnemu krajowi – nawet tak zaprzyjaźnionemu jak Prusy – urosnąć zanadto w siłę.

Dalekowzroczone uwagi księcia Mikołaja Wasiliewicza nie zostały ostatecznie przyjęte, jak mu jednak doniesiono, dotarły do uszu Najjaśniejszej Pani i wywarły na niej dobre wrażenie.

Musiało tak być w istocie, bo choć jeszcze po swoim tryumfalnym powrocie z Anglii i Francji trafił znowu na krótko na front, wkrótce potem został jednym z negocjatorów traktatu pokojowego w Kuczuk–Kajnardzi z rzuconą na kolana Turcją. O tym, jak bardzo Katarzyna II była ze swego dyplomaty zadowolona, świadczyła najlepiej uwaga, jaką zamieściła w owym czasie w liście do swego wieloletniego korespondenta, barona Melchiora Grimma: „Wie pan, że oprócz mnie samej mam jeszcze w swym orszaku drugie ja. Jest to książę Repnin, przemiły ambasador i doskonały towarzysz podróży. Biorę go do Moskwy bez ceremonii”⁷.

Niewiele później książę Mikołaj Wasiliewicz Repnin otrzymał nominację na ambasadora w pokonanej Turcji. Okres jego niełaski dobiegł końca i droga do nowych zaszczytów znów stała przed nim otworem.

▪

Zadowolony z przebiegu wypadków był także pan Benoît. Po pierwsze dlatego, że zgodnie ze swoim życzeniem przetrzymał na urzędzie następcę księcia Repnina w Warszawie – księcia generała Michaiła Wołkońskiego. Prawdę rzekłszy, nie było to wcale trudne, bo ambasador Wołkoński, zwany w kręgach dyplomatycznych „Babą”, aż się prosił o odwołanie ze względu na swoją nieskuteczność. Pomimo tego, że często konferował ze Stanisławem Augustem

i starymi księżętami Czartoryskimi, których próbował na nowo pozyskać dla Rosji, żądając od nich wielkim głosem najrozmaitszych rzeczy – a to utworzenia rekonfederacji wymierzonej w konfederację barską, a to większego zaangażowania wojsk polskich w walkę z *buntowszczykami*, a to pójścia razem z Rosją na Turcję – niczego nie wskórał. Wzmocniony przez konfederację król odpowiadał mu niezmiennie, że najpierw warto by się zająć rewizją traktatu gwarancyjnego, wycofać z Rzeczypospolitej wojska rosyjskie i uwolnić więzionych w Kałudze senatorów, przywódcy Familii zaś, że już nie interesują się polityką, po czym dodawali beczelnie, że bez względu na to, co jeszcze może wymyślić Rosja, Polska i tak pozostanie Polską.

W odwecie książę generał Wołkoński zdążył jeszcze nałożyć sekwestr na ich dobra i powołać do życia tak zwaną Radę Patriotyczną, składającą się niemal wyłącznie z zaprzędanych Rosji duszą i ciałem kanalii w rodzaju prymasa Podoskiego, wojewodzica poznańskiego Adama Łodzi Ponińskiego czy hrabiego Władysława Gurowskiego, po czym w Petersburgu postawiono na nim krzyżyk i musiał opuścić Polskę.

Drugim powodem satysfakcji pana Benoît było to, że przetrzymał także kolejnego, ósmego już przedstawiciela Rosji w Warszawie za jego kadencji, barona Kaspara von Salderna, choć było to o wiele trudniejsze niż w przypadku starego pierdoły „Baby”.

Baron von Saldern zaczął działalność w Polsce bardzo udanie. Aby lepiej usposobić do siebie Polaków, wypłacił królowi i Franciszkowi Ksaweremu Branickiemu dużo pieniędzy, zdjął sekwestr z dóbr książąt Czartoryskich, opatrując ten humanitarny gest stosownym komentarzem: „Jak wy mi nie pomożecie, znajdę łotrów, którzy zrobią, co będę chciał i będę dziesięć razy żwawszy od Repnina”⁸, i rozpędził na cztery wiatry Radę Patriotyczną powołaną przez księcia generała Wołkońskiego, co miało ten dobry skutek, że snujący intrygi przeciw wszystkim prymas Podoski tak bardzo przeląkł się utraty moskiewskiej łaski, iż z jedną tylko metresą uciekł w pośpiechu do Gdańska, a stamtąd do Francji, gdzie wkrótce dokonał żywota, objadłszy się bez umiaru nieświeżymi ostrygami.

Ale także baron Saldern miał problemy z namówieniem Polaków do rekonfederacji i wojny z Turcją, toteż nie minęło wiele czasu i zaczął zachowywać się jeszcze gorzej od swojego poprzednika. Grzmiał, huczał, kłął, tupał, walił pięścią w stół, stosował rewizje, areszty i perlustracje poczty, aż

w końcu zaczął jawnie grozić królowi, że jeśli Rzeczpospolita nie podporządkuje się we wszystkim Rosji, to skończy się to dla niej rozbiorem. Jednocześnie słał do Petersburga skrajnie rozbieżne oceny szans przeprowadzenia podziału Polski. Raz twierdził optymistycznie, że wszystko pójdzie gładko dzięki łapówkom, bo „właściwością Polaka jest to, że ceni on swój interes osobisty wyżej niż każdy inny”⁹, innym razem popadał w czarnowidztwo i krakał złowieszczo: „Powszechnie zjednoczenie całego narodu ujawni się w tejże chwili, gdy Polacy spostrzegą sami albo dowiedzą się od kogoś, jakie są nasze zamiary. Żadna moc ludzka nie powstrzyma tego zjednoczenia. Tylko ktoś, kto nie zna umysłów polskich w ogólności ani szczególnie ich nienawiści ku nam, może spodziewać się, że powściągnie ich wściekłość i chęć odwetu. W tak gwałtownym przesileniu garstka przyjaciół nie da rady i całego złota peruwiańskiego nie starczy, by ujarzmić donkiszoterię jednych, fanatyzm i furię drugich”¹⁰.

Najgorsze jednak było to, że baron Saldern jeszcze bardziej niż Polski nienawidził Prus. Kiedy z jakiegoś powodu wpadał w szal, zupełnie się z tym nie krył i oskarżał je publicznie przed Polakami, że to właśnie one, a nie Rosja, dążą ze wszystkich sił do zguby ich ojczyzny. Jego nienawiść do Berlina była tak silna, że pewnego razu na wykwintnym przyjęciu wydarł się na cały głos na temat Fryderyka II: „Zwariował łajdak, już ja go uciszę, jak ten czajnik!”¹¹, po czym, ku przerażeniu gości, roztrzaskał o stół porcelanowe naczynie do parzenia herbaty.

Nie ułatwiało to rzecz jasna prusko-rosyjskiej współpracy, która szczególnie trudna stała się po nieudanym porwaniu Stanisława Augusta przez konfederatów w listopadzie 1771 roku (uważanym początkowo przez barona Salderna za nędną komedię zaplanowaną przez samego króla), kiedy to bardzo przejęty tym wydarzeniem pan Benoît wpadł bez zapowiedzi do rosyjskiej ambasady, krzycząc już od progu: „No i coście zrobili królowi Polski?!”¹² Baron Saldern popatrzył wówczas na niego jak na jakiegoś insekta, zapytał go, czy nie potrzebuje czasem okładu z lodu na głowę, a kiedy oburzony szef pruskiego poselstwa w Warszawie zaprotestował przeciw tak niedyplomatycznym słowom, kazał go wyrzucić za drzwi.

Na szczęście po kilku podobnych ekscesach baron von Saldern wyleciał z Warszawy w try miga, podobnie jak wcześniej księżę Wołkoński, i nie pomogło mu nawet to, że był ulubionym dyplomatą hrabiego Panina. Pan Benoît miał z tego powodu wielką satysfakcję, a w przeddzień wyjazdu barona do Rosji

zrobił sobie jeszcze tę dodatkową przyjemność, że wysyłał mu anonimowo w prezencie pięknie opakowanego zdechłego szczura.

Trzecim powodem zadowolenia pana Benoît był fakt, że wbrew jego obawom, kolejny przedstawiciel Rosji w Warszawie baron Otto Magnus von Stackelberg, zarekomendowany carycy na to stanowisko przez samego Fryderyka II, okazał się człowiekiem poważnym, z którym dało się dojść do ładu.

Ten był poseł rosyjski w Madrycie, profesjonalista w każdym calu, od razu wziął Polaków za mordę i już w miesiąc po objęciu placówki, w asyście pana Benoît i przedstawiciela Austrii barona Revitzkiego, wręczył przerażonemu kanclerzowi Młodziejowskiemu jednobrzmiącą deklarację trzech sąsiedzkich dworów o postanowionym przez nie rozbiórze Polski i powołując się na „niewzruszoną zgodę trzech monarchów, których potęga wystarczyłaby na podbicie całej kuli ziemskiej”¹³, zażądał od króla, sejmu i senatu jak najszybszej ratyfikacji owego dokumentu pod groźbą starcia Rzeczypospolitej z powierzchnią ziemi.

Gdzie trzeba straszny jak jego poprzednik (którego sam nazywał „strasznym”), baron von Stackelberg posiadał także drugie, bardziej ludzkie oblicze, które lubił okazywać (zdaniem pana Benoît, aż nazbyt chętnie), jeśli tylko uznał, że wymagają tego okoliczności. I tak, dla przykładu, tuż przed zwołaniem sejmu mającego zatwierdzić rozbiór, chcąc zapewnić Rosji choćby minimalną przychylność Polaków, roztrąbił *urbi et orbi*, że dołoży wszelkich starań, by doprowadzić do uwolnienia polskich senatorów wywiezionych pięć lat wcześniej do Kaługi przez księcia Repnina.

Kiedy przestraszony tym pomysłem pan Gédéon Benoît zapytał go, czy aby na pewno wie, czym ryzykuje, obiecując uwolnienie najgroźniejszych polskich wicherzycieli, nowy ambasador Rosji poklepał go łaskawie po plecach i odparł:

– Proszę się o to nie martwić, drogi przyjacielu. Zobaczy pan, że ten manewr przyniesie nam więcej pożytku niż szkody.

I miał rację. Uwolnieni po pięciu latach niewoli polscy parlamentarzyści, witani w drodze powrotnej do Warszawy płaczem i błogosławieństwami nieprzebranych tłumów, biciem w dzwony, owacjami, pieśniami i łukami tryumfalnymi, nie mieli najmniejszej ochoty znaleźć się ponownie tam, skąd właśnie wracali. Hetman Rzewuski i jego syn wyjechali natychmiast na wieś, biskup Załuski zaszył się w swojej ukochanej bibliotece i prawie nie wychylał z niej nosa. Biskup Sołtyk, który, owszem, z grzeczności udzielał się towarzysko,

przychodząc na bale i rauty, jeśli go na nie zapraszano, ani nie wzywał Polaków do oporu, ani, tym bardziej, nie ośmielał się wyrzec choćby jednego słowa przeciwko Rosji. Co najwyżej stawał nagle podczas hucznej zabawy niczym słup soli i bez zwracania uwagi na otaczające go rozbawione i mające już zdrowo w czubie towarzystwo, wznosił ręce do nieba i zaczynał się żarliwie modlić.

– A nie mówiłem, ekscelencjo? – skomentował to posłowi pruskiemu baron von Stackelberg. – Polakom naprawdę niewiele trzeba. Wystarczy jeden drobny gest, jakaś namiastka pojednania, jedno przyjazne słowo rzucone od niechcienia jak kundlowi kość, parę kurtuazyjnych pochlebstw, a czasem tylko uśmiech lub czysta koszula i dobrze odprasowany żakiet, a już są gotowi o wszystkim zapomnieć i wszystko każdemu wybaczyć, nawet ostatniej łajzie. Taka to już durna i mazgajska nacja.

Pan Benoît, który spędził w Polsce ponad ćwierć wieku, słuchał słów tego, jeśli chodzi o znajomość stosunków nad Wisłą, absolutnego nowicjusza z prawdziwym podziwem i zabiegał odtąd jeszcze bardziej, by się z nim zaprzyjaźnić, zwłaszcza że prywatnie baron von Stackelberg był bardzo miłym i towarzyskim człowiekiem.

Ponieważ ambasador Rosji bardzo lubił wspominać swoje madryckie lata, pan Benoît ciągnął go nieraz za język, aby dowiedzieć się czegoś więcej o Hiszpanii. Z uprzejmą miną puszczał oczywiście mimo uszu różne koszałki-opałki o polityce Karola III, o Inkwizycji, o korridzie, o wielkanocnych procesjach, o najciekawszych artystach działających za Pirenejami (fenomenalny kastrat Farinelli obdarzony trójoktawową skalą głosu oraz dwaj malarze Mengs i Tiepolo), a nawet o urodzie i temperamencie madryckich dam, które w dniu świętego Izydora, patrona hiszpańskiej stolicy, przebierały się za *majas*, dziewczyny z ludu, i zadawały szyku nad Manzanaresem w mantylkach upiętych wysoko na grzebieniach i w spódnicach ozdobionych kaskadą falban, natomiast cały zamieniał się w słuch, kiedy baron Stackelberg odpowiadał na jego wtrącane jakby mimochodem pytania o ceny gruntu i nieruchomości w Hiszpanii, o kryteria, jakimi należało się kierować przy ich wyborze, oraz o związane z ich zakupem formalności urzędowe i ewentualne opłaty skarbowe.

Baron Otto Magnus von Stackelberg, którego pan Benoît szczerze polubił i z którym chętnie współpracował, był dziewiątym oficjalnym przedstawicielem Rosji, z jakim miał do czynienia podczas swego pobytu w Warszawie. Liczba ta okazała się jeszcze szczęśliwsza od siódemki, ponieważ to właśnie we

współpracy z baronem Stackelbergiem pruski dyplomata odniósł swój największy zawodowy sukces.

Po wielu miesiącach zmitręzonych przez Polaków na jałowych dyskusjach, na niepotrzebnych, bo marnujących czas własny i cudzy protestach, na naiwnym powoływaniu się na podpisane wcześniej i rzekomo wciąż obowiązujące traktaty i prawo międzynarodowe, na zadawaniu głupich pytań o podstawy moralne podjętej przez Rosję, Prusy i Austrię decyzji, na rozpaczliwych prośbach o pomoc kierowanych do innych dworów europejskich, na które jedyną odpowiedzią było głuche milczenie, na niemęskim skomleniu o litość, a wreszcie na komicznych demonstracjach polegających na podejmowaniu przez niektórych posłów głodówki bądź zatarasowywaniu własnym ciałem drzwi do sali, gdzie miano podpisać najważniejsze dokumenty – traktat rozbiorowy został w końcu ratyfikowany przez sejmujące stany Rzeczypospolitej.

Wszystkim posłom, którzy przyczynili się do tego sukcesu, baron Otto Magnus von Stackelberg okazał swoją nadzwyczajną hojność, najbardziej zaś zasłużonych dla Rosji kazał królowi dodatkowo nagrodzić najwyższymi polskimi godnościami, co Stanisław August, korzystający z okazji, aby za swój podpis na akcie rozbiorowym wyciągnąć od Rosji, Prus i Austrii jak najwięcej pieniędzy na spłatę własnych długów, z którymi zgłaszali się często niezbyt wiarygodni i ewidentnie pozostający w nim w zмовie wierzyciele, skwapliwie i akuratnie wykonał. Sam ambasador Rosji został przez króla udekorowany orderem Orła Białego, tak samo zresztą jak wszyscy poprzedni przedstawiciele Katarzyny II w Warszawie, z jednym wyjątkiem hrabiego Keyserlinga, jego byłego nauczyciela matematyki.

W dniu zatwierdzenia traktatu rozbiorowego ambasadorzy Prus i Rosji padli sobie w objęcia.

– Co za cudowna, wiekopomna chwila! – wykrztusił z siebie wzruszony do łez pan Benoît. – Jeszcze trochę, a będziemy mieli długą wspólną granicę! Czyż może być na tym świecie coś piękniejszego?

– Owszem – mruknął, rozluźniając nieco jego uścisk baron Stackelberg. – Nie graniczyć z nikim. Ale póki to niewykonalne, długa granica rosyjsko-pruska to faktycznie najlepsze wyjście.

„Ożeż ty! – zaklął w duchu pruski dyplomata. – Obyście się nie zdziwili, jak wam ją kiedyś przesuniemy na Ural!”

Głośno jednak nie powiedział nic, bo, jakkolwiek by patrzeć, rozbiór Polski, tego „karczocho, gotowego do skonsumowania liść po liściu”¹⁴, jak ją kiedyś trafnie określił Fryderyk II, był dla Prus niebywałym tryumfem. Dość powiedzieć, że jeśli siedmioletnia mordercza wojna nie przyniosła im właściwie nic poza śmiercią dziesiątków tysięcy żołnierzy i całkowitą ruiną gospodarczą, to okrojenie wespół z Rosją i Austrią Rzeczypospolitej dało im aż sześćset tysięcy nowych poddanych, w tym wielu przyszłych rekrutów i podatników.

Jako współautor tego bezprzykładnego sukcesu pan Benoît miał pełne prawo oczekiwać, że Berlin doceni jego wysiłki. Oczami duszy widział się już, jeśli nie na stanowisku pruskiego wiceministra spraw zagranicznych, to przynajmniej ambasadora w Paryżu lub Londynie. Tymczasem, oprócz zdawkowego listu gratulacyjnego, nie dostał od swojego Najjaśniejszego Pana żadnego awansu ani nawet okolicznościowej premii.

Niewdzięczność i skąpstwo Fryderyka II rozwścieczyły go do tego stopnia, że przez parę dni obrzucał Cezara Północy najgorszymi francuskimi i niemieckimi przekleństwami, jakie tylko był sobie w stanie przypomnieć. Potem machnął na niego ręką i pocieszał się z sarkazmem, że i tak miał wielkie szczęście, że w nagrodę za jego wierną służbę nie odwołano go z Warszawy i nie postawiono przed plutonem egzekucyjnym.

Odwołanie z placówki przyszło trzy lata później i dopiero wtedy pan Benoît dostał prawdziwej białej gorączki. Okazało się bowiem, że w podzięce za jego ponad trzydziestoletnią niestrudzoną pracę, Fryderyk II, któremu znacznie powiększył państwo i przysporzył sześćset tysięcy nowych poddanych, przysłał mu wraz z dymisją tylko trzy tysiące pruskich talarów jednorazowej emerytury, co wystarczało, i to z wielkim trudem, na przeżycie najwyżej dwóch, trzech lat.

„Co za menda! Co za bezczelny złodziej! Co za złamany kutas! – darł się wstrząśnięty, aż drżały mury ambasady. – Gdyby nie ja, Polska pozbyłaby się *liberum veto*, miałyby rząd w stylu angielskim i uniknęłyby rozbioru!¹⁵ A tu – trzy tysiące talarów, trzy tysiące talarów, mniej niż setka za każdy rok! Żebyś tu był, pieprzony morderco, tobym ci je wszystkie do dupy włożył, jeden po drugim, jak do skarbonki! Albo kazałbym je roztopić i wlał ci je do gardła, żebyś nie miał zbyt dużej przyjemności! Obyś zdechł jak najszybciej, krwawy skurwysynu!”

Wrzeszczał tak jeszcze pół godziny, aż wreszcie się zreflektował, bo przecież ktoś mógł go usłyszeć i szrajbnąć do Berlina stosowny raport.

Przez najbliższe trzy tygodnie uwijał się jak w ukropie. Kazał się spakować, złożył przewidziane protokołem wizyty (szczególnie serdecznie pożegnał się z baronem Stackelbergiem, choć na odchodnym, gdy nikt go nie widział, wypróżnił pęcherz na czerwony dywan prowadzący do jego rezydencji), odprawił wszystkie płatne i niepłatne kochanki, a w końcu, nie czekając na przybycie swojego następcy, polecił zaprząć konie i ruszył z kopyta na zachód.

W tym kierunku jechał jednak dość krótko, gdyż upewniwszy się, że nikt go nie śledzi, przy pierwszej sposobności kazał skrócić na południe i gnać co koń wyskoczy w stronę Austrii. Mniej więcej do Olkusza wciąż jeszcze pomstował na swojego Najjaśniejszego Pana. Potem stopniowo się uspokoił i rozluźnił, aż wreszcie, niedaleko Krakowa, po raz pierwszy od trzech tygodni wybuchnął naprawdę szczerym i beztroskim śmiechem.

– Za cienki jesteś na mnie, żabi chuju! – pokazał środkowy palec przesuwającemu się za oknem pejzażowi. – Precz z tyranią! Niech żyje wolność i równość!

To powiedziawszy, rozparł się wygodnie na kanapie, założył ręce za głowę i pogwizdując swój ulubiony motyw z pierwszej części koncertu na klawesyn w tonacji d–moll Jana czy też Józefa Sebastiana Bacha (za cholerę nie mógł zapamiętać), zaczął rozmyślać o tym, że w życiu warto mieć zawsze głowę na karku i niczym przy grze w szachy umieć przewidywać kilka ruchów przeciwnika naprzód.

W końcu tylko dlatego, że to potrafił, on, stuprocentowy Francuz i były Prusak z wyboru, mógł mieć teraz absolutnie w dupie, cokolwiek poczdamski potwór mógł jeszcze wymyślić, dzięki zaś odłożonym na czarną godzinę grubym tysiącom pruskich dukatów i rosyjskich rubli, jego jedynym zmartwieniem było szczęśliwie tylko to, gdzie lepiej osiąść na stare lata: w tak zachwalanej przez tego gnojka Stackelberga Hiszpanii czy w równie pięknych i słonecznych Włoszech?

▪

Kilka miesięcy po sejmie rozbiorowym zmarł książę Michał Fryderyk Czartoryski, wypowiedawszy się przedtem z grzechów całego żywota, wśród których wymienił ponoć także branie rosyjskiego jurgieltu. Złośliwa warszawska

ulica skomentowała to od razu zabawnym kupletem, który nawet ambasador Stackelberg uznał prywatnie za całkiem udany:

*Żył źle, umarł dobrze, dał nam przykład z siebie,
Jak można świata użyć, a przecie być w niebie*¹⁶.

Brat księcia kanclerza, księżę wojewoda ruski, cieszący się na szczęście dużo lepszym zdrowiem, wycofał się niemal całkowicie z życia publicznego i jeśli nie liczyć dość księżycowego pomysłu politycznego, jaki ogłosił już po rozbiorze, a mianowicie, by oddać koronę polską austriackiemu arcyksięciu Maksymilianowi Habsburgowi („Szkoda, że nie cesarzowi Chin albo Japonii!” – śmiał się z tego projektu baron von Stackelberg), w zasadzie nie mieszał się już do niczego.

Dobrym zdrowiem cieszył się także śmiertelny wróg i rywal Familii księżę Karol Stanisław Radziwiłł. Choć po zajęciu Słucka i Nieświeża przez Rosjan w początkowym okresie konfederacji barskiej złożył akt lojalności wobec Katarzyny II, po cichu dalej wspierał finansowo działających na Litwie powstańców, zwłaszcza oddział Józefa Bierzyńskiego, pod którego komendę oddał także swoją chorągiew milicji nadwornej. Po przegranej przez Bierzyńskiego bitwie pod Białymstokiem, z obawy, że jego zaangażowanie wyjdzie na jaw, w lipcu 1769 roku był wojewoda wileński znów umknął z Polski i zgłosił oficjalny akces do konfederacji barskiej, dołączając w Austrii do jej politycznego kierownictwa, które wkrótce ukonstytuowało się w tak zwaną Generalność.

Nie odegrał w nim jednak większej roli, choć na emigracji oddał się polityce duszą i ciałem. Na jesieni 1769 roku Generalność, za jego zgodą, mianowała go pełnomocnym ambasadorem konfederacji w Stambule. Było to stanowisko bardzo ważne, zważywszy, że Turcja, która rok wcześniej wypowiedziała Rosji wojnę, domagając się wyjścia obcych wojsk z Polski i detronizacji Stanisława Augusta, była jedynym krajem otwarcie popierającym konfederatów (Francja, na mniejszą skalę, robiła to po cichu), a w dodatku początkowa faza wojny turecko-rosyjskiej układała się dla Porty pomyślnie. Mimo to były wojewoda wileński szybko zrezygnował z ambasadorskich zaszczytów. Chodziło o to, że to właśnie początkowe sukcesy Turków rozbudziły w konfederatach powszechną nadzieję, iż król i Familia skorzystają ze świetnej okazji wyrwania się spod kurateli Moskwy i przyłączą się do powstania. Księżę „Panie Kochanku” wolał zatem zostać w Austrii, by nie dopuścić do podobnej hańby.

W tym czasie rozsyłał na prawo i lewo listy, w których wyrażał jasno, co myśli o takiej ewentualności. Do Ignacego Bohusza, sekretarza Generalności, pisał na przykład: „Za rzecz pewną twierdzą, że król i familia Czartoryskich wysyła Dębińskiego, kasztelana wojnickiego, aby ich imieniem uczynił akces do konfederacji generalnej. Uchowaj Boże, aby się to stać miało, wszystkie by potencje, z którymi Rzplita wdaje się w negocjacje, obrażone zostały, a widoczna by zguba ojczyzny i nas wszystkich nastąpiła”¹⁷. Do własnej zaś rodziny, w związku ze swoją rezygnacją z misji w Stambule: „przymusić mnie do tego nikt nie może, bo znam moją wolność. Wyjechałem tylko do Pragi, a tak wielką mi pokazali dyffidencję. W jaki bym tedy puścił hazard interesa moje domowe, jadąc w tak odległy kraj, ile gdy teraz biskup kamieniecki usiłuje staraniem swoim wpuścić do Generalnej Konfederacji Czartoryskich i na ten podobno koniec chcą mnie oddalić, żeby łatwiej tego dowiedzieli. Wszyscy są temu przeciwni, wyjąwszy kilku, i łączą się ze mną, więc ich wspierać obecnością moją muszę. Generalność też dobrze zna, iż beze mnie prowincja litewska nie obejdzie się, ani poruszona zostanie”¹⁸.

Wziąwszy sobie głęboko do serca słowa konfederackiej przysięgi: „Na zdrajców kara i śmierć”, w nielicznych wolnych od politykowania chwilach oddawał się również z zapalem układaniu listy zdrajców Polski, składającej się niemal wyłącznie ze zwolenników Familii i przeznaczonej w zamyśle dla Turków.

Ku jego wielkiemu zadowoleniu, król i Familia nie przyłączyli się do konfederacji, lecz książę Radziwiłł do Stambułu już nie pojechał ani nie objął żadnego innego ważnego stanowiska. Póki jednak trwała walka zbrojna, wspierał ją nadal swoimi pieniędzmi, szukał dla niej poparcia na różnych europejskich dworach, a poza tym, tak samo jak inni członkowie Generalności, spalał się w codziennych intrygach, rozgrywkach i kłótniach trawiących to gremium od wewnątrz.

Kiedy wreszcie, po pięciu latach zmagania, konfederaci ulegli obcej przemocy i nastąpił rozbiór Polski, były wojewoda wileński postanowił wytrwać na emigracji i kontynuować opór. Namawiającemu go do powrotu do kraju biskupowi Sołtykowi pisał: „[...] mam honor upewnić J.O.W.X. Mość o nietarganej przyjaźni i nieodstępności sentymentów moich ojczyźnie zawsze wiernych, najmniejszą zmasą nieskalanych, które do ostatniego momentu życia trwałe i niewzruszone zostaną i że przyjemniejszy mi będzie stan najnędniejszy

życia w zagranicznym tułaniu się, niżelibym miał kiedy uczynionej z siebie Bogu i ojczyźnie ofiary odstąpić”¹⁹. W innym liście do tego samego purpurata oznajmiał: „Ja interesów ojczyzny razem z tchem życia nie odstąpię”²⁰.

Swego zdania nie zmienił nawet wtedy, gdy sejm rozbiorowy wystosował ultimatum do wszystkich przebywających za granicą barzan, by pod groźbą konfiskaty dóbr i majątków w nieprzekraczalnym terminie do 4 września 1773 roku wrócili do kraju, pojednali się z królem i podpisali reces od konfederacji. „Cnota ocalona, sława domu nieskalana i spokojność wewnętrzna słodzić będą momenta choćby najnędnieszego życia mego, niżbym miał ściągnąć rękę do podpisania tak szkaradnego recesu i wyciągnionym zostać do tak bezbożnych i najobrzydliwszych przyszłej potomności robót warszawskich ojczyznę zabijających”²¹ – zadeklarował w odpowiedzi, nie szczędząc przy okazji słów potępienia tym spośród przywódców konfederacji barskiej, którzy, jak hetman Michał Kazimierz Ogiński czy kuchmistrz litewski Michał Wielhorski, ulegli szantażowi króla i Rosji i powrócili do Polski. I dalej podkreślał mocno na każdym kroku, że nie może się zgodzić na to, by „cnota została uznana za występki, a zasługa za przewinienie”²².

Jeszcze gorzej niż zachwianych w swej niezłomności konfederatów były przywódca republikantów oceniał posłów zatwierdzających podział Polski na sejmie rozbiorowym, wśród których znalazł się niestety także jego krewniak, miecznik litewski Michał Radziwiłł. Pisał o nim do Ignacego Bohusza z desperacją: „W rejestrze posłów na sejm doczytasz się W. M. P. z brzeskiego, że i mój imiennik wszedł do tak bezbożnej roboty, jaka na zgubę ojczyzny gotuje się. Żadne nieszczęście nie zrani mi tak serca, jak ta zmaza domu mojego, którą książę Michał uczynił. Trzeba mieć koniecznie krew odrodną na skażenie sławy przodków”²³.

Po rozbiorze książę Radziwiłł bynajmniej się nie załamał, lecz postanowił wziąć sprawy Polski we własne ręce. Najpierw zaproponował sułtanowi utworzenie legionu polskiego, który za pieniądze Turcji walczyłby u jej boku z Rosją. W zamian oczekiwał od Stambułu przywrócenia Rzeczypospolitej suwerenności i jej dawnych granic, sobie zaś samemu majątków skonfiskowanych przez Familię i Moskali. Niestety Turcja, przegrywająca właśnie wojnę z Rosją, nie miała pieniędzy ani ochoty, by skorzystać z jego oferty.

Wtedy wpadł na inny genialny pomysł, jak ocalić ginącą ojczyznę i odzyskać własne dobra, a przy okazji także zrzucić z tronu Katarzynę II.

Miała mu w tym pomóc tajemnicza dwudziestoparoletnia piękność, która pojawiła się niedawno w Paryżu, wzbudzając powszechny zachwyt na tamtejszych salonach. Nazywała się Aly Emettée i była księżniczką Wołodmiru na Kaukazie, choć używała także tytułu księżniczki Oberstein, hrabiny Pinnenberg bądź księżnej Tarakanow. Twierdziła, że jest córką carycy Elżbiety I i feldmarszałka Aleksego Razumowskiego, czyli w prostej linii wnuczką Piotra Wielkiego, uwięzioną w dzieciństwie i wywiezioną na Sybir, skąd, porwana przez pewnego popa, trafiła do Persji, gdzie wychowano ją po królewsku na dworze samego szacha. Co więcej, jako naturalna córka imperatorowej Elżbiety mogła być dodatkowo cioteczną siostrą Jemieljana Pugaczowa, dońskiego kozaka, który podniósł właśnie krwawy bunt przeciwko Katarzynie II, utrzymując ze swej strony, że jest jej legalnym mężem carem Piotrem III, ocalonym cudownie spod noży nasłanych przez nią siepaczy.

Budząca ogólne współczucie swym barwnym życiorysem księżna Tarakanow olśniewała urodą i wdziękiem, odznaczała się nienagannymi arystokratycznymi manierami, zniewalała nawet największych erudytów swoją inteligencją i znajomością języków obcych, i w sumie nie brakowało jej absolutnie niczego oprócz pieniędzy („A komuż ich nie brakuje, panie kochanku?!” – oburzał się książę Radziwiłł, kiedy czyniono jej z tego tytułu zarzut w jego obecności).

Rzecz w tym, że oprócz niezmiernych bogactw w Rosji należnych jej z racji urodzenia, które jednak trzeba było dopiero odzyskać, księżniczka Oberstein także w Persji musiała porzucić swoje pałace, złoto i wszystkie kosztowności, gdy przyszło jej uciekać z tego kraju z dnia na dzień na wieść o tym, że petersburska uzurpatorka planuje zamach na jej życie. Znalazłszy się z nie swojej winy w trudnym położeniu, przyjmowała zatem z ogromną wdzięcznością wszelkie datki i pożyczki oferowane jej przez wytworne paryskie towarzystwo. A kiedy okazało się, że powstałych w ten sposób długów nie ma z czego spłacić, ze wstydu po prostu uciekła do Niemiec.

Tam z miejsca znalazła sobie nowych wielbicieli, z których najzagorzalszy – książę Filip Ferdynand von Limburg-Stirum, władca lilipuciego państewka w południowych Niemczech – zakochał się w niej do szaleństwa. Książę Filip Ferdynand nie tylko spłacił wszystkie jej długi i obsypywał ją codziennie

kosztownymi prezentami (sam zadłużając się przy okazji po uszy), ale także namawiał ją usilnie do małżeństwa, co spowodowało, że odwróciła się od niego cała jego rodzina. Ale mieszkająca w jednym z jego zamków Aly Emettée, która zmieniła tymczasem imię na Eleonora, choć nie odbierała mu całkiem nadziei i lubiła od czasu do czasu snuć przed nim wizje czekającego ich w przyszłości wspólnego szczęścia, wciąż nie mogła się na ten krok zdecydować.

„I bardzo dobrze, panie kochanku! – cieszył się z tego książę Radziwiłł, śledzący z uwagą jej losy, odkąd usłyszał o niej po raz pierwszy. – Toż byłby to straszliwy mezalians!” W końcu, przemyślawszy rzecz gruntownie, były wojewoda wileński udał się do Niemiec, gdzie zaprosił księżnę Tarakanow na sekretne spotkanie:

„Patrząc na przedsięwzięcie Waszej Wysokości jak na cud Opatrzności, która czuwa nad moją nieszczęsną ojczyzną, zsyłając jej z pomocą tak wielką heroinę. Pałam żądzą złożenia pani mej czci, są jednak drobne okoliczności opóźniające to szczęście. Poleciałbym natychmiast do Waszej Wysokości, lecz ubierając się po polsku, obawiam się, że zwrócę na siebie wiele ciekawych oczu. Wizyta pani u mnie mogłaby pociągnąć ten sam skutek – albowiem jest tu wiele osób. Na spotkanie należy zatem wybrać miejsce na uboczu, aby się ukryć przed spojrzeciami natrętnych widzów. Pustką stoi dom, który wynająłem przed miesiącem. Jeżeli Wasza Wysokość uzna za stosowne, raczy niezwłocznie przybyć. Będę tam czekał. Oddawca listu, człowiek wypróbowanej wierności, będzie pani służył za przewodnika”²⁴.

Podczas tego konspiracyjnego *tête-à-tête* były przywódca polskich republikantów oświadczył księżniczce Wołdomiru, że jeśli myśli naprawdę poważnie o odzyskaniu carskiego tronu, to on, książę Karol Stanisław Radziwiłł, X ordynat nieświeski, VIII ordynat ołycki, VII pan na Białej oraz właściciel Birż, Dubinek i Kiejdan, chętnie jej w tym pomoże, namawiając Turcję, w której cieszył się ogromną estymą, do nowej wojny z Rosją, a także wzywając ponownie do broni swoich serdecznych przyjaciół konfederatów barskich.

Wszystko to oczywiście pod warunkiem, że w zamian hrabina Pinnenberg zachęci swego dzielnego kuzyna Jemieljana Pugaczowa do jeszcze ostrzejszych ataków na wojska Katarzyny II i pociągnie za sobą tę część armii i szlachty rosyjskiej, która pomimo prześladowań zachowała wierność prawdziwej i nieskalanej linii Romanowów.

Obok warunków odnoszących się do Rosji, książę Radziwiłł wysunął jeszcze kilka innych, ściśle związanych z Polską. Zażądał mianowicie od księżnej Tarakanow, by po szczęśliwym odzyskaniu carskiego tronu unieważniła natychmiast rozbiór Rzeczypospolitej, zerwała złodziejski sojusz z Prusami, zrzuciła z tronu i pozbawiła korony Stanisława Augusta Poniatowskiego oraz rozliczyła jak najsurowiej wszystkich zdrajców Polski, z rodziną Czartoryskich na czele.

Księżniczka Oberstein przyjęła te warunki, choć zaznaczyła rozsądnie, że dla przeprowadzenia tak wielkiego dzieła trzeba przede wszystkim trzech rzeczy: pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Zapewniła też byłego wojewodę wileńskiego, że po zaprowadzeniu porządku w Rosji poszuka dla Polski lepszego monarchy niż Stanisław August, kogoś w rodzaju jej wiernego przyjaciela księcia Radziwiłła, a może nawet poprosi jego samego, by przyjął to ciężkie brzemię, jakim jest cierniowa korona władców tego kraju.

W wyniku zawartej umowy przyszła Imperatorowa Rosji Eleonora I i prawdopodobny następny król Polski Karol I udali się wspólnie do Wenecji, a stamtąd do położonej tuż przy granicy tureckiej Raguzy, skąd można było wygodnie pertraktować ze Stambułem.

Choć księżna Tarakanow podobała się byłemu wojewodzie wileńskiemu niemal tak samo jak księciu Filipowi Ferdynandowi von Limburg-Stirum, prawdopodobny następny król Polski przyjął zasadę, że jego osobiste uczucia powinny zostać złożone na ołtarzu ojczyzny, a jego relacje z urodziwą wnuczką Piotra Wielkiego nie mogą wykraczać poza sferę polityki i oczywiste w tym przypadku względy protokolarne.

W Raguzie, gdzie wynajął dla niej piękny pałacyk, książę Radziwiłł otoczył księżniczkę Wołodmiru iście monarszym przepychem. Jako człowiek czuły na punkcie etykiety i wychowany w regułach staropolskiej gościnności, nigdy nie pozwalał sobie na zwracanie się do niej inaczej jak z użyciem tytułu „Wasza Cesarska Wysokość”, nigdy też nie ośmielił się wziąć od niej czy podać jej czegokolwiek bez ukłonu do samej ziemi. Przed wejściem do pałacyku ustawił wartę honorową, która prezentowała broń za każdym razem, gdy prawowita następczyni rosyjskiego tronu zapragnęła odbyć spacer po malowniczych zakątkach Raguzy lub zaczerpnąć świeżego powietrza nad Adriatykiem. Kiedy zasiadał z carówną do stołu – z reguły w trzy osoby, bo najczęściej towarzyszył im także jego osobisty sekretarz starosta rzeczycki i były konfederat barski

Michał Domański, również zakochany po uszy w dostojnej Rosjance – księżę „Panie Kochanku” bardzo przestrzegał zasady, by księżna Eleonora jadła na złocie, on sam na srebrze, jego zaś podwładny na zwykłej porcelanie. Poza tym spełniał z ochotą wszelkie jej kaprysy, bez względu na to, jak były szalone i ile mogły go kosztować.

Kiedy jednak były wojewoda wileński dowiedział się, że podczas gdy on czapkował hrabinie Pinnenberg do samej ziemi i spełniał każdą jej zachciankę, jego sekretarz bawił u niej co noc w sypialni, wpadł we wściekłość i zapowiedział swojemu totumfackiemu, że nie tylko wyleje go ze służby na zbity pysk, ale przedtem każe go jeszcze porządnie wychłostać. Musiał się jednak z tych gróźb wycofać, kiedy Jej Cesarska Wysokość oświadczyła mu stanowczo, że nikt na świecie nie ma prawa podważać jej woli ani odmawiać jej tego, co jest powszechnie znanym udziałem bezczelnej niemieckiej uzurpatorki okupującej bezprawnie rosyjski tron.

Księżna Tarakanow i były wojewoda wileński wysłali z Raguzy do sułtana dwa obszerne memoriały, które pozostały bez odpowiedzi. Najwyraźniej Turcy, pobici przez Moskwę, nie mieli już sił ani środków, żeby się nimi zainteresować, zwłaszcza że powstanie Pugaczowa właśnie upadało. Za to kiedy przyszła caryca i prawdopodobny następny król Polski, przybici takim rozwojem wypadków, przenieśli się z powrotem do Wenecji, tam okazało się, że oboma memoriałami zainteresowali się – i to bardzo – Rosjanie.

W mieście św. Marka do księżnej Eleonory zgłosił się sam hrabia Aleksiej Orłow, dowódca floty rosyjskiej operującej od paru lat na Morzu Śródziemnym, opromieniony nieśmiertelną sławą zwycięzcy bitwy pod Czesmą, gdzie marynarka turecka poniosła swoją największą klęskę od czasów Lepanto. Złożywszy księżniczce Oberstein wyrazy czci należne jedynie prawowitym członkom rodu Romanowów, hrabia Orłow zapewnił ją, że cała znajdująca się pod jego rozkazami flota gotowa jest walczyć po jej stronie przeciw Katarzynie II. Podobnie, jego zdaniem, miała zachować się większość rosyjskich sił lądowych, z których dowódcami pozostawał w ścisłym kontakcie. Na koniec swojej wizyty dowódca floty rosyjskiej operującej na Morzu Śródziemnym zaproponował, by Jej Imperatorska Mość księżna Tarakanow popłynęła wraz z nim do Petersburga, gdzie po zdobyciu miasta od strony morza i uwięzieniu niemieckiej uzurpatorki, mogłaby od razu objąć rządę.

Z początku hrabina Pinnenberg wahała się, zwłaszcza że zarówno książę Radziwiłł, jak i zakochany w niej bez pamięci pan Domański odradzali jej tę wyprawę. W końcu jednak, po kilku kolejnych wizytach czarującego hrabiego Orłowa, zdecydowała się i w towarzystwie zacnego starosty rzeczyckiego, który nie chciał jej opuścić, udała się do Livorno, gdzie cumowała rosyjska flota.

Gdy wchodziła na pokład okrętu flagowego, witały ją honorowe salwy armatnie, a wyprężeni jak struna i prezentujący broń marynarze krzyczeli na całe gardło: „Niech żyje Jej Cesarska Mość!” Zaraz potem została aresztowana i po paru tygodniach męczącej podróży trafiła wraz z panem Domańskim do twierdzy pietropawłowskiej.

Mimo licznych przesłuchań śledczym nie udało się ustalić jej prawdziwej tożsamości. Aby ją ocalić, starosta rzeczycki wybłagał u Katarzyny II zgodę na ich ślub, ale niedoszła Eleonora I odrzuciła ten mezalians. Pod koniec 1775 roku zmarła w więzieniu na gruźlicę, utrzymując do końca, że jest wnuczką Piotra I i córką carycy Elżbiety, więc na wszelki wypadek pochowano ją po kryjomu i anonimowo w zbiorowej więziennej mogile.

Kiedy zawiodły rachuby związane z księżną Tarakanow, książę Karol Stanisław Radziwiłł musiał pogodzić się z rzeczywistością. Już od dawna on, największy bogacz w przedrozbiorowej Polsce, cierpiał na brak gotówki. Za kordonem rosyjskim jego majątki zostały skonfiskowane. Dochód przynosiły mu jeszcze tylko dobra położone w zaborze austriackim, ale pieniądze stamtąd płynęły nieregularnie i w europejskich bankach było mu coraz trudniej o kredyt. Choć więc wcześniej zarzekał się wielokrotnie, że nigdy tego nie zrobi, postanowił w końcu powrócić do kraju.

Żeby to uczynić, musiał jednak pogodzić się także z królem i podpisać reces od konfederacji barskiej w nowym, przedłużonym ostatecznie do 1 listopada 1777 roku terminie (konfederaci i emigranci polityczni, którzy by się od tego uchylili, mieli być po tej dacie oficjalnie uznani za wrogów ojczyzny).

Na dwa tygodnie przed upływem wspomnianego terminu były przywódca republikantów napisał krótki list do Stanisława Augusta:

„Wślawiona mądrość Waszej Królewskiej Mości, Pana Mego Miłościwego im istotniej roztrząsa własności praw i obywatelstw, tym wspanialej przychylić raczy rozważenie szczerego wyznania mego, ile gdy, oddając głębokie uszanowanie tronowi W. Kr. Mości Pana Mego Miłościwego, a posłuszeństwo konstytucji sejmu ostatniego podług przepisanej w niej formalności, uczyniony

reces posyłam”²⁵. Załączona do listu formuła wymaganego prawem aktu lojalności brzmiała: „Ja, niżej podpisany, wyznaję tym moim recesem, iż lubo byłem i znajdowałem się w spisku barskim, jednak będąc wiernym Najjaśniejszemu Stanisławowi Augustowi, królowi polskiemu i posłusznym wszystkim ustawom sejmowym, od tego spisku odstępuję, wszystkim onego opisom i czynnościom posłuszeństwo wypowiadam i że mnie już więcej krępować i obowiązywać nie będą *sub fide, honore et consciencia* ²⁶ przyrzekam”²⁷.

Król w swej łaskawości przychylił się do jego prośby i wkrótce potem książe Radziwiłł powrócił na łono ojczyzny jako jeden z ostatnich skruszonych konfederatów.

Po powrocie do Polski zajął się przede wszystkim odzyskiwaniem swoich skonfiskowanych dóbr, co dzięki poparciu licznych posłów litewskich i koronnych w dużej mierze mu się udało, jak też poprawą kondycji gospodarczej własnych majątków.

Przez pamięć o kłopotach finansowych, jakie przeżywał pod koniec swego pobytu na obczyźnie, zwykł brać w tym czasie do kieszeni tylko dwadzieścia dukatów dziennie, ubolewając przy tym demonstracyjnie: „Uważcie proszę, jak to ja teraz na małym przestać muszę. Więcej miałem na dzień pensji, kiedym jeszcze był chłopcem!”²⁸

Nie było jednak aż tak źle. W krótkim czasie postawił na nogi swoje majątki, uporządkował fabryki litych pasów w Słucku i Nieświeżu, założył huty szkła w Urzeczcu i Nalibokach, uruchomił produkcję sukna, dywanów, gobelinów i fajansu – i rychło znów miał dość pieniędzy, by zająć się również remontowaniem i upiększaniem swoich pałaców, zakładaniem nowych ogrodów i przebudową teatru dworskiego w Nieświeżu. W 1780 roku założył w tej rezydencji pierwszą w Polsce szkołę morską, w której przed laty zamierzał zatrudnić pana Korytkowskiego.

Jednocześnie bardziej niż kiedykolwiek pielęgnował polski obyczaj i tradycję. Chodził w żupanach, kontuszach, kierzjach lub w mundurze województwa wileńskiego i zawsze przy karabeli. Po dawnemu uwielbiał bale, rauty, kuligi, polowania, uczyty i pijatyki. Jako człowiek w gruncie rzeczy dobroduszny, pogodził się w miarę szczerze z królem (sławny stał się bankiet na trzydzieści tysięcy osób, jaki wydał na jego cześć w 1784 roku, kiedy Stanisław August przejeżdżał przez Nieśwież), utrzymywał też całkiem poprawne stosunki

z najważniejszym teraz przedstawicielem Familii księciem Adamem Kazimierzem Czartoryskim, generałem ziem podolskich.

Od polityki stronił, choć po powrocie do kraju przywrócono mu honorowy tytuł wojewody wileńskiego. Zaangażował się w nią głębiej tylko dwa razy. Po raz pierwszy z początkiem Sejmu Wielkiego (w którym nie mógł uczestniczyć z powodu niezakończonych jeszcze procesów i ciężących na nim wyroków, głównie w sprawach majątkowych), kiedy to, podobnie jak wielu przyszłych twórców Konstytucji 3 maja, uwierzył w dobre chęci nowego króla Prus, Fryderyka Wilhelma II, który, ni stąd, ni zowąd, zrzekł się swoich uprawnień gwaranta wewnętrznych urzędów Rzeczypospolitej i zaproponował Polsce sojusz wojskowy, mogący ocalić ją przed apetytem Rosji. Książę „Panie Kochanku” wybrał się wtedy osobiście do Berlina, aby podziękować władcy Prus za tę wspaniałomyślną ofertę i próbować namówić go do przyjęcia po śmierci Stanisława Augusta dziedzicznej korony Polski i odbudowy Rzeczypospolitej w jej przedrozbiorowych granicach. Po raz drugi i ostatni zajął się sprawami publicznymi, kiedy Sejm Wielki przyjął jednomyślnie projekt powiększenia armii polskiej do 100 tysięcy żołnierzy. Książę wojewoda postanowił wówczas wystawić na własny koszt dwutysięczny pułk piechoty, który chciał podarować ojczyźnie.

Zmarł w 1790 roku w trakcie formowania i uzbrajania owego pułku, szczęśliwie nie dożywszy drugiego rozbioru Polski.

▪

Z początkiem powstania książę Marcin Lubomirski spotkał się z Jakubem Bronickim, marszałkiem konfederackim ziemi sanockiej. Potem zwykł często powtarzać: „Bronicki rozpałił w duszy mojej zarzewie, które ją oświeciło. Otworzył oczy i od tej godziny przysiągłem mojej nieszczęsnej Ojczyźnie dozgonną wierność”²⁹. 3 lipca 1768 roku przystąpił do konfederacji barskiej i złożył przysięgę „bronić zagrożonej wiary i Ojczyzny”, oddając na ten cel cały arsenał kolbuszowski, w tym trzydzieści pałacowych armat, i nakazując wstąpić w szeregi powstańcze całej swojej nadwornej milicji i zbędnej służbie. W podzięce za ten piękny gest Jakub Bronicki powierzył mu dowództwo nad „armią Pogórza”.

Po początkowych sukcesach, na wiosnę 1769 roku książę Marcin został wybrany konfederackim marszałkiem ziemi krakowskiej. Do jego obowiązków należało dbanie o ład i porządek na podległych mu terenach oraz należyte zaopatrzenie pozostających pod jego komendą oddziałów w broń, amunicję, mundury i żywność. Był polski i pruski generał dbał o swoich żołnierzy tak energicznie, że już wkrótce w wielu miejscach województwa krakowskiego i sandomierskiego podniosły się skargi na brutalność i wysokość rekwizycji, jakie ściągał na rzecz wojska z tamtejszych mieszkańców. Mimo to kiedy w lipcu 1768 roku, po kilku zwycięskich potyczkach z Moskalami, wkraczał tryumfalnie do Krakowa, witano go tam jak zbawcę i w atmosferze ogólnego entuzjazmu przyznano mu jednogłośnie tytuł feldmarszałka i generalnego regimentarza skonfederowanych województw krakowskiego, sandomierskiego i ruskiego.

Był to szczytowy moment w jego konfederackiej karierze. Po spędzeniu tygodnia w Krakowie, głównie przy kartach i kielichu, świeżo mianowany feldmarszałek i regimentarz generalny opuścił dawną stolicę Polski i na czele kilkuset kawalerzystów ruszył w stronę gór, gdzie operowały wojska rosyjskie. Trzy dni później podczas biwaku pod Makowem Podhalańskim został zaskoczony przez niewielki oddział Moskali i doszczętnie rozбит. Sam z paroma tylko ludźmi zdołał uciec z okrażenia i schronić się na Węgrzech.

Kiedy dochodził do siebie za granicą, w Polsce podniosły się głosy obwiniające go o nieudolność, tchórzostwo, a nawet o to, że wziął od generała Apraksina dwanaście tysięcy dukatów za pozbawienie Krakowa obrony. Książę Marcin był tym bardzo przybity, choć jeszcze bardziej martwiło go to, że wiedza, jaką wyniósł z École des cadets gentilhommes w Lunéville, okazała się mało przydatna w warunkach wojny partyzanckiej. Mimo to nie zamierzał ustępować. Już we wrześniu 1768 roku jego ludzie zabrali się znowu za ściąganie kontrybucji na Pogórze, zaś na wiosnę roku następnego robili to tak skutecznie – rekwirując braciom szlachcie, mieszczanom i Żydom nie tylko konie, broń, żywność i furaz, ale nawet, jak w przypadku Michała Radziwiłła, ordynata kleckiego, „dwa tuziny szlafmyc, dwie sztuki płótna szwabskiego, rękawiczek łośich par 12, chusteczek półjedwabnych tuzin, inszych ordynarnych trzy tuziny, szarawarów nowych troje, mundur nowy”³⁰ – że noszony jeszcze niedawno na rękach feldmarszałek i generalny regimentarz skonfederowanych województw krakowskiego, sandomierskiego i ruskiego zaczął szybko tracić resztki popularności.

Biskup Adam Krasiński nazwał go wtedy „Marcinem Lutrem apostatą”³¹, lokalni marszałkowie konfederaccy zebrani w Muszynie uznali go za szkodnika i zwrócili się do austriackiego kanclerza Kaunitza z oficjalną prośbą, by gdy Lubomirski pojawi się na Węgrzech, kazał go aresztować „jako zbrodniarza”³², a wreszcie wyjęli go spod prawa i zorganizowali na niego obławę, nakazując go „chwytać i na życiu ścigać”³³.

Spychany coraz bardziej do defensywy książę Marcin operował głównie na pograniczu węgierskim, napadając coraz częściej na zwykłych kupców i Bogu ducha winnych podróżnych. Wkrótce także Austriacy ostrzegli go, że jeśli nie przestanie ściągać kontrybucji i łupić w Polsce, to zostanie wydalony z Węgier.

Były polski i pruski generał nie widział jednak w swoich działaniach niczego, co by wykraczało poza przyjęte zasady prowadzenia wojen i planował akcje militarne na dużo większą skalę. W lipcu 1769 roku, na czele tysiąca żołnierzy, wśród których było wielu dezertersów z armii austriackiej, wyruszył na Lwów – z zamiarem zdobycia tego miasta i rozszerzenia działań konfederackich na Wołyń.

Jednak oblężenie Lwowa, bronionego przez liczną załogę, nie powiodło się. Co gorsza, pod Lwowem książę Marcin został zaatakowany przez Moskali i musiał zarządzić odwrót w kierunku Rzeszowa. Tuż pod Rzeszowem rozbił oddział rosyjskiej kawalerii i wkroczył zwycięsko do miasta, w którym znów stracił sporo czasu na różne przyjemności.

Tymczasem pod Rzeszów podeszli Rosjanie i księciu Lubomirskiemu nie pozostało nic innego, jak odskoczyć dalej na zachód. Nie uszedł jednak daleko, gdy Moskale dopadli go pod Rzemieniem i w krwawej bitwie roznieśli w puch jego „dywizję”. Sam książę Marcin niemal cudem ponownie zdołał ująć z pola bitwy z garstką ocalałych kawalerzystów.

Uchodząc przed nieprzyjacielem, zamierzał ukryć się pod Częstochową, w majątku swego stryja Franciszka, gdzie przed laty aresztowano go za dezercję i rozbój na gościńcach.

Niestety, gdy już właściwie osiągnął swój cel, jego niewielki oddział został rozbity ponownie, tym razem przez konfederatów. Książę Marcin po raz kolejny zdołał się wymknąć z matni i przedarł się do Prus, ponieważ na Węgrzech Austriacy uznali go już oficjalnie za *persona non grata*.

Osiedlił się w Krawarzach na Śląsku Opawskim, skąd z uwagą śledził wypadki w Polsce. Było to możliwe, ponieważ Fryderyk II udawał akurat w tym

czasie przychylność dla konfederacji barskiej.

W Krawarzach, gdzie zjechała wkrótce jego żona z córką, książę Marcin prowadził ożywioną działalność polityczną. Rozsyłał w świat rozmaite manifesty i odezwy, w których głosił między innymi, że „głupota przywódców odbiera konfederatom zdolność do mierzenia się z przeciwnikiem”³⁴, nawiązał kontakty z dworami w Berlinie, Wiedniu i Paryżu, współpracował z poczytnymi europejskimi gazetami „Gazette de Cologne”, „Courier d’Augsbourg”, „Allmänna-Tidningar”, kłócił się z konfederacką Generalnością, żądając od niej oczyszczenia go z wszelkich zarzutów i pełnej rehabilitacji, przede wszystkim jednak, za zgodą Berlina, formował na swój koszt „legion polski” z docierających na Śląsk barzan z rozbitych przez Rosjan oddziałów, by znowu wziąć udział w walkach.

Latem 1771 roku sąd konfederacki w Białej przywrócił mu dobre imię, a wkrótce potem Generalność, w odnowionym składzie, zaoferowała mu miejsce w Radzie Najwyższej, choć nie powierzyła mu dowództwa nad wojskiem. Niestety konfederacja już dogorywała. Książę Marcin Lubomirski zdążył jeszcze dotrzeć na Jasną Górę, gdzie gromadziły się resztki powstańców z całej Polski, lecz w maju 1772 roku załamany wrócił do Krawarzy.

Nie widział przed sobą żadnej przyszłości. W Polsce trwały represje, konfederatów pozbawiano tytułów, posesji i godności, wsadzano do więzień i wywożono na Syberię. Sekwestrem obłożono także jego własne majątki położone na zajętych przez Rosję i Austrię terenach, choć przynajmniej w przypadku dóbr kolbuszowskich, które w intercyzie ślubnej zapisał swojej żonie Annie, jej ojciec, feldmarszałek Andreas von Hadick, dowodzący armią austriacką okupującą Małopolskę, zadbał o to, by nikt ich nie splądrował. Książę Marcin bał się ponadto, że wkrótce może zostać wydalony także z Prus.

Były polski i pruski generał oraz feldmarszałek barski miotał się, nie wiedząc, co robić. Przez teścia szukał protekcji w Wiedniu i u barona Revitzkiego, posła austriackiego w Warszawie. Znajomi i rodzina w Polsce radzili mu również nawiązać kontakt z najpotężniejszym wówczas człowiekiem w Polsce i zarazem najbliższym współpracownikiem ambasadora Stackelberga, kuchmistrem koronnym Adamem Łodzią Ponińskim, żonatym z Zofią Józefą Lubomirską.

Kuchmistrz koronny Adam Poniński okazał się człowiekiem bardzo miłym. Nie robił księciu Marcinowi żadnych wyrzutów, nie podkreślał dzielących ich

różnic politycznych, nie pastwił się nad jego głupotą i zaślepieniem, nie prawił mu żadnych morałów i nie stawiał mu żadnych warunków. Wprost przeciwnie, zachęcał go serdecznie do przekreślenia przeszłości, powrotu do kraju, włączenia się w odbudowę Polski po nieszczęsnej barskiej awanturze i do wspólnej wytężonej pracy dla dobra ojczyzny oraz jej świetlanej przyszłości. W kwestii zajętych dóbr był dobrej myśli, twierdząc, że nie ma w Polsce takiej rzeczy, której nie dałoby się tak czy inaczej załatwić.

Mimo to ksiązę Marcin długo się wahał i wybrał się do Warszawy dopiero na początku 1773 roku.

Na miejscu okazało się, że nie było się czego obawiać. Nikt go nie aresztował i nie szykanował, nikt go nawet nie śledził. Warszawa bawiła się szaleńczo, bal następował po balu, maskarada po maskaradzie, uczta po uczcie, spektakl po spektaklu, kulig po kuligu. Adam Poniński otwierał przed nim wszelkie podwoje i wprowadzał go do najświetniejszych kręgów towarzyskich, ksiązę Marcin poczuł się więc szybko w stolicy jak ryba w wodzie. Znow miał w zasięgu ręki wszystko, co kochał najbardziej: rozrywki, kobiety i hazard. Wprawdzie ten ostatni sprawiał mu czasami trochę kłopotów, ponieważ lubił grać wysoko (któreś nocy przegrał w karty rodzinny zamek w Janowcu z całym jego wyposażeniem), lecz na szczęście były to kłopoty krótkotrwałe, gdyż jeśli popadał w długi, zaprzyjaźniony kuchmistrz koronny, do którego również przegrał mnóstwo pieniędzy, pożyczał mu bez zmrżenia oka każdą potrzebną sumę. Oczywiście na wysoki procent (na niski nie pożyczał nikt), do oddania po odzyskaniu zajętych przez zaborców majątków.

A ponieważ o ich odzyskaniu nie było na razie mowy, ksiązę Lubomirski uległ sugestii Adama Ponińskiego, że powinien dać dowód lojalności wobec króla i mocarstw ościennych i zostać posłem na sejm rozbiorowy. Rzecz w tym, że choć do zatwierdzenia rozbioru wystarczyło teoretycznie czterdziestu kilku posłów, trudno było znaleźć nawet tylu chętnych, ponieważ szlachta bojkotowała sejmiki i nie chciała kandydować, i to pomimo tego, że ambasador Stackelberg obiecał wszystkim posłom, którzy wykażą się patriotyczną postawą, wysokie godności i cenne nagrody.

Poświęcenie księcia Marcina, którego przy poparciu kuchmistrza koronnego wybrano posłem z województwa sandomierskiego, zostało docenione, gdzie trzeba. Z jeszcze większym uznaniem spotkała się jego postawa z początku obrad parlamentu, kiedy to poseł nowogródzki Tadeusz Reytan, sprzeciwiający się

zawiązaniu konfederacji pod przewodnictwem Adama Ponińskiego, umożliwiającej sejmowi ratyfikację rozbioru Polski, położył się w drzwiach do izby poselskiej i naruszając powagę sejmu, cały czas wrzeszczał jak opętany: „Chyba po moim trupie!”, aż ksiązę Marcin wziął go w końcu pod pachy i odciągnął na bok jak worek pszenicy.

Zgodnie z obietnicą ambasadora Rosji na wszystkich patriotycznie usposobionych posłów, którzy zatwierdzili rozbiór, spadła ulewa złota i zaszczytów. Sam Adam Poniński został księciem i podskarbisem wielkim koronnym, otrzymał także sto tysięcy złotych dożywotniej rocznej pensji za trudy marszałkowania na tym sejmie. Inni dostali do podziału czterdzieści sześć tysięcy dukatów dostarczonych przez ambasady Rosji, Prus i Austrii.

Jeśli chodzi o księcia Marcina, to już jesienią 1773 roku zdjęto sekwestr z jego dóbr na Podolu i Wołyniu. Potem wybrano go w charakterze komisarza dla Korony do składu Komisji Edukacji Narodowej, co tylko z tytułu sekularyzacji dóbr jezuickich przyniosło mu pięćset tysięcy złotych czystego dochodu. Niewiele później został członkiem komisji do spraw szpitalnictwa w Koronie i w Wielkim Księstwie Litewskim oraz komisji do spraw wytyczenia nowej granicy polsko-austriackiej. Wreszcie powołano go także w skład Departamentu Interesów Cudzoziemskich Rady Nieustającej, namiastki nowego rządu okrojonej Rzeczypospolitej, mającej w zamierzeniu Rosji jeszcze bardziej ograniczyć prerogatywy króla. I jakby ciągle tych zaszczytów było mało, w 1775 roku otrzymał jeszcze nominację na generała lejtnanta wojsk koronnych i dowódcę regimentu grenadierów pieszych, kasującą raz na zawsze wyrok Kryxrehtu z września 1759 roku.

Dzięki temu wszystkiemu ksiązę Marcin Lubomirski stał się znowu nie tylko człowiekiem bardzo zamożnym, ale – co znacznie ważniejsze – także utytułowanym, szanowanym i bez skazy na reputacji. Jego nową, choć należną mu przecież od zawsze pozycję umacniał dodatkowo fakt, że zarówno jego siostra Magdalena, jak i żona Anna powiększyły grono ulubionych kochanek Stanisława Augusta.

Nic dziwnego, że świeżo upieczony dygnitarz i generał lejtnant miał głębokie poczucie, iż nareszcie znalazł się po właściwej stronie. Może nie była to dokładnie ta sama strona, po której chciał się znaleźć w 1768 roku, kiedy przystępował do konfederacji barskiej, ale jej właściwość, potwierdzona empirycznie, nie ulegała przecież kwestii.

■

Wojna zadomowiła się pod Częstochową na dobre we wrześniu 1770 roku, wraz z zajęciem twierdzy jasnogórskiej przez Kazimierza Pułaskiego, który uczynił z niej swoją kwaterę główną i punkt wypadowy przeciwko Moskałom operującym w Wielkopolsce, na Mazowszu i w Małopolsce. W odwecie, z końcem owego roku pod murami Jasnej Góry stanęło trzy tysiące Rosjan dowodzonych przez pułkownika Iwana Drewicza (a właściwie Johanna von Drewitza, dezertera z armii pruskiej podczas wojny siedmioletniej), znanego z bezwzględności oraz torturowania bądź sprzedawania Prusakom za proch i amunicję wziętych do niewoli konfederatów.

Drewicz, dysponujący szesnastoma armatami i pożyczonymi od Prusaków moździerzami, był tak pewny tego, że zdobędzie Jasną Górę – ten „kurnik” czy też „błazeńską fortecę”, jak ją nazywał – nieomal z marszu, że sprowadził już z Berlina złotników i jubilerów mających wycenić skarby, jakie spodziewał się znaleźć w klasztorze.

By nie męczyć niepotrzebnie swoich ludzi, wezwał Pułaskiego do niezwłocznego poddania się, obiecując mu w zamian łaskę carycy i rosyjskie generalstwo, na co otrzymał odpowiedź, że jeżeli sam przystąpi do konfederacji, Generalność da mu godność marszałkowską, dużo wyższą od generalskiej.

Ze strony Pułaskiego nie była to czcza fanfaronada, bo w ciągu poprzednich miesięcy przygotował się dobrze do obrony: zgromadził spore zapasy żywności, prochu i amunicji, zbudował fortyfikacje polowe, zabezpieczył przed ogniem wszystkie dachy, wyłożył wały taflami lodu mającymi utrudniać atak piechoty i co najważniejsze, miał pod swoją komendą tysiąc trzystu bitnych i zaprawionych w boju żołnierzy.

Toteż trwające dwa tygodnie zacięte walki, podczas których konfederacki marszałek ziemi łomżyńskiej poprowadził trzy wycieczki za wały, odparł nocny szturm generalny i nieustannie raził Rosjan ogniem artyleryjskim, granatami, kulami muszkietowymi, a nawet kłocami drewna i wielkimi kamieniami, skończyły się kompletną klęską Drewicza, który jak niepyszny musiał odstąpić od oblężenia i wycofał się na południe pod zaatakowany tymczasem przez barzan Kraków.

O zwycięstwie Pułaskiego nad Drewiczem pisała szeroko ówczesna prasa angielska, francuska i holenderska, on sam dostał piękny list gratulacyjny od Jana

Jakuba Rousseau, całą zaś Rzeczpospolitą obiegła powstała *ad hoc* piosenka „Powstań Pułaski, przetrzymaj swe powieki”, wskazująca bez ogródek na przyczynę zwycięstwa konfederackiego komendanta nad rosyjsko-pruskim pułkownikiem:

*Bo on ma panią, imię jej Maryja,
Twa pani Kaśka, kurwa, kanalija,
Bodaj przepadła z Poniatowskim panem,
Pułaski żyj zdrów, na wiek wieków! Amen.*

Przez następne półtora roku, kiedy konfederacja barska ulegała stopniowo coraz większej przewadze wroga, siły rosyjskie podchodziły pod Częstochowę jeszcze kilkakrotnie, lecz nie zaryzykowały już nigdy szturmów ani oblężenia.

Zrobiły to dopiero latem 1772 roku, kiedy Jasna Góra pozostała ostatnim liczącym się punktem oporu upadającej konfederacji. Tym razem Moskalom towarzyszyło nie tylko wojsko koronne pod dowództwem Franciszka Ksawerego Branickiego, ale także korpusy posiłkowe dwóch pozostałych mocarstw rozbiorowych, Austrii i Prus, gotowe w każdej chwili wkroczyć do akcji.

Obroną Częstochowy nie kierował już Kazimierz Pułaski, który – oskarżony oficjalnie o próbę porwania króla, a nawet o „królobójstwo” i zagrożony z tego powodu karą śmierci (choć trudno było udowodnić, że miał coś wspólnego z porywaczami, a Stanisław August żył i cieszył się dobrym zdrowiem) – w końcu maja przekazał komendę swoim towarzyszom Filipowi Radziwiłłowi i Jakubowi Zielińskiemu, po czym opuścił potajemnie klasztor i w przebraniu udał się na emigrację.

Broniącym się na Jasnej Górze dwóm tysiącom konfederackich niedobitków, przeważnie głodnych, obdartych i zdesperowanych, nie chodziło już o zwycięstwo, tylko o uzyskanie w miarę honorowych warunków kapitulacji, w tym przede wszystkim o możliwość wyjścia z bronią za recesem i przekazania fortecy w ręce polskie, a nie rosyjskie. Po osiemnastu dniach ciężkich walk i dwa tygodnie po oficjalnym ogłoszeniu pierwszego rozbioru, kiedy obrońcom twierdzy zaczynało już brakować wody i amunicji, ich warunki zostały przyjęte.

Konfederacja barska dobiegła końca, choć długo jeszcze trwały represje wobec jej uczestników, z wysyłaniem ich tysiącami na Sybir włącznie.

Jakub Frank, jako człowiek ducha, trzymał się od działań wojennych z daleka. Za to panna Ewa, tak samo jak wielu zakonników i większość pielgrzymów odciętych na Jasnej Górze przez Rosjan, dniem i nocą dostarczała

żołnierzom prowiant i wodę, opiekowała się rannymi, a nawet pomagała nosić na wały belki i kamienie.

Jeszcze po zakończeniu pierwszego oblężenia Mistrz odesłał do Warszawy pod opiekę tamtejszych frankistów swoich dwóch synów – Józefa i Rocha. Wtedy też opuściło go wielu członków kompanii, którzy bali się śmierci, głodu i niewoli. Zostali przy nim tylko najwierniejsi, jak Jan Wołowski czy Mateusz Matuszewski, który podczas zarówno pierwszego, jak i drugiego oblężenia, nie wahał się przekradać w przebraniu przez linie wroga, by nieść słowa Świętego Pana uczniom przebywającym w stolicy. Te odstępstwa wśród najbliższych towarzyszy bardzo Mistrza bolały. Potrafił w owym czasie nie wychodzić ze swej celi całymi tygodniami i często powtarzał Awaczuni: „Córko moja! Patrzaj, wszyscy mnie odstąpili, bracia i siostry, a tyś przy mnie została i wytrzymałaś wraz ze mną wszystkie lata więzienia mego, aż do ostatka. Przeto błogosławie cię, iż ty najpiękniejszą będziesz między niewiastami, i wszyscy – niczym przy tobie będą”³⁵.

Po zajęciu Jasnej Góry przez Moskali, którym Franciszek Ksawery Branicki przekazał od razu przejętą od konfederatów twierdzę, Jakub Frank zgłosił się do rosyjskiego dowództwa, przedstawił się jako więzień przetrzymywany w klasztorze za głoszenie chrześcijaństwa wśród Żydów i poprosił, żeby go puszczono wolno. Rosjanie zgodzili się – i tak, po trzynastu latach aresztu, Mistrz odzyskał wreszcie wolność.

Wiedział, że dopóki w Polsce panuje zamęt związany ze świeżo przeprowadzonym rozbiorem i likwidacją ostatnich partii konfederackich, nikt go nie będzie szukał ani się nim zajmował. Kiedy jednak sprawy nieco się unormują, może się zdarzyć, że ktoś przypomni sobie, iż wyrok sądu biskupiego skazujący go przed laty na odosobnienie w twierdzy jasnogórskiej w zasadzie nadal pozostaje w mocy. Dlatego postanowił wyjechać do Brna, gdzie mieszkała jego kuzynka Schöndl, która kilka lat wcześniej pisała do niego, że gdyby miał jakieś kłopoty w Polsce, chętnie pomoże mu wraz z mężem stanąć na nogi w Austrii.

Po opuszczeniu Jasnej Góry Święty Pan nawiązał z krewniaczką kontakt, a potem, sobie tylko znanym sposobem, pod eskortą pozostałych mu jeszcze gwardzistów, zaczął wysyłać do Brna zgromadzone w olsztyńskiej jaskini pieniądze. Z początkiem 1773 roku wybrał się do Warszawy, zaopatrzywszy się przedtem w dodatkową karocę, pożyczoną zresztą od miejscowego biskupa, co najlepiej świadczyło o tym, że na razie mógł jeszcze czuć się bezpiecznie.

W Warszawie okazało się, że prawie nikt z mieszkających tam członków kompanii, którzy przez ostatnie lata wrosli głęboko w polskie społeczeństwo, nie ma zamiaru tułać się z nim po świecie (choć na szczęście również prawie nikt nie uchylał się od dalszego wspierania go pieniędzmi). Mistrz rugał ich za to i groził, że „głowy im pozdejmuje”³⁶, potem lamentował, że „dzieło rąk jego tonie w morzu”³⁷, lecz niczego nie osiągnął. Ostatecznie za granicę mógł zabrać tylko Awaczunię i kilkunastu najwierniejszych uczniów.

Wyrobił sobie w tym celu trzy niemal identyczne paszporty: pruski, rosyjski i austriacki. Najważniejszy z nich, austriacki, wystawiony zresztą z błędem w jego imieniu („*österreichische Schlamperei!*”³⁸ – sarknęła panna Ewa, gdy to zobaczyła), głosił, co następuje:

„Karol Emeryk baron Revitzky von Revisnye, szambelan rzymskiej, w Germanii, Węgrzech i Czechach królewskiej Apostolskiej Mości, rzeczywisty poseł i uwierzytelniony przy dworze królewskim w Polsce minister, czyni wiadomym, iż okaziciel niniejszego, P. Józef Frank, kupiec, wraz z będącą przy nim służbą, z osiemnastu osób złożoną, na dwóch brykach, zamierza stąd, we własnych interesach, udać się do Brna na Morawii i dlatego wszelkie władze, do których to należeć może, wezwane są, by pomienionemu Panu Józefowi Frankowi i będącej przy nim służbie, z 18 osób złożonej, żadnych przeszkód przy przejeździe granicy nie stawiały, i w razie potrzeby, odpowiedniej pomocy mu udzielały. Dan w Warszawie, dnia 5 marca 1773 roku.”³⁹

I tak w połowie marca 1773 roku, załatwiwszy wszelkie inne sprawy, wyruszył Święty Pan do Austrii.

Tym razem granica Polski była dobrze strzeżona, tyle że przez Austriaków. Tuż przed jej przekroczeniem Awaczunia, która przez całą drogę była posępna jak noc i nie odzywała się ani słowem, nagle zaczęła głośno zawodzić:

– Tato, ja nie chcę stąd wyjeżdżać! Nie chcę! Nie chcę! Nie chcę! Tyle razy powtarzałeś, że Polska to „dziedzictwo boskie”⁴⁰ i że tutaj jest ukrytych „dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć części dobra całego świata!”⁴¹

– Powtarzałem, bo to prawda – odpowiedział jej ojciec i przytulił ją do piersi. – Ale nie ma innego wyjścia, musimy wyjechać. Trzydzieści lat na Jasnej Górze minęło jak z bicza strzelił, a tymczasem wszystko dokoła zmieniło się. Na Polsce świat się nie kończy. W Austrii też jest życie i może nawet ta ostatnia, tysięczna część dobra całego świata ukryta jest właśnie tam. Zresztą, jak Bóg da, to kiedyś tu wrócimy.

Po czym, zanim leniwy austriacki podoficer przystawił w ich paszporcie urzędową pieczęć, Mistrz wyjął z kieszeni sakiewkę i nabrał do niej trochę ziemi.

– Co robisz? – spytała go, wśród spazmów, zdumiona córka.

– To na wszelki wypadek. Jakbyśmy jednak nie wrócili, rozsypiesz to na moim grobie.

■

Po tym jak bracia Klaus Callenberg i Johann Friedrich Hermannsdorfer przepadli bez wieści, Instytut Judaicum et Muhammedicum w Halle prawdopodobnie nie wysłał już do Polski żadnego misjonarza. Prawdopodobnie, ponieważ w niewyjaśnionych okolicznościach spora część dokumentacji prowadzonej przez tę placówkę, w tym wiele szczegółowych sprawozdań z zagranicznych misji, zniknęła z jej archiwów niewiele lat po tej wyprawie.

Niektórzy obwiniali o to pożar, inni myszy, jeszcze inni skłonni byli dopatrywać się w tym fatalnego zrządzenia losu bądź opłakanych skutków nadmiernych ambicji i zawodowej rywalizacji kolejnych dyrektorów Instytutu; nie zabrakło atoli i takich, którzy ulegając swemu czarnemu podniebieniu, twierdzili ukradkiem, mówiąc o tym tylko półgębkiem, że wszystko odbyło się *lege artis*, na polecenie i pod ścisłą kontrolą pruskiego Ministerstwa Wojny.

Sam czcigodny Instytut rozwiązano w 1792 roku, głównie z braku funduszy, lecz po części także i dlatego, że choć od trzech lat liczba ludzi przekonanych o bliskim końcu świata gwałtownie rosła, to często nawet oni byli zdania, że nie warto się tym faktem za bardzo przejmować, bo człowiek jest tylko maszyną, a w całym wszechświecie istnieje tylko jedna substancja, występująca co prawda w różnych postaciach.

¹ J 15, 12-13.

² Siła wyższa (łac.).

³ Na zdrowie! (niem.).

⁴ Kraushar, *Księżę Repnin*, t. II, s. 101.

⁵ Fragmenty *Tajnej konwencji rosyjsko-pruskiej dotyczącej rozbioru Rzeczypospolitej* z 17.02.1772 r. w tłumaczeniu Macieja Szczepańczyka, za: „Tajna konwencja rosyjsko-pruska dotycząca rozbioru Rzeczypospolitej (17 lutego 1772)”, Wikiźródła, Wikipedia.

⁶ Stanisław Salmonowicz, *Fryderyk Wielki*, Wrocław-Warszawa-Kraków 2006, s. 119.

⁷ Maria Dernałowicz, *Portret Familii*, Warszawa 1974, s. 240.

⁸ Konopczyński, *Konfederacja barska*, t. II, s. 503.

- ⁹ Tamże, s. 590.
- ¹⁰ Tamże.
- ¹¹ Tamże, s. 509.
- ¹² Tamże, s. 581.
- ¹³ Tamże, s. 691.
- ¹⁴ Clark, *Prusy*, s. 221.
- ¹⁵ Za: Konopczyński, *Fryderyk Wielki a Polska*, s. 150.
- ¹⁶ Dernałowicz, *Portret Familii*, s. 244.
- ¹⁷ Sidorski, *Panie Kochanku*, s. 211.
- ¹⁸ Tamże, s. 213.
- ¹⁹ Tamże, s. 224.
- ²⁰ Tamże.
- ²¹ Tamże, s. 225.
- ²² Tamże, s. 239.
- ²³ Tamże, s. 223.
- ²⁴ Tamże, s. 233.
- ²⁵ Tamże, s. 239.
- ²⁶ Na wiarę, honor i sumienie (łac.).
- ²⁷ Sidorski, *Panie Kochanku*, s. 238.
- ²⁸ Tamże, s. 241.
- ²⁹ Zarzycki, *Księżę Marcin Lubomirski*, s. 108.
- ³⁰ Tamże, s. 112.
- ³¹ Tamże, s. 113.
- ³² Tamże.
- ³³ Tamże, s. 116.
- ³⁴ Tamże, s. 122.
- ³⁵ Za: *Księga Słów Pańskich*, t. I, s. 39.
- ³⁶ Kraushar, *Frank i frankiści*, t. I, s. 306.
- ³⁷ Tamże.
- ³⁸ Austriackie niechlujstwo (niem.).
- ³⁹ Kraushar, *Frank i frankiści*, t. II, s. 3-4.
- ⁴⁰ Tamże, t. I, s. 308.
- ⁴¹ Tamże, t. II, s. 365.

Czarny huzar

Wydanie pierwsze, ISBN 978-83-8083-504-7

© Leszek Biały i Wydawnictwo Novae Res 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Paweł Pomianek

KOREKTA: Bartłomiej Kuczkowski

OKŁADKA: Paulina Radomska-Skierkowska

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

al. Zwycięstwa 96 / 98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

